

KWARTALNIK ETNOGRAFICZNY

LUD

ORGAN TOWARZYSTWA LUDOZNAWCZEGO WE LWOWIE,
WYCHODZI POD REDAKCYĄ KOMITETU, KTÓRY STANOWIĄ:
AD. FISCHER, PROF. A. A. KRYŃSKI, DR. J. LECIEJEWSKI,
SZ. MATUSIAK, DR. MIECZ. TRETER, STAN. WASYLEWSKI.

TOM XVII. ════════ ZESZYT I.

═══════════ WE LWOWIE MCMXI ════════════
NAKŁADEM TOWARZYSTWA LUDOZNAWCZEGO
CZCIONKAMI Drukarni W. A. SZYJKOWSKIEGO
SKŁAD GŁÓWNY w WARSZAWIE: E. WENDE i Sp.

Kwartalnik etnograficzny

LUD

wychodzić będzie w roku 1911 w zeszytach objętości
7 do 8 arkuszy.

Prenumerata z przesyłką pocztową Kor. 10.
Mk. 10. — Fr. 12. — Rb. 5. — Dol. 4. ☐☐

Przedpłatę przyjmuje administracya „Ludu“, oraz wszystkie
znaczniejsze księgarnie.

Członkowie Towarzystwa ludoznawczego, którzy uiścili wkładkę sta-
tutem przepisaną, otrzymują „LUD“ bezpłatnie.

Rękopisy, listy, czasopisma i książki przeznaczone dla redakcyi
„Ludu“ oraz wszelkie pisma, odnoszące się do Towarzystwa ludoznaw-
czego, a także sprawy administracyjne, reklamacye, zamówienia wy-
dawnictw, zgłoszenia do Towarzystwa i wkładki adresować prosimy.

Adam Fischer
Lwów, Ossolineum.



„LUD“ (Le peuple).

*Revue trimestrielle consacrée à l'étude du folklore polonais, publiée
par la Société de Folklore à Lemberg.*

*Prix d'abonnement d'un an (28—32 feuilles) 10 couronnes —
10 francs — 5 roubles.*

*„LUD“ signalera tous les travaux se rattachant au Folklore.
L'échange est accepté avec toutes les revues savantes.*

*Toutes les communications relatives à la rédaction, lettres, li-
vres, périodiques, etc. devront être adressées à M. Adam Fischer,
secrétaire de la Société de Folklore, Lwów (Lemberg), Autriche,
Institut d'Ossoliński.*

KWARTALNIK ETNOGRAFICZNY

© LUD ©

ORGAN TOWARZYSTWA LUDOZNAWCZEGO
ZAŁOŻONY PRZEZ ANTONIEGO KALINĘ,
POD REDAKCYĄ DR. ADAMA FISCHERA.

TOM XVII. — ROK 1911.

Z 9 CYNKOTYPIAMI KRESKOWEMI I JEDNĄ
AUTOTYPIĄ NA OSOBNEJ PLANSZY.

WE LWOWIE MCMXI. □ NAKŁADEM TOWARZYSTWA LUDOZNAWCZEGO. □ SKŁAD GŁÓWNY W WARSZAWIE: E. WENDE I SP., KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE L. 9. □ Drukarnia W. A. Szyjrowskiego.

KOMITET REDAKCYJNY „LUDU“ W ROKU 1911 STANOWILI:

DR. ADAM FISCHER, PROF. ADAM ANTONI KRYŃSKI,
SZYMON MATUSIAK, DR. MIECZYŚLAW TRETER.

WYDAWNICTWEM KIEROWAŁ: DR. ADAM FISCHER.

KIEROWNIK ART.-TECHNICZNY: DR. MIECZYŚLAW TRETER.



Cz. 2117/1911

WYDAWNICTWO KSIĄŻKARSKIE
WARSZAWA

- WARSZAWA, KSIĘGARNIA WILKOWSKA, 1911
- WARSZAWA, KSIĘGARNIA WILKOWSKA, 1911

SPIS RZECZY.

	Str.
I. Rozprawy.	
Ciszewski Stanisław. Czaszki ludzkie z kłódkami	19
— Trepanowanie i skrobanie w celach leczniczych czaszek na Kaukazie	242
Gawełek Franciszek. Palma, jajko i śmigus w prakty- kach wielkanocnych ludu polskiego	15
Janusz Bohdan. Typy etniczne i kulturalne w prehistoryi Galicji wschodniej	57
Krzywicki Ludwik. Początki własności indywidualnej	1
Malinowski Bronisław. Totemizm i egzogamia	31
Matusiak Szymon. Wieszcza i żreb	193
Piłsudski Bronisław. Poezya Gilaków	95
Rechowicz Kazimierz. Sztuka budowania z drzewa w oko- licy Skolego	1
Szulc Stefan. Przeżytki w baśniach	40
Wasilewski Leon. Najnowsze przyczynki do polskiej ma- pografii etniczno-językowej	251

II. Opisy i notatki.

Ciszewski Stanisław. Anonimowa zapiska etnograficzna o góralach beskidowych z r. 1786	124
— W sprawie spuścizny naukowej po J. Lompie	128
— Coby robił chłop, gdyby został królem	133
— »Polski most«	135
— Samur	259, 270
— »Sin po grijehu«	261
Koczwaro Jan. Wierzenia ludowe w Małych Kończycach, koło Zebrzydowic na Śląsku	60
Pracki W. Bańka	131
— Bugaj	72
Piłsudski Bronisław. Dział etnografii na XII. zjeździe rosyjskich przyrodników i lekarzy w Moskwie	264

Piłsudski Bronisław. W sprawie zjazdu etnografów polskich	267
Ślaski Bolesław. Z wierzeń i gwary ludu wodnego	74

III. Materyały i poszukiwania.

Brzega Wojciech. Materyały do poznania górali tatrzańskich IV. Symcio Tatar	97
Ciszewski Stanisław. Przyczynek do słownika gwary mazowieckiej	161
Janiewicz Orest. Mistrz Twardowski	100
Schnaider Józef. Z życia górali nadłomnickich	138
† Smólski G. Zagadki i łamigłówki górali polskich w Tatrach i Beskidach	77

IV. Recenzje i sprawozdania.

Czarnecki W. Gogolewo. (Fr. Gawełek)	271
Gawełek Fr. Nowe Muzeum w Krakowie. (Dr. M. Treter)	110
— Konik zwierzyniecki (St. Łempicki)	112
— Przesady, zabobony, środki lecznicze i wiara ludu w Radłowej. Tenże, Czarownik z Rząchowej. (St. Łempicki)	113
Hefftner P. Ursprung der Ortsnamen im Stadt- und Landkreise Breslau. (St. Drzażdżyński)	185
Held, Bajki murzyńskie. (K. Sochaniewicz)	274
Klinger Witold. Žiwotnoje w anticznom sowremiennom sujewierii (A. Brückner)	181
Leskien A. Ueber Dialektmischung in der serbischen Volkspoesie. (A. A. Kryński)	103
Maciszewski Maurycy. Brzeżany w czasach Rzeczypospolitej polskiej. (Emil Kipa)	115
Man Vol. XI. Nr. 1. (M. Kalityński)	111
Pospišil Fr. Mečový tanec na slovanske půdě (Fr. Gawełek)	115
Rhamm Karl. Ethnographische Beiträge zur germanisch-slavischem Altertumskunde II. 2. (A. Brückner)	178
Samokwasow D. Opisanie archeologičeskich raskopow i sobrania drevnostej. (B. Janusz)	167
Schnaider Stanisław. Badania nad źródłami twórczości Słowackiego w ostatnim okresie życia (M. Kalityński)	106
Seefried-Gulgowski Ernst. Von einem unbekannten Volke in Deutschland. (A. Brückner)	184

	Str.
Sztuka stosowana. Zesz. 14. (Dr. M. Treter)	110
Talko-Hryncewicz J. Materyały do etnologii i antropologii ludów Azji środkowej. (Br. Piłsudski)	189

V. Kronika etnograficzna.

† Gustaw Smólski (K. Sochaniewicz)	277
Odczyt Dra Bolesława Orłowskiego w Paryżu	287
Przewodnik teatrów i chórów włościańskich	288
Rozporządzenie c. k. Ministerstwa wyznań i oświaty	289

VI. Sprawozdanie kasowe za r. 1910	292
--	-----



SOMMAIRE

du volume XVII. (Année 1911) de la revue ethnographique „Lud”
(Le Peuple).

	Pag.
I. Études.	
Ciszewski St. Crânes humains avec des cadenas . . .	19
— Trépanation et râclage médical du crâne au Caucase	242
Gawełek Fr. Coutume du rameau, des oeufs de Paques et du „Śmigus” chez le peuple polonais	15
Janusz B. Types ethniques et cultureux dans la prehistoire de la Galicie de l'Est	57
Krzywicki L. Origine de la propriété individuelle . . .	1
Malinowski B. Totémisme et exogamie	31
Matusiak S. Prophétie et destin	193
Piłsudski Br. Poesie des Guilaques	95
Rechowicz C. L'Art de construire en bois dans les envi- rons de Skole	1
Szulc E. Certains éléments anciens dans les contes . . .	40
Wasilewski L. Nouvelles notes sur les mappes représentant les relations ethniques et linguistiques en Pologne . .	251

II. Notices ethnographiques.

Ciszewski St. Note ethnographique anonyme, datée de l'année 1786 sur les montagnards des Besquides . .	124
— Au sujet de l'héritage scientifique de J. Lompa . .	128
— Un paysan devenu roi — que ferait-il?	133
— „Pont polonais”	135
— Zibeline	259, 270
— „Propre fils”	261
Koczwarra J. Croyances populaires á Kończyce dans la con- trée de Zebrzydowice en Silésie	60
Pracki V. Cruche	131
— „Bugaj”	72

	Pag.
Piłsudski Br. Section ethnographique au XII-e congrès des naturalistes et des médecins russes á Moscou . . .	264
— Au sujet du congrès des étnnographes polonais . . .	267
Ślaski B. Sur les croyances et le jargon du peuple habitant les bords des rivières	74

III Matériaux ethnographiques et recherches.

Brzega A. Matériaux servant à connaître les montagnards de Tatra	97
Ciszewski St. Appendice au dictionnaire du dialecte de Mazowsze	161
Janiewicz O. Maître Twardowski	100
Schnaider J. Note sur la vie des montagnards habitant les rives de la Łomnica	138
† Smólski G. Devinettes et charades des montagnards polonais dans les montagnes de Tatra et de Beskidy . . .	77

IV. Comptes rendus et critique 103,167,271

V. Cronique d'ethnographie 277

VI. Affaires de la Société 292

WSPÓŁPRACOWNICY KWARTALNIKA ETNOGRAFICZNEGO
„LUD” W R. 1911.

ALEKSANDER BRÜCKNER (Berlin),
WOJCIECH BRZEGA (Zakopane),
STANISŁAW CISZEWSKI,
STANISŁAW DRŻAŻDŻYŃSKI,
ADAM FISCHER,
FRANCISZEK GAWEŁEK (Kraków),
OREST JANIEWICZ (Starodub),
BOHDAN JANUSZ,
MIECZYŚLAW KALITYŃSKI (Kamionka strumiłowa),
EMIL KIPA,
JAN KOCZWARA,
ADAM ANTONI KRYŃSKI,
LUDWIK KRZYWICKI (Warszawa),
FRANCISZEK KRČEK,
STANISŁAW ŁEMPICKI,
BRONISŁAW MALINOWSKI (Londyn),
SZYMON MATUSIAK,
BRONISŁAW PIŁSUDSKI (Zakopane),
PRACKI R. (Międzyrzecze),
RECHOWICZ KAZIMIERZ,
SCHNAIDER JÓZEF,
BOLESŁAW ŚLASKI (Warszawa),
KAZIMIERZ SOCHANIEWICZ,
STEFAN SZULC (Warszawa),
MIECZYŚLAW TRETER,
LEON WASILEWSKI (Kraków).



KAZIMIERZ RECHOWICZ.

Sztuka budowania z drzewa w okolicy Skolego.

Idąc w myśl projektów nieodżałowanego miłośnika sztuki ludowej architekta Kazimierza Mokłowskiego oraz zmarłego profesora Szkoły Politechnicznej I. Zachariewicza, przedkładam szkic pracy z zakresu badań „Budownictwa ludowego“ obejmujący część okręgu Skolskiego.

Na Podkarpaciu bowiem po dziś dzień znajdują się niezliczone zabytki, nieprzebrany materiał form, skarbnica kształtów estetycznych.

Samo bogactwo drzewa w górach pozwala na częstsze zmienianie i tak czasem niefortunne przerabianie „cacek budownictwa“, do jakich zaliczyć należy cerkwie i dzwonnice.

Należy się spieszyć i jak najrychlej zbierać i ratować to, co jeszcze pozostało. Dziwny jakiś niekulturalny prąd wśród zarządzających świątyniami księży dziś istnieje. Mania odnawiania, stawiania z nowoczesnymi dodatkami cerkwi murowanych na modłę bizantyńską jest tak wielka, że w lat kilkanaście mówić się będzie o naszym budownictwie drzewnym jako o rzeczy należącej do przeszłości. A przecież szkoda, boć mamy choćby i tu n. p., w tych kilku ilustracjach, materiał z zakresu kilku zaledwie mil, a tak obfity i tak różnorodny pod względem form. Pierwsze kroki i to bardzo poważne już postawione Prace prof. Zachariewicza, Mokłowskiego, Witkiewicza, Matlakowskiego,

Glogera, prof. Obmińskiego, niechaj będą bodźcem, zbierajmy materyał. Zabytki istniejące i te, z których zaledwie szkice pozostały, są wytworem ducha artysty budowniczego naszego, tworem jego fantazyi, jego estetycznych dążeń i wymagań. Nie można pozwolić, by zabytki naszego ludowego budownictwa, które się w całej Polsce znakomicie rozwinęło, określano tak, jak to się stało w Poznańskim, gdzie twory słowiańskiego ludu oznaczono: „als germanische Kinder im slavischen Kleide“¹⁾.

* * *

Rozwój budownictwa drzewnego zależy przedewszystkiem od położenia geograficznego danej miejscowości. Nowe i częściej odnawiane budowle znajdujemy w okolicach, gdzie materyał budowlany jest niedrogi i gdzie go się poddostatkiem znajduje, Naodwrot w bezleśnych okolicach, budowle, chociaż stare, nie bywają burzone, lecz poprawiane, podmurowywane, z dodatkiem czasem, ale piętno budowli architektonicznej, jej charakter, pozostają nienaruszone.

W okolicy opisywanej drzewa jest podostatkiem, rekonstrukcyje idą całą siłą, tak, że ze zwiedzonych dwunastu wsi połowa odpada jako nienadająca się do opracowania. W miejscach malutkich drobnych cerkiewek pobudowano bądź to murowane świątynki, bądź też nieestetyczne szopy blachą kryte, w ogólnym jeno zarysie zaledwie przypominające kształty dawnych budynków. I dziwna rzecz: te brzydkie i niedostrajające się do obrazu wioski murowane budynki wysuwają się na czoło i już z daleka znać dają o sobie, świecąc blaszanym dachem. Tymczasem, jeśli we wsi są dwie cerkwie, to starsza drewniana kryje się w sadach, wśród drzew najczęściej topolowych; i dobrze trzeba szukać, aby ją znaleźć, chyba że wiatr odchylił konary drzew, z poza których krzyż świątynki się ukaże. W ciichym i miłym zakątku, nad stawkiem, groblą, lub wśród chat, jak matka, zda się, pilnująca swych dzieci, stoi cerkiewka drewniana. Miejsce dla cerkwi to osobne terytoryum (teren najwyżej wzniesiony), ogrodzone bądź żywopłotem, bądź to murem (naturalnym) z otoczek większych rozmiarów, niespojonych zaprawą wapienną. Zrąb świątyni, bierwiona, tworzące ściany

¹⁾ Dr. Burgemeister: Die Holzkirchen der preuss. Ostprovinzen. Berlin 1905.

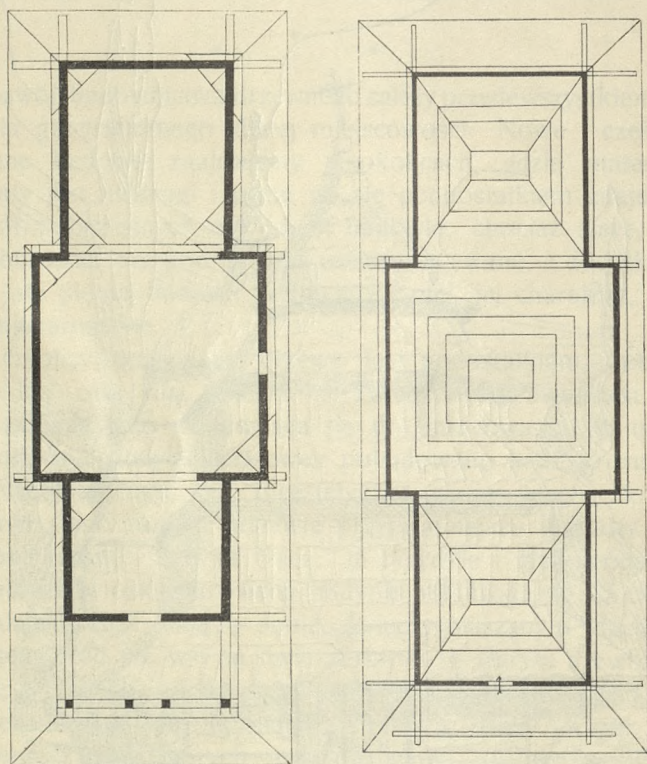
główne, spoczywają często na podłożu otoczakowym (cel tylko utylitarny — chronią bowiem od wilgoci) a i malowniczość na tem traci. Cerkiew otoczona jest najczęściej cmentarzyskiem lub wolnem miejscem, ciągnącem się około całej budowli, na któ-



1. Cerkiew w Orowie.

rem zatrzymuje się lud podczas nabożeństwa w czasie odpustu (praznyk) lub podczas świąt Wielkiej Nocy, kiedyto odbywają się ludowe zabawy (hahułki). Drzew zwyczajnie około cerkwi sporo, zdarza się jednak (jak w Hodowiecku), że cerkwie na pagórku wznoszą się wśród pól żytem zasianych i łąk pokry-

tych stubarwnem kwieciem. Z pagórka rozpościera się wspa-
niały widok na wieś całą, często opasaną rzeką, która jakby
w ramionach tuli do siebie zagrody chłopków, ich dolę i nie-
dolę. Zasadzanie i pielęgnowanie drzew około drewnianych
świątyń ma swoje znaczenie, bo te gałązkami i konarami zwi-
sając ponad budowlą, chronią ją od burzy, która czasami dachy
zrywa i wielkie czyni szkody. Powtórzę tu opowiadanie siedem-



2. i 3. Rzuty poziome cerkwi.

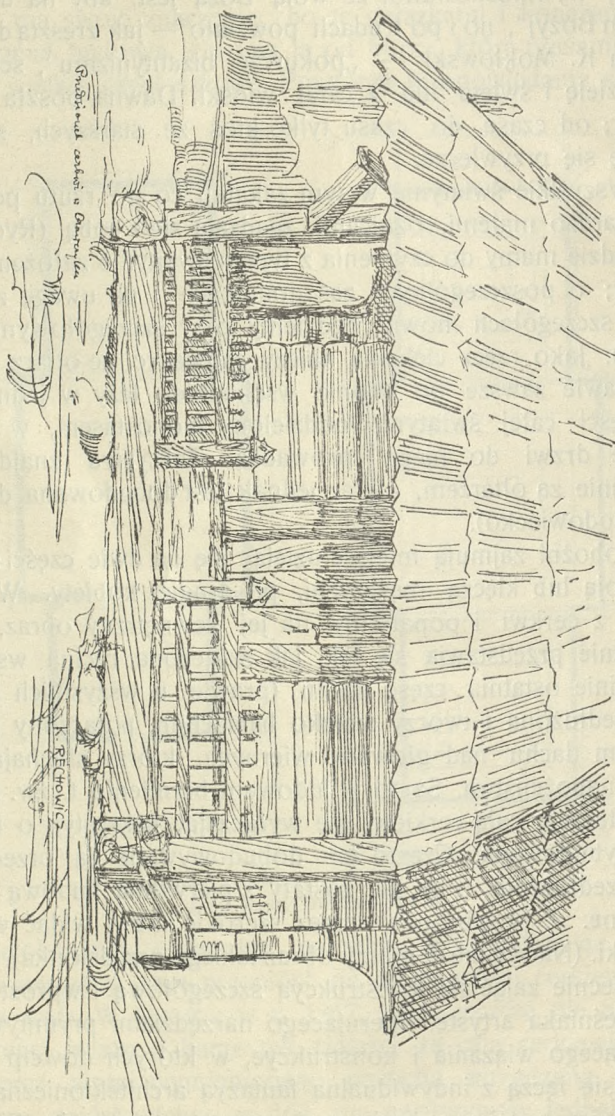
dziesięcioletniego staruszka, parocha, który ustępując miejsca
swemu następcy, sam przeniósł się do malutkiej cerkiewki, dru-
giej we wsi: W Orowie w r. 1867, kiedy jeszcze nie było cer-
kwi nowej, wiatry i burze tak szalały, że całą cerkiewkę, obe-
cnie przez wyżej wymienionego parocha zarządzaną a leżącą
na górze, zniósł wicher w dół, nie naruszywszy jednak wiąza-
nia. Po burzy wyciągnięto cerkiewkę i ustawiono na dawnym
miejscu, równocześnie zasadzając drzewa, by te stały na straży

budynku. Kilкома kreskami na rycinie naznaczone jest to cacko drewnianego budownictwa (Ryc. 1). Z zająścia tego najprawdopodobniej wywnioskowano, że wolą Bożą jest, aby na dole był „Chram Bożyj“, no i po trudach powstało — jak zresztą dosadnie określa K. Mokłowski — „pokurcze bizantynizmu“, ściągające w niedzielę i święta lud z całej wioski. Dawna poszła w niepamięć; od czasu do czasu tylko ktoś ze starszych, stękając, w górę się przywlecze.

Wszystkie świątynie w tym zakątku co do rzutu poziomego, z bardzo małemi różnicami, zgadzają się z sobą. (Ryc. 2 i 3). W zasadzie mamy do czynienia z typem świątyń o założeniu krzyżowym; o poszczególnych zaś dodatkach i na uwagę zasługujących szczegółach mówić będziemy przy szczegółowym opisie świątyń. Jako rzecz ciekawą należy zauważyć, że ołtarz główny leży prawie zawsze po stronie wschodniej, leży w jednej trzeciej części całej świątyni, oddzielony ikonostasem, w którym trojakię drzwi do niego prowadzą. Zakrystya znajduje się zwyczajnie za ołtarzem, nieraz jednak jest dobudowana do świątyni (Hodowiecko).

Pobożni zajmują miejsce dzieląc się na dwie części: po jednej stoją lub klęczą mężczyźni, po drugiej kobiety. Wyjdźmy jednak z cerkwi i popatrzmy na jej zewnętrzny obraz, który przeciętnie przedstawia się tak, jak załączona rycina wskazuje. Zwyczajnie ostatnia część dachu (prawie u wszystkich cerkwi) jest przedłużona i tworzy niejako baldachim, połączony z całokształtem dachu nad głowami wiernych, którzy słuchają obok cerkwi nabożeństwa. Są to w ludowem brzmieniu t. zw. saboty, które otaczają całą cerkiew, nie wyłączając zakrystyi, o ile taka jest przybudowaną. Często też dobudowywane są przedsionki jako przedłużenia, o ile nie zostały z pierwotną budową zaprojektowane. Z przedsionka, przez szerokie drzwi widać wnętrze cerkiewki. (Na rycinie 4. mamy obraz takiego przedsionka). Należy nam obecnie zająć się konstrukcją szczegółową i wprost podziwiać wieśniaka artystę, operującego narzędziami prymitywnymi, a tworzącego wiązania i konstrukcyę, w których dowcip i spryt pięknie się łączą z indywidualną fantazyą architektoniczną. Cerkwie, które będziemy brali pod uwagę, należą do budowli, w których ściany są stawiane z kłoców drewnianych (bierwion). Ściany te wiążą się, już od pierwszego dyla idąc, przez nakładanie nowych pali coraz to w górę, do żądanej wysokości.

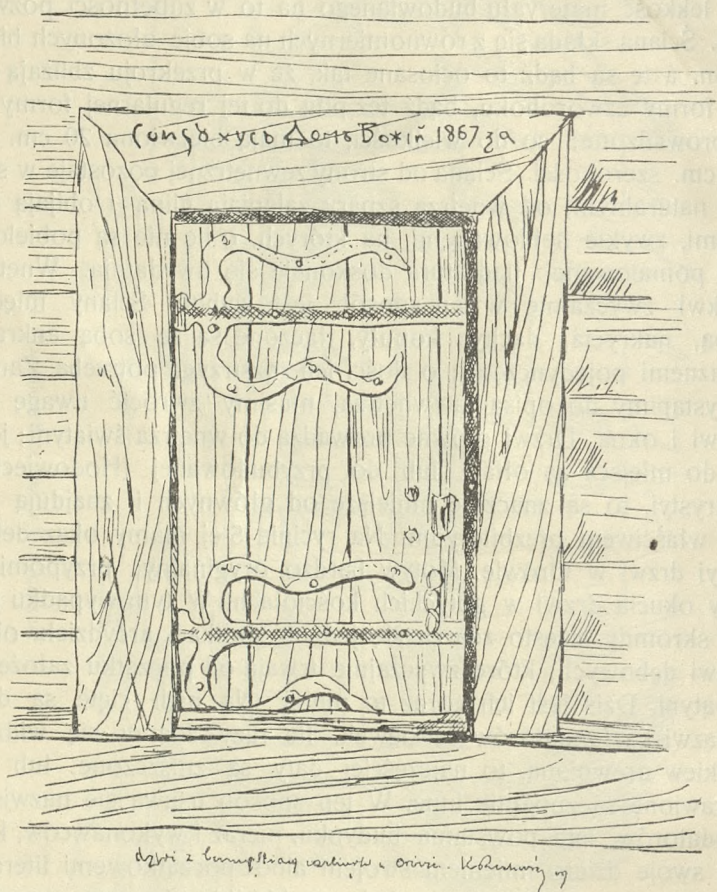
Zwyczajnie, jeśli niema podmurowania (co się zresztą często zdarza) dla wyrównania terenu, układa się złomy kamienne lub



4. Przedśionek cerkwi w Oravčyku.

co większe otoczaki, przyniesione wodą z gór, i na tym tak naturalnym fundamencie wiąże się dyl z dylem, ściana ze ścianą. Kamienny fundament (podmurowanie ewentualne) służy jedynie

do zabezpieczenia od wilgoci, to też zdarza się widzieć cerkiewkę, a częściej jeszcze — i to znacznie częściej — dzwonnice, spoczywającą na kilku kondygnacjach otoczków lub złomów skalnych. Dziwnem może by się wydało takie budowanie bez fundamentów, jednak po pierwsze trwała łączność ścian, po drugie lekkość materiału budowlanego na to w zupełności pozwalają. Ściana składa się z równomiernych na sobie ułożonych bierwion, a te są bądź to ociosane tak, że w przekroju zbliżają się do formy czworoboku, bądź też piłą do tej regularnej formy są doprowadzone; co do wielkości, to mają bierwiona 20 cm. do 70 cm. szerokości. Ściana od strony zewnętrznej pozostaje w stanie naturalnym; od wnętrza szpary zalepiają gliną i obijają deskami, zwykle heblowanymi, na których, o ile nie są pobielone lub pomalowane, fladratura doskonale się uwydatnia. Wnętrze cerkwi zwyczajnie w ten sposób jest wybite. Ściany między sobą, nakrycia, dachy, kopuły, łączone są ze sobą ankrami żelaznymi pojedynczemi; o ilości ich rozstrzyga potrzeba. Zanim przystąpimy do opisanie wnętrza, musimy zwrócić uwagę na drzwi i okna. Drzwi główne prowadzą do wnętrza świątyni; jeśli są do miejsca za ołtarz lub do przybudowanej (Hodowiecko) zakrystyi, to są znacznie mniejsze od głównych i znajdują się we właściwym prezbiterium. Na rycinie 5-ej mamy okaz dekoracji drzwi w Orowie. Motyw bardzo oryginalny, przypominający okucia drzwi w gotyckich kościołach. W tym wypadku jest on skromny, często zdarza się jednak spotkać arcydzieła okuć drzwi dębowych, które zwyczajnie trwają od początku założenia świątyni. Dziś jest ich coraz to mniej. Na nich cięte są daty i nazwiska fundatorów cerkiewek. Ile razy zdarzy się widzieć cerkiew drewnianą, to najczęściej daty są zniszczone, lub też wstawione są zupełnie inne. W ten sposób usuwa się nazwiska fundatorów, lata powstania budynku, nieraz i wykonawców, którzy swoje dzieło imieniem swoim albo początkowymi literami tegoż oznaczyli. Drzwi zamykają na kłódki własnego wyrobu: są to ogromne narzędzia, ważące parę kilogramów, nieraz bardzo udatnie wykonane. Okna są zwyczajnie w formie kwadratu lub prostokątu w ściany wstawione, szybami oszklone. Forma ich różna, czasem nawet średniowieczne łuki przypominająca, z dekoracją w drzewie i słupkiem smukłym, na dwie połączy okno dzielącym. (Hodowiecko). Bardzo ważnym momentem architektonicznym w budowie cerkiewki drewnianej jest niezawo-



5. Drzwi cerkiewki w Orowie.

rokość, stosunek wzajemny kopulek do siebie, nadają całości malowniczy widok, przedstawiający się bardzo subtelnie z każdej strony, chociażby tylko w zarysie.

Ale wejdźmy do świątyń i rozglądnijmy się. Na wstępie przed wejściem uderzają nas na wybielonej ścianie sobót wspartych na rysiach, miejscami na słupach, oryginalne malowidła

jakiegoś wiejskiego artysty, który w wolnych chwilach zapewne historię męki Pańskiej czy też Narodzenia, w sposób prymitywny, sadzą rozwodnioną nagryzmoili. Rzecz bardzo ciekawa dla historyka sztuki. Mnóstwo takich, stosunkowo może najlepszych ilustracji, znajduje się w cerkwi św. Jerzego w Drohobyczu. Drzwiami, zwyczajnie bogato okutymi, wchodzimy do wnętrza świątyni. Pierwszą częścią tejże jest t. zw. babiniec, dzieli go od części środkowej chór, który wzniesiony jest zwyczajnie o jakie 2 metry od poziomu, podstawą łącząc się ze ścianą babinca; wchodzi się na chór zwykle drabiną, bardzo rzadko schodami wysokostopniowymi.

W części środkowej, pokrytej najwyższym wielookapowym dachem, znajdują się boczne ołtarzyki, ławki, chorągwie. Z tej to części wchodzi się do prezbiterium, przez t. zw. carskie wrota, i dostaje się wprost do głównego ołtarza; można też wejść dwoma bocznymi wchodami, a wtedy wchodząc, znajdujemy się u boków ołtarza. Wejścia te stanowią części ikonostasu. Dekoracja wnętrza prymitywna, wypełniona wyrobami własnymi (prócz obrazów), począwszy od świec, a skończywszy na przyborach, ławach i lichtarzach, nieraz dość oryginalnych, malowanych farbami o jaskrawych kolorach. Ikonostasy, części najozdobniejsze w każdej cerkwi, są zwykle głównym punktem obserwacji, a często i artystycznego zajęcia.

Należy choć kilku słowy wspomnieć o dzwonnicach, wielce oryginalnych budowlach piętrowych, służących do zawieszania dzwonów lub też na skład sprzętów kościelnych. Stosunek dzwonnicy do cerkwi jest różny. W budowlach opisanych, prócz Stynawy niższej były one budowane od strony babinca, na przedłużeniu osi świątyni, i w tych wypadkach wchód na otoczenie cerkiewne prowadzi przez drzwi dzwonnicy.

Krzyże, które się na wieżach cerkwi oraz dzwonnicy znajdują, jako twór ludowych artystów, zasługują na osobne opracowanie.

W tych kilku słowach dałem ogólny obraz badanych cerkiewek. Obecnie przyjdę do opisanie poszczególnych miejscowości, zwracając uwagę na części szczegółowe, o których w ogólnym zarysie wspomnieć nie mogłem. Chodziło tu o zbadanie małej części kraju i określenie przyjętej okolicy jako całości. Materiał zebrany dotyczy budownictwa drzewnego z zakresu cerkwi i dzwonnicy. Chodziło tu głównie o to, jak budują? i co

się w budowlach mieści, z uwzględnieniem oryginalnych ludowych twórców, wchodzących w zakres narzędzi kościelnych.



6. Dzwonica cerkiewna w Stynawie wyżnej.

Nie bez celu jest badanie okręgowe całego kraju, wzorem powinni nam być Niemcy, którzy cały materiał n. p. w Poznńskim mają doskonale zebrany. Na podstawie badań i kwestyonaryuszy, które już w niektóre okolice porozysłałem, będzie

można dojść do pewnych danych, według których da się stworzyć mapę orientacyjną całej Polski, wskazującą naocznie rozwój zapomnianej u nas sztuki.

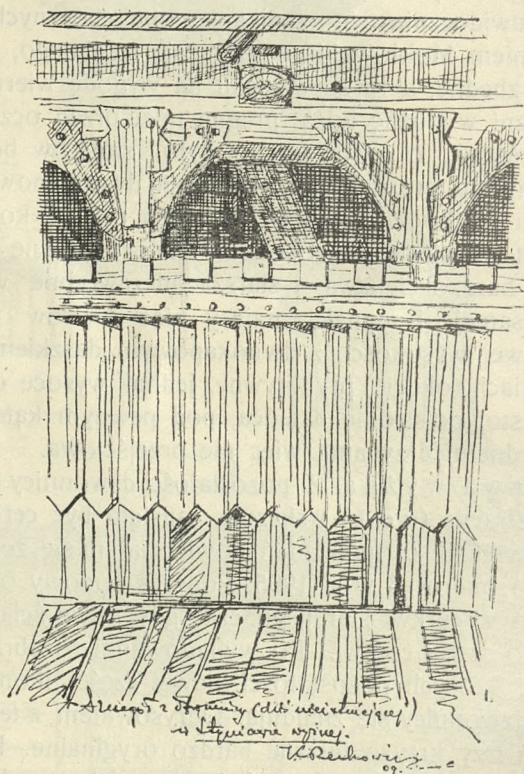
Cerkiew w Stynawie niższej, niedaleko Lubieniec, jest — jak zresztą w całym podanym okręgu — typem cerkwi o prawie że zanikłych ramionach bocznych; założenie jej przedstawia się jako zestawienie trzech kwadratów, przyczem środkowy większy jest od obu innych. Porównanie rzutów cerkwi w tym okręgu doprowadza nas na myśl, że w tych cerkwiach specjalnie uwidocznia się zanikanie obu bocznych ramion krzyża. Zdaniem Mokłowskiego dzieje się to dlatego, że boczne ramiona są zbędne, a to ze względu na wygodę wiernych, którzy, wsłuchani w służbę bożą, pragną mieć przed oczyma przebieg nabożeństwa, o co trudno by było, stojąc w bocznej nawie. — Dachy nad prezbiterium i babińcem dwuokapowe, w środkowej części wychodzi ośmioboczny bęben, nakryty kopułą. Cała cerkiew jest obwiedziona sobotami. Drzwi główne są nowe. Dzwonnica bardzo ciekawa i starsza niezawodnie w budowie od cerkwi samej. Budynek, mający pięć metrów w kwadrat czterometrowej wysokości, z dwuokapowym daszkiem. Zdobienia na drzwiach (okucie) prymitywne, jednak wysoce oryginalne. Dzwonnica stoi po stronie babińca, pod pewnym kątem, od osi cerkwi, z jednemi drzwiami, więc nie przejściowa.

Stynawa wyższa. Z pozostałości dzwonnicy sądząc, jak zresztą ilustracja (ryc. 6) wskazuje, musiała być cerkiew sama cennym zabytkiem. Z opowiadań dowiedziałem się, że nową cerkiew zaczęto budować w r. 1905. Podczas budowy odprawiano nabożeństwo w cerkwi starej, podczas gdy nowe ściany prowadzono około starej cerkwi. Po wybudowaniu rozebrano części wewnętrzne, których pozostałości, nawet części ikonostasu, na poddaszku dzwonnicy się znajdują. Odrysowałem z tego poddasza również trzy krzyże żelazne bardzo oryginalne. Dzwonnica przejściowa, jak z rysunku widać, bardzo ciekawa, dziś już nie istniejąca, zbudowana u dołu z bierwion dębowych, ku górze z materiału jodłowego.

Cerkwie w Orowie.

Pierwsza cerkiew na dole (w dołyni), murowana, nie nadaje się do opisu. Na wzmiankę jeno zasługuje dzwonnica drewniana, cała z materiału jodłowego z trójokapowym dachem; Druga natomiast w górze (horiszna) jako taka, służyć może za

piękny przykład budowy drewnianej. Założenie przedstawia się jako zestawienie z trzech kwadratów, nad którymi wznosi się, i to nad częścią środkową, kopuła w kształcie cebuli, jako zakończenie ośmiobocznego bębna, w połowie zwężonego; w tem właśnie miejscu występuje daszek okapowy, przyczyniając się niemało do malowniczego obrazu cerkiewki. Kopuła zakończona drobnym daszkiem dwuokapowym, z nad którego miśsternej wprost roboty wystrzela krzyż żelazny. Kwadraty nad



7. Szczegół z dzwonnicy (dziś nieistniejącej) w Stynawie wyżnej.

babińcem i prezbiterium zakończone czterookapowym dachem, pierwszy wychodzi z kwadratu, następnie z ośmioboku. Na szczycie pazdur gliniany, a w nim krzyż pojedynczy, lecz formą swoją wspinały. Cerkiewka ośm metrów wysoka a dziesięć długa, ułożeniem swoim, całym zbiorem daszków mniejszych i większych, otoczona sobotami, o dość niskim zrębie, jako ca-

łość jest piękna swoją szlachetną prostotą i architektonicznym wdziękiem.

Dorównywa jej w zupełności dzwonnica, przez której przejście dostać się można na terytorium cerkiewne. Drobniutka budowla dochodzi zaledwie do czterech metrów wysokości. Zrąb o konstrukcyi węglowej. Dzwonnica okolona na dole pod cieniem, na rysiach, w górnej części, na każdej stronie po dwa półokrągłe otwory (strzelnice). Całość nakryta piramidowym daszkiem, na którego szczycie krzyż suto zdobiony.

Cerkiew w Korostowie wyróżnia się prócz ogólnych zresztą znamion tem, że jej nasada nie jest kopułą, ale na trzech kwadratach osadzone są dachy, a to nad babińcem i prezbiterjum trójkapowe, na czworogrannym bębnie oparte, środkowe zaś nakrycie stanowi dach czteroookapowy, również na czworobocznym bębnie, zakończony pazdurem glinianym, w którym osadzony jest krzyż. Wnętrze jej dość bogate w porównaniu z innymi cerkiewiami. Cała otoczona sobotami (patrz rzut poziomy), z chórem w części środkowej i t. z. kapliczką prawosławną w babińcu, która w każdej prawie cerkwi się powtarza.

Dzwonnica w Koziowie — stoi na uboczu miejsca cerkiewnego. Jako budowla drewniana godna wspomnienia dla swych bogatych kształtów, może służyć jako przykład dzwonnicy tych okolic. Zrąb o konstrukcyi węglowej. Podcienia wsparte na rysiach, w górze znajdują się po każdej stronie po trzy półokrągłe otwory.

Cerkiew w Orawczyku stanowi sylwetą swoją ciekawy wyjątek. W rzucie poziomym nie odróżnia się od innych w tym okręgu, kopuły jednak są tu zastąpione wzniosłemi wieżami, a postacią swoją zupełnie dorównywa cerkwiom w Matkowie (pow. stryjski) i Mochnatej (pow. turczański); Mokłowski¹⁾ w swoim sprawozdaniu z r. 1904. zaznacza, że istnieją jeszcze takie cerkwie w Wysocku niżnem i Komornikach: dodać więc należy, że także same znajdują się w Orawczyku i Roztikach plawańskich (którą następnie opiszę). Cerkiew w Orawczyku odznacza się tem, że posiada przed babińcem przedsionek równocześnie z całą budowlą powstały (patrz ryc. 4.). Z tego przed-

¹⁾ Patrz: Sprawozdanie z wycieczki dla badania sztuki ludowej K. Mokłowskiego z r. 1904.

sionka dopiero jest wejście do wnętrza cerkwi, która swoim wnętrzem niczem się od innych nie różni. Dzwonnica ma w górze trzy półokrągłe otwory, a podcienie jej wsparte jest na ryśiach o bardzo ładnym profilu.

Cerkiew w Roztikach plawańskich ma również przedsionek. Dachy przekształcone na bardzo wysokie i bardzo ciekawe wieże, o których wyżej wspomniałem. Cerkiew zbudowana w części dolnej z bierwion dębowych, ku górze świerkowych, okrycie gontowe, na szczytach gliniane pazdury z krzyżami. Spoczywa zrębem swoim na trzech kondygnacjach otoczków i kamienia łamanego. Dzwonnica o założeniu kwadratowym w drugiej części przechodzi w bęben ośmioboczny, kryty kopułą, o bardzo nieznacznej krzywiznie.

Cerkiew w Hołowiecku. Wznosi się na górze, wśród wsi, u stóp jej rzeka. Ma typowe założenie, którego boczne ramiona krzyża do jednej trzeciej streszczono. Nad środkowym kwadratem wznosi się kopuła blachą kryta. Zrąb dębowy. Soboty otaczają całą cerkiew wraz z dobudowaną, po stronie bocznej prezbiterium, zakrystią. Dzwonnica o konstrukcji węglowej jest cała z materiału jodłowego, z dwoma otworami w części górnej. Całość nakryta dachem o podstawie kwadratu.

Lwów, w lutym 1911.





FRANCISZEK GAWĘZEK.

Palma, jajko i śmigus w praktykach wielkanocnych ludu polskiego.

Wśród licznych przesądów i zwyczajów ludowych napotykaemy wiele takich, które bardziej zwracają na siebie uwagę już to swą oryginalnością, już też sposobem, w jaki się je praktykuje i okolicznościami, jakie im towarzyszą.

Do takich więc interesujących zaliczam zwyczaje wielkanocne. Czas od środy popielcowej, albo jeszcze wcześniej, bo od niedzieli zapustnej aż do Wielkanocy, jest bardzo zajmujący ze względu na zwyczaje, jakie się spostrzega wśród ludu. Już chodzenie w „ostatki“ z Zapustem, kozą, Turoniem, kurkiem, Konikiem, Niedźwiedziem, przebieranie się za żydów, cyganów i t. p.¹⁾ jest bardzo ciekawym zwyczajem i stanowiłoby wdzięczny temat do opracowania. Zbadać genezę tych zwyczajów i ich związek z życiem duchowym ludu, to byłaby praca wcale pożyteczna.

Różne istnieją poglądy na pochodzenie zabobonów, przesądów, zwyczajów i podań ludu. Jedni²⁾ uważają je za zupełnie

¹⁾ Zob. Z. Gloger. Rok polski w życiu, tradycji i pieśni, Warszawa 1908.

²⁾ Zob. R. W. Berwiński. Studya o literaturze ludowej ze stanowiska historycznej i naukowej krytyki. Poznań 1854, 2 tomy. T. I., XIX. + 207, II. 226.

nowe, napływowe u nas, które wniosło dopiero chrześcijaństwo, drudzy¹⁾ dopatrują się w nich szczątków naszej pierwotnej wiary, obrzędów pogańskich, inni wreszcie²⁾ chcąc pogodzić te dwa sprzeczne z sobą poglądy utrzymują, że dawne, pierwotne wierzenia Słowian złąły się z nowymi, obcymi przesadami, które przyszły do nas wraz z chrześcijaństwem i z tego przez asymilację wytworzyły się nowe pojęcia.

R. W. Berwiński dowodził, że wyobrażenia ludu, jego przesady i wiara w upiory, przechodziły doń razem z chrześcijaństwem tysiąciami drogami, że te wymarzone skarby są tylko napływem obcych żywiołów różnych czasów, co wykazywał na przesadach, gusłach i czarach; o uroczystościach ludu i obrzędach, o tym ceremoniale, wyrosłym z pojęć religijnych ludu, z jego dogmatyki, nie mówi autor, jakkolwiek z wielu napomknień i z całego toku rozumowania nie trudno pojąć, że i te, wedle zdania autora, przywędrowały do nas od obcych. Wobec takich twierdzeń, dwa tylko pozostają ostateczne wnioski: 1-mo albo należy przypuścić, że był kiedyś czas, gdy umysł Słowian był tabula rasa, na której potem narysowały się dopiero i rozgościły potwory pogaństwa rzymskiego przywleczone wraz z chrześcijaństwem, albo też 2-do przypuścić trzeba, że przed przyjściem owej wiary w czary, lud miał inne wyobrażenia, które odrzucił jako przestarzałe, a przyjąć nowe. Zdaje się, że

¹⁾ Dr. I. Hanusz: Die Wissenschaft des slavischen Mythos etc. Wien 1842, 8-vo, s. XX. + 432;

Jan Karłowicz: Psychologia zabobonu. Tydzień. (Lwów) XI. 114;

Szymon Matusiak: Olimp polski. Lwów 1908;

Wł. Niedźwiecki: Ślady i znaczenie mytu o szklanej górze w podaniach Słowian a szczególnie Polaków. Niwa XII., 580, 660, 730, 818;

Kustosz: Przeżytki pogaństwa w obrzędach i zwyczajach ludu polskiego. Bies. liter. 1906, II. 510;

W. A. Maciejowski: Zabytki pogaństwa w Polsce. Biblioteka Warszawska 1841, I. s. 1;

K. Szulc: O głównych wyobrażeniach i uroczystościach bałwochwalczych naszego ludu. Poznań 1857;

Świerzbński: Rok, bóstwo Słowian, jego kapłanki i obrzędy. Dwutygodnik naukowy t. II. s. 481, 500, i inni.

²⁾ Prof. Brückner Aleksander: Literatura religijna w Polsce średniowiecznej. I. Kazania i pieśni. Szkice literackie i obyczajowe. Warszawa 1902, s. 235.

już sam Berwiński nie był zbyt pewny swego stanowiska, jakie zajął wobec badanych przez siebie rzeczy, skoro na czele swego dzieła umieścił słowa Ausona: „*Alius alio plus invenire potest, nemo omnia*“.

Podobnie Prof. A. Brückner¹⁾ utrzymuje, że wszystkie polskie wierzenia i przesady są pochodzenia niepolskiego, że przybyły dopiero do Polski wraz z chrześcijaństwem, zapuściły tu korzenie i rozrosły się, znalazłszy glebę urodzajną, na której podobne pogańskie wierzenia od czasów najdawniejszych wybujały, te obce przesady i wierzenia wyrugowały, zmieniły zassymilowały sobie starsze, miejscowe, pogańskie, tak, że granicy między jednymi a drugimi oznaczyć niepodobna, że więc i o śladach jakiegoś pogaństwa w tych gusłach ściślej mówić nie wolno.

Mnie się zdaje, że niektóre przesady i zwyczaje ludowe bliżej rozpatrzone i zestawione z obcymi dałyby nam niejedną cenną wskazówkę, jak tego rodzaju rzeczy badać, i jakie z tych badań odnieść może nauka polska korzyści. Boć przecież niemożliwem się wydaje, aby Słowianie, jak to już wyżej wspomnieliśmy, nie mieli żadnego kultu religijnego, żadnych podań i tradycji, podczas gdy wszystkie inne, współczesne im ludy to wszystko posiadały, a jeżeli mieli, jakżeż by mogli nagle utracić to, co do niedawna było dla nich świętością. Zapewne, nowa wiara musiała wyprzeć starą, ale nim się to stało, dużo czasu upłynęło i z dawnego, żywego kultu, pozostało wspomnienie, zachowały się resztki w formie dziś t. zw. przesądów i zabobonów. Zresztą wiemy, że kościół, wprowadzając wiarę chrześcijańską, nie mógł zabraniać nowochrzczonym wykonywania dawnych, po przodkach odziedziczonych praktyk i obrzędów religijnych; kościół wiedział, że łatwiej odstąpiliby od nowych dogmatów religijnych, aniżeli od uciech i zabaw, jakie towarzyszyły ich uroczystościom. Stąd też, niektóre dawne praktyki uświęcał swą powagą, zwłaszcza zaś te, których cel pogański łatwo mógł być zamieniony na chrześcijański. Papież Grzegorz W. wysyłając w 591 r. misyonarzy dla opowiadania wiary Anglo-Sasom polecał im, by mieli wzgląd na zwyczaje mieszkańców, by nie niszczyli ich świątyń, ale je raczej na kościoły zamieniali, by nie wzbraniali obchodu uroczystości i składania

¹⁾ Opus. cit., s. 46.

ofiar w wotach, które się odbywały na cześć szatana, lecz by je zamieniali na uczty religijne dla chwały prawdziwego Boga¹⁾. Niema więc wątpliwości, że tym sposobem wiele dawnych praktyk pogańskich do dziś się przechowało, w zmienionej oczywiście szacie.

Rola palmy, w jakiej ją dzisiaj znajdujemy, została jej nadana później, w czasach chrześcijańskich, jednak nie wiele odbiegła od swego pierwotnego przeznaczenia. W palmie, jaką dzisiaj spotykamy wśród ludu, poświęcaną w kwietnią niedzielę, dopatrujemy się szczątków dawnego kultu drzew, a w ogólności roślin, poświęconych pewnym bóstwom.

Zanim powiemy o kulcie drzew u Słowian, musimy przypomnieć, jaką cześć oddawały drzewom inne narody w starożytności. Wszystkie niemal ludy południowe²⁾ przywiązywały do posiadania pięknych ogrodów największe szczęście tak dalece, że ich Teogonia naznaczała dla dusz błogosławionych po ogrodach wieczne mieszkania, w dowód czego posłużyć mogą pola Elizejskie, Raj ziemski, Ogrody Eden i Hesperyd a później niebo muzułmańskie. Nierychlej potem słynęły wiśzące ogrody Babilonu, jeden z siedmiu cudów świata, ogrody Lukullusa, Nerona, Dyoklecjana i t. d. Po wszystkie wieki i pokolenia, kwiat uchodził za wzór doskonałości, okras, przyjemności, a dar jego, jest hołdem wdzięczności i tkliwego przywiązania.

Starożytni Buddyści utrzymywali, że człowiek pochodzi z kwiatu lotosu, i stąd też przy modlitwie składali odpowiednio ręce.

Odwieczne i wyniosłe drzewa, ogromną swą postacią, użytkowaniem i starością, głębokie uczyniły wrażenie na ludziach (z rąk natury wychodzących): człowiek porównywał bowiem słabość swoją z ich wzrostem, krótkość życia swego z sędziwością tych olbrzymów, tuląc się przed spieką pod ich cienie, przenikał się wtedy poniewolnie ku nim wdzięcznością i uszanowaniem, a stąd powstały u Greków, Rzymian, Gallów, Germanów i Słowian gaje, równie jak cześć odrębnych drzew,

¹⁾ Niedźwiecki. Niwa 1881, I. 577.

²⁾ Zob. St. hr. Wodzicki: O wpływie oświaty ludów na ogrody a nawzajem o wpływie ogrodów na obyczaje i szczęście domowe. Rozprawa czytana na posiedzeniu Tow. Nauk. Krak. w dniu 15. czerwca 1817 r. Rocznik Tow. Przyj. Nauk. Kraków 1818 r., s. 68 i nast.

którą widzimy dotąd dla drzewa Baobab, wzdłuż brzegów Gwinei i Senegalu. A kiedy z czasem człowiek obserwując życie roślin, począł się zastanawiać nad ich początkami i spostrzegł pewne podobieństwo do życia ludzkiego, nie trudno mu już było w tych istotach dopatrzeć się przodków zaklętych za jakieś przewinienie w drzewo. Stąd szacunek jego jeszcze bardziej się wzmacniał.

Wedle świadectwa Cezara istniały w Gallii święte dąbrowy w których druidowie złotymi nożami podczas uroczystości ucinali jemiolę. Druidowie nie mieli nic świętszego nad jemiolę i drzewo, na którym ona rośnie, a żaden obrządek bez listowia dębu obejść się nie mógł. Jemiolę rosnącą na dębie uważają za dar nieba, sądząc, że Bóg ją dla tego wybrał ¹⁾. Pismo święte, ile razy mówi o cedrze libańskim, z niejakim uszanowaniem o nim wspomina. Wiadomo z Pliniusza, ile przemożni Rzymianie dla rozłożystych platanów mieli względów, kiedy je zamiast wodą, mlekiem i miodem polewali.

Kiedy Kserkses wyprawiając się przeciw Grekom, natrafił w pochodzie na jedno z tych drzew olbrzymich, tak się w niem był zakochał, że nie tylko na jego gałęziach zawiesił swoje i żon swoich drogie kosztowności, ale nie bacząc na sławę całości wojska i cel wyprawy, dni siedm z nieprzeliczonym gminem przy ulubionym platanie obozował i zaledwie szemrania zgłodniałego ludu, zdołały go oderwać od tego drzewa. Wprzód jednak na złotym medalu wizerunek jego wybić kazał i tenże potem całe życie na szyi nosił.

Przesądni Rzymianie wierzyli, iż pomiędzy rośliną a człowiekiem istnieć może tajemniczy związek; historycy opisują, że, kiedy który z cesarzów miał umrzeć, schło drzewo laurowe, które obrzędowo zasadzał na Kapitolu. Drzewa sadzono często na pamiątkę osób zmarłych, albo też jakiego wydarzenia i wtedy nabierały one osobliwszego znaczenia, jak laur na grobie Wergiliusza, wierzba oceniająca grób Napoleona I. na wyście św. Heleny i t. d. ²⁾

¹⁾ Zob. Studium Prof. J. Rostafińskiego p. t. Jemiola. Wiśła II. 85.

²⁾ Mannhardt W.: Baumkultus und Märchen aus Westfalen. Leipzig 1859; Seemann B.: Hannoversche Sitten und Gebräuche in ihrer Beziehung zur Pflanzenwelt. Leipzig 1862; Reimann F.: Deutsche Volksfeste. Leipzig 1880.

Według Eddy, Odyn stworzył pierwszych ludzi z jesionu i olchy, drzew północy. Prawo salickie stanowiło, że jeśli kto wyrzeknie się dziedzictwa ojców, musi złamać sobie nad głową cztery gałązki olchy, tego drzewa uświęconego tradycją, oświadczając przed zgromadzeniem ludu, iż nic już nie ma wspólnego pomiędzy nim a jego rodem.

W Indyach, skąd wyszedł kult drzew, jeszcze dzisiaj, w dniu pierwszym maja, w Wizapur, sadzą ceremonialnie drzewo na cześć Maji, matki bogów. Uroczystość podobną spotykamy pod różnymi formami i nazwą u wszystkich narodów indo-europejskich, a w wielu miejscowościach zwyczaj ten zachował się do czasów obecnych ¹⁾.

Słowianom również znana była cześć drzew a kult roślin wogóle był szeroko rozpowszechniony. Hanusz w cytowanym dziele ²⁾ powiada: Bei keinem Volke findet sich so sehr die Sitte ausgebreitet, mit Blumen sich zu schmücken, Kränze zu binden u. s. w., wie bei den Slaven. Blumen und Kränze spielen auf den meisten religiösen Versammlungen, die dazu tauglich waren, die bedeutendste Rolle (Kollar: Sláv. Boh. p. 167).

Jak szeroko rozpowszechniona była cześć drzew u Czechów jeszcze w VIII. w., dowiadujemy się z dzieła Dra Zíbrta, pt. Seznam pověr a zvyklostí pohanských z VIII. věku. W rozdziale szóstym: „De sacris silvarum, quae nimidas vocant“ czytamy, iż pewien ksiądz skarżył się w Rzymie, że lud czci lipę jako bóstwo i przypisuje jej moc czynienia cudów, uzdrawiania chorych i t. p. Czesi długo trzymali się uporczywie kultu drzew i lasów. Jeszcze Kosmas Praski pisze, że ks. Brzetysław II. kazał rąbać i palić lasy i gaje święte. W XII. wieku przeciwko tej czci powstaje „Homiliarz Opatowicki“.

Miasto Szczecin, główna siedziba bożka Trzygłowa, posiadało dąb święty, ogromny, rozłożysty, z obfitym cieniem i źródłem z pod niego wytryskującym. Symbolem Trzygłowa. podobnie jak Jowisza i Zeusa, jak Perkuna litewskiego i Jorki pruskiego, jest z pomiędzy drzew dąb, najtrwalsze i najpotężniej-

¹⁾ Zob. Wisła VIII., 174 i nast. gdzie W. Marrené-Morzkowska, omawia Archivio per lo studio delle tradizioni popolari. Palermo t. X—XII, 1891—1893.

²⁾ Die Wissenschaft des slav. Mythus, s. 309.

sze w tym klimacie drzewo ¹⁾. U nas wiele było takich dębów przed nawróceniem Mieczysława na wiarę chrześcijańską, a w kilkaset lat potem pokazywano jeszcze w Warmii pod miasteczkiem Heiligenbeul dąb ogromny, do którego pruskie i litewskie pogaństwo wędrowało ²⁾. Dąb wyobrażał bożka Trzygłowa ³⁾.

Cześć, jaką oddawano roślinom, przechowała się po dziś dzień, a znalazła swój wyraz w licznych pieśniach i obrzędach, zwłaszcza weselnych. Lud nie tylko otaczał i otacza wciąż pewne rośliny, ale wprost opiewa losy niektórych kwiatów, jak kaliny, ruty i t. p. ⁴⁾ Bez roślin nie można się było nigdy obejść: używano ich dla osiągnięcia pomyślnego lub niepomyślnego skutku. Berwiński wylicza 50 przeszło roślin, używanych do albo przeciw czarom a wiek XVI. zna kilka zielników czarodziejskich. Podczas sobótek, głównych uroczystości letnich, posługiwano się zawsze bylicą (*Artemisia vulgaris*, L.) ⁵⁾

Powiedzieliśmy, że Słowianie znali kult drzew. Zachodzi teraz pytanie, czy ten kult już na zawsze przepadł, czy też, podobnie jak rozmaitych ziół, przetrwał do dzisiaj. Tak, przetrwał, a odnaleźć go nie trudno wśród ludu. Wyrazem tej czci jest palma, poświęcana w niedzielę, nazwana Palmową, Wierzbą, Kwietną, lub wreszcie Różdżkową. ⁶⁾

Palmie przypisuje lud szerokie znaczenie lecznicze i czarodziejskie. Spożywanie pączków gałązki wierzbowej, praktykowane jeszcze po dziś dzień wśród ludu, w celu zabezpieczenia się przed bólem gardła, znane było już w XIV. wieku, o czym

¹⁾ Sz. Matusiak, op. cit.

²⁾ Wodzicki, op. cit.

³⁾ Niedźwiecki, op. cit.

⁴⁾ Gruszecki Artur.: O znaczeniu świata roślinnego w poda-
niach i poezji. Biblioteka Warszawska 1877, t. III. s. 426 i IV. s. 392.

⁵⁾ Wspomina o tem Rej w Postylli, list 201 a, Czarownica
powołana s. 22. (wyd. w Gdańsku 1714), Berwiński w op. cit. II.
83 i inni. Zob. Fr. Gawełek. Przesady, zabobony, środki lecznicze
i wiara ludu w Radłowie, s. 8', gdzie zestawiono wierzenia ludu z róż-
nych stron, odnoszące się do roślin. (Mat. antrop. arch. i etnograf.
Akad. Umiej. t. XI.)

⁶⁾ Janota E.: Lud, etc. Przewodn. nauk. i literacki. Lwów 1878,
s. 362 i nast.

wspominają kaznodzieje ¹⁾, a Mikołaj Rej w Postylli, wydanej w roku 1556 w Krakowie, w kazaniu na niedzielę 17 po św. Trójcy, w liście 201 A. wyraźnie mówi: „W Kwietną niedzielę, kto bagniątka nie połknął a dębowego Kristusa do miasta nie doprowadził, to już dusznego zbawienia nie otrzymał“.

Jak silnie tkwi wiara w moc leczniczą pączków palmy wśród ludu, wystarczy przytoczyć takie przykłady, jak zwyczaj dawania ich bydłu wraz z ziemniakami, aby je zabezpieczyć przed chorobą. W okolicy Osieczan, biegają z palmą do stajni i chlewa i mieszają nią w żłobach, aby zaraźliwej choroby w nich nie było, krowy nią omiatają, koniom nozdrza obcierają, aby żadnej choroby nie powąchały, poczem kładą ją na jabłoni, aby uschła i chowają za krokiew. ²⁾

Prócz leczniczych, posiada palma i własności czarodziejskie. Uderzenie palmą bydła przy wypędzaniu go pierwszy raz w pole, ma być pomocnem przeciw szkodliwości czarów, a krowom ma przysporzyć mleka. Praktykuje się to zarówno wśród ludu polskiego, jak i rosyjskiego i czeskiego. Ten sam zwyczaj aczkolwiek w innej porze, spotykamy wśród Niemców. ³⁾ Wieczorem w wigilię św. Marcina przebiera się pasterz, i chodząc od domu do domu, obdarza każdego wieśniaka t. zw. różdżką św. Marcina, posiadającą własności lecznicze. Różdżkę tę wija z gałązek brzoźowych lub palmowych z kocankami, bardzo starannie przyozdobionych wstążkami. Przy wręczaniu pasterz życzy, by trzody, role i łąki były płodne i urodzajne w następnym roku. Te gałązki kładą wieśniacy poza drabinę

¹⁾ Prof. Brückner. Op. cit., s. 52.

²⁾ Ks. Jucewicz w pracy p. t. Litwa pod względem starożytnych zabytków, obyczajów i zwyczajów, Wilno 1846, s. 381, opisuje nam bardzo ciekawy sposób leczenia u Litwinów na febrę. Na karcie papieru wypisuje się historię choroby, imię i nazwisko osoby chorej, poczem udaje się z tą kartą nad brzeg rzeki. Tu trzymając w lewej ręce trzy latorośle wierzbowe, a w prawej wspomnianą kartkę, odczytuje się historię choroby. Przyszedszy do słów: „miał paroksyzmów“. karbuja ich liczbę na tegorocznem kolanku latorośli. To się powtarza trzy razy i ucięte kolanka tegoroczne rzucają do wody, a przeszłoroczne, wróciwszy do domu, palą“.

³⁾ Zob. Bronisław Gustawicz: O zwyczajach świętomarcińskich, Lud XVI. s. 3. i nast.

żłobu, na dachu, lub też wieszają nad drzwiami stajni, gdyż chronią bydło przed czarami i złemi przygodami.

Starodawni Germani uważali te różdżki za ucieleśnienie w drzewie żyjącej duszy, będącej bóstwem wzrostu, urodzajności i płodności.

U nas w XV. w. pasterz czynił to samo na Nowy rok. Prety przez niego rozdawane były święte i nie godziło się ich brać gołą ręką, lecz „kosmato“. ¹⁾

Palma zatknięta za obrazy i sufity domów i chlewów, ma je chronić przed burzami i pożarem. Czesi dla zabezpieczenia się przed piorunami trzymają na dachach netresk (sempervivum i hromove koreni) a w polach wtykają święcone gałązki wierzby, by uchronić zasiewy od gradu. Wierzą, że taka wierzba rzucona pod wiatr odpędza burze, rzucona zaś w płomień, zmniejsza ich żarłoczność. Spotykamy jeszcze i dziś gałązki zatykane na końcach łąnów, jako mające bronić plony przed gradem. Podobny zwyczaj istniał wśród ludu i w XIV. wieku, przeciw czemu występowali ostro kaznodzieje.

Czesi wierzą, że przy pomocy poświęconej wierzby i trzech precików białego orzecha można odnaleźć zakłute skarby, jak u nas to samo osiągnie się przy pomocy kwiatu paproci.

Na zakończenie tego, cośmy o drzewach powiedzieli, pozwolę sobie przytoczyć średniowieczną legendę, tłumaczącą nam, dlaczego pewne drzewa pewną barwę przybrały.

Gdy po śmierci Chrystusa cała natura pogrążona była w smutku, s o s n a wyrzekła: „On umarł, więc na znak żałoby przybiorę ciemny kolor i szukać będę miejsc odludnych. Winorośl w Sorrento szepnęła: „Z żalu zczernieją moje jagody a z prasy, w której wyciskać je będą, spłynie „Lachryma Christi“.

Wierzba babilońska posłyszawszy straszną wieść z Golgoty, westchnęła: „On umarł, teraz smutne moje gałęzie zwieszać się będą zawsze ku wodom Eufratu i płakać łzami jutrzeńki“.

Cedr Karmelu jęknął: „On umarł, odtąd ocieniać będę tylko groby, i ani dzikie gołębie, ani piegże nie będą stały gniazd na moich gałęziach“.

¹⁾ Prof. Brückner, op. cit. s. 48.

Cis się odezwał: „On umarł, teraz będę rósł tylko na cmentarzach, pszczoła pod karą śmierci nie dotknie się moich zatrutych kwiatów, ptaki w mych gałęziach śpiewać nie będą, a wyziewy moje zarażą febrą nieroztropnych, którzyby pod moim cieniem szukali spoczynku“.

Kwiat fryzu rzekł: „On umarł, więc na zawsze pokryję fioletem swój złoty kielich, i nosić będę wieczną żałobę“.

Jedynie tylko dumna topola pozostała niewzruszoną: „Cóż mnie to obchodzi? — wyrzekła — On zmarł z powodu grzeszników, a ja jestem niewinna, zostanę taką, jaką byłam“.

I za ten brak czucia, liście topoli skazane są na ciągłe drżenie. (Polskie podania ludowe podają inny powód drżenia liści topoli, a mianowicie: gdy żadne drzewo nie chciało użyzyć Judaszowi swych gałęzi na jego zbrodniczy zamiar, wówczas topola ofiarowała mu swe konary i od tej pory, za karę, drży przed Panem Bogiem).

Poetyczna ta legenda świadczy o silnie wkorzenionych w szczep aryjski panteistycznych poczuciach, pokrewieństwie między człowiekiem a rośliną w poezji Indusów, która tu znalazła swój wyraz, gdy cała natura opłakiwała śmierć Boga-Człowieka i wdziewała po nim żałobę“.

* * *

Drugim zwyczajem wielkanocnym o podkładzie pogańskim, jest zwyczaj święcenia i spożywania jaj wielkanocnych.

Już od najdawniejszych czasów ¹⁾ jajko odgrywało bardzo ważną rolę w życiu ludzkim. Mity indyjskie wyprowadzają początek świata z jednego olbrzymiego jaja. „Die indische Mythe vom Weltei und die persische vom Weltstier sind im Oriente so miteinander verschmolzen, dass sich im späteren Parsien auch der Mythos vorfindet, in welchem der Welt-Stier das Welt-Ei mit seinem Horne sprengt, woraus die einzelnen Weltwesen hervorgehen“ ²⁾.

¹⁾ Zob. Witold Klinger: Jajko w zabobonie ludowym u nas i w starożytności. Kraków 1908, s. 30, (Odbitka z tomu XLV. Rozpraw. Wyd. filolog. Akademii Umiejętności w Krakowie).

²⁾ Hanusz, op. cit., s. 197 i nast.

Podanie ukraińskie opowiada, że dawnymi czasy, gdy ziemia była jeszcze pusta, zesłał Bóg na ziemie koguta, aby ją ożywił. Kogut zniósł jajko, z którego wypłynęło siedm rzek, te zrosiły doliny i wkrótce wszystko pokryło się zielonością, ożywiło kwiatami, napełniło owocami.

Stosowanie jajka, jako środka oczyszczającego, znane było w medycynie starożytnej (o czem znajdujemy wyraźne wzmianki u Ovidiusa *Ars amandi* II. 329—30; *Juven.* IV. 517—518, V. 84—85; *Martialis* VII. 54; *Lucian*, *Dial. mort.* I. 1; *Clemens Aleks.* *Strom.* VII., 4, 26; *Apul. Met.* VI. i t. d.). Owidysz radzi młodzieńcowi, aby w razie choroby swej ukochanej, udał się po radę do znachorki:

Et veniat quae lustret anus lectumque locumque

Praeferat et tremula sulphur et ova manu.

(Niech przyjdzie babka, by dom i łoże oczyścić i w drżącej dłoni niech niesie przed sobą siarkę i jaja).

Podobnie Juwenal i inni radzą używać jajka w różnych wypadkach choroby. Bardzo często ciało chorego obwodzono dokoła jajkiem, poczem wynoszono je na rozstajne drogi i wyrzucano w tem przekonaniu, że tym sposobem odrzuca się również chorobę od danej osoby. Jest to po prostu najtańsza i najprostsza forma metody kuracyjnej t. zw. „transplantatio morbi s. mali“

Według *Klemensa Aleksandryjskiego*, jaja użyte do podobnej operacyi traciły zdolność dalszego rozwoju¹⁾. Jajko bowiem, jako dające początek nowemu życiu, samo z natury rzeczy uważane było za samoistną, żywą w stanie chwilowego uśpienia pozostającą istotę, symbol siły tworzącej i niszczącej, dnia i nocy, żywota i śmierci, tego przebytego życia, które zgasło i tego nowego, które się ma zacząć,²⁾ i jako takie, mogło uchodzić za dostateczną przynętę dla demona, czy ducha, od którego człowieka lub bydłę uwolnić należało.³⁾ Zwyczaj wynoszenia jaj oczyszczających na rozstajne drogi, dał z czasem powód do uważania ich jako ofiary na cześć Hekaty.

¹⁾ Zob. *Wiśła* XIX. 485 i n.

²⁾ *Borzywojowicz*: *Dawne zwyczaje Wielkanocne*. Wiedza i praca 1905, s. 49.

³⁾ *Klinger*, op. cit.

Jako siła przeciwdziałająca złym duchom, jajko używane było w kulcie umarłych jako t. zw. „coena novemdialis“, t. j. uczta dziewiątego dnia zamykająca okres żałoby. Jajko wkładane nieboszczykowi do grobu (o czym później), miało go oczyścić ze wszystkich nieprawości: wiara ta do tego stopnia była rozszerzona, iż utrzymywano, jakoby nieboszczyk, któremu tego nie uczyniono, zjawiał się po śmierci, żądając od przyjacielu ofiary.

Skoro już raz przyjęła się wiara w moc przeciwdziałającą złemu duchowi, poczęto jajka używać nawet tam, gdzie ono było zupełnie zbyteczne, np. przy zakładaniu nowego domu (z tem łączy się wiara w potrzebę ofiary przy wszelkim początku, jako to: zakładaniu miast, wznoszeniu ogromnych budowli i t. p. Por. Schreiber, Twórcy bogów, podanie o zabójstwie brata przy budowaniu wieży Maryackiej i t. d.) Żydzi, według świadectwa „Tozefty“ z III. w. po Chrystusie, wkładali jaja lub ich skorupy w ściany domów, co miało je bronić przed złymi duchami. Wróżenia za pomocą jaj rozwinęły się szeroko w Indyach, Indochinach i Indomezyi.

Jak u starożytnych, jaja mają wielkie znaczenie i u Słowian w obrzędach pogrzebowych. U południowych Słowian rodzina zmarłego udaje się na mogiłę i pozdrawia go słowami: „Chrystus zmartwychwstał“, poczem stacza z mogiły jajko i zakopuje je tam, gdzie się samo zatrzyma (Klinger, str. 9).

W Chorwacyi dotąd utrzymuje się zwyczaj kładzenia na świeże jeszcze mogiły jaja, jabłka i chleba dla zmarłych. W Małorosyi, każdemu, kto umiera w W. Tydzień, dają do rąk jajko malowane na czerwono, a w Święta Wielkanocne odprawiają po cmentarzach nabożeństwo żałobne za dusze zmarłych. W Brusturach w W. Czwartek, dzieci ubogich rodziców otrzymują od zamożniejszych jako jałmużnę za dusze zmarłych, perepiczki lub pisanki.¹⁾

Zwyczaj wkładania jaj do trumny, jako środka oczyszczającego, praktykowany bywa jeszcze i w czasach dzisiejszych. W „Ludzie“ z r. 1909, na s. 356 czytamy notatkę Dra Wł. Kosińskiego, z której się dowiadujemy, że w Maniowie, wiosce ruskiej nad granicą węgierską matka włożyła dziecku do

¹⁾ Dr. Fr. Krč ek. Pisanki W Galicyi. Lud IV., s. 186 i nast.

trumny jajko. Na zapytanie sędziego, w jakim celu je tam włożyła, odpowiedział wójt: „żeby się dziecina miała czem bawić“. W „Czasie“ z r. 1861, nr. 51 czytamy, że umarłemu włożono do trumny oprócz różnego gatunku ziarna, jak żyto, jęczmień, owies, tataraka, proso, konicz i rozsada, także miód i jaj o, kawałek słoniny i kiełbasy i nakryto książką do modlenia.

Jak dawniej ten zwyczaj wkładania jaj do trumny, był szeroko rozpowszechniony, przekonują nas o tem wykopaliska.

W kijowskiem muzeum, wśród przedmiotów pochodzących z mogilnika słowiańskiego przedchrześcijańskiej doby, wykopanego przez W. Chwojkę i S. Mazarakiego, w pobliżu wsi Browarek, powiatu Hadziackiego (gub. Połtawska), oglądać można malowane kurze jajo. Również bardzo starą, bo z IV. w. po Chrystusie pochodzącą pisaną znalezione w trumnie kamiennej w Herrnsheimie pod Wormacją, obok zwłok dziewczęcia i monet, wskazujących na czas około 320 po Chrystusie.¹⁾ W Monumenta Poloniae historica, w t. IV. na s. 601, czytamy, że gdy syn Alberta, sędziego z Pruśnic do ósmego roku nie mógł chodzić, matka jego Beatrix zaniósła go do grobu św. Jadwigi i modliła się do świętej o wyzdrowienie dziecka, stał się istotnie cud: „Puer se subito elevans appodiavit sepulcro stansque erectus accipit ovum ibidem coram se positum et gaudens circumibat sepulcrum. Domina vero Petronila, tunc custos sepulcri, alium pictum ovum accipiens proiciensque ante puerum, inpulit illum a sepulcro, pro quo similiter accipiendo puerulus iit et ad matrem suam gradiens rediit“.

Zwyczaj urządzania w Wielki Tydzień ofiar oczyszczających na grobach zmarłych, zwłaszcza u południowych Słowian, naprowadza nas na stwierdzenie faktu, że Słowianie istotnie w porze wiosennej obchodzili święto umarłych, podobnie jak w Grecyi i dawnej Italii. Tak w Italii w miesiącu lutym, tym, według objaśnienia starożytnych, miesiącu „oczyszczeń“ (Ovidius Fasti II. 19), obchodzono święto Feraliów albo Parentaliów, poświęcone czci i łagodzeniu gniewu zmarłych przodków, którzy w tym czasie mieli opuszczać mogiły i snuć się po świecie. Po-

¹⁾ Por. notatkę w Internat. Archiv für Ethnographie t. IX. 1897, s. 213. Wiadomość tę powtarzam za Drem Krčekiem.

dobnie było w Grecyi starożytnej. Na Rusi, według świadectwa „Stogłowu“ w W. Czwartek lud wywoływał duchy ¹⁾.

Kaznodzieje polscy XIV. i XV. wieku stale napominają wiernych, by już raz zaprzestali tych praktyk pogańskich karmienia dusz w Wielki czwartek ²⁾. „W W. czwartek nie umywają po wieczerzy mis — powiada kaznodzieja — a niektórzy zostawiają umyślnie na nich resztki potraw — karmią się niemi w nocy dusze umarłych, lub demon, zwany uboże, którego chowają po domach dla szczęścia i mienia“. W innym miejscu nie ogranicza kaznodzieja tego zwyczaju do wieczerzy wielkoczwartkowej, a twierdzi ogółem, że się we czwartek zostawia ostatki wieczerzy dla demonów, zwanych ubožami. Obie wersje — powiada prof. Brückner — mają słuszość: dusze zmarłych częstowano rzadziej, raz lub kilka razy, n. p. na wiosnę i jesień, lecz uboże, t. j. plonka (skrzata lub latawca) przebywającego stale przy domu, należało co dzień lub co tydzień uraczać.

Obyczaj zostawiania resztek czwartkowej wieczerzy dla „uboża“ był w Polsce ogólny; czytamy więc w „Postępku prawa czartowskiego“ z r. 1570: „gdy się (chłopce) stanie, jako wierzy, mówi czartu ku czci modlitwy, miece swoje włosy (jest to rzeczywiście zabytek pogaństwa) na ogień, ofiary czyniąc, we czwartek po wieczerzy zostawia potraw i zjada to w nocy nie wiem kto“. W „Sejmie piekielnym“ (wyd. 1622) opowiada nocny Lelek: „We czwartków dzień po wieczerzy broję troje dziwy. Ludzi straszę... Przeto warzy ubogiemu we czwartki nie dają, tak z naczyniem niepomytem to dla nas chowają“. W „Czarownicy powołanej“ również z tym samym zwyczajem się spotykamy. Ciekawe przykłady tegoż zwyczaju mamy u Czechów. Znany jezuita i patriota czeski, Balbin ³⁾ (Miscellanea historica 1681) opowiada o sobie, jak rolę Daniela wobec kapłanów Bela naśladował: „Memini me puerum, cum ancillae nostrae post coenam diei Jovis nescio quid tale relinquissent laribus (przedtem mówił o cavere ne in pervilegio diei Veneris mensa vacua relinquatur, lares scilicet illis relinquis pasci), farinam tota mensa sparsisse ac mane felis domestica vestigia et pedum vaginulas demon-

¹⁾ Klinger ibidem.

²⁾ Prof. Brückner ibidem, pag. 49.

³⁾ Patrz Prof. Brückner. Op. cit. s. 49.

strasse, hic illis lar fuit". Ks. Wacław Klugar opowiada w *Katechizmie* (r. 1745) „kterák u son, seda mých rodičův u večer čtvrtěční a sobotní na misách nechávali... dcera (jeho) pravila: táto, jste li pak vy hospodářem nebo jinšihó hospodářička máme? Já to sním a nic nenechám. Taky jest to strávila, nádoby umyla a spat se položila za pec". Michał z Janowca (kaznodzieja XV w.) używa następującego, ważnego przy czynku. W Wielką Środę, mówi on dosłownie, trzeba parafian upominać, by nie palili stosów, t. zw. gromadek, wedle obrządku pogańskiego, na pamiątkę dusz sobie miłych (Prof. Brückner). Według O. Kolberga¹⁾ na Pokuciu przez cały W. Tydzień płoną ognie na polach, co zapewne ma chronić mieszkańców przed powracającymi duszami. Zwyczaj ten, jak mi opowiadano, istniał do niedawna. Dopiero w ostatnich czasach, z powodu nadużyć, jakie się często działy, został zniesiony.

U nas, w Krakowie, jeszcze po dziś dzień istnieje zwyczaj obchodzenia święta umarłych, we wtorek po Wielkanocy. Jest to t. zw. Rękawka²⁾. Nie będę się tu zastanawiał nad samą nazwą tej uroczystości. Chodzi mi o sam fakt istnienia zwyczaju i jego znaczenie. Nawiasem wspomnę tylko, że Łepkowski nazwę tę usprawiedliwia okolicznością, iż tam ręce łapiących główną odgrywają rolę. Podobnie prof. Rostafiński.

Jaja gotowane — mówi Łepkowski — główną tu odgrywają rolę. Rzucane z kopca wskazują, że to obrzęd pogrzebowy, pamiątka śmierci założyciela grodu. To Dziady nagrobne, tryzna słowiańska, ukraińska i litewska chautura, stypa pogrzebowa, panichida ruska. Istnieje nawet tenże sam obyczaj (i pod też samą porę) na Białorusi, u Serbów, Słowian nadelbiańskich i Rosyan, zwany tam Radownicą, Radunicą, Raditelskoj i Raduńcem. Jajecznicza i jaja przy tych uroczystościach na mogiłach, a tłuczenie jaj i tarzanie ich po kurhanach jest w obrzędach owych koniecznością nieodzowną. Zadzuszki takie, jak jak to już wspomnieliśmy wyżej, przypadają wszędzie u wymienionych ludów na wiosnę, około czasu Wielkanocy³⁾.

¹⁾ O. Kolberg: *Pokucie*, t. I. s. 149 i nast.

²⁾ Józef Łepkowski: *Przegląd krakowskich tradycji*. Czas z r. 1886, nr. 31, s. 2; Prof. J. Rostafiński: *Historia trzech kopców krakowskich*. *Przegląd polski* z r. 1910, t. IV. s. 32 i nast.

³⁾ Łepkowski, loc. cit.

Prastara praktyka z jajami od Słowian zapewne przeszła do Gruzinów Kaukazu, gdzie również spotykamy praktyki religijne na grobach umarłych. Podobnie Żydzi Polski, Litwy i Kaukazu po pogrzebie krewnych zwykli spożywać jaja, przyniesione przez kogoś z postronnych, nie tyle na znak smutku, ile raczej jako symbol zmartwychwstania po śmierci. Nie mniej ważną rolę odgrywa jajko w obrzędach weselnych różnych ludów, jak n. p. Malajczyków, gdzie każdy z gości weselnych otrzymuje bukiet kwiatów sztucznych strojny we wstęgi i jajka czerwone. U Rusinów w pierwszym dziesiątku XIX. w.¹⁾ jajkami ubierano korowaj, poczem zjadało je młode małżeństwo. W Radomskim narzeczona przesyła narzeczonemu po Wielkanocy pisane kraszanki, śmigusem zwane. Jako symbol oczyszczający i chroniący przed złą mocą spotykamy jajko u cyganów siedmiogrodzkich, gdzie mąż, chcąc ustrzedz żonę od niepłodności, przebija otwór z obu stron jajka i wdmuchuje zawartość jej w usta, w Rosyi, gdzie wszyscy, którzy w jakikolwiek sposób zatrudnieni byli przy narodzinach, muszą się oczyścić wodą, do której wrzucają chmiel, jajo i owies. Zawieszanie skorup jaj u sufitu spotykane dość często w chatach ludu polskiego ma je zapewne ochronić przed mocą nieczystą. Jajko posiada jeszcze i inną własność, a mianowicie ma pomagać człowiekowi do osiągnięcia bogactwa. Kto chce posiadać inkluz (t. j. pieniądz, który raz wydany zawsze wraca do właściciela) ma jajo od czarnej kury włożyć za krokiew, a włożywszy, nie myć się przez dziewięć dni i przez tyleż dni nie odmawiać pacierza. W dziewiątym dniu zrodzi się inkluz²⁾.

Wspomnieliśmy już poprzednio, iż jajku przypisywano moc oczyszczającą, która to moc w czasach chrześcijańskich wzmacnia się jeszcze przez kościelne poświęcenie. Dawne święto wiosenne ku czci zmarłych zostało przeniesione na chrześcijańską Paschę i zlało się z nią niejako w jedną całość. Oficjalnem zaś świętem umarłych jest dziś, jak wiadomo, dzień zaduszy.

Wiara w zjawienie się duchów w porze wiosennej nie znikła jeszcze, owszem napotyka się ją bardzo często. W Wielki

¹⁾ Swactwa, wesela i urodziny u ludu ruskiego. Nowy Pamiętnik warszawski 1805, t. XVIII., s. 368 i nast.

²⁾ Fr. Gawełek. Czarownik w Rzachowej. Mat. antrop. arch. i etnograf., t. X. s. 48.

piątek odbywają nieczyste duchy schadzki i wspólne zabawy, zbierając się zwykle na Łysej górze¹⁾ a wiara ta tak jest silnie zakorzenioną, że trudno nawet spotkać wieśniaka lub wieśniaczkę, któraby coś nie słyszała o Łysej górze i nie wiedziała o życiu i uctach czarownic. W Gruzji W. Czwartek uważany bywa za dzień czarownic, w okolicach Niemiec — pierwszy maja jako t. zw. Walpurgisnacht²⁾.

Wiedźma i dyabeł, powiada p. Klinger, moce piekielne, są chronologicznie późniejszą zamianą krwiożerczych i złośliwych umarłych, chwilowo wyrrywających się na wolność i korzystających z niej gorączkowo. Przyjawszy to twierdzenie, łatwo zrozumieemy znaczenie jajka wielkanocnego. Posiada ono siłę oczyszczającą i broni żywych przed powracającymi w tym czasie złymi duchami na ziemię. Jajko miało być niby metaforą błyskawicy i słońca, a zatem odżywczych sił przyrody i jako takie nazywane było błyszczącym, złotem lub czerwonym. Litewska zagadka tak określa jajko: „rozbiłem lód (skorupę), znalazłem srebro (białko), rozbiłem srebro, znalazłem złoto (żółtko)³⁾.

Pozostaje nam jeszcze powiedzieć o jajku jako pisance.

¹⁾ Por. Kolberg: Lud VII. 95; Wiśła IV. 869; Kolberg III. 103 i przypisy do ser. VII. cz. III., s. 349; Federowski: Lud Białoruski t. I. s. 81.; Gołębiowski: Lud polski, jego zwyczaje, zabobony, s. 159. Warszawa 1830: Zbiór wiad. do antropolog. kraj. VI., Dział III., s. 202, 237, 276, 298; Wiśła III. 755, 757, 860, VIII. 757. X. 124, XII. 188, XIV. 251, XV. 501, XVII. 326, 437; Berwiński: Studya o gusłach, czarach, zabobonach i przesądach ludowych, t. II. s. 13. Wrocław 1840; Świętek: Lud nadrański. Kraków 1893; Fr. Gawełek: Przesady w Radłowie, s. 52. Mat. antrop. Kraków 1910, t. XI.

²⁾ Pamięć o nocy czarownic zachowuje się wśród ludu niemieckiego, osobiście zaś w tych stronach, gdzie niegdyś żyły słowiańskie plemiona, z czasem uciemiężone i starte. Długi czas jeszcze po narzuceniu tym pogańskim ludom chrześcijaństwa kapłani dawnej wiary starali się zachować jej zwyczaje i święta. Jednym z świąt takich był dzień pierwszy maja. Ażeby obchodowi jego przeszkodzić, otaczano gaje święte i uroczyska chrześcijańskimi strażami. Zgromadzeni poganie dla odpłoszenia ich, przebierali się w dziwotworne postacie i wpadali na nie z wrzaskiem, ogniem i łoskotem. Chrześcianie, nawykli widzieć we wszystkich obchodach sprawę szatańską, uciekali, biorąc to za zjawisko piekielnych duchów, poczem lud swobodnie odbywał swoje obrzędy. R. Zmorskiego przyp. do utworu p. t. „Pierwsza noc czarownic“. Poezye — Lipsk 1866 s. 200.

³⁾ Wł. Niedźwiecki: Święcone. Niwa 1881, t. XIX. str. 578 i nast.

Że pisanki są bardzo stare, o tem nie wąpimy. Znajdujemy je na grobowcach starożytnych, w wykopaliskach i t. d.¹⁾

Jajo malowane²⁾ w połowie czarno, w bachicznych i orficznych misteryach znamionuje już to dzień i noc, już to śmierć i życie, już terażniejszość i przyszłość. Jest ono tam symbolem tellurycznego organizmu, jakby oznaczeniem siły tworzącej i niszczącej zarazem. Spotykamy się z niemi w pitagorejskich naukach. Mamy je w indyjskiej kosmogonii, w mitach egipskich, u Fenicyan, Chaldejczyków, Persów. Na rzeźbach grobów rzymskich i greckich, jako najpowszechniejszy symbol śmierci się powtarza. Mnóstwo przykładów przytoczyćby można wykazujących, iż już w najodleglejszych czasach używano pisanek jako godła przebytego życia i tego nowego, co się ze śmiercią zaczęło. Mity, rzeźby, malowania, a nawet jaja wypalone z gliny, znajduwane w grobach rzymskich, greckich i słowiańskich, mogłyby posłużyć tutaj za wymowny dowód tego twierdzenia³⁾.

Skorupy jaj farbowanych mają także swe znaczenie. W Krakowskiem, we wsi Wola Filipowska, wyrzucają je za chałupę i do ogródka w tem mniemaniu, że w pierwszym razie urośnie z tego macierzanka a w drugim bukszpan. W Galicyi wschodniej Rusini wrzucają je do wody dla Rachmanina i święcą potem dzień dwudziesty, który się nazywa Rachmański Wełykdeń. Dwudziestego bowiem dnia skorupy dopłyną do krainy Rachmanów, a wówczas i tam jest święto⁴⁾.

I w Polsce od najdawniejszych czasów znano pisanki. W przypiskach do Kroniki W. Kadłubka, w kodeksie Eugeniańskim teje kroniki, wydanym przez A. Przezdzieckiego, na s. 194, znajdujemy wyraźną wzmiankę o pisanekach. Mistrz Wincenty wyrzucając Polakom ich niestałość, po-

¹⁾ Materyał do pisanek, zob. Dr. Krček. Pisanki w Galicyi (zestawienie materyału zebranego wr. 1897, staraniem Tow. Ludoznawczego). Lud IV; 186; Nikosiewicz Kajetan: W sprawie pisanek. Lud IV. 326; Młynek L.: Pisanki wielkanocne w zachodniej Galicyi. Lud VII 176—180. Tenże: Do pisanek w zachodniej Galicyi. Lud IX. 168.

²⁾ Zob. Łepkowski op. cit.

³⁾ Zob. Bachofen: Gräbersymbolik der Alten; Mannhardt. Germanische Mythen; Nark, Friedreich, Hanusz, Grohmann i t. d.

⁴⁾ Ulanowska Stefania: Pisanki, czyli kraszanki wielkanocne. Tygodnik Ilustrowany 1884, ser. IV. tom VIII., s. 253—254.

wiada, że się bawią ze swymi panami (królami), jak z malowanymi jajkami. Co do pochodzenia pisanek, lud przypisuje im bardzo dawne pochodzenie. W siedleckim lud wierzy, że pisanki powstały z kamieni, którymi zadano śmierć św. Szczepanowi¹⁾. Nakoniec musimy jeszcze wspomnieć o sposobie przyrządzania dziś pisanek. Pisanki nazywają się rozmaicie. Ufarbowane na jeden kolor, czy to przez gotowanie, czy przez moczenie w pewnym barwiku, noszą nazwę *malowanek*, *kraszane* lub *byczków*. Jeżeli na tem jednostajnem tle wykskrobany jest deseń, to jajko nazywa się *skrobanką* lub *rysowan ką*. Wreszcie, jeżeli jajko zdobi różnokolorowy deseń, przez pokrycie woskiem pewnych jego części a następnie gotowanie w barwnikach, to zowią je *pisanką* a sposób malowania — *pisaniem*. Poznawszy w ten sposób rodzaje i odmiany pisanek przypatrzmy się sposobowi ich przyrządzania, czyli jak się im nadaje pewne barwy.

Barwniki (mówi Gl. s. 171.) otrzymuje lud zwykle z roślin. Na kolor żółty gotują jaja w łupinach cebuli, w odwarze z kory dzikiej jabłoni, lub w pączkach kwiatu knieci błotnej (*caltha palustris*); na brunatny w brazylii, lub moczą w wodzie stojącej w wydrążeniu pnia dębowego; na fioletowy w listkach kwiatu ciemnej malwy (*Altea rosea*); na zielony — w kotkach osiki z ałunem, w listkach jemioly lub żyta młodego; na pomarańczowy — w krokusie (*Carthamus tinctorius*); na czarny — w korze z olchy i młodych liści klonu czarnego (*Acer tabaricum*); na czerwony — w odwarze z robaczków „czerwcem“ zwanych.

Pisanki sporządzane bywają najczęściej przez kobiety, rzadziej przez mężczyzn... Pisanie polega na nakładaniu wosku na jaje przy pomocy szpilki, igły ze złamanem uchem lub, lub patyczka rozłupanego na końcu, gdzie osadzona jest cieniutka rurka blaszana, cienki pieniążek lub koniec sznurowadła. Deseenie, jakie spotykamy, bywają zazwyczaj wykonywane dowolnie, „z własnej głowy“ a nie z jakichkolwiek wzorów. Z form pojedynczych, prostych, wyrodził się powoli ornament złożony,

¹⁾ Inne tłumaczenia ludu, zob. Kozłowski K.: Lud Mazowsza Czerskiego; *Roczn. Tow. Nauk. Krak. t. XLI. s. 224*; *Zbiór wiad. do antropol. kraj. t. I., s. 73, II. 9, III. 125, XVII. 294*; Kolberg: *Chełmskie I. 139*; Tenże: *Lubelskie I. 118*; *A Pleszczyński: Bojarzy międzyrzeccy; Wiśła IV. 819*.

tchnący bogactwem formy. Z rozkrojonego jabłka na połówki powstał deseń „w jabłuszka“, dzwonek polny dał „dzwoneczki“, sosna „sosenki“ i t. d. (O rozwoju sztuki ludowej i powstaniu zdobnictwa, zob. K. Mokłowski: Sztuka ludowa w Polsce. Lwów. 1903).

* * *

Trzecim, również bardzo dawnym, bo do czasów przedchrześcijańskich odnieść się dającym zwyczajem, jest zwyczaj oblewania się wodą w drugi dzień Wielkanocy, zwany pospolicie śmigusem albo dyngusem. Pomijając kwestyę filologiczną co do samego wyrazu śmigus i dyngus, czy jest on pochodzenia niemieckiego, jak chcą niektórzy ¹⁾, czy jakiego innego, konstatuje w tym zwyczaju fakt użycia samej wody, w czym dopatruję się przeżytku dawnego kultu tegoż żywiołu. Prof. Brückner uważa śmigus, jak inne tego rodzaju praktyki ludowe za pozostałość po kolonistach niemieckich ²⁾; może jednak raczej należy je uważać za jeden z pozostałości, ale nie niemieckich, lecz dawnych, pogańskich. A nawet, żebyśmy przyjęli, że przyszły one do nas z Niemiec, to przecież i w Niemczech nie były nowe, ale utrzymały się tam z dawnych czasów. Zwyczaj bowiem oblewania się wodą jest znany u różnych ludów a jeżeli w różnych krajach zachował się jako zabytek kultu wody, to dla czegóżby się nie miał zachować u nas. Znajac konserwatyzm naszego ludu, nie trudno nam stwierdzić, że wiele w dzisiejszych przesądach jest pogańskiego, że lud nie tak łatwo pozbywa się starych nawyków i zmienia swe przekonania. Ze źródeł XV. wieku — słowa prof. Brücknera — da się stwierdzić, jak dalece lud i na polu wierzeń jest konserwatywny, jak mało zmieniają się, nawet w przeciągu pięciu wieków, pojęcia i zwyczaje w pewnym stadiu rozwoju, jak próżne są na koniec usiłowania Kościoła walczącego od wieków a na darmo z gusłami ³⁾. A więc jasno

¹⁾ Karłowicz: Dyngus = Ding, Dingnus, dingnis, dingen = wykupywać się.

²⁾ Prof. A Brückner: Dzieje literatury polskiej w zarysie. T. I. s. 60. (Warszawa 1902). Tenże: Literatura religijna w Polsce średniowiecznej, t. I. s. 53.

³⁾ Literatura religijna, t. I. s. 45. n. p. od podpalenia, rabunku i t. p. Śmigus = Schmackostern, Schmeckostern, Schmagostern, Schmagustern = uderzać różgą brzożową.

tu mamy stwierdzony konserwatyzm ludu; przyjąwszy teraz, że Słowianom znany był kult wody, co stwierdzają wszyscy historycy kultury, trudno przypuścić, by się ten kult nie przechował do XIV. wieku, to jest do czasów kolonistów, a następnie, by nie dotrwał aż do naszych czasów. Wszak już kaznodzieje wieku XV. grożą klątwą tym, którzy się bawią igrzyskami „zwyczajem pogańskim, co się zwie dyngus“¹⁾. W rękopisie zaś do powyższych słów dodano na boku „a przecież mistrz w Racionale pozwala to, gdyż dyngusy nie są bez mistycznego znaczenia“. Zatem, gdyby dyngus u nas był czemś nowem, zaszczepionem dopiero przez Niemców w wieku XIV., to napewno kaznodzieja wieku XV. nie nazywałby go zwyczajem pogańskim i nie występowałby przeciw niemu, jak występował przeciw wielu innym przesądom (superstitiones), ale powiedziałaby wprost: „zaprzestańcie tej obcej dla nas zabawki, porzućcie ją“. Notatka, „dyngusy nie są bez mistycznego znaczenia“, upewnia nas w naszym twierdzeniu, że śmigus, dyngus, jest zabytkiem kultu wody, że dzięki wzajemnemu oblewaniu, uczestnicy zyskują duchowe oczyszczenie się, odradzają się.

Ponieważ często zdarzały się wypadki zatonięcia, więc też stale zakazywano urządzania śmigusa; zakazywał go Michał z Janowca, statuty biskupa poznańskiego, Andrzeja Łaskarza (zm. 1426 r.): „Dingus prohibetur“. W części pierwszej t. V. „Starodawnych prawa polskiego pomników“ (Kraków 1878) ogłoszono uchwały synodu dyecezyi Poznańskiej, odbytego, jak się zdaje w r. 1420; w uchwałach tych znajdują się postanowienia przeciw niektórym zwyczajom zabobonnym, praktykowanym naówczas w dyecezyi. Czytamy tam między innymi: „Dingus prohibetur“ w art. XXXIV.: „Zabraniajcie, aby w drugiej i trzecie święto wielkanocne mężczyźni kobiet a kobiety mężczyzn nie ważyli się napastować o jaja i inne podarunki, co pospolicie się nazywa dyngować, ani do wody ciągnąć“...²⁾

Z dalszych dziesiątków tegoż wieku posiadamy dość obfite wiadomości o oblewaniu wielkanocnem u nas.

Przypatrzmy się teraz, jak się inni pisarze zapatrują na śmigus, a następnie, jakie woda ma zastosowanie w ceremoniach ludu. — Hanusz spowinowaca obyczaj owego oblewania

¹⁾ Op. cit. s. 53.

²⁾ Jan Karłowicz: Dyngus i Śmigus. Wisła V., s. 278 i nast.

wodą w Wielkanoc ze skandynawską czcią Thora i z słowiańskim bóstwem wiosny Pogodą, wykazując istnienie takiegoż zwyczaju z tą samą myślą w Indyach i Persyi. Kazimierz Szulc (w rozprawie o ludowych bałwochwalczych uroczystościach) odnosi śmigusy do czci trackiej Atesa, bóstwa słońca i bogini ziemi Kybeli. Grajner (Studia nad podaniami) widzi początek zwyczaju w pogańskim święcie Nii, czyli Niwy, żony Peklenca, witającej na wiosnę ziemię w towarzystwie pachółka swego Dyngusa. Marcinkowski zastanawia się nad tożsamością śmigusa u nas i nad Gangesem, gdzie należy do obrzędów świąt wiośnianych, które tam Huli nazywają. Karłowicz wreszcie pisząc o śmigusie nie wypowiada swego zdania co do jego pochodzenia, mimo, że mu przyznaje bardzo stare pochodzenie¹⁾.

Najśnadniejszą drogą w badaniach takich — mówi Lepkowski — jest zgodzenie się z Marcinkowskim na pewnik, iż cywilizacja pogańska ludów słowiańskich miała równie, jak cywilizacja innych ludów starożytnych, jedną tradycję nauki ezoterycznej, przechowaną w micie religijnym społecznym. Mity religijny zaginął częściowo a odnaleźć go można w różnych praktykach obyczajowych ludu, przestrzeganych nieraz jakby relikwie świętej przeszłości.

Słowianom znany był zarówno kult ognia, jak i kult wody. „So wie die Verehrung des Feuers als eines Lebenden bei den späteren Slaven bis in die slavischen Kosmogonien zu reichen scheint: so ist das Wasser das zweite Element, das mit dem Feuer als das weltbindende Prinzip im indischslavischen Mythos auftritt“²⁾.

Słowianie czcili wody i w fantazyi swej zapełniali je rusalkami, wiłami i t. p.; dziękując za jakieś otrzymane dobrodzieństwo wrzucali do wody srebrne monety (Krok. II. p. 501; Karamsin), co było również zwyczajem i w Indyach. Kosmas i Nestor wspominają o darach, jakie składano wodom

¹⁾ O znaczeniu wody u Czechów pisał Grohman, u Rosyan — Sniegirew (Moskowskia Wiedomosti z roku 1838, nr. 19, s. 258). w Słowańszczyźnie — Hanusz, u nas — Lelewel, Wójcicki, Gołębiowski, Jecewicz i inni. Wszyscy traktują głównie o zwyczaju topienia śmierci na wiosnę.

²⁾ Hanusz, op. cit. p. 291.

w ogólności. (Schlözer II., 99). Hanusz, w cytowanej pracy, na s. 295 powiada: Die Vergötterung und Heilighaltung des Wassers bei den Slaven findet sich ebenfalls bei ihren Stammverwandten, den Lithauern und Preussen, ja der Wasserkultus derselben wirkt, wie in den meisten Fällen, auf den slavischen das meiste Licht“. O czci wody u Litwinów pisze Narbutt i do niego też odsyłam po szczegóły ¹⁾).

Oblewanie się wodą znane było w Indyach, (zob. Wien. Jahrb. der Lit. 1818, III. p. 153), znane u Persów i innych, o czem Hanusz. U Czechów zwało się Oblevačka.

Dr. Zibrť ²⁾ pisze o czci wody u Czechów: Zakazy składania ofiary, robienia wróżb, powtarzają się w uchwałach synodów, a jednak kult wody był tak głęboko zakorzeniony, że przeżytki jego do dziś dnia istnieją w zabobonach ludowych. Ciekawy obrządek opisuje Burchar d z Wormacyi z wieku XII. W czasie suszy dziewczęta oprowadzają małą dziewczynkę nagą. Napotkawszy roślinę, zwaną blekot (belisa) wrywa ją małym paluszkiem prawej ręki, przywiązuje sobie do małego palca prawej nogi i tak wlecze ją do rzeki. W rzece roślinę topią, a dziewczęta gałązkami, które trzymają w rękach, pokrapiają nagą towarzyszką, a potem odprowadzają do wsi, prowadząc nawspak raczym śladem. Taki sposób ściągania potrzebnego deszczu do dziś dnia istnieje. Na dowód przytacza Zibrť zwyczaj ludowy w Tyrolu wzajemnego polewania się wodą przez dziewczęta i chłopców, dalej perperę nowogrecką, peperugę bułgarską, dodolę serbską, topolę wielkoruską, oraz obrzędy z Lazarem na Kaukazie.

Wracając do kultu wody u nas, o którym wspomnieliśmy już na samym początku, że istniał u nas w XIV. wieku, przypatrzmy się dzisiejszym praktykom ludowym. Woda uchodzi zawsze za symbol oczyszczający, stąd też nawet ogień, który jest samą czystością, zbrukany przez zetknięcie się ze światem, musi się oczyszczać w wodzie: gdy woda wre, to on

¹⁾ Narbutt: Dzieje narodu litewskiego, 1835, t. I. s. 175.

²⁾ Dr. Cz. Zibrť: Šeznam pověr a zvyklostí pohanských z VIII. věku. (Indiculus superstitionum et paganismorum). Jéko význam pro všeobecnou kulturní historii i pro studiám kulturních přežitku v nynějším lidovém podání se z vlastním zřetelem k české lidovědě objasňuje... Praga 1894, s. 176. (Rozprawy akad. czeskiej. Roczn. III. nr. 2).

właśnie kąpiąc się w niej, wywraca takie koziołki. Ogień wymieciony z pieca piekarskiego należy przeżegnać i postawić przy nim garnek z czystą wodą, bo się w niej będzie ogieniaszek czyścił¹⁾. Uroki można odpędzić od chorego tylko przy pomocy wody, do której należy wrzucić 9 węgli i uważać, czy węgle syczą i czy poszły na dół, lub pływają po powierzchni. Wodą tą należy natrzeć pulsa, czoło i piersi, a następnie wypić pewną dozę²⁾. Wodą polewa się każde nowokupione bydło, by je zabezpieczyć przed chorobami i „złym wzrokiem“, wodą obmywa się oczy przy pierwszym zobaczeniu jaskółki na wiosnę, aby były zdrowe, wodą, według wiary ludu ma związek z światem zaziemskim a wrzucone doń skorupy jaj dopłyną do krainy Rachmanów i zwiastują umarłym święto zmartwychwstania, w wodzie obmywa się dusza po wyjściu z ciała i stąd to w sąsiedniej chacie, gdzie leży umarły, nie pijają wody z rana³⁾.

A czymże jest zwyczaj puszczania wianków na wodę, jeśli nie uwydatnieniem tej wiary w moc wody, która jako mająca styczność z krainą duchów, ma wywróżyć dziewczynie jej przyszłość. Dziewica puszczając swój wieniec na wodę, składa w nim niejako swój los, składa w nim nadzieję, w przekonaniu, że się nie zawiedzie, że życzenia jej zostaną odgadnięte. Wiadomo, że człowiek pierwotny, żyjący na łonie natury, tylko z tą naturą miał do czynienia. On w niej widział wszystko i ona mu też wszystkiego użyczała, a czując swą od niej zależność, był wobec niej zobowiązany. Węć też ubóstwiał siły przyrody i starał się zawsze tak postępować, by niczem i nigdy nie obrazić Bóstwa. Stąd to wstępując razem z przyrodą w nowy okres życia, w nową porę roku, człowiek widział jej odnawianie się, widział

¹⁾ Matusiak, op. cit. s. 26.

²⁾ Zob. Wiśła IX. 14, X. 14; Świętek 639; Gustawicz Mat. antrop. t. V. s. 117; Mat. antrop. VII. 16; Gołębiowski. Lud, s. 122; Gawełek. Przesady, s. 101

³⁾ O zwyczajach Kałmuków Dońskich i wierze w obmywanie się dusz, zob. Pamiętnik Warszawski z r. 1818, t. XII., s. 314 i nast: O Kałmukach Dońskich, ich religii, zwyczajach i t. d. Paul Sartori w pracy p. t.: Das Wasser in Totengebrauche (Zeitschrift des Vereins für Volkskunde, 18 Jahrgang, r. 1908, zeszyt IV.) wykazuje, jak szeroko rozpowszechnioną jest wiara u różnych ludów w cudowną moc oczyszczającą wody, która tak zmarłego, jak pozostałych przy życiu może uchronić od złego.

oczyszczanie z brudów zimy i sam starał się podobnie odnowić, oczyścić na duszy i ciele, by podobnie jak ta jego opiekunka, rozpocząć życie nowe.

Cześć dla wody do tego stopnia jeszcze dziś się zachowała, że lud uważa wprost za grzech wrzucać do wody coś nieczystego. Woda nie tylko na ludzi, ale i na martwą przyrodę, jak drzewa, może wywierać swą moc zbawienną. W Tomicach, w pow. Poznańskim, jeżeli drzewo owocowe przestało rodzić, trzeba pójść na Resurekcję, i nie oglądając się, w milczeniu przynieść wody święconej, pokropić drzewo, zapukać trzy razy do pnia i powiedzieć: „Wstawaj! Przyszedł czas, że musisz nosić owoce”. Od tego czasu drzewo będzie miało owoce¹⁾.

Nie tylko u nas, ale i u innych Słowian kult ten jeszcze żyje. Wedle Bogdanowicza²⁾, lud na Białej Rusi dotąd czci religijnie „jeziera, kładziezi i istocznicy“, a woda źródłana „żywa“ uznaje się za ważny środek lekarski.

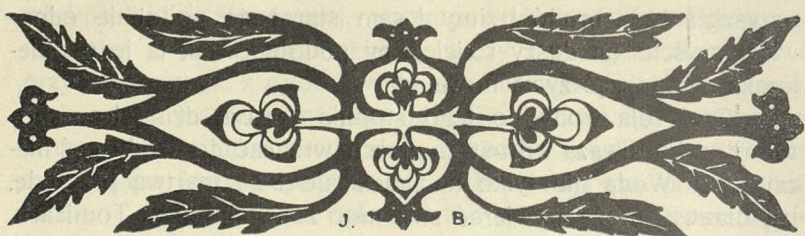
Reasumując to wszystko, cośmy dotychczas powiedzieli o wodzie, przychodzimy do wniosku: wiara w oczyszczającą moc wody, datująca się od najdawniejszych czasów, doszła do nas w różnych formach, a między innymi i w śmigusie. Woda oczyszcza żywych, jak ogień czyści dusze umarłych, a jako mająca styczność z krainą pozaziemską, wróży niekiedy człowiekowi jego przyszłość.

Oto, co w krótkości dało się wysnuć z naszych wierzeń i zwyczajów ludowych, odnoszących się głównie do Wielkanocy. Przechowują się te zwyczaje odwieczne, chociaż oddawna myśl ich zwietrzała. Jedność wewnętrznego życia człowieka z przyrodą, ta sympatya ze wszystkim, co go otacza, zawiązała się jeszcze na Wschodzie, na łonie tej olbrzymiej kreacji, gdzie człowiek wydaje się porównaniu z nią, niby ów robaczek kołysany w kielichu mitycznego lotosu.

Kraków, 1911.

¹⁾ Knoop Otto: Podania i opowiadania z W. Ks. Poznańskiego. Z niem. streściła Z. A. Kowerska. Wiśła IX., s. 501, nr. 88.

²⁾ O oblewaniu się wodą na Awie, jako obrzędzie religijnym, oczyszczającym, zob. Czas z roku 1851, nr. 94, gdzie podano notatkę z podróży majora Symes'a opisującą ten obrzęd.



STEFAN SZULC.

Przeżytki w baśniach.

I.

Cechą zmienną ustnej twórczości ludowej jest to, że żyje ona, t. j. przekształca się tak, że utwór dzisiejszy nie będzie podobny do tegoż utworu z przed paru pokoleń. Wprawdzie opowiadacz czy pieśniarz ludowy unika starannie wszelkich zmian, lecz najusilniejsza chęć i najlepsza nawet pamięć ustąpić muszą wobec takiego wroga, jakim jest ciągła zmiana wzorów i poglądów codziennych. Pod tym wpływem zacierają się zwolna w utworze dawne rysy, przedewszystkiem obyczajowe, i baśń odzwierciedla w znacznej mierze dzisiejszy stan rzeczy.

Dotyczy to mianowicie akcesoryów przypadkowych bajki: dłuższa nieobecność syna w domu bywa wyjaśniana służbą wojskową; ktoś, komu wzbroniono przebywać na szklanej górze dłużej nad określony przeciąg czasu, po przybyciu na miejsce wyjmie zegarek i podług zegarka odmierzy ten czas ¹⁾; księżniczka wśród innych ujmujących zalet będzie posiadała umiejętność gry na fortepianie; właściciel gospody zamelduje policji przybycie wędrowca, który pozostaje u niego przez czas dłuż-

¹⁾ Kolberg, Lud. Serya XIV. str. 5. (Poznańskie).

szy ¹⁾ i t. d. — Oczywiście podobne zmiany będą zachodziły i w innych bardziej istotnych rzeczach ²⁾.

Ale wśród tej zmienności istnieje jakiś rdzeń, opierający się działaniu czasu, a zawierający rysy nieraz bardzo ciekawe, bardzo pierwotne. Niekiedy bywa zachowany pierwiastkowy związek pomiędzy faktami, pierwotny sposób wyjaśniania zjawisk. A nawet często niekonieczne jest zachowanie owego pierwotnego związku i sposobu wyjaśniania, by można było stwierdzić jakiś rys dawny; drobny szczegół, niezrozumiały dla opowiadacza, a więc przeznaczony, zmodernizowany, nieraz pozwoli wysnuć ciekawe wnioski, o ile skądinąd zdołamy zebrać dostateczną ilość materiału porównawczego.

Naprzykład: w baśni wędrowiec w lesie rozpala ogień, używając jako podpałki kart, wydartych z książki; gdzieindziej ktoś w niezwykłej sytuacji czyta książkę dla uprzyjemnienia sobie czasu. Zdawałoby się, że to rysy na wskroś współczesne, gdyby nie to, że książka występuje bez logicznego związku z całością niewiadomo skąd i póco. Czem jest wogóle książka w bajce i w wierzeniu? Odgrywa ona rolę zaklęcia: zaklęcie ustne, t. j. pewne słowa, wymówione w odpowiednich warunkach „magiczną“ drogą sprawiają pewien określony skutek; „książka“, zawierająca zbiór tych zaklęć, oddziaływa podobnie, tylko silniej jeszcze. Stąd nazwa „czarnoksiężnik“ lub po prostu „księżnik“; stąd, kto książkę odczytać potrafi, zdobywa moc czarodziejską; stąd, gdy chodzi np. o przepędzenie nocy w zamku, napastowanym przez duchy, obok koła, zakreślonego święconą kredą, i wody święconej równie ważną rolę odgrywa odczytywanie księgi („świętej“ — wpływ chrześcijański, ale zewnętrzny

¹⁾ l. c. str. 54 (Poznańskie!)

²⁾ W ostatecznym rezultacie rozwój nowoczesny prowadzi do zupełnego zaniku baśni jako gatunku twórczości, nieodpowiadającego nowym warunkom, nowym potrzebom, do zastąpienia jej wreszcie przez literaturę drukowaną. W Niemczech baśnie, spisane z początku XIX. wieku przez Grimmów, zniknęły potem zupełnie jako żywa twórczość, a obecnie wracają znowu do ludu okólną drogą przez szkołę ludową. U nas baśń do dziś dnia żyje wśród ludu, a baśnie spisane w ostatnich czasach naszą wprawdzie niekiedy znamiona rozkładu, lecz wciąż jeszcze badania przynoszą nowe, czasem niespodziane szczegóły, i słusznie mógł Karłowicz zacytować w podobnym związku słowa „Większa (daleko większa!) pieśni mej połowa w głębi duszy mej się chowa“ (W i s ł a t. V. str. 447) — większa nie tylko ilościowo, ale może i jakościowo.

tylko); córka królewska w baśni jedzie na okręcie z kimś, kto chce jej gwałt zadać; czyta wtedy na książce, „a tam stało w tej książce, żeby się okręt z nimi zatopił“; naraz też okręt się rozpadł, i wszyscy z wyjątkiem królowny utonęli ¹⁾. — Czy książka, występująca we wspomnianych baśniach, nie była pierwotnie taką księgą magiczną? ²⁾ Należałoby skrupulatnie przeszukać wątki pokrewne, a wtedy z ich zestawienia okazałoby się mogło, że w tych baśniach zniekształconych, niezrozumiałych w obecnej postaci, zachowały się jednak szczegóły dawne, dawniejsze — zdarzyłoby się mogło, — aniżeli w innych, pełniejszych wersjach. Tylko warunkiem koniecznym jest, abyśmy posiadali wzrok dostatecznie wyostrzony, by szczegóły z pozoru obojętne wzbudziły w nas podejrzenie i zachęciły do poszukiwań; zaś wyostreza w ten sposób wzrok, obok dokładnej znajomości wierzeń pierwotnych wogóle, jedynie znajomość innych, pokrewnych, a mniej zdefektowanych wersji. Wtedy błaha wskazówka zdoła zwrócić naszą uwagę na możliwe pierwotniejsze ukształtowanie.

Z tych czy z innych powodów wszędzie i zawsze niemal baśń jest zbiorem wielu wątków; jest co do formy „nowelą“, posiada fabułę, z którą połączone są różne niezależne pierwiastki powtarzające się w oddzielnych baśniach w różnych połączeniach. Badając przeszłość, nie na tę nowelistyczną formę zwrócimy uwagę przedewszystkiem: czy powikłanie wątków będzie większe czy mniejsze, zawsze zacząć trzeba będzie od tego, żeby je wyosobnić, rozłożyć daną baśń na czynniki proste i potem badać każdy z nich oddzielnie. Przykład to najlepiej wyjaśni. Przytoczę w tym celu schemat rozbioru znanej bajki z Grimmów „Märchen von einem der auszog, das Fürchten zu lernen“, podany przez Gomme'a ³⁾. Treści bajki, ogólnie znanej, nie przytaczam. Mamy w niej kilka pierwiastków właściwie niezależnych, z których każdy mógłby wystąpić oddzielnie, albo w innej bajce w innym zupełnie związku. Otóż te różne pierwiastki Gomme dzieli z jednej strony A) z punktu widzenia fabuły danej bajki na wątki 1) główne, 2) dodatkowe, 3) świeże;

¹⁾ Ciszewski, Krakowiacy t. I. str. 120.

²⁾ Por. Kolberg serya XVI. str. 87: w zaklętym zamku królewicz modli się na książce, potem wymawia słowa zaklęcia.

³⁾ „Folk-Lore“ t. II.; cytuję według „Wisły“ t. V. str. 692.

z drugiej B) ze względu na charakter samych wątków na 1) żywyoty pierwotne, których początek tkwi w bycie czy filozofii człowieka pierwotnego 2) żywyoty fantastyczne — wytwory fantazyi, bez takiej podstawy realnej jak pierwsze 3) rysy uświetniające 4) rysy moralne. Otrzymamy tym sposobem tablicę następującą:

		Wątki główne	Dodatkowe	Świeże
1	Żywyoty pierwotne	Wysłużenie sobie żony. Dziedziczenie tronu przez żonę: spokrewnienie się przez kobietę. Skarb strzeżony przez duchy	—	—
2	Żywyoty fantastyczne	—	Przygody w zamku zaklętym	—
3	Rysy uświetniające	—	—	Dwór królewski
4	Rysy moralne	Odwaga	—	—

Pomijamy szczegóły tej tablicy — powrócimy jeszcze do niektórych, i okaże się wtedy np., że niektóre przynajmniej „przygody w zamku“ zamiast do fantastycznych wypadnie zaliczyć do dzikich żywyotów — okaże się to mianowicie po zestawieniu ich z pokrewnymi tematami w innych baśniach. Lecz w danej chwili nie o te szczegóły nam chodzi, a o zasadniczy tryb badania; ten zaś będzie następujący: rozbijamy baśń wziętą w całości na części składowe i te części klasyfikujemy według pewnych zasad; żeby tej klasyfikacyi dokonać, należy każdy wątek rozpatrzyć oddzielnie — starać się zrozumieć go, by módz zaliczyć do odpowiedniej grupy, a zrozumieć rzecz, to znaczy rozpatrzyć ją w związku z tym całokształtem faktów i pojęć, z jakim była powiązana pierwotnie, gdy się narodziła. Gdy coś w bajce nie będzie bezpośrednio jasnem — a i to, co zdaje się bezpośrednio zrozumiałe napozór, nieraz tylko dlatego jest jasne, żeśmy je źle pojęli — będziemy szukali przede wszystkim w innych baśniach szczegółów pokrewnych, może zrozumialszych; potem zaś zwrócimy się do faktów życia i wierzeń, które zdołają rzucić rozstrzygające światło na te sprawy.

Uderzającym jest na pierwszy rzut oka, jak często powtarzają się w bajkach zarówno takie same szczegóły, jak i całkowite fabuły, nie tylko u jednego ludu, ale i u różnych, nieraz odległych. Jakim sposobem? Nieraz bezpośrednio widoczną jest zależność literacka ¹⁾; często przypuścić musimy ustną tradycję od narodu do narodu, czasem niezależne powstanie identycznych wątków w różnych miejscach — stajemy oko w oko z ciekawą i ważną niewątpliwie kwestią wędrówki wątków baśniowych. Nie możemy wdawać się w szczegóły; lecz wystarczy dla nas ogólne twierdzenie, o czym świadczy powtarzanie się tych samych motywów.

Bez względu na to, czy mamy do czynienia z niezależnym powstaniem w różnych punktach, czy z zapożyczeniem, bez względu na sposób tego zapożyczania — zasadnicza idea utworu, t o n jego ogólny podlegać będzie nieustannym zmianom. W tym sensie powiada Iwan Franko ²⁾: „Jeden temat niezwykłej struktury, rozszerzając się z kraju do kraju, przechodząc od narodu do narodu... z zachowaniem swej struktury pierwotnej, służy najrozmaitszym celom, wyraża najrozmaitsze poglądy i tendencje w sferze twórczości duchowej... Współczesna folklorystyka, śledząc i badając zarówno powstanie i wędrówki owych międzynarodowych form.. jak i treść właściwą dorzuca ważne i ciekawe przyczynki z jednej strony do dziejów ogólnoludzkiej cywilizacji, z drugiej strony do tej nieistniejącej jeszcze, lecz rodzącej się już nauki psychologii mas ludowych“. Tych zagadnień nie rozpatrujemy, tutaj nie obchodzi nas wędrówka motywów. Ale winniśmy zarazem pamiętać, że zapożyczenie odbywa się wtedy, gdy warunki bytu i wierzenia ludu biorącego i dającego są wspólne: gdy więc wątek jakiś

¹⁾ W znanej powieści z „1001 nocy“ o Ali Babie i 40 rozbójnikach“ skała otwiera się na słowa „Sezanie, otwórz się!“ Bajka ta w kilku odmiankach zapisana została z ust ludu w połudn. części gub. Kieleckiej; niestety, sezam jest gatunkiem zboża u nas nieznanym, i oto mówi się „Salsemo“, „Zamie“, „Cezanno“ „Siersanno — otwórz się!“ — a zagadkowy wyraz w rozumieniu opowiadającego nabrał znaczenia ni to nazwy pewnego rodzaju skały, ni to imienia własnego tej skały. Najlepsze, że i tu nieszczęśnik, który zapomniał słów zaklęcia, na próżno wymienia, jak w oryginale, nazwy innych gatunków z b ó ż („Jęczmieniu i t. d. otwórz się!“). Tu zapożyczenie jest bardzo jasne. Por. Ciszewski l. c. str. 99. 101. 102.

²⁾ „Wisła“ t. VII. str. 867.

występuje nie sporadycznie, ale masowo i w związku, błahą będzie rzeczą, czy jest zapożyczony, czy też powstał samoistnie — w obu razach świadczyć będzie o istnieniu u ludu, gdzie się spotyka, w mniej czy więcej odległej przeszłości, określonego podłoża umysłowości — uderzająco zresztą podobnego na całym globie. To właśnie podłoże umysłowości i obyczajów pierwotnych będziemy starali się odsłonić — w „klechdzie“ t. j. baśni fantastycznej przedewszystkiem, nie dotykając już sprawy wędrówek.

II.

Zaczynamy od poszukiwania w baśni śladów obyczajów w dawno zaginionych nietylko w samym życiu, ale i w pamięci ludu. Uwzględnimy sprawę stosunków małżeńskich, gdzie znajdziemy dużo materiału, ile że miłość — małżeństwo występuje w każdej niemal baśni.

Przypomnieć należy, że dziś lud trzyma się całkowicie doktryny chrześcijańskiej: monogamii i nierozzerwalności związku małżeńskiego. Pytanie, o ile stosunki małżeńskie w baśniach są w zgodzie z tymi poglądami.

Są tam rzeczy, które stoją w sprzeczności z pojęciem nierozzerwalności związku. Łatwość, z jaką małżeństwo się zrywa, jest uderzająca: żona porzuca męża z powodu jego nieposłuszeństwa, wymienienia swego imienia¹⁾; panna zwątpiwszy o odnalezieniu ukochanego lub młodzieniec pod nieobecność ukochanej wchodzi w związek małżeński z inną osobą — ale zjawia się tamta pierwsza, niekiedy w chwili obchodu weselnego: oczywiście co dawniejsze to lepsze i ma pierwszeństwo; ale niekiedy ukochana odnajduje się dopiero po zawarciu związku — wtedy następuje zerwanie nieprawego małżeństwa, nieprawda choć ślubna żona czasem zostaje skazana na śmierć — okrucieństwo na pozór nie umotywowane, którego na razie nie umiemy wyjaśnić — wreszcie kończy się na ożenku z „prawdziwą“²⁾.

¹⁾ Por. L. Krzywicki „Nasze gadki“ „Prawda“ r. 1895, str. 518.

²⁾ Np. Kolberg I. c. serya III. str. 123.

Przytaczając schemat Gomme'a, mówiliśmy o wysługiwaniu żony: ten otrzyma rękę królewny, kto zdoła przenocować w zaklętym zamku. Motyw bardzo częsty. Niekiedy, jak tu, występuje w formie konkursu, turnieju: ten ją otrzyma, kto najlepiej dokona jakiejś niezwyklej sztuki, np. wjedzie na szklaną górę. Niekiedy wyraźniej: gdy młodzi chcą się ze sobą żenić, ojciec panny wyznacza przyszłemu zięciowi jakąś określoną pracę — a ponieważ to baśń — pracę zwykle tak trudną, że spełnienie jej jest niemożliwe bez użycia sposobów niezwyklej. Niewątpliwy to ślad znanych dawnych zwyczajów, gdzie aby otrzymać dziewczynę, należy wysłużyć ją u rodziców, przyczem honor konkurenta wymaga, aby ta służba była szczególnie wierna, aby wykazał szczególną zręczność, spełniał prace najtrudniejsze — zwyczaje znane chociażby z biblijnej opowieści o czternastoletniej (za 2 dziewczyny) służbie Jakuba u Labana, albo z pieśni polskiej: „Cztery lata wierniem służył, Takiem sobie wszystko wróżył, Że dostanę swą Kasinkę za żonę“. — Mamy tu zarazem przykład, jaką formę przybiera w baśni to, co stanowiło niegdyś codzienną instytucją życiową: staje się opowieścią o czymś niezwyklej, niezwiązanem z całokształtem stosunków, czemś „bajecznem“.

Owo wysługiwanie żony żyje i dziś przynajmniej w pieśni; znajdziemy jednak rzeczy bardziej jeszcze obce naszemu ludowi. W bardzo wielu baśniach mowa jest o wyprawie po żonę, o porwaniu dziewczyny bez jej wiedzy, albo częściej z jej wiedzą, ale wbrew woli rodziców; ci wtedy rozpoczynają pogon, którą udaremniają czarodziejskie sposoby, stosowane przez uciekających: z rzuconego poza siebie jajka wyrasta góra, ze szczotki las i t. p., albo oboje zamieniają się, dajmy na to, jedno w drogę, drugie w babę zamiatającą. Gdy odejmiemy żywioł fantastyczny, otrzymamy znowu wierny obraz porwania żony u pierwotnych. Ciekawsze wnioski wypłyną z wątków, gdzie bądź kilku mężczyzn udaje się na wyprawę po żony, a znajdują tylko jedną dziewczynę czy wogóle liczbę dziewcząt nieodpowiadającą liczbie mężczyzn, bądź też jeden mężczyzna zdobywa (w baśni: wyzwala z zaklęcia, z mocy czarownika) kilka dziewcząt. Czuć tu na każdym kroku, że opowiadacz nie wie, co z tem począć; królewicz wyzwolił 3 panny, powinien nastąpić ożenek, aleć można mieć tylko jedną żonę, trzeba wybierać, więc powiada się: ożenił się z najmłodszą, z najstarszą, z naj-

śliczniejszą — oczywiście, skoro wybierać, trzeba przytoczyć powód, ale czem inne zasłużyły na krzywdę? Albo: ktoś odkrywa, że 7 panien zadaje się ze złym duchem, wyzwala je z jego mocy i żeni się z najmłodszą „bo ta była jeszcze najlepsza”: umotywowanie doprawdy oryginalne! Albo rozcina się węzeł w prosty sposób; przytacza się jakiś powód, dla którego młodzieniec w danej chwili wogóle nie może się żenić. Widoczna, że mamy do czynienia z jakąś późniejszą poprawką.

Jeszcze dobitniej bezradność opowiadacza występuje tam, gdzie ma on do czynienia z większą liczbą mężczyzn. A więc: kilku junaków idzie w świat po żony (mniejsza, czy zamiar istniał już z góry, czy też dopiero później powstał, byle pozyskanie żon było ostatecznym rezultatem). Zwykle wtedy jeden pada ofiarą zdrady towarzyszy, dwóch więcej innych przywłaszcza sobie zdobycz, w końcu jednak muszą ją zwrócić prawemu właścicielowi. Występuje tu większa liczba osób po obu stronach, a przytem zmienna w tej samej baśni — inna przed i inna po zdradzie — powikłania, z którymi opowiadacz najzupełniej nie wie, co począć. Panna może być jedna lub kilka; gdy jest jedna, stosunek będzie uregulowany dopiero po ukaraniu zdrajców, z początku jest np. 3, po zdradzie 2 mężczyzn na jedną kobietę; podobnie gdy są np. 3 panny, przypadnie na nie kolejno 3, 2, wreszcie po ukaraniu zdrajców jeden mężczyzna. Wobec tego opowiadają nam: wybawca właściwy 3 panien zdradzony przez 2 braci swoich i ojca — wszyscy 3 zdrajcy mają się żenić, każdy z jedną — po wykryciu zdrady ojciec żony nie dostaje, dostają je natomiast obaj bracia zdrajcy ¹⁾; 4 mężczyzn wyzwala 3 panny, trzech zdrajców ukarano, właściwy wybawca żeni się z „najśliczniejszą” ²⁾; albo jak wyżej mamy 3 panny, 4 mężczyzn, z nich 3 zdrajców, ale ukarano tylko jednego, gdyż jakoby namówił innych do zdrady; inni otrzymali żony ³⁾.

Słowem, bazarz bierze się na różne sposoby, by zachować pozór monogamii, która nie da się pogodzić z wątkami baśni: bo nie ulega wątpliwości, że takie wątki mogły powstać tylko na podłożu, gdzie bynajmniej nie uchodziło za rzecz zdrożną posiadanie kilku żon i odwrotnie, gdzie kilku mężczyzn mogło

¹⁾ Kolberg serya XIV. Nr. 22.

²⁾ Ciszewski l. c. Nr. 111.

³⁾ Kolberg serya XIV. Nr. 20.

posiadać wspólnie kobietę. W tym i tylko w tym wypadku wszystkie powikłania rozwiązują się prosto. Mamy wreszcie coś jakby bezpośrednie szczątki tego pierwotnego brzmienia, gdy np. ktoś wybawia 2 panny, żeni się z jedną, ale udając się w wędrowkę po świecie, zabiera ze sobą i drugą ¹⁾: albo gdy z 2 zdrajców „jeden miał pannę dostać za żonę, a ten drugi miał być taki drugi poboczny“ ²⁾. To upoważnia do wniosku, że w bajce zachowały się ślady stosunku małżeńskiego nie opartego na monogamii i to stosunku, który nie jest nawet uregulowanym wielożeństwem czy wielomęstwem; bo jeśli uznajemy, że wybawienie dziewczyny było pierwotnie jej porwaniem, to w takim razie wybawienie zbiorowe przez kilku mężczyzn znajdzie analogię np. w zwyczajach australskich, gdzie podobnie kilku mężczyzn udaje się wspólnie na wyprawę po dziewczynę, ze względu na niebezpieczeństwo takiego przedsięwzięcia, i gdzie dziewczyna porwana na czas pewien staje się wspólną żoną wszystkich uczestników — nie będzie to już poliandria jako uregulowana instytucja społeczna, ale przeżytek bezładnego stosunku płciowego — cecha okresów rozwoju bardzo wczesnych.

Bodaj jeszcze krok wstecz możemy zrobić: gdy mowa o kilku mężczyznach, często są oni braćmi, kobiety — siostrami. W takim razie, gdy przypuścimy między takimi grupami istnienie stosunku, nie opartego na ścisłym rozgraniczeniu par małżeńskich — będziemy mieli rzecz również niezmiernie pierwotną, której ślady najmniej byśmy się spodziewali odkryć u nas — grupę małżeńską swojacką — gdzie kilku braci wspólnie posiada żonę, lub kilka siostr — męża.

I wreszcie, prawie niewątpliwe są ślady istnienia stosunków małżeńskich pomiędzy bratem i siostrą ³⁾; lecz w rozbiór tej kwestyi jako zbyt zawiłej, gdzie trudno wyznaczyć doniosłość faktów, nie będziemy się tu wdawali. Zresztą w tych kwestiach wogóle, by dojść do ostatecznych rezultatów, należałoby porównać wątki, pochodzące od ludu, stojącego na wysokim stopniu rozwoju, z takimiż wątkami ludów najprimitywniejszych.

W ten sposób postępując, niewątpliwie znaleźlibyśmy jeszcze niejednen rys obyczajowy, który, zanikł w życiu, a przetrwał

¹⁾ Kolberg serya XIV. Nr. 40.

²⁾ Kolberg serya III. Nr. 1.

³⁾ Por. np. Kolberg serya VIII. Nr. 10. 11. 12.

choć w skażonej formie, baśni, lecz wrócimy się teraz do innej strony zawartych tu przeżytków, bodaj jeszcze ciekawszej — do śladów pierwotnej filozofii — a w tym celu zająć się musimy rozbiorem tego, co się uważa przede wszystkim za rys charakterystyczny baśni — t. zw. pierwiastków fantastycznych, — tych różnych czarów, istot „nadprzyrodzonych“, zamków zaklętych, przedmiotów o cudownych własnościach i t. p.

Zamek opanowany przez duchy (czy przez dyabłów) występuje w baśni często, nieraz w tym samym związku, jak w przytoczonej powyżej baśni niemieckiej, zwykle jednak z pewnymi szczegółami odmiennymi, a pierwotniejszymi, aniżeli tam. Z tych szczegółów ciekawy jest „worek samochwyt“. Różnie to bywa. Często np. żołnierz weteran otrzymuje od staruszka, którego wsparł ostatnim groszem, taki worek czy torbę, że gdy zawoła „marsz do worka!“ — ten, do którego słowa są zwrócone, natychmiast się tam znajdzie. Przy pomocy worka żołnierz wyzwala zamek od dyabłów, zamykając ich w worku; pomaga królowi w wojnie, pakując do worka wojsko przyjacielskie; wreszcie często zamyka tam śmierć, nosi ją przez kilka lat, a nikt przez ten czas nie umiera i t. d. — Czy ów worek albo torba jest poprostu wytworem fantazyi, czy może ma jakie głębsze podstawy w filozofii pierwotnej?

Zdaje się płaczą się tu 3 różne pojęcia, nie zawsze ściśle rozgraniczone: 1) o jakimś małym przedmiocie, w którym może się pomieścić coś wielkiego ¹⁾ — spotyka się niezbyt często; 2) — dość częste — o jakimś przedmiocie, stołku, oknie i t. p. od którego po dotknięciu nie można się oderwać (czasami jest mowa o przylepieniu się dyabłów do torby); 3) torba czy worek w ścisłym znaczeniu, w którym istotnie zamyka się duchy czy dyabłów (co na jedno wyniesie, boć „dyabeł“ naogół jest tylko chrześcijańską etykietą dla owych chmar duchów włóczących się po świecie). Ten trzeci przypadek mamy właśnie zamiar rozpatrzeć.

Zwykle wystarczają najprostsze słowa zaklęcia „dyabli, szast do worka“ lub podobne, aby wywołać pożądany skutek; duchy znajdują się w worku, skąd nie mogą się wydostać. Mo-

¹⁾ Np. w łupinie od orzecha mieści się pół świata majątku (K o l - b e r g l. c. serya VIII. Nr. 5), jest torba taka, „że włożysz do niej co zechcesz, a nie powiększy się ani nie zacięży,“ („W i s ł a“ t. VIII. str. 436.)

żna wtedy robić z nimi, co się żywnie podoba: nosić przez dowolny przeciąg czasu, przekłuć szpilką dziurkę, wypuścić jednego, poczem otwór zatkać; można worek kuć na kowadle — biedne duchy wtedy jęczą, wreszcie po otworzeniu wylatują pokieraszone w najokropniejszy sposób: oddzielnie głowy, ręce, nogi i t. d. Wszystko to zgadza się z pojęciem pierwotnem o duchach, o których wiadomo, że mogą zmieścić się w najdrobniejszym otworze: wystarcza przekłuć igłą poduszkę, aby dyabeł mógł się tam ukryć ¹⁾; że je można złapać na haczyk, na pętlę, ręką wreszcie; że je można związać i oczywiście także zamknąć; dusza ludzka, która w czasie snu swego właściciela wlaża do naczynia z wodą, nie może zeń wyleźć, bo nakryto je pokrywą; dyabeł może być zamknięty w studni i zapieczętowany; choroba może być umieszczoną w dziurze wywierconej w drzewie, zatknięta kołkiem — skąd nie może się wydostać ²⁾; w ten sam sposób można zamknąć śmierć — czy to w dziurze w drzewie, czy we flaszce i t. p. Ciekawe jest opowiadanie o parobku, który służył w piekle, a wracając na ziemię, wystrugał łaskę z drew, którymi palił pod kotłami, powywiercał w niej dziury, zanurzył w kotle, gdzie dusze warzyły się w smole, i tym sposobem wyniósł na ziemię całą chmarę dusz, które następnie odstąpił Panu Jezusowi — a były takie ciężkie, że ledwie mógł łaskę udźwignąć ³⁾. Wobec tego wszystkiego teoretycznie oczywiście niema powodu, aby duchów nie można było zamknąć w torbie; ale znajdziemy w obrzędach i wierzeniach pierwotnych analogie zupełnie bezpośrednie do motywu baśniowego.

U Sojotów szaman leczy chorobę w następujący sposób: spełnia ceremonie przygotowawcze, bębni, zwabia ku sobie duchy, które wszedłszy w człowieka wywołały chorobę, wreszcie zgarnia je rękoma do bębna, wynosi po za chatę i tam je wytrząsa ⁴⁾. Bezpośrednie przejście od tej praktyki szamańskiej do

¹⁾ Dowojna-Sylwestrowicz. Podania żmujdzkie, t. I. str. 384.

²⁾ „Wisła“ t. VI. str. 140, i gdzieindziej często.

³⁾ Kolberg I. c. serya III. Nr. 15.

⁴⁾ Rzec tę podaję o tyle z zastrzeżeniem, że znam ją jedynie z ustnej, acz wiarygodnej relacji z odczytu p. Feliksa Kona, wygłoszonego w Uniwers. Ludowym w Krakowie w grudniu 1907 r. W rosyjskiej broszurze tegoż p. t. „Предварительный отчетъ по экспедиции въ Урянхайскую землю“ — szczegółu tego nie znalazłem.

naszego worka-samochwytu istnieje w bajce żmujdzkiej ¹⁾, w której chodzi również o wyzwolenie zamku z mocy dyabłów, których tam „pełno wszędzie jak komarów“. „Jonas“ (imię bohatera) zaczyna grać na skrzypcach (szaman gra na bębnie), które każdego zmuszają do tańca. Tu jest ta cudowna własność instrumentu; lecz w obrzędach pierwotnych muzyka i śpiew wogóle działa podobnie. Więc tedy „tańczą dyabli jak szaleni. Tańcowali tak do 12 godziny, popadali na ziemię. Bierze wtedy Jonas bębenek (który tu odgrywa rolę zwykleszego w naszych warunkach worka) i młotek (również cudowny) i chodzi, a zbiera w bębenek dyabłów. Co któremu bębenek do nóg podstawí, a młotkiem po nogach trąci, już dyabeł w bębenu siedzi“. W końcu oczywiście „kowale z całego królestwa“ wielkimi młotami obrabiają bębenek z zamkniętymi w nim dyablami²⁾.

Czy w opowieści tej nie mamy praktyk nieraz takich samych, jakich dokonywa szaman sojocki? A z drugiej strony opowiadanie w zupełności odpowiada ogólnie znanym bajkom o worku w zamku zaklętym. Słowem, zamykanie duchów w worku 1) jest w zupełnej zgodzie z pierwotnymi poglądami na naturę tych istot 2) wiąże się z jakimiś — mniejsza z jakimi — obrzędami okresu pierwotnego, pokrewnymi do owego leczenia choroby przez sojockiego szamana. Przestajemy patrzeć na worek jako na wytwór fantazyi: ma on swoją ścisłą logikę, choć dla zrozumienia tej logiki trzeba przenieść się w zupełnie odmienny od dzisiejszego świat myśli.

Czy inne występujące w bajkach przedmioty o cudownych własnościach także dadzą się powiązać z szerszym kompleksem pojęć filozofii pierwotnej, czy też są one wyłącznie wytworami fantazyi, która pragnie obdarzyć bohaterów możliwie niezwyklejszymi cechami? Prawdopodobnie jedno i drugie. Rozpatrzmy jeszcze dla przykładu „kij-samobij“ i „dywan-samolot“.

„Kij-samobij“ po wymówieniu słów zaklęcia, sam, t. j. nie kierowany niczyją ręką, poczyną bić osobę, przeciw której zwracano zaklęcie. Występuje bardzo często, w baśniach bardzo różnego charakteru, zaczawszy od obyczajowych o zakroju nieco humorystycznym, jak o 2 braciach, z których jeden był biedny,

¹⁾ Dowojna-Sylwestrowicz l. c. t. I. str. 158.

²⁾ Por. пр. Богоразъ „Материалы по изучению чукотского языка и фольклора“ t. I. str. 200/1.

naiwny i łatwo dający się oszukać, drugi bogaty i przebiegły, aż do zaklętych zamków, walk z dyabłami i t. p. Niekiedy występuje jako „pałasz rąbiący“, aż wreszcie widzimy rzecz już odmiennego rodzaju — pałasz, który nie działa sam, ale, użyty przez bohatera, czyni go niezwyciężonym. — I tu także można przytoczyć pewne analogie. W odmianie znanej baśni o „Jasiu i Marysi“ (czy Małgosi), zapisanej przez Matyasa „u krakowskich rogatek“¹⁾, ojciec wyprowadziwszy dzieci do lasu, oddała się, niby żeby drzewo rąbać — słychać istotnie uderzenia siekiery, ale gdy dzieci zniecierpliwione udają się na poszukiwania, okazuje się, że to nie ojciec rąbie, ale pozostawiona przezeń pałka „sama w drzewo puka“. U Czukczów w baśni czarownica posyła za zbiegami rzemień, który zachowuje się jak żywa istota²⁾. Wogóle czarownicy (w naszych baśniach także) posługują się przedmiotami martwymi jak żywymi, otrzymują od nich informacje i t. p. (o tym niżej). Jest prawdopodobne, że i kij-samobij można będzie powiązać z tym kompleksem wierzeń, gdzie przedmioty dla ogółu ludzi „martwe“ zachowują się jak żywe na usługach osoby, która ma wiedzę czarodziejską.

Nie wdajemy się w szczegóły, bo chodzi nam i o stwierdzenie tego zasadniczego faktu, że wiele na pozór opartych wyłącznie na fantazyi szczegółów baśni da się wyjaśnić w szerszym związku wierzeń i praktyk bardzo pierwotnych.

Wspominaliśmy już parokrotnie o praktykach szamańskich: w związku z nimi znajdują się torby chwytające, według wszelkiego prawdopodobieństwa kije bijące, dywany latające; ale odnajdujemy je przede wszystkim tam, gdzie mowa o walce z duchami. Szaman jak wiadomo wstępuje w zapasy z duchami w sposób taki, jakby chodziło o walkę istotnie fizyczną. Używa różnych środków, jak bicie w bęben, śpiew, aby wyrzucić na duchy wpływ, lecz przede wszystkim wkłada w walkę całkowitą swoją siłę, może zwyciężyć, ale może i uleść, a porażkę przepłaca nawet śmiercią, w każdym razie wyczerpanie jest zawsze następstwem walki. — Jeżeli w polskiej baśni ktoś mający prze nocować w zaklętym zamku, kreśli dokoła siebie koło kredą święconą, zaopatruje się w święconą wodę i przez cały czas zawzięcie modli się na świętej księżce — to akcesorya noszą

¹⁾ „Wisła“ t. VIII. „Zaklęta w kaczkę“.

²⁾ B o r o p a z I. c. str. 194.

wprawdzie pozór chrześcijański, lecz sposób ich działania fizycznie namacalny zupełnie odpowiada poglądom pierwotnym. Walka sama i dziś jeszcze nieraz opisywana bywa bardzo plastycznie. Często występuje w ręku walczącego jakieś cudowne narzędzie, szabla czy kij, którym tłucze dyabłów przez całą noc; kiedy indziej kropi ich, co sił starczy, święconą wodą, „a gdy mu brakło święconej wody, to kotłem od niej bił a walił, a „to“ się darło i darło do niego“ ¹⁾. Inny „trzy dni bez jadła i napoju pasował się z duchami, aż je pokonał“ ²⁾. Niekiedy chodzi tylko o to, aby nie uleść pokusie, nie przemówić, nie obejrzeć się, mimo wszelkich strachów i mąk zadawanych przez duchy. I wtedy „było straszne trzaskanie i zgrzytanie, aż się... z a l a ł potem i aż mu krew uszami szła od tego stuku i trzaskania“. Niekiedy czarty tak go męczą, że „omdlewa i pozostaje jako nieżywy“ aż go ocuci ktoś, posiadający moc czarodziejską; czasem czarty rąbią występującego do walki w kawałki, które jednakże można złączyć i ożywić za pomocą wody żywej, maści i t. d. Niekiedy ulega w walce; lecz wtedy zwykle wraca zaopatrzony w doskonalszą broń i ostatecznie zwycięża ³⁾. Opowiadacz zapewne zwykle nie bardzo już rozumie, o co chodzi; ale sam opis, gdy pominiemy zmodernizowanie, ściśle odzwierciadla postępowanie szamanów wobec duchów, podczas walki. Podobnie opowiadanie o walce czarno-księżnika z uczniem, gdzie obaj zamieniają się w coraz to inne zwierzęta i przedmioty martwe, zupełnie odpowiada opisowi pojedynku walki dwóch szamanów u ludów, gdzie ta instytucja po dziś dzień istnieje. A szczegóły te są tem ciekawsze, że skądinąd nie wiemy o istnieniu u naszych przodków ludzi, odgrywających rolę szamanów.

W ten sposób postępując krok za krokiem, moglibyśmy wyjaśnić każdy lub prawie każdy szczegół naszych baśni. Wkraczamy powoli w świat myśli odmienny od naszego, ale konsekwentny w sobie, całkowity, świat filozofii pierwotnej. Poprzez stając na podanych przykładach, nie będziemy już rozpatrywać

¹⁾ Kolberg I. c. serya XIV. str. 76.

²⁾ „Wisła“ t. VII. str. 36.

³⁾ Temat ten powtarza się niezmiennie często; szczególniejsze charakterystyczne opowieści przytacza Kolberg z Poznańskiego (serya XIV., np. str. 82, 79, 84). Por. także serya VIII. str. 82, tudzież Dowojna Sylwestrowicz „Podania Żmujdzkie“ t. II.

poszczególnych wątków, natomiast postaramy się nakreślić jeszcze nieco rysów tego świata, jak odzwierciadla się w baśniach — mianowicie niektóre poglądy na przyrodę ożywioną i nieożywioną.

Zwierzętom dziś jeszcze lud przypisuje pod pewnymi względami wyższość nad człowiekiem, np. gdy chodzi o wiedzę o rzeczach przyszłych; o zwierzęciu w baśni możnaby napisać całą rozprawę. Prawie niema bajki, w którejby zwierzę nie oddawało nadzwyczajnych usług człowiekowi. Niema w tem jeszcze nic nadzwyczajnego, gdzie zwierzęta wykonywują za człowieka jakąś pracę, którejby bez nich nie był w stanie spełnić, ale która dla zwierząt istotnie w zasadzie nie jest niemożliwa do wykonania, np. gdy ptaki wybierają mak z popiołu, ryba odszukuje i przynosi klucz, który wpadł do morza i t. p.; choć i tu inteligencya, nadawana zwierzętom, tudzież przypisywane im uczucie wdzięczności dla człowieka, którego wynikiem jest pomoc, całkowicie wprowadza nas do filozofii pierwotnej. Że zwierzę mówić umie, to także rzecz zwykła: nie każdy tylko mowę tę pojąć może, trzeba, żeby się tego wyuczył, jak wyuczyć się trzeba umiejętności czarów, albo trzeba, żeby był z góry przeznaczony do czegoś niezwykłego i wobec tego z natury posiadał tę zdolność. Często spotykamy rzeczy znacznie charakterystyczniejsze. Ktoś, by dowiedzieć się, gdzie przybywa zaginiona osoba, lub gdzie się znajduje jakiś przedmiot niezwykły, udaje się do pustelnika, czarnoksiężnika (= szamana), który ma władzę nad zwierzętami, ptakami, zwołuje je za pomocą diszczałki, żadne zwierzę nie umie nic powiedzieć, wreszcie kruk, najmędrzy ptak, który wszystko wie, udziela potrzebnych wiadomości ¹⁾. Niedosć tego, nietylko udziela wiadomości, ale okazuje czynną pomoc: zwierzę nosi człowieka na swoim grzbiecie, wilk przytem biegnie po ziemi, ale z niezwykłą szybkością, ptak szybuje po powietrzu, a drobne ptaszę mysi królik zdolne jest unieść na sobie człowieka; udziela mu wszelkich rad, wie, co go spotka, gdy uczyni tak, a co, gdy inaczej postąpi; umie go poratować w nieszczęściu; wie, gdzie rośnie trawa, rozrywająca mury więzienne, gdzie znaleźć i jak użyć wody gojącej, ożywiającej; może zamienić się w co chce, wogóle posiada w wysokim stopniu sztukę czarnoksiężką. Opowiadają nam często, że to właściwie

¹⁾ Por. np. Kolberg serya VIII. Nr. 20.

było nie zwierzę a „niby św. Mikołaj“, albo zaklęty królewicz czy księżniczka, posiadająca umiejętność czarów, pod postacią zwierzęcia; ale motyw występuje tak często i tak charakterystycznie, że nie ulega wątpliwości, iż mamy do czynienia z niezwykle rolą, przypisywaną przez człowieka pierwotnego zwierzęciu, które ma być wiele potężniejsze, mędrsze, aniżeli, człowiek, a więc między innemi musi również lepiej umieć spełniać te czyny, które wymagają specjalnej wiedzy — czary. I jak ludy pierwotne nie przypisują tych niezwyklej własności pierwszemu lepszemu okazowi danego gatunku, lecz jakiemuś władcy, praojcu gatunku, tak i w naszych baśniach występuje, choć rzadko, król zwierząt ¹⁾: wilk zjadł człowiekowi konia, a człowiek siada na wilka, ten go niesie do „króla wilczego“ („co to był niby św. Mikołaj“), ten, by wynagrodzić krzywdę, daje mu cudowną chusteczkę, potem król niedźwiedzi daje mu sygnet, król lwi klamrę i t. d. ²⁾

Nietylko zwierzę, ale i przyroda nieożywiona występuje w innej roli, aniżeli w pojęciu człowieka cywilizowanego. Oto: ktoś, potajemnie uciekając z pokoju, pluje na okno, pytającym przez drzwi odpowiada następnie ślina ³⁾. Że ślina może przemawiać za tego, który ją wypłuł, wynika stąd, że cząstka zawsze zachowuje związek z całością, od której została oddzielona: że, wogóle mówić może — stąd, że dla baśni, jak dla człowieka pierwotnego, niema przedmiotów martwych w naszym znaczeniu. Bo oto wdzięczność czują i okazują nietylko zwierzęta, którym darowano życie, wybawiono od śmierci, wyleczono, ale i studnia, którą oczyszczono, jabłoń, z której strząśnięto dojrziałe owoce. Różne sprzęty domowe, których używano w sposób należyty, z właściwym szacunkiem, nie wydają, gdzie są dzieci, którym grozi niebezpieczeństwo, jedynie dłuto, które zbyt boleśnie po głowie bito, zdradza tajemnicę ⁴⁾. Fujarka, którą wyrobiono z trzciny czy wierzby wyrosłej na grobie zabitego, wyjawia zabójcę; po spaleniu fujarki na tem samym

¹⁾ Tylko króla węzów o 7 głowach spotyka się częściej, nie tylko w baśniach, ale i dziś jeszcze w wierzeniach naszego ludu.

²⁾ Kolberg serya VIII. str. 71 n.

³⁾ Kolberg serya VIII. Nr. 23 serya XIV. Nr. 9.

⁴⁾ Ciszewski l. c. Nr. 74. Podobny motyw znany jest ogółowi z opracowania Czajkowskiego p. t. „Baśń o żelaznym wilku“.

miejscu wyrasta drzewo ze śpiewającymi jabłkami ¹⁾. Próg, nad którym przeniesiono trupa, może opowiedzieć to czarownikowi; by uniknąć tych konsekwencji, należy nieboszczyka przenieść pod progim ²⁾. Słowem — przedmiot martwy także żyje, ma świadomość, może mówić; choć tu niklejsze widzimy ślady, niż gdy chodziło o niezwykłą moc zwierząt.

III.

Szkicowy z konieczności rozbiór powyższy wystarczy, by stwierdzić, czego możemy się spodziewać po tego rodzaju metodzie badania, tudzież żeby wysnuć parę uogólnień co do ogólnego charakteru baśni, ich znaczenia i t. d.

Metoda da nam przedewszystkiem zrozumienie jeżeli nie wszystkich to większości motywów baśniowych, pozwoli wnikać w ich pierwotne znaczenie. Następnie — pozwoli nam głęboko wnikać w przeszłość obyczajową, a szczególnie wierzeniową, Wierzenia, obyczaje przekształcają się — i to te przedewszystkiem, które stają w sprzeczności z poglądami, pojęciami moralnymi późniejszych pokoleń; inne, „neutralne“, pozostają dłużej, ale również ulegają wpływowi zmienionych warunków i wreszcie zanikają. Podobnie dzieje się z baśnią: to przedewszystkiem, co ma związek z żywotnymi sprawami życia, przekształci się, co będzie raziło, zostanie usunięte; ale pozostanie szkielet wątku, zmieniony, ale nie tak, żeby nie można było w większości wypadków dojść pierwotnego znaczenia i stanie się zajmującą anegdotą, której zasadniczej treści — niema powodu zmieniać. Np. jeżeli baśń opowiadała o wyprawie rabunkowej grupy braci po dziewczynę, która stawiała się ich zbiorową żoną, to ze zmianą pojęć moralnych te szczegóły nie tylko mogły, ale musiały ulegać przekształceniu; gdy też baśń zamieniła się w niewinną historię o wyzwoleniu zaklętej królowny przez królewicza — pojęcia moralne mogą się dalej przekształcać, nie naruszając już wątku. I dzięki temu właśnie możemy, badając baśni, odkryć

¹⁾ Toeppen, Podania Mazurskie „Wisła“ t. VII. str. 23. W dalszym ciągu z ogonka jabłka powstaje znowu zabity: mamy więc 3 idee: 1) przedmiot „martwy“ może mówić 2) wie o rzeczach, które z nim były w styczności 3) może się zamienić w przedmiot, z którym był w związku.

²⁾ Ciszewski l. c. Nr. 56.

rzeczy tak bardzo pierwotne. Tylko pamiętać należy, że sama baśń potrzebuje klucza — klucza tego dostarczyła etnologia, nauka nowa — dlatego niedawno dopiero zrozumieliśmy, czym jest właściwie baśń.

Poglądy w tym względzie wahały się zawsze między dwoma biegunami: albo z pogardą spoglądano na „baśni, które niańka dzieciom opowiadała“, albo bezkrytycznie uwielbiano ten „wytwór prostej a bogatej duszy ludowej“. Jedno i drugie łączy się ściśle z zupełnym brakiem zrozumienia, o co właściwie chodzi.

A więc fałszem jest samo określenie „baśni, które niańka dzieciom opowiadała“ — fałszem, mimo iż sięga czasów odległych, wrosło w nasz umysł tak, iż dość wymówić „bajka“, by echo odbrzmiało „niańka“ i „pokój dziecinny“¹⁾. Już samo rozejrzenie się w treści tych opowieści wykaże mylność tego rodzaju skojarzeń. Wprawdzie zbiór Grimmów może od biedy uchodzić za potwierdzenie takiego określenia, ale wiemy, że mamy tam sprawę z baśnią, w zaniku, przystosowaną do pokoku dziecinnego, dla którego nie była przeznaczona pierwotnie. Baśni w zbiorach polskich (gdy pominiemy takie, jak „Bajarz“ Glińskiego, spisywane według wspomnień dzieciństwa) zupełnie nie mają charakteru utworów „dla dzieci“. Zresztą baśń jest wytworem ludowym, a dziecko ludu niańki na swe usługi nie posiada²⁾.

Rzecz dziwna, że prawie żaden z licznych zbieraczy baśni nie zanotował, o ile wiem, gdzie i kiedy baśń bywa opowiadana, ani przeważnie nawet, w jakich sam spisywał swoje notatki³⁾. Skąd-

¹⁾ Grimm przytacza cały szereg świadectw autorów od Strabona, Plutarcha zaczawszy aż do Lutra i nowożytnych, gdzie co krok jest mowa o „baśniach opowiadanych dzieciom“, „bajkach nianiek“ i t. d. „Kinder und Hausmärchen“ t. III. Getynga 1856, str. 273 m.

²⁾ Łatwo wyjaśnić tego rodzaju nieporozumienia: ktoś oczywiście bajki, które znał, słyszał od swojej niańki, wie, że wszystkie niańki wszystkim dzieciom bajki opowiadają i t. d. — uogólnia to, jeżeli przypadkowo dowiedział się, że i w innych warunkach bajki opowiadają, uważa to za rzecz mniejszej wagi — nie uświadamia sobie, że ma do czynienia z prawdziwą ludową bajką, a nie ze specjalnym rodzajem „niańczynej“ pedagogiki.

³⁾ Np. Jedną tylko mam notatkę tego rodzaju. C i s z e w s k i l. c. str. 168 zapisał, że bajkę opowiada pasterz, który ją „słyszał od takiego kulona, co robi w kopalni w Dąbrowie“.

inąd wiemy, że u nas bajki opowiadane są w zimie, podczas robót, wykonywanych zbiorowo przez kobiety; opowiada bądź stara kobieta, bądź mężczyzna-bywalec, żołnierz wysłużony, pastuch — słuchają wprawdzie i dzieci, ale nie dla nich się opowiada, głównym słuchaczem jest dorosła młodzież żeńska i męska. Opowiada nie niańka, ale ktoś specjalnie uzdolniony i wyszkolony w tym kierunku. Podobnie u ludów pierwotnych: niema „specjalistów“ bazarzy poświęcających się jedynie i wyłącznie temu zajęciu, ale są osoby, do których inni stale się zwracają, gdy chodzi o opowiadanie, którzy umieją opowiedzieć lepiej i więcej od innych.

Z charakteru treści i warunków, w jakich opowiadana i słuchana bywa baśń wynika, że jest poważną częścią składową życia duchowego ludu, w którym zajmuje miejsce podobne, jak najpotężniejsze utwory literatury pisanej w życiu inteligencji: jedno i drugie wynika z zasadniczo tych samych potrzeb, a i napięcie natchnienia twórczego bodaj jest równe, tylko że u współczesnego autora mamy szersze widnokręgi, większą ilość faktów znanych i uświadomionych, wogóle rozszerzoną świadomość własnych i cudzych przeżyć, no i subtelniejszą, bardziej różniczkowaną wrażliwość.

Nawet tak uważny obserwator jak Goethe powiada o baśni¹⁾. „Das Märchen ist bewusste Unwirklichkeit, es fesselt die Neugierde, reizt zur voreiligen Lösung undurchdringlicher Rätsel, täuscht die Erwartungen, verwirrt durch das Seltsame, macht besorgt, rührt und befriedigt endlich durch Umwendung eines scheinbaren Ernstes im geistreichen Scherz, hinterlässt der Einbildungskraft Stoff zu neuen Bildern und dem Verstande solchen zu fernem Nachdenken“. Tkwi w tem powiedzeniu błąd metodologiczny: by określić, czym jest zjawisko, rozpatruje się, czym jest ono dla nas — w danym razie, gdy chodzi o przejaw twórczości literackiej, poeta stara się poddać wrażeniu i otrzymane wrażenie formułuje jako fakt obiektywny. Rzecz jasna, że „fantastyczność“ baśni, napozór przypominająca erę rozkiełzanej wyobraźni autora sensacyjnych romansów, a zarazem, tak pociągająca prostotą i naiwnością, ma sprawić wrażenie jak powyżej przytoczone na człowieku, który tak daleko odbiegł od

¹⁾ Cytuję według Adolf Thimme „Das Märchen Lipsk 1909, str. 70.

świata tych motywów baśniowych, a którego etnologia porównawcza nie nauczyła rozumieć ich właściwego sensu. Dziś wiemy, że w baśni „fantastyczność” jest uwarunkowana pewnymi zasadami, niema w niej „cudów” jako przełamania praw przyrody za przyczynieniem się siły nadprzyrodzonej; nie tylko dlatego, że nasze pojęcie „prawa przyrody” tam nie istnieje: nie potrzeba niczego przełamywać, skoro wszystko wiąże się doskonale z całokształtem poglądu na świat.

Wszystkie te „fantastyczne” motywy baśni bynajmniej nie są świadomą nierzeczywistością — ale tworzą te tylko przypadkowo dochowane do naszych czasów „disiecta membra” świata, w którym to wszystko było możliwe, poglądów, które musimy uznać za mylne, ale którym jednego nie można odmówić: konsekwencji; nie w sensie nieistnienia sprzeczności, ale w znaczeniu zasadniczej jednolitości, zgody w kwestiach podstawowych.

Warszawa 1910.





OPISY I NOTATKI.

Wierzenia ludowe w Małych Kończycach, koło Zebrzydowic na Śląsku.

Na przedgórzu Karpat zachodnich, w pobliżu Zebrzydowic, stacyi kolei północnej, leżą Małe Kończyce, niewielka wioska śląska. W tej to wiosce zbierałem w dniu 26. sierpnia, jakoteż i w dniach 1. i 6. września, 1908 roku, materyały ludoznawcze i, na nich się też obecnie głównie opierając, mam zamiar mówić w niniejszej pracy o wierzeniach tamtejszego ludu w świat duchów, czyli w istoty nadprzyrodzone. Ponieważ czas, w którym te materyały gromadziłem, był okresem żniw, więc też i praca na szerszy zakrój była mi niemożliwą. Najważniejsze wiadomości, z których tutaj korzystam, zawdzięczam w głównej mierze Franciszce Bierskiej, młodej szkolniczce wiejskiej, p. Franciszkowi Koczwarze, kierownikowi szkoły w Małych Kończycach, Katarzynie Sikorzynie, starej wieśniaczce, i p. Janowi Grimmowi, s é r k o r z o w i u p. Jana Folwartschnego, właściciela tamtejszego dworu, osobom, które wśród ludu śląskiego wzrosły i z jego przekonaniami się żyły. Choć przestrzeń, na której pracowałem, jest stosunkowo bardzo małą, to nieprzeszkadza to jednak temu, by wierzenia tamtejszego ludu nie miały wychodzić poza jej granice i żeby nie można z danej kwestyi wnioskować o stanie wierzeń ludowych w innych okolicach Śląska. Miałem sposobność przekonać się sam o tem, spotykając się w Małych Kończycach mimochodem z różnymi przesadami,

które dostały się do wsi z odleglejszych nawet miejscowości drogą ustną. A zresztą wiara w duchy, przybierające najrozmaitsze postacie, czy to ludzkie, czy też zwierzęce, czy wreszcie i przedmiotów nieżyjących, jest w ogóle pośród Słowian bardzo rozpowszechnioną i wykazuje prawie wszędzie te same główne rysy. Przedstawił to pięknie J. Máchal w swem poleceniu godnem dziełku: „Bájesloví slovanské“, wydanem w Pradze w 1907 roku. Musimy tu naturalnie abstrahować od tych okolic Śląska, gdzie znajdują się kopalnie, zwłaszcza kopalnie węgla kamiennego, w których to miejscowościach wierzenia ludu całkiem odmienne noszą znamiona, gdyż inne środowisko, jak zresztą wiadomo, wywołuje tworzenie się nowych i zupełnie odrębnych pojęć. Wierzenia mieszkańców małokończyckich ograniczają się przedewszystkiem do duchów wodnych. Nic w tem dziwnego, gdyż większą część obszaru wioski zajmują stawy, zasilane wodą Piotrówki, wpadającej do Olszy, z jej prawego brzegu. Nie brak jednak i wierzeń, odnoszących się do duchów, przebywających na ziemi, lub też do demonów, których miejscem działania są poszczególne miejsca wsi, albo nawet i domostwa. Nie mały wpływ na zanik prastarych podań i wierzeń ludu śląskiego wogóle mają z jednej strony stosunki z coraz to liczniej napływającymi z zachodu Niemcami i Czechami i wywołana tem wzajemna wymiana pojęć, a z drugiej strony szerzona oświata i z czasem coraz to silniej utwierdzające się pojęcie religii chrześcijańskiej, które dawne tradycje powoli z pośród ludu wykorzeniają. Dlatego też wskazaniem jest, póki jeszcze czas, ratować to, co niedługo zupełnie zniknąć może, zwłaszcza że rola tamtejsza obfita w plon, a brak tylko rąk do zbierania kłosów.

Przypatrzmy się teraz wierzeniom mieszkańców Małych Kończyc w świat istot nadprzyrodzonych nieco bliżej. Nie wyczerpuje ich wprawdzie niniejsza praca zupełnie, ale podaje ona przynajmniej główne kontury tego, z czem się w tamtejszych okolicach codziennie spotkać można.

1. Dusze zmarłych.

W pojęciach wieśniaków małokończyckich utrwaliło się to przekonanie, że dusze zmarłych blakają się po śmierci po świecie, przyjmując na siebie różne kształty. Nim jeszcze człowiek umrze, ukazują się różne dziwne znaki, które zwiastują ry-

chły zgon danej jednostki. Znaki te dają się widzieć, lub odczuwać najczęściej w nocy i to wtedy, gdy człowiek chorujący przebywa kryzys swojej choroby. Zwykle wtedy w "okno coś trz i r a z y z a b u r z y g łośno, albo po sieni zacznie coś hałasować i rozbijać się. Czasem przyjdą trzy baby pod dom, całe p o b i o łu ubrane i przez szyby do wnętrza patrzą. Miało się to, zdaniem Joanny Brachaczkowej, zdarzyć przy śmierci Anny, jej córki. Lub znowu spanie "o k r u t n e p r z i c h o d z i k o l e p ó ł n o c k a n a c z ł o w i e k a , a w e ś n i e u k a z u j e m u s i ę trumna, albo inne jakieś widziadło, jako znak śmierci kogoś z bliskich mu osób. Znaki takie dają się widzieć i osobom nieinteresowanym. Najczęściej ukazuje im się wtedy postać małej, trzyletniej dziewczynki, idącej w niewielkim oddaleniu, od danej osoby, która to postać nagle potem ginie wśród krzaków, lub bylin przydrożnych. Czasem znów można zobaczyć umierającego w jego własnem ciele, jak siedzi na kopcu granicznym przy miedzy, żywy i w biel odziany. Przeważnie jednak stosuje się dany znak do zajęcia jakiegoś osobnika za jego życia. Jeśli ktoś był przy m ł é n k u zajęty, to m ł é n e k z chwilą jego śmierci iść przestanie, a gdy ktoś był za życia stolarzem, to piłka znać mu daje, kiedy na niego koniec przyjdzie. Ciekawą jest rzeczą, że liczba trzy i postać biało odziana największą w dawaniu znaków przed śmiercią odgrywają rolę. Inne znaki, więcej uchwytnie, dają także i zwierzęta. Kiedy n p. pies wyje, pysk na dół zwiesiwszy, lub gdy krowa o p o ł d w a n o s t e j żałośnie ryczeć zacznie, znak to nieomylny, że ktoś wkrótce umrze. To samo oznacza nastrój smutku w rodzinie. zwłaszcza wtedy, jeśli pieśni żałobne lub pogrzebowe same na usta się cisną. Na zachowanie się zwierząt należy jednak dobrze uważać. Bo gdy n. p. pies wyje, ale pysk zadrze do góry, a nie spuści go w dół, to oznacza to już, że gdzieś ogień ma wybuchnąć.

Jeśli człowiek zakończył życie bez pojednania się z Bogiem, albo też niechrzczony, lub gdy sam sobie śmierć zadał, ma dusza jego po świecie po śmierci wędrować i straszyć ludzi; trwa to tak długo, póki czas jej kary nie minie, lub też ktoś nie wymodli u Boga dla pokutującej duszy zlitowania. Miejszem pokuty takiej d u s z é c z k i jest zazwyczaj okolica domu, albo też i obejście domowe samo, w którym człowiek umarł. Duch taki rozpala sobie ogień koło miejsca swej śmierci i grzeje się przy nim, bo mu zimno. Jest on stary i wielki, lub też młody

i mały, jak niedorosłe dziecko. Jeśli w dzień się okazuje, to siedzi cicho i nic się nie odzywa; natomiast w nocy rozbija się po strychu, brzęczy łańcuchami, hałasuje po całym domu, s z u ś c i p o k r z o k a c h, zaczepia ludzi i omamia ich, prowadząc ich w takie strony, gdzieby zginać musieli. Poznać też można takie dusze po ich dziwnem i niezwykle zachowaniu się wobec ludzi. Raz przejdzie taka dusza koło człowieka spokojnie i tak nieznacznie, że nie słyhać kroków, przez nią stawianych, i nie odpowie ani słowem na chrześcijańskie pozdrowienie, to znowu sama napada na przechodzących i straszy ich. Przypisują to szczególnie w a n i e l i k o m po ich śmierci, z których każdy ma iść do piekła. Jeśli duch pokutujący straszy, to przybiera on wtedy na siebie różne postacie. To ukaże się jako t e l k i m a ł y s y n e k w s t r z a c h a t y m k ł o b u c z k u na głowie, to znów n. p. jako czarne psisko z długimi kudłami i świecącymi ślepiami i ujadając głośno pędzi za człowiekiem. Czasem ukaże się dusza jako biała płachta, leżąca kole krzyża, lub też wywołuje ona szum w powietrzu i pośród drzew, albo nawet mostem zatrzęsie i zatrzęszczy. Innym razem znowu zadudni ona tak, jakgdyby ktoś kulę od kęgla po podłodze toczył, albo rąbie siekierą drzewo, będąc dla każdego niewidzialną. Można jednak takie pokutujące dusze spotkać i w większej nawet gromadzie. A więc idą one we dwoje groblą wzdłuż stawu, nic nie rozmawiając, przystaną przy "o b r o z k u, pocałują się i znikają, to znów w liczbie sześciu jako czarno ubrane baby ukażą się w kościele, choć drzwi do niego zamknięte. Takie trudniejsze do wytłómaczenia wypadki, jak n. p. ten ostatni, wywierają na mieszkańców Małych Kończyc niezwykle wrażenie. Lud boi się tego c o ś, czego nie widzi i z czego nie może sobie zdać sprawy, uciekając z trwogą od miejsc zaklętych, gdzie to c o ś straszy. Wypadek taki miał się zdarzyć w sąsiedniej wsi, w Kaczycach, gdzie rodzina jednego g a z d y z obawy przed strachami dom swój porzuciła. Szczególniej kościół i cmentarz są ulubionem miejscem takich strachów, które nawet jako olbrzymie i kudłate lwy ukazywać się mają. Są to naturalnie twory zbyt wybujałej wyobraźni ludu wiejskiego, dopatrującego się w każdym niezwyklejszym wypadku działania i interwencji duchów. Niebezpieczną jest jednak rzeczą zadziierać z takimi duchami, bo są one bardzo mściwe i mają nadto moc odurzania człowieka. Jeśli się im wchodzi w drogę, to go-

nią one za człowiekiem, albo też kłudzą go po polach i po gąszczu, nie dozwalając swojej ofierze patrzeć przed siebie, tak że ta często ginie w wodzie. W niedalekim Hażlachu miała się taka pokutująca dusza jednemu z wieśniaków pod postacią kosa ukazać, który za nim przez dłuższy czas pędził. Takie dusze potrzebują koniecznie ratunku i jedynym środkiem na uśmierzanie ich cierpień i kary jest odprawienie Mszy świętej za nie i modlitwa na ich intencję odmówiona. Jeśli komuś taka dusza się ukaże, lub też jeśli gdziekolwiek straszy, to należy tylko rzekać za nią, a wtedy strach ustąpi.

Takim samym środkiem należy się posługiwać, gdy komuś zdarzy się błędny "ogień" spotkać. Takie bowiem błędne ogniki nie są niczem innym, tylko również pokutującymi duszami, potrzebującymi pomocy ludzkiej. Nawet i ci z pośród mieszkańców Małych Kończyc, którzy dobrze wiedzą z nauki, że są to tylko palące się gazy węglowodorowe, powstałe z rozkładu ciał organicznych, przechylają się ku wierzeniu, że są to raczej pokutujące duszyczki. Ma się rozumieć, że ukazują się one tylko w okolicach bagnistych. Działają one ze szkodą ludzi, wodząc ich po manowcach i topiąc w błocie. Wogóle ukazują się pokutujące dusze najchętniej około północy, i to zwykle jako coś białego ubranego, strasząc aż do chwili, gdy brzask dnia zaczyna rozpraszać ciemności nocy. O ile zaś za dnia je spotkać można, to nie widzi się nic, jak tylko skutki ich życia się spostrzega, które bądź to jako szum, lub łamanie gałęzi, bądź też jako rozpalane ogniki się uwidaczniają.

2. Zły duch.

Z pojęciem pokutujących duchów mieszkają mieszkańcy Małych Kończyc często także i pojęcie szatana. Dzieje się to zwłaszcza wtedy, gdy tak dyabeł, jak i błakająca się dusza pod podobnymi kształtami występują. Postać jego odpowiada w zupełności wyobrażeniom chrześcijańskim, które z ducha przyrody zewnętrznej, stojącej człowiekowi nieraz na przeszkodzie, zrobiły demona złego, w znaczeniu religijnem i moralnem. A zatem jest on czarny, ma końskie kopyta, długie chwost i rogi na głowie, a z gęby zieje ogniem. Nosi on miano diabła, ale od swojej barwy także i czerstem się pisze. Miejscem jego pobytu jest cały świat, a nawet i we wodzie siedzi. Omija on

zato starannie wszystkie miejsca, budynki i figury poświęcone Bogu, gdzie władza jego ustaje zupełnie. Celem jego jest gubienie ludzi. W Starem Mieście, na północny zachód od Frysztatu leżącej miejscowości, miał on się w jednej chałupie zjawić, i kazać się modlić zgromadzonym ludziom. Ci ze strachu na cestę uciekli, gdzie wszyscy martwi na ziemię popadali. Ukazuje on się jednak stosunkowo bardzo rzadko, a przeczuwają jego obecność więcej zwierzęta, niż ludzie. Jeśli kura n. p. siedząc na ziemi *k y r c z e ć* zacznie, jest to oznaką, że czart przez kalenicę leci. Gdy umiera jakiś bezbożnik, to zjawiają się czasem dyabli w liczbie kilku, zwykle dwóch, na czarnym powozie, w czarne zaprzężonym konie i sami czarno ubrani, jakby jacyś światowi bywalcy, wpadają do mieszkania konającego, porywają mu duszę i uciekają z nią do piekła, znikając z przed oczu patrzących. Dusza woła ratunku, ale nikt jej pomódz nie może. Jako chłop p o c z o r n u odziany straszy sztan koło tartaku i tuż obok znajdującego się mostu na Piotrówce, zwłaszcza porą wieczorną, gdy już pierwszy zmierzch zapadnie. Siada on wtedy przechodzącym na ramiona, lub też czepia się pleców ich i gna ich przed sobą naprzód. Dziwnem szczególnie jest to, że lubi on najbardziej pijanych ludzi. Możliwy o tych ludziach powiedzieć śmiało, że to nie dyabeł, ale dusza im na ramieniu siedzi, ale nie pokutująca, tylko ich własna. W Bernie na Morawach miano widzieć czarta pod postacią czarnego, kudłatego psa, który koło północy wylazł z wody. Miał on *o g n i e* w *o c z a c h* i *j e n z y k* w *p y s k u* *r o z p a j d z o n y* mu się jarzył, a siarka strzykała ś n i g o na wszystkie strony. Przyczem warczał ciągle. Najczęściej można ujrzyć dyabła wieczorem, ale z chwilą, gdy *d z w o n i o m* na klenkanie w kościele, ustępuje czartowska siła i szatan musi uciekać. Najskuteczniejszym środkiem na niego jest zresztą pokropienie go wodą święconą, której boi się jak ognia i dlatego też czempredziej znika.

3. Czarnoksiężnicy.

Trudno znaleźć w czarach dzisiejszych na Śląsku wogóle jakiegoś czarnoksiężnika. Mimo to żyje on jeszcze w podaniach, a czasem znajdzie się nawet tu i ówdzie jakaś jednostka, o której lud twierdzi, że umie ona zaklinać duchy, albo wywoływać czartów i do swoich ich celów używać. Szczególnie *o w c z o*-

r z e mieli się zajmować tego rodzaju rzeczami. Do celów owych mieli się oni posługiwać c z o r n o m k s i o n ż k o m, przy pomocy której mogli bez narażenia się na niebezpieczeństwo w konszachty z duchami wchodzić. We Wielkich Kończycach, leżących w sąsiedztwie Małych Kończyc, miał żyć taki pastuch owiec, który pewnego razu, gdy przyszło "o g r o m n e s ł o ŋ c e, tak że nie można było nigdzie cienia znaleźć, wyszedł ze swoją czarną księgą na pole i z jej pomocą żar słoneczny zmniejszył. Potem jednak, jeszcze za swego życia, cierpiał on tak wielkie cielesne i duchowe męki, że musiał spalić swoją tajemną księgę i wyrzec się wszelkich czarodziejskich sztuk. Tacy ludzie są pod nazwą c z o r o w n i k ó w znani daleko i szeroko na Śląsku. Obok takich czarnoksiężników z zawodu zajmują się jednak zaklinaniem i wywoływaniem złych duchów i ludzie prywatni. We Frysztacie, powiatowem miasteczku śląskiem, miał jeden z mieszczan o północy wywołać dyabła, stanąwszy w kole, zakreślone kredą święconą, i mając obok siebie na wszelki wypadek święconą wodę. Celem jego było dowiedzenie się od szatana, gdzie się jakiś wielki skarb w ziemi znajduje. Dyabeł się ukazał i pokazywano nawet niewiernym odciski jego kopyt na glinie izdebnej podłogi, ale mieszczanin podobno nic u niego nie wskórał. W Piotrowicach, mających przy linii kolei północnej własną stację, miał znowu jeden g a z d a zniewalać duchy do posłuszeństwa sobie. Musiał on z czarną książką w rękę obejść przed wschodem słońca całe swoje pole razem z obejściem, czytając z tajemniczej książki treścią odpowiednie ustępy. Robił on to w tym celu, by mu nie kradziono jego własności. Ginęły mu bowiem często obręcze na beczki, ze s t r o m ó w zrobione i brony do bronowania pola. Jakoż od tego czasu nie pokazywało się to więcej, ale wieśniak musiał za jakiś czas potem książkę czarną zniszczyć, gdyż czuł ciągle wyrzuty sumienia.

4. Duchy snu.

Zwykłe i niemal codzienne zjawisko somnambulizmu i lunatyzmu uważają ludzie małokończycy za objaw jakiejś nieczystej siły, lub też za wodzenie przez duchy, władające nad snem człowieka. Przy ich też pomocy może człowiek wykonywać najbardziej karkołomne ćwiczenia gimnastyczne, bez narażenia się

na utratę życia. Jeśli takim duchom spodoba się jednak, usunąć człowieka ze świata, to mogą one to łatwo uczynić, odbierając chodzącemu we śnie przytomność, względnie równowagę. Zdarza się to jednak w bardzo nielicznych wypadkach. Tego rodzaju kludzenie po śpionczku zachodzi w Małych Kończycach nader rzadko, stąd też lud nie ocenia w zupełności tego chorobliwego objawu i nie wyrobił sobie jeszcze co do tej kwestyi stałego i jednolitego przekonania. Jedni przypisują to duchom, jak już powiedziałem, inni uważają to znowu za czyisto duchową chorobę, idąc w tem za zdaniem ludzi oświeconszych.

Jednym z najbardziej dla człowieka nieprzyjaznych duchów jest *mora*, nachodząca ludzi tylko we śnie. Lud nie odnosi zjawisk, ukazujących mu się we śnie, do zjawisk czysto fizycznej natury, tylko twierdzi niezbitcie, że jest to działanie zmory, która się rzeczywiście ukazuje i człowieka dusi. Przybiera ona zazwyczaj olbrzymią postać, sięgającą aż do powały. Mimo swego ogromu może ona nawet przez dziurkę od klucza przeleźć. Zwykle jest to piękna i smagła cyganka, rośłego wzrostu i o rozwiniętej kibici. Może nią jednak być i wstrętna czarownica i wogóle niedobro kubiéta, co jednak rzadziej się zdarza. Przypada ona do piersi śpiącego i wysysa z nich krew, tak że te nabierają modrej barwy. Jeśli napadniętemu uda się krzyknąć, to *mora* znika. Najlepiej jest jednak w razie takiego wypadku, jeśli ktoś z obecnych przy tem wbije szybko nóż w podłogę, by zmorę w ten sposób do ziemi przybić. Ludzie światlejsi tłumaczą jednak to zjawisko napchaniem żołądkiem, lub też złem leżeniem we śnie.

5. Leśne duchy.

Ciemne i ponure haszcze, z pośród których gdzieniegdzie sosna, lub jodła w górę wystrzela, poprzerzynane małymi strumykami, napełnił lud dziwnymi mieszkańcami. Nazwa *leśnika*, choć rzadko już dziś spotykana, nabawia strachem każdego. Kto to jednakże jest, nikt o tem na pewno nie wie. Jeśli ktoś idzie czasem samotnie przez gaje i zarośla, to go coś straszy. Jednej z małokończyckich wieśniaczek, Annie Foltynce, miał się ukazać jakiś chłop, cały w bieli, który wyszedł z lasu na górze Kamieńcu i stanął na jego brzegu. Gdy ta poczęła uciekać, wrócił

się napowrót do swej ciemnej siedziby. Taki leśnik może przybierać na siebie także i postać zwierzęcą. Najczęściej ukazuje on się jako zając, ale nie obawia się niczego i strzelać do niego nie można, bo się go nie ubije, tylko rozdrażni. Goni on wtedy za człowiekiem i straszy go. Jedynie tylko rzekanie do Wszystkich Świentych może uwolnić napastowanego od tego zawziętego nieprzyjaciela.

6. Duchy domowe.

Znaczenie ducha domowego zeszło w Małych Kończycach, jak się to mówi na psy. W całej wsi nikt o nim nigdy nie słyszał. Że jednak taki duch kiedyś istnieć musiał i rzeczywiście istniał, świadczy o tem po dziś dzień istniejąca pośród tamtejszego ludu nazwa skrzot, albo skrzotek, mająca jednak znaczenie więcej ubliżające, niż pochlebne. Oznacza ona bowiem małego, smarkatego chłopca, albo i dziewczynkę, ubranego niechlujnie i z nieuczesanymi włosami. Jak z tego wnosić można, stało się to imię poprostu przezwiskiem, którego nikt już dzisiaj nie rozumie. Nazwa ta jednak oznaczała pierwotnie ducha opiekuńczego domu, pilnującego w nim porządku. Zdaje mi się również, że i te różne ostrzeżenia, jakie objawiają się przed czyjąś śmiercią, lub też większem nieszczęściem, początkowo takiemu duchowi domowemu przypisywano.

7. Duchy zwodzące.

Zdaniem mieszkańców małokończyckich istnieją pewnego rodzaju duchy błakające się po świecie, których jedynym celem i zadaniem jest zwodzenie ludzi i wciąganie ich w miejsca, gdzieby koniecznie zginąć musieli. Duchy te są w tamtejszych okolicach jako mamony dobrze znane. Przybierają one zwykle na siebie postać i wygląd zwierząt. A więc jest to albo tęga krowa, przeważnie czarnej maści, lub też gronotne cielő, które masarczyk, także duch, zdaje się prowadzić na zabicie, albo wreszcie i szkowno świnia. Czasem ukaże się taki duch także jako ognista beczka, która toczy się jakiś czas po drodze i wpada potem do wody, znikając zupełnie z oczu ludzkich. Zjawiają się też te widziadła najczęściej koło wody, aby tem łatwiej mogły kogoś do niej wciągnąć. Nieraz, gdy ktoś

idzie przez kładkę nad wodą, kładka zaczyna pod nim krumpić i trzeszczeć, co powoduje czasem i to, że przechodzący chcąc, nie chcąc, do wody wpada. Takie zwodzące duchy zaczynają działać dopiero wieczorem; zdarza się jednak, że i w południe się one ukazują. Ten motyw wskazuje na to, że pod tymi mamonami należy także rozumieć i południce, których nazwa jest w Małych Kończycach nieznaną. Zdarzyło mi się spotkać z takim pomieszaniem nazw i w Wadowicach, powiatowem miasteczku w Galicyi, gdzie, jak mi jeszcze dnia 24-go lipca, 1901 roku, mój kolega szkolny, Kazimierz Grudniewicz, opowiadał, miały się też we wodzie Choczenki, małej rzeczki tamtejszej, wpadającej z lewego brzegu do Skawy, ukazywać o dwunastej godzinie w południe różne zjawiska, jak n. p. sunący się po dnie rzeczki zegarek, pływająca gęś, topielec, na kładce siedzący, albo też mały, czerwono ubrany chłopczyk, które to zjawiska nieostrożnych do wody zwabiały i zatapiały. W tamtejszych okolicach nie znano również wtedy nazwy południc, a widziadła te określano tylko jako strachy, nazwą, która nie zawiera w sobie zresztą żadnej dokładniejszej definicji.

Do duchów, omamniających ludzi, należą także i nocznice, ukazujące się, jak na to sama ich nazwa już wskazuje, tylko w nocy. Mniej o nich już dzisiaj w Małych Kończycach słyszeć, ale prawdą jest to, naturalnie w wierzeniach ludu tamtejszego, że chcą one człowieka "omotać i na zgubną wprowadzić go drogę. Jednemu chłopu miała się taka nocznica ukazać jako mały chłopiec i wodzić go po polach, łąkach i groblach wzdłuż stawów, aż do samego rana. Szczęściem nie wpadł on do wody, a ocucił się na jakiejś bruździe między zagonami. Niekiedy znowu zjawia się ten duch nocny pod postacią małego światełka, które skacze, biegnąc przed człowiekiem i zbija go z tropu. Nie należy w tym wypadku identyfikować nocznicy z błędnym ognikiem, gdyż ten ukazuje się tylko na moczarach, a świecąca nocznica tylko na miejscach suchych. Zdaje mi się jednak, że lud śląski pomieszał pojęcie tego ducha z pojęciem ducha domowego, a raczej granicznego, gdyż takie światełka ukazują się głównie na miedzach, dzielących dwa różne pola, do różnych właścicieli należące. Rola ich polegała prawdopodobnie w tym wypadku na odpędzaniu w każdy możliwy sposób nieproszonych gości od majątku osoby, którą się taki duch opiekował.

8. Wodne duchy.

Z pośród rodzaju tych duchów, co ludziom nie wydają się wiele czynić złego, wyróżniają się duchy, przebywające w wodzie. Znane są one w Małych Kończycach pod nazwą *utopców*, lub też *wasermónów*, imieniem, świadczącym najlepiej o tem, jak z czasem zanika rodzimy pierwiastek, nawet i w takich kwestiach, jaką jest tradycja wierzeń. Takie *utopce* przebywają najchętniej w rzece, albo w stawach, jeśli woda ich jest niezmaconą, lub też przy źródłach. Nie gardzą one jednak i *barzeńami*, tarzając się z ochotą w ich błocie. Ukazują się one dość często, a wiedzą o wszystkim, cokolwiek ktoś robi. Jednej babie miał się w chwili, gdy ta bieliznę w rzece prała, ukazać taki *wasermón*, i powiedzieć jej, że widzi i słyszy wszystko, co ona tylko mówi, lub czyni. Zazwyczaj wynurza się utopiec z wody tylko częściowo, ale niekiedy wychodzi on także i zupełnie ze swej siedziby, ukazując się nawet i w *cierniach nadbrzeżnych*. Określają go, jako *dziwnego zwierza*, który ludzi straszy, nie wyrządzając im jednak żadnej szkody. Nieraz przychodzi do kobiet, piorących szaty w rzece, z prośbą, by mu dały coś, coby mu mogło być potrzebnem. Z wyglądu jest on zwykle mały i ubrany w czerwoną odzież. Naocznie miała go widzieć p. Anna Koczwarowa, żona kierownika szkoły w Małych Kończycach, w pobliskim, niewielkim lasku. Idąc do *kadłubka* po wodę ujrzała ona małego *syneczka w strzachatym kłobuku*, tak wielkim, że cała postać *utopca* przypominała swym wyglądem jakiś olbrzymi grzyb. Nagle chłopiec ten znikł gdzieś za drzewem i, mimo wszelkich poszukiwań, nie ukazał się więcej. Czasem jednak można zobaczyć tego ducha i pod postacią jakiegokolwiek niewielkiego zwierzęcia. Miano go raz n. p. widzieć jako *wiewiórkę*, która z drzewa *plasała* do wody. Nie zobaczono tej *wiewiórki* więcej, gdyż woda, podskoczywszy silniej, niż zwykle, do góry, zamknęła się napowrót za sobą, ukrywając w swej głębi *utopca* przed wzrokiem ciekawych. Takie *wasermony* boją się ludzi bardzo i raczej one przed kimś, niż ktoś przed nimi ucieka. Częstokroć, gdy zobaczono *wasermóna*, stojącego w stawie koło upustu, lub też *koło szawicy*, i zbliżono się do niego, znikał on we wodzie, wykręcając się w ten sposób sianem przed nieuniknioną zaczepką.

Mimo to wszystko żywią ludzie przed nim zabobonny strach. Przyczyna tego leży w tem, że taki uto pi e c lubi osobom, znajdującym się w wodzie, lub koło wody, płać różne figle. Czasem n. p. spowoduje nagłe wezbranie wody w rzece, a gdy widzi, że ludzie uciekają, śmieje się w kułak ze swego dowcipu. Albo znowu wywołuje we wodzie blamborzenie i zsyła wiatr, rozrzucający ognisko rybaków nad brzegiem rzeki, czy też stawu, i wyrwywający rozrośnięte drzewa razem z korzeniami. Gdy rybacy uciekną, naprawia szkodę, przywodząc wszystko do pierwotnego porządku. Czynność w a s e r m o n ó w rozpoczyna się z chwilą, gdy w kościele dzwon rozpocznie na Anioł Pański dźwięczeć. Pochodzenie uto p c ó w jest dwojakie. Są to częścią dusze tych, co mimo swej woli w nurtach wody śmierć znaleźli, i te duchy należy zaliczyć do dusz pokutujących. Częścią zaś są to pierwotne duchy i władcy wody, postacie, należące w wierzeniach ludowych na Śląsku wogóle, a w Małych Kończycach w szczególności, do jednych z najwdzięczniejszych, jakie kiedykolwiek fantazyja człowieka wymyśleć mogła.

Do duchów wodnych należy także j a r o s z e k, często bardzo ze złym duchem na równi stawiany. Pokazuje on się zwykle pod postacią ludzką, najczęściej jako małe dziecko w czerwonej czapeczce na głowie. Miejscem jego pobytu jest woda rzeczna, szczególnie tam, gdzie są miejsca głębokie. Na obszarze małokończyckim ukazuje on się tylko wieczorem i to wtedy, gdy już n a k l e n k a n i e oddzwonią. Jeśli się go przeżegna, znika natychmiast, i jest to jedyny środek na niego. Nazwy j a r o s z k a używają także, chcąc określić niedobry i przewrotny charakter jakiegoś człowieka. Geneza tego ducha jest według pojęć mieszkańców Małych Kończyc dwojaką. Są to albo pierwotni szatani, t. z. ci, którzy z nieba strąceni zostali, albo też dusze, które po śmierci po wodach błąkać się muszą, pokutując za grzechy, za życia popełnione.

Lwów, 1908.

Jan Koczwara.

Bugaj.

Liczne miejscowości bądź lasów, bądź pól lub wsi i ulic zwykle nad wodami stojącymi czy bieżącymi położone, szczególnie po lewym brzegu Wisły aż do Odry noszą nazwę — bugaj.

Wiele już z tych nazw znajduje się w okolicach ziemczonych a przez to i przez nowych posiadaczy nieużywanych.

Bugaj przedstawia podobny typ co Dunaj, który dotąd trafnie nie został wytłumaczony.

Niedawno Baruch w Monografii Pabjanic, Warszawa, 1903 podaje następujące objaśnienie: „Tam, gdzie zbudowało się m. Pabjanice istniała niewątpliwie osada pogańska. O jej mieszkańcach wiemy tylko, w którym miejscu chowali swych zmarłych, a w którym modły swe odprawiali; o tym drugim — o miejscu modłów świadczy nazwa ulicy Bugaj nad brzegiem Dobrzyńki; tu więc był gaj święty, w którym składano ofiary bożyszczom“.

Referent Monografii Pabjanic w Wiśle, t. XVIII. str. 132, p. Witanowski powiada, że „tłumaczenie takie, nazwy Bugaj, miejscowości leżącej zazwyczaj nad wodami nie wytrzymuje krytyki naukowej. Według słownika języka polskiego nazwa ta pochodzi od turańskiego: „buga“ — byk, więc, bugaje mogą oznaczać pastwiska nadrzeczne“.

Rzeczywiście słownik języka polskiego Karłowicza, Kryńskiego i Niedźwiedzkiego pod wyrazem bugaj podaje tylko że pochodzi wyraz ten z tureckiego bugà — byk, ale nie podaje, że buga to pastwisko albo że nadrzeczne. Słownik objaśniał gwarową postać buhaj — byk, ale nie nazwy własne i miejscowe. Historia zaś wcale nie mówi, aby plemiona tureckie przebywały w tych okolicach, koło Pabjanic, i to tak długo, że aż ponadawały nazwy wsiom, polom, lasom lub brzegom wodnym.

Dajmy na to, że kilku przedstawicieli szczepu tureckiego zamieszkiwało w okolicy Pabjanic, z przyjemności czy z musu (jako jeńcy wojenni), to w każdym razie dopiero po wieku XIV, kiedy już nazwy „Bugaj“ spotkać można w dokumentach pisanych i przeto śmiało można twierdzić, że nazwy „Bugaj“ są starsze aniżeli najstarsza turecka wizyta w Europie.

I przeto słusznie twierdzi Baruch, że Bugaj był gajem a nie bykiem.

Może nazwa bugaj oznaczała bogów gaj a w skróceniu bóggaj — bógaj.

Że takie skrócenia mogły się zdarzać w gwarach ludowych, to na to pozwolę sobie przytoczyć z okolic Ślewina wyraz bóg zapłać, oznaczający kapiszon u sukmany lub burki, który to wyraz ma w genet. l. m. postać — bugzapłuf: „na przyszywali takich bugzapłuf do „ołoszek“ (wołoszek — sukman samodiałowych) zamiast jakby należało się spodziewać — bugzapłaciuw.

Że piszą stale bugaj z u, to znów tylko dowód że ó po lewej stronie Wisły równe fonetycznie u.

Czy bugaj był gajem bogom poświęconym i jako taki czczony, czy zawierał może jakie osobliwe przedmioty czci, jak stare olbrzymie drzewa lub zwierzęta (węże, ptaki), czy zawierał z bożyszczami świątynie, do których chadzano składać objaty lub jednocześnie służył i miejscem modłów i omyć obrzędowych i oczyszczeń, gdyż bugaje tylko nad brzegami wód, to na to nie mamy żadnych dowodów, oprócz fantastycznych dociekań.

W „Przyczynkach do słownictwa polskiego, Kraków, 1909, Prof. Brückner przytacza z rozprawy Dra Stanisława Kętrzyńskiego o Gerwazym z Tilbury następujący wyjątek:

„inter Poloniam et Russiam sunt duo fluvia, quorum nomina secundum vulgaris illorum linguae interpretationem Aper et Armilla“. Dr. Kętrzyński uważa Aper za rzekę Wieprz a Armilla za Narew, gdy prof. Brückner czyta Armilla — Bug, gdyż mowa tu o Bugu, dzielącym miejscami Polskę i Ruś i znaczącym Armilla. Otóż to znaczenie, nam dotąd nie znane istniało tylko po słowniczkach cerkiewnych, zapisane bug — armilla.

Bug — boug, nordyjskie boga oznaczało obręcz, obrączkę, przewiązkę, rzecz zagiętą a stąd i znaczenie przeszło na miejscą zagiętą, łukowatą lub zatoki, zagięcia wodne. P. Radca Szymon Matusiak podaje mi łaskawie, że w jego rodzinnych stronach bugaj oznacza przewóz wodny na rzekach, co również wywodzi od germ. boug. — Rocznik slawistyczny tom II. str. 249 podaje wyjątek z artykułu Osten Sackena, pomieszczonego w Indogermanische Forschungen. XXII. tomie: rus. dial. búga niedrig am Fluss gelegener Wald, niedriges, bewaldetes Flussufer,

der Ueberschwemmung gesetztes Waldgebiet — lit. bangà Woge, Welle, łot. buga steiniger mit Gesträuch bewachsener Platz im Felde, sti. bhangas (Bruch, Welle) do sti. bhanákti bricht; rus. dyal. bûžat, Lehm, Sand ausgraben iterat. do bąžiti.

Wobec tego, streszczając powyżej podane pomysły, nasz Bugaj, zamiast domniemanego Bągaj, jak ług — łęg, może i dawniej nic więcej nie oznaczał — z pewnym do prawdy podobieństwem — jak niskie, porosłe lasem, porami zatapiane miejscowości nadwodne bez słowiańskich świątyń i bożyszc.

Międzyrzecze.

W. Witowt.

Z wierzeń i gwary ludu wodnego.

I. Istoty mityczne u flisów.

W papierach, pozostałych po ś. p. prof. L. Malinowskim, znalazł się między innymi rękopis nieznanego autora, prawdopodobnie jednego ze słuchaczy nieboszczyka, zatytułowany: „Zbiór słów i wyrażeń flisackich z okolicy Ulanowa“; rękopis ten użyczony był mi łaskawie do przejrzenia przez prof. A. Kryńskiego. Otóż mieści on krótką wzmiankę o istocie mitycznej, która ma stanowić przedmiot zabobonnej wiary orylów galicyjskich: jestto *Lemuzyna*, przeistoczona, oczywiście, z *Meluzyny*. Owa czarodziejka z legend francuskich występuje w pojęciu naszych flisaków, jako syrena, nimfa wodna, a po swojsku — boginka, staje tedy obok goplany lub świtezianki w rzędzie tych dziewic bajecznych, którymi fantazja ludowa usiłuje ożywić nasze wody. Czy wiarę w istnienie „meluzyn“ podzielają flisowie, zamieszkali w Kongresówce, stwierdzić nie zdołałem. W każdym jednak razie stanowczo oświadczyć mogę, iż wiara ta powszechną wśród nich nie jest.

II. Niektóre nazwy geograficzne w ustach flisów.

1. Chołmno zam. Chełmno, nad Wisłą niem. Culm.
2. Dobrzeń zam. Dobrzyń, nad Wisłą.
3. Fordoń zam. Fordon, nad Wisłą niem. Fordan.

4. Latarnia, dawn. Laternia, nad odnogą Wisły, zwana Leniwka (nm. Danziger Weichsel), którą oddziela dziś od Bałtyku wydłużony ostrów Westerplatte. (P. Sł. Geogr.) Miejsco-wość ta zwie się u kaszubów Mindą albo Myndą, po niem. Weichselmünde, co nasi geografowie przełożyli na „Wisłoujście“.

5. Toroń zam. Toruń, nad Wisłą, niem. Thorn.

6. Wrocławek zam. Włocławek, nad Wisłą¹⁾.

7. Wielebłąg zam. Elbląg, nm. Elbing (u Klonowicza: Olbiąg).

8. Zájchost zam. Zawichost, nad Wisłą²⁾.

9. Bydgoska rzeka zam. Brda, dopływ Wisły, nm. Brahe. Nazwa to dawna. (Por. Wuttke'go Städtbuch des Landes Posen — Lipsk 1877 r., str. 114: fluvium Brda dictum, vulgari vero vocabulo Bydgoska rzeka nuncupatum, dokum. z r. 1637).

10. Sán, zam. San, dopływ Wisły. Stąd pochodne, n. p. Sánowa woda, t. j. przybywająca na Wisłę z Sanu. Formę tę znajdziemy w Volum. Legum³⁾.

III. Przyczynek do Księgi Przysłów

S. Adalberga.

1. Na pamięć Pana Boga chwalić.

2. Kłamać bez Boga Ojca.

3. Szyć dyabłu worek.

4. Droga nikogo nie piastuje.

5. Kto gardy, jé chleb twardy.

6. Zrobić tyle, co kot napłakał.

7. Pocałunek nie uczynek.

8. Poczciwie a dobrze!

9. Tak samo pociągnie siwy, jak i kary.

¹⁾ Wszystkie powyższe nazwy słyszałem z ust szyprów, t. j. żeglarzy zawodowych, jeżdżących na statkach spławnych; pochodzili oni bądź z Polskich Prus, bądź z Kongresówki.

²⁾ Szyprowie mówią poprawnie: Elbląg i Zawichost. Podane zaś przezemnie nazwy używane są jedynie przez mniej oświeconych orylów i zaczerpnięte zostały ze wzmiankowanego wyżej rękopisu nieznanego autora.

³⁾ Obie ostatnie nazwy są bardzo rozpowszechnione zarówno wśród żeglarzy, jak i rybaków na środkowej Wiśle.

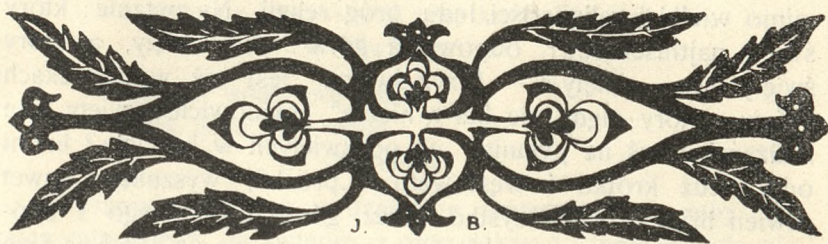
10. Pieczone i warzone (t. j. obfitość wszystkiego).
 11. Jak strzelać, to nabijać.
 12. Wszystko w jednym worku.
 13. Mieć życie i przykrycie.
 14. Z poboru żołnierz — Z żołnierza swawola, a z swej woli — niewola ¹⁾.
 15. Ost — rybacki trost ²⁾.
 16. Zyda — rybacka biéda ²⁾.
- Warszawa.

Bolesław Ślaski.



¹⁾ Historyczna ta przypowieść wyjęta jest z Pism Mikołaja Ligezy, kasztelana Sandomierskiego (ob. wyd. Turowskiego — Kraków 1859 r. str. 10).

²⁾ Oba te wyrażenia przysłowiowe zaczerpnięte są z gwary kaszubów nadmorskich. Pierwsze z nich (15) podaje w swym słowniku w formie dyalektycznej St. Ramułt, drugie zaś zapisałem bezpośrednio z ust rybaków helskich. Znaczenie: wiatr wschodni (ost) jest wielce pożądany, gdyż napędza ryby, ciągnące gromadami. ku zatoce Gdańskiej (Danziger Bucht); natomiast południowy wiatr (zyda), który dmie od strony lądu, ryb przypędzić nie może i dlatego pomyślny nie jest.



MATERIAŁY I POSZUKIWANIA.

Zagadki i łamigłówki

górali polskich w Tatrach i Beskidach.

Zebrał

G. SMÓLSKI.

Podczas gdy przysłowia górali polskich, w szczególności tatrzańskich, odznaczają się przebłyskami bystrości umysłowej i wrodzonych temu ludowi zdolności, niemniej roztropnością, opartą na doświadczeniu życiowym, jako też często głębszymi poglądami, obejmującymi nawet filozoficzne i religijne zagadnienia przy gładkiej a jędrnej i prostej myśli, — cechuje zagadki i łamigłówki góralskie przede wszystkim zdrowy i czerstwy humor.

Na pytanie: jak idzie pies? brzmi odpowiedź po prostu: jak i suka. Dlaczego zaś wrona leci do lasu? odpowiadają: bo las do niej nie przyleci, a jeśli kto troszczy się łczkiem i rozbija sobie głowę, co się z nim stanie, gdy skończy rok 14, góral odpowiada bez namysłu, iż zacznie rok piętnasty.

Przy prostocie i szczerości przekracza humor ludowy, mimo wielkiej religijności ludu, próg religii. Na pytanie: który święty najtłuściejszy? odpowiada góral: olej święty, a który święty bez — pięty? — krzyż święty. Jest też w zagadkach święty, „który nigdy nie był w niebie“, mianowicie: święty stan małżeński; zaś na pytanie: co po świętych w kościele? brzmi odpowiedź krótko i węzłowato: „proch“, wyszukano nawet pewien brak u nadewszystko przez górali wielbionego i ubóstwianego Panie zusa: gdyż na pytanie: „ce go Panie zusa nimo?“ daje góral odpowiedź: brata.

We wszystkim tem — aczkolwiek tu i owdzie ujawnia się nawet bardzo wielka rubaszność jak n. p. w zagadce: „Ftóry święty bzdzi?“ — „Ojciec święty, bo człowiek“ — uderza trafność spostrzeżeń i wielka logiczna prostota, która objawia się śmiało i mimo wielkiej religijności ludu nie cofa się przy szczerości i otwartości przed ojcem świętym, świętymi w kościele, olejem świętym, świętym krzyżem, nie mówiąc już o świętym stanie małżeńskim.

Bardzo śmiało brzmi też w łamigłówce pytanie: „Ftóry święty spał z swojom matkom a grzechu nimioł?“, chociaż odpowiedź na to przystojna i bardzo niewinna, bo tym świętym jest „Jadam, kie społ na ziemi“.

W innych zagadkach odzywa się skoczna werwa jak n. p.:

Wesołe drzewo, wesoło śpiwo,
koń na baranie ogonem kiwo.

(Gęśle).

Gładką formą i zdrowym dowcipem odznacza się wiele zagadek i łamigłówek, w szczególności górali tatrzańskich jak np.:

W lesie było, liście miało,
a teraz nosi duse i ciało.

(Kołyaska).

albo: Jaka woda da się nosić w rzadkiem?

(Zamarznięta).

Fto dba, ten nimo,
fto nie dba, ten mo.

(Pajęczyna).

albo: Serce niciane, ognista głowa,
a ciało na tem — wół albo krowa.
(Świeca).

Jak mo wodę, pije wino,
a jak nimo, pije wodę.
(Młynarz).

Wkraczają one też w dziedzinę matematyki, a żeby dać trafną odpowiedź na pytanie z tego zakresu, trzeba zaiste nie mało łamać sobie głowę.

Pyta góral „b u d a s z a“ (cieślę), ile sędziołek trzeba na dobry dach? a gdy ten zawodowiec odpowie, że sto kop — pytający się potrząsa głową z uśmiechem „p a d a j ą c“: „Ale gdzies tam, kie dak dobry“. Gdy na dachu siedzi 24 wróbli a kto strzeli do nich i zabije 12, możnaby myśleć, iż pozostało jeszcze 12 wróbli. Byłby to jednak rachunek mylny — „bo rešta uciekła“. „Dwa syny i dwa ojce zabili trzy zające a każdy z nich niósł po jednym“. Moznaby przypuszczać, iż z trzech zająców zrobiło się jakimś cudem cztery. Gdzież tam! Choć było dwóch ojców i dwóch synów, nie było tam więcej jak trzech ludzi: dziad, ojciec i syn względnie wnuk, wszak dziad i ojciec są ojcami, a ojciec i syn — synami a więc „dwok ojców i dwok synów“. Gdy zaś „brat ze siostrą a mąż z żoną naleźli cztery j a b k a pod jabłonią“ i „kazdemu sie po jabku dostało, to jesce jedno ostało“, bo — było ich tylko troje: mąż, żona i brat żony.

Wogóle należy zaznaczyć, iż góralom tatrzańskim trzeba podobnie jak co do przysłów, przyznać bardzo znaczną wyższość również na polu zagadek i łamigłówek nad góralami beskidowymi. Pomiędzy jednymi a drugimi zachodzi też wielka różnica, chociaż gwarowo są blizcy sobie. Humor górali beskidowych zupełnie inny, polegający więcej na grze cudacznych wyrazów, przekręcań, jest więcej zewnętrzny, że się tak wyrażę, jak tego dowodzą następujące przykłady:

koło woźne,
widły gnojne,
pośladu klepica,
hop tak!
To jest k i n d e b a n k !

(Skrzynka do rznięcia sieczki).

albo:

„Mój frajerze masz co chyzu?“

„Mam nad fimerami pod literami dwa mamra i półtora fera“,

co ma znaczyć: mam nad świniami pod liściem ukryte 2 kielki i 1½ sera.

albo: Pytała sie szkarparyja (mysz) karparyje (szczura), czy jest hapka (kotka) w domu. A ona mu odpowiada: Jest, jest, leży na „beretyku“ (łóżku).

Zauważyć należy przy tem, iż „kindebank“, „fimery“, „mamra“, „fera“, „szkarparyja“, „karparyja“, „hapka“, „beretyk“ nie są bynajmniej wyrazami gwarowymi, lecz dowolnymi wymysłami mającymi na celu wywołać wesołe wrażenie.

Zbiór niniejszy, bynajmniej nie wyczerpuje przedmiotu; oby jednak stał się pobudką dla miłośników ludowości polskich do dopełniającego zbierania wśród naszych górali zagadek i łamigłówek!

Piśmiennictwo:

Dembowski Bronisław: Słownik gwary podhalskiej. Kraków 1894.

Kantor J.: Czarny Dunajec. Materyały antr.-arch. i etnograficzne Akad. Umiejętn. Kraków 1905 t. 9.

Kopernicki I.: Zagadki i łamigłówki górali beskidowych z okolic Rabki. Zbiór wiad. do antrop. kraj. Kraków 1877.

Zawiliński R.: Przyczynek do etnografii górali polskich na Węgrzech. Kraków 1896.

Skrócenia: Górale beskidowi = b., Spisz = sp.

I. Zagadki.

1. W lesie było, liście miało,
przyszło na wieś, zabucało.
(B a s y).

2. Drzewo trześci,
baran wrześci,
koń ciągnie — a hłop popyha.
(Basy).
3. Sto dziurek,
sto bamburek,
w kozdy dziurce
po bamburcy.
(B r o n a).
4. Hodzi po ulicy.
na tysięce hustki licy,
mogłem byk przysiondz,
ze ik mo tysionc.
(G ę ś).
5. Ka ty idzies krzywa, nie prosta?
Co tobie do tego często golona.
(W o d a i ł ą k a).
6. Stoi panna we wrotak
w dziewięciu kabatak, —
jak jom rozbierali,
to nad niom płakali.
(C e b u l a).
7. Nim sie ociec urodzi,
syn już po domu hodzi.
(Ogień i dym),
8. Nimo rąk, nimo nóg, na dah wyłazi.
(Dym).
9. Wisi a nie trzymo sie.
(Dym p. 8).
10. Rycy wół
na sto gór,
a na cały świat go słyhać.
(P i o r u n).
11. Pełna baryłka winą,
a w nij dziurki nima.
(J a j o).

12. Pan w cyrwony kamienicy,
Casem gado, casem milcy.
(Język).

13. Kudły na kudły,
coby jajka nie skudły.
(Sen).

14. Jeden pada: pójdmży, drugi pada: stójmy, trzeci pada:
obyrtajmy sie.
(Woda w potoku, kamienie i piana na wodzie).

15. Kiedy sie babie pieni między nogami?
(W skopku, kie doji).

16. Bez cego człowiek nie jes?
(Bez imienia).

17. Lezie, lezie
po zelezie,
nandzie dziurke,
do niej wlezie.
(Klucz).

18. Śtyry koni do jednego lasu lecom, a zaden zadnego nie
zgoni.
(Koła wozu).

19. Cego nawienicyj na jarmarku.
(Mowy).

20. Przysed ćwórnog,
wywrocil trójnog,
przysed dwójnog
i wybił ćwórnog.
(Kot, ryneczka, człowiek).

21. Stoi przy drodze
na jednej nodze,
kto idzie, to mu sie kłania.
(Krzyż przy drodze).

22. Stoi w ogrodzie
na jednej nodze,
mógłbym przysiądz,
ze w tem tysiąc.
(M a k).
23. Malutkie to,
carniutkie to,
wnet cały świat obleci.
(O k o).
24. Nie na tom cie kupował,
zebym z tobą obcował,
ale na to, zebym moje zimne palce
między twoje kudły tkał.
(R ę k a w i c a).
25. Stoi jawor na pośrodku, na tym jaworze jes 12 konarów,
na kazdym konarze po śtyry gniazda, a w kazdem gnie-
ździe po 7 jaj.
(R o k, m i e s i ą c e, d n i).
26. Świenta Ursula
perły rozsła,
miesiącek wiedział,
nic nie powiedział,
słonecko wstało,
pięknie pozbierało.
(R o s a).
27. Fto zrobiel dziadka i babke?
(W n u k i w n u c k a).
28. Wesołe drzewo wesoło spiwo.
koń na baranie ogonem kiwo.
(S k r z y p c e).
29. Co whodzi napierw do kościoła, choć by beł zamkniony?
(K l u c z).
30. Rośnie bez korzenia, kwitnie bez kwiatu,
a służy całemu światu.
(S ó l).

31. Co sie na dahu nigdy nie zedrze?
(Dziura).
32. Cem sie ludzie nawien cyl zdo biom,
(Igłą).
33. Dwanaście Marcinów jednom dusze miele.
(Sprychy w kole).
34. Dłużso zaporą,
niżli komora.
(Sroka).
35. Stoi panna w słupie,
hłop jej gmyro w dupie,
wyjmuje kawalce,
oblizuje palce.
(U!).
36. Cała stajenka białych cielicek,
a na pośrodku cerwony bycek.
(Gęba, zęby i język).
37. Idzie, idzie a nóg nimo,
bije, bije a rąk nimo.
(Zegar).
38. Susom sie biały smaty na zerdzi, a nigdy nie mogom
usknąć.
(Zęby).
39. Jaka to skała nawien cyl w wodzie?
(Skale (kamienie)).
40. Kie hłop przyndzie do lasu, do cego pierwe wetnie sie-
kierę?
(Do kory).
41. Ftóre zwierze widzi jednako z przodku jak z tyłu?
(Ślepe).
42. Święty
a bez pięty.
(Krzyż święty).
43. Bog ciebie nie stworzył.
(Grzech).

44. Cego Paniezuś nimo?
(Brata).
45. Co po świętyk w kościele?
(Prok).
46. Serce niciane, ognista głowa
a ciało na tem — wół abo krowa.
(Świeca),
47. Stoi przy drodze
na jednej nodze,
jak się fto dotknie,
to barzo kłuje.
(Oset).
48. Śtyry dziury,
dwie kaciury,
w każdy dziurze
po kaciurze.
(Koła i oś).
49. Kto dba, ten nimo,
kto nie dba, ten ma.
(Pajęczyna).
50. Na śtyryk nogak stoi,
na jeden się cycek doi.
(Młynek).
51. Święty a bzdzi.
(Ojciec święty, bo człowiek).
52. W jedny izbie było coś i nic; nic wysło oknem, coś
wysło dzwierzami, co się zostało w izbie?
(i).
53. W lesie to było, liście to miało,
a teraz nosi dusę i ciało.
(Kołyska).
54. Wisi bez klinka.
(Dym p. 8, 9).

55. Stoi stojana,
na stojanie kudłana,
na kudłanie pas.
(Kądział na przęślicy).
56. Leci ptosek po ulice,
leliko sie za nim włócy.
(Czołenko tkackie z nitką).
57. Co sie robi samo ?
(Szpara).
58. Kiej sie gwózdź bije ?
(W główkę).
59. Śtyry tyki
dwa patyki,
piąty dmuhac,
(Krowa, jej nogi, rogi i ogon).
60. Przyjechała Niemka
w czerwonych sukienkach,
ją ją rozbierali,
to nad nią płakali (b).
(Cebula p. 6).
61. Leci, leci, skrzydeł nima
siada, siada, dupy nima. (b)
(Śnieg).
- Odmiana:
Leci, leci, skrzydeł nimo;
Gryzie, gryzie, dzioba nimo;
Siada, siada, nóżek nimo.
62. Stoji dziwka za drzwiami
z usranemi nogami.
(Widły).
63. Telo to jako mól,
a zere jako koń.
(Pchła).
64. Kie nawienicyl wojakow ?
(W wojsku).

65. Idzie krzywo, nie prosto.
(Woda).
66. Siedzi pan na dworze,
a włosy mo w komorze.
(Marchew).
67. Leci ptasek
ponad lasek,
otrzepoł mu kwiat.
(Grad).
68. Siwy wół
wypił wody dół.
(Mróz).
69. Siedziwa na siedziwie,
kudława na kudławie,
porvoskiem owinięte. (b)
(Kądział).
70. Las bieje,
woda sie leje,
muzyka gra,
a sićkik doma nimo.
(Starość).
71. Idzie hłop do groma,
dziwo sie do doma.
(Siekiera pod pazuchą).
72. Siedzi doma dziadek,
kazdy mu zażre w zadek. (b)
(Próg).
73. Jedno prosi o dzień a drugie o noc,
a trzecie mówi: jak mi wednie tak mi w nocy,
muse mieć wybłesccone ocy.
(Łóżko, drzwi i okno).
74. Dwa wyżełki cały świat oblecom.
(Oczy).
75. We dnie i w nocy
wywuluje ocy.
(Okno p. 23).

76. Ułatane, ukorpane,
a igłom nie dotykane.
(Krowa kwiatula (w kwiaty)).
77. We dnie zawarte,
w nocy otwarte
i stuka „ham“. (b)
(Łapka na myszy).
78. Stoi panna przy słupie,
trzyma palec se w dupie. (b)
(Kłódka).
79. W lesie krowa rycy, a nimo ani pyska, ani cycków.
(Piła).
80. Stoi panna w oknie,
warkocyk na nij moknie. (b)
(Igła z nicią)
81. Stoi panna w murku
w czerwonym kapturku,
kie jom rozbierali,
to nad niom płakali.
(Cebula p. 6 i 59).
82. Siedzi pan na dahu,
fajci a nimo tabaku.
(Dym p. 8, 9, 53).
83. Dwók braci patrzom,
bez małym goreckę
a nigdy się ujrzeć nie mogą. (b)
(Oczy p. 23, 74).
84. W lesie ścięta,
doma ugięta,
u konia bywało,
z babami igrało. (b)
(Przetak).
85. Proste jes a krzywe być może.
(Zboże, chleb).

86. Ćworniak ozbił trojniak,
a ćwornika bił dwojniak,
ze ozbił dwojniak. (b)
(Kot, rynka, chłop p. 20).

87. Śtery rogi,
zadnej nogi,
bruh wielgi. (b)
(Poduszka).

88. Ćterek wojakow do jednego bijom dna,
a nie mogom go przebić.
(Dojki u krowy).

Odmiana:
Ćterek hłopow do jedne capki strzelajom,
a zaden przebić jej nie moze.

Odmiana:
Ćtere kule do jednego dna walom
A dziury w nim zrobić ni mogom.

Odmiana:
Ćtery klocyska
bijom do jednego capcyska.

Odmiana:
Sztere bracia strzelają do jedneho buka,
a nie mogom go prestrelić (sp).

89. Jak mo wode, pije wino,
a jak nimo wode, pije wode.
(Młynarz).

90. Dziesięci chłopów ciągną drzewo na pierdelową górę. (b)
(10 palców podciągają spodnie do góry).

91. Przysed hłop, kołek wbił,
a dziure ze sobom wzion.
(Wypróżnił się).

92. Nie na tok cie brał,
abyk z tobom spał,
ino bym gołe ciało
w twoje kudły tkał.
(Rękawica p. 24).

93. Nie rośnie, nie kwitnie,
całemu sie światu przyda.
(Sól p. 30).
94. W kosuli sie rodzi,
a nago hodzi.
(Ser).
95. W studni
dudni
a na wirhu wre.
(Maśniczka).
96. Rok rośnie, rok kwitnie,
rok zre a czwarty rok
zbierajom. (b)
(Jałowiec).
97. Gaj
mrugaj,
sapajka,
papajka,
bębenek i trąbka. (b)
(Ślimak).
98. Bieres, krzycy;
kłades, krzycy. (b)
(Łańcuch).
99. Wierczam, obiadowam i śniadam,
a zawse przy nim siadam. (b)
(Stół).
100. Hociąj w soli wre, a nigdy nie słone.
(Jajo p. 11).
101. Wyzse jak koń, mniejse jak pień.
(Siodło).
102. Wylaz gamrat na gamratke
gamratce sie ulechcyło,
gamratowi cięże było. (b)
(Jeż na gruszy).

103. Święty był, święty jest,
a nigda w niebie nie był.
(Święty stan małżeński).
104. Leci ptasek
popod lasek,
sypie mu sie z rzyci piasek.
(Paprzyca w młynie).
105. Chodziła baba do baby;
pozyc ze mi merdawy,
ino chwile pomerdam,
zaraz ci je oddam. (b)
106. Stoi pan pod ścianą,
ma pytkę kościaną. (b)
(Sąpel z lodu na dachu).
107. Po białej gorze,
gęsiami orze,
carne proso sieje,
nigda go nie zbiera.
(Pismo).
108. Zielone jak łąka,
bieluśkie jak mąka,
ogonek jak u mysy.
(Rzepa).
109. Dwie halpy pod jednym daskiem.
(Podogonie u kłaczy).
110. Gazdzie nie trza,
nikomu nie trza,
a w kozdym domu jes.
(Szpara).
111. Trzy konie
o jednym ogonie.
(Widły z trzema zębami).
112. Cego na mnie żrys?
lepie na mnie wleś;
mnie sie ulzy, a tobie poprawi.
(Grusza z gruszkami).

113. U nos siedzi taki panek,
co ma wiencyl jak sto ranek.
(Kłoda, na której rąbie się drzewo).
114. W jednej wsi drzewo rombiom,
a w drugiej trzaski lecom.
(Dzwonienie).
115. Nie rodziła się
a wydała się. (b)
(Ewa).
116. Zawdy idzie a nie sporo mu. (b)
(Zegar i słońce).
117. Cztery nogi, dwie podeszwy,
Dusze niema, dusze nosi.
(Kołyska p. 52).
118. Hudyk kobył pełna stajnia,
a jak jedna wleci, sickie ucieknom.
(Chleb w piecu i łopata).
119. U hudobnego zawse klepie.
(Bieda).
120. Hodzi hłop po polu, zawdy zbiera
a nigdy nic nie nosi.
(Kosa).
121. Śtery rogi a pośrodku bandzioch.
(Pierzyna).
122. Dwa okrągłe, jeden długi,
smyk do dziury
między mury. (b)
(Chleb na łopacie).
123. Za zywota góry wala,
a po śmierci hodzi do kościoła.
(Wół i kierpce).
124. Pośród świata dąb stoi,
a do kazdy hałupe gałonzki wisom.
(Słońce).

125. Śtyry tyki,
dwa patyki
a siemy omiatac.
(Krowa p. 58).
126. W dębowy skrzyni
dziaduś babe ślini.
(Olejarnia).
127. Fto nie widał nigdy dzwirzy na kościele?
(Ślepy).
128. Jaka woda da sie nosić w rzadkiem.
(Zamarznięta).
129. Jeden święty mo dwie głowy, 2 duse, 2 serca, 4 ocy,
4 nogi i 4 ręce.
(Święty stan małżeński p. 102).
130. W górak śnig, w dołak woda,
przyjaciela doma nimo,
jeś sie kce.
(Starzec lub staruszka, siwa, w oczach łzy mająca, bez
zębów).
131. Koło wożne,
widły gnojne,
pośladu klepica.
Hop tak!
To jest taki kindebank. (b)
(Skrzynka do rznienia sieczki).
-

II. Łamigłówki.

1. Do jakich sudów nie da się wina dolać. (sp.)
(Do pełnych).
2. Cy mozna z takim człowiekiem jeś, pić i spać, kie dusa
z niego wyleci?
(Można. — Kobieta, która porodziła dziecko).

3. »Wiedzom oni tez, kielo gontów trza na dobry dah?«
»Z tysiã kop?«
»A, na co tyle, kiedy dah dobry«.
4. Było 24 wróblu na dahu, hłop strzelił do nik i zabił 12;
ile jesce zostało na dahu?
(Zaden, bo rešta uciekła).
5. Bez cego hłop z lasu nie przyjedzie?
(Bez nawrotu; kie nie nawróci, doma nie wróci).
6. Co hłop naprzód powie, jak do lasu przyjedzie?
(A ho! — zeby konie stanęły).
7. Co moze być we dnie?
(We dnie becki moze być dziura, kołek, sęk).
8. Cem zyje mularz w lecie?
(Tem, co i w zimie).
9. Co sie stanie z wroną, jak jej minie siedem roków?
(Na ósmy się ji uobróci). (b)
10. Jak kowal kuje konia?
(Tak jak kobyłę).
11. Po co wrona lata do lasa?
(Po to, po co do wsi).
12. Kielo u owcy mięsa?
(Co skóra obejmie).
13. W którym miesiãcu ludzie jedzom nomniej miesa?
(W gromnicniku (lutym), bo najkrótszy).
14. Co lepiej, cy na umarłej babie leżeć, cy grok skwaśniały jeść?
(Lepiej na babie leżeć, bo to stolica (ława) a grok skwaśniały to gównu). (b)
15. Z cem cłek co rano wstawo?
(Z starościom, bo co rano starsy).
16. Ftóry świenty mo troje usu?
(Św. Floryan, dwoje własnyk a trzecie u dzbana, z którego leje wode).

17. Jaki kamień teli jak głowa, a nie zdoles nim wytłuc okna?
(Ziarnko piasku, tele co głowa maku).

18. — »Mój frajerze. masz co na chyżu« ?

— »Mam pod fimerami, pod literami dwa mamru
i 1 1/2 fera«.

(Nad świniami pod liściem mam ukryte dwie kukielki i 1 1/2 sera). (b.)

19. Pytała sie szkarpanyja (mysz) karparyje (szczura),
czy jest h a p k a (kotka) w domu. A ona mu odpowiada:
»Jest, jest, lezy na b e r e t y k u (łóżku)«. (b)

20. Lo cego leci kruk do lasa?
(Bo las do niego nie przyleci).

21. — »Co wołą, czy srebrną laseczkę, czy chrobaków beczkę?«
— »Wolę, chrobaków beczkę, bo to są pszczoły, a srebrna
laseczka, to grad. (b)

O d m i a n a :

— »Co wołą, czy usraną trzaseczkę, czy złotą laseczkę?«
— Wolę, usraną trzaseczkę, bo to placek z masłem,
a złota laseczka to gad«. (b)

22. Brat ze siostrą a mąż z żoną
naleźli cztery jabka pod jabłonią.
każdemu się po jabku dostało,
a jeszcze jedno zostało.

(Bo było ich tylko troje: mąż, żona i brat żony).

23. Dwa syny i dwa ojce
zabili trzy zające,
a każdy po jednym niósł.

(Dziad, ojciec i syn — było ich tylko troje). (b)

24. Wiele jaj zjadł Goliat na cco, kie wyrusoł na zydów?
(Jedno, bo choć jadł wiencyl, to już nie na cco).

25. Cy krowa ma wiencyl mleka, niz skopiec?
(Mo, bo skopiec mleka nimo).

26. Wiele jagod na trześni?
(Tyle co ogonków).

27. Co to jest, co hłop barz często widzi, król rzadko a Pan-
bóg nigdy ?
(Hłop widzi hłopa barz często, król króla rzadko, a Bóg Boga nigdy).

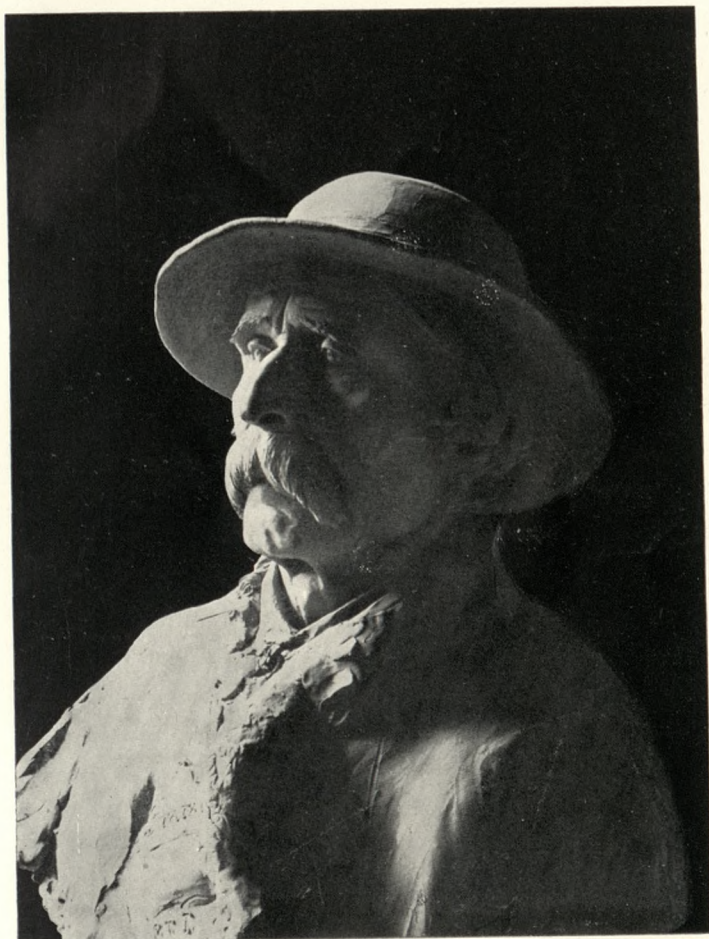
28. Ftóre owce majom wiencyl mleka, corne, cy białe ?
(Te, ftóryk jest wiencyl)

29. Wiele jest dni od stworzenia świata ?
(Siedem od ostatniej niedzieli).

30. A coż to za zwierz taki.
obrośnięty, w koło kłaki,
styry nózki, dwa pazurki
i ogonek koło dziurki.
— »Powiedz ty mi, kaj ty siadas ?
a ja nie wiem, co ty gadas«.
— »A ja siadam na przypiecku,
jadam sobie po serecku,
po garnecku mleko schlapie
i ku temu myske złapie
a ja wtenčas dobrze żyje,
kie gospodarz świnie bije.
A ja zjem sperki bez soli,
mnie ta na to brzuk nie boli. —
— Gospodyni zaświeciła,
swoje spyrki zobaczyła;
wyłamała kije z płota:
Moje dzieci bijcie kota!
a ja sobie hop na górę,
całujcie mnie sićkie w dziure;
a ja sobie teraz pan,
bok na górze lem ja sam.

31. Jak idzie pies ?
(Tak jak suka).

32. Ftory świenty społ z swojom matkom, a nie popełnił
grzechu ?
(Jadam, kie społ na ziemi).



SZYMON TATAR.
(RZEŻBA WOJCIECHA BRZEGI).



MATERIAŁY DO POZNANIA GÓRALI TATRZAŃSKICH.

Zebrał

WOJCIECH BRZEGA.

Uwagami i słowniczkiem opatrzył dr. Franciszek Krček.

(Ciąg dalszy).

IV.

Syncio Tatar.

„He, Wojtku! Juz mi grajom. Lém sie zmirknie, pełnućko ik izba. A i koło węglów stojom. Jo juz, Wojtku, po kolana w ziemi. Juz to przychodzi cas. Przychodzm po mnie towarzysio. Syćko, cok w młodości robił, wraco sie teroz. Ci, cok ś nimi parobcył i narobił, przychodzm po mnie. Kany jaki Mateja, Lamek Wojtek, Dziórulin Jaś, Jędrek Krzeptowski, Sabała — syćko ci moi towarzysio i rówieśnicy. Ba haj! z muzykom przychodzm. To owine głowe w zoglówek, ale co byś ta — przy samućkiěj głowie mi grajom. Ba, kie zaświce patycek, to ani jednego w izbie nima“.

Stary Tatar nie chciał się dać śmierci zabrać. Wyschnął, twarz się mu ściągnęła, zeżółkła, trząsł się cały, ale matury swojej nie popuścił. Zawsze pięknie obuty w kierzpce, portki na nim bez zgurbki leżały, oczy tylko zamglone nie miały już tego ognia i téj dumy, która go pomimo wszystkiego nie opuszczała. Ludzie gwarzéli o nim: „E! bedzie tys ta śmierć miała ś nim“.

toniec. Cysto piknie se kose na nim połomie, zakiela go zwłodze, bo to twarde a honorne jak djabli“.

Tatar był podufały, ale nikomu tém nie szkodził. Jak trza było pracować, to ciężko robił, by wyżyć i swoją rodzinę wyżywić. Symcio był jednym z najlepszych strzelców i przewodników. Onto był z tych górali, co pierwsi z Tytusem Chałubińskim Tatry zdobywali, co stworzyli przewodnictwo i przez to taternictwo. Wspomina o nim Chałubiński w swojej „Wycieczce bez programu“, drukowanej w „Kłosach“ przed laty — jako w najtrudniejszym miejscu szedł pierwszy ponad przepaści i dowści-pował. Wspomina o nim Wrześniowski August w swojej pracy: „Tatry i Podhalanie“, drukowanej w Pamiętniku Towarzystwa Tatrzańskiego w roku 1882, jako uciekał przed leśniczym i jego towarzyszem, którzy konno Tatara szosą z jaką wiorstą galopem ścigali i nie mogli go złapać, chociaż ten miał na plecach stufuntowego capa. Tatar skoczył później na zakręcie w las i uciekł. Sam mi o tem opowiadał w sposób następujący: „A nogi tok takie miał, Wojtku, co mie panic (leśniczy) z jakimś drugim horarem na koniak hytali, a ni mogli mie hycić. Selek se od hol i niosek capu w torbie na grzybiecie. Wyhodzę tu z pod Nosola huściokami, kciołek przez dróge i pod regle, a panic tu — najehoł z niedobocka na mnie. Nie było sie ka podzieć i drógom jek zacon uciekać. To ci powiem, zek sie tak niós, cok jaze furkoł. Ka byś ta! nie hycili mie. To były, Wojtku, nogi!“ O innej przygodzie swej w górach tak mówił: „W Rohacak to my jehali na śniegu jakie trzysta siąg. Poślimy z Jasie Dziórulinym na kozy we wiesne i śniegu jesce mocki było od północnej strony. My śli skosami i urwoł sie śnig s nami — takie bołty jehały — lawina — i ostawiło nos na takiěj półce, a to takim pyłem siuhło w doline. To juz tam kieby nos było wzięno—e! Boze jedyny — toby nos były pote liski ozniesły, kieby śnig wyginon, abo by było kości z nos ozeprało. Pošli my na noc w doline — spali my w sałasie, to rano się bida było ruszyć, kiek sie zobłók z kosule, to cyrniuc-kie było ciało“.

Na starość przeniósł się Symcio od syna, ze środka Zakopanego, na Skibówkę, na stary ojcowski plac, gdzie sobie domek w lesie wybudował i tam żyje zupełnie samotnie. Jeszcze przed paru laty wystrugał sobie łyżniki zdobne, spinki z blachy srebrnej porobił, ale teraz już zniedołężniał, wygaduje na starość

i czeka ostatniej godziny, a towarzysio jego co noc przychodzą z tamtego świata i grają mu staroświeckie nuty.

Jeszcze przed trzema laty — pamiętam — jaki był krzepki, pomimo osiemdziesiątki z górą włosy się nic nie srebrzyły i jeszcze go życie cieszyło.

Z ludźmi rad uradzał, mówił mądrze, ale o ogólnych rzeczach, bo gdy zaczął o sobie, to w jego mniemaniu nie było nadeń człeka na świecie. „Jo, Wojtku, nie takbyk się był ozenił, jako Bukowion, kiebyk był kcioł. Jo ci tu powiem: Roz jek zawiód panów do Smeksu (Smokowiec, letnisko węgierskie), ale to nie było tamok tak, jako dzisiok, co jest Untersmek i stary Smeks i nowy Smeks, a i niżny Smeks, dyć i środkowy — dziś sie jik do sto djabłów nakociło! Wte był jino jeden Smeks i tamok w środku w nim był hotel. Jo zawiód panów do hotelu, ułożył jik i wyhodze — wypłacili mnie — nie powiem — w porządku i posełek. Muzyka cygańsko grała przed hotele, jo téz zacon tończyć i tońcem, jakok ta umioł. Tońcem, a jakosi pani, roz z téj strony, drugi z inéj, zachodzi i patrzy, jako jo to tońcem. Kiek skończył, tak ona przychodzi ku mnie i gwarzy, cobyk przyseł ku niéj do hotelu. Jo pote poseł, a ona kozoła przyryktować na stół wina i różne jedzenie i nukajom mie obie z kuharcyskem. Wziónek i pojodek i napiłek sie wina i gwarze: „Musze téz iść ku swoim panom, hnetki sie wróć“. — „Ale się wrócis?“ pytała pani. To ci powiem, ze ino tak fyrcoł piorg z pod nóg, tak jek seł we Felke (Wielicka dolina). To mie pote z kuharcyskem po całym Smekse zesukały i, kie sie pote dowiedziały od ludzi, zek w Polskom poseł, to w łózecku za mnom płakała ta hrabino. Kciała mie wej wziąć na Węgry, tamok do swoich dworów. Byłbyk sie ś niom ozenił i byłbyk se pane“.

— „Dyć-jeście jesce mieli wte swojom babel!“ wtrącam.

„Babe jek mioł, ale się to, Wojtku, nie radzi, jako by to aktu-ratnie być musiało, ino sie godo, jako by to być mogło. Abo i z paniem Modrzojowskom! Kciała ci mie wziąć ze sobom do świata, coby mie w tryjatrze pokazować, bo takiego, jako jo, to nima na świecie — ino jednego takiego kasi w Pradze naśli, a kcieli nos mieć do pory, coby nos w tryjatrze pokazować. Ale jo gazda! Co mnie za niewolo tłuc się po świecie!“

Ostatniemi czasy już nie widać Tatara na polu, siedzi jako duch w swojej chałupce. Syn jego Jędrek jeno zachodzi do

niego z garnuszkami i to jest oznaką, że stary Symcio jeszcze żyje. Podobno już Tatar bardzo na niedołęstwo narzeka i strasznie wygaduje na starość, ale ubiera się po dawnemu, „jak się patrzy“. Flinta mu nad głową wisi, nóż w ścianie zatkany, a pod zagłówkiem pudełko z pieniędzmi. „No, ftóryz tu stary mo ta, jako jo?“, mówi do syna, wysypując złotą monetę na drżącą dłoń.

Jak tak dalej będzie, to życie się mu skotwi i będzie chyba tak wygadywał na śmierć, jak stary Bukowion, co się nie mógł tej zębatej doczekać i bardzo ją poniewierał mówiąc: „Kiz djabli, co sie jej nimogem dockać! Cy juz i óna, wereda, się zestarzała i nimoze łązić? Dyc som jest teroz koleje, to kolejom przyjechać moze, kie jom nogi bolom. Cy juz ino jedna jest na cały świat, cy telo mo z ludziami roboty? He! musiała o mnie zabocyć. Juz jo widzem, ze sie jój niedockom i trza będzie wiecznie żyć“. Ale się śmierć ulitowała nad starym Bukowianem i przysła po niego.

W Zakopanem 1910.

Mistrz Twardowski.

Kilka lat temu ukazało się na łamach «Wisły» (XI. t. 223) ogłoszenie, że pewien uczony polski w zamiarze opracowania podań o Twardowskim zwraca się za pośrednictwem redakcji czasopisma do wszystkich czytelników z prośbą o pomoc przez wskazanie mu materiału w postaci druków, czy rękopisów, odnoszących się do ciekawej legendy. O ile mi wiadomo, po dzień niema w polskiej literaturze naukowej ani jednego studium nad legendą o Twardowskim, wyjąwszy kilka stron u Maciejowskiego w jego „Polsce, aż do I. połowy XVII. wieku“ 1842. (IV. s. 376—436.) i Świeżawskiego. „Przyczynek do studyów nad podaniem o Twardowskim (Bibl. Warsz. 1875. III. s. 205—225.) to dotychczas jedyne, więc najlepsze, prace nad tym bohaterem polskich ludowych podań.

Oczywista, każdy, kto bada legendę o Twardowskim, zmuszony jest z natury rzeczy liczyć się z pracami wyżej wymienio-

nych pisarzy, z tego choćby powodu, że pierwszy nagromadził znaczny na swe czasy materiał faktyczny, drugi zaś w rozprawce swej, dziś już tylko dla historyka literatury mającej wagę, przedstawia tłumaczenia motywów legendy w duchu panującego wtedy tak zwanego «meteorologicznego systemu» poszukiwań w dziedzinie mitologii.

Dziś wszelako, gdy mitologiczne poszukiwania pod potężnym wpływem znajomości etnografii i folkloru zamieniły się z gruntu (np. dla porównania ze sposobem opracowań legendy Twardowskiego — proszę przyjrzeć się wzorowej metodzie badań J. Karłowicza nad zbójem Madejem); dziś, gdy w naszym posiadaniu dla zestawień i wniosków bogaty skarbiec podań, legend i bajek wszystkich krajów, wszystkich narodów kuli ziemskiej prawie, dziś, gdy szereg prac E. Rohdego, O. Zielińskiego, O. Crustusa, A. Marksa i W. Klingera w oślniewający sposób zrekonstruował zaginioną, zdało się na zawsze, autentyczną klechdę; dziś wątpliwej jest wartości rozważać o »historyozofii« postaci Twardowskiego (Świeżawski j. w. s. 225), rozstrząsać ową legendę jako zjawisko »atmosferyczno-kosmiczne« (j. w. s. 211), lub też twierdzić, że »pająk, jego (Twardowskiego) towarzysz w znaczeniu smoka (jak w Pajęcznie) wzięty, jest może śladem wodnistości wśród jakiej rodzi się błyskawica«. (j. w. s. 224—225 cfr. O. Dähnhardt Natursagen. Band III. s. 493).

Budować ewolucyjno-genetyczne systematy i teorie, wprowadzać wnioski i uogólnienia można tylko na podstawie krytycznej analizy dzieł ludowej twórczości — materiału do powyższych badań, a to przez porównanie struktury każdego motywu, składającego się na dany przejaw tejże twórczości ludowej.

Gdy rozejrzymy się w obecnym materiale do badań nad szeroko rozgałęzionym podaniem o Twardowskim, musimy dojść do przekonania, że ten materiał to po dzień dzisiejszy częściowo *rudis indigestaque moles*, częścią zaś ogólnym folkloru źródeł zwyczajem rozrzucony po różnych czasopismach, broszurach, artykułach i t. d. więc też dla badań niedostępny, nieuchwytny.

Wobec tego jeno *viribus unitis*, jak sędzę, możnaby osiągnąć konieczną pełnię danych potwierdzających, lub zaprzeczających historycznemu istnieniu Twardowskiego, więc i owych

podają, gdzie mistrz jako bohater występuje. Przypuszczam, że tylko po tego rodzaju zbiorowej pracy wstępnej, można będzie przystąpić do badania owej legendy na wyżynie wymagań, stawianych dla tego rodzaju poszukiwań przez współczesną mitologiczną wiedzę.

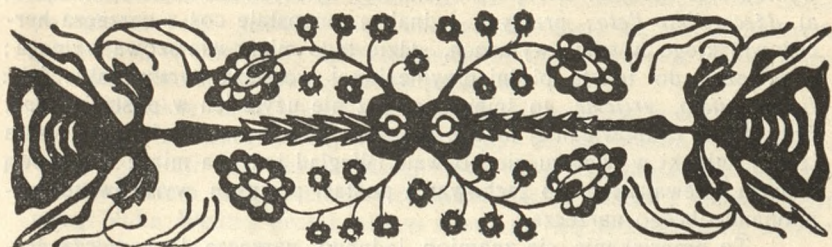
Starodub.

Orest Janiewicz.

Polecamy uwadze Szan. Czytelników powyższą odezwę znanego badacza słowiańskiego folkloru, prosząc o nadsyłanie wszystkich komunikatów w tej sprawie pod adresem: Redakcja «Ludu» Lwów, Ossolineum.

Redakcja.





RECENZYE I SPRAWOZDANIA.



A. Leskien. *Über Dialektmischung in der serbischen Volkspoesie.* Leipzig 1910. (Berichte über die Verhandlungen der kön. Sächsischen Gesellschaft der Wissenschaften zu Leipzig, Philologisch-historische Klasse, 62 Band, 1910, 5 Heft, str. 129—160).

Wiadomo, że teksty pieśni serbskich, jakie lud śpiewa w pewnej okolicy, nie są pod względem języka odbiciem właściwości gwary miejscowej, ale przedstawiają mieszaninę właściwości gwar różnych okolic. Przeciwnie zaś w opowieściach ludowych, które lud powtarza i w ustnej tradycji przekazuje następnym pokoleniom, uwydatnia się czysto miejscowe narzecze ze zmianami jemu właściwymi.

Prof. Leskien w pracy powyżej wymienionej założył sobie wykażać w tekstach pieśni serbskich mieszaninę w zakresie zjawisk fonetycznych, wynikającą z trojakiego sposobu wymawiania pierwotnego brzmienia słowiańskiego *ě* przez ludność serbsko-chorwacką, w różnych okolicach zamieszkałą. Pod tym względem ludność ta dzieli się na trzy grupy, wyróżniane odpowiednimi nazwami; grupy te są: 1. *ekawcy*, t. j. wymawiające pierwotne *ě* jak *e* (bądź krótkie, bądź długie), n. p. *ded*, *svet*; 2. *jekawcy*, wymawiający pierwot. *ě* jak *je*, lub *ije*, n. p. *djed*, *svijet*; 3. *ikawcy*, u których pierwotne *ě* zmieniło się na *i*; *did*, *svit* (opuszczamy tu znaki długości i krótkości oraz akcenty nad literami z powodu braku odpowiednich czcionek).

Na wstępie swej pracy autor mówi, że już Vuk Karadžić w przedmowie do wydania pieśni serbskich (*Narodne srpske pjesme*, Lipsk 1823 ns.) zaznacza fakt, że jeżeli jakakolwiek pieśń z Hercegowiny dostaje się do kraju dolnego, gdzie lud nie mówi narzeczem hercegowińskim, to lud tej miejscowości śpiewa tę pieśń w swoim narzeczu, n. p.

wymawiając *devojka*, *deca*, *leto*, zamiast: *djevojka* albo *dževojka*, *djeca*, al. *džeca*, *ljetu* *l'eto*; przytym jednakże pozostaje coś z narzecza hercegowińskiego w wielu wyrazach, gdzie tego miara wierszowa wymaga; n. p. jeżeli do tekstu pieśni przyniesionej wchodzi wyrazy takie jak: *lijepo*, *bijelo*, *vrijeme*, to śpiewający już nie użyje ich w postaci: *lepo*, *belo*, *vreme* (odpowiedniej formie *devojka*), bo mu na to widoczna strata jednej zgłoski w wierszu nie pozwala. Względ tedy na miarę wierszową zmusza śpiewających do zachowania postaci pewnych wyrazów ze znamionami obcego narzecza.

To przeciskanie się znamion jednego narzecza do narzecza drugiego prof. Leskien ilustruje, podobnie jak Vuk, na wierszach, pochodzących z okolic jekawskich, a przeniesionych do miejscowości ekawskich. Są to pieśni w narzeczu sztokawskim, dziesięciozgłoskowe, z cezurą po zgłosce 4-tej, n. p. wiersz: *on ne ide u bijelu crkvu* (że pochodzi on z okolicy jekawskiej, widać z postaci *bijelu*); następujące po nim dwa wiersze w ustach jekawców winny brzmieć:

već on ide u to polje ravno

te on *sije* *bjelicu* pšenicu

(= ale on idzie na to równe pole i siewie białą pszenicę). Tymczasem wiersz ostatni w miejscowości ekawskiej rzeczywiście brzmi:

te on *seje* *belicu* pšenicu

(Vuk, Narodne sprske pjesme II., Wiedeń 1845, N. 3). A więc w wierszu: *on ne ide u bijelu crkvu*, postać *bijelu* jekawska pozostała niezmieniona, w następnych zaś zamiast form jekawskich: *sije* *bjelicu* wprowadzone są postaci ekawskie: *seje* *belicu*, zgodnie z wymawianiem miejscowych ekawców, do których pieśń z okolic jekawskich przysłała. Forma *bijelu*, jekawska, oczywiście pozostała niezmieniona ze względu na miarę wiersza, gdyż zmiana jej na ekawską *belu* (*on ne ide u belu crkvu*) pociągnęłaby za sobą utratę jednej zgłoski w wierszu.

Podobne zmiany zachodzą w tekstach pieśni ikawskich, przeniesionych w okolice ekawskie, lub też pieśni ikawskich, śpiewanych w okolicach jekawskich. Ikawska n. p. pieśń:

da on vidi, draga *dico* moja,

da l istina što zbori *svitina*

(tak on widzi, drogie moje dziecko, czy to prawda, co mówią ludzie) mogłaby być śpiewana zarówno po ekawsku:

da on vidi, draga *deco* moja,

je l istina što zbori *svetina*,

jako też po jekawsku:

da on vidi, drago *djeco* moja,

je l istina što zbori *svjetina*.

Z tej samej zaś pieśni wiersz:

beg im *plina* pravo *podilio*

(beg między nich rozdzielił zdobycz sprawiedliwie) mógłby być przekształcony na ekawski:

beg im *plena* pravo *podelio*,

ale nie może przybrać postaci jekawskiej:

beg im *plijena* pravo *podijelio*,

wtedy bowiem miałyby dwie zgłoski za wiele i pozbawionyby był cezury po zgłosce 4-tej. Jeżeliby więc taka pieśń dostała się do miejscowości jekawskiej, to miejscowy śpiewak musiałby albo zatrzymać w niej formy ikawskie, albo też wiersz zupełnie przerobić.

Jednakże takie wypadki przechodzenia znamion jednych narzeczy do drugich stanowią tylko jedną z przyczyn tej ich mieszaniny, jaką widzimy w poezji ludowej serbskiej. Sam fakt mieszania się narzeczy, zdaniem autora nie jest tak prosty, jakby wnosić można z krótkiej o tym uwagi Vuka. Według prof. Leskiena mieszanie się narzeczy, jakie widzimy w pieśniach serbskich, może się odbywać w trojaki sposób:

1. Wskutek przeniesienia pewnej pieśni z jej pierwotnej miejscowości rodzinnej (A) do innej okolicy o innym narzeczu (B) i przerobienia z narzecza A na narzecze B, o ile na to pozwala miara wierszowa, albo też odwrotnie.

2. Pieśni mogą powstawać w pewnej okolicy, gdzie już mowa potoczna życia codziennego jest narzeczem mieszanym.

3. Śpiewacy, którzy sami należą do pewnego narzecza miejscowego i mówią nim, umieją też i przejmują pieśni, które już przedstawiają język mieszany, i naśladują go, w tym razie język ich jest językiem sztucznym, a przytem i oni sami mogą przydawać do niego coś z form swojego miejscowego narzecza.

Punkt 1-szy przedstawiają jasno uwagi powyżej już skreślone.

Dla wyjaśnienia punktu 2-go autor przywołuje liczne przykłady pieśni serbskich ze zbioru L. Marjanovića (Hrvatske narodne pjesme, što se pjevaju u Gornjoj Krajini i u Turskoj Hrvatskoj I. Zagrzeb 1864), pomiędzy którymi są utwory, przedstawiające pstrą mieszaninę gwary ikawskiej i jekawskiej (n. p. z wyrazami użytymi w sąsiedztwie: *bila* i *bijela*, *sidoše* i *sjedoše*, *lijepa djevojka* i *lipa divojka*, *hliba biloga* i *hljeba bijeloga* i t. p.)

Przykłady, wyjaśniające punkt 3-ci, przedstawia autor z pieśni w narzeczu czakawskim, którym mówi lud wybrzeża Adryjatyckiego i wysp dalmackich, pomiędzy którymi na szczególną uwagę zasługuje gwara tegoż narzecza na wyspie Lesina (słowiań. Hvar, Far, t. j. staroż. Pharos). Narzecze mieszkańców wysp różni się znacznie i pod względem głosowym i formalnie od gwar sztokawskich. Jest to narzecze ikawskie, t. j. ma samogłoskę *i* zamiast jekawskich *ije*, *je*; w nim także *l* na końcu zgłoski nie przechodzi na *o* (n. p. *pital*, nie *pitao*), w pewnych jednak razach to *l* zanika, n. p. *bi san* (pol. był jeśm = byłem), zam. *bil sam* (sztokaw. *bio sam*); zamiast samogłos. *r* ma zgłoskę *ar* (długą), n. p. *bardo* (góra) zam. *brdo*; *m* w zakończeniach fleksyjnych zmienia się na *n*, n. p. *san* (jestem) zam. *sam*, *s bogon* (z bogiem); brzmienie *dj* (*dź*) zmienia się na *j*: *mlajahan* (młodzian) zam. *mladžahan*; *lj* czyli podniebienne *l'* zmienia się na *j*: *jubav* (miłość) zam. *l'ubav* albo *ljubav*; zamiast końcówek dopełniacza i celown. l. p. *-oga*, *omu* używane są: *-ega*, *-emu*; zaimek pytający ro. nij. brzmi *cza* (čā; w sztokawskim jest *što*); zachowały się w nim dawne formy celownika, narzędn. i miejscow. lm. (nie-*ima*); brak mu dopełniacza lm. na *a* zwykłego w serbskim (*Furaka* = Turków. *noževa* = nożów, *žena* = żon); aoryst i imperfec. wyszły

oddawna z użycia i zastąpione zostały formami cz. przeszłego opiewanymi.

W pieśniach w gwarze tej wyspy z ust ludu spisanych, ale powstałych na stałym lądzie (prof. Leskien jest w posiadaniu dużego zeszycu rękopiśmiennego ze zbioru tych pieśni z r. 1886), znajduje się mieszanina form przyniesionych z innych miejscowości (np. sztokaw. *je sagubio, besidio*) z miejscowymi (*ukopal, san ubil* = zabiłem); obok postaci jekawskich, jak: *bijela*, są miejscowe, ikawskie: *vrima, najlipša, rumenega cvita* (z sztokaw.-jekawskich: *vrijeme, najlijepša, rumenoga cvijeta*) i t. p. Osobliwe są w tej gwarze nowotwory celownika l. m. takie jak: *svojiman sviman Salčaniman* (= swoim wszystkim Salczanom), powstałe przez skrzyżowanie z sztokawskich lub czakawskich, zakończonych na *-ima*, oraz dodanej końcówki celownika lm.-n, zwyklej w tej gwarze (t. j. *svojima-n*). Podobne tedy i zapożyczenia i przekształcenia składają się na mieszaninę językową w tekstach pieśni tej wyspy.

Autor w rozprawie swej daje pojęcie o tej mieszaninie narzeczowej na przykładach, zaczerpniętych z pieśni, które zostały zapisane w wieku XIX-ym. Ale i przed wiekami proces tego mieszania się nie w inny odbywał się sposób. Dowody tego spotkać można w wierszach epickich w. XVI—XVIII, wydanych przez Miklosicha. *Die Volksepik der Kroaten*, 1870 (*Denkschriften der Wiener Akad. Philos.-hist. Klasse*, T. XIX), a bardziej jeszcze w wyd. Bogišića *Narodne pjesme iz starijih najviše primorskih zapisa*, I. Beograd 1878.

W ramach tedy powyżej zakreślonych mamy zawartą treść bardzo ciekawej pracy jednego z pierwszorzędnych dziś slawistów. Rzeczą jest niewątpliwą, że zjawiska w niej rozpatrywane na gruncie serbsko-chorwackim, znajdują także analogie i w językach poezji ludowej innych narodów. Mamy mieszaninę narzeczy również i w poezji ludowej polskiej; dość wspomnieć, że występuje ona w gwarach mazurskich, sąsiadujących z niemazurzącymi, że widoczna jest w pieśniach śląskich na pograniczu z Czechami (ob. Bystrzeń, *Rozpr. Wydz. filol.* XII), jak również w tekstach pieśni górali tatrzańskich, gdzie wciśnięto się dużo przymieszek od sąsiedniej Słowaccyzny, obok innych także zapożyczeń, i t. d. — wszędzie pole otwarte a wdzięczne dla badań dialektologicznych

Adam Ant. Kryński.

Stanisław Schneider. *Badania nad źródłami twórczości Juliusza Słowackiego w ostatnim okresie życia.* (We Lwowie. Nakładem autora. 1911).

Rozprawy, w książce tej pomieszczone, w połowie ogłaszane poprzednio w wydawnictwach peryodycznych i księgach zbiorowych, mają za przedmiot zbadanie źródeł twórczości poety w ostatnim, dotychczas tak mało znanym i wyjaśnionym okresie jego życia. Trzy podstawowe czynniki wyszczególnia autor: ideę palingenezy i jedności duchowej, pomysły saturnowego smoka, czyli węży saturnowego i kosmicznej postaci Helois-Sofos, którego źródłem są gnostyckie zapamiętania, wreszcie rozmaite elementy i formy wiary i wyobrażeń ludowych. Składnik pierwszy,

idea palingenezy duchowej, odzwierciedla się najpełniej w „Samuelu Zborowskim”, stanowiąc podstawę myślowej zawartości dzieła. Trójca uosobień Helion, Atessa, Lucyfer odpowiada trójcy aniołów: słonecznemu, miesięcznemu, globowemu, trójcy: Ducha, miłości, woli. Atessę utożsamia z egipską Athor, boginią miłości; uwidacznia pewne analogie w koncepcji Słowackiego z wierzeniami egipskimi; Słowacki przyjmuje dwie ewolucje: anioła słonecznego i ziemskiego, Heliona i Lucyfera, dążące do „rozwiązań ostatnich” — do wydania człowieka. Atessa utożsamiona w jednym z ogniw rozwojowych z bóstwem kosmicznym Dyana, jest małżonką Heliona, odradzającego się w postaci Samuela Zborowskiego, przedstawiciela ojczyzny. Atessa-Dyana obdarzoną zostaje przez poetę atrybutami, zaczerpniętymi z Apokalipsy św. Jana i ujawnia się jako uosobienie Polski, nowej Jeruzalem. Autor podaje wspólne źródło koncepcji Słowackiego i Apokalipsy (niewiasta, rodząca dziecię, które smok czyhający pożreć zamierza) z babilońskiego mitu. Lucyfer, duch podziemny, a „brat kochany lecz biedny” toruje drogę, rycerzowi dumnemu — niewolnicy w koronie z gwiazd i miesiąca, Polakowi-Polce, ostatniemu przeobrażeniu Heliona-Atessy. Wreszcie wskazuje na analogię idei palingenezy poety z koncepcją ewolucji podwójnej u Empedoklesa. Idea jedności duchowej jest Słowackiemu wspólną z nauką Manichejczyków (wedle wypisu z księgi biskupa Nemezyusa *Περὶ φύσεως ἀνθρώπου*) i gnostyków, godzących swe wyobrażenia z nauką Chrystusa o podwójnej ewolucji: duchów odkupionych (Helion) i pokutujących (Lucyfer). Słowacki-gnostyk, głosiciel prawdziwej wiedzy, nie będącej ani czystą religią, ani czystą nauką staje w krańcowym przeciwieństwie do Mickiewicza, kornego sługi Bożego, opierającego wszystko na stopniu wzmoczonego czucia, wiary, tudzież pewności moralnej, a nie matematycznej, do której dążył i którą utwierdzał autor „Króla-Ducha”. Pomysł powrotu wszechrzeczy zaczerpnął również od Nemezyusza; koncepcja ta, pochodząca od Pitagorejczyków i stoików, doznaje u Słowackiego przemiany na dogmat egipski, ujmujący powrót wszechrzeczy w okresy trzechtryściuletnie; pogląd ten, nazwany przez samego poetę „oszukaństwem”, przeobraża się w zapatrywanie o wieczności odradzających się zmiennych kształtów. Symbolem, przedstawicielem tej wieczności jest wąż czyli smok saturnowy, stworzony i czczony przez wiarę ludową a będący pochodzenia fenickiego; Saturn, pierwsza z tajemnic chrześcijańskich, jest u Słowackiego wyobrazicielem nieśmiertelnego ducha, twórcy wszelkiej materii. Ta wiara ludowa w smoka lub węża, spotykana też w pismach mistyków innych (Boehme, Swedenborga, Nemezyusza) dostała się do nich za pośrednictwem gnostycyzmu; poeta polski zużytkował ludową baśń o królewnie, pilnowanej przez smoka a wybawionej przez rycerza, baśń, którą autor objaśnia na drodze rozważań mitologicznych, jako wyswobodzenie i odrodzenie żywiącej przyrody z letargu zimowego. Uosobienie przyrody-żywicieli, postać kosmiczną Sofos identyfikuje autor z gnostycką Mądrością Sofią, przybierającą u Słowackiego kształty Polski. Węż, tak czczony przez wszystkie ludy już od zamierzchłej starożytności, upostaciowania wybitnych zmarłych spotykamy w wielkiej ilości w Śnie srebrnym Salomei. Porównanie futoru Wernyhory z Trofoniu-

szową jamą naprowadza autora na domysł, że Wernyhora jest duchem pokrewnym Trofoniuszowi, duchowi ziemnemu, żyjącemu pod postacią węża; wspomnianie cudownych źródeł wskazuje na reminiscencję z lektury o grocie Trofoniosa i o spijaniu przed nią napoju z Lety i Mnemozyny; zwycięstwo, tryumfalnem Hosanna z powodu poznania ostatecznej prawdy na łące Edenu przez trójkę duchów: Heliona, Helois i Tłómacza Słowa ogłoszone, a będące ubóstwieniem człowieka, upodabnia autor do prawdy, wieszczonej przez Persefonę, boginię węzów, uosobienie Mądrości, postać wegetacyjną i transformacyjną. Pogląd o dwóch mocach kosmicznych, (dwa na słońcach swych przeciwnych-Bogi), podstawa swą tkwiący w wyznawanej przez twórcę Beniowskiego zasadzie jedności ducha, przejął poeta za pośrednictwem Platona z Empedoklesa. Obrazowanie w pieśni VIII. Beniowskiego w. 37. i nast., mówiące o prawdzie i śnie Boskim, zaczerpnięte z Homera (Odyssea XIX. 560—67), Wergilego (Eneida VI, 893—96), Horacego (ks. III. oda 27, w. 38 i nast.) w treści swej myślowej uznające poprawczą wartość subiektywnej „złudy“, „wiary widzącej“, ujawnia pokrewieństwo pojęciowe z Empedoklesem. Wzmiankę o pieśni jaskółczej w jednym z wariantów „Króla-Ducha“, której początek ma być wedle dr. Sinki homerycki, wyprowadza p. Schneider z tradycji nowogreckiej o obnoszeniu jaskółki, jako zapowiedzi zbliżającego się święta majowego ku czci odmłodzonej przyrody; pieśń jaskółczą w Zawiszy Czarnym, świętej i niebieskiej miłości poświęconą, przeciwstawia pieśni wroniej o miłości gminnej, bladej i oszukującej — obie pochodzenia helleńskiego. Pieśń ta jaskółcza jest poświęcona Bogu domowemu, błogosławiącemu danemu domowi pod postacią węża, wcielenia Dobra, *Ἀγαθὸς δαίμων*; jaskółka zwiastuje herosa słonecznego Jerzego, którego właściwym ptakiem jest kogut, jedna z przemian i przeobrażeń węża, ducha twórczego przyrody. Z innych przyczynków wymienić należy: wyprowadzenie etymologii wyrazu burlak (ks. Marek, s. II. w. 744—752) z nowogreckiego *βουρκόλακας*, oznaczającego zdrowego, czerstwego upiora; termin nowogrecki ma pochodzić z rekonstruowanego przez autora wyrazu starogreckiego: *βοῦκολαξ*, oznaczającego demona pasterskiego. Wyraz Dziedzilla, upodobnionej do helleńskiej Frydy, („Król Duch“), a wyprowadzony z grec. *δαυδαλέα*, oznacza uosobienie tęczy, sprowadzającej deszcz na ziemię; polski „maik“ i „gaik“, pozostający w związku z obrzędami, mającymi deszcz sprowadzać naprowadza autora na serbski wyraz Dodola, z którego powstała polska Dola. Pomysł konia białego, który uniósł Wernyhore (Be iowski, XI. w. 558 i nast., Sen sr. Sal. a. V. w. 448 i nast.) zaczerpnął z Apokalipsy św. Jana (roz. XIX.) wedle interpretacji Swedenborga, który konia ujął myślowo i widzi w nim symbol rozumu; koncepcja, żyjąca w poezji ludowej, wykazuje u Słowackiego oryginalne sprowadzenie dwóch elementów: nadziemskiego i podziemnego do wspólnej miary duchowej. Pająk jest u poety naszego symbolem Boga; wierzenia ludowe upodabniały siatkę pajęczą z krzyżem swastykalnym; Słowacki zlewa je w synonima woli, siły i mocy duchowej Boga, powstałej z pustki, z niczego. Autor „Króla-Ducha“, znający topografię elizjum z Wergilego Eneidy, ks. VI., prawdopodobnie też szczególnie o pszczołach efezkiej Artemidy i eleuzyńskiej Demetery,

widzi w pszczołach („Genezis z Ducha“, warianty „Króla-Ducha“) symbol palingenezy. W Beatrix Cenci uznaje p. dyr. Schneider nowe bóstwo, będące zespoleniem dawnych bóstw żeńskich w myśl synkretyzmu greckiego, jedno z ogniw w łańcuchu kosmicznych wcieleń niewieścich od Pratorani indyjskiej i egipskiej Izdy do Matki Boskiej i do Polski „Piękności, córki łowa“. — Oto krótka treść badań, które szan. autor w księdze swej złożył. Bogata erudycja, dążność do wszechstronnego ujmowania i oświeclania kwestyi, drobiazgowa analiza badanych przez się szczegółów — oto właściwości, jakie w pierwszym rzędzie czytelnika dzieła p. Schneidra uderzą. Jakkolwiek nie można odmówić wartości poczynionym przezeń poszukiwaniom, przecież niezbędnem jest podanie kilku krytycznych zastrzeżeń, modyfikujących lub kwestyonujących bezwzględną ważność sądów autora. Przedewszystkiem nie można się w całej rozciągłości zgodzić na to tak silnie przez autora podkreślone źródło koncepcyi Słowackiego: wierzenia ludowe w najrozmaitszych ich postaciach i formach. Nie były one bowiem bezpośredniem źródłem jego pomysłów; badania wogóle nie dojdą tak prędko do odnalezienia i stwierdzenia wszystkich źródeł; raczej, z analogiami i pokrewieństwami mamy do czynienia aniżeli ze źródłami. Pomysły pewne o charakterze przeważnie symbolicznym, przez lud utworzone, stały się własnością powszechną umysłów mistycznych, symbolami w swem myśleniu operujących; raczej więc do pism mistyków i teozofów po źródła nam zwrócić się należy. Wątpliwemi szczególnie stają się wywody autora wówczas, gdy dla interpretacyi pewnych szczegółów o charakterze raczej poetycko-dekoratywnym, niżeli ściśle ideowym poszukuje źródeł w wierzeniach ludowych nowożytnych lub antycznych; tak n. p. odnosi się to do użycia owych węży, do upodobnienia Wernyhory z Trofoniuszem, zwłaszcza gdy sam autor stwierdza (str. 72), iż porównanie jest tylko niewyraźnie zaznaczone, że sam Wernyhora o wężu nie wspomina, że dęby, kołyszące nad jego futorem „Sybilińskie listeczki“ raczej dębowi w Dodonie (?) niżeli „jamie Trofoniuszowej“ odpowiadać mogą; nie przekonują też zestawienie wzmianki o cudownych źródłach z Lete i Mnemazyne; nie można się też zgodzić na etymologię wyrazu burłak z nowogr. *βουρκόλακας* wobec mechanicznego tłumaczenia autora i dokonanej przezeń rekonstrukcyi antycznego *βούκολαξ*; nie ma też rzeczowej i uzasadnionej podstawy do włączenia Beatrix Cenci w łańcuch rozwojowy wcieleń kosmicznych. Ciekawe i w niektórych szczegółach trafne są wywody autora o genezie pomysłu konia białego z Apokalipsy, o symbolu pająka i pszczoły, o pieśni jaskółczej, (jakkolwiek bardziej przemawia do przekonania wskazanie przez prof. Sinkę początku homeryckiego), o pewnych analogiach z Empedoklesem za pośrednictwem wpływu Platona. Bogactwo erudycyi i poświęcanie baczonej uwagi drobnym szczegółom sprawia, iż autor zbyt dalekie kręgi zaznacza szczegółowym swym tłumaczeniom, które przy uproszczeniu zyskałyby na pewniejszym uzasadnieniu; w każdym razie rozprawy, w książce p. dyr. Schneidra pomieszczone, stanowiące w niektórych momentach ciekawy materiał dla psychologii i rzeczowej interpretacyi twórczości Słowackiego w ostatniej epoce życia, winny być w dalszych badaniach uwzględnione i wzięte pod baczną uwagę.

Lwów.

Mieczysław Kalitński.

Franciszek Gawętek. *Nowe Muzeum w Krakowie.* Nakładem Tow. Muzeum Etnograficznego w Krakowie, 1911, 16^o, str. 14.

W broszurze tej zajmuje się autor sprawami i potrzebami Muzeum Etnograficznego, tłumaczy jego wartość i doniosłość kulturalną, wyjaśnia i wskazuje, co przedewszystkiem należałoby w Muzeum takim gromadzić. Słusznie wzywa autor: „Niech każdy uczeń przyniesie ze świąt jeden tylko okaz przemysłu swojskiego (tj. wytwórczości ludowej), jak to czyni młodzież w Helsingforsie, a już po jednych feryach świątecznych utworzymy wcale pokaźne muzeum. Trzeba tylko trochę dobrej woli, trochę zapału dla sprawy dobrej, szlachetnej, trochę zaparcia się samego siebie, a cel będzie osiągnięty, muzeum etnograficzne się utrzyma, rozszerzy i zacznie rzetelnie oddawać przysługi społeczeństwu. Uważajmy to muzeum za „kościół narodowych pamiątek“ i tam składajmy na ołtarzu wszystko, na co nas stać... Muzeum etnograficzne powołać i utrzymać się może istotnie bez nadwyzajnych kosztów; trzeba tylko powszechnego zainteresowania się jego sprawami, trzeba dobrej woli. Spodziewać się należy, że odezwy Tow. Muzeum Etnograficznego w Krakowie i broszurka Fr. Gawętki, który zresztą około nowego Muzeum położył liczne zasługi, trafią wszędzie do przekonania i znajdą zrozumienie. Wówczas Muzeum Etnograficzne będzie miało byt ugruntowany.

Dr. Miecz. Treter.

Sztuka Stosowana. *Wydawnictwo Towarzystwa Polska Sztuka Stosowana w Krakowie.* Rok 1910. Zeszyt 14. Kraków 1910. Tablic 13+1 nl., 4^o.

Zeszyt ten daje nam poznać w udatnych reprodukcjach artystycznie urządzone wnętrza Sanatorium Dra Dłuskiego w Zakopanem: Czytelnia urządzona według projektu Karola Frycza, Salka muzyczna według proj. Henryka Uziembły, wreszcie Salon, według projektu Jana Rembowski (ten ostatni niezbyt udany, zwłaszcza ściana, reprodukowana na str. 7.).

W dalszej części zeszytu są reprodukcje szkiców Kaz. Sichulskiego do kartonu na mozaikę: „Sztuka“, kartonu na witraż „Wniebowzięcie“ i kartonu na mozaikę „Madonna“. Rzeczy te jednak nie mogą wyjść dobrze w reprodukcji jednobarwnej, czarnej, jako utwory silnie kolorystyczne. Przedewszystkiem zaś należałoby raz wreszcie witraże i mozaiki Sichulskiego wykonać. Zeszyt kończy reprodukcja artystycznej okładki (wyłaczanej w skórze i złożonej ręcznie) pomysłu Bonawentury Lenarta; wykonano ją we wzorowym warsztacie introligatorskim przy Muzeum Techniczno-Przemysłowym w Krakowie.

„Sztuka Stosowana“, jedyne w tym rodzaju wydawnictwo polskie, spełnia swe zadanie bardzo dobrze, a w rozwoju swojskiego przemysłu artystycznego, czerpiącego soki żywotne ze skarbnicy ludowej, odgrywa rolę ważną.

Dr. Miecz. Treter.

Man. (*A monthly record of anthropological science. — published under the direction of the royal anthropological institute of Great Britain and Ireland.*) — Vol. XI. Nr. 1. styczeń.

W szeregu umieszczonych w tym numerze komunikatów największa ilość przypadła na Afrykę. Alexander M. D. daje wykazy ornamentów kobiecych, używanych przez Womdeo-poganki, sekcyi Marghi, od dzieciństwa aż do pożycia małżeńskiego, a składających się z wzniesionych równolegle do rozwoju fizycznego liczby sznurów pereł (z nasion „Cheddia”-drzewa urobionych lub od Europejczyków nabytych) później zaś pasów skórzanych, zasłaniających przód ciała kobiecego, i z żelaznych branzolet na ramieniu i powyżej stóp. John Parkinson przytacza parę szczegółów, odnoszących się do społecznej organizacji ludów zachodniej Gold-Coast kolonii. Rozpadają się one na dwanaście familii czy totemów; Odumina-fu stanowi arystokrację, a będąc „siostrami Annono-fu czy Parrot-plemienia nie może zawierać wzajemnych związków małżeńskich; Affiadi-fu składa się z dzieci niewolników Parrot-Totemu, musi więc pozostawać w stosunku podległości do panów swych. Każda z familii posiada pewien uroczysty dzień; tydzień składa się z dni dwunastu, miesiąc z sześćdziesięciu; dzieci nazywane wedle dnia, w którym się urodziły, należą do totemu matki, choć w razie wojny stają w „klasie” ojcowskiej; mężczyzna żyje w separacji od żony „swej” po narodzinach dziesiątego dziecięcia; stąd dziewięcioro stanowi maximum liczby dzieci; nierzadkie są wypadki zabijania niemowląt lub emigrowania niewiasty z dziesiątem dzieckiem do sąsiednich plemion; starcy zażywają poważania i opieki totemu. A Lang, zwróciwszy się w stronę Australii, wymienia imiona poddziałów z Kabi-plemienia, prostując wiele szczegółów, podanych dawniej przez J. Mathew’a. M. W. H. Beech zamieszcza ciekawą anegdotę o „świni z Delaga”, opowiedzianą autorowi na Borneo przez pewnego Penghulu-Arsat, rezydenta w Labuan. H. S. Cowper, zajmuje się 204 kawałkami, celowo przez człowieka obrobionymi i zaostrzonymi, a znalezionymi na płaszczyźnie piaszczystej na zachód od nowożytnego miasta Hilwan w dolnym Egipcie; postać ich wskazuje na to, iż są ostrzami dzid lub hakami na strzałach i wędkach; co do wieku można tylko negatywnie oznaczyć, że nie pochodzą z epoki paleolitycznej; ilość ich i różnorodność postaci pozwala wnosić, iż płaszczyzna Hilwan była ogniskiem ich fabrykacji. W dziale recenzji spotykamy gruntowną, sprawozdawczą i krytyczną ocenę pióra E. Sidney Hartland’a z książki prof. Frazera o totemizmie i exogamii (*Totemism and Exogamy: A Treatise on certain Early Forms of Superstition and Society* — w 4 tomach). W zeszycie lutowym p. Seligman podaje notatkę o sprowadzonym z Yambio (Afryka centr.) t. zw. Avungura Drum w kształcie byka (lub krowy), którego głowa zrobiona jest z jednego kawałka drzewa, a pozostającego w wielkim religijnym poszanowaniu. Mervyn W. H. Beech, M. A. ogłasza kilka szczegółów ciekawych o plemieniu Punans, mieszkającym w gęstej dżungli wewnątrz Bolongan, na wschodnim krańcu Borneo; podzieleni na sto klas (rodów) żyją dokoła drzew, bez domów i własności; starzeją się szybko, odznaczają się ruchliwością elastyczną i gibkością ciała; handel zamienny w mil-

czeniu prowadzą zapomocą odpowiednich znaków. J. Maes opisuje Kесе i Tambue fetysze ludu Wazimba (popularnie Bangs Bango nazywano) w Kongo mieszkającego; fetysze te, rozmaite funkcje spełniające (jako to: zwalczanie chorób, opieka plantacyami i t. p.) w większości wypadków postać ludzką wyobrażające z narządami płciowymi silnie uwydatnionymi, rysami fizyognomii, ubiorów i fryzury przesadnie wyłobionymi, sięgające do wysokości 40 kilku cm., używane bywają w oznaczonych wypadkach z odpowiednim, ustalonym już ceremoniałem.

Aylward M. Blackman, B. A. tłumaczący egipski hieroglify, wyprowadzając jego wartość alfabetyczną z staroegipskiego słowa, oznaczającego namuś Nilowy t' Kapitan A. J. N. Tremearne zamieszcza dwa przyczynki do folkloru „Hausa“ z zach. Afryki, a są niemi dwa opowiadania: jedno o chłopcu który oszukał śmierć i o tem, jak chłopiec uciekł od czarownicy. W bogatym dziale recenzji znajdujemy oceny książek poświęconych darwinizmowi (Novicow: *La critique du Darwinisme Social* i Poulton'a *Charles Darwin and the Origin of Species*), folklorowi (Opowiadania ludowe z południowej Negeryi i v. Gennepe'a o urabianiu się legend, Paryż 1910), socjologii (v. Gennepe; *Les Rites de Passage*), etnografii i t. d. — Omówione powyżej pismo, posiadające charakter dobrego sprawozdawcy z świeżego ruchu na polu badań antropologicznych, zaopatrzone w należycie wykonane ilustracje i doborową treść, informuje dostatecznie o wybitniejszych przejawach pracy w tej dziedzinie, dlatego zasługuje na baczną uwagę.

Lwów.

Mieczysław Kalitowski.

Franciszek Gawełek. *Konik Zwierzyniecki. (Szkic krytyczny).* Kraków. 1910. Skład główny w księgarni D. E. Friedleina. Str. 15.

Czytelnicy „Ludu“ przypominają sobie zapewne ciekawy artykuł o „Koniku zwierzyńskim w Troi“, ogłoszony w r. 1909. w naszym piśmie przez p. Przemysława Mączewskiego. Autor, pracujący nad monografią o Wyspiańskim, zwracał wtedy uwagę na znaną scenę z „Achilleidy“, w której wielki poeta wprowadza żywca zwierzyńckiego Lajkonika (a wraz z nim podstępnych Greków) w mury Pryamowego grodu, podając w ten sposób niezwykle piękną, a zarazem bardzo udatną i pomysłową interpretację owej prastarej naszej zabawy. Genialna intuicja poetyczna starała się tu rozplątać trudny problem mitologiczny, upatrując rodowód Konika krakowskiego w odwiecznym, indoeuropejskim kulcie wody; bo, że ów „koń trojański“ z Iliady i cyklików, przedziergnięty przez Wyspiańskiego w Lajkonika, jest fetyszem Poseidonowego kultu, stwierdzono już dawniej. Obecnie zagadnienie Konika zwierzyńckiego w tym samym duchu, co niegdyś Mączewski, podjął znany folklorysta, p. Gawełek i w zajmującej, choć drobnej, broszurze rozpatrzył metodycznie całą sprawę nanowo.

Dawniejsze poglądy na genezę i znaczenie obrzędu Konika, wyrażone przez W. Eljasza Radzikowskiego (studjum w „Bibliot. Krak.“ 1898), Wiślickiego, Krzywickiego i innych, nie przemawiają autorowi do przekonania. Nie podobna — zdaniem jego — odnosić początków tej

uroczystości do napadu tatarskiego z r. 1281, gdyż ów napad (a więc także pobicie pogan przez włóczka wiślanego i jego tryumfalny powrót w przebraniu tatarskim do Krakowa, o którym mówi podanie) przypada na grudzień, a uroczystość odprawiana bywa oddawna w lecie, w oktawę Bożego Ciała. Historyczność powstania Konika w XIII. w. upaść musi ponadto jeszcze dlatego, że podanie mówi o napadzie w Boże Ciało, a uroczystość ta wprowadzoną została do Polski wogóle dopiero w XIV. stuleciu. Również nie ma racy bytu wersja inna, że obrzęd ten zaprowadził dopiero Konst. Majeranowski, redaktor „Pszczółki Krakowskiej” w r. 1820.. przejąwszy go od Francuzów, albowiem już w r. 1814. — jak p. Gawełek stwierdził — starali się włóczkowie u władz o pozwolenie na ten obchód. Stawia tedy p. G. własną hipotezę odmienną: Konik zwierzyniecki jest zabytkiem religijno-obrzędowym z czasów pogańskich, żywym szczątkiem jakiejś uroczystości pradawnej na cześć bóstw wodnych; koni, który w kulcie religijnym, głównie wodnym, u Słowian (także innych ludów) bardzo doniosłą odgrywał rolę, był w całym tym obrzędzie istotą najważniejszą; włóczkowie prowadzili go niegdyś w orszaku z pogańskiej gontyny (na wzgórzu, gdzie dziś Norbentanki) przed dom arcykapłana (dlatego dziś przed biskupi pałac), następnie dokoła rynku, gdzie się odbywały wiece, poczem, wracano znów w świątynne zacisze. Porządek dzisiejszego obchodu może być dla nas najlepszą wskazówką przy rekonstruowaniu starego rytuału. A nazwa „Lajkonika”? P. Gawełek wywodzi ją, nie, jak czyniono dotąd, od niemieckiego „läuf”, lecz od naszego „lać” „leja” (dziś jeszcze Śmigus nazywają Lejem, mówią o dniu św. Leja), co by również przypominało ów kult wodny. Obrzęd Konika nie jest przywiązany jedynie do Krakowa, lecz da się odnaleźć i gdzieindziej u nas, nadto n. p. we Francji i Tyflisie.

Rozprawka p. Gawełka, zostająca niewątpliwie pod urokiem czarownej fantazyi Wyspiańskiego i pod wpływem artykułu Mączewskiego, rzuca mimo to nowe światło na kwestyę Konika i wskazuje, zdaje się, jedynie trafną drogę do ostatecznego rozwikłania zagadki.

Stanisław Lempicki.

Franciszek Gawełek. Przesady, zabopony, środki lecznicze i wiara ludu w Radłowie, w powiecie brzeskim. Kraków. Nakł. Akademii Umiej. 1910. Str. 59. — Tenże. Czarownik w Rząchowej, w pow. brzeskim. Kraków. Nakł. Akademii Umiej. 1908. Str. 8.

Wystarczy pobieżnie przerzucić Kolberga, Wiśłę, nasz Lud lub Zbiór wiadomości antropolog., aby się przekonać, ile to już ciekawych materyałów, przyczynków, szczegółów. dotyczących przesądów, zabobonów i czarów u ludu naszego, zebrano i sumiennie zestawiono; mamy przecież nawet (my, tak ubodzy w monografie etnograficzne!) osobne prace tej właśnie stronie rodzimego folkloru poświęcone, np. „Studia” Berwińskiego, rozprawy pomniejszych R. Zawilińskiego i Udzieli. Czyż jednak powiedzieć możemy, że wszystko już pod tym względem zrobione, że materyał jest kompletny, a opracowania wyczerpujące i dostateczne? Z pewnością nie! Prace czas tkowe przedewszystkiem są potrzebne skrupulatne grupowania i zestawienia danego już materyału, które uła-

twiają jasny przegląd i pozwalają zarazem na pewne wnioski, uogólnienia szerszej natury; a z drugiej strony sam materiał, w tak przepysznem bogactwie istniejący wciąż jeszcze u ludu na całej połaci ziem polskich, domaga się gwałtem, by go spiesznie i skrzętnie notować, komentować i wydawać. Dlatego też z zadowoleniem odczytujemy dwie prace p. Franc. Gawełka, ogłoszone w odbitkach z „Materiałów antropol.-etnograficznych“ Krak. Akademii; tego rodzaju publikacje przede wszystkim umożliwiają badaczowi ogarnianie coraz rozleglejszych i pełniejszych obszarów geograficznych i rzucają nieraz bardzo wiele światła na problem geograficznego rozprzestrzenienia się pewnych wierzeń, czy zwyczajów ludowych. Pierwsza książeczka p. Gawełka zajmuje się przesadami, lecznictwem i wiarą ludu wsi Radłowa, położonej w Galicyi, w pow. brzeskim. Autor nie pisze tutaj rzeczy krytycznej, daje tylko materiał, nader pilnie i dużą wiedzą specjalną zebrany rozumnie usystematyzowany i naukowo wydany. Zaczyna się ten zbiorek od „świata nadzmysłowego“, do którego zaliczono, jak zwyczajnie, czarownice, czary, gusła, planetników, topielców, światełka, wiatr, widma i zmyry; rozdziałek drugi obejmuje „przyrodę“, a więc opowiadania i wierzenia, przywiązane do pewnych zwierząt, ptaków, świata roślinnego; część trzecia — to meteorologia, a więc znowu spostrzeżenia gospodarskie, przepowiednie atmosferyczne na różne dni w roku; dalej (ustęp IV.) następują „wierzenia i przesady“, odnoszące się do rozmaitych świąt i osób świętych; ustęp V. podaje obszernie medycynę wiejską, recepty domorośle na wszelkie choroby, zaś r. VI. rozmaite przesady okolicznościowe. Nadmieniam nie potrzeba, że owa „demonologia“ i „meteorologia“ radłowska nie zawiera rzeczy zupełnie nowych; w odmiennym niejednokrotnie sformułowaniu czy zabarwieniu spotykamy tu w rzeczywistości szczegóły znane doskonale skądinąd, w bardzo wielu wypadkach ogólnopolskie czy ogólnoprowincjonalne. Metoda wydawnicza pochwały godna, bo autor rozłożył materiał przejrzysto, zamknął w paragrafy, opatrzył w hasła i numery, a u dołu wypisał liczne odsyłacze do literatury przedmiotu. Dokładny skorowidz nazw jest też bardzo pożyteczny. Dodam chyba jeszcze, że wśród przytoczonych tu opowiadań ludowych wiele prawdziwych perełek bujnej, wrażliwej wyobraźni.

Pięknie uzupełnia powyższy zbiorek inna rozprawka p. Gawełka, wcześniej wydana. Jest to relacya o czarowniku z Rzachowej koło Brzeska, niejakim Józefie Smorugu, staruszku 75-cio letnim, który po wojennych włóczęgach po całej prawie Europie, osiadł w swej wiosce, stolarzując, robiąc buty, a niekiedy „radząc drugim w potrzebie“. Miał przyjeżdżać przez owego starucha, dostał od niego p. Gawełek arcyciekawą „książeczkę czarodziejską“, w której ów Faust rzachowski ma spisane „sposoby, jak można drugim szkodzić i pomagać“. Odpis wierny tego dziwnego dokumentu ludowej sztuki czarowniczej, złożonego z 45 uwag, rad, przepisów, podaje właśnie autor rozprawki, eksplikując zakazaną niekiedy terminologię.

W obu rozprawkach p. Gawełka przybywa więc naszej literaturze etnograficznej bardzo cenny przyczynek.

Stanisław Łempicki.

František Pospíšil: *Mečový tanec na slovanské půdě, Národopisný Věstník českoslovanský. Ročník VI. Č. 2 a 3. Únor a Březen, s. 25—56. Praha 1911.*

Autor wymienionego w nagłówku artykułu postawił sobie za zadanie przedstawić taniec t. zw. zbrojny albo mieczowy Słowian południowych. Przytacza więc cały szereg tańców, którym towarzyszą głośne krzyki i podrzucanie miecza w górę, oraz liczne pieśni z melodyjami śpiewane podczas zabawy. Tańce wykonywane bywają przy różnych okolicznościach, jak wesele, odpust, okres świąt Bożego Narodzenia i t. p., a na dowód tego podaje cały szereg cytatów z różnych autorów. Za najoryginalniejszy uważa autor taniec Czarnogórców wykonywany pojedynczo, z mieczem w ręce. Niektóre z podanych przez p. P. tańców przypominają nam nasze, jak n. p. opis tańca na str. 36 podobny jest bardzo do tańca naszych kołędników, gdy ci ustawiając się w koło, tańczą z podniesionymi w górę pałkami, ozdobionymi dzwoneczkami z łańcuszkami, których dźwięk nadaje gronu uczestników bardzo charakterystyczny, wojowniczy wyraz. (Zob. „Lud“ 1908, gdzie podpisany podaje opis świąt Bożego Narodzenia w Radłowie).

Tańcowi mieczowemu towarzyszą niekiedy wystrzały z rewolweru.

Na końcu rozprawy skarży się autor na brak materiałów porównawczych z ziem słowiańskich. Z polskich rozpraw znany p. P. artykuł prof. Brücknera umieszczony w Archiv. für slavische Philologie, XIV., 318—319, Pawińskiego w Ateneum 1892, t. I., artykuły ze Słownika gwar polskich, t. II. s. 158, Słownika języka polskiego warsz., Wisły t. II. s. 115, gdzie znajduje się opis tańców góralskich. Szkoda, że autor nie korzystał ze zbiorów Stopki, gdzie znalazłby dużo materiałów w pieśniach do tańców góralskich, artykułów Eliasza pomieszczanych w Pamiętniku Towarzystwa Tatrzańskiego opisujących życie górali, gdzie nawet znajduje się podobizna obrazu przedstawiającego taniec zbójnicki z XVIII. zdaje mi się wieku, i innych.

Ogółem rozprawa p. P. przedstawia się bardzo sympatycznie.

Kraków.

Franciszek Gawełek.

Dr. Maurycy Maciszewski: *Brzeżany w czasach Rzeczypospolitej polskiej. Monografia historyczna. W Brodach 1911. Feliks West. str. XII. + 4 nlb + 223. in 8-vo.*

Nie jedno zastrzeżenie da się w stosunku do tej książki postawić. Nie wyzyskano należycie literatury drukowanej zarówno starszej jak i nowszej, nie tykano wcale pierwszorzędnej wartości zbiorów archiwum X. Czartoryskich w Krakowie i archiwum Bibl. Poturzyckiej we Lwowie, z którego niedawno tak ciekawe i cenne przyczynki do Sieniawskich i Piotra Wielkiego ogłosił w Zapiskach naukowoho Tow. im. Szewczenka p. Stefan Tomaszewski, nie zbadano naostatek należycie aktów archiwum parafialnego rzymsko-kat. w Brzeżanach, które aczkolwiek ubogie i w części zatracone nie jeden drobniaczek godny uwagi posiada. I poglądy autora nie ze wszystkim dałyby się utrzymać. Ocena n. p. Adama Mikołaja Sieniawskiego płynie tylko z osobistych, niewątpliwie szlachetnych i uznania godnych sympatyj autora, który badając historię

Brzeżan żył się i pokochał ród założycieli miasta. Jeżeli autor wspomina, że „posądzano go (t. j. Adama Mikołaja S.), że przy pomocy Piotra Wielkiego spodziewał się uzyskać koronę dla siebie“, to szkoda wielka, że autor nie znał gotowych projektów w tej materii, spoczywających dziś w arch. bibl. Dzieduszyckich, a ogłoszonych lat temu przeszło 60 w Bibliotece Ossolińskich (1843. VI.). W tym stanie w jakim otrzymaliśmy książkę p. Maciszewskiego mamy raczej szereg rozdziałów z historii miasta aniżeli jednolitą i wyczerpującą monografię.

Mimo wszystko jednak wdzięczni jesteśmy autorowi za podjętą pracę. Pod względem bogactwa nowego materiału i obfitości szczegółów stoi ona o całe niebo wyżej od rozlicznych innych prawie co rok wydawanych tego rodzaju publikacji. Bo też w tem, co autor dał, znać wytrawnego i wyszkolonego pisarza, o pięknem i gładkiem piórze i żał tylko, że na skutek specjalnych warunków, w jakich się autor znajduje, nie było mu danem więcej dla nauki historycznej pracować. Dla ludoznawstwa mamy w książce szereg drobiazgów zwyczajowych z których najważniejsze, dotyczące czarów, z rozdziału o sądownictwie niniejszem zaznaczamy. Za rok 1631 mamy w aktach sądowych sprawę Doroty Wróblewskiej, która powiedziała Jankowej Wucha, że jest czarownicą i „jakoby jej miała zadawać czary z buta“. Na sądzie Wróblewska cofa swe powieźdzenie. Pod r. 1634 skarży Gradowski mieszkaniec Brzeżan rajczynię Jurkową Markowską o gusła i czary, gdyż rzuciła w dom jego wieniec i ziele. Pani rajczyni tłumaczy się, że nie dla czarów ale na kucharke Maruchnę rzuciła wieńcem. Wobec gotowości rajczyni do przysięgi Gradowski od sprawy odstąpił. W r. 1638 Lesko Kowal z żoną Tanką oczernili Jana Krawca i jego żonę Annę, że pierwszy mąż Anny umarł nie-naturalną śmiercią, bo Tanką widziała jak „Anna przed jego śmiercią rzuciła pod ścianę domu skorupy garncowe, które soliła“. Przed sądem Tanką odwołuje swe gadanie. (Str. 147—148). Przy oddaniu domu nowo-nabywcy przez sprzedającego uczestniczy zawsze burmistrz, a dzieje się to albo symbolicznie, przez „podanie różeczki zielonej“ albo na miejscu faktycznie przez oddanie kluczy (str. 128).

Emil Kipa.

Omyłki druku.

	Str.	wiersz z dołu	zamiast	czytaj
Tom XVI.	409	1	Strzegonia	Przegonia
Tom XVII.	16	1	przyjąć	przyjął
„ „	36	uwaga 1 wiersz 2 z dołu	Jecewicz	Jucewicz

DRUK UKOŃCZONO 15. MAJA 1911.

ODPOWIEDZIALNY ZA REDAKCYĘ: ADAM FISCHER.



Pokwitowania.

W roku 1910 złożyli wkładkę następujący członkowie:

Za rok 1908: Bruchnalski dr. W. Kor. 8—, Kulczycki dr. R. 8—, Trojnar J. 8—, Włodzimirski W. 8—, Wydział pow. Kossów 8—.

Za rok 1909: Bruchnalski dr. W. Kor. 8—, Domagalska M. 2—, Hahn dr. W. 4—, Kaczmarczyk K. 4—, Kadyi dr. H. 8—, Kostkiewicz K. 8—, Owczarski dr. Br. 8—, Pyrek J. 2—, Rozwadowski dr. J. 10—, Sołtys T. 2—, Szarga St. 8—, Treter M. 2—, Trojnar J. 8—, Wierzbicki L. 8—, Włodzimirski W. 8—, Wydz. pow. Gorlice 8—, Warchałowska J. 8—, Zawiliński R. 8—.

Za rok 1910: Andruszewski J. Kor. 5—, Badecki K. 2—, J. E. Badeni hr. St. 20—, Bal St. 8—, Beck J. 4—, Bibliot. fund. Baworowskiego 7—, Bibl. publ. Zakopane 4—, Bibliot. Uniw. Jagiell. 786, Bieleś J. 2—, Bruchnalski dr. W. 4—, Brzega Wojc. 2—, Bugiel dr. Wł. 806, Cieplik J. 410, Cisek M. 2—, Czarnik Br. 8—, Czarnowska J. 4—, Czar-toryski ks. Jerzy 8—, Czyt. uczn. gimn. św. Anny 4—, Czyt. polska akad. gór. Leoben 8—, Depowski J. 2—, Domagalska K. 8—, Dyr. Akad. Szt. piekn. 10—, Dyr. gimnaz. Sanok 10—, Faliński J. 2—, Fischer Ad. 4—, Froń A. 3—, Gawełek Fr. 2—, Gerold i Ska 8—, Gonet Sz. 2—, Goyski dr. M. 8—, Gubrynowicz dr. Br. 8—, Gustawicz Br. 8—, Haupt Ludw. 2—, Heczko J. 2—, Ihnatowicz J. 8—, Janiewicz Orest 1255, Jodłowski K. 2—, Jurkowski Bł. 8—, Kadyi dr. H. 8—, Kallenbach dr. J. 6—, Kasyno narod. Lwów 8—, Kętrzyński dr. W. 8—, Kolasieński Zygm. 4—, Kosiński dr. Wł. 8—, Krechowicz ks. J. 6—, Kryński A. A. 8—, Kołodziejczyk Edm. 206, Kalityński M. 3—, Kryński St. 1260, Kryński Wł. 1260, Leciejewski dr. J. 8—, Lenkiewicz ks. dr. Z. 8—, Londzin ks. J. 8—, Lubomirski ks. A. 8—, Łoś dr. J. 8—, Łoziński Wł. 8—, Łyskowski dr. Ign. 8—, Madeyski K. 8—, Matejowski M. 2—, Ma-toga ks. J. 4—, Mazur Wawrz. 4—, Miodoński M. 2—, Morozowicz St. 2—, Muzeum ks. Czar-toryskich 10—, Muzeum hr. Dzieduszyckich 8—, Mierzwiński dr. K. 2—, Niemiec dr. J. 8—, Nitsch dr. K. 8—, Nawalany Jul. 806, Nartowski W. 2—, Palczewski Tad. 2—, Pawlikowski dr. J. Gw. 8—, J. E. Pelczar ks. dr. J. 8—, Pelczarski J. 4—, Piepes-Pora-tyński dr. J. 8—, Pietrzykowski J. 2—, Podgórski J. 2—, Polaczek St. 2—, Połoszynowicz Wł. 6—, Postel Paweł 8—, Pracki W. 8—, Pruchnik

J. 8—, Pytlak J. 8—, Rebczyński dr. Wł. 8—, Rehman dr. A. 8—, Rembacz M. 2—, Rybowski M. 8—, Rychel Ant. 2—, Rzepecki ks. St. 4—, Siewiński Ant. 2—, Siwak M. 8—, Sokolnicka M. 8—, Świętek J. 8—, Schnaider J. 2—, Stopa Fr. 8—, Stokłosa J. 6—, J. E. Tchórznicki dr. Al. 20—, Tow. Br. pom. słuch. polit. 4—, Tow. uniw. lud. A. Mick. Kraków 2—, Treter M. 2—, Tow. wzaj. pom. U. U. J. Kraków 2—, Vrtel Stefan 2—, Wierzbicki L. 8—, Wilkiewicz ks. J. 4—, Wojnarówna M. 2—, Wyczyńska Marya 4—, Wydział powiat. Biała 8—, Wydz. pow. Borszczów 8—, Wydz. pow. Brzeżany 8—, Wydz. pow. Dąbrowa 8—, Wydz. pow. Dobromil 8—, Wydział pow. Gorlice 12—, Wydział pow. Kraków 8—, Wydział pow. Lisko 8—, Wydz. pow. Sokal 8—, Wydz. pow. Turka 8—, Wydz. pow. Wadowice 8—, Wydz. pow. Złoczów 8—, Wydział pow. Kossów 8—, Wałach M. 4—, Żmigrodzki M. 8—, Zych Fr. 8—, Żelazny St. 2—.

Za rok 1911: Ciszewski St. Kor. 9—, Czarnik Br. dr. 8—, Czartoryski ks. Jerzy 8—, Fischer A. 4—, Janiewicz Orest 12'65, Kryński A. Ant. 8—, Machniewicz St. 2—, Muzeum ks. Czartoryskich 10—, Pawlikowski dr. J. Gw. 8—, Pracki W. 12—, Stokłosa J. 8—, Towarzystwo naukowe w Płocku 12'69, Wyczyńska M. 2—.

Razem: Kor. 1920'23.

Józef Pelczarski
skarbnik.



Wydawnictwa otrzymane w zamian za „Lud“.

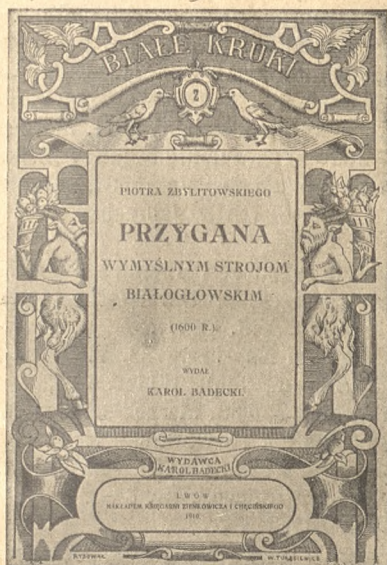
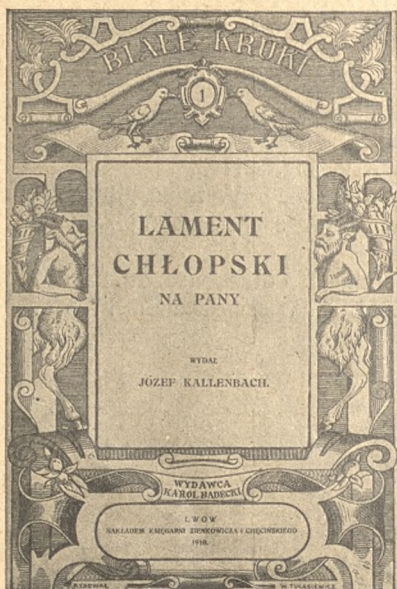
- Archives Suisses des traditions populaires, XIV. année, livr. 4.
Atti della Reale Academia, Anno CCCVIII—1911. Serie quinta. Rendiconti, Classe di scienze fisiche, matematiche e naturali. Volume XX. 1^o sem. fasc. 4—5.
Bolletino della Societa Africana d'Italia. Anno XXX. fasc. I—II.
Bulletin de l'Académie imperiale des sciences de St. Pétersbourg. 1911 Nr. 4—6.
Bulletins et mémoires de la Société d'anthropologie de Paris, 1909 Nr. 4—5. 1910. Nr. 2—3.
Časopis pro moderní filologů. Ročník I. Sešit 1—2.
Časopis Máciy Serbskeje 1911. L. LXIV. Z. I.
Časopis Musea Království Českého 1911 sv. II.
Časopis museálnej slovenskej spoločnosti. R. XIV. č. 1.
Časopis Společnosti Přátel Starožitnosti Českých v Praze. R. XIX. (1911) č. 1.

- Dziennik kijowski. Marzec, Kwiecień.
 Głos ludu śląskiego. Nr. 14—15.
 Izwiestija otdielienija russk. jazyka i słow. Imp. Akad. Nauk. T. XV. kn. III.
 Uniwersyteckija Izwiestija. 1910 Nr. 12, 1911. Nr. 1—2.
 The Journal of Geography published by the Tokyo Geographical Society.
 Vol. XXII. Nr. 259—264.
 Listy filologické R. 1911. seš. 1—2.
 Český Lid XX. č. 6—7.
 Miesięcznik kościelny 1911. Marzec—Maj.
 Mitteilungen zur jüdischen Volkskunde. XIV. Jhg. 2 Heft.
 Mitteilungen des Vereins f. sächsische Volkskunde. V. Band. Jhg. 1911
 h. 9. i XIII. Jahresbericht d. Vereines für sächsische Volkskunde.
 1910.
 Mitteilungen d. Verbandes deutscher Vereine f. Volkskunde. 1911 Nr. 12
 Mitteilungen d. Ukrainischen Gesellschaft d. Wissenschaften in Kiew.
 kn. VIII. (1911).
 Rodopski Napriedyk. G. VIII. kn. 4—6.
 Za Starou Prahu. 1911 č. 1—2.
 Przegląd Polski. Marzec—Kwiecień.
 Przewodnik antykwarski. Nr. 6—9.
 Rodzina i szkoła. XVI. (1911) z III.
 Ruch filozoficzny. Nr. 3—4.
 Ruś 1911. Nr. 2.
 Sbornik česke společnosti zeměvědné. R. XV. č. 5—10.
 Městanská škola. R. XIII. č. 5—8.
 Sprawozdanie komisji fizyograficznej. Tom 44.
 Travaux de la Sous-Section Troitzkossawsk — Kiakhta, Section du
 pays d'Amour de la Société Impériale Russe de Géographie. T. XI.
 livr. I—II.
 Vajs Josef, Nejstarši Breviář chrvatsko - Hlaholský. V Praze 1910.
 Věstník královské české společnosti nauk. Třída Fil. hist. jaz. 1910.
 Narodopisný Věstník českoslovanský. R. VI. 1911, č. 2—3.
 Učzenija Zapyski Imp. Kazanskago Uniwers. R. 1911. Nr. 1—3.
 Zbornik za narodni život i običaje južnich slavena, kn. XV. Sv. 2.
 Zeitschrift f. osterreichische Volkskunde Jhg. 1910, h. 6.
 Ziemia R. 1911 nr. 9—15.
 Výroční zpráva královské České společnosti nauk za r. 1910.

Książki nadesłane Redakcyi.

Klinger W. Żywotnoje w anticznom i sowremiennom sujewierii. Kijów 1911.
 Śpiewające Przedmieście. Piosenki, wiersze, melodye. Lwów 1911.

Nakładem Księgarni Zienkowicza i Chęcińskiego, Lwów Teatralna 1.



BIAŁE KRUKI

wydawnictwo poświęcone ratowaniu rzadkich zabytków
===== poświęcenia naszego od zagłady =====

pod redakcją

KAROLA BADECKIEGO.

Poszczególne zeszyty wychodzą w pewnych odstępach czasu. — Cena zeszytu zależy od jego objętości.

DOTĄD WYSZŁY:

1. Lament chłopski na pany wydał Józef Kallenbach, Lwów, Nakładem Księgarni Zienkowicza i Chęcińskiego 1910 (na wyczerpaniu). Cena 3 K. 60 h.

(Ciekawa to i bardzo rzadka satyra społeczno-obyczajowa na ucisk pańszczyźniany w pierw. poł. XVII. w.)

2. Piotr Zbylitowski: Przygana wymyślnym strojom białogłowskim (Kraków 1600) wydał Karol Badecki, Lwów. Nakł. Księg. Zienkowicza i Chęcińskiego. 1910. Cena 7 K.

(To również ciekawa i charakterystyczna satyra na zbytek w strojach kobiecych w XVII. w. Ważny dokument do dziejów kultury i zwyczajów w Polsce).

W DRUKU:

3. Prażonka albo Nawara dla zabawy uczciwej drużynie (1615 r.) w opracowaniu Ludwika Bernackiego.
4. Adam Paxillus: Komedia o Lizydzie w stan małżeński wstępujący (Kraków 1597), w opracowaniu Wiktora Hahna.
5. Poezye, Andrzeja Dębowskiego (1587—1600 R.) w opracowaniu Stanisława Łempickiego.

W PRZYGOTOWANIU:

1. Albertus z wojny, w Krakowie, R. P. 1596.
2. Apologia rodzaju Ewinego, to jest obrona pań i panien etc. (przez Wierchosławę Kendzierzkowską) B. w. r. i m. (XVII. w.)
3. Bando przeciwko gorzałce i wszystkim jej naśladowcom, w Supraślu 1720.
4. Biesiady rozkoszne Baltyzera z kaliskiego powiatu etc. (XVII w.)
5. Dama modna, B. w. r. i m. (XVII. w.)
6. Dworskie minucye nowe sowizrzałowe, przez autora starego Maurycjusza Trzyprztyckiego, na każdy rok służące, 1000000000000 etc. B. w. r. i m. (XVII. w.)
7. Dziewostąg dworski, mięsopustny, ucieszny etc. B. w. r. i m. (XVII. w.)
8. Dzwonek serdeczny, do którego się co żywo na głos zbiegają tak młodzieńcy jako i panny, 1620 r.
9. Fraszki sowizrzała nowego (Jana z Kijan), Roku 0000000000, (XVII. w.)
10. Koło tańca wesołego dla uciechy młodzi pieśni dworskich używającej. Teraz nowo wydane z przydatkiem baletów i curantów francuskich, Roku XXX000, (XVII. w.)
11. Komedia o Wawrzku do szkoły i ze szkoły. R. P. 1612.
12. Płaszczyk niedostrojonej damie etc. B. w. r. i m. (XVII. w.)
13. Potkanie Jannasa z Gregoriasem klechą, w Krakowie 1598.
14. Praerogatiwa abo wolność mężątkom, B. w. r. i m. (XVII. w.)
15. Sejm białogłowski, który w sobie zamyka wszelakie swobody pokoje z mężami etc. B. w. r. i m. (XVII. w.)
16. Sejm paniński, albo rozmowa o biesiadach i krotofilach mięsopustnych, B. w. r. i m. (XVII. w.)
17. Sowizrzał krotofilny i śmieszny, urodzenie, żywot, postępki i dokonanie jego dziwne, B. w. r. i m. (XVII. w.)
18. Sowizrzał nowy, albo raczej Nowizrzał etc. w Krakowie 1614.
19. Szkolna mizerya w dyalog zebrana, w której się zamykają wszystkie uciechy i rozkoszy etc. 1633 r.
20. Uciechy lepsze i pożyteczniejsze aniżeli z Bachusem i Wenerą etc. Kraków 1655.
21. Wiersz o fortelach i obyczajach białogłowskich etc. B. w. r. i m. (XVII. w.)
22. Wyprawa plebańska, w Krakowie 1590.
23. Wyprawa żydowska na wojnę, w Krakowie 1606.



Najtańsze polskie-katolickie pismo pedagogiczne

„RODZINA i SZKOŁA“

poświęcone domowemu i szkolnemu wychowaniu młodzieży, oraz dalszemu kształceniu nauczycielstwa.

Wychodzi rok XVI. we Lwowie z końcem każdego miesiąca w objętości dwóch arkuszy druku (32 stron).

DODATEK NAUKOWY

„WIEDZA i PRACA“

wychodzi razem z „RODZINĄ i SZKOŁĄ“

poświęcony popularyzowaniu wiedzy ogólnej, w objętości jednego arkusza druku (16 stron).

WARUNKI PRENUMERATY:

Przy zamawianiu wprost z administracyi i uiszczeniu przedpłaty z góry, przynajmniej za pół roku, kosztuje „RODZINA i SZKOŁA“ z dodatkiem naukowym WIEDZA i PRACA w Austrii: rocznie 6 K., półrocznie 3 K. 40 h. Przy zamawianiu przez księgarnie lub płaceniu prenumeraty później, a więc nie równocześnie z zamówieniem, przedpłata wynosi: rocznie 7 K., półrocznie 4 K.

W innych krajach: rocznie 8 Mk. — 9 frank. — 4 Rb. — 2 dol.; półrocznie 4⁵⁰ Mk. — 5 frank. — 2⁴⁰ Rb. — 1⁴⁰ dol.

„RODZINĘ i SZKOŁĘ“ z dodatkiem naukowym „WIEDZA i PRACA“ poleca galicyjska c. k. Rada szkolna krajowa we Lwowie, reskryptem z dnia 21. marca 1904 l. 10.299 do bibliotek nauczycielskich szkolnych i okręgowych w Galicyi.

Dziennik urzędowy galic. c. k. Rady szkolnej krajowej Nr. 8. z d. 30. marca 1904 r. str. 162.

„RODZINĘ i SZKOŁĘ“ z dodatkiem naukowym „WIEDZA i PRACA“ polecają również: śląska c. k. Rada szkolna krajowa w Opawie, reskryptem z dnia 22. marca 1908 l. 2.162 do bibliotek nauczycielskich wszystkich szkół polskich na Śląsku, a bukowskińska c. k. Rada szkolna krajowa w Czerniowcach, reskryptem z 27. października 1908 L. 8.407 do bibliotek nauczycielskich szkół polskich, względnie szkół z klasami polskimi na Bukowinie.

„RODZINĘ i SZKOŁĘ“ z dodatkiem naukowym „WIEDZA i PRACA“ odznaczono listem pochwalnym na wystawie przyrodniczo-lekarskiej i higienicznej we Lwowie w r. 1907, oraz na wystawach „Dziecko“ w Wilnie i higienicznej w Lublinie w r. 1908.

LWÓW 1910.

„RODZINĘ i SZKOŁĘ“ z dodatkiem naukowym „WIEDZA i PRACA“ zamawiać można każdego czasu w Administracyi, oraz przez wszystkie księgarnie w kraju i zagranicą. — Prenumerata liczy się od 1. stycznia lub od 1. lipca do końca roku. Zeszytów już wydanych dostarczamy od Nr. 1.

Redakcyja i Administracyja we Lwowie, (Galicya) przy ul. Szeptyckich l. 74 (Gmach „Sokoła“ II-go).

Prenumerata roczna tylko rb. 2. Z przesyłką pocztową 2,50.

KSIĄŻKA

Rok XI.

Miesięcznik poświęcony krytyce i bibliografii pod kierunkiem literackim J. K. KOCHANOWSKIEGO.

„KSIĄŻKA” jest jedynym organem polskim, specjalnie poświęconym systematycznej krytyce piśmiennictwa polskiego we wszystkich jego działach. Dla czytelnika, który chciałby z piśmiennictwa bieżącego zapoznać się ze wszystkim, co go z jakichkolwiek względów zajmuje, a przede wszystkim oszczędzić sobie czasu oraz zawodów przy wyborze i nabywaniu książek, organ taki, jak „Książka” jest nieodzowny. „KSIĄŻKA” informuje wszechstronnie i umożliwia wybór nie przypadkowy, lecz systematyczny, gdyż usiłuje zamieszczać oceny krytyczne, jeżeli nie wszystkich książek, co byłoby niemożliwe i podobno zbyteczne, to przynajmniej wszystkich ważniejszych. „Książka” w każdym numerze oprócz ocen podaje **pełną bibliografię bieżącego piśmiennictwa polskiego**, uporządkowaną według działów specjalnych. „KSIĄŻKA” w artykułach wstępnych i kronice swojej informuje o wszystkim, co jest w związku z ruchem piśmienniczym i wydawniczym u nas.

„KSIĄŻKA” zjednała sobie szerokie grono współpracowników z **pośród najwybitniejszych sił fachowych** i w dalszym ciągu nie ustanie w zjednywaniu sił nowych.

Nadzwyczaj niska cena prenumeracyjna „Książki” wobec jej rozmia-
rów i obfitej treści czyni ją dostępną dla wszystkich. — Próbne numera
otrzymać można w każdej księgarni oraz u wydawców w księgarni

E. Wende i Ska (T. Hiż i A. Turkuł) w Warszawie, Krak. Przedm. 9.

PRZEWODNIK ANTYKWARSKI

Dwutygodnik dla bibliofilów i zbieraczy

poświęcony bibliografii oraz miłośnictwu książek i zabytków
sztuki i kultury.

Redaktor i wydawca M. RULIKOWSKI.

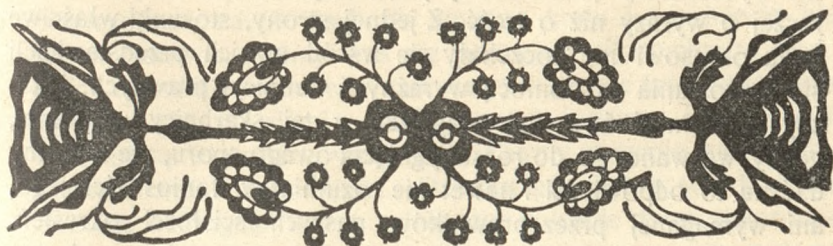
Redakcja i Administracja: **Warszawa, Mokotowska 54.** Przedpłata ro-
czna 7 rb., 18/50 K. lub Fr. Mk. 15.

Wydawnictwa Towarzystwa Ludoznawczego we Lwowie.

	Cena K. h
Czaja Stanisław. Szopka krakowska. Kraków 1905	1.—
Chybiński A. dr. O metodach zbierania pieśni ludowych Lwów 1908	1'20
Daszyńska-Golińska Zofia dr. Badania nad alkoholizmem w Galicyi zachodniej. Lwów 1902.	—50
Dobrzycki St. dr. prof. „Ludowość” w Sobótce Kochanowskiego	—40
Fischer Adam. Piosennik ludowy Porębowicza. Lwów, 1909	—60
— Uzupełnienia Dähnhardta. Lwów, 1910	—70
— Wątek odkwitającej gałęzi. Lwów, 1909	—40
— Do wątku odkwitającej gałęzi. Lwów, 1910	—40
— Okrucy ludoznawcze, Lwów 1911	—80
Gawełek Franc. Palma, jajko i śmigus w praktykach wielka- nocnych ludu polskiego. Lwów 1911.	—80
Gawroński Rawita Fr. Szczedrówki z powiatu dobromil- skiego. Lwów 1899	—40
Gomme G. L. Folklor. Podręcznik dla zajmujących się ludo- znawstwem. Lwów 1901. Cena księgarska 2k., dla członków	1.—
Gonet Szymon. Śpiewki z okolic Andrychowa. Lwów, 1909	2.—
Gustawicz Bronisław O ludzie poddukłańskim. Lwów 1901.	1.—
— O zwyczajach świętomarciańskich. Lwów, 1910	1.—
Klinger Witold. Do wpływów starożytności na folklor. Lwów 1909.	1'20
Kosiński Wład. Widowiska świąteczne w Makowie, Kalwarii Zebrzydowskiej. Lwów 1911	—50
Krček Franciszek dr. Pisanki w Galicyi. Lwów 1908	—50
— Sobótka w Galicyi. Lwów 1898	—50
Mączewski P. Konik zwierzyński w Troi (Wyspiański Achilleis). Lwów 1909	—30
Młynek Ludwik. Uwagi nad pieśniami ludu wielickiego. Lwów 1900	—50
— Zabawy sierskich pasterzy. Lwów 1902. Cz. 1—2.	1.—
Pamiętnik Zjazdu etnograficznego we Lwowie. Lwów	2.—
Pieśni nabożne na cały rok kościelny (5 zeszytów)	5.—
Porębowicz Edward. Berta z dużemi stopami i Rycerz z ła- będziem. Lwów 1909.	1.—
Rechowicz Kazimierz. Sztuka budowania z drzewa w okolicy Skolego. Lwów 1911	—40
Schneider Józef. Z kraju hucułów. Lwów 1899	—50
Schneider Stanisław Dr. Król węzów. Lwów, 1910	—50
Udziela Seweryn. O strojach, budowlach, sprzętach i naczyni- ach w Sądeczyźnie. Kraków 1905	—80
Wasylewski Stanisław. Pieśń o żołnierzu tułaczku. Lwów 1910	—40
Witort Jan. Filozofia pierwotna. (Animizm). Lwów 1900	1'60
— Zarys prawa zwyczajowego ludu litewskiego	4.—

Nieliczne, pozostałe komplety „Ludu” (16 tomów) w cenie 160 K. za egzemplarz, pojedyncze zeszyty nadkompletowe, dla członków Towarzystwa ludoznawczego po 1 K.

Do nabycia w Administracji Towarzystwa (Adam Fischer, Lwów, Ossolineum).



LUDWIK KRZYWICKI.

Początki własności indywidualnej.

I.

Pojęcie własności wspólnej a niczyjej. Sposoby użytkowania z obszaru plemiennego zaczynają się różniczkować już w okresie myśliwskim. Indywidualizacja użytkowania jest zwiastunką własności prywatnej. Jak zrab ustroju osiadłego wyrasta z okresu myśliwskiego.

W zasadzie, obszar plemienny, oraz wszystko co na nim rośnie i żyje, jest w okresie pierwotnym otwartą dla wszystkich skarbnicą, z której w miarę potrzeb swoich każdy czerpie i czerpać może, a skarbnica ta pozostaje w niektórych swoich częściach składowych takim dobrem wspólnem nawet w późniejszych, wyższych fazach rozwoju. Z tego powodu zwykle mówią, iż w okresie pierwotnym ziemia i jej płody były własnością wspólną (*res communis*), ale w ostatnich czasach usiłowano te stosunki okresu pierwotnego oświetlić nieco z innego stanowiska. Znaleźli się badacze, którzy występują przeciw oświetleniu tego stosunku człowieka do ziemi jako własności zbiorowej, wspólnej, przeciwstawiając pojęciu powyższemu inne — własności niczyjej¹⁾ (*res nullius*). W istocie rzeczy jednak, o ile

¹⁾ N. p. R. Hildebrand w pracy swojej „Recht und Sitte auf den verschiedenen wirthschaftlichen Kulturstufen“ (Jena 1896), ale nadewszystko Fustel de Coulanges i Denman Ross.

nie wykraczamy poza ustrój pierwotny, chodzi w tym sporze raczej o wyrazy niż o treść. Z jednej strony, stosunki właściwe temu okresowi nie doczekały się wśród swoich przedstawicieli sformułowania za pomocą wyraźnych definicji prawnych, i każdy z plemieńców, korzystających z tej skarbnicy wspólnej, gdyby wezwano go do rozstrzygnięcia owego sporu, nie umiałby dać na to odpowiedzi i nawet nie rozumiałby doniosłości jego, ani wymaganej przez prawników naszych ścisłości określeń. W wielu razach może odrzekłby, że zwierzyna tułająca się po obszarze plemiennym, owoce tam rosnące, wreszcie sama ziemia są niczyje. Z drugiej strony, udzieliwszy takiej odpowiedzi, każdego obcoplemieńca będzie on jak i dawniej uważał za przestępcę, gdy ten będzie polował na tym »niczym« obszarze plemiennym, i ukarze go prawdopodobnie śmiercią.

Niekiedy może nie tyle człowiek pierwotny, ile pisarze źródłowi zawinili, wprowadzając pojęcia sprzeczne a niewątpliwie obce duchowi plemiennemu. N. p. Heckewelder pisze, że według czerwonoskórych wielki duch stworzył ziemię i wszystko, co ona zawiera ku powszechnemu dobru całej ludzkości. »Jeżeli kraj zaludnił obficie zwierzyną, uczynił to dla korzyści wszystkich, nie zaś niewielu. Wszystko dał pospołu synom ludzkim. Cokolwiek żyje na ziemi lub wyrasta z jej łona, cokolwiek przebywa w rzekach i wodach, wszystko to dał dla wszystkich pospołu, i każdy ma prawo do części swojej« ¹⁾. Ale ten sam pisarz wykazuje, iż biada śmiałkowi z plemienia obcego, który wkroczy na obszary sąsiadów...

Obszar plemienny jest więc skarbnicą dóbr, z których tylko plemieniec ma prawo użytkowania. W tym to zakresie, t. j. tylko wewnątrz grupy plemiennej, może być mowa o tem, iż płody ziemi są własnością niczyją, t. j. są dostępne dla wszystkich, gdy w stosunku do innego plemienia rzecz jest wyraźnie postawiona, iż noga obca nie będzie nawet po tej skarbnicy stąpała. Poczucie to — jednakowego prawa plemieńców do skarbnicy plemiennej — jest w okresie pierwotnym bardzo silne, a dotyczy zarówno zwierzyny jak i roślin. Doczekało się nawet jędrnego sformułowania w odezwaniu się jednego z wodzów australijskich do G. F. Moore'a, przedstawiciela kolonii Victoria. Nie możemy się powstrzymać od przytoczenia tej mowy prawie w całości.

¹⁾ Heckewelder „Indian Nations“, Filadelfia 1876, 101.

«Po co wy, biali ludzie — mówił dziki syn Australii¹⁾ — przyjeżdżacie na okrętach do naszego kraju i mordujecie biednych czarnych, którzy was nie pojmują? Posłuchajcie mnie! Dzicy czarni nie rozumieją praw waszych; każde żywe stworzenie, które chodzi po ziemi, każdy korzeń jadalny, który rośnie w ziemi, są własnością wszystkich. Czarny za swoje uważa tylko ubranie, oręż i imię swoje... Dziecko gdy jest o tyle krzepkie, iż może udźwignąć dziryt, miota nim w każde żywe stworzenie, które przebiegnie mu drogę, a gdy wyrośnie na męża, polowanie jest jego głównem zajęciem. Nie pojmuję tego, iż zwierzęta lub rośliny mogą do kogoś jednego bardziej należeć niż do kogoś innego. Zdarza się, iż gromadka tubylców schodzi z gór, wynędzniała i wygłodniała, i spotyka osobliwe zwierzęta, które wy nazywacie owcami. Lecą dziryty, rozpoczyna się uczta. Wtedy wy biali, przybywacie i mordujecie biednych czarnych... I to samo bywa z naszymi biednymi a głodnymi kobietami: przyzwyczały się do wydobywania z ziemi każdego korzenia jadalnego. Kiedy wchodzi na wasze pola zasiane kartoflami, kije ich pograżają się w ziemi, a kartofle wychodzą na powierzchnię i niebawem znajdują się w torbach. Wtedy wy, biali, strzelacie do biednych, czarnych kobiet. »W tem odezwaniu się drga w całej swej mocy tragicznej zatarg dwóch poglądów wręcz odmiennych — jednego, właściwego naszym stosunkom indywidualistycznym własności, drugiego, który zrodził się z istnienia własności wspólnej czy niczyjej — mniejsza o definicyę. Wszystko co rośnie na ziemi, lub żyje na niej, należy do wszystkich, zarówno jak i sama ziemia. I nawet w okresie późniejszym, kiedy zamiast polować, człowiek będzie hodował zwierzęta, i zamiast wydobywania dzikich korzeni, będzie uprawiał kartofle i uważał je za własność czyjąś, osobistą, pojęcia dawne o owej skarbnicy plemiennej będą długo jeszcze istniały w stosunku do ziemi; i rolnik z ojców, praojców jak Indyanin z plemienia Moqui'ów, będzie twierdził, iż ziemia nie jest nasza bardziej niż powietrze i woda²⁾. Pomimo pracy-wieków poglądy te prastare przetrwały u nas. Na Żmudzi lasy większych właścicieli uchodzą za »bezpaańskie«, za coś w rodzaju dobra wspólnego, bo »włosy Adama praojca«, t. j. drzewa, rosną

¹⁾ Brough Smyth „Aborigines of Victoria“, II. 228—229.

²⁾ J. G. Bourke „Snake dance of the Moquis“, N. York 1884, 261.

w nich same dla wszystkich jego potomków, a nikt z nich wyłączenie nie używa i posiadania swego czynem nie stwierdza. Zbieranie jagód, grzybów, orzechów w obszernych lasach, pomimo zakazów, uchodzi nie za przestępstwo, jeno za godną pochwały gospodarczość wieśniaczek chroniących dary boże od zmarnowania tam, gdzie bez przyłożenia ich twardej ręki wiatr by je sprzątnął. Ktoś rzekłby, iż Żmudzin w tym razie hołduje jeszcze poglądom o kniei jako własności niczyjej. Ale, jak szydło z worka, wyłazi pojęcie inne — ograniczenie tego prawa tylko do Żmudzinów. »Bronić (do lasu) wstępu swojakom nie wypada. Tylko Żydów, Niemców wypędzać z nich należy, gdyby po swojemu plondrować tam spróbowali«¹⁾. I w kraju naszym las jest poniekąd w pojęciach ludu rzeczą bożą. W Lubelskiem (około Chmielnika) branie drzewa z cudzego lasu, szczególnie leżaniny, nie uchodzi prawie za kradzież, tem mniej jeszcze jeżeli las ów nie stanowi prywatnej własności²⁾. A w Krakowskiem mamy do czynienia z ciekawą gradacją kradzieży, która wyrosła z tego samego podłoża zwyczajów prastarych. Lud tamtejszy kradzież z pod czyjejs strzechy uważa za grzech daleko cięższy niż porwanie rośliny z pola, ogrodu lub lasu, ryby z rzeki albo produktów, stamtąd do gumna i spiżarni przeniesionych i wogóle wszelkich produktów żywności. »Owszem, to ostatnie za żaden grzech sobie poczytują. Bo mniemają, jakoby Bóg stworzył świat zarówno dla wszystkich ludzi; ztąd też las, pole, pastwisko, woda i t. p. służą do użytku wspólnego i nikt nikogo ograniczać w tem nie ma prawa« — biorący takie rzeczy to nie złodziej, ino »porwisz«, szkodnik, spędzisz³⁾.

Ale wracamy do okresu pierwotnego.

Obszar plemienny i wszystko, co na nim rośnie i żyje, jest wspólną skarbnicą ogółu plemiennego — jest współwłasnością. Ale bodaj ludy pierwotne, chociaż często do rozpacz doprowadziłyby prawnika europejskiego niejasnością swoich definicji, umieją wysnuwać ze zwyczajów swoich wnioski, które nadają ich poglądom o własności brzmienie bardzo stanowcze.

1) „Wiśła“ XI. 554.

2) „Wiśła“ III. 246, por. Kolberg, serya XX, „Radomskie“ 72.

3) Kolberg, serya V. (Krakowskie) 117—118 (por. tam zwłaszcza uwagi). Przy okazji przypominamy zasady Arabów: „Wszystko co samo rośnie nie może stać się wyłącznie czyjąś własnością“. (V. Berghem. „Propriété territoriale sous les premiers califs“, 13).

W zatargach z Europejczykami okazało się, iż przyznają żyjącemu pokoleniu tylko prawo użytkowania z tej rzeczy wspólnej, prawo zaś władania należy do plemienia rozciągającego się w wieki, a więc między innymi do pokoleń, które się jeszcze nie urodziły i dopiero kiedyś przyjdą na świat, ażeby korzystać z płodów obszaru plemiennego. Wiele plemion indyjskich na tej podstawie odmawiało sprzedaży gruntów białym przybyszom; przecież nie możemy — mówili — rozporządzać mieniem tych, którzy jeszcze nie pojawili się na świat¹⁾. Maoryzy zaś w N. Zelandyi, sprzedawszy ziemię Anglikom, po przyświeśle na świat każdego nowego plemienia, wymagali, ażeby im coś dorzucano do kwoty umówionej. »Sprzedaliśmy tylko swoje prawa osobiste, lecz nigdy nie mogliśmy uczynić tego z prawami tych osób, które jeszcze na świat nie przyszły«.

Rzekliśmy, iż obszar plemienny, oraz wszystko co na nim rośnie i żyje, jest w okresie pierwotnym wspólną dla ogółu plemięńców skarbnicą. Ale to twierdzenie nasze bynajmniej nie posiada wartości bezwzględnej, a właściwie nie oznacza, ażeby ta wspólna skarbnica była zarazem niepodzielna. Albowiem ta okoliczność, jak na przestrzeni obszaru plemiennego są rozmieszczone środki pożywienia, w ten nasz schemat wprowadza wielką różnorodność i odpowiednio do ułożenia się tej różnorodności kształtuje samo użytkowanie z skarbnicy ogólnoplemienną, stwarza różne zwyczaje, w których nie trudno dostrzec zarodki dróg bardzo odmiennych dalszego rozwoju własności. Rolę poczesną w tem oddziaływaniu odgrywa rozmieszczenie zwierzo-
 2)

W preryach n. p. Ameryki północnej zwierzyna (bizon) ciągnie gromadami przez obszar plemienny w określonych porach roku, w jednym roku idąc jednym, w drugim zaś innym szlakiem, myśliwi ścigają ją wzdłuż i wszerz całego terytorium, a każdy musi korzystać i w samej rzeczy korzysta ze skarbnicy wspólnej w każdym dowolnym punkcie obszaru plemiennego. Prawo zwyczajowe musiało tam stanąć na straży nieograniczonego użytkowania przez każdego obszarów plemiennych. Ściganie zwierzyny zwykle odbywa się siłami zbiorowemi; łupy

¹⁾ Brackenridge: „Ansichten v. Louisiana“, Weimar 1818, 103.

²⁾ Por. uwagi dra Rae „Jour. Anthr. Inst.“ XII. 275.

polowania dzielono pomiędzy osady lub rodziny uczestników¹⁾. To samo powtarza się w dzielnicach Kanady, gdzie przebywa renifer, albo w pampach Ameryki południowej. Natomiast w tych okolicach gdzie zwierzyna błąka się stale w obrębie niewielkiego obszaru, a nadto jest względnie jednolicie rozproszona na całej przestrzeni ziemi plemiennej, tam wspólna ta skarbnica rozpada się na mniejsze, przydzielone drobnym a statecznym gromadom, zwykle rodzinom. Taka „rodzina“, złożona zwykle z kilku, w najlepszym razie kilkunastu osób, przebywa stale w swojej dzielnicy i nawet rości tak wyłączne pretensye do użytkowania z niej, iż to dało powód do twierdzenia o istnieniu tam własności prywatnej. Niewątpliwie, twierdzenie wygłoszone w formie bezwzględnej, idzie w parze z bardzo płytkiem traktowaniem rzeczy, ale swoją drogą w tem błędnem pojmowaniu tkwią pierwiastki głębsze; nie ma tam jeszcze własności indywidualnej, ale bądź co bądź to rozstrzelenie skarbnicy plemiennej na obszary rodzinne jest już pierwszym ogniwem tego pasma, które z czasem, w miarę rozwoju nowych kształtów, doprowadzi do własności rodzinnej gruntów.

Takie zasady obowiązują między innemi i na lądzie australijskim. Istnieje wielka moc świadectw stwierdzających tę dążność ku indywidualizacji użytkowania u tubylców tego lądu. Chodzi tylko o wytknięcie właściwej jej treści. Otóż informacje są dość chwiejne, niekiedy nawet przeczą sobie, aby można było wymiarkować stosunki tamtejsze dokładnie. Nie ulega wątpliwości, że terytoryum należące do plemienia australijskiego jest podzielone pomiędzy gromady drobniejsze, „rodziny“, z których każda ma prawo jeśli nie wyłączne, to jednak mocno zaznaczone do korzystania z jej płodów i zna dobrze granice swego obszaru²⁾. Niektórzy z pisarzy źródłowych powiedzą na-

¹⁾ J. W. Powell „Ann. Rep. Ethn. Bur.“ 1885/6, 42. Por. Morgan „Houses and House-life of Amer. Aborigines, 79: „u Iroków użytkowało plemię całe społem z terytoryum plemiennego i nim władało“. Co do Indyan Pensylwanii, „pojęcie własności wyłącznej jest im obce, natomiast nawet najbardziej niewykształceni są obeznani z prawami ogółu na obszar plemienny“ (Heckewelder l. c. 292).

²⁾ Stanbringe w „Trans. Ethn. Soc. London“, l. c., 287; Dawson: „Austr. Aborig.“ 7; J. Frazer „The Aborig. of. N. S. Wales“ 36; E. Stone Parker „the Aborig. of Australia“ 11—12; J. Mac Gillivray „Voyage of Rattlesnake“, Lond. 1852, II. 28; Frazer w „Trans. Roy. Soc. of. N. S. Wales“ XVI. 224; Nind w „Journ. Roy. Geogr. Soc.“ 1830—1831, 44.

wet, iż terytorium plemienne jest podzielone nie tylko pomiędzy gromady, ale nawet między plemieńców pojedynczych, co im jednak nie przeszkadza o parę stronic dalej wygłaszać inne twierdzenie ¹⁾). Curr, zaznaczywszy, iż części obszaru plemiennego są własnością nawet plemieńców pojedynczych i podkreśliwszy wyłączność użytkowania, dodaje, że »jest to rzeczą powszechnie wiadomą, iż z gruntów plemiennych dzisiaj użytkują oni pospołu« ²⁾). Nind zaś wygłosiwszy takie samo zdanie, oświadcza, iż inni członkowie rodziny mają do tych gruntów prawo i same grunta uchodzić mogą za należące do plemienia, przyczem wymienia zwierzynę, na którą innym wolno polować na tym gruncie osobistym, oraz rośliny, które mogą wykopywać ³⁾).

Z tych niekiedy niejasnych, niekiedy błędnych wiadomości wynika jedno, a mianowicie, iż rodziny pojedyncze użytkują z określonych części obszaru plemiennego, te części zaś rozpadają się na działły mniejsze, gdzie przeważnie polują pojedynczy członkowie dorośli, tak jak to bywa u nas podczas grzybobrania, wymagającego, ażeby zbierający nie następowali sobie na pięty. Może się nawet zdarzyć, że dzielnica, gdzie polował ojciec, będzie do tego samego użytku służyła synom, a nawet, iż ojciec któremuś z synów odda za życia lub umierając określony obszar ⁴⁾). Te fakty zgoła zrozumiałe i możliwe

¹⁾ „Remarks on the origin a. antiquity of the Aborigines of. N. S. Wales by a Colonial Magistrate“ 1846, 21; Curr „the Australian Race“ I, 64 (bardzo mętne źródło! „W niektórych plemionach grunta są podzielone na części, z których każda tworzy własność osoby pojedynczej“); Nind I. c. 28.

²⁾ Curr I. 65, 66.

³⁾ Nind I. c., 28.

⁴⁾ „Jest rzeczą prawdopodobną, iż ojciec przed śmiercią niekiedy dzieli grunta pomiędzy synów... w niektórych razach dział czyjś wynosił kilkaset tysięcy akrów“ (Curr, I. 64); „wiadomo, iż niekiedy umierający wódz wyraża życzenie oddania jakiejś części szczególnej ulubionemu synowi“ (J. Frazer I. c. 37); „w wypadku śmierci wodzów grunta ich są dzielone pomiędzy dzieci, obie płcie otrzymują równy dział, najmłodsze dziecko największy“, Mac Gillivray I. c. II. 28. „Po śmierci ojca własność ziemską bywa dzielona w równej mierze pomiędzy wdową a dziećmi płci obojga“, Dawson „Aborigines of Austr.“ 7; pomiędzy obiema płciami, A. C. Gregory „Jour. Anthr. Inst“ XVI. 132. Eyre, powtarzając te rzeczy, mówi nawet o handlowaniu działami!. (II, 297).

przybrano w takie objaśnienia i wywody, że prawodawcy cywilizowani, układający dział kodeksu cywilnego o spadkach, nie zdołaliby w swej pracy kodyfikującej posunąć się dalej niż czyni to Australczyk w opowieści Curra lub Ninda... Ale ci sami autorowie, usiłujący wcisnąć prawo zwyczajowe australijskie w ramki kodeksu naszego cywilnego, zaznaczają niejednokrotnie fakty, które wykazują, iż chodzi tam nie o prawo władania, jeno użytkowania, i że dziedziczą terytorium nie tylko dzieci rzekomego właściciela, ale także każdy kto urodził się w danej dzielnicy obszaru plemiennego! »Jeżeli dziecko z innej rodziny przyjdzie na świat w granicach majątku (sic!), uchodzi za członka rodziny i ma równe prawo z nią do działu, byleby miało pół roku w chwili śmierci właściciela«¹⁾. Stosunek ten nawet zrodził zwroty odpowiednie mowy — takie dziecko jest względem właściciela woorkiem, jako też właściciel względem niego. Może w związku z tem pozostaje zwyczaj, iż dziecko, otrzymuje imię od przedmiotu, znajdującego się w dzielnicy, w której się urodziło. Dowiadujemy się, iż takie dziecko nie traci jednak prawa polowania w dzielnicy ojca, jako i tej, z której matka pochodzi²⁾. Są to fakty bynajmniej nie świadczące o wyłączności prawa własności! Raczej chodzi tutaj o rozgraniczenie praw użytkowania i zapobieżenie zatargom pomiędzy plemięćcami, którzy muszą poprzestać na jakiejś części ziemi plemiennej. Ale bądź co bądź takie stosunki zwiastują już ukazanie się możliwe a wczesne, w dalszej przyszłości, pojęć

¹⁾ Dawson l. c. 7. Rzecz możliwa, że to branie imienia od przedmiotów dzielnicy zależy od wierzeń iż istnieją ogniska duchów dziecięcych, wchodzących w łono kobiety — dziecko miałoby prawo polowania tam, gdzie jego prawzór wcielił się w matkę!

²⁾ Dawson l. c. 7. Brough Smyth l. 74. Mac Gillivray II. 28. Nind l. c. 44. Stanbridge l. c. 287. Prawo dziecka do polowania w dzielnicy matki nie powstrzymało Curra od twierdzenia, iż kobiety nie dziedziczą, l. 64. W dziełach źródłowych jest także mowa, iż polujący w cudzej dzielnicy musi prosić na to przyzwolenia właściciela (Nind l. c. 28). Może tak jest w rzeczy samej, ale może trzeba szukać wyjaśnienia tego w innych faktach, przytoczonych przez Gillena i Spencera: zabijający pewne zwierzę, winien prosić przyzwolenia obecnego totemowca. Dawson l. c., 7 mówi o opiekunach małoletnich — opowieści tej nie wyssał z palca, co najwyżej źle sformułował fakty życia, ale jakie, trudno nam wyrozumieć.

o własności indywidualnej¹⁾. Jednak na rozpatrywanym szczeblu kultury jeszcze nie ma takiej własności, istnieje tylko wyodrębnione prawo użytkowania, które w potrzebie może doczekać się zwięzienia w postaci »wyrównywania«: gdy nawiedzone będą okolice przez posuchę lub powódź, wtedy rodziny przenoszą się z nich na grunta sąsiadów (Curr I. 65). To samo bywa, gdy gromada któraś wzrośnie w liczbę członków. Rzecz to mniejszej wagi, że niekiedy orężem trzeba się domagać dokonania takiego wyrównania²⁾. Stosunki właściwe łądowi australijskiemu powtarzają się i gdzieindziej. W przeciwieństwie do zwyczajów Indian stepowych obszar plemienny u Indian Kalifornii i z wybrzeży Pacyfiku, w lesistych okolicach Labradoru i zatoki Ś. Wawrzyńca, już uwydatnia dążność do rozpadnięcia się, a działy przechodzą w ręce rodów względnie »rodzin«: gdy rodzina (u Shaswapów) zaprasza kogoś na »swoje« obszary, gość oddaje gospodarzowi pierwszego upolowanego jelenia, jeśli zaś zabił tylko jednego, część jakąś, a w każdym razie skórę³⁾. U Hupów w Kalifornii doszło nawet do tego, że cała okolica sąsiednia znalazła się w posiadaniu ojców rodzin pojedynczych, wielu zaś plemieńców nie ma wcale obszarów myśliwskich i ażeby z polowania czerpać środki utrzymania, musi wejść w stosunki zależności względem tych wyodrębnionych z gminu plemiennego właścicieli⁴⁾. U Weddów obszary do polowania przechodzą z ojca na syna⁵⁾. Ale zwłaszcza ta indywidualizacja obszarów myśliwskich uwydatniła się jaskrawo

¹⁾ Warunkowo, bo z przejściem do rolnictwa myśliwstwo traci dawną doniosłość i prawo polowania każdego może się rozciągać znów na obszary sąsiednie, jak u Orang-Blandów (Stevens „Materialen zur Kenntniss der wilden Stämme auf Malakka“, Berlin 1892, 90), a zwłaszcza jak u rolników weddyjskich: „Im usilniej Weddowie imają się roli, tem bardziej zanika dawne prawo do gruntów, aż wkońcu nastaje taki stan rzeczy, iż rodziny pojedyncze przestają posiadać swój obszar myśliwski i pospołu ciągną na polowanie“ (Sarasin P. i F. „Die Weddas v. Ceylon“ Wiesbaden 1893. 491).

²⁾ Fraser w „Proc. Roy. Soc. N. S. Wales“, XVI. 226.

³⁾ G. M. Dawson „Note on the Shaswap“ („Trans. Roy. Soc. Canada“, IX., sekc. II. 14): Powell „Ann. Rep. Ethn. Bur.“ 1885/6; „Jour. Anthr. Inst“. XII. 275. (o dzielnicach zachodnich).

⁴⁾ Goddard „Hupa Indians“ 22.

⁵⁾ Sarasin, I. c., 490.

u ludów syberyjskich, które zarobkują, sprzedając skórę zwierzyny upolowanej kupcom rosyjskim. Wogulowie mieszkają rodzinami jedna możliwie daleko od drugiej, w lasach nawet istnieją pół zagrody, pół płoty, jak w zwierzyńcach, zapewniające rodzinie czy rodowi wyłączne polowanie¹⁾. Wśród Oroczów każdy ma obszar swój do polowania: są to ustronia obfitujące w zwierzynę, a niezbyt od sadyby jego oddalone, które on odwiedza rok rocznie²⁾. Samojedzi w porze zimowej ciągną na polowanie, każda rodzina ma swoje stanowiska myśliwskie i miejsca połowu ryb; jeżeli rodzina wzrosła, »kniaź« w porozumieniu z ogółem osób danego okręgu wyznacza jej nową dzielnicę³⁾.

Widzimy więc, w jak rozległych granicach wahają się sposoby użytkowania z obszaru plemiennego już w okresie pierwotnym. Na jednym krańcu znajdują się tacy Abiponowie, którzy w obrębie plemienia nie przyznają nikomu wyłącznych praw do polowania lub rybołówstwa, na drugim Hupowie, u których są już osoby wyłączone od dostępu do zwierzyny. Pomiedzy temi ogniwami krańcowymi istnieje moc cała kształtów pośrednich, przejściowych. Innemi słowy, już na najniższych szczeblach kultury zaczynają się rozchodzić drogi przyszłego rozwoju gospodarczego: różnymi są punkty wyjścia, różnemi będą i być muszą ogniwia dalsze. Okoliczność tę pragnęlibyśmy podkreślić jak najsilniej. Za sprawą uogólnień przedwczesnych przyzwyczailiśmy się do zanadto schematycznego traktowania pasma rozwojowego urządzeń gospodarczych, t. j. do hołdowania mylnemu pogładowi, jakoby pasmo to wyglądało wszędzie jednakowo. A tymczasem u samego początku tego łożyska rozwojowego już istnieją odmienne kształty użytkowania ze skarbnicy plemiennnej. Zróżniczkowanie w zakresie stosunków własności sięga doby najwcześniejszej i naturalnie z biegiem czasu będzie wzrastało. A przyczyn tego zróżni-

¹⁾ Pallas „Reise durch verschiedene Provinzen d. russischen Reiches“ II. 257; Georgi „Beschreibung aller Nationen d. russischen Reiches“ Petersburg 1776, 1780, 68; Keussler „Zur Geschichte u. Kritik d. bäuerlichen Gemeindebesitzes in Russland“ I. 1876, 75 i 76.

²⁾ Schrenck „Reisen u. Forschungen im Amur Lande III. 586; por. Kroll „Ochotniczeje prawo u zabajkalskich burjat“ 20, 22, a także 13 o tem jak prawo pisane, kodyfikując zwyczaje, z tych wyodrębnionych praw użytkowania stwarza tytuły władania.

³⁾ Castren „Reiseberichte u. Briefe 1845—1849“, 191.

czkowania niepodobna będzie zrozumieć, nie wzięwszy pod uwagę ukształtowania źródeł, z których plemię czerpało utrzymanie swoje w okresie pierwotnym. Dodajmy, że w pasmo czynników, kształtujących sposoby użytkowania z obszaru plemiennego i stwarzających taką różnorodność, wplata się jeszcze jeden: spółnictwo kamieniołomów, miejsca obław sezonowych itd. Albowiem wewnątrz plemienia istnieją zakątki uprzywilejowane pokarmu, dostarczanego przez przyrodę w ilości nadmiernej we właściwej porze roku. Tam naówczas różne gromady schodzą się z jednej strony ażeby korzystać z nadmiaru pożywienia, z drugiej zaś ażeby, podczas zborów, obchodzić ceremonie różne, jak n. p. święto dojrzałości młodzieży. W dalszym toku rozwoju te miejsca staną się ogniskami życia społecznego, władzy dynastów i ukazujących się stosunków wymiennych. Okres życia osiadłego rzadko stwarza sam z siebie cały zręb swój stosunków, ale pospolicie rozwija tylko zarodki, które ukazały się w dobie życia koczowniczego ¹⁾.

II.

Prawo użytkowania ze wspólnej własności kształtuje się w sposób odmienny w każdej sferze swego stosowania. *Jus primi occupantis*, jako zasada, na której spoczywa prawo użytkowania. Normy odpowiedniego prawa zwyczajowego powstawały z wolna za sprawą żywiołowej gry instynktów i namiętności.

Heckewelder ²⁾ opowiada, iż Cypewaje pozwoiliwszy ochrzczoneму Indianom z plemienia Lenapów osiąść na swoim terytorium, nic nie mieli przeciw temu, ażeby ci karczowali

¹⁾ Por. Eyre „Expeditions of Discovery into Central Australia“, 1845, I. 147. Bracia Sarasinowie opisują, jak stosunki topograficzne i zoograficzne, zmienne w ciągu roku, sprawiają, że pojedyncze obszary myśliwskie idą wachlarzowato od wzgórz i jak podczas dżdżystej pory roku różne rody są w pobliżu siebie, nawiązują obcowanie itd., str. 476 — 483 i passim. Niewątpliwie to ukształtowanie obszarów pozostawiłoby piętno swoje i wtedy, gdyby ten lud przeszedł do wyższego ustroju społecznego.

²⁾ Heckewelder, I. c., 289/290.

grunta pod uprawę, ale zżymali się, gdy przybysze polowali i wreszcie z tego powodu wypowiedzieli im gościnność i wygnali. Innemi słowy, Czypewaje ochraniaли tę część skarbnicy plemiennej z której utrzymywali się, a pozwalali przybyszom korzystać z dóbr ziemi swojej, które były im niepotrzebne. A ponieważ dobra, z których plemię korzysta, są różnego pożytku i znajdują się w różnej ilości, przeto w troskliwości o nie plemienia, bądź rodu (względnie rodziny) istnieje cała gradacja stanów, która zaznaczonej już powyżej dążności w kierunku indywidualizacji użytkowania nadaje napięcie rozmaite w tej samej okolicy, stosownie, o jakie dobro chodzi, a w dalszym ciągu w obrębie całego plemienia, na podłożu zasadniczego podziału praw użytkowania, niekiedy stwarza się jeszcze bardziej zwężonych zwyczajów, które zmierzają także, w rezultacie ostatecznym ku wyjęciu z skarbnicy wspólnej różnych płodów na rzecz osób pojedynczych.

Pobudki tego nowego zróżniczkowania stosunków możemy odtworzyć, wychodząc z faktów, które zgromadził John Johnson w swoim przyczynku ciekawym o społeczeństwie chłopięcem zakładu Mc Donogha, a właściwie o zwyczajach wychowawców¹⁾.

Malcy od pierwszych dni istnienia zakładu jęli uprawiać myśliwstwo: wyszukiwać dzikie drzewa owocowe i gniazda ptasie, łowić wiewiórki i króliki, a łup był albo przez nich samych spożywany, lub niekiedy sprzedawany. Działwa względem tych dóbr, znajdujących się w obrębie majątku szkolnego, hołdowała zasadom spółnictwa, a zarazem wykluczała od udziału wszystkich malców z sąsiedztwa. Złapanie kogoś ob-

¹⁾ John Johnson: „Rudimentary society among boys“ („Hopkins University Studies“). Szkoła Mc Donogha pozostawia malcom wielką swobodę — sami troszczą się o swoje utrzymanie, a tryb życia jest taki, że możnaby zakład nazwać szkołą wytwarzania przyszłych businessmenów. W przedmowie do tego dzieła znajdujemy twierdzenie, że malcy zanim wyrosną, powtarzają w streszczeniu dzieje dalekich przodków. „Jak w płodzie embryolog rozpozna rysy szczątkowe budowy przodków, później zanikającej, tak samo badacz urządzeń społecznych musi odnaleźć w społeczeństwie malców nietylko przeżytki społeczeństwa pierwotnego, ale i zawiązki dalszego rozwoju. Każda szkoła i kolegium odtwarzają w łonie swoim postępowy rozwój społeczeństwa ludzkiego, i to w dziedzinie najciekawszej, bo rządu i prawa“. Por. podobnego rodzaju fakty u Sauvé: „Folklore des Hautes Vosges“, 1889, str. 279.

cego, chociażby synka oficjalisty, wywoływało oburzenie powszechne, a szkodnikowi, który ośmielił się był zrywać »ich« orzechy, lub złapać »ich« wiewiórkę, malcy wymierzali niekiedy surową karę doraźną. Sposoby użytkowania z tej skarbnicy wspólnej dóbr pozostawały w związku z naturą przedmiotów, i dlatego samo użytkowanie przybrało kształty bardzo odmienne. Co do orzechów, któregoś dnia październikowego, kiedy mrozy już nastały, a orzechy spadały od potrząśnięcia drzewem, wszyscy malcy o północy wyruszeni na zbiór — przed wyznaczonym dniem i godziną nie wolno było nikomu zerwać ani jednego orzecha. Zwykle paru malców łączyło się w spółkę i szło od drzewa do drzewa, strąsając wszędzie nieco tych owoców — prawo zwyczajowe »plemienia szkolnego« bowiem głosiło, iż nowa gromadka tylko wtedy może strącać orzechy z takiego drzewa, gdy odłoży na kupkę strąśnięte. A ponieważ to wymagało czasu, wołała iść dalej, i napotkawszy drzewo nie przywłaszczone, otrząść z niego tak samo nieco orzechów, z tem samem wyrachowaniem. W ten sposób drzewa, dokoła których wały się na ziemi owoce, stawały się faktycznie własnością tej gromadki, która pierwsza podeszła ku nim, a kiedy dokonano już podziału wszystkich drzew, wtedy każda strąsała resztę owocu. Zwyczaj ten powstał z wolna. Podczas lat pierwszych istnienia szkoły, każdy malec wychodził na zbiór, kiedy mu się żywnie podobało, nieraz zanim orzechy dojrzały; zdarzały się z tego powodu spory i bójkі, aż w końcu wyłoniły się zwyczaje, które tylko co przedstawiliśmy. Już inaczej ukształtowały się stosunki względem wybierania gniazd ptasich. Ptak składa jaja powoli, pomiędzy upatrzeniem gniazda a wypełnieniem go przez samicę jajami upływało niekiedy kilka tygodni. Malec więc, znalazłszy drzewo takie, zaopatrywał je w znak swój wyrzynięty na korze, a nikt ze szkoły nie miał prawa nadwyręzać takiej własności. Prawo to kończyło się z ostatnim dniem grudnia. Królików chwymano w pułapki od października do grudnia. Z początku pułapki stawiano w pobliżu jedna od drugiej — przeszkadzały więc sobie nawzajem. To wywoływało właśnie namiętne, aż póki któryś z silniejszych nie zaczął niszczyć pułapek współzawodniczących. Przykład ten znalazł naśladowców, wywołał bójkі i układy, wreszcie zrodził nowe prawo zwyczajowe: postanowiono, iż w promieniu 40 jardów od istniejącej pułapki nie wolno stawiać nowej. Ale

pułapka, o ile jest zbudowana z mocnego drzewa, może wytrwać dłużej nad rok jeden. Ta okoliczność sprzyjała przywłaszczeniu takich miejsc na »wieczystą« własność użytkownika. Miejsca te z pułapkami zaczęły uchodzić za stałą własność, i gdy malec opuszczał szkołę, darowywał innym, lub sprzedawał swoje prawa. Doszło do tego, że wszystkie siłła przeszły w ręce trzech monopolistów. To dało pobudkę do nowych wybuchów namiętności. Poszkodowani, t. j. nie mający miejsca na pułapki, wystąpili w obronie praw ogółu: »Ziemia należy do wszystkich nas, i dlatego każdy ma prawo łowić króliki«.

Słowem, gromada malców znalazłszy się na obszarze uchodzącym za wspólną własność ogółu, stwarza prawo zwyczajowe, które regulować będzie użytkowanie z tej skarbnicy zbiorowej przez osoby pojedyncze. Normy te wykazują, że, 1) prawo użytkowania kształtuje się bardzo odmiennie odpowiednio do natury źródeł wyzyskiwanych; 2) przyznaje ono roślinę lub zwierzę temu, kto pierwszy spostrzegł je i położeniem swego znaku wyodrębnił z pośród innych przedmiotów wchodzących w skład owej wspólnej skarbnicy; 3) samo to prawo zwyczajowe użytkowania powstało w następstwie walki pomiędzy uczestnikami, ale gdy zostało raz jeden utrwalone, każdego przestępcę czeka kara. Zbyteczna nadmienić, że zwyczaje szkoły Mc Donoghowskiej bynajmniej nie są zdarzeniem odosobnionem, ale przedstawiają objaw, który powtarza się w odmianach wielorakich tam wszędzie, gdzie stosunki ukształtowały się w ten sam sposób, t. j. gdziekolwiek cała gromada staje w obliczu dostępnej jednako dla wszystkich skarbnicy dóbr plemiennych.

A zatem, po pierwsze, prawo użytkowania kształtuje się bardzo odmiennie stosownie do tego, z jakiej części owej skarbnicy zbiorowej plemieniec korzysta. N. p. Jakuci na ptactwo wodne urządzają obławy t. j. hołdują zasadom spółnictwa, natomiast miejsca polowania na cietrzewie są trzymane w tajemnicy, a myśliwi z ukrycia śledzą za sobą, gdy pragną dowiedzieć się o tych ustroniach. Nawet za kiesę (t. j. 100 rubli) dobry myśliwy na te ptaki nie odkryłby miejsc swoich i dopiero przed śmiercią mówi o nich synowi swemu. Takie trzymanie w tajemnicy miejsc tokowania cietrzewich i przekazywanie ich synowi może przy sprzyjających okolicznościach doprowadzić

do powstania użytkowania dziedzicznego z danego miejsca ¹⁾. U Australczyków przynajmniej prawo podbierania jaj przybrało taką postać. Tam, u Kurnajów, w niektórych miejscach ziemi plemiennej legną się czarne łabędzie ²⁾. Prawo podbierania jaj przysługuje tam tylko pewnym osobom, n. p. do jednej z takich miejscowości, na mocy dziedzictwa, rościły pretensje dwie osoby tylko; na jednej kępie, każdy z daną grupą nie pozostający w stosunkach wrogich, mógł polować, ale za podbieranie jaj czekała go kara. W Wiktorii zachodniej w okresie niesienia jaj, każdy plemieniec musiał przebywać w swej dzielnicy i pod żadnym pozorem nie wolno mu było podbierać jaj nie na swojej ziemi; przestępcę śmierć czekała ³⁾. Takie ograniczenie wśród Australczyków odzwierciedla poniekąd zwyczaj szkoły Mc Donogha, tak samo jak obyczaj ostjacki — postępowanie malców względem orzechów. Ostjacy zbierają na sprzedaż jagody rośliny »*Vaccinium virutis idaea*«, oraz orzechy cedrowe. Orzechy te rosną zwykle w gajach i dla ich zbioru trzeba mieć przyzwolenie gminy. Gmina wyznacza dla wszystkich drzewa odpowiednie, każda rodzina wysyła wtedy tyle osób, ile jest »dusz« w rodzinie ⁴⁾. Gdzieindziej drzewa zostały wydzielone na stałe ze skarbnicy plemiennej i są we władaniu osób pojedynczych. W Ameryce północnej gaje klonu cukrowego, a nawet miejsca bagniste, porośnięte wrzosami, znajdowały się w takim posiadaniu wyłącznym rodzin ⁵⁾. W Australii ⁶⁾ akacja jest drzewem dostarczającym wiele pożytków, żywica z tego drzewa służy za pokarm i jako klej. Otóż każdy plemieniec ma prawo do określonej liczby drzew dla siebie i swojej rodziny; podczas skwarów letnich robi nacięcia na tych drzewach, ażeby wywołać wyciek soku, który, stwardniały, jest gromadzony na przyszłość — bodaj jeden z niewielu objawów robienia zapasów

¹⁾ Sieroszewski: „Jakuci“ 55.

²⁾ Fison i Howitt „Kurnai a. Kamilaroi“ 232 (uwaga); por. także Dawson: „Australian Aborigines“ 93.

³⁾ Dawson l. c. 92. To samo powtarza się na wybrzeżu Oc. Spokojnego w Ameryce północnej, Niblack „The Coast Indians“ 278; względem jaskiń z gniazdami jaskółczymi na w. Borneo, „Jour. Anthr. Inst.“ XIX. 205; stawów bobrowych w Ameryce półn., J. G. Kohl, „Kitchi-gami“ II. 263.

⁴⁾ Patkanow „die Irtisch-Ostjaken“. (Petersburg 1897) I. 31.

⁵⁾ J. G. Kohl, l. c., II. 263.

⁶⁾ Dawson l. c. 21.

na łądzie kopalnym. Nawet okazy Araukanii w obrębie gruntów wspólnych są przydzielone odrębnym plemionom, a wewnątrz plemienia — rodzinom, »jedyna forma własności dziedzicznej znana tubylcom« ¹⁾. Powtóre, o ile chodzi o przedmioty, które na ziemi plemiennej są swobodne jeszcze i do rozporządzenia, te należeć będą do tego, kto pierwszy je przywłaszczył (*jus primi occupantis*). Zresztą i użytkowanie dziedziczne, o którym tylko co wspominaliśmy, powstało ongi, w przeszłości, z takiego samego źródła. Wogóle »*jus primi occupantis*« jest wielką zasadą okresu pierwotnego, regulującą użytkowanie ze skarbnicy ogólnej. A ponieważ spożywanie nie zaraz następuje po przywłaszczeniu przedmiotu, przeto już bardzo wcześnie ukazują się różne znaki mające ostrzedz innych, iż rzecz znajduje się w posiadaniu indywidualnem. Te znaki istnieją między innymi w Australii. W Australii tubylcy używają na pokarm larw, które gnieźdzą się w pniu xantorrei. Australczyk, ilekroć spostrzeże okaz drzewa tego gatunku z uschniętym wierzchołkiem, bada czy nie zawiera w sobie larw, bo tylko w takich usychających drzewach one się lęgną. Ażeby zapewnić sobie na przyszłość ten pokarm upatrzony, tubylec nadłamuje wierzchołek drzewa, a nikt inny nie odważy się nadwerekzyć praw jego, złodziej bowiem bywa karany śmiercią ²⁾. Lang z tego powodu opowiada zdarzenie następujące. Podczas podróży znalazł drzewo, w którym gnieździły się dzikie pszczoły. Ale towarzyszący mu tubylec odmówił wybrania miodu, acz był zgłodniały, dojrzał bowiem czyjaś na nim gmerkę. Naturalnie, biali obrońcy własności prywatnej, ścigający gorliwie każdego złodzieja, nie podzielili skrupułów dzikiego i bez ceremonii zabrali miód cudzy ³⁾. Tutaj po raz pierwszy spotykamy się z znakiem własności, gmerką. O rodowodach i przekształcaniu się w różne formy tego znaku własności możnaby napi-

¹⁾ Maiden „Proc. Linn. N. S. Wales“, ser. II. t. III., 488; por. takie same zwyczaje u dzikich tubylców Malakki, Martin „die Inlandstämme d. Malayischen Halbinsel“ 861.

²⁾ Grey „Journal of two expeditions of discovery“ II. 289, także Nind I. c. 34.

³⁾ Lang: „Aborigines of Australia 13—14; por. także Curr. II. 162, J. Frazer, 45. Co do pszczół podobne zwyczaje Buszmenów, Stow. „The native Races of South Africa“ 86.

sać monografię specjalną ¹⁾, której treść nie byłaby obojętną i dla heraldyków naszych, bo rzuciłaby większe światło na pochodzenie wielu herbów naszych, niż grzebanie się w runach skandynawskich. Niekiedy znak ów odzwierciedla totema, a zawsze otoczony jest czcią jako rzecz święta, tabu. Własność prywatna od chwil najpierwszych swoich oddaje siebie pod opiekę sił nadprzyrodzonych, ażeby tem snadniej wyłamać się z pod zasad spółnictwa.

Widzieliśmy już wśród dziatwy amerykańskiej, iż te zwyczaje ukazały się w następstwie walki interesów i pojawieniem się swoim położyły kres kłótniom i bójkom. Niewątpliwie, takim samym jest początek norm ochraniających użytkowanie, a właściwych okresowi pierwotnemu. Wykraczającego czekały kary surowe, o nich dać może pojęcie słowiańskie prawo bartne, które niedarmo słynęło jako *das grausame Buthener Recht*. Paragraf 28 prawa bartnego w Lauenburgu głosił: *ktokolwiek będzie spotkany na cudzem drzewie bartnem, gdzie włożył dla wybrania piskląt, winien okupić gardło, za podbieranie zaś pszczoł czeka go kara śmierci*; § 16: *ktokolwiek samowolnie zagląda do pszczoł cudzych, lub wybiera miód pokryjomu, ma być bez miłosierdzia żadnego powieszony*; § 17: *kto wybiera cudze pszczoły, ma być oddany katowi, który niech okręci kiszki jego i wnętrzności dokoła skradzionego drzewa, a dopiero potem powiesi złoczyńcę na drzewie*. U bartników dawnych z okolic Berlina złodziej bywał wiązany i kładziony za piec do czerwoności rozegrzany, a kto z litości dał mu choć łyk piwa, musiał za karę stawić bractwu całą beczkę. U nas na Puszczy Zielonej jeśli »ktoś kilkakroć czynił co się dotyczy miodu«, »takowemu kat ma wyrznąć pęp y z niego kiszki wytoczyć, y tak z nim czekać, aż zdechnie, a potem zdechłego

¹⁾ Schiefner: „Über die ethnograph. Wichtigkeit der Eigentumszeichen“ („Bull. de l'Academie de Petersbourg“ 1855); R. Andree „Eigentumszeichen“ („Ethn. Parallelen“ II.); C. G. Homeyer „die Haus- u. Hofmarken“. Poprzestajemy na wymienieniu paru prac, zawierających obfity zbiór materyału, ale przerywając dzieła etnograficzne, często można spotkać tam liczne fakty nowe. Co do rozwoju znaku na drzewie u naszych bartników ob. moją pracę o Kurpiach. Bibl. Warsz. 1892. U dzikich Malakki, gdy drzewo zaopatrzone gmerką zmienia właściciela, w obecności wodza jest kładziony znak nowy, Martin, 861. Co do znaków na drzewie u Kubów, por. Forbes „A naturalist's Wanderings“ 242.

obiesić». Surowość tych kar znajduje się w jaskrawem przeciwieństwie do kar za inne występki — jeden z argumentów, że prawo zwyczajowe bartne zrodziło się bardzo wczesnie, a okrutnością swoją usiłowało okiełznać odruchowość człowieka pierwotnego i żądze, nie znające jeszcze hamulca ideowego.

*

*

*

Przyjrzelśmy się pojęciom, które przywodzą w okresie dzikim korzystaniu przez plemieńców dóbr skarbnicy wspólnej. Zasadą jest wtedy pogląd, że ziemia jest bożą, t. j. do wszystkich plemieńców jednakowo należą wszystkie jej płody, prawo zaś okupacji pierwotnej jest jedynie modłą, która winna regulować użytki wspólne i przyświeca rozpodziałowi dóbr wspólnych. Powstawszy w mrokach doby najwcześniejszej, te pojęcia, przekształcając się, przez całe formacje życia społecznego będą towarzyszyły stosunkom gospodarczym, zwłaszcza silnie będą ciążyły nad własnością ziemską okresu barbarzyńskiego i nawet podziałem plonów, aż kiedyś pierzchną w oddziaływaniu ustroju towarowo-pieniężnego.





STANISŁAW CISZEWSKI.

Czaszki ludzkie z kłódkami.

W pobliżu wsi Prenczowa, w tekowskiej stolicy na Słowaczynie, znaleziono jesienią 1901 r. dolną ludzką szczękę. Wisały u niej z prawej strony dwie zamknięte kłódki. Szczęka znajdowała się w usypanym z kamieni kopcu. Znalazło ją trzech włościan, zajętych zwożeniem kamieni z tego kopca na drogę. Znaleziskiem zainteresował się uczony archeolog słowacki, Andrzej Kmet'.¹⁾ Szczękę z kłódkami ofiarował do muzeum narodowego słowackiego w Turczańskim św. Marcinie, jednocześnie zaś ogłosił drukiem dokładny jej opis wraz z podobizną.

Czy kopiec, w którym znalazła się szczęka, był ludzką mogiłą, czy też powstał wskutek tego, że zrzucano na kupę kamienie, aby z nich oczyścić leżącą w pobliżu łąkę, nie wiadomo. Ponieważ jednak szczękę znaleziono na samym spodzie kopca, ponieważ, prócz szczęki, znajdowały się tam i inne jeszcze, zmurszałe szczątki kości, które przy rozwożeniu kopca uległy zniszczeniu, ponieważ znajdowały się nawet skorupy z garnka, więc możliwe, iż kopiec ów był istotnie ludzką mogiłą.

Dzięki dalszym poszukiwaniom A. Kmetia i innych uczonych²⁾ wyszło na jaw, że takich szczęk i czaszek z kłódkami

¹⁾ A. Kmet', Spodnia čelust' človečia z dvoma zámkami, Český lid, 1902, XI, 353—356.

²⁾ Cz. Zibrť, Český lid, 1904, XIII, 257—258.

istnieje więcej. S. Szembery w Sudowciach posiada w zbiorach swoich archeologicznych czaszkę z wiszącą u dolnej szczęki jedną zamkniętą kłódką. Muzeum narodowe w Peszcie przechowuje czaszkę z dwiema kłódkami, które wiszą nie razem, lecz jedna na jednym, druga na drugim końcu dolnej szczęki. Właścicielem czwartej czaszki z kłódką jest wreszcie baron A. Radwański z Radwanina.

Czaszki z kłódkami wzbudziły w świecie uczonym wielkie zaciekawienie, ale, o ile mi wiadomo, nie udało się dotąd wytłumaczyć ich znaczenia, aczkolwiek J. Stoczek¹⁾ był już na właściwym tropie.

„U ludów pierwotnych, powiada bezimienny autor notatki w czasopiśmie *Globus*²⁾, prawdopodobnie R. Andree, wyraźnej jakiejś analogii, któraby tłumaczyła znaczenie czaszek z kłódkami, nie znajdujemy. Zamykanie szczęki na kłódkę przypomina tylko nieco zeszywanie warg głowie-mumji, odgrywającej rolę skalpu u Indian południowo-amerykańskich Jivaros, oraz związywanie czaszce-skalpowi włóknami roślinnymi dolnej szczęki z górną, co znów praktykuje się na Nowej Gwinei“.

Zeszywanie i związywanie ludzkich warg, lub szczęk mogłoby istotnie pozostawać w związku z zamykaniem szczęk ludzkich na kłódkę, gdybyśmy wiedzieli z pewnością, że mamy w obydwóch tych przypadkach do czynienia z zabiegami sympatycznymi, t. j. z czynnościami, przedsięwziętymi pod wpływem jakiegoś wierzenia, czy przesądu. Ale, niestety, nie posiadamy co do tego żadnej wskazówki. Równie zaś dobrze, jak zabiegi sympatyczne, mogą to być także czynności, wpływające z pobudek nie wierzeniowych, lecz czysto praktycznych. Zeszywanie warg znumizowanej głowy może mieć po prostu na celu zapobieżenie temu, aby wargi, zsychając się, nieskurczyły się zbyt i nie odsłoniły całkowicie jamy ustnej. Co zaś do związywania szczęk, to postępującym tak chodzi może o to, aby dolna szczęka nie odpadła i stanowiła zawsze z górną jedną całość.

Nie znając pobudek działania, lecz tylko dwa gołe fakty, niepodobna tymi dwoma gołymi, zagadkowymi faktami tłumaczyć trzeciego, który jest taką samą zagadką, jak i owe dwa

¹⁾ Český lid, 1902, XI, 496.

²⁾ 1905, LXXXVII, 52.

pierwsze. Należy koniecznie obejrzyć się za takimi faktami, któreby umożliwiły wniknięcie w pobudki, zniewalające do zamykania na kłódkę szczęki ludzkiej.

Dawno już zwrócił na to A. Potebnia¹⁾ uwagę, że zabieg czarodziejski, któryby dla krótkości nazwać można w i ą z a n i e m s y m p a t y c z n e m, odpowiada najzupełniej ideowo zabiegowi czarodziejskiemu, któryby zwać się znów mógł s y m p a t y c z n e m z a m y k a n i e m. Ztąd każdy węzeł (strp. nawęz) jest w sztuce czarodziejskiej równoznacznikiem każdego zamku z kłódką na czele.

Zaprowadziłoby mię to zbyt daleko, gdybym chciał scharakteryzować wszechstronnie stosunek czarodziejskiej metody wiązania do metody zamykania, oraz nadzwyczajne na całym świecie obydwóch tych czarodziejskich metod rozpowszechnienie. Zaznaczam to więc tylko mimochodem i, pomijając zupełnie metodę sympatycznego wiązania, jako nie będącą w blizkim związku z faktem, którym się tu zajmuję, przechodzę wprost do metody sympatycznego zamykania, aby wyjaśnić w krótkości na czem polega i w jakich przypadkach bywa stosowaną.

Niejaka M. G. z M., pozwana będąc w r. 1647 przed sąd ławniczy lipski²⁾ zeznała, iż pragnąc się pomścić na niewiernym kochanku, udała się do kościoła, w którym miał brać ślub z inną dziewczyną i, w chwili gdy ksiądz wiązał nowożeńcom ręce stułą, zamknęła na klucz wziętą z sobą umyślnie w tym celu z domu kłódkę. Zamykając na klucz kłódkę, pragnęła „zamknąć“ tym sposobem młodemu małżonkowi dostęp do żony w ciągu pierwszej, poślubnej nocy³⁾. Takiego złego zamiaru, ażeby nie odmykać już nigdy owej kłódki, co by oczywiście pociągnęło za sobą odpowiednie następstwa, nie miała. Było to zresztą niemożliwe, bo kłódka potrzebna była co dzień do zamykania na noc drzwi od obory, więc tak czy owak, wciąż zamkniętą pozostawać nie mogła. O skutkach, jakie w takim

¹⁾ О некоторых символахъ въ славянской народной поэзіи, Харьков, 1860, 113, 138—139.

²⁾ K. G. Schoepsius, Disputatio juridica de serto virginum, Hala 1746, 38—39.

³⁾ Zabieg ten sympatyczny stosuje lud niemiecki w takim samym celu do dziś dnia. Obacz np. Fr. Schönwerth, Aus der Oberpfalz, Augsburg, 1857, I, 128; G. Lammert, Volksmedizin und medizinischer Aberglaube in Bayern, Würzburg, 1869, 154.

przypadku pociąga za sobą zamknięcie na klucz kłódki, oskarżona słyszała, będąc jeszcze małą dziewczyną.

Pomimo przytoczonej przez samą podsądną bardzo ważnej okoliczności łagodzącej, pomimo oświadczenia, obecnego na sprawie, dawnego kochanka dziewczyny, „dass er nach der Trauung zum ehelichen Wesen keinen Mangel verspüret“, sąd skazał dziewczynę na dwa lata wygnania i zagroził jej, że w razie powtórzenia się czegoś podobnego po raz drugi, oczekiwać ją będzie kara jeszcze surowsza.

Powiada przysłowie, że klin wybija się klinem. Z tej wychodząc zasady, Gruzini i Ormianie¹⁾, ażeby zapobiedz z góry złym skutkom, które pociąga za sobą dla młodej pary małżeńskiej zamknięcie przez kogoś w czasie jej zaślubin kłódki na klucz, radzą sobie w sposób następujący. Panu młodemu, wybierającemu się na ślub, kładzie się do kieszeni zamkniętą na klucz kłódkę, on zaś, podczas brania ślubu, pokryjomu kłódkę tę w kieszeni otwiera, paraliżując przez to akcyę przeciwną, którąby ktoś w tym czasie przedsiębrał na jego szkodę.

Na Morawach²⁾ metoda sympatycznego zamykania oddaje wielkie usługi kobietom, które niechcą mieć dzieci. Wystarcza w tym celu najzupełniej usiąść na zamkniętej kłódce, a następnie utopić ją w wodzie, życzyć sobie przytem, ażeby tak, jak owa kłódka, zamknięty pozostał żywot osoby, która kłódkę zamykała.

Podczas gdy kobieta, życząca sobie pozostać bezpłodną, „zamyka“ sympatycznie swój żywot, zamykając na klucz kłódkę, najbliższe otoczenie kobiety rodzącej usiłuje znów przyjąć jej z pomocą, otwierając w domu wszelkiego rodzaju kłódki i zamki³⁾, ażeby, podobnie jak owe kłódki i zamki, otwarł się żywot rodzącej matki.

¹⁾ I. Stiepanow, Сборникъ матеріаловъ для описанія мѣстностей и племенъ Кавказа, Tyflis, 1894, XIX, dz. 2, 96, nr. 147; M. Grigorjew, tamże, 1892, XIII, dz. 1, 115 nr. 43.

²⁾ F. Bartosz, Lid a národ, Międzyrzec wielki, 1885, II, 157.

³⁾ R. Lilientalowa, Wisła, 1900, XIV, 319. Żydzi polscy; P. Czubiński, Труды, IV, Petersburg, 1877, 3, Ukraina; A. Bałow, Этнографическое обозрѣніе, Moskwa, 1890, VI, 92, pow. poszechoński, gub. jarosławska; P. Siemionow, Сборникъ матеріаловъ для описан. мѣстностей и плем. Кавказа Tyflis, 1893, XVI, dz. 2, 4—5, kozacy tercy; M. Maszurko, tamże 1894, XVIII, dz. 3, 305, gub. tyfliska i kutańska; J. F. Most, Die sympathethischen Mittel und Curmethoden, Rostock, 1842, 136, nr. 85; G. Lammert, Volksmedizin u. medizinischer Aberglaube in Bayern, Würzburg, 1869, 167; A. Wuttke, Der deutsche Volksaberglaube, Berlin, 1900, 378; F. Liebrecht, Zur Volkskunde, Heilbronn, 1879, 360, Szkocya; H. Ploss, Das Weib, Lipsk, 1891³⁾, II, 252, Nowogrecy i t. d.

Gdy zabłąkanemu na pastwisku bydłociu grozi niebezpieczeństwo, iż stać się może pastwą wilka, właściciel bydłęcia, bądź to sam, bądź też w zastępstwie jego znachor, zamyka na klucz kłódkę, aby tak jak owa kłódka, zamknęła się paszczka wilcza i aby wilk nie mógł wyrządzić zabłąkanemu bydłociu żadnej krzywdy.

W powiecie homelskim¹⁾, na pograniczu Białej i Małej Rusi, bierze w tym celu znachor kłódkę z kluczem od właściciela bydłęcia, zamyka ją i kładzie gdziekolwiek bądź w podwórzu domu owego gospodarza. Stara się ukryć kłódkę tak, aby musiała ją znaleźć gospodyni domu. Skoro znachor zamknie kłódkę, można być pewnym, iż bydło samo wróci do domu w najlepszym zdrowiu.

W Czechach²⁾ zamykano dawniej (w. XVIII) kłódkę nad owcami w wilgę Bożego Narodzenia, aby żadna z owiec nie zginęła i ażeby żadnej nie pożarły wilki. I w Czechach więc chodziło o sympatyczne zamknięcie wilczej paszczki.

Pasterze wielkoruscy³⁾ zamykają na klucz kłódkę w dzień św. Jerzego, ale uciekają się do tego zabiegu sympatycznego w innym nieco celu. Mniemają, że uda im się dzięki temu utrzymać zawsze bydło w karchach posłuszeństwa. Porzuconą przez pasterza kłódkę bierze „zły“ i, stosownie do życzenia pasterza, otwiera ją, lub zamyka. Gdy kłódka jest otwarta, bydło chodzi po pastwisku; gdy ją „zły“, na rozkaz pasterza, zamknie, — bydło przestaje chodzić, stoi w miejscu, albo się kładzie i leży.

Podłożywszy kłódkę pod maślniczkę w której się robi masło, lub włożywszy ją w t. zw. „pójkę“ czyli picie dla krowy, wyobraża sobie wieśniak czeski na Morawach⁴⁾, iż „zamknął“ na kłódkę ręce i „moc“ czarownicy i że nie jest ona już w stanie zrobić mu szkody w nabiale, czy w bydle.

Chłopu wielkoruskiemu⁵⁾ zdaje się znowu, że nic łatwiej-

¹⁾ Z. Radczenkowa, Записки И. Рус. Географ. Общества по отдѣленію Этнографіи, Petersburg, 1888, XIII, zes. 2, str. XVI. (wstępu).

²⁾ Cz. Zibrt, Český lid, 1898, VII, 198.

³⁾ W. Villière de-Lile-Adama, Записки И. Русс. Географ. Общества по отдѣл. Этнографіи, Petersburg, 1871. IV, 315. Wieś Kniażaja gora, położona w pow. łuskim, gub. petersburskiej.

⁴⁾ F. Bartosz, Český lid, 1891, I., 128, 126.

⁵⁾ W. Dal, О повѣрхяхъ, суевѣрхяхъ и предразсудкахъ русскаго народа, Petersburg—Moskwa, 1880², 69.

szego, jak zamknąć kłódką krwiotok z nosa. Należy trzymać w tym celu pod nosem zamkniętą kłódkę, ale tak, aby krew, idąca z nosa, ciekła przez znajdujący się w niej otwór.

Przyjrzyjmy się teraz, jaką ciekawą rolę odgrywa zamknięta kłódka, lub jej miniaturowana podobizna, w obrzędzie symbolicznym, praktykującym się u Chińczyków po przyjściu na świat dziecka.

Po urodzeniu się dziecka¹⁾ bierze położna w rękę kłódkę i wymawiając rozmaite, mile dla ucha chińskiego brzmiące wyrazy, przykładą ją dziecku naprzód do ust. Czyni to w tym celu, ażeby zamknąć z nich wyjście brzydkim słowom i kłamstwu. Następnie przykładą babka dziecku kłódkę do nóg i do serca. Do nóg dlatego, aby, zamknięte będąc sympatyczną kłódką, nie nosiły dziecięcia tam, gdzie się chodzić nie należy, do serca zaś dlatego, aby uniemożliwić dostęp do niego wszelkiego rodzaju złu.

Obok ceremonii zamykania w sposób sympatyczny ust, nóg i serca nowonarodzonego niemowlęcia, miewa też jeszcze miejsce w tymże samym czasie u Chińczyków²⁾ ceremonia zawieszania na szyi dziecka talizmanu, zwanego „zamkiem stu rodzin“. Ów „zamek stu rodzin“ jest to miniaturowa podobizna kłódki, nabyta przez ojca dziecięcia za pieniądze, zbierane na ten cel wpośród krewnych i znajomych.

Jak widzimy, zabieg czarodziejski, polegający na zamykaniu kłódki z tą myślą, iż podobnie jak owa zamknięta kłódka, zamkniętem ma być to, lub owo, należy do czynności czarodziejskich, przedsięwziętych przez człowieka w rozmaitych okolicznościach i w celach bardzo również rozmaitych. Prócz tych przypadków, które już znamy, zabieg ów stosowany atoli bywa niekiedy w takich okolicznościach i w takim celu, iż gdy dowiemy się jeszcze o jego stosowaniu w tym właśnie specjalnie celu i w takich specjalnie okolicznościach, zrozumiemy może, skąd się wzięły na Słowacyzynie czaszki z wiszącymi przy nich kłódkami i co owe kłódki mają przy tych czaszkach do roboty.

Mieszkańcy powiatu pińskiego, w gub mińskiej, t. zw. Poleszucy³⁾, grzebiąc zmarłego członka rodziny, rzucają do jego

¹⁾ P. Piasecki, *Какъ живутъ и лѣчатъ Китайцы*, Москва, 1882, 13.

²⁾ S. Gieorgiewskij, *Мистическія воззрѣнія и мѣлы Китайцевъ*, Petersburg, 1892, 88—89.

³⁾ D. Bułhakowskij, *Пинчуки*, Petersburg, 1890, 186.

grobu kłódkę. Mniemają oni, że zapobiegą przez to powtórzeniu się w rodzinie wypadku śmierci. Podobnie¹⁾ gdy często mrą komu dzieci, aby zapobiedz złemu na przyszłość, powinna, według Poleszuków, babka, która stale odbiera dzieci, zamknąć na klucz kłódkę i włożyć ją leżącemu w trumnie, ostatnio zmarłemu dziecięciu pod plecy. Gdy to babka uczyni, urodzone później dzieci nie będą już więcej umierały.

Tak w pierwszym, jak i w drugim przypadku, chodzi, oczywiście, o to, aby zamknąć śmierci dostęp do tych członków rodziny, którzy pozostali przy życiu.

Od wrzucania zamkniętej kłódki do grobu, lub kładzenia jej trupowi do trumny, daleko jeszcze, co prawda, do zamykania na kłódkę szczęk umarłego. Ale zobaczymy, co czynią Tatarzy²⁾ gdy panuje we wsi mór na bydło. Wziąwszy nową kłódkę, zamykają oni nią gębę pierwszej padłej sztuce, którą zakopują następnie we wrotach, prowadzących z podwórza na pole. Są najmocniej przekonani, że po zastosowaniu tego środka, mór na bydło we wsi ustanie.

Skoro środkiem zapobiegawczym przeciwko pomorowi na bydło może być dziś jeszcze zamykanie pierwszemu zdechłemu bydlęciu gęby na kłódkę, to dla czegożby ten sam zabieg nie mógł być również gdziekolwiek bądź stosowany w celu zapobieżenia szerzeniu się morowej zarazy wśród ludzi?

Po tem wszystkiem, co dotychczas o znaczeniu sympatycznego zamykania miałem sposobność powiedzieć, zdaje mi się, iż przypuszczenie takie nie byłoby może zbyt śmiałym. O ile zaś ostałoby się ono istotnie, w takim razie zagadkowe słowackie czaszki z kłódkami przestałyby być zagadką i cel, który miano na widoku, zamykając dolne ich szczęki na jedną, lub dwie kłódkę, byłby zupełnie zrozumiały.

Tylko o szczęce z Prenczowa możnaby na upartego powiedzieć, że pochodzi z samotnej mogiły. O pochodzeniu innych czaszek i szczęk z kłódkami niema wiadomości, gdzie mianowicie zostały znalezione. Ponieważ ludzi, zmarłych na zarazę, grzebie się zazwyczaj nie na cmentarzu, lecz gdzieś na uboczu, więc kopiec kamienny pod Prenczowem, w którym znaleziono szczękę z kłódką, krył może zwłoki człowieka, który padł

¹⁾ Bułhakowskij, tamże, 188.

²⁾ K. Nasyrow, Повѣрья и обряды казанскихъ Татаръ, Petersburg 1890, 25.

ofiara morowej zarazy, a zamknięcie szczęki jego na kłódkę miało zamknąć dostęp do wsi morowemu powietrzu.

Dr. Semayer¹⁾, który opisał czaszkę z kłódką, znajdującą się w zbiorach muzeum narodowego w Peszcie, jest zdania, że kłódka ta zamknięta została na ogołoconej już z ciała szczęce ludzkiej. Na czym opiera to twierdzenie swoje, nie wiem. Gdyby jednak nawet tak być miało, to nie sądzę, aby fakt ten świadczył przeciwko wypowiedzianemu tutaj przeze mnie przypuszczeniu o pochodzeniu czaszek z kłódkami. Opierając się na zwyczaju, praktykującym się dotąd, mniemam, co prawda, iż szczęki osób, do których należały czaszki z kłódkami, zamknięto na kłódki wkrótce po śmierci, gdy kładziono zwłoki zmarłego do mogiły. Ale nie jest wykluczonem, iż w niektórych przypadkach mogło to miewać miejsce i później, gdy zwłoki uległy już rozkładowi i na szczękach nie było części miękkich. Powtarzające się, na przykład, wypadki śmierci mogły wzbudzić podejrzenie, że są to następstwa pozostawienia otworem ust któregoś z dawniej zmarłych współobywateli. W takim razie jedynie wskazaną drogą wyjścia byłoby odkopanie mogiły i zamknięcie na kłódkę szczęki kościotrupowi. Wszak t. zw. strzygoni i upiorów odkopywano, aby odciąć trupowi głowę i przebić mu serce osikowym kołem, dopiero nieraz w wiele tygodni po śmierci, gdy zachodziły takie wypadki, które poczytywano za jego sprawki. Coś podobnego mogło się więc powtórzyć i w tym przypadku.

Lubo przez zamknięcie na klucz kłódki zapobiega się dalszym wypadkom śmierci zarówno wówczas, gdy się ją zamknie i wrzuci do trumny lub grobu, jak również i wtedy, gdy się nią zamknie gębę padłego zwierzęcia, to jednakże różnice, istniejące pomiędzy temi dwiema metodami zapobiegania szerzeniu się śmierci, dają do myślenia, tembardziej, że druga z pomiędzy owych metod dziwnie jakoś przypomina zamykanie kłódką szczęki ludzkiej, coby rozumieć także można jako zamykanie ust. Jeżeli istotnie chodziło tu atoli o zamknięcie zmarłemu w sposób sympatyczny ust, tak jak w analogicznym przypadku chodziło o zamknięcie padłemu zwierzęciu gęby, to dla czegoż właśnie ust?

¹⁾ R. Andree, Globus, 1905, LXXXVII, 52.

Ażeby na pytanie to znaleźć odpowiedź, musimy poznać niektóre wierzenia, dotyczące rozmaitego rodzaju upiórów i wogóle ludzi zmarłych.

W Górnej Łgocie na Słowaczyźnie, pisze w r. 1848 W. Duszan¹⁾, zmarł przed kilkunastu laty kościelny. Był to wielki dziwak, człowiek małomówny i ponurego usposobienia. Gdy go niesiono na cmentarz, tak się rzucał w trumnę, że ją ledwo można było utrzymać. Skoro goście pogrzebowi powrócili z cmentarza do domu, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, wszystko jadło, przygotowane na stypę, zastali zjedzone. Zjadł je ów świeżo zmarły kościelny, bo gdy udano się natychmiast na cmentarz i grób jego odkopano, miał jeszcze resztki jadła w ustach. Odcięto mu więc głowę rydłem i położono ją pomiędzy nogami, przebito serce kołem, poczem zakopano grób na nowo i przywalono go kamieniem. Nie wiele to atoli pomogło. I później jeszcze straszył on ludzi, nosząc odciętą głowę pod pachą. Dopiero gdy go znów odkopano i pogrzebano na granicy wsi, przestał ludzi niepokoić.

Cóż z tego jednak, kiedy zabezpieczywszy się od odwiedzin upiора, ściągnęli sobie mieszkańcy Łgoty na kark inną biedę. W sprawę wdały się władze i ofiary przesądu poniosły karę.

Jak widać z opowieści Duszana, cechą charakterystyczną słowackiego upiора jest przede wszystkim żarłoczność. Zjada on naraz niemożliwe ilości jadła. Żarłoczność zdaje się być wogóle jedną z najbardziej charakterystycznych cech upiора wszędzie. Pożąda on zwłaszcza krwi, którą wysysa z ludzi i zwierząt i od której ciało jego nabiera czerwonego koloru. Łaknie krwi i tuczy się krwią ludzką chorwacki²⁾ i bułgarski³⁾ wilkołak, łaknie jej również czeska⁴⁾ i nasza zmora, chociaż, co się zmory tyczy, to nie jest ona już właściwie upiorem. Wierzenie to zresztą odwieczne i rozpowszechnione nadzwyczajnie⁵⁾.

¹⁾ Časopis Museum českého, 1848, II, 334.

²⁾ S. Ljubić, Običaji kod Morlakah u Dalmaciji, Zadar, 1846, 41.

³⁾ K. Jireczek, Cesty po Bulharsku, Praga czeska, 1888, 633—634.

⁴⁾ Cz. Zibrt, Staročeske výročni obyčeje, Praga czeska 1889, 210—215.

⁵⁾ C. Meyer, Der Aberglaube des Mittelalters, Bazylea, 1884, 345—347, 268—273.

Szkodzą także ludziom upiory i w inny jeszcze sposób. Nasz¹⁾, na przykład, i albański²⁾ strzygoń, usiłuje chuchnąć spotkanemu człowiekowi w usta. Kto do tego dopuści, musi umrzeć, ponieważ tchnienie strzygonia jest zabijające.

Kronikarz czeski, Neplach³⁾ (1322—1368), opowiada, że r. 1333 przebito w pewnej wsi w Czechach kołem i spalono zwłoki pasterza, nazwiskiem Myslata, ponieważ był on upiorem, i chodząc nocami po wsiach dręczył i dusił ludzi. „Quemcunque ex nomine in nocte vocabat“, kończy swą opowieść Neplach, „infra octo dies moriebatur“.

Lud polski⁴⁾ z okolic Krotoszyna i Ostrzeszewa wierzy iż gdy „z dwojga chłopców przyjaciół, pobratymów (tak!?) i rówieśników, t. j. w jednym będących wieku, umrze jeden, wówczas ten umarły, jako wieszcz, wchodzi w nocy na wieżę blizkiego kościoła i z tamtąd wrzeszczy straszny głosem na okolicę. Głosem tym przyciąga on do siebie t. j. wywołuje śmierć wszystkich w równym wieku z nim będących młodzieńców, a naprzód towarzysza“. To samo wierzenie słyszał O. Kolberg⁵⁾ w Targoszycach i Dobrzycy. Wieszcz, gdy umrze i pochowają go, wychodzi z grobu, idzie na cmentarz kościelny, wchodzi na wieżę kościelną i wrzeszczy, wymieniając imiona różnych ludzi. Powiadają, iż jak daleko słyhać jego krzyk, tak daleko ludzie umierać muszą. Aby wieszczego zrobić nieszkodliwym, ucinają mu głowę i kładą trupowi pomiędzy nogi.

W Bułgarii⁶⁾ (okręg tyrnowski) znowu utrzymuje lud, że t. zw.

¹⁾ J. Świętek, Lud nadrabski, Kraków, 1893, 495, 498; S. Ciszewski, Lud rolniczo-górnictwo... w pow. olkuskim, Kraków, 1887, 161, nr. 8.

²⁾ J. Hahn, Albanesische Studien, Jena, 1854, 163.

³⁾ J. Jireček, Časopis Č. M., 1863, I, 13—14; Cz. Zibrt, Staročeské výroční obyčaje, 211, = J. Emler, Fontes rer. bohemic., III, 480, 481. Zwracam tu mimochodem uwagę i na inny jeszcze, ciekawy szczegół w opowieści Nony. Paleplacha. Myslata, powiada on, „tumebat sicut bos et terribiliter rugiebat“. Otóż według Ł. Ilića (Narodni słavonski običaji, Zagrzeb, 1846, 294), wilkołak chorwacki, gdy mu przebijają głowę cierniowym kołem, ma także „kao vol rikati“.

⁴⁾ O. Kolberg, Lud, serja XV, Kraków, 1882, 33, nr. 2. Obacz także R. Andree, Ethnographische Parallelen, Sztutgard, 1878, I, 80 i dalej.

⁵⁾ tamże, 33, ur. 1.

⁶⁾ Ginczow, Сборникъ за народни умотворения, Sofja, 1892, VIII. dz. 3, 152.

„jednomiesięcznik“ („jednomiesięcznikami“ nazywają się dzieci, urodzone w jednym miesiącu chociażby nawet w różnych latach i z różnych rodziców) „woła“ po śmierci pozostałego przy życiu rówieśnika swego na tamten świat i ten nieodwołalnie musi umrzeć.

Z powyższego wynika, iż zmarły upiór może] również powodować śmierć innych ludzi, wołając na nich, aby szli za nim na tamten świat.

Oczywiście, że niezbędnym do tego warunkiem, ażeby móżdż jeść, ssać, chuchać albo wołać, jest posiadanie wolnych, nieskrępowanych ust. Zakneblowanymi ustami jeść, ssać, chuchać i wołać niepodobna. Ponieważ w danym przypadku zależało właśnie na uniemożliwieniu upirowi wykonywania tych wszystkich czynności, cóż więc było prostszego, jak nałożyć mu na usta sympatyczny knebel w postaci kłódki.

I tak, zdaniem mojem, możnaby również tłumaczyć pochodzenie słowackich czaszek z kłódkami.

Tutaj zaznaczyć jeszcze pragnę, że podobnie jak ust upióra, jest także zasada lękać się i jego oczu. „Podług mniemania ludu“, pisze Tworzymir¹⁾ w artykule p. t. „Wyjaśnienie początku niektórych przysłów, używanych w Wielkopolsce“, człowiek, który rodzi się z zębami, zostaje po śmierci upiorem. Wychodzi on wtedy z grobu i różne szkody wyrządza. I tak, np., patrzy nadół, a jak daleko wzrok jego pada, tak daleko wszyscy ludzie, będący w jednym wieku z upiorem, wymierają“. To samo wierzenie istnieje też w okolicach Łowicza²⁾.

Nie tylko zresztą upiór, lecz najzwyczajniejszy nawet nieboszczyk wypatruje po śmierci z pośród swego otoczenia nowe ofiary. Aby temu przeszkodzić, gdy kto umrze, przyryka mu się zaraz po skonie powieki³⁾ a nawet przyciska⁴⁾ je trzy-

¹⁾ Biblioteka warszawska, 1864, I. 271.

²⁾ M. Wawrzeński, *Materyały etnograficzne*, Kraków, 1907, IX. dz. 3, 237. W pow. łowickim kładą strzygoniowi do grobu sierp. Wobec tego należy przewidywać, że w grobach naszych z odleglejszej trochę epoki znaleźć się mogą sierpy.

³⁾ O. Kolberg, *Lud, Krakowskie*, ser. VII, Kraków, 1879, 179; Z. Wasilewski, *Jagodne*, Warszawa, 1889, 112; P. Czubiński, *Труды*, IV. Petersburg, 1877, 699; M. Federowski, *Lud Białoruski na Rusi litewskiej*, Kraków, 1897, I, 319; A. Gusiew, *Сборникъ матер. для опис. мыстн. и племень Кавказа*, Tyflis, 1893, XVI, dz. I, 331, nr. 9, kozacy tercsy; A. Wuttke, *Der deutsche Volksaberglaube*, Berlin, 1900, 458, i t. d.

⁴⁾ A. Pietrow, *Zbiór wiadomości do antrop.*, Kraków, 1888, dz. III, 30, nr. 3. Ziemia dobrzyńska.

groszniakami. Nie na wiele się to jednak wszystko przyda gdyż, zdaniem Wotiaków¹⁾, jeżeli za świeżo zmarłym ma jeszcze podążyć niebawem ktoś drugi, powieki nieboszczyka, mimo wszelkich usiłowań, aby je domknąć, wciąż się będą podnosiły do góry i żadnym sposobem przymknąć się nie dadzą.

Wnosząc z pewnego zabiegu, do którego, w razie czyjejs śmierci, uciekają się Czuwasze²⁾, należy nawet przypuszczać, że miejscami przynajmniej utrzymuje się przekonanie, iż zmarły człowiek szkodzić może po śmierci żyjącym nie tylko mową i wzrokiem, ale i innymi zmysłami. Zabieg ów polega na tem, iż którakolwiek z kobiet podchodzi do leżącego w trumnie nieboszczyka i zatyka mu uszy, nozdrza, oczy i usta kłębkami jedwabnych nici, zwracając się doń jednocześnie z taką przemową: „Jeśli cię zapytają na tamtym świecie umarli, odpowiedz im: uszy moje nic nie słyszały, nozdrza moje nic nie czuły, oczy moje nic nie widziały, usta moje nie wyrzekły żadnego złego słowa“.

Trudno, oczywiście, z pewnością powiedzieć, co mianowicie pragną osiągnąć Czuwasze, zatykając nieboszczykowi kłębkami jedwabiu uszy, nozdrza, oczy i usta. Kto wie atoli, czy i oni nie czynią tego w tej myśli, ażeby uniemożliwić zmarłemu wysłuchiwanie, wywachiwanie, wypatrywanie i wywoływanie z pośród żyjących nowych ofiar, któreby podążyły za nim do mogiły.



¹⁾ B. Gawryłow, Труды четвертаго археологическаго съѣзда въ Россіи, Kazań, 1891, II, dz. IV i V, 150.

²⁾ W. Magnickij, Матеріалы къ объясненію старой чувашской вѣры, Kazań, 1881, 161.



BRONISŁAW MALINOWSKI.

Totemizm i Egzogamia.

(Z powodu książki J. G. Frazera, D. C. L., L. L. D., F. B. A.: Totemism and Exogamy. 4 vols. London 1910.)

Czterotomowy traktat o totemizmie i egzogamii prof. Frazera jest niewątpliwie najważniejszą publikacją z dziedziny nauk społecznych, jaka się pojawiła w języku angielskim w przeciągu lat ostatnich. Nietylko bowiem sam przedmiot jest jednym z najciekawszych zagadnień etnologicznych, ale i autor wymienionego traktatu posiada wielkie kwalifikacje naukowe a imię jego jest związane niejako z historią tego problemu.

Jakkolwiek bowiem prof. Frazer z właściwą sobie skromnością w przedmowie do wymienionego dzieła wymienia socjologa szkockiego J. F. Mac Lennan'a jako pierwszego który zwrócił uwagę uczonych na zjawiska totemiczne, jednak pierwszy systematyczny traktat o totemizmie, został wydany w 1887 r. przez prof. Frazera. Niewielka ta książka, była aż do pojawienia się obecnego dzieła, klasycznym opracowaniem zjawisk totemicznych, zwróciła na nie ogólną uwagę uczonych, wywarła zasadniczy wpływ na późniejsze badania i była nieoszacowanym źródłem faktów i spostrzeżeń. Jak wiadomo totemizm jest pewną formą wierzeń pierwotnych a istotną treść tych wierzeń stanowi wyobrażenie, że istnieje ścisły związek i wzajemna zależność pomiędzy daną grupą ludzi a danym zwierzęciem, rośliną lub martwym przedmiotem. Związek ten i zależność,

mogą być różnego rodzaju. Czasem spotykamy wyobrażenia, że klan czyli grupa ludzi tego samego totemu, i zwierzę, które jest totemicznie z tą grupą związane, pochodzą od wspólnego przodka. Czasem znów istnieje wierzenie o bliskim pokrewieństwie zwierzęcia czy rośliny i grupy ludzkiej nie wynikającym jednak ze wspólności pochodzenia. Czasem znów zwierzę lub roślina doznaje czci i jest rodzajem bóstwa. Ogólnikowe te określenia totemizmu będziemy mogli wypełnić omawiając niżej przykłady cytowane przez prof. Frazera; na razie wystarczy zauważyć, że totemizm jest zarówno wyobrażeniem religijnym jako też instytucją społeczną.

Wszyscy ludzie spowinowaceni z tem samem zwierzęciem lub rośliną, są tem samem spowinowaceni i między sobą, stanowią jednostkę społeczną: klan totemiczny.

Obok innych właściwości, te jednostki społeczne posiadają jeszcze i tę cechę, że członkom danej grupy, którzy uważają się za powinowatych, nie wolno jest w przeważającej liczbie wypadków, żenić się między sobą, innemi słowy, klany totemiczne, są zazwyczaj jednostkami egzogamicznymi. To też wogóle totemizm i egzogamia uważane były i są przez wielu uczonych za zjawiska nierozłączne a jakkolwiek w obecnym swem dziele, prof. Frazer uważa, że zjawiska te pierwotnie powstały niezależnie, nie mniej opracowuje on oba te szeregi zjawisk równolegle i stara się wykazać, w jaki sposób doszły do stanu wzajemnej zależności, w jakim je obecnie prawie wszędzie spotykamy.

Nowe dzieło prof. Frazera o którym właśnie mówimy składa się z 3-ech części: 1) przedruk pierwotnego traktatu o totemizmie (z r. 1887) oraz przedruk 2-ch artykułów dotyczących początków religii i totemizmu (z 1899 i 1905 r.); przedruki te zajmują 172 str. tomu pierwszego; 2) dalszą część tomu -go od str. 175 - 579, tom 2-gi i 3-ci zajmuje geograficznie ułożony, bardzo szczegółowy i kompletny przegląd zjawisk połączonych z totemizmem i egzogamią na obszarze kuli ziemskiej; 3) tom 4-ty zawiera teoretyczne badania autora odnoszące się do opracowanego przedmiotu; głównie teorie autora o początkach totemizmu i egzogamii. (IV str. 1—169). Dalsza część tomu IV-go (str. 173—319) zajęta jest przez dopełnienia i poprawy przeważnie odnoszące się do przedruków dawnych dzieł, zawartych w tomie 1-ym. Z tych 3-ch części niewątpliwie najważ-

niejszą i posiadającą największe i najtrwalsze znaczenie jest część druga. Niepospolita erudycja autora, jego wielka zdolność oświeclania faktów i wykazywania między nimi istotnych związków niedostrzegalnych na pierwszy rzut oka; zalety tak świetnie rozwinięte w klasycznym dziele „Złota gałązka“ nadają niezaprzeczoną wartość i temu zbiorowi faktów. Dodać do tego należy niezwykle piękny i pociągający styl, oraz okoliczność, że w dziele tem zebrana jest olbrzymia ilość niewydanych dotąd najświeższych materiałów etnograficznych, które pierwszorzędni etnografowie z całego świata złożyli do osobistego użytku wielkiego uczzonego. To też zbiór ten tak jak wszystkie inne dzieła prof. Frazera będzie nieocenioną skarbnicą i kopalnią faktów dla całego zastępu uczonych, którzy posiadając świetnie zebrany materiał ułożony w sposób uwypuklający niejedną zależność między zjawiskami, potrafią może nieraz sformułować ściślejsze i bardziej naukowe teorie, niż pierwotny autor. Teorie bowiem prof. Frazera wyłożone w obecnym dziele, nie mogą wytrzymać poważniejszej krytyki, jak się to postaramy udowodnić poniżej. Są one jednak niezmiernie ciekawe, z punktu widzenia metodologicznego, posiadają bowiem wszelkie zalety i wady szkoły antropologicznej angielskiej i można na nich wykazać tak zalety jak i słabe strony metody, którą się ta szkoła posługuje.

Rozpocznijmy obecnie systematyczny przegląd 3-ch części omawianego dzieła. Celem przedrukowanego traktatu o totemizmie było określenie, czym jest właściwie totemizm i podanie wszelkich jego właściwości¹⁾. Mamy tu do czynienia ze świetnym empirycznym traktowaniem przedmiotu, które stanowi tak wybitną zaletę antropologicznej szkoły angielskiej. Każde twierdzenie objaśnione jest znaczną ilością przykładów, zebranych z wszelkich dziedzin etnografii. Na wstępie określa autor wyraz totem tak mniej więcej, jak to uczyniliśmy powyżej (I. 3.)²⁾ poczem rozróżnia totem klanowy, totem osobisty i totem zależny od płci; u pewnych bowiem plemion ludność męzka posiada inne zwierzę lub roślinę jako swój totem, żeńska zaś połowa ludności ma totem inny. Jednakowoż znaczenie

¹⁾ Traktat ten powstał z rozszerzenia pierwotnego artykułu encyklopedycznego, którego celem było określenie wyrazu *totemism*.

²⁾ Liczby w nawiasach oznaczają strony traktatu, o którym piszemy.

socjologiczne mają prawie wyłącznie tylko totemy klanowe. W rozdziale o religijnej stronie totemizmu prof. Frazer rozpatruje cały szereg wierzeń, odnoszących się do zwierzęcia, rośliny lub przedmiotu totemicznego. Szeroko rozpowszechnionem jest wyobrażenie o wspólnym pochodzeniu członków klanu oraz ich totemu, rośliny lub zwierzęcia od wspólnego mitycznego przodka, który czasem jest zwierzęciem lub rośliną, czasem zaś istotą ludzką. Członkowie klanu obowiązani są do okazywania szacunku swemu totemowi, do oszczędzania go i opiekowania się nim. Często nie wolno członkom klanu zabijać, tępić lub jeść swego totemu lub używać przedmiotu totemicznego. Niektóre plemiona obchodzą żałobę po zwierzęciu totemicznym. W innych wymienianie nazwy zwierzęcia jest zabronionem. Wszelka obraza totemu pociąga za sobą złe skutki, jak śmierć, chorobę i t. d. Totem nawzajem otacza opieką spowinowacanych ze sobą ludzi. Członkowie klanu nieraz starają się naśladować swój totem, i ściślej się z nim połączyć, ubierając się w jego skóry czy pióra, tatuując jego wizerunek na ciele, lub używając jego podobizny jako odznak klanowych. W różnych uroczystościach jak urodziny, małżeństwa, pogrzeby totemizm odgrywa rolę ważną; najważniejszą jednak, przy wtajemniczaniu czyli inicjacji młodzieńców, dochodzących do dojrzałości płciowej. Wszystkie te strony wyobrażeń totemicznych prof. Frazer ilustruje licznymi przykładami. W rozdziale o społecznej stronie totemizmu, rozpatruje głównie prawne i egzogamiczne funkcje klanu totemicznego. Ponieważ poglądy tam zawarte, są po większej części przestarzałe, gdyż świeży, w przeciągu ostatnich 20-tu lat nagromadzony materiał zmusza do ich zmiany, nie będziemy więc wchodzić w szczegółowy ich rozbiór, zwłaszcza że i sam autor je zmieniał: w dopiskach i poprawkach na końcu tomu 4-go znaczna część poglądów wypowiedzianych w pierwotnej rozprawie, jest zmieniona lub odwołana. Dalszą część przedruku w tomie 1-szym stanowią dwie rozprawy o początkach totemizmu i religii, o których mówić będziemy, krytykując teorie tomu 4-go.

Obecnie więc przejdźmy do części drugiej dzieła, to jest do systematycznego przeglądu zjawisk totemicznych. Zjawiska te spotykamy, po za Europą, we wszystkich częściach świata. Do czwartego tomu dzieła Frazera dołączona jest mapa kuli ziemskiej, na której czerwoną farbą oznaczono obszary zamie-

szkałe przez plemiona totemiczne. Zajmują one cały kontynent Australii, połowę Nowej Gwinei, wyspy Melanezyi i część wysp Polinezyjskich, prawie cały kontynent północnej Ameryki i znaczne obszary w Afryce. Nadto znajdujemy ślady totemizmu w Indyach, na wyspach Sundajskich i w Ameryce południowej.

Prof. Frazer daje nam opis totemizmu i egzogamii tych wszystkich ludów na tle ogólnej ich charakterystyki, tak że dzieło jego z zajęciem może być czytane jako barwna antropogeografia. Co nas jednak uderza w systematycznym zestawieniu faktów, to brak jasno sformułowanej, świadomej celu metody; brak postawienia problemu i wytknięcia drogi badań. Autor poprostu zaczyna opisywać fakty, dając tu i ówdzie teoretyczną dygresję. I niewątpliwie ów brak metody daje się czuć dość często, jak się to postaramy wykazać. Tak ogólny przegląd faktów jak ten, który mamy przed sobą, porusza i nasuwa wszelkie możliwe zagadnienia z dziedziny etnologii porównawczej: między innymi zagadnienie czy dana instytucja społeczna, wierzenie, lub zwyczaj, które spotykamy rozsiane po całym świecie powstały samorodnie w różnych miejscach, czy też rozpowszechnione zostały przez naśladownictwo lub przez przeniesienie, innymi słowy przez wzajemne oddziaływanie ludów na siebie. Dalej podstawowe zagadnienie teorii rozwoju: czy dana instytucja miała jednakowy przebieg rozwoju w różnych daleko od siebie mieszkających ludach, innymi słowy, czy możemy różne formy tej samej instytucji, spotykane u różnych ludów z odmiennymi stopniami kultury, ustawić w jednolity szereg rozwojowy? Ten postulat prostolinijnego i jednakowego przebiegu rozwoju, jakkolwiek formalnie przez uczonych zarzucony, w wielu naukowych pracach odgrywa dziś jeszcze ważną rolę, jako milcząco przyjęte założenie. Tego rodzaju ukryte założenia są zawsze niebezpieczne i utrudniają ocenę i krytykę przedłożonych teorii i wniosków. Dlatego też autor tak obszernego i zasadniczego traktatu, powinien zająć w stosunku do wszystkich podstawowych problemów jasno określone stanowisko, ażeby ułatwić czytelnikowi oryentację, nie tylko co do swych teorii, ale i co do ujęcia faktów i sposobu opisanie ich, co stoi zawsze w istotnym związku z teoretycznymi poglądami. Im mniej hypotetycznych założeń i postulatów znajduje się w danym opisie faktów, tem większa jest wartość tego opisu, ale ponieważ każdy ścisły opis faktów, wymaga ścisłych pojęć

a te dać może tylko teoria, każdy więc opis i klasyfikacja musi być z konieczności oparta na teoretycznej podstawie.

Mając dany przegląd zjawisk totemicznych, możemy wymagać, aby tenże pozwolił nam przede wszystkim wykryć istotne cechy i ogólne formy tych zjawisk i pozwolił wydobyć zasadnicze związki pomiędzy zjawiskami totemicznymi i innymi formami życia zbiorowego. Ścisłe pojęcie totemizmu, jak wszystkie pojęcia empiryczne, zdobywamy dopiero drogą indukcji, porównywania zjawisk: badając starannie cechy totemizmu w każdym szczególnym wypadku i biorąc to, co jest wspólne we wszystkich tych wypadkach, jako ogólne pojęcie totemizmu. Ale aby ten cel osiągnąć w sposób nienaganny, koniecznem jest ścisłe sformułowanie metody porównawczej dla zjawisk etnograficznych. Łatwo dostrzedz, że opracowanie takiej metody zmuszałoby autora do zajęcia jasnego stanowiska w stosunku do wyżej wymienionych i innych zasadniczych zagadnień. Przede wszystkim trzeba by się zapytać jak należy porównywać fakty analogiczne, spotykane u ludów, stojących na różnym stopniu kultury. Czy stosownie do teorii prostolinijnego rozwoju należy fakty te uważać za formy tej samej instytucji w różnych fazach, czy też należy przypisać bardzo poważny wpływ czynnikom lokalnym, dającym każdej instytucji swoiste piętno, wyróżniające ją zasadniczo od pokrewnych form w innych miejscowościach. Prof. Frazer nie daje nam rozwiniętej metody porównawczej i my też nie możemy szerzej tych problemów poruszać; postaram się jednak dać parę wytycznych punktów. Tymczasem przejdźmy do przeglądu konkretnych faktów podanych przez prof. Frazera.

Autor rozpoczyna od opisu totemizmu australskiego. Australczycy są najpierwotniejszymi z ludów, u których znajdujemy wierzenia totemiczne, a zatem i totemizm ich jest najpierwotniejszym. To też autor spodziewa się, iż u nich znajdzie klucz do rozwiązania zasadniczych pytań. Etnografia australska różni 4 grupy autochtonów: 1) plemiona połud. wschodnie, które zamieszkują Wictorię, Nowo-południową Walię i część prowincyi połudn. Australii (New South Wales), 2) plemiona centralne i półn. centralne, zamieszkujące środkową część kontynentu, 3) plemiona półn. wschodnie zamieszkujące prowincję Queensland, 4) plemiona Australii zachod.

Plemiona Australii centralnej najlepiej są znane i opisane przez pp. Spencer i Gillen. Obaj ci mężowie spędziwszy długi czas między tubylcami opisali ich dokładnie w 2-ch klasycznych dziełach¹⁾. Rezultaty ich badań poddał sumiennemu sprawdzeniu misjonarz niemiecki Strehlow który nawet język miejscowy posiada. Prace Strehlowa²⁾ potwierdziły w głównych zarysach rezultaty badań Spencera i Gillena, żałować więc wypada, iż Frazer dzieło niemieckiego autora całkiem ignoruje.³⁾ Plemiona środkowo-australskie zajmują dość znaczną przestrzeń kontynentu i stosunkowo mało różnią się między sobą. To co o totemizmie mówić będziemy, odnosi się głównie do plemienia Arunta (wedle pp. Gillen i Spencer) czyli Aranda, (wedle Strehlowa), które to plemię najlepiej jest znane.

Charakterystycznym rysem plemion środkowych jest niezmierny rozwój podań o przodkach totemicznych, których w plemieniu Arunta zwą Alcheringa. Nazwa ta obejmuje zarówno same osoby przodków, jak i ich czyny, dzieje i całą epokę do której się owe podania odnoszą. Epoka ta sięga czasów najbardziej zamierzchłych, stworzenia świata, ludzi itd. Oczywiście należy się wystrzegać przypuszczenia, iż umysł pierwotny jest zdolny do jakichkolwiek ścisłych i określonych pojęć, jak następstwo w czasie, nieskończoność, epoki i t. p. Prawdopodobnie jednak podania ich dadzą się ułożyć w pewne następstwo⁴⁾ ale następstwo to jest wyrażone w sposób niezmiernie nieokreślony⁵⁾. Najdawniejsze podania odnoszące się do powstania ziemi, do powstania a raczej zrobienia ludzi, do złych istot Oruncha, mniej są interesujące i ważne przy opisywaniu totemizmu, dla którego ma wartość jedynie

¹⁾ B. Spencer i F. J. Gillen: *The Native tribes of Central Australia*. London 1899.

Ciż sami: *The Northern tribes of Central Australia*. London 1904.

²⁾ C. Strehlow. *Die Aranda und Loritja-Stämme in Central Australien*. Część pierwsza wyszła w r. 1907. Druga r. 1908. Trzecia r. 1910.

³⁾ Wogóle zasadniczą wadą dzieł prof. Frazera jest zupełna dowolność. Uważa za wiarogodne dzieła Spencera i Gillena, dzieła Howitta i tych autorów, których ci panowie uznają, wszelkie zaś źródła im przeciwnie pomija milczeniem. Do tych należą Strehlow, L. Schultze, R. H. Matthews i Mrs Parker.

⁴⁾ Porów. Spencer i Gillen str. 381 i dalsze.

⁵⁾ Wszelka interpretacja myśli pierwotnej jest niezmiernie trudna. Nasze pojęcia i wyrazy, są zasadniczo niewspółmierne z psychiką ludów pierwotnych i jakkolwiek nie można twierdzić, abyśmy całkiem nie byli w stanie pojąć ich i zrozumieć, to możliwe jest to tylko przez do-

część podań, wyjaśniająca na czym polega istotne powinowactwo, czy częściowa identyczność owych przodków z ich totemicznymi zwierzętami. Spencer i Gillen wyrażają się, że istoty pierwotne, które powoli zostały przerobione w ludzi, były etapami, stopniami w przeobrażaniu zwierząt i roślin na ludzi; stąd też ci ludzie, którzy właśnie byli przodkami Alcheringa, naturalnie mają w swej naturze coś z danego zwierzęcia czy danej rośliny.¹⁾ Strehlow twierdzi, że zwierzęca i roślinna natura tych przodków, przejawia się w ich zdolności przyjmowania dowolni postaci zwierząt lub roślin, a także w zdolności wytwarzania tychże.²⁾ Prawdopodobnie Australczycy sami nie mają żadnych jasnych pojęć co do tego i po prostu identyfikują w swoim mistycznym, mglistym sposobie myślenia, przodków swych z ich totemicznymi zwierzętami³⁾. Ci przodkowie o pół ludzkiej a pół zwierzęcej naturze, wędrowali w bandach złożonych z osób tego samego totemu i przechodzili przez różne części terytorium, na którym dziś ich potomkowie mieszkają. Dzieje przodków Alcheringa stanowią rodzaj pisma św. plemienia Arunta. Cała organizacja społeczna, wszystkie formy kultu i wszystkie wierzenia, są w ścisłym związku z wydarzeniami, wędrówkami i czynami przodków. To też można powiedzieć, że tradycje te są typem podań, mytów w najściślejszym znaczeniu tego wyrazu, a są one bardzo rozwinięte i bogate.⁴⁾ Oczywiście życie przodków jest tego samego słowne oddanie ich opowiadań, przez ilustrowanie niezmierną ilością przykładów (jak to czyni Strehlow) i przez porównanie wierzeń z instytucjami społecznymi.

Takie streszczenie do jakiego jestem tu zmuszony, naraża zawsze piszącego na niejasności, czytelnik więc pragnący uchwycić istotę myśli pierwotnego Australczyka, musi się zapoznać z pracami źródłowymi Spencera i Gillena, Strehlowa i innych. Ja tu podaję tylko myśl tę w szerokich zarysach.

¹⁾ Spencer i Gillen, *Nat. Tr.* str. 389.

²⁾ Strehlow I. str. 3 i 4.

³⁾ Sposób ujęcia psychologii ludów pierwotnych, spotykany często u etnografów, pozostawia wiele do życzenia. Traktują oni umysł pierwotny, jakby był zupełnie logiczny i uporczywie starają się wydobyć z niego konkretne i jasno sformułowane teorie. Tymczasem człowiek pierwotny nie poddaje swych wyobrażeń próbie praw logicznych. Teoria psychologii człowieka pierwotnego rozwinięta jest w doskonały sposób w świeżo wydanym, zajmującym dziele Lévy-Brühl'a. „*Les Fonctions mentales dans les sociétés inférieures*”. Paris 1910.

⁴⁾ Spencer i Gillen zapełnili nieledwie całe 2 tomy temi podaniami i ich wpływem na socjologię australską. Strehlow również poświęcił im 2 części swego dzieła.

typu i treści jak to co stanowi treść życia obecnych mieszkańców i dziedziców bohaterskich przodków Alcheringa. Przodkowie mordowali się wzajemnie, wykonywali różne ceremonie, polowali, odbywali wędrówki, tak samo jak dziś ich potomkowie¹⁾. Ale są niektóre ważne szczegóły, odnoszące się do ich dziejów i organizacji społecznej, którymi odróżniają się od żyjących obecnie następców. Chodzili oni zawsze w bandach tego samego totemu i to było jedyną formą ich organizacji społecznej²⁾; żenili się między sobą³⁾, w swojej hordzie i zazwyczaj żywili się swym totemem⁴⁾. Do punktów tych wrócimy omawiając teorie prof. Frazera, a teraz przejdźmy do kwestyi, w których tradycje Alcheringa łączą się bezpośrednio z obecną organizacją i obecnym stanem społecznym plemienia Arunta. Zmęczeni długimi wędrówkami, przodkowie totemiczni Alcheringa, kończyli swoją ziemską karierę wchodząc pod ziemię, a w miejscu, w którym znikali, pozostawał jako znak tak ważnego zdarzenia, jakiś kamień wielki, drzewo, staw lub skała. Miejsca takie mają niezmiernie wielkie znaczenie w oczach tubylców. Są one zapłodnione duchami dziecięcymi („spirit children“ Spencer i Gillen, „Kinderkeime“ Strehlow), które przebywają tam, pozostawione przez przodków Alcheringa i oczekują sposobności, aby się wcielić na nowo. W jaki sposób ci mityczni przodkowie zniknęli z powierzchni ziemi, w jaki sposób na tych miejscach wytworzyły się owe duszyczki i jaka jest natura tych ostatnich, o tem wszystkim wyobrażenia Australczyków są bardzo niejasne i skomplikowane. Świadczy o tem wielka różnorodność wersji podanych przez Spencera i Gillena, a szczególnie przez Strehlowa⁵⁾. Dla nas to jest istotnem, że istnieją takie miejsca rozsiane po całym terytorium plemienia a w każdym takim centrum totemicznym, znajdują się istotki dziecinne „ratapa“, należące do tegoż totemu co i owo centrum, a oczekujące reinkarnacyi⁶⁾. Jeżeli jaka kobieta, zwłaszcza młoda znajdzie się w pobliżu takiego miejsca, a nawet tylko w obrębie danego okręgu totemicznego, a istotka dziecinna upatrzy ją so-

¹⁾ Spencer i Gillen Nat. Tr. Chapt X—XI i str. 119 i dalsze.

²⁾ Sp. & G. Nat. Tr. str. 392.

³⁾ Sp. & G. Nat. Tr. str. 392—394.

⁴⁾ Sp. & G. Nat. Tr. str. 208. i Nor. Tr. str. 321.

⁵⁾ Sp. & G. Nat. Tr. str. 123 i 124; Strehlow II. 52.

⁶⁾ Spencer i Gillen 123—126; Strehlow I. str. 5, II. str. 53.

bie, to poprostu wchodzi w nią, wciela się i wówczas rodzi się dziecko, należące do tego samego totemu, do którego ratapa należał; innemi słowy, każdy człowiek należy do tego totemu, w którego okręgu matka jego spostrzegła, że zaszła w ciążę. Wiara ta w nadnaturalne wcielenie, jest niezmiernie głęboko zakorzeniona w umyśle mieszkańców środkowej Australii. Przyśłania im ona zupełnie poznanie naturalnego procesu rozmnażania się, a związek przyczynowy pomiędzy kopulacją a poczęciem jest im całkowicie nieznany. Jest to faktem niezmiernie ważnym dla etnologii, iż znajdują się jeszcze teraz na powierzchni ziemi ludy, które pozatem, że nie znają naturalnego sposobu schodzenia z tego świata, nie wiedzą również, iż wchodzimy w życie, bez pomocy sił nadnaturalnych¹⁾. Wyobrażenia takie z konieczności wywierają muszą zasadniczy wpływ na szereg społecznych instytucji. Przedewszystkiem w kwestyi organizacyi rodziny mamy do czynienia z ludem, który nie zna węzłów krwi między ojcem a dzieckiem. Pozatem wyobrażenia konceptualistyczne są podstawą jedności klanowej. Widzieliśmy bowiem powyżej, że duchy czy istotki dziecinne przebywające w danem centrum totemicznym, pochodzą zawsze od wspólnej grupy przodków Alcheringa, są więc tego samego totemu, a wszyscy ludzie będący reinkarnacją tych duchów t. j. wszyscy poczęci w tym samym obwodzie totemicznym, tworzą klan totemiczny. Jedność klanu jest więc w środkowej Australii oparta na wyobrażeniach o wspólnem pochodzeniu od grupy przodków tego samego totemu. Zaznaczyć też należy, iż mamy tu do czynienia z wiarą w reinkarnację, w każde dziecko bowiem, wciela się pewien przodek totemiczny, ten właśnie od którego

¹⁾ Odkrycie to i pierwsze podanie go do wiadomości przez Spencera i Gillena rozwinęło całą literaturę specjalną. Prof. Frazer uważa ten brak świadomości Australczyków, za „istotę“ i „początek“ totemizmu. Zarówno on jak i szereg uczonych, twierdzą, że niegdyś cała pierwotna ludzkość, znajdowała się w podobnym stanie niewiadomości. Porównaj F. Sydney Hartland: *Primitive Paternity*; A. van Gennep: *Mythes et légendes d'Australie*; Frhr. von Reitzenstein; *Zeitsch. für Ethnol.* XLI. str. 644 i dalsze.

Z drugiej strony A. Lang: *Anthrop. Essays presented to E. B. Tylor*, twierdzi, iż wyobrażenia centralno-australskie są wynikiem wysoko rozwiniętej animistycznej filozofii i nie uważa je za prymitywne. Zdanie jego podziela O. W. Schmidt; *Zeitschr. f. Ethnol.* 1908 str. 866 i dalsze i Frhr. von Leonhardi (w przedmowie do III-ciej części Strehlowa).

dana „ratapa“ pochodzi.¹⁾ Ciekawym rysem totemizmu australskiego, jest niezmienna waga, jaką autochtoni przywiązują do tak zwanych „churinga'ów“. Są to płaskie, podłużne, kawałki drzewa lub kamienia owalnego kształtu, przywiązane sznurkiem w jednym końcu w taki sposób, aby mogły być w szybki ruch wprawiane, przyczem wydają dźwięk charakterystyczny. Każdy przodek Alcheringa nosił ze sobą takie churingi i każde „spirit child“ (duch dziecięcy) jest w mistyczny sposób z pewną churingą związany; przedmioty te odgrywają bardzo ważną rolę w kulcie totemicznym plemion tybylczych.

Najdonioślejszą funkcją społeczną wszystkich tych wierzeń jest niewątpliwie to, że na nich oparta jest łączność klanu totemicznego, jednostki bardzo ważnej w organizacji społecznej plemion Australii środkowej. Jak widzimy, wszyscy członkowie klanu uważają się za spokrewnionych, bo są wcieleniami ratapów tego samego totemu. Ponieważ Australczycy zwykle trzymają się tej samej miejscowości, a wędrówki swe odbywają w obrębie własnego terytorium, większość więc osób pewnego plemienia należy przeważnie do tego samego totemu. Klany totemiczne Centralnej Australii są jednostkami lokalnymi, a od wszystkich innych klanów, tak w Australii jak i po za nią, wyróżniają się tym faktem, że nie są egzogamiczne.

Obok klanów totemicznych, plemiona opisywane dzielą się jeszcze na klasy czyli fratrie (nazwy nadane przez badaczy), a ten podział ma na celu normowanie małżeństw. Klasy są egzogamiczne, członkom więc tej samej klasy nie wolno żenić się między sobą (w plemieniu Arunta jest 8 takich klas). System klas egzogamicznych nie ma nic wspólnego z klanami totemicznymi, które są lokalne i przynależność do których określa fakt wcielenia nadprzyrodzonego. Przynależność do klasy określa się podług tego, do jakiej klasy należał ojciec danego osobnika. Stosunki klas egzogamicznych są tak zawiłe i skomplikowane, iż mówić o nich dłużej nie będziemy, nie mając zamiaru zbyt szczegółowo egzogamią się zajmować.

¹⁾ Spencer i Gillen nadto twierdzą, że każdy człowiek co pewien czas po śmierci znowuż powraca do życia, inni służy twierdzą, że wiara w reinkarnację w najszerszym słownym znaczeniu znajduje się w Australii. Strehlow temu kategorycznie zaprzecza, ale informacje jego wydają się oparte na dość słabych podstawach. Strehlow II. str. 56.

Przejdźmy więc obecnie do organizacji społecznej klanu. Każdy klan totemiczny ma przewodnika, czy naczelnika, który jednak posiada bardzo szczupły zakres władzy, ograniczonej prawie wyłącznie do przodownictwa w uroczystościach religijnych swego klanu. Alatunja (tak zwie się ów naczelnik) ma w swej opiece skład churyng, a miejsce gdzie je chowają, jest uważane za święte. On decyduje, kiedy odbyć się mają ceremonie kultu i on im przewodniczy. Niezmiernie bogaty rozwój tych ceremonii, stanowi obok mytów i tradycji, główną cechę charakterystyczną totemizmu Australii środkowej. Ceremonie te są zawsze istotnie związane z tradycją o przodkach i wyraźnie wykazują ideę łączności ze zwierzętami i roślinami i wzajemną zależność istot tych i ludzi od siebie. Zwykle są to przedstawienia dramatyczne różnych zdarzeń z życia owych przodków.¹⁾ Jakikolwiek jest w danym wypadku cel ceremonii totemicznych, posiadają one zawsze charakter dramatyczny. Zawsze występują w nich aktorzy ucharakteryzowani jako zwierzęta lub rośliny totemiczne. W tych przedstawieniach sztuka plastyczna dzikich doszła do stosunkowo wysokiego rozwoju i różnorodności. Ich stroje i ozdoby podane w licznych fotografiach przez Spencera i Giliena i przechowane w niektórych muzeach, są zadziwiająco bogate w pomysły w stosunku do ich całej kultury. Udekorowani i ucharakteryzowani w sposób, który w mistycznej wyobraźni widzów identyfikuje ich z danym zwierzęciem totemicznym, dzicy aktorzy przedstawiają nieraz dość skomplikowane widowiska, związane treścią z myślą o przodkach. Mimicznie naśladują ruchy zwierząt i głosy ich w sposób czasem doskonały. Cała historia czasów Alcheringa jest uwieczniona i uplastyczniona w szeregu tych pierwotnych dramatów historycznych. Przedstawienia te mają jednak zawsze wyraźny cel określony, spełniają doniosłą rolę w ramach danej organizacji społecznej. I tak stanowią one ważną część ceremonii wtajemniczenia. Jak wiadomo w całej Australii każdy dorosły mężczyzna musi przejść przez cały szereg inicjacji, które dopuszczają go do używania pełnych praw trybu a zarazem do ezoterycznych tajemnic, ukrywanych starannie przed kobietami i dziećmi. Tajemnice te to tradycje z czasów Alcheringa, znajomość churyng, ceremonii i miejsc świętych, w których są churyngi prze-

¹⁾ Porównaj Sp. i Gi. No. Tr. str. 33 i 177.

chowywane. Główną treścią takich ceremonii inicjacyjnych, są właśnie przedstawienia totemiczne. Przytem starzy mężowie pouczają młodzież o tradycjach plemiennych, o prawach i o moralności, wszystko to zaś oparte jest i zaczerpnięte z dziejów Alcheringa. Podania te zawierają również usprawiedliwienie krwawych i wstrętnych rytów obrzezania, przypiekania, wybijania zębów a zwłaszcza strasznego rytu subincyzji, które stanowią najważniejsze zewnętrzne fakty inicjacji. Pozatem przedstawienia odbywają się jako tak zwane ceremonie *intichiuma*, które nadają totemizmowi plemion centralnych, charakter kooperatywy magicznej w celach ekonomicznych. Są to ceremonie, których zadaniem jest pomnożenie danego gatunku totemicznego zwierząt czy roślin, a spełniane są przez ten klan, którego totemem jest właśnie dane zwierze lub roślina. Przodkowie Alcheringa mieli władzę pomnażania, a nawet wytwarzania swego zwierzęcia totemicznego, ceremonie *intichiuma* są niejako spuścizną tej władzy; w tańcach i przedstawieniach totemicznych zawarta jest magiczna siła, która zmusza zwierzę lub roślinę do rozmnażania się. Połączone z ceremoniami *intichiuma* jest rytualne jedzenie totemu, którego po za tem członkom odnośnego klanu spożywać nie wolno, chyba w ostateczności a i wtedy jeszcze w ilościach niewielkich.¹⁾ Spencer i Gillen, chcąc określić jasno stosunek ludzi do swych totemów, mówią, iż tubylcy poprostu identyfikują siebie ze swym totemicznym zwierzęciem, mówiąc np. „kangur to *tosamo* co ja”.²⁾

Na tem kończę przegląd totemizmu plemion centralnych. Totemizm innych plemion znamy znacznie mniej dokładnie; badania nad niemi były prowadzone mniej metodycznie i jednolicie, same też plemiona wydają się być mniej jednolite, niż centralne. Dlatego aby nie nagromadzać szczegółów, często nawet niepewnych, wystarczy ogólnikowy przegląd tych plemion. Wogóle powiedzieć można, iż znamy w nich stosunkowo lepiej stronę społeczną totemizmu a bardzo mało wiemy o ich wierzeniach, tradycjach i wyobrażeniach. W dziele prof. Frazera występuje przy opisie tych plemion na pierwszy plan egzogamia, stosunki rodowe i klasowe, a o właściwym totemizmie czytamy bardzo mało. Ponieważ nie mamy zamiaru wchodzić w szczegóły egzo-

¹⁾ Spencer i Gillen Nat. Tr. str. 202 i 203. Strehlow III. str. 1. i dalsze.

²⁾ Spencer i Gillen Nat. Tr. str. 202.

gamii,¹⁾ zaznaczamy tylko, że każde plemię podzielone jest na 2, 4 lub 8 grup ściśle egzogamicznych. Podział ten reguluje prawa zawierania małżeństw, a zarazem stanowi podstawę systemu pokrewieństwa. W środkowej Australii klasy te nie mają nic wspólnego z klanami totemicznymi; tak że członkowie tego samego klanu rozsiani są po wszystkich 4-ch lub 8-iu klasach; natomiast we wszystkich innych plemionach australskich klany totemiczne znajdują się zawsze w jednej i tej samej fratrii. Podział klanowy odpowiada podziałowi klasowemu, czyli innemi słowy klany totemiczne są jednostkami zawsze egzogamicznymi.

*

*

*

Plemiona południowo-wschodnie są znacznie mniej jednolite niż te, które zamieszkują środek kontynentu i dlatego musimy rozróżnić kilka poddziałów. Plemiona Urabunna, Dieri i pokrewne, sąsiadują z grupą centralną, posiadają też podobny totemizm²⁾. Znane są niektóre podania o przodkach, ich czynach i wędrówkach, bardzo zbliżonych do dziejów Alcheringa. Prodkowie ci Mura-mura tak samo schodzili pod ziemię po skończeniu wędrówek i tworzyli w tych miejscach centra totemiczne, gdzie spirit-children (duchy czy istotki dziecięce) pozostały po nich i oczekują wcielenia. Tylko centra takie są zamieszkałe zazwyczaj przez spirit children kilku totemów, a więc totemizm nie posiada tutaj cechy wybitnie lokalnej, jak u plemion Środkowych. Dalej każdy spirit-child przy wcieleniu się zmienia swój totem i przybiera totem matki, po śmierci zaś wraca do swego najpierwszego totemu, aby znów przy nowych narodzinach zmienić totem, klasę i płeć. W plemionach tych istnieją również ceremonie typu intichiuma, mające na celu po-

¹⁾ We wszystkim, co dotyczy organizacji rodzinnej i pokrewieństwa u pierwotnych Australczyków, prof. Frazer ściśle trzyma się teorii Morgana, które do etnologii australskiej zostały zastosowane przez Fison'a i Howitt'a. Porównaj Fison & Howitt, Kamilarvi & Kurnai.

²⁾ Prawdopodobnie różnice w totemizmie plemienia Dieri i plemienia Arunta są mniejsze, niżby to wynikało z opisów, które posiadamy. Są one raczej wynikiem różnicy w sposobie badania. Plemię Arunta badał i opisywał B. Spencer, profesor Uniwersytetu w Melbourne, a plemię Dieri S. Gason, policyant i rev. Siebert, misjonarz.

mnożenie gatunku totemicznego¹⁾. Człowiekowi nie wolno jeść swego totemu, ale wolno go zabić i dać przyjaciołom. Jak widzimy więc totemizm ten przedstawia duże podobieństwo z totemizmem plemion centralnych. O totemizmie pozostałych plemion połud.-wschodniej grupy, znacznie mniej jeszcze wiadomo; nie znaczy to jednak, aby totemizm w tych plemionach był mniej bujnie rozwinięty, ale nie było nikogo, któryby potrafił go zbadać, dopóki ludy te jeszcze istniały. Teraz nie czas już na dopełnienie tego braku w naszej wiedzy, bo plemiona te są albo całkiem wytepione, albo dogorywające ich szczątki zapomniały tradycji, wierzeń i obyczajów przodków, których znajomość stracona jest dla nas na zawsze. Skąpe tylko i nie ujęte w całość szczegóły, zostały o totemizmie niektórych plemion zachowane. I tak z pewnych plemion doszły nas podania o przodkach, znana jest także organizacja egzogamiczna większości tych plemion, a jak wiemy, w tej grupie organizacja ta jest ściśle połączona z totemizmem. Pozostała też przynajmniej część nazw totemicznych, ale szczegóły te nie pozwalają nam wejrzeć głębiej w istotę organizacyi i wierzeń totemicznych.

Grupa plemion północno - wschodnich znana jest stosunkowo dobrze dzięki sumiennym badaniom W. E. Roth'a²⁾. Czy jednakowoż badacz ten niedostateczną zwrócił uwagę na totemiczną stronę wierzeń i organizacyi, czy też totemizm jest u nich naprawdę mniej rozwinięty, w każdym razie z dzieł Roth'a pozostaje wrażenie, iż plemiona te nie są totemiczne, co też i autor wprost stwierdza. Mniej jeszcze wiemy o plemionach Zachodnich; z pewnych danych można wnioskować, że totemizm istniał u nich, ale ogólnikowe te wiadomości małą posiadają wartość. Zauważyć należy, że wiara w nadprzyrodzone poczęcie, to znaczy nieznaną zupełną naturalnego związku między *coitus* a *conceptio* rozpostarta jest na większej części kontynentu. Wiemy, iż tak jest między plemionami północnymi i półn.-wschodnimi, a prawdopodobnie jest tak i wśród plemion Zachodnich i Wschodnich. Ale w Queensland wyobrażenia o wcielaniu się dzieci są zupełnie odmienne od wyobrażeń plemion centralnych i nie mają nic wspólnego z totemizmem.

¹⁾ Howitt, Nat. Tr. str. 783. Journal Anthropological Institute XXIV. str. 124 i dalsze.

²⁾ W. E. Roth. „Ethnological Studies“ Brisbane 1897, „North Queensland Ethnography“ Brisbane 1901—1909.

Na tem kończy się nasz ogólnikowy przegląd faktów połączonych z totemizmem; wystarczy on nam jednak do zrobienia paru uwag krytycznych, co do sposobu w jaki prof. Frazer przedstawia totemizm australski.

Przedewszystkiem przypomnieć należy, iż to co tu zostało powiedzianem, nie jest streszczeniem Frazerowskiego dzieła. Zebrane tu są fakty z książek źródłowych, a rezultaty prac Spencera i Gillena dopełnione wynikami obserwacji innych autorów, których Frazer częściowo lub całkiem nie używa (por. str. 37. notka). Powtórę prawie całkiem pominąłem tu milczeniem cały szereg zagadnień połączonych głównie z socjologią rodziny i rodu, które Frazer szeroko traktuje; byłoby to zbyt cieżnym komplikowaniem tego krótkiego szkicu zajmującego się wyłącznie totemizmem.

Głównym i zasadniczym zarzutem, jaki zrobić można metodzie prof. Frazera jest to, iż nie daje on nam jasnego i obiektywnego obrazu stanu rzeczy, niezależnie od wszelkich hipotez i teorii. Przeciwnie, opisując fakty, Frazer posługuje się ciągle pojęciami zaczerpniętymi z czysto hipotetycznych i niejako osobistych założeń i dogmatów. Niema u niego jasnej linii demarkacyjnej między faktami a wnioskami z faktów; niema wyraźnie wymienionych założeń; należy je samemu odszukać, aby mózdz poddać je krytyce. To właśnie postaramy się teraz zrobić w krótkości. Wszelkie hipotezy i założenia prof. Frazera, odnoszą się do zasadniczego problemu początków i rozwoju totemizmu, dlatego też i fakty australskie, stara się on ułożyć w szereg rozwojowy i tu otwiera się pole do zasadniczej krytyki, ponieważ z wielu względów materyał australski nie da się wtłoczyć w szereg ewolucyjny. Wiadomości nasze o plemionach australskich są w wysokim stopniu niejednolite. Jak widzieliśmy powyżej przy przeglądzie totemizmu, znamy dobrze pod względem totemicznym tylko jedną grupę plemion (plemiona centralne). O innych nie wiemy albo nic, albo bardzo mało. Tak się też ma i pod innymi względami; u jednych plemion znamy dokładniej organizację społeczną u innych wierzenia, u innych jeszcze kulturę materyalną. Niema jednej cechy, ani jednej strony ich kultury, na którejby można przeprowadzić jednolite porównanie wszystkich plemion. Dlatego też badania porównawcze są bardzo trudne, szeregi zaś ewolucyjne wydają się zupełnie niemożliwe. Układanie takich szere-

gów jest tem łatwiejsze, im bardziej różnią się kultury porównywane, o Australczykach zaś wiemy z pewnością tylko tyle, że jeżeli są jakie różnice co do ich kultury, to różnice te są niezmiernie małe. Tylko gruntowna znajomość całego szeregu plemion, oparta na jednolitych i systematycznych badaniach grupy tych samych właściwości, mogłaby służyć za podstawę do badań ewolucyjnych. Obecny stan etnografii australskiej nie daje dostatecznej podstawy do rozwiązywania zagadnień i zagadek ewolucyjnych; w rzeczywistości wszelkie próby w tym kierunku są widocznie bardzo niezadawalniające. Ponieważ obecnie etnografia australska jest przedmiotem bardzo aktualnym, a metody etnologiczne oparte są na ewolucjonizmie, wielu wybitnych uczonych starało się o rozstrzygnięcie kwestyi: które plemiona australskie stoją na najniższym szczeblu kultury, które wyżej a które najwyżej. Każdy uczony jednak ustawia plemiona w inny szereg rozwojowy i uzasadnia to w inny sposób. Co zaś najbardziej wzbudza nieufność do ich rezultatów, to fakt, że każdy taki szereg, dziwnym zbiegiem okoliczności, zgadza się z apriorycznymi poglądami i hipotezami autora. U prof. Frazera szereg jego odgrywa bardzo ważną rolę. Prymitywność plemion centralnych, a szczególnie plemienia Arunta jest kamieniem węgielnym wszystkich jego teorii. Dlatego też uzasadnieniu tego twierdzenia poświęca autor znaczną część swej pracy¹⁾ i stara się udowodnić argumentami trochę ogólnikowymi, jakkolwiek dość wymownymi, „prymitywność“ pokolenia Arunta. Ponieważ środkowa Australia jest krajem nieurodzajnym, skalistą i piaszczystą pustynią, ponieważ kontynentalny klimat, ze swą krańcowością upału i zimna, posuchy i rzadkich ale ulewnych deszczów, robi z tej części kontynentu jedno z najbardziej niegościnnych i niesprzyjających środowisk dla życia ludzkiego; ponieważ, z drugiej strony, warunki klimatyczne i urodzajność gleby na wybrzeżach Australii, stanowią, iż ten zakątek ziemi jest jeden z najbardziej wyposażonych w bogactwa żywej przyrody, nie należy się dziwić, że plemiona centralne musiały mniej się rozwinąć niż pobrzeżne. Ogólne to swoje rozumowanie popiera prof. Frazer szeregiem przykładów. Plemiona centralne chodzą zupełnie nago; mając skóry zwie-

¹⁾ Pozatem, że udowadnia on to w wielu miejscach *passim*, poświęca specjalne ustępy tej kwestyi: Tom I., str. 89—138, str. 175 i str. 314—349.

rzęce, nie potrafią zabezpieczyć się niemi od zimna, dochodzącego niekiedy do mrozów. Nie umieją budować trwałych schronisk, zabezpieczają się od wiatru i deszczu zaledwie zasłoną utkaną z chrustu i gałęzi. Natomiast plemiona, zamieszkujące wybrzeża budują trwałe domy z drzewa i kamienia, tak duże, iż 12 osób może się w nich pomieścić i umieją przyrządzać skóry zabitych zwierząt, aby im służyły za ciepłe okrycia. Równoległe z postępem w materialnej kulturze, prof. Frazer wymienia fakty świadczące o postępie w urządzeniach społecznych. Dzicy z pustyń centralnych, nie mają wcale wodzów, a władza plemienna spoczywa w rękach najstarszych ludzi. Wiele zwyczajów, połączonych z małżeństwem świadczy także o wielkiej prymitywności tych plemion. Plemiona z nadbrzeży morskich posiadają wodzów, a formy ich małżeństwa i rodziny odpowiadają wyższym stopniom kultury. Jednakowoż ani ogólne rozumowanie Frazera, ani fakty, jakie przytacza nie wytrzymują krytyki. Ogólne rozumowania są zawsze dowolne w odniesieniu do organizacji społecznej i kultury, z pośród zaś faktów Frazera, niektóre (rząd, wodzowie, sposób budowania mieszkań) oparte są na niepewnych danych, inne zaś są interpretowane i zużyte w sposób zupełnie dowolny. Zamiast wchodzić dalej w meritum dowodów Frazera, wymienię pokrótce kilka zdań innych autorów o kwestyi szeregu rozwojowego plemion australskich. Niezmiernie ściśle jakkolwiek nie przekonywujące są argumenty prof. Durkheima ¹⁾. Twierdzi on, że wszystkie dane wskazują na znacznie wyższy stopień kultury plemion centralnych, zwłaszcza plemienia Arunta, w porównaniu z innymi plemionami Australii ²⁾. Durkheim opiera się głównie na cechach organizacji społecznej i na twierdzeniu, że liczenie pokrewieństwa przez matkę jest pierwotniejsze, niż liczenie pochodzenia przez ojca. Jak widzimy więc, poglądy te są wprost przeciwne poglądom Frazera. Po stronie tego ostatniego stoi wybitny uczony francuski A. von Gennep i znajduje zwłaszcza w wierzeniach plemienia Arunta cechy wielkiej pierwotności ³⁾. Natomiast A. Lang jest zdania, że plemię Arunta jest dalekiem od

¹⁾ *Année sociologique*, V. str. 82 i dalsze, oraz VIII. str. 118 i dalsze.

²⁾ *Ibid.* głównie V. str. 90 i VII. str. 145.

³⁾ *Mythes et légendes d'Australie* str. XIII.

stanu pierwotnego, że jest jednym z najbardziej rozwiniętych w Australii, a poglądy totemiczne na koncepcję są wynikiem skomplikowanej filozofii animistycznej¹⁾. Znani badacze Spencer i Gillen, stoją stanowczo po stronie Frazera; widzą oni w ple-mieniu Arunta najniżej stojących przedstawicieli ludzkości, a w każdym razie najmniej rozwinięte z plemion australskich. Inny nie mniej wybitny etnograf australski Howitt układa znów inny szereg ewolucyjny, a plemię Arunta stawia w pośrodku. Pater W. Schmidt²⁾ udowadnia, że plemię Arunta posiada bardzo skomplikowaną i w stosunku do innych plemion wysoką kulturę.

Podam ten szereg przykładów, aby pokazać, jak niezmiernie wielka różnorodność zdań panuje w omawianej kwestyi. Pokazuje to, jak niepewne muszą być podstawy i sposób sformułowania problemu, jeżeli zdania uczonych są tak podzielone, a nawet rozstrzelone. Jeżeli tylu uczonych zajmuje się tą kwestyą bezpodstawną i nieokreśloną, to powodem do tego jest prawie wyłącznie obecnie panowanie ewolucjonizmu w socjologii i etnologii, a przytem fakt, że szereg ewolucyjny raz ułożony daje każdemu uczonemu szerokie i wdzięczne pole do spekulacyi. Przyjrzyjmy się niektórym wnioskom, które prof. Frazer wyciąga ze swoich założeń ewolucyjnych. Przyjmując jako pewnik, że plemiona centralne stoją na najniższym stopniu kultury, uważa on, że znajdujemy u nich obraz „czystego i pierwotnego“ totemizmu. Stąd wszystkie cechy i ogólny wygląd tego totemizmu można przyjąć za formy pierwotne, z których rozwinęły się wszelkie inne formy, spotykane u ludów stojących na wyższym stopniu kultury. Jedynem więc zadaniem jest przejść po kolei wszelkie cechy totemizmu plemion centralnych, uwypuklić ich „pierwotność“, wykazać, na czym ona polega i zakresić linię rozwojową tych cech. Jak widzieliśmy powyżej u plemion centralnych, totemizm i egzogamia są od siebie niezależne. Prof. Frazer uważa to za zjawisko pierwotne, które prawdopodobnie istniało u wszystkich ludów ziemi, a potwierdzenie swego poglądu widzi w fakcie, że w legendach plemienia Arunta przodkowie Alcheringa żenili się wyłącznie

¹⁾ A. Lang, Secret of totem str. 59—90 oraz artykuł w zbiorze „Antropol.- Essays presented to I. B. Tylor“ str. 210—218.

²⁾ Zeitschrift für Ethnologie XL. (1908 str. 886 i dalsze).

w swoim klanie totemicznym ¹⁾). Legendy zaś te uważa Frazer za wierne oddanie prawdy historycznej; innemi słowy, totemizm i egzogamia powstały niezależnie od siebie, a egzogamia jest zjawiskiem późniejszym ²⁾). Jest ona wynikiem reform społecznych dokonywanych przez ludzi pierwotnych w sposób świadomego celu ³⁾). Pogląd ten opiera Frazer na niektórych legendach plemienia Dieri, zwłaszcza zaś na fakcie, że reformy społeczne i dziś jeszcze powstają w plemionach centralnych za inicjatywą mężów starych, doświadczonych i wpływowych, jak to podają Spencer i Gillen ⁴⁾). Celem tej świadomej reformy społecznej, jest zapobiegnięcie małżeństwu pomiędzy bliskimi krewnymi ⁵⁾). Tu nasuwa się pytanie, jakie mogły być pobudki, skłaniające ludzi pierwotnych do zwalczania kazirodu ⁶⁾). Nie można przypuszczać ani naturalnego wstrętu do kazirodu, gdyż liczne przykłady stwierdzają, iż wstrętu takiego wśród ludzi pierwotnych nie ma, ani też obawy przed złymi skutkami takich związków dla potomstwa. Biologia do dziś dnia nie wypowiedziała ostatniego słowa w tej kwestyi, cóż by więc o niej wiedzieć mogli ludzie zupełnie prymitywni? Frazer przypuszcza, że zło, którego się obawiali owi pierwotni reformatorzy, jest magicznej natury ⁷⁾). Tak więc widzimy, że egzogamię, która zawsze występuje w połączeniu z totemizmem, i dlatego uważaną była za istotną cechę totemiczną, prof. Frazer uznaje wyłącznie na podstawie faktów centralnej Australii, za instytucję niezależną i późniejszą, za wynik świadomej celu reformy. Poza egzogamię, zasadniczym rysem totemicznym jest wogóle t a b u totemiczne, bezwzględny zakaz zabijania i jedzenia zwierzęcia totemicznego. Jak widzieliśmy zakazu takiego w całej pełni i surowości nie ma w Australii centralnej, podania zaś świadczą, że przodkowie Alcheringa zawsze żywili się swoim zwierzęciem lub rośliną totemiczną. Prof. Frazer w tem właśnie widzi dowód, że najdawniejszy totemizm nie znał totemicznego tabu ⁸⁾). Pierwotność

¹⁾ I. str. 103.

²⁾ I. str. 162.

³⁾ I. str. 350.

⁴⁾ Nat. Tr. str. 12. Nor. Tr. str. 26.

⁵⁾ I. str. 161 — 163; 166 — 259 zwłaszcza zaś IV. str. 136 i dalsze.

⁶⁾ IV. str. 154.

⁷⁾ IV. str. 158.

⁸⁾ I. 102 i 103.

żywienia się totemem Frazer tłumaczy tem, że prymitywni ludzie w ten sposób identyfikowali się ze swym totemem ¹⁾. Tabu zaś totemiczne mogło powstać jako chęć ubłagania i pozyskania sobie zwierzęcia ²⁾. Jak widzieliśmy charakterystyczną cechą totemizmu są ceremonie intichiuma, w których każdy klan stara się o rozmnożenie swego totemu. W tej funkcji na pół magicznej, na pół ekonomicznej Frazer widzi również jeden z najbardziej prymitywnych rysów totemizmu. Idea magicznej kooperatywy jest według niego prosta i naturalna dla myśli pierwotnej ³⁾; jest ona zdolna do rozwoju, tak że u wyższych ludów totemicznych spotykamy bardziej rozwinięte jej formy ⁴⁾. W ten sposób prof. Frazer przechodzi wszelkie objawy totemizmu plemion centralnych, na każdym stara się wykazać jego pierwotność i naszkicować dalsze linie rozwoju.

Plony, które prof. Frazer zbiera z materiału australskiego są bardzo bogate, trudno je jednakowoż uważać za pewny dorobek naukowy. Podstawowe założenie szeregu australskiego jest niepewne, ale i w szczegółach możnaby robić liczne zarzuty, teoryom Frazera. Zupełnie bez krytyki uważa on legendy za prawdy historyczne, teoria zaś jego egzogamii nadaje się do krytyki z wielu względów. Przedewszystkiem zasadniczo błędnem wydaje się przyjmowanie jakichkolwiek świadomych reform społecznych na wielką skalę u ludów bardzo pierwotnych. Mogą u nich zachodzić drobne zmiany w zwyczajach za inicjatywą indywidualną, ale nie podobna przypuścić wprowadzenia tą drogą zasadniczych zmian w organizacji społecznej. W szczegółach Frazer opiera swoją teorię na bardzo ubogim zasobie faktów, często tylko na domysłach. Nakoniec niezależność totemizmu i egzogamii w Australii środkowej jest zjawiskiem całkiem wyjątkowem, należałoby więc przedewszystkiem udowodnić, że wyjątek ten nie jest anomalią, zanim się na nim oprze całą teorię ⁵⁾.

Tyle o metodach i teoriach prof. Frazera. Ażeby lepiej je szcze oświetlić krytykę, którąśmy zastosowali do jego poglądów,

¹⁾ I. str. 118—120.

²⁾ I. str. 121—122.

³⁾ I. str. 104.

⁴⁾ I. str. 118

⁵⁾ Prof. Durkheim w artykule swoim w „Année Sociologique“ V. str. 82 i dalsze podaje szereg przekonujących racyi, które skłaniały do przypuszczenia, iż pierwotnie u plemion centralnych egzogamia była ściśle połączona z totemizmem.

dobrze byłoby wskazać inne metody i sposoby ujęcia, któreby można zastosować do materiału australskiego, a także wskazać jakie rezultaty możnaby na tej drodze osiągnąć. Przedewszystkiem zaznaczyć należy, że cele nauki ścisłej nie tyle leżą w budowaniu teorii i hipotez, odnoszących się do jakichś dziedzin znajdujących się poza granicami doświadczenia, ile w ścisłym i dokładnym opisie faktów. Zainteresowanie ścisłego badacza powinno się skupiać na zrozumieniu i wnikięciu w mechanizm i istotę zjawisk społecznych, tak jak obecnie istnieją i są dostępne obserwacyi, nie zaś aby te zjawiska służyć miały za klucz do rozwiązywania zagadek przedhistorycznej przeszłości, o której doświadczalnie nic wiedzieć nie możemy. Hipotezy rozwojowe posiadają znaczenie i wartość, ale o tyle tylko, o ile nie podporządkowuje się im wszelkich innych form poznania. Ostatecznym celem wszelkiego badania naukowego są fakty, poznanie związków i zależności pomiędzy nimi, a co za tem następuje, zdolność ścisłego i wszechstronnego opisu i ujęcia ich pod każdym względem. Wszystko to byłoby banalną prawdą dla badacza nauk przyrodniczych, ale w naukach socjologicznych zastąpienie interesujących, lecz nie ścisłych pogadanek o początkach różnych instytucji społecznych i wierzeń, należałoby nareszcie zastąpić mniej pojętnymi, ale bardziej ścisłymi poszukiwaniami praw socjologicznych. W jakim kierunku trzeba tych praw szukać i jakby się przedstawiały metody socjologii, o tem rozstrzygnąć mogą tylko badania specjalne. Filozofowanie metodologiczne bez podstawy faktów, mija się równie z celem, jak bezkrytyczne zbieranie faktów i budowanie teorii nieraz nieistotnych.

Aby więc konkretniej przedstawić ogólne te uwagi, objaśnimy je paru przykładami z problemów totemizmu australskiego. Profesor Frazer w swem dziele podaje szczegółowy przegląd zjawisk totemicznych u wszystkich ludów, u których się one znachodzą. Pierwszem zadaniem takiego opisu, jak to zauważyliśmy na wstępie jest jak najwierniejsze oddanie cech charakterystycznych i specyficznych u każdej osobnej grupy plemion. Chodzi o to mianowicie, aby w każdym pojedynczym wypadku uwypuklić te rysy, które w tym właśnie wypadku odgrywają istotną rolę. Widzimy więc, że stosownie do naszych ogólnych uwag powyżej wypowiedzianych, badacz powinien się starać nie tylko o to, aby mu hypotetyczne teorie

nie mieszały się z faktami, ale nadto aby znajomość ogólnych cech totemizmu nie przysłaniała bardziej indywidualnych rysów u danego plemienia.

W krótkim opisie faktów totemicznych wśród plemion centralnych, podanym powyżej, istotne rysy totemizmu zostały uwypuklone. Tak z jednej strony widzieliśmy, że istotną cechą wierzeń i wyobrażeń totemicznych jest cały szereg tradycji, odnoszący się do przodków Alcheringa. Z drugiej strony istotną cechą społeczną totemizmu jest to, że klan totemiczny służy głównie do celów kultu magicznego czy religijnego. Każda jednostka społeczna określa się funkcjami, jakie spełnia w społeczeństwie; funkcje zaś klanu w Australii, są wyłącznie charakteru religijnego. Dwa te punkty, na które położyliśmy nacisk, zawierają w sobie odpowiedź na dwa zasadnicze pytania połączone z totemizmem, a mianowicie: 1. jaki jest stosunek człowieka do jego totemu; 2. jaki jest stosunek człowieka do jego klanu totemicznego. Ale jak zaznaczyliśmy niejednokrotnie przy opisie faktów, odpowiedź na oba te pytania można uzyskać tylko przez szczegółowe nagromadzenie faktów odnoszących się do każdego z tych punktów, a ogólną formułę osiągnąć jedynie jako rezultat starannego badania szczegółów. Wszelkie ogólnikowe i apriorystyczne określenia jak np., że stosunek człowieka do jego tematu lub klanu totemicznego, jest stosunkiem braterstwa czy pokrewieństwa, są bezwartościowe. Określenie podobne musi się opierać na psychologii zbiorowej danego społeczeństwa. I tak, naszym zdaniem należałoby tu powiedzieć, iż stosunek człowieka do totemu w Australii, określa się 1. wiarą w reinkarnację: 2. wiarą w magiczną moc rozmnażania swego totemu. Każdy człowiek identyfikuje się do pewnego stopnia ze swoim przodkiem, ten zaś identyfikował się ze swym totemem o tyle, że żywił się nim, miał władzę wytwarzania go i przyjmowania jego kształtu. Wszystko to w pierwotnym umyśle Australczyka przeobraża się w mglisty obraz identyczności, rozciągającej się na niego samego, jego przodków, totem i członków klanu.

Po za tym ogólnym problemem istnieje jeszcze szereg innych zagadnień, które mają na celu również tylko głębsze wniknięcie w zjawiska totemiczne. Jak każda instytucja społeczna, tak i totemizm jest połączony z całym szeregiem zjawisk socjalnych, a śledzenie tych związków i zależności, zwłaszcza u ludów pier-

wotnych, a więc mało zróżniczkowanych, pozwala rozszerzyć nasze wyobrażenia co do tych zjawisk, a nawet odkryć nowe prawa socyologiczne. Widzieliśmy, że węzły łączące członków tego samego klanu, są węzłami pewnego rodzaju powinowactwa, nasuwa się więc pytanie, jaki jest stosunek totemizmu australskiego do rodziny i innych form organizacji rodowej? Tu widzimy, że przedewszystkiem wyobrażenia totemiczne uniemożliwiają uznanie jakichkolwiek węzłów krwi pomiędzy ojcem i dzieckiem, ponieważ zastępują naturalny proces rozmnażania. Poddług tych wyobrażeń, kobieta zapłodniona bywa duszyczkami totemicznymi „ratapa“, a z tego wypływają właśnie węzły łączności klanowej. Widzimy więc, że o ile pokrewieństwo z ojcem w innych społeczeństwach oparte jest na fakcie zapłodnienia, ten sam fakt w Australii środkowej wytwarza tylko węzły klanu. Nie mniej jednak indywidualny stosunek ojca do dziecka istnieje u tych plemion, ale oparty jest na zupełnie odmiennych wyobrażeniach niż w innych społeczeństwach. I tu wierzenia australskie otwierają horyzonty nowe i niezmiernie doniosłe dla historii pierwotnej rodziny. Zagadnienia te porusza mimoходом i prof. Frazer w swoim dziele, ale ani on ani nikt dotąd, gruntownie kwestyi tych nie opracował.

Jak widzieliśmy główne funkcje klanu polegają na odbywaniu ceremonii kultu totemicznego, i tu więc można zapytać czy ceremonie te zaliczyć należy do religijnych czy magicznych? Taka dyskusja zmusza przedewszystkiem do postawienia ścisłej definicyi tych dwóch pojęć, a temsamem do ściślejszej klasyfikacyi i ujęcia faktów¹⁾.

Totemizm spełnia również funkcje ekonomiczne, bo jak widzieliśmy, każdy klan odbywając ceremonie intichiuma, pracuje nad pomnożeniem zapasów żywności dla całego plemienia. Jak dalece więc uważać można te ceremonie za czynności gospodarcze i czy w ten sposób nie dałoby się znów odkryć ciekawych zależności pomiędzy zjawiskami ekonomicznymi a zjawiskami typu religijno-magicznego? W tym celu zaznaczyć na-

¹⁾ Dyskusja taka została już przeprowadzona, a wynikiem jej jest cały szereg cennych prac. Przedewszystkiem wymienić tu należy traktat pp. Hubert et Mauss: „Esquisse d'une théorie générale de la magie“ Année sociologique tom VII.; Durkheim „De la définition des phénomènes religieux“. Année sociol. II.; Frazer „The Golden Bough“ tom I. rozdz. I.

leży, że ceremonie intichiuma przedstawiają jedyny w Australii przykład systematycznej, regularnej, świadomej celu pracy społecznej, skierowanej ku pomnożeniu żywności, a więc ku celom ekonomicznym. Odbývają się one w porze roku, kiedy po długiej i uporczywej suszy, mają nastąpić deszcze, a o ile ulewy się rozpoczną, cała postać ziemi jak pod dotknięciem różdżki magicznej zmienia się na czas krótki, z skalistej i piaszczystej pustyni w bujną i urodzajną krainę. W takiej krytycznej chwili każdy klan pod przewodnictwem swego Alatunii czyli kierownika totemicznego, odbywa te ceremonie, które w nadnaturalny sposób mają zmusić całą naturę, deszcz, rośliny i zwierzęta do osiągnięcia jak największej bujności i wydajności. Z wszystkich szczegółów ceremonii widać jasno, że cel ten stoi wyraźnie przed oczyma dzikich. Przy tych ceremoniach rozwijają oni niezwykły dla nich zapas pracy i trudu. Same przygotowania zabierają zwykle parę dni czasu, a podczas wykonania często poszczą i upuszczają nieraz wielkie ilości krwi, która odgrywa wielką rolę magiczną i służy im pozatem do przygotowania placu i przylepiania puchu i piór, którymi się stroją. Przytem należy pamiętać, że Australczycy nie znają żadnej innej pracy zbiorowej, bo nawet polują pojedynczo lub w małych grupach złożonych z dwóch lub trzech ludzi. Widzimy więc, że w Australii środkowej, jedyna forma zbiorowej, ekonomicznej pracy, odbywa się pod wpływem religijno-magicznych wyobrażeń. Wpływ tych wyobrażeń na kształtowanie niektórych właściwości gospodarczych w nieodróżniczowanych społeczeństwach już nieraz był stwierdzany; zwłaszcza idee w rodzaju *tabu* (czegoś, co jest nietykalne, święte i niebezpieczne) u wielu ludów, (zwłaszcza Melanezyjskich i Polinezyjskich) stanowią podstawę ochrony zwierząt i roślin, składania zapasów żywności i zaoszczędzania ich na przyszłość. Przy ceremoniach intichiuma w Australii, wyobrażenia religijno-magiczne organizują w społeczeństwie pracę zbiorową i świadomą celu.

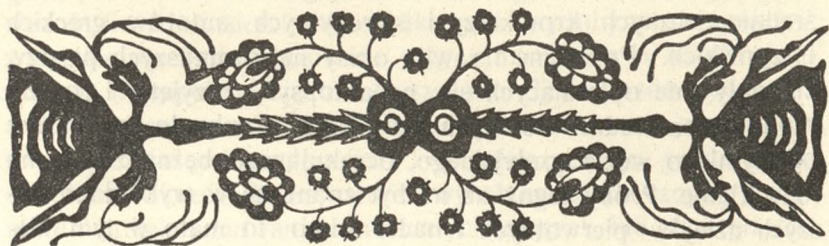
Tych wszystkich tu poruszonych zagadnień naturalnie rozwijać nie możemy. Zaznaczyliśmy je w tym jedynie celu, aby wykazać, że po za naiwnie postawionym problemem ewolucyj, jest jeszcze cały szereg zagadnień socyologicznych, które posiadają pewniejsze podstawy, a których teoretyczna doniosłość nie jest mniejsza.

Po dopełnieniu przeglądu totemizmu i w innych częściach świata, na podstawie dzieła Frazera, będziemy mogli ocenić krytycznie i ogólne jego teorye odnoszące się do totemizmu, a wypowiedziane w tomie czwartym.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Londyn, 1911.





BOHDAN JANUSZ.

Typy etniczne i kulturalne w prehistoryi Galicyi wschodniej.

*Die ethnischen und kulturellen Typen in der Urgeschichte
Ost - Galiziens.*

Literatura prehistoryi Galicyi choć niezbyt wogóle bogata, wykazuje zwłaszcza w dziedzinie antropologii dotkliwe luki tak w nagromadzeniu koniecznego do szerszych wniosków materiału faktycznego, jak też i w obrobieniu dotychczas zebranego. Podczas gdy dzieje kultury przedhistorycznej tego kraju są już nauce jako tako znane i przystępne, to całkiem przeciwnie ma się sprawa z dziejami samej ludności jako takiej. Jak dotychczas to nietylko nie jesteśmy w stanie powiedzieć, kim byli pierwsi pionierzy najdawniejszej w kraju naszym kultury neolitycznej, ale i nie więcej wiemy o znacznie późniejszej ludności okresu metali, a nawet i pierwszych czasów historycznych. Istnieje wprawdzie cała pokaźna literatura, usiłująca rozprószyć ciemności, zalegające pierwsze kroki starożytnej Słowiańszczyzny, podając nawet obszerne rejestry najrozmaitszych mniej lub więcej pewnych nazwisk i dat, jednak kwestya, czy właśnie nie ona to zaciemniła najbardziej całą sprawę.

Wsteczna metoda badań, zastosowana w prehistoryi, okazała się najlepszym sposobem wyjaśnienia kwestyi spornych

niejasnych, chociaż natrafiła też na niemałe trudności ze strony średniowiecznych kronikarzy i starożytnych autorów greckich i rzymskich. Poplątane i zawiłe opisy najrozmaitszych pisarzy, z reguły nie opierających się na autopsyi, przyjęte i rozszerzone przez średniowiecznych kronikarzy urosły do rozmiarów olbrzymiego węzła gordyjskiego, oczekującego beznadziejnie na rozwikłanie. Próby tegoż aż nazbyt znane są w wykładach naszych dziejów pierwotnych i nadal mimo to mało w tym kierunku znanych i rozjaśnionych.

Dopiero najnowsza nauka zdołała wyswobodzić się z krępujących ją od dawna więzów, znajdując dla się nowe drogi i sposoby częściowego choćby odkrycia prawdy. Reorganizację przeprowadzono od samych podstaw. Zaniechano na razie śledzenia początków poszczególnych ludów, a zwrócono baczniejszą uwagę na całość t. j. pojedyncze rasy antropologiczne. Poznanie ich i wyjaśnienie wzajemnych stosunków jednych do drugich, stanowi na razie główne zadanie antropologii, która dopiero z czasem może spodziewać się wniknięcia także i w drobniejsze szczegóły. Co najmniej przedwczesne byłyby też obecnie uogólnienia w rodzaju chętnie dawniej urabianych, padających jednak pod łada silniejszym naciskiem krytyki i roztrząsań naukowych.

Takie traktowanie rzeczy odnosi się do czasów przedhistorycznych zarówno Europy czy Ameryki, jak Francji lub Galicji. Równie bowiem niejasne, na analogicznym materiale dowodowym (wykopaliska) oparte wyniki, jednako służyć muszą tu i tam jako klucz do rozwiązania zagadki. Różnica tylko w tem, w jaki sposób wykorzystuje się natrafioną sposobność i do jakich wniosków dochodzi się przez zbadanie tejże. Różnica więc nie zasadnicza, lecz zależna od pewnych danych.

Warunkiem jednak *sine qua non* są w dostatecznej ilości, umiejętnie przeprowadzone badania paleoantropologiczne, a więc jak najliczniejsze pomiary rozmaitych części szkieletu ludzkiego, tudzież skrupulatnie podane wszelkie szczegóły, mogące wyjaśnić pytania, stawiane w podobnych wypadkach przez antropologa i archeologa. Nie mało potrzeba było na to doświadczenia i zawodów, ażeby w rezultacie dojść do dzisiaj osiągniętej w badaniach paleoantropologicznych rutyny i wprawności. Trafiło się bowiem, że kiedy wydobyto z ziemi resztki szkieletowe i pomierzono je dokładnie, nie potrafiono oznaczyć ich provenien-

cyi z powodu nie uwzględnienia szczegółów, towarzyszących wydobyciu ich z ziemi; nie rzadko zaś wydobyto skrupulatnie wszystkie przedmioty złożone przy zmarłym, a o resztki jego samego najzupełniej się nie troszczono. Ten sposób „badania“ archeologicznego miał do niedawna — a u nas ma jeszcze i do teraz — najwięcej zwolenników, chętniejszych do gromadzenia ciekawych okazów broni, ozdób, wyrobów ceramicznych i t. p. niż do kolekcjonowania zmurszałych czaszek lub piszczeli. Ileż jednak szkody wyrządza się przez to nauce?!

Podobnie miała się sprawa w Galicyi, w latach kiedy najwięcej pracowało się nad zbadaniem kultury przeddziejowej kraju. Pierwszym człowiekiem, prowadzącym systematyczne rozkopki i badania prehistoryczne w Galicyi był skrzętny pracownik A. H. Kirkor, po nim G. Ossowski i wreszcie dr. Wł. Demetrykiewicz. W dziale zaś ściśle antropologicznym cała praca zdana była w tym okresie (od 1875 r.) staraniom i trudom jednego tylko uczonego, antropologa europejskiej miary, dr. Izyd. Kopernickiego, członka krakowskiej Akademii Umiejętności. Jemu to zawdzięczamy jedynie i wyłącznie prawie wszystko co zdziałano dotychczas w dziedzinie paleoantropologii i dzięki tylko jego badaniom jesteśmy w stanie uchylić nieco rąbka zasłony, okrywającej dzieje najdawniejszej ludności kraju. Pracę swoją prowadził on fragmentarycznie, odkładając na później zreasumowanie wyników poszczególnych badań i pomiarów paleoantropologicznych. Sam jednak nie zdołał uporać się z całym olbrzymim materiałem, zmuszony na każdym kroku torować sobie drogę bez pomocy jakiegokolwiek współpracownika. I nie tylko za życia jego nie znalazł się ktoś inny, pracujący nad paleoantropologią, ale i do dzisiaj jeszcze nie zastąpił go w tym dziale nikt po śmierci jego.

A. Kirkor prowadził w tym czasie z ramienia Akad. krakowskiej badania przeważnie na Podolu, ziemi bogatej niezmiernie w resztki dawnej kultury i pełnej ludzkich szczątków szkieletowych. Wyniki swych badań ogłaszał w corocznej publikacji Akademii w „Zbiorze wiadomości do antropologii krajowej“, a zdobyte okazy oddawał do jej zbiorów muzealnych. Między tymi znajdowały się często resztki szkieletowe człowieka, wykopywane w rozmaitych grobach i cmentarzyskach przedhistorycznych; najczęściej jednak były one nieumiejętnie z ziemi wydobyte i zwyczajnie wskutek tego

zdefektowane i pokruszone. Niezbyt też zawsze dokładnie spostrzeżone i odpowiednio opisane były szczegóły, towarzyszące odkryciu, tudzież przedmioty wydobyte przy szkielecie zmarłego. Okoliczność ta zwiększała niezmiernie trudności, połączone z naukowymi pomiarami i zbadaniem szkieletów i z powodu jej właśnie wyniki spostrzeżeń dra Iz. Kopernickiego, nie z jego winy, przedstawiają się częstokroć nie zupełnie bez zarzutu.

Dwie nadmienione wyżej przyczyny, mianowicie niedostatek antropologicznych pomiarów, tudzież nie bez zarzutu ich przeprowadzenie nie zdają się wcale sprzyjać czynieniu daleko idących wniosków i spostrzeżeń w dziedzinie paleoantropologii Galicyi. Zadaniem też naszym nie będzie zapuszczanie się w szczegóły pomniejsze, ale przedewszystkiem starać się będziemy wykryć i wyjaśnić stosunki, jakie zachodzić mogą między samą ludnością jako taką i poszczególnymi typami kulturalnymi, znanymi z prehistoryi kraju. Rozwiązać będziemy próbowali zagadnienie, komu przepisać należy rozwój kultury przedhistorycznej tak w jej partyach najważniejszych jak też i w całości, tudzież wyznaczyć się będziemy starali, co wyrosło na ziemi naszej, a co początek swój wzięło z krajów obcych i dalekich. W dowodzeniach naszych opierać się będziemy na badaniach kultury przedhistorycznej Galicyi, wnioskując z tożsamości danej kultury na pewnem terytoryum o bliskiem pokrewieństwie i jej twórców, względnie pionierów. Kiedy n. p. z pomiarów antropologicznych pokaże się, iż czaszki ludzkie, wykopane w kilku grobach skrzynkowych są wszystkie długogłowe, wówczas na mocy analogii utrzymywać możemy, iż ludność, używająca grobów podobnych w wszystkich innych miejscowościach (gdzie dla najrozmaitszych powodów nie udało się odkryć resztek szkieletowych) kraju była również długogłowa, obdarzona równocześnie temi samemi własnościami fizycznymi. Wyniki badań archeologicznych uzupełnić mają niedostatki antropologii, antropologia zaś wyjaśnić ma fakty, nie możliwe do zrozumienia z pomocą samej prehistoryi. Wzajemnie uzupełnione szczegóły z dziedziny obu tych nauk posłużyć mogą w ten sposób do wyjaśnienia niektórych ciekawszych zagadnień z dziejów przedhistorycznej ludności kraju.

W Galicyi wschodniej okazał się człowiek po raz pierwszy znacznie później niż na zachodzie Europy, a mianowicie

w epoce neolitycznej, kiedy już cały kontynent europejski uwolniony był zupełnie od lodowców i śniegów okresu dyluwialnego. W klimacie podobnym do dzisiejszego, zajął ówczesne ziemie przykarpackie dzielny naród długogłowców, któremu też właśnie zawdzięczamy najpierwotniejszy rozwój kultury kraju naszego.

Okres neolityczny bowiem jest ową najdawniejszą granicą zaczątków kultury przedhistorycznej Galicyi wschodniej. Długie wieki ciągnął się on, zanim kresu swego dobiegł z chwilą zaznajomienia się z użytkiem metali. Za cały przeciąg trwania jego powstawały i zanikały odrębne kultury, różniące się już naówczas odmiennymi własnościami i charakterem.

Dwa odmienne takie typy kulturalne rozróżnić można w okresie neolitycznym Galicyi wschodniej. Jeden, którego charakterystyczną cechą stanowią potężne groby t. zw. skrzynkowe i drugi, wyróżniający się już znacznym stopniem rozwoju, wybitnego zwłaszcza w barwnie malowanych wyrobach ceramicznych. Pierwszy reprezentuje początek, drugi zaś koniec epoki neolitycznej ziemi naddniestrzańskiej, nie stanowiąc razem żadnego wzajemnego związku ewolucyjnego.

Oczywiście, iż tymczasem a może nawet i równocześnie istniały i inne grupy kulturalne, ale w każdym razie — wnosić można z drobnych ich pozostałości, — nie wybiły się one tak pokaźnie jak dwie powyższe.

Grupę, charakterystyczną kamiennymi grobami skrzynkowymi, znamy w granicach kraju naszego jedynie na terytorium Podola, objętem rzekami Zbruczem, Dniestrem i Strypą. Poza granicami zaś Galicyi pojawiają się one w dalszym ciągu jedynie na Podolu rosyjskim, Wołyniu i Polesiu kijowskim — prowincjach, których ludność z języka i kultury przy pewnych nieuniknionych różnicach lokalnych i dziś jeszcze stanowi szczep jednolity.

Nie będziemy rozpatrywali kwestyi, co mogło być i jest jeszcze przyczyną tej jednolitości rasowej i kulturalnej mieszkańców tej wielkiej połaci, lecz zaznaczymy jedynie, iż na podstawie licznych zabytków archeologicznych skonstatować można istnienie podobnej spójności już w odległych czasach przedhistorycznych. Wspomniany użytek grobów skrzynkowych przemawia właśnie najdobitniej za tem, iż terytorium to stanowiło kompleks kulturalny nie tylko jako całość samą dla siebie, lecz

i oderwaną od sąsiadów. Fakt ten uprawnia do uważania całego terytorium podolsko-wołyńsko-poleskiego, używającego równocześnie neolitycznych grobów skrzynkowych, za kraj, którego dane właściwości kulturalne zapisać można na rzecz cech jedynie lokalnych, nie znanych całkowicie lub tylko wyjątkowo w sąsiednich krajach.

Dziesięć jest miejscowości w Galicyi, znanych z swych skrzynkowych grobów neolitycznych. W dwóch jednak tylko zostały one zbadane; powiedzieć da się to przedewszystkiem o grobie, opisanym przez G. Ossowskiego, o odkrytym w 1890 r. we wsi Uwiśle pod Husiatynem, tudzież o grobie w Kociubińcach — również pod tem miasteczkiem — zbadanym w 1876 r. przez A. Kirkora.

G. Ossowski, mając na względzie, iż groby tego rodzaju nie były należycie badane i że wiadomości o nich, zebrane przez A. Kirkora, oparte są przeważnie na opisach ludzi obecnych przy ich pustoszeniu, podczas przypadkowego odkrycia, użył wszelkich starań, aby badania grobu w Uwiśle dokonać z możliwą dokładnością. Opuszczając więc opis grobu kociubińskiego A. Kirkora¹⁾, wykorzystamy dla celów naszych sprawozdanie G. Ossowskiego, nadmieniając przedtem, iż podobne groby skrzynkowe odkryto w Galicyi wschodniej w następujących miejscowościach; Beremiany i Koszyłowce w pow. zaleszczyckim, Kociubińce, Uwiśla, Chorostków i Czarnokońce w pow. husiatyńskim, Semenów, Podhajczyki i Zieleńce w pow. trembowelskim, Czarnolice w pow. horodeńskim.

Po usunięciu dwu kamiennych płyt, stanowiących pokrywę grobu w Uwiśle, zobaczył G. Ossowski skrzynkę grobową po sam wierzch ziemią napełnioną. Ściany jej stanowiły także wielkie i ciężkie płyty; ścianki poprzeczne miały po jednej płycie, a podłużne po trzy, wielkości niejednakowej. Na zewnątrz były one jeszcze wzmocnione i zabezpieczone płytami i bryłami kamiennymi, a całkowita długość miejsca zajętego tą budową wynosiła 2'37 m., szerokość zaś około 1'60 m. Kierunek długości skrzynki był od południowego wschodu ku półn. zachodowi.

¹⁾ A. H. Kirkor. O grobach kamiennych na Podolu galic. Zbiór wiad. do antropologii kraj. Tom I.; Wycieczka na Podole galic. Kłósy. Warszawa 1877.

Po usunięciu ziemi okazało się, iż przestrzeń przeszło 1 m. długości od połudn.-wschodniej strony grobu zajęta była głównie jednym szkieletem. Położony swobodnie na wznak głową ku połudn.-wschodowi, z nogami przechylenymi na bok lewy i nieco przygiętymi, miał kości rąk, rozchodzące się w ramionach w obie strony, zgięte w łokciach ku biodrom i złożone na sobie w pasie szkieletu, gdzie pakami przykrywały leżący pod nimi nożyk krzemienno-żelazny; głębiej pod nożykiem, znajdowały się dwa, w drobne kawałeczki zmiażdżone, wyroby kościane. Przy końcu lewej kości ramiennej, nieopodal łokcia stało małe naczynie gliniane, ciężarem ziemi również zgniecione. W końcu przeciwnym t. j. od półn.-zachodniej strony grobu, u nóg tego szkieletu głównego leżały dwa inne wpoprzek skrzynki grobowej, jeden na drugim, położone szkielety mające tak samo ozdoby kościane u pasa; na kościach ich leżały na bok przechylone dwa ozdobne naczynia gliniane ¹⁾.

Podobny inwentarz, złożony z kości ludzkich, siekierokrzemiennych, skorup glinianych, dwóch kłów niewielkich, ozdoby bursztynowej i maluczkiej ozdóbki w kształcie paciorka z gliny, wykazało przedtem przeszukanie grobu skrzynkowego w Kociubińcach; wspomniane przedmioty stanowiły zawartość wogóle wszystkich dotychczas poznanych grobów skrzynkowych w Galicyi, charakterystycznych zwłaszcza zupełnie podobnie wyrabianymi i zdobionymi naczyniami glinianymi. Nie we wszystkich jednak natrafiono na resztki szkieletowe człowieka, ponieważ najczęściej zdarzało się, iż dopiero znacznie później po odkryciu mogły być zbadane odpowiednio przez ludzi powołanych do tego. Tak się też rzecz miała z grobami skrzynkowymi w Kociubińcach, Czarnokońcach i Uwiśle, skąd właśnie pochodzą kości ludzkie, pomierzone przez dra Kopernickiego ²⁾ i dra J. Majera ³⁾.

Pomiary obu tych uczonych objęły razem 7 czaszek i nie wielką ilość kości, przynależnych do tych. Ze spostrzeżeń do-

¹⁾ G. Ossowski. Sprawozdanie z wycieczki paleoetnologicznej po Galicyi r. 1890. Zbiór wiad. do austr. kraj. XV. str. 19—27.

²⁾ Dr. Iz. Kopernicki. O kościach i czaszkach ludzkich z wykop. przedhist. na Podolu galic. Zbiór wiad. do antr. kraj. I. str. 55; Uwagi tymczasowe o staroż. kościach i czaszkach z Podola. Zbiór. wiad. III. str. 138.

³⁾ Dr. J. Majer. Czaszki i kości z nieciałopalnego grobu skrzynkowego ze wsi Uwiśle. Zbiór wiadom. do antr. kraj. XVI. str. 97.

konanych na czaszkach okazało się, iż na cztery osobniki męskie przypadają trzy niewieście, ciekawe nadzwyczaj ze względu na stosunek swój do tych pierwszych.

Z grobu skrzynkowego w Kociubińcach wydobyto 2 czaszki męskie i 1 kobiecą; w Czarnokońcach tylko męską, a w Uwisle 2 niewieście obok jednej męskiej. Nie wdając się w rozpatrywanie szczegółów, nie będących ściśle antropologicznej natury, omówimy tylko te, które umożliwić są w stanie określenie przynależności rasowej zbadanych osobników.

Z 4 czaszek męskich tylko jedna z Uwisły wydobyta została mniej więcej kompletnie, podczas gdy na trzech innych pomiary mogły być uskutecznione tylko fragmentarycznie. Z grobu bowiem w Kociubińcach otrzymano tylko ułamki dwóch czaszek męskich i na jedną składał się ułamek z kości czołowej, ciemieniowej i potylicznej, na drugą zaś tylna i górna część prawej połowy sklepienia czaszkowego. Długość pierwszej czaszki podaje dr. Kopernicki na 188 mm., szerokość zaś w przybliżeniu oblicza na 138–140 mm., skąd wskaźnik (indeks) główny tej czaszki w przybliżeniu wypada na 73:4 do 74:4, co odpowiada typowi wyraźnie długogłowemu. Wynik ten zgadza się zupełnie z obrazem, jaki przez symetryczne dopełnienie w myśli brakującej połowy, przedstawia się przy poglądzie z góry (*Norma verticalis*).

Druga męska czaszka kociubiniecka nie nadała się nawet do takich powierzchownych spostrzeżeń, a wnosić jedynie można było z jej chropowatości i bardzo wydatnych pręgów politycznych, iż należała do mężczyzny w dojrzałym już wieku, jak na to wskazywał całkiem spojony szew strzałkowy i wieńcowy, tudzież prawa połowa szwu węglowego na zewnętrznej stronie otwarta. Za identycznością antropologiczną z czaszką poprzednią przemawia znacznie na tył wydatna linia profilowa potylicy, tudzież spadzista na boki powierzchnia sklepienia. Szczegóły te uprawniają do przypuszczenia, iż czaszka ta musiała być raczej wydłużona niż szeroka, a więc należała do jednego — długogłowego — typu z poprzednią.

Wśród kości, wydobytych z grobu kociubinieckiego, znalazła się i jedna kość goleniowa, którą dr. I. Kopernicki uważa na podstawie jednakiej prawie spójności tkanek kostnych i jednostajnego zabarwienia powierzchni za należącą do opisanej powyżej pierwszej czaszki męskiej. Jest ona z tego względu

bardzo ciekawą, iż zauważyć na niej można mocne spłaszczenie t. zw. *platycnemii*; nie zachowała się ona w całości, lecz ułamana jest w górze pod samym garbkiem przednim (*tuberositas anterior tibiae*), oraz w dole poniżej połowy goleni. Na przestrzeni 22 m. swej długości — powiada dr. Kopernicki¹⁾ — kość ta jest tak dalece spłaszczona, że na 45 mm. wymiaru z przodu na tył ma ona tylko 24 mm. w poprzek t. j. ostatni wymiar = 0.53 pierwszego, podczas gdy w prawidłowej goleni stosunek tych wymiarów jest $38 : 32 = 0.84$.

Podobny wypadek *platycnemii* zauważył dr. Kopernicki i na goleniach, należących do męskiego szkieletu z grobu skrzynkowego w Czarnokońcach. W grobie tym znaleziono prócz licznych ułamków czaszki, kilka kręgów, kość krzyżową, tudzież ułamki kości udowych, ramieniowych i goleni. Z budowy kości szkieletu wnosi dr. Kopernicki, iż tenże należał niezawodnie do dorosłego, silnie zbudowanego mężczyzny.

Z kości długich ciekawe są części obu goleni, sklejone z ułamków; lewa właśnie jest wzorowym, rzadkim okazem spłaszczenia tej kości. Wymiary jej grubości, wzięte naprzeciw otworu tętniczego (*foramen nutritium*) mają z przodu na tył 40 mm., a w poprzek 20 mm., skąd wskaźnik spłaszczenia = 50. Spłaszczoną również jest goleń prawa, mianowicie na górnym końcu t. j. około połowy całkowitej swej długości²⁾.

Uderzającym jest fakt najwidoczniej nie przypadkowej identyczności owego spłaszczenia goleniowego u kości, pochodzących z takich samych grobów skrzynkowych. Większego zaś jeszcze znaczenia nabiera on, kiedy zważymy, iż ta sama nieprawidłowość w budowie goleni, właściwa małpom i niekiedy spostrzegana u Hottentotów i Murzynów, trafia się bardzo często i na zachodzie Europy, a nawet w Ameryce północnej w dolmenach, w grobowiskach jaskiniowych, a nawet w pokładach dyluwialnych. *Platycnemii* owa, obserwowana w dwu wypadkach u jednej i tej samej ludności, używającej grobów skrzynkowych, zdaje się być pewną cechą rasową, właściwą i innym ludom, zamieszkującym ówczesną Europę.

Jak przy szkielecie z Kociubiniec, tak i w tym wypadku (Czarnokońce) czaszka właściciela opisanych goleni wykazuje

¹⁾ O kościach i czaszkach ludzkich na Podolu galic. Zbiór wiadom. 1877. I. str. 57.

²⁾ Zbiór wiadom. do antr. kraj. 1879 III. str. 138.

wzorową długogłowość o wskaźniku 71.7 (dług. 195, szerok. 140 mm.).

Czwartą z rzędu czaszką męską jest wydobyta w opisanym powyżej grobie skrzynkowym z Uwisły; należała ona do jednego ze szkieletów, leżących w poprzek u nóg szkieletu głównego, położonego wzdłuż grobu. Do szkieletu tego płci męskiej, wzrostu 160.5 cm. (obliczonego z długości kości udowej), wieku dojrzałego, należy czaszka o wskaźniku 77.7, a więc zbliżająca się już do krótkogłowej w przeciwieństwie do wszystkich poprzednich, zdecydowanie długogłowych.

Tyle tylko szkieletów, a względnie czaszek męskich zdołano dotychczas wydobyć z grobów skrzynkowych w Galicyi i jedynie przy ich pomocy możemy dojść do pewnego ustalenia szczegółów, zaobserwowanych u wszystkich razem.

Najbardziej ciekawe jest zestawienie ich wskaźników czaszkowych, najniższego (71.7) u czaszki z Czarnokoniec, wyższego nieco (73.4—74.4) u dwóch z Kociubiniec i niespodziewanie wysokiego (77.7) u czaszki z Uwisły. Trzy pierwsze należą do czystego typu długogłowego, ostatniej zaś wyznaczyć już należy miejsce między następującą klasą średniogłowych (mezokefale) Z tego wynika, iż ludność, grzebiąca swych zmarłych w kamiennych grobach skrzynkowych nie przedstawiała jednolitej rasy długogłowej, a owszem przemieszana już była nieco z krótkogłowcami; wyjaśnienie tego znajdziemy w zestawieniu czaszek męskich z czaszkami kobiecami. Innym szczegółem, właściwym szkieletom męskim jest wspomniane powyżej spłaszczenie goleni, do którego jeszcze w ciągu dalszym powrócimy.

Odmienny stan rzeczy zauważymy, zestawiając czaszki płci żeńskiej, znane nam dotychczas z trzech jedynie okazów. Z grobu w Kociubińcach pochodzi jedna znaleziona obok dwóch męskich, z grobu zaś z Uwisły dwie inne, pomierzone przez dra J. Majera¹⁾. Czaszka kobieca z Kociubiniec, miernych rozmiarów (dług. 176 mm., szer. 137 mm.), przy poglądzie z góry kształtu jajowatego, w tylnej części nieco rozszerzona, wykazuje

¹⁾ Dr. Józef Majer. Czaszki i kości z nieciałopalnego grobu skrzynkowego ze wsi Uwisły. Zbiór. wiad. 1892. XVI. str. 97—108. — Recenzja G. Ossowskiego w „Kwartalniku historycznym“ Lwów 1893. str. 457 — 460.

wskaźnik główny 77.8, prawie ten sam co u czaszki męskiej z Uwisły, zdając się w ten sposób w bliskim z nią stać pokrewieństwie. Jednak jak i ta nie jest ona długogłowa, a należy już do średniogłowych, różniąc się tem od zdecydowanie długogłowych czaszek męskich.

W ten sposób męska czaszka z Uwisły i kobieca z Kociubiniec, stanowią formy przejściowe między zdecydowanie długogłowymi szkieletami męskimi z Kociubiniec i Czarnokoniec z jednej strony i dwoma kobiecymi z Uwisły z drugiej strony. W Uwiśle bowiem obok wspomnianej powyżej czaszki męskiej, znaleziono jeszcze i dwa szkielety kobiece. Jeden główny położony był wzdłuż grobu, drugi zaś razem z męskim leżał w poprzek u nóg pierwszego.

Czaszka pierwszego, widziana z góry (Norma verticalis), ma kształt jajowaty, zwężony, od przodu ścięty, z zaledwie widzialnymi górnymi brzegami oczodołów, rozszerzający się dość nagle ku tyłowi aż do silnie wystających guzów kości ciemieniowych, z łukiem potylicznym mocno spłaszczonym. Przy samym na nią poglądzie występuje wyraźnie jej krótkogłowość, stwierdzona i wskaźnikiem, wynoszącym 83.3; wiek jej dochodził lat 50, wzrost zaś 148—152 cm.

Czaszka szkieletu drugiego, poprzecznie ułożonego, w zarysie widzianym z góry, przedstawia także kształt jajowaty, z większym jednak rozszerzeniem od przodu niż czaszka pierwsza, co zbliża ją do czaszek okrągłych, z niewidzialnymi wcale łukami brwiowymi. Z kształtu zatem i wskaźnika swego (80.9) należy, jak i poprzednia, do krótkogłowych, płci żeńskiej, wieku około lat 40, wzrostu 1.52 cm.

Jeśli zestawimy teraz wskaźniki czaszek męskich z wskaźnikami trzech czaszek kobiecych to zauważyć musimy, iż jak między temi pierwszymi przeważają długogłowe, tak między drugimi prym wiodą krótkogłowe. Niezwrócono dotychczas uwagi na charakterystyczny szczegół, iż zdecydowanie krótkogłowymi wśród neolitycznych szkieletów z grobów skrzynkowych są jedynie czaszki kobiece, najlepiej w ten sposób wyjaśniające skonstatowany poprzednio fakt istnienia równocześnie dwojakiego typu ludności. Szczegół ten bowiem przemawia za przypuszczeniem, iż neolityczna ludność Galicji z czasów grobów skrzynkowych brała za żony kobiety z innego ludu, innej rasy, czego wynikiem musiało być skażenie ludności poprzednio jedno-

litej. Wyszukiwanie zaś sobie żon z pośród obcego ludu nie wykluczało równocześnie zawierania małżeństw i z kobietami własnego ludu, czego dowodem służyć może szkielet żeński z Kociubiniec o wskaźniku 77.8, stawiającą ową niewiastę w szeregi pośredniogłowych, niezbyt odbiegłych od tubylczych długogłowców.

Niełatwo jednak częstokroć oznaczyć płęć osobnika tylko na podstawie jego szkieletu, ale wielką w danym wypadku pomocą jest wymierzenie długości tegoż, która u kobiet jest zawsze mniejsza od przeciętnej długości osobników męskich tego samego pochodzenia. Spostrzeżenia zatem dra Kopernickiego i dra J. Majera co do płci szkieletów wspomnianych zyskują na poparciu przez zmierzenie ich wysokości. Kiedy średniogłowy mężczyzna z grobu w Uwiśle dochodził 160.5 cm, to wysokość dwóch kobiet z tegoż grobu wynosiła znacznie mniej bo 1.48—1.52 i 1.52 m. Średnia ich wysokość była więc znacznie niższa od średniej wysokości męskiej.

Tyle powiedzieć można o ludności, chowającej swych zmarłych w kamiennych grobach skrzynkowych w okresie neolitycznym. Pozostaje do omówienia jeszcze ludność również neolityczna, jednak znacznie późniejsza, dla której kultury charakterystyczny jest wspomniany na początku, do pewnego stopnia mistrzostwa doprowadzony wyrób glinianych naczyń malowanych. Okres neolityczny Galicyi jest wogóle najpokaźniej reprezentowany wszelkiego rodzaju zabytkami z pomiędzy wszystkich okresów przedhistorycznych kraju. Zwłaszcza ostatnie jego wieki — o których właśnie mowa — zbliżające się już do okresu brązowego, doprowadziły do niebywałego przedtem rozwoju kultury, charakterystycznej pięknymi wyrobami glinianymi, pokrytymi jedną — lub wielu barwnymi ornamentacjami. Ten sposób zdobienia wyrobów ceramicznych nie był znany ani przedtem, ani w późniejszych czasach wieków przedhistorycznych i z tego względu jako właściwy jedynie późniejszym czasom okresu neolitycznego, najdobitniej charakteryzuje ostatnią epokę jego, zwaną także archaiczno-mykeńską.

W epoce tej zamieszkiwał człowiek ówczesny wielki obszar Galicyi wschodniej, zwłaszcza dzisiejsze powiaty; borszczowski, ¹⁾

¹⁾ W tym powiecie następujące miejscowości: Bilcze złote nad Beretem, Łanowce, Wierzchniakowce, Kapuścińce, Boryszkowce, Kudryńce,

husiatyński ¹⁾, zaleszczycki ²⁾, horodeński ³⁾, buczacki ⁴⁾, trembowelski ⁵⁾, skałacki ⁶⁾ i czortkowski ⁷⁾. Południowo - wschodni kąt Galicyi, sąsiednia Bukowina, Siedmiogród, Rumunia i Ukraina oto kraje, wykazujące dziś ślady osadnictwa ludności neolitycznej, produkującej masowo ładne naczynia malowane, doprowadzone do niebywalej przedtem doskonałości mimo, iż wyrabiane były bez krążka garncarskiego. W Galicyi znamy obecnie 33 miejscowości z śladami tej kultury, a z pomiędzy nich najślawniejsze są przedewszystkiem Bilcze złote, Horodnica nad Dn., Kudryńce i ostatnio odkryte i zbadane Koszyłowce w pow. zaleszczyckim.

Dopiero w ostatnich latach zaczęto odpowiednio badać osady te rozsypane na ogromnem obszarze od Karpat po Morze Czarne i sięgające poprzez Bukowinę i Rumunię aż po samą Grecyę właściwą. Z powodu nieumiejętnie przeprowadzanych dawniej rozkopów, kwestya kultury naczyń malowanych musiała być długo niejasną, zwłaszcza odnośnie do samej ludności. Długo n. p. czas upatrywano w zgłiszczach i ruinach osad tej kultury ślady cmentarzysk, których domyśliwaną budowę starano się też na wszelki sposób pogodzić z naturalnym stanem, wynikłym ze zniszczenia i spustoszenia tychże przez ogień. G. Ossowski skonstruował nawet całą teorię t. zw. grobów cegłowych, jakie w rezultacie okazały się nie grobami, lecz resztkami osad neolitycznych ⁸⁾.

Filipkowce, Uście bisk., Mielnica, Kozaczyzna. Patrz B. Janusz. Zabytki przedhistor. w pow. borszczowskim. Warszawa 1910. Wszechświat nr. 1—3

¹⁾ Horodnica nad Zbruczem, Liczkowce, Żabińce, Wasylkowce, Suchostaw.

²⁾ Koszyłowce, Szczytowce, Bedrykowce, Gródek nad Dn., Drohicówka, Peczerza.

³⁾ Horodnica nad Dniestrem, Potoczyska, Probabin, Strzelcze.

⁴⁾ Bobrowniki, Koropiec.

⁵⁾ Budzanów, Podhajczyki, Zieleńcze.

⁶⁾ Hlebów.

⁷⁾ Nagórzanka, Wygnanka.

⁸⁾ Teorię tę rozwinął G. Ossowski w poszczególnych punktach w swoim „Sprawozdaniu z wycieczki paleoetnologicznej w 1892 r.“ (Zbiór wiad. do antr. kraj. Tom XVIII. str. 26), a zakwestyonował ją Dr. Wł. Demetrykiewicz w „Poszukiwaniach archeologicznych w pow. Trembowelskim“. (Materiały antr. arch. 1900. IV. str. 108). —

Nie potrafimy wytłumaczyć faktu, dlaczego nie udało się stwierdzić dotychczas zwyczaju pogrzebowego tej ludności, ale w każdym razie wnosić można, iż zwłoki zmarłych palono, a nie chowano w grobach szkieletowych. Jeszcze przed G. Ossowskim natrafił A. Kirkor na grób, kryjący w sobie szkielet człowieka, obok którego znalazły się wyroby krzemienne i gliniane naczynia malowane — najlepszy dowód przynależności grobu do epoki archaiczno-mykeńskiej. Sprawa ta jednak, podobnie jak i odkrycie Wł. Przybysławskiego w Horodnicy nad Dn. (Zbiór wiad. II. str. 71) przeszła bez echa i ogólnie przyjmowano, iż ludność tej kultury używała tylko obrzędu ciałałalenia.

W poznaniu cech rasowych danej ludności przedhistorycznej wielką stanowi przeszkodę właśnie ten zwyczaj pogrzebowy, pozbawiający naukę materiału do badań i pomiarów. Przypadkiem tylko może się w takim razie przytrafić, iż gdzieś uda się znaleźć szkielet ludzki lub choćby tylko jego ułamki.

Tak n. p. w jaskini w Bilczu, słynnej ze swych nieprzebranych skarbów archeologicznych, natrafiono na całe szkielety ludzkie, które najprawdopodobniej są resztkami ludzi, zmarłych przypadkiem, może z powodu jakiejś katastrofy w chodnikach pod ziemią.

Pomiarów antropologicznych kości i czaszek, wydobytych z jaskini bilczeckiej nie publikowano dotychczas, a jest wiadomością tylko, iż są one długogłowe ¹⁾. Kości zaś, pochodzące z wspomnianej mogiły w L i c z k o w c a c h nad Zbruczem (pow. Husiatyn), przekopywanej przez A. Kirkora, zbadał Dr. Iz. Kopernicki ²⁾.

W mogile 1'71 m. wysokiej, w głębokości 1'03 m. znalazł się szkielet w postawie niezwykłej, z nogami wykręconymi na północ, a głową obróconą na zachód; przy nim oprócz skorup pięknie malowanych naczyń glinianych, nic więcej się nie znalazło. Pod tym szkieletem, w głębokości 1'16 m. znaleziono drugi, głową na północ obrócony, z rękami wzdłuż wyciągniętemi, kości zupełnie spróchniałe. Przy szkielecie 7 krzemieni obrobionych, młotek kamienny, proca krzemienna i sko-

¹⁾ Materiały antrop.-archeolog. Akademii umiej. Kraków 1900 r. str. VII. —

²⁾ Uwagi tymczasowe o staroż. kościach i czaszkach z Podola. Zbiór. wiad. do antr. kraj. 1879. III. str. 125. —

rupy wielkiego naczynia malowanego, oraz szczątki prostej miseczki. Pod tym drugim szkieletem, jak również równolegle z pierwszym na wschodniej stronie mogiły, odkryto trzy „piecyska“ z mnóstwem węgla, kości zwierzęcych i skorup od naczyń w większej części malowanych.

Z dwóch wydobytych szkieletów pomierzył Dr. Kopernicki tylko pierwszy, pochodzący z stosunkowo bardzo niedawnych czasów; zdecydowanie krótkogłowy, pochowany został w badanej mogile, o całe wieki później od znalezionej pod nim nieboszczyka, przy którym natrafiono na naczynia malowane, obok wyrobów krzemiennych i kamiennych. Szkielet tegoż tak był jednak strawiony i spróchniały, iż o pomiarach antropologicznych nie mogło być mowy¹⁾.

Nie wiele jesteśmy w stanie powiedzieć na razie o właściwościach fizycznych ludności wykazującej tak wysoki rozwój kulturalny u schyłku okresu neolitycznego. Wyjaśnić jednak możemy mniej więcej dokładnie stosunek jaki zachodził między nią, a ludnością, chowającą swych zmarłych w skrzynkowych grobach kamiennych na Podolu, Wołyniu i Polesiu.

Jak już wyżej naznaczyliśmy, kultura grobów skrzynkowych wyprzedziła znacznie kulturę naczyń malowanych, zajmującą w Galicyi dokładnie to same terytoryum, na którem odkryliśmy dotychczas ślady grobów skrzynkowych. Pozornie uprawniałoby to do przypuszczenia, iż późniejsza kultura t. zw. archaiczno-mykeńska stanowi wyższy ewolucyjny stopień w rozwoju kultury grobów skrzynkowych, albo też stoi z nią wogóle w jakimś ściślejszym stosunku pokrewieństwa. Tak się jednak sprawa nie przedstawia, kiedy ustalimy terytoryum jednej kultury i drugiej i odkryjemy przy pomocy tego, z jakich stron zawiąły one do krajów przykarpackich..

Poprzednio jeszcze powiedzieliśmy, iż Podole, Wołyń i Polesie stanowią jeden teren, na którym używane były w neolicie skrzynkowe groby kamienne. Z zestawienia²⁾ Ksaw. Chamca wynika, iż w innych krajach Europy znane były one wówczas także w Hiszpanii, we Francji i Szwajcaryi, w niektórych pro-

¹⁾ Kwestyę ceremoniału pogrzebowego epoki arch.-mykeńskiej, omawia obszerniej pracę B. Janusza: *Z paleo-antropologii Galicyi wschodniej*. Wszechświat. Warszawa 1911 (odbitka).

²⁾ Ks. Chamec. *Wśród stepów i jarów*. Bibl. warszawska 1900. Tom IV. zeszyt 2 i 3.

wincych skandynawskich, w Saksonii, Turynii, nieco w Brandenburgii i wreszcie w Poznańskim i na Kujawach. Pochodzenia więc odosobnionej grupy podolsko-wołyńsko-poleskiej szukać należy we wpływach Zachodu w krajach, gdzie takie same skrzynki kamienne spotykamy najbliższej granic Podola, a więc na tem samem terytoryum Europy środkowej, do którego należy Turynia, prowincje saskie, Poznańskie, Kujawy, tudzież część Śląska może nawet z ziemiami czesko-morawskimi i Brandenburgią.

W innych zupełnie stronach tkwiły korzenie późniejszej kultury naczyń malowanych, stanowiącej w Galicyi ostatnią najdalej ku północy wysuniętą placówkę kultury wykazującej swe centrum daleko na południu. Obok więc prądu zachodniego, widocznego w okresie neolitycznym w używaniu grobów skrzynkowych, znajdujemy w Galicyi również wpływy dalekiego Południa, pod postacią owej, kilkakrotnie już wspomnianej ceramiki malowanej.

Dwie śledzić możemy drogi, któremi kultura owa dotarła do kraju naszego. Jedna to naturalny szlak komunikacyjny od Morza Czarnego wzdłuż brzegów Dniepra i Dniestru, druga zaś to droga, prowadząca od wysp archipelagu, przez półwysep Bałkański, Rumunię, Bukowinę na Podole, gdzie łączyła się ze szlakiem poprzednim, stanowiąc w ten sposób linię zamkniętą, od której nie zbaczają całkowicie.¹⁾

Odmienne centra dwóch tych typów kulturalnych, istniejących po kolei w Galicyi wschodniej, przemawiać się zdają za odrębnością etniczną ludności, używającej ich w okresie neolitycznym. Za przypuszczeniem tem przemawiają rozmaite szczegóły archeologiczne, jak między innymi zupełna identyczność wyrobów glinianych w najodleglejszych nawet punktach terytoryum. Wykazującego znajomość ceramiki malowanej. Terytoryum zaś to — z wyjątkiem Podola galicyjskiego, gdzie się pokrywa z terytoryum poprzedniej kultury grobów skrzynkowych — rozlega się na przestrzeniach, nie mających nic wspólnego z dziedziną odrębnej całkiem kultury grobów skrzynkowych, opierającej się o Zachód w przeciwieństwie do kultury naczyń malowanych, posiadającej swe korzenie bezsprzeczne na Połudn.-Wschodzie.

¹⁾ Są to szlaki, którymi w czasach historycznych dostała się na ziemie ruskie, również od Wschodu idąca, kultura bizantyńska.

Gdyby bowiem ludność epoki grobów skrzynkowych była tą samą, która później w trakcie wieków uprawiać zaczęła ceramikę malowaną, to znajomość tejże znaleźć byśmy musieli na reszcie — a nie tylko w Galicyi — terytorium jej osiedlenia, co jednak, jak wiadomo, nie ma miejsca zupełnie. I na odwrót gdyby późno neolityczna ludność epoki archaiczno-mykeńskiej używała z początkiem okresu neolitycznego grobów skrzynkowych, to ślady tychże znane musiałyby być również na całym terytorium kultury archaiczno-mykeńskiej, a więc na półwyspie greckim, nad Morzem Czarnem a nawet i dalej w Małej Azji. I tego jednak nie wykazują badania przedhistoryczne.

Pozostaje więc jeszcze przypuszczenie, iż ludność używająca grobów skrzynkowych, pokrewna zajmującej z początkiem neolitu ogromne przestrzenie Europy zachodniej i środkowej, rozpostarła się z końcem tegoż daleko na Połudn.-Wschód, docierając aż do wybrzeży Morza Czarnego, gdzie rozwinęła swą działalność w dziedzinie ceramiki malowanej. Fakt zaś istnienia tylko w Galicyi ciągłości kultury grobów skrzynkowych z kulturą naczyń malowanych, świadczyćby mógł, iż tu właśnie wzięść, miał początek nowy stopień rozwojowy, charakterystyczny wyrobami swymi glinianymi. Gdyby jednak domysł ten był prawdziwy, wówczas ośrodek kultury ceramiki malowanej musiałby istnieć w każdym razie gdzieś bliżej Zachodu, a nie Wschodu, jak się rzecz ma w istocie. Znana bowiem na Zachodzie na Szląsku, Morawii i w Austrii dolnej, ceramika malowana nie ma najzupełniej nic wspólnego z archaiczno-mykeńską z nad Dniestru i morza Czarnego, a pochodzenie swe wywodzi z całkiem innego źródła.¹⁾

Neolityczna epoka Galicyi wschodniej, której kryterium odrębności jest dla nas charakterystyczna ceramika malowana, stanowi z pomiędzy wszystkich przedhistorycznych typ, najwybitniej odznaczający się i najwyraźniej występujący. Pojawienie się tej kultury z jej starannie zabudowanymi osadami, chatami plecionymi z chrustu i wylepianymi gliną, z jej obfitemi formami pięknie malowanych i zdobionych wyrobów glinianych, licznymi figurkami postaci ludzkich i zwierzęcych — wszystko

¹⁾ J. Palliardi: Die neolithischen Ansiedelungen mit bemalter Keramik in Mähren und Niederoesterreich. Mitteil. der prähist. Kommission. Wien 1897. I. nr. 4.

to wyrasta tak nagle i niespodziewanie na tle naszego neolitu, iż trudno przypuścić, ażeby mogło być dorobkiem biernej pod każdym względem i niewielkim zasobem inicjatywy obdarzonej ludności z dawna tu osiadłej. Prof. M. Hruszewski jako bardzo prawdopodobne przypuszcza, iż kultura ta miała obcy związek importowany, ale rozwinęła się u nas bardzo szeroko, jak o tem świadczą liczne jej osady i stacye garncarskie. Do rozpowszechnienia zaś jej i przeszczepienia z jednego miejsca na drugie przyczynić się mogły — według prof. Hruszewskiego — niezawisłe od przynależności etnograficznej, wzajemne stosunki handlowe i kulturalne.¹⁾ Domysł ten jednak, iż wspaniały rozwój kultury naczyń malowanych w Galicyi, miałyby być zasługą z dawna tu osiadłej ludzkości nie stanowiącej jednej etnicznej grupy z jej wynalzcami, osiadłymi daleko na połudn.-wschodzie, nie zdaje się prawdopodobnym, jeżeli weźmiemy pod uwagę ogólnie zaznaczane odrębne stanowisko epoki archaiczno-mykeńskiej w szeregu wszystkich przedhistorycznych epok kraju.

Stan epoki tej i jej izolowane stanowisko wśród innych przedhistorycznych, stwierdził jeszcze dawniej dr. Wł. Demetrykiewicz, który na podstawie badań swych w Trembowelskiem wyraził przekonanie, iż epoka ta, panująca w połudn.-wschodniej części Galicyi w okresie neolitycznym prawie wyłącznie, kończy się wraz z nim i przerywa bezpowrotnie tak dalece, że w następnych epokach przedhistorycznych nie pozostawia żadnego śladu po sobie. Nawet technika, owo nader silne i doskonałe wypalanie tych naczyń — stwierdza Dr. Demetrykiewicz — tak wyjątkowe w pierwotnym okresie, znika z końcem okresu kamiennego zupełnie. W następnej epoce bronzowej w Galicyi wschodniej naczynia gliniane są stanowczo gorzej wyrabiane, oraz słabo i niedostatecznie wypalane. Wogóle wydaje się — powiada Dr. Demetrykiewicz — jakby w tej części kraju z końcem doby kamiennej kultura i zaludnienie radykalnie się zmieniły przez wywędrowanie lub gruntowne wytępienie.²⁾

¹⁾ M. Hruszewskij: Etnograficzni kategorji i kulturno-archeologiczni typy w suczasnych studjach schidnoi Europy. Petersburg 1904. str. 7.

²⁾ Dr. Wł. Demetrykiewicz. Poszukiwania archeologiczne w Trembowelskiem. Materiały antr. archeolog. Akad. Umiej. Kraków 1900. IV. str. 113.

Przed jej nastaniem, jak również po jej usunięciu się, nie istniała żadna inna kultura, mogąca się z nią równać lub przedstawiać tylko jej początkową lub późniejszą fazę rozwojową. Nie zapowiadając się niczem okazała się jak *deus ex machina* i podobnie bez śladu usunęła się gdzieś w nieznane okolice.

Gdyby bowiem ludność z dawna tu osiadła, przyjęła kulturę tę gotową już od sąsiadów dalszych i samodzielnie rozwijała ją na swym gruncie, to czemuby należało tłumaczyć tak nagły jej zanik, przebrzmiały bez najmniejszego echa, przynajmniej na ziemi przykarpackiej? Z dotychczasowych bowiem badań wynika, iż wysoki ten stopień kultury nie stanowi bynajmniej jakiegoś dalszego ogniwa w łańcuchu rozwojowym kultury przedhistorycznej Galicyi, a owszem zjawia się tu najzupełniej niespodzianie, stanowiąc pyszną oazę na bezpłodnej pustyni kultury neolitu. Taki sam stosunek zachodzi między nim, a następującym po nim okresem użytku metali, którego rozwój kulturalny nie tylko — jakby się tego należało spodziewać, — że nie postąpił wiele naprzód, a owszem bardzo mizernie i niepokąźnie przedstawia się w porównaniu z ostatnią epoką neolitu.

Odmienne stanowisko w tej kwestyi zajął prof. Hruszewski, który w istnieniu na terytorjum Galicyi licznych osad i stacyi garncarskich tej epoki widzi dowód, przemawiający na korzyść przypuszczenia o tubylczości ludu, używającego i krzewiącego tę kulturę. I rzeczywiście nie da się zaprzeczyć, iż wspomniałe, w porównaniu z poprzednimi i późniejszymi, wyroby ceramiczne tego typu sporządzane były na miejscu, a więc przez ludność stale tu osiadłą. Przemawiałoby to pozornie na korzyść teorii prof. M. Hruszewskiego, ale w rzeczy samej zwraca się przeciw tejże, jeśli weźmiemy pod uwagę wspomniany brak ciągłości między kulturą grobów skrzynkowych i kulturą ceramiki malowanej i późniejszą okresu metali.

Dwie bowiem mamy drogi do wyboru. Jeżeli przyjmiemy za prof. M. Hruszewskim, iż kulturą naczyń malowanych stanowi dorobek z dawna w kraju osiadłej ludności, wówczas (mając na oku wspomniany wyżej brak ciągłości kulturalnej) w konsekwencji tego zgodzić się będziemy musieli na to, iż ludność ta u samego progu okresu metali porzuciła swoje stare siedziby i wywędrowała w bliżej nam nieznane kraje.

Z drugiej zaś strony na podstawie poprzednio wykazanej odrębności ludów, używających grobów skrzynkowych i ceramiki malowanej, tudzież stwierdzonego braku ciągłości między kulturą naczyń malowanych i kulturą okresu metali utrzymać możemy, iż ludność ta nie była tubylczą, lecz zjawiała się w kraju tym niedużo przed końcem neolitu, opuszczając go u progu okresu metali.

Nie twierdzi wprawdzie prof. M. Hruszewski, iż ludność ta i nadal po przebrzmieniu kultury naczyń malowanych przebywała na terytorium Galicyi, wchodząc w skład jej i w następnym okresie metali, ale też i nie zajmuje się nią więcej. Samo się jednak przez się rozumie, iż gdyby pozostała w Galicyi, to nawet po całkowitem zaniechaniu wyrobu malowanych naczyń glinianych, musiałaby przecie w następnym okresie metalowym wykazywać jakieś związki tradycyjne, łączące ją z przeszłością. Tymczasem nie znamy ani śladu podobnej łączności kulturalnej, przynajmniej w Galicyi i na Bukowinie. Wytlumaczyć zaś możnaby fakt ten niezwykle chyba gruntowną zmianą ludności, która opuszczając kraje przykarpackie zabrała ze sobą i całą swą kulturę, ustępując miejsca nowej ludności najezdczej. Przypuszczenie to jednak nie w całej swej rozciągłości wytrzymuje krytykę, ponieważ z rozwoju kultury przedhistorycznej Galicyi nie możemy bezwarunkowo wnosić o jakichś gwałtowniejszych ruchach i przemianach u kresu doby neolitycznej a nawet i później nieco, — a zjawiska podobne jak pojawienie się nowej licznej ludności musiałoby chyba pozostawić jakieś ślady w dalszym rozwoju kultury. Mielibyśmy bowiem do czynienia z nową ludnością bardzo dzielną i wojowniczą, jak wnosić by można o tem z wyników jej potężnego parcia, widocznego w nagłym usunięciu się ludności późnoneolitycznej, również bardzo dzielnej i energicznej. O powolnem bowiem usuwaniu się jej nie zdaje się chyba świadczyć tak gwałtownie przerwana ciągłość właściwej jej kultury naczyń malowanych.

Przypuścić więc można, iż usunęła się ona nagle, ale nie pod naporem ludności dookolicznej, ani najezdczej, lecz dobrowolnie. Ludność bowiem następnego okresu metali jest tak nieporadna i mało obrotna, iż kiedy mówi się o jej kulturze to chyba tylko o marnem wegetowaniu fragmentów kultury brązowej na podłożu i nadal dominującego stanu kultury neo-

litycznej, do tego o wiele niższej od kultury epoki archaiczno-mykeńskiej.

Za fakt uważać należy, iż ludność tej epoki wywędrowała nagle z Galicji i to z własnej inicjatywy, nie będąc wcale uciskana przez dookoliczne plemiona, za słabe i niezdolne do tego. Inicjatywa wyemigrowania musiała wyjść zapewne z metropolii tej kultury, a więc daleko z poza granic dzisiejszej Galicji czy Bukowiny. Ruchy spowodowane z nieznanych nam bliżej przyczyn w łonie całej ludności odbiły się i na części jej — będącej w stałym kontakcie z całością — osiadłej w połudn.-wschodniej Galicji, którą ludność ta całkowicie opuściła, przenosząc się najprawdopodobniej na południe.

Bardzo prawdopodobnem zdaje mi się zatem, iż ludność używająca ceramiki malowanej zajęła prawie u okresu neolitu ziemie wykazujące dzisiaj ślady dawnych jej osad i osiadając tu tylko czasowo, prędko wyemigrowała dalej, mniejsza na razie o to w jakie strony. Czas przebywania jej na ziemiach naszych był stosunkowo bardzo krótki, czem właśnie tłumaczy się brak wpływów kultury tej na kulturę z dawna tu osiadłej ludności neolitycznej. Egzotyczne pochodzenie, stosunkowo bardzo wysoka kultura (znacznie rozwinięte pojęcia religijne — figurki bożków), oraz chwilowe niemal tylko przebywanie wśród tubylców i co za tem idzie, niemożność przekazania im choćby pewnych tylko właściwości tej kultury — oto przyczyny, dla których obraz jej, nawet dla ludzi niezbyt obznajomionych z przebiegiem rozwoju dziejów przedhistorycznych, musi posiadać cechy pewnej niezwyklej zagadkowości, nie uwarunkowanej ogólnym stanem kultury przedhistorycznej kraju. I w rzeczywistości za taką uważają ją dotychczas wszyscy uczeni i taką przedstawia się też w rozwiązaniu podanem przez nas, jednak z tą różnicą, iż wytłómaczonym znajdujemy jej odrębne stanowisko wśród innych typów kulturalnych ziemi naddniestrzańskiej.

* * *

Kiedy ludność używająca naczyń malowanych stanowi odrębną grupę etniczną i kulturalną, to widoczny natomiast związek zachodzi między ludnością następnego okresu metali a ludnością poprzednio poznaną, chowającą swych zmarłych w skrzynkowych grobach kamiennych. Fakt istnienia i działalności ludu, używającego ceramiki malowanej w kraju, w którym stanowił odrębną jakoby oazę etniczną i kulturalną nie wykluczał — jak to

widać z badań archeologicznych wszystkich wogóle razem wziętych osad neolitycznych w Galicyi — współrzednego istnienia w tym samym czasie i innej ludności o odmiennej, a sobie właściwej kulturze neolitycznej.

W tym samym więc okresie neolitycznym żyły obok siebie w Galicyi dwa odrębne narody, między którymi nie istniały najprawdopodobniej żadne stosunki, mogące w rezultacie wpłynąć na wzajemne oddziaływanie właściwych obydwom stopni kultury. Złożyć się mogły na to dwie główne przyczyny; jedna, to sam fakt zajęcia wielkiej i najprawdopodobniej najlepszej części kraju przez ludność obcą, a więc nieprzyjazną, a druga to o wiele wyższy stopień kultury przychodźców. Zarówno więc wrogie obustronnie stanowisko, tudzież wyższa kultura jednych, do jakiej nie dorośli jeszcze drudzy, złożyły się na to, iż wpływy kultury naczyń malowanych nie odbiły się wybitniej w rozwoju kultury strony przeciwnej, czemu w znacznej mierze sprzyjał jeszcze stosunkowo krótki okres trwania kultury archaiczno-mykeńskiej w naszych stronach. Nieznaczące jakieś wpływy musiały zapewne mieć miejsce, ale o ile istniały to w tak niewielkim stopniu, iż nawet drobnych ich śladów nie udało się narazie stwierdzić prehistoryi.

Inaczej natomiast ma się sprawa z ciągłością reszty typów kultury przedhistorycznej, rozwijającej się powoli na gruncie z dawna przez się zajęтым. Kultura ceramiki malowanej była jedynie intruzem, który o ile nie przeszkodził rozwojowi z dawna tu osiadłej ludności, to w każdym razie nie przyczynił się do jej postępu. Naturalną drogą rozwoju kroczyła ona powoli ale statecznie, zdobywając samodzielnie coraz pokaźniejsze nabytki, zastępujące dawniej będące w użyciu. Całokształt bowiem kultury okresu metali wykazuje wiele analogii z poprzednim neolitu, dla którego, jak to poprzednio wspomnieliśmy, charakterystyczny był między innymi zwyczaj chowania zmarłych w skrzynkowych grobach kamiennych. W następnym okresie zwyczaj ten został już zaniechany, ale niezupełnie, ponieważ i nadal chowano zmarłych w podobnych grobach t. zw. płytowych. Groby te różnią się w swej budowie od skrzynkowych jedynie odmiennym nieco sposobem urządzenia tychże. Kiedy mianowicie do grobów skrzynkowych używano całych przeważnie płyt kamiennych, zestawianych na podobieństwo skrzynki podłużnej, to groby płytowe różnią się od nich jedy-

nie tem, iż wewnątrz nie mają skrzynkowego grobu, lecz ten ostatni ułożony jest z mniejszych lub większych głazów, nakrytych z góry jedną ogromną płytą kamienną. Do tego gatunku grobów należy i odmiana ich w postaci kręgów, układanych z kamieni, w obrębie których spoczywają zwłoki jednego lub więcej nieboszczyków. Grób taki przesypywano ziemią, a dopiero na to kładziono ciężką płytę kamienną.

Równocześnie lub niewiele tylko później praktykowany był odmienny nieco zwyczaj chowania, polegający na tem, iż zmarłego układano w ziemi, przesypywano ziemią i następnie kładziono na to potężną płytę kamienną. Groby podobne w odróżnieniu od poprzednich nazwano *podpłytowymi*.

Prócz wymienionych znane były również groby kurhanowe w których składano zmarłych bez żadnego okrycia kamiennego wprost na ziemi i sypano nad tem mniejszych lub większych rozmiarów mogiłę. Dla wzmocnienia trwałości tego nasypu, wykładano zwykle wierzchnią jego część, wysoko nad zwłokami, rozmaitej wielkości kamieniami, które jednak najczęściej wybrane zostały później przez ludność dookoliczną. Podobnie i same nasypy zostały w ciągu długich wieków zarośnięte lub rozrzucone i to właśnie jest przyczyną, iż najczęściej trafiają się groby płytowe i podpłytowe pozbawione ich zupełnie, chociaż zwykle usypywano nad nimi kurhany.

Typy te grzebalne, zestawione razem, wykazują tak bliskie pokrewieństwo, iż nie stanowią zasadniczej odrębności, łatwo wyjaśnić się dadzą w swych odmianach związkiem genetycznym, albo też najwidoczniejszą analogią, zachodzącą między ich poszczególnymi rodzajami. I nie tylko w swej budowie nie różnią się wiele nawzajem, ale i cechy fizyczne, pochowanych w nich zmarłych przemawiać się zdają za tożsamością ludności z czasów grobów skrzynkowych z ludnością późniejszych epok okresu metali. Co się zaś tyczy wspólności kulturalnej, zachodzącej między trzema temi odmianami typów grzebalnych, to nie brak dowodów, przemawiających i za tem, oczywiście z uwzględnieniem chronologicznego następstwa stopni rozwojowych.

Pokrewieństwo formy (sposób urządzania grobów) u jednych i drugich jest najzupełniej widoczne. Rozpatrzeć więc należy jedynie właściwości antropologiczne, pochodzących z nich szkieletów, tudzież wykazać tożsamość kulturalną na podstawie znalezionych przy nich przedmiotów archeologicznych.

Materyału antropologicznego, pomierzonego przez dra I. Kopernickiego, dostarczyły trzy wymienione powyżej rodzaje grobów z okresu użytku metali. Najwięcej szkieletów pomierzono z grobów płytowych, mniej z podpłytych i niewiele z kurhanowych.

Do pierwszych należą pomiary, uskutecznione na resztkach szkieletowych, pochodzących z grobu płytowego we wsi Beremianach w pow. zaleszczyckim. Na niwie zw. Czerwoną natrafił A. Kirkor ¹⁾ w 1877 r. na płytę kamienną długości 70 cm. przesypaną ziemią na grubość 15 cm.; po zdjęciu jej i głębszem przekopaniu okazały się głazy, ułożone w koło i układane jeden na drugim. W środku tego kręgu znajdowały się resztki szkieletowe dwojga ludzi — jak powiada A. Kirkor — w pozycji siedzącej, skurczonej. ²⁾ Pochowani siedzieć mieli na płytach, któremi spód był wyłożony, głowami na wschód. Czaszki i kości pod naciskiem usuwających się kamieni zostały zupełnie rozgniecione. Rozbiciu w najdrobniejsze okruchy uległy nawet kolczyki brązowe, a ślady ich pozostały w patynie zielonkowatej na czaszce. Przy tejże czaszce z lewej strony leżała nieuszkodzona długa szpila brązowa od włosów, 31 cm, długości, wskazująca na szkielet kobiety, spoczywający obok szkieletu męskiego, przy którym znalazł się krzemik niewielki, nadkruszony, z widocznymi jednak śladami obrobienia. ³⁾ Skorupy od naczyń potłuczonych wyrobem, kolorem nawet gliny, zbliżone są bardzo do skorup z grobów skrzynekowych (spostrzeżenie samego Kirkora).

Szczegół archeologiczny (szpila od włosów), wskazujący na żeńską płć jednego ze szkieletów, znalazł potwierdzenie i w obserwacji antropologicznej dra Kopernickiego, który stwierdził, iż jest to rzeczywiście szkielet dorosłej młodej kobiety. Kształt czaszki, odbudowanej w całej prawie górnej części, jest wybitnie d ł u g o ę ł o w y, a wskaźnik jej wynosi 74'0.

¹⁾ Zbiór wiadom. do antr. kraj. 1878. Tom II. str. 8.

²⁾ Szczegół ten nie zdaje mi się prawdziwym.

³⁾ Fakt podobny znajdowania wyrobów krzemiennych obok znacznie późniejszych, a nawet żelaznych (Czechy i Wysocko) nie jestu nas wyjątkowy, a owszem trafia się nawet bardzo często. W Galicyi bowiem nie istniała jednolita epoka brązowa, ani żelazna, lecz na podłożu kultury neolitycznej reprezentowana były one tylko drobnymi i sporadycznie importowanymi wyrobami brązowymi czy żelaznymi. Przy znajomości więc tych metali dominującą była i nadal kultura kamienna.

Czaszka męska, odbudowana z ułamków jeszcze mniejszych, najzupełniej podobna do poprzedniej, jest również najwyraźniej długogłowa. o wskaźniku 70·2.¹⁾

Podobny grób płytowy, zbudowany z brył kamienia, ustawionych w krąg, odkrył dr. Iz. Kopernicki w Horodnicy nad Dniestrem (pow. Horodenka) na niwie „Krogulec”.²⁾ Był to niski pagórek, utworzony z narzuconych kamieni, po usunięciu których odkryto całe duże koło, regularnie ułożone z gęsto we dwa rzędy utkwionych surowych płyt miejscowego piaskowca. Wewnętrzna średnica tego koła wynosiła 3 50 i 3 80 m. pojedyncze kamienie miały przeciętnie około $\frac{1}{2}$ metra. Na głębokości 1·50 m. od powierzchni gruntu, wewnątrz koła spoczywał szkielet potężnego mężczyzny, ułożony na wznak. Znalezione przy nim tylko z prawej strony przy głowie mały guziczek emaljowany czy pomalowany złocistą barwą z czarnymi, szerokimi liniami pośrodku ułożonymi na krzyż i z żelaznem uszkiem u spodu (opis Kopernickiego). Pod prawą łopatką szkieletu znaleziono parę centymetrów grubą warstwę brunatnego próchna z drzewa; dalej zaś pod szkieletem także warstwa gliniastej, tłustej ziemi oddzielała go od calca.

Pomiarów antropologicznych tego szkieletu nie podał dr. Kopernicki osobno, lecz objął je w sumarycznem zestawieniu cech antropologicznych wszystkich szkieletów ludzkich, wydobytych w Horodnicy. Do zestawienia tych spostrzeżeń powrócimy nieco dalej, a na razie zwrócimy uwagę na bardzo ważny dla nas szczegół archeologiczny.

W grobie horodnickim (płytowy-krąg) znalazł się przy szkielecie mały guziczek emaljowany, opisany powyżej słowami dra Kopernickiego, który w innej swej pracy³⁾ wspomina o trzech takich samych guziczkach znalezionych w grobie kur-

¹⁾ Dr. Iz. Kopernicki. Uwagi tymczasowe o starożytnych kościołach i czaszkach z Podola galic. Zbiór wiad. do antrop. kraj. 1879. Tom III. str. 137.

²⁾ Poszukiwania arch. w Horodnicy nad Dn. w 1877 r. Zbiór wiad. do antr. 1878. Tom II. str. 53.

³⁾ Dr. Iz. Kopernicki. O czaszkach z kurhanów pokuckich. Pamiętnik Akad. umiej. Wydz. matem.-przyrodniczy. 1876. Tom II. str. 80—113.

hanowym w Chocimierzu (pow tłumacki), niedaleko zresztą oddalonym od Horodnicy nad Dniestrem.¹⁾

Bardzo rzadkie te przedmioty, tak dokładnie podobne do siebie, znalezione równocześnie w płytowym grobie w Horodnicy i w kurhanowym w Chocimierzu posłużyć mogą jako doskonały dowód stosunku pokrewieństwa, zachodzącego między jednymi i drugimi. Popierają również — i skądinąd już znany — fakt równoczesnego, a w każdym razie nie wiele późniejszego używania odmiennego sposobu grzebania zmarłych, praktykowanego w czasach przedhistorycznych w Galicyi wschodniej, uprawniając zarazem w dalszej konsekwencji do przypuszczenia o tożsamości ludu, używającego odmiennych tych sposobów rytualnych.

Za przypuszczeniem tem przemawiają jeszcze dobitniej wyniki pomiarów antropologicznych szkieletów z Chocimierza i Żywaczowa,²⁾ porównane z wspomnianem (niestety) sumarycznem zestawieniem spostrzeżeń antropologicznych, dokonanych na czaszkach z grobów horodnickich.³⁾ Z grobów kurhanowych w Żywaczowie pomierzył dr. Kopernicki dwie czaszki męskie i jedną kobiecą; z grobów zaś z Chocimierza trzy męskie i jedną o płci, nie dającej się stanowczo oznaczyć, jednak nie różniącą się od reszty swojemi cechami antropologicznymi.

Na niwach Żywaczowskich (pow. horodeński) wznosi się jedna okazańsza mogiła, wokół której ledwie widocznych jeszcze było 5 mniejszych prawie całkiem już zoranych. Z tych trzy zostały przekopane, a kości z nich wydobyte, pomierzone przez dra Kopernickiego. Budowa wszystkich była zupełnie podobna i zasadzała się na tem, iż na samym spodzie układano duże bryły kamienia wapiennego, które przesypywano czarnoziemem miejscowym; na tem zaś układano zwłoki, zasypywane

¹⁾ Dosłowny opis dla porównania z poprzednim: „Guziczki, jak mniemam (Kopernicki) z jakiejś czarnej masy szklanej lub emalii odlane, wielkości i kształtu grochu. Na jednym końcu mają wpojęne uszka z żelaznego drutu grubą rdzą powleczone, na odwrotnej zaś wypukłej powierzchni ozdobione były bardzo czysto i regularnie w kształcie krzyża namalowanemi złożonemi linjami“.

²⁾ Dr. Kopernicki. Cytowana praca w Pamiętn. Akad. umiej.

³⁾ T e n s a m. Uwagi antropologiczne. Rozdział 7. „Poszuk. arch. w Horodnicy nad Dn.“. Zbiór wiad. do antr. kraj. 1878. Tom II. str. 69—71.

piaskiem, którego w okolicy niema bliżej jak na $\frac{3}{4}$ mil. Z przedmiotów znalezionych przy zwłokach wydobyte zostały brązowe spiralnie z drutu zwinięte pierścienie i także zausznicze.

Spostrzeżenia, dokonane zwłaszcza na czaszkach stwierdzają ich wybitną czystość rasową reprezentowaną tu najlepszym swym typem, o którym dr. Kopernicki powiada, iż jest najpiękniejszym przedstawicielem długogłowca, przypominającym szlachetne okazy czaszek długogłowych skandynawskich, germańskich, staroszwajcarskich, etruskich i łatyńskich. Wskaźniki ich czaszkowe wynoszą 70·6, 71·7 i 75·9.

W Chocimierzu zbadano taksamo wokół jednej większej, inne mogiły mniejsze, usypane z ziemi, kamyków wapiennych i drobnych rzecznych, których w okolicy niema bliżej jak w Dniestrze, oddalonym o jedną milę. W dwóch zaś z ogólnej liczby sześciu przekopanych, pod każdym zresztą względem podobnych całkiem do poprzednich, natrafiono w jednym wypadku tylko na resztki drzewa, w drugim zaś na spróchniałą skrzynię dębową, której dno usypane było ziemią pod szkieletem, na którym znajdowało się drzewo spróchniałe. Z przedmiotów znaleziono: pierścienie brązowe, także kolczyki i wieszadło na piersi (przy szkielecie kobiety), 18 paciorków szklanych i trzy powyżej wspomniane guziczki. Żelazne uszka przy tych ostatnich wskazują na to, iż mamy tu do czynienia z zabytkiem z epoki przejściowej od brązu do żelaza.

Wskaźniki czaszek kobiecych wynoszą: 73·8 i 74·5. Z liczby czterech pozostałych co do jednej z powodu jej chorobliwego stanu (rachitis) nie można całkiem płci oznaczyć, co do drugiej zaś wskaźnik 63·0 jest nienaturalny z powodu zdeformowania jej po śmierci w grobie. Dwie pozostałe są męskie o wskaźniku 74·4 i 77·2, a więc podobnie jak u kobiecych i u czaszek żywaczowskich. Zestawiając zaś główne spostrzeżenia powiada dr. Kopernicki, iż po usunięciu podrzędniejszych zboczeń i różnic w budowie czaszek żywaczowskich i chocimierskich, jedno i drugie należą niewątpliwie do tego samego głównego typu, długogłowych, prostoszczękich. Czaszki kobiece, przy właściwych tej płci cechach kranjologicznych, kształtem zupełnie są podobne do męskich.

Poprzednio jeszcze przy sposobności porównania zawartości grobu płytowego z Horodnicy i kurhanowego z Choci-

mierza wspomnieliśmy o grobach płytowych i podpłytowych w pierwszej z tych miejscowości, zbadanych w 1877 r. przez Wład. Przybysławskiego i dra Iz. Kopernickiego. Pomiarów szczegółowych szkieletów wydobytych tamże nie zdołał ogłosić dr. Kopernicki, a dołączył jedynie do sprawozdania z badań ustęp, traktujący zbiorowo spostrzeżenia antropologiczne ¹⁾.

Zebrany przez niego materiał odnośny z Horodnicy i sąsiedniej Żeżawy składa się z 23 czaszek mniej lub więcej cało zachowanych oraz z innych kości, które dla ściślejszego zbadania wybrane zostały z odkopanych szkieletów. Połowa z tego tj. 12 jest niewątpliwie lub najprawdopodobniej kobiecych; 4 z 23-ch należały do dzieci 12—16 letnich: наконец dwa razy natrafiono na szczątki małych dzieci ząbkujących.

Wzrost mężczyzn, obliczony z kości udowych, musiał być dość wysoki, około 1·70 m., a niekiedy nawet i wyższy. Szkielety kobiece budową i wzrostem musiały przewyższać zwykłą miarę tej płci właściwą. Kości udowe n. p. rzadko były krótsze niż 40—39 cm., a według tego wzrost ich dochodziłby do 1·60 m. Pod względem więc wzrostu znajdujemy u tej ludności zastanawiające podobieństwo do tej, którąśmy poznali z kurhanów Chocimierskich na Pokuciu (dr. Kopernicki), a która żyła w epoce przejściowej od brązu do żelaza.

Z drugiej zaś strony za pokrewieństwem ludności z Horodnicy i Żeżawy z ludnością poprzedniego okresu neolitycznego epoki grobów skrzynkowych, przemawiałoby stwierdzenie u tej pierwszej właściwości, poznanej poprzednio u szkieletów z niektórych grobów skrzynkowych. Mamy tu na myśli owo spłaszczenie goleniowe (platycnemia), stanowiące pewną cechę rasową, ludności przedhistorycznej Galicyi wschodniej. Właściwość tę zauważył dr. Kopernicki w większym lub mniejszym stopniu w 4-ch wypadkach i u szkieletów horodnickich i żeżawskich, co w stosunku do swej rzadkości i w początkach neolitu nie może zadziwiać swoją nielicznością w kilkanaście wieków później, stanowiąc ważny dowód na ciągłość etniczną wśród ludności przedhistorycznej Galicyi.

Co do wskaźników głównych 23-ch czaszek wykopanych to, nie odróżniając ich pochodzenia, płci ani wieku, objąć się one dadzą liczbami od 69—82, składając się na 82·5 % długo-

¹⁾ Zbiór wiadom. do antrop. kraj. 1878. Tom II. str. 69—71.

głowych (z średniogłowymi) i 17·3% krótkogłowych. W zestawieniu poszczególnych okazów przedstawiają się one następująco:

długogłowe ¹⁾ 11 [69, 70, 71(3), 73(2), 74(3), 75

średniogłowe 8 [76(4), 77(3), 78

krótkogłowe 4 [80(2), 81, 82.

Od chocimierskich i żywaczowskich różnią się zatem jedynie nieznaczną ilością (4) czaszek krótkogłowych, których z kurhanów w tych miejscowościach nie udało się wydobyć całkowicie, chociaż trafiono tam na jedną o wskaźniku 77·0, a więc w każdym razie bliższą już krótkogłowości.

Wracając do grobów płytowych, pokrewnych opisanym z Beremian i Horodnicy, omówimy w dalszym ciągu groby także z Borszczowa i Zaścianki, skąd wydobyte czaszki pomierzył także dr. Kopernicki.

Z grobu płytowego w miasteczku Borszczowie pochodzi czaszka męska, odbudowana z wielkim trudem z pokruszonych części. Jest ona najwyraźniej typu długogłowego o wskaźniku 71 i posiada na lewym wyrostku stawowym mocne zabarwienie zielone, pozostałe po utlenionym przedmiocie brązowym.²⁾

W Zaściance pod Tarnopolem rozkopał A. Kirkor w 1877 r. trzy groby, przewalone ogromnymi płytami kamiennymi,³⁾ prócz kości ludzkich nie natrafiono w nich na żadne przedmioty, a tylko zabarwienie zielone na czaszce kobiecej wskazuje niezawodnie na bytność brązu.

Z pomiędzy wydobytych resztek wyróżnia dr. Kopernicki⁴⁾ czaszkę męską, kobiecą i dziecięcą. Pierwsza, dorosłego mężczyzny około 1·78 m. wysokości, jest najwidoczniej długogłową, o wskaźniku 71·7; druga, drobna czaszka kobieca, również długogłowa o wskaźniku 70·1, wreszcie trzecia dziecka około lat piętnastu, mimo nie ustalonych jeszcze kształtów młodzieńczych, wykazuje podobnie typ długogłowy, o wskaźniku 70·1. Wskaźniki tych czaszek, porównane z poprzednimi zgadzają się

¹⁾ Za takie przyjmujemy czaszki o wskaźniku do 75·0; 75·1—79·9 średniogłowe (mesokef.); 80·0—85·0 krótkogłowe; powyżej 85 czaszki nadmiernie krótkogłowe (hyperbrachykef.).

²⁾ Zbiór wiadom. do antrop. kraj. 1879. Tom III. str. 135.

³⁾ A. Kirkor. Sprawozd. z wycieczki arch. w r. 1877. Zbiór wiad. do antrop. kraj. 1878. II. str. 10.

⁴⁾ Zbiór wiadom. do antrop. kraj. III. str. 134.

z nimi najzupełniej, udowodniając, iż zarówno w grobach płytowych jak i podpłytych grzebała się ludność tej samej rasy antropologicznej.

Równocześnie jednak — co już i poprzednio stwierdziliśmy — obok płytowych znane były i groby kurhanowe, jak o tem świadczą mogiły, zbadane w tej samej miejscowości (Zaścianka) przez A. Kirkora, który oprócz kości ludzkich wydobyl z nich i wyroby bronzowe, brakujące wprawdzie w grobach płytowych (w Zaściance), ale jakich ślad w postaci zielonego zabarwienia na czaszce kobiecej wskazywał na nie wyraźnie. Trzy tylko czaszki; wydobyte z tych kurhanów nadawały się do pomierzenia¹⁾; wykazały, iż dwie z nich należą do płci żeńskiej, a jedna do męskiej. Wskaźniki czaszek kobiecych wynosiły 71·4 i 76·6, męskiej zaś 67·6, wszystkie więc są najwidooczniej długogłowe.

Dr. Kopernicki stwierdza całkiem wyraźnie pokrewieństwo ich z poprzednio opisaną czaszką, wydobytą z grobu płytowego w Beremianach, wspominając o uderzającym podobieństwie, zachodzącym między nią, a męską czaszką kurhanową (z Zaścianki), od której różni się tylko w szczegółach podręcznych, właściwych płci odmiennej. (Zbiór wiad. III. str. 137).

Przy opisie grobów kurhanowych w Chocimierzu nadmieniliśmy, iż w dwóch z nich znalazły się ślady spróchniałego obramienia dębowego, w środku którego spoczywał szkielet zmarłego. Znalezione w jednym z grobów chocimińskich trzy guziczki z drobnymi uszkami żelaznymi wskazywały, iż groby te pochodzą z epoki przejściowej od brązu do żelaza, chociaż prócz tych nieznacznych śladów nowego metalu nie natrafiono na inne znaczniejsze. Takie same groby kurhanowe, jednak z okazańszymi już resztkami żelaza w postaci kilkunastu gwoździ, którymi zapewne zbite były spróchniałe dyle dębowe, odkrył i zbadał w 1876 r. A. Kirkor we wsi Semenowie pow. Trembowelskim.²⁾

Na spadzistem wzgórzu, przy drodze z Podhajczyk do Trembowli, rozkopał on sześć mogił z ogólnej liczby trzynastu, tak dokładnie zaoranych, iż ledwie domysleć się w nich można było grobów przedhistorycznych. Budowa wszystkich, prócz

¹⁾ Zbiór wiad. do antr. kraj. 1879. III. str. 127.

²⁾ Sprawozdanie z wycieczki arch. w r. 1876. Zbiór wiad. do antr. kraj. 1877. Tom. I. str. 15.

nieznacznych różnic, wykazała widoczne podobieństwo wzajemne. Powierzchnia pierwszej mogiły usypana była z czarnoziemiu dalej zaś z drobnego żwiru; szkielet wsparty na dużym kamieniu leżał głową na zachód (taksamo i w Chocimierzu), przesypany z wierzchu wapnem i obłożony dylami dębowymi, zupełnie spróchniałymi, umocowanymi niewielkimi kamieniami z obu stron sterczącymi. Na całej przestrzeni mogiły znalazło się siedm gwoździ żelaznych, bardzo zardzewiałych. Ciekawe jest, iż gwoździe takie znaleziono tu i w innych mogiłach, w których ani śladu drzewa nie było. Długość szkieletu na miejscu wynosiła 1'73 m. (wzrost za życia musiał być większy i równał się wzrostowi szkieletów z Chocimierza); na palcu prawej ręki był pierścień brązowy kręcony (również tego samego rodzaju co i chocimierskie), po obu stronach uszu znalazły się kolczyki brązowe i ozdóbki brązowe ze srebrną wewnątrz inkrustacją. Oprócz tego — podobnie jak i w grobach chocimierskich — znaleziono kilka skorup od naczynia słuczonego.

Z tylu ozdób brązowych wnosić można było o żeńskie płci szkieletu, co też stwierdzone zostało obserwacjami antropologicznymi dra Kopernickiego.¹⁾ Z odbudowanych szczątków czaszki stwierdzić się jedynie dało, iż była ona wyraźnie długogłowa, podobnie jak i inne wydobyte z grobów semenowskich.

W drugiej mogile spoczywał szkielet najprawdopodobniej mężczyzny, o czaszce wyraźnie długogłowej i wskaźniku 74'0. W trzeciej również mężczyzny o czaszce długogłowej i wskaźniku 72'9, podobnie jak i w ostatniej, o wskaźniku 76'2. Wymiary te zgadzają się również z wskaźnikami głównymi czaszek z grobów kurhanowych z Chocimierza i z innymi wydobytymi tak w grobach skrzynkowych, jak w płytowych i podpłytowych.

Poniżej zestawiamy wskaźniki główne wszystkich w pracy tej wspomnianych czaszek, pochodzących z grobów skrzynkowych, płytowych, podpłytowych i kurhanowych, a zebranych tylko według płci dorosłych.

¹⁾ Dr. Iz. Kopernicki. O kościach i czaszkach ludzkich z wykop. przedhist. na Podolu galic. Zbiór wiad. 1877. Tom I. str. 58.

Groby:	Miejscowość	Czaszki męskie:	kobiece:	Razem
skrzynkowe	Kociubińce	73·4—74·4 ₍₂₎	77·8	3
	Czarnokońce	71·7	—	1
	Uwista	77·7	80·9, 83·3	2
płytkowe i pod płyt.	Beremiany	70·2	74·0	2
	Borszczów	71·0	—	1
	Zaścianka	71·7	70·1	2
	Horodnica (czaszki męskie i kobiece razem)	69, 70, 71 ₍₃₎ , 73 ₍₂₎ , 74 ₍₃₎ , 75, 76 ₍₄₎ , 77 ₍₃₎ , 78, 80 ₍₂₎ , 81, 82		23
kurhanowe	Zaścianka	67·6	71·4, 76·6	3
	Żywaczów	70·6, 75·9	71·7	3
	Chocimierz	63·1 (?), 73·7, 74·4, 77·2	73, 74	6
	Semenów	72·9, 74·0 (?), 76·2	?	4
Razem				51

Pomijając zdeformowaną czaszkę chocimierską (63·1), wskaźniki czaszek męskich (z horodnickimi kobiecami) objęte są liczbami od 67·6—82; wskaźniki zaś kobiecych 70·1—83·3. Z tego na męskie (z horodnickimi) przypada długogłowych 23, średniogłowych 12 i krótkogłowych 4. Na kobiece czaszki przypada długogłowych 6, średniogłowych 2, krótkogłowych wreszcie 2. Wyrażając to w stosunkach odsetnych ¹⁾ wypadnie na męskie; 58·9% długogłowych, 30·7% średniogłowych i 10·2% krótkogłowych. Na czaszki kobiece wypada; 60% długogłowych, 20% średniogłowych i 20% krótkogłowych. Stosunek ten obliczony dla całej ludności tj. dla razem wziętych czaszek męskich i kobiecych, wynosi 59·1% długogłowych, 28·5% średniogłowych i 12·2% krótkogłowych.

¹⁾ Obliczonych w tym i w następnych wypadkach z 39 czaszek męskich i 10 kobiecych.

Z tego, więc wynika, iż ludność zdecydowanie długogłowa stale przewyższała, czy razem czy z osobna wziętą ludność średnio-krótkogłową i że ta ostatnia najmniejszy stanowiła odsetek wśród ogólnej liczby ludności przedhistorycznej Galicyi. Ciekawsze jeszcze dane otrzymujemy przez zestawienie procentowe poszczególnych tych typów antropologicznych według pochodzenia ich z chronologicznie po sobie następujących typów grzebalnych. I tak w najstarszej epoce, charakterystycznej grobami skrzynkowymi, przypada 42·8% na długogłowców, 28·5% na średniogłowców i tyleż samo na krótkogłowców. Na późniejszą ludność, chowającą zmarłych swych w grobach płytowych i podpłytowych, przypada 57·1% długogłowych, 28·5% średniogłowych i 14·2% krótkogłowych. U ludności zaś z grobów kurhanowych, pochodzących przeważnie z późniejszych od poprzednich czasów, stosunek ten wykazuje 71·4% długogłowych, 28·5% średniogłowych i 0% krótkogłowych.

Wynika z tego, iż liczba krótkogłowców, znanych od najdawniejszych czasów w Galicyi wschodniej, malała stopniowo, zanikając zupełnie w okresie przejściowym od brązu do żelaza tj. u ludności, która pozostawiła nam groby kurhanowe. Czaszki z tych grobów wykazują natomiast największy odsetek długogłowców, którzy wogóle — jak to widać z przytoczonych cyfr. — w biegu wieków przedhistorycznych coraz bardziej górę brali nad usuwającymi się krótkogłowcami, kiedy — rzecz ciekawa — odsetek średniogłowców za cały ten okres ciągle zostawał dokładnie jednakowy. Długogłowcy rozmnażali się na niekorzyść krótkogłowców, podczas gdy średniogłowcy, nie ustępując ani jednemu ani drugiemu, zachowali najzupełniejszą równowagę.

Z nieznacznego wogóle procentu krótkogłowców, reprezentowanych prawie jedynie czaszkami kobiecymi, wnosić można (mając na uwadze równoczesny rozwój kulturalny), iż nie stanowili oni nigdy ważniejszej jakiejś części składowej ogółu ludności przedhistorycznej, a tylko sporadycznie okazywali się w kraju. Najprawdopodobniwszem zdaje się, iż były to kobiety, brane w niewolę od krótkogłowych sąsiadów, co w ten sposób przyczyniło się do wzajemnego mieszania się dwóch tych ras odmiennych. Panującą jednak została przez wszystkie epoki przedhistoryczne rasa długogłowa, do której po części zaliczyć można i średniogłowców,

stanowiących — jak to widzieliśmy powyżej — więcej jak czwartą część ogółu ludności. Fakt zaś stwierdzenia krótkogłowca w najdawniejszej epoce kulturalnej, jaką jest epoka skrzynkowych grobów kamiennych, zdaje się przemawiać za tem, iż krótkogłowcy ci mieszkali gdzieś bardzo niedaleko granic Galicyi wschodniej i to przez dłuższy przeciąg czasu, usuwając się dopiero z nastaniem żelaza.

Późniejszymi od grobów kurhanowych są u nas groby odkryte we wsi Czechach i Wysocku w pow. brodzkim, gdzie obok przedmiotów bronzowych znaleziono bardzo wiele i żelaznych. Były to groby nie ciałopalne, z których wydobyte czaszki okazały się bez wyjątku długogłowemi,¹⁾ podobnie zresztą jak i w grobach kurhanowych. Ponieważ zaś groby te w Brodzkiem z samemi czaszkami długogłowemi pochodzą już z samego niemal końca wieków przedhistorycznych, a więc prawie z czasów okazania się Słowian na ziemiach naszych, zatem wznosić można, iż bezpośrednio przed okazaniem się tychże w Galicyi wschodniej ludność jej stanowili sami długogłowcy, wolni zupełnie od przymieszki krótkogłowców. Krótkogłowa zaś ludność słowiańska nie okazywała się tu powoli, lecz najprawdopodobniej usadowiła się odrazu, możliwie już po opuszczeniu kraju przez ludność długogłową, jakby na to wskazywał brak wszelkich śladów, przemawiających za statecznem wypieraniem tych ostatnich przez wzajemne mieszanie się obu ras odrębnych.

Przypuszczenia takie czynimy jedynie odnośnie do Galicyi wschodniej i jedynie na podstawie zestawienia materiału, pochodzącego przedewszystkiem ze stosunkowo ściśle zlokalizowanych badań terytorium wschodnio-galicyjskiego. Możliwe, iż w najbliższem nawet sąsiedztwie stosunki te okażą się zupełnie odmiennymi; jednak nie zdołają one zmienić wniosków uczynionych powyżej i to tak długo, jak długo nowe jakieś odkrycia i badania na terenie Galicyi nie wykażą czegoś odmiennego. Możliwości tej nie możemy całkowicie wykluczać, ponieważ wnioski uczynione przez nas w ciągu całej niniejszej pracy,

¹⁾ Dr. Iz. Szaraniewicz. Cmentarzyska przedhistoryczne w Czechach i Wysocku w pow. brodzkim. Teka konserw. Gal. wschod. Lwów 1900. str. 17.

Prof. M. Hruszewski. Pohoronne pole w seli Czechach. Zapy-sky nauk. Tow. im. Szewczenka. Tom XXXI. (odbitka str. 20),

zbyt często może opierać się muszą na niezbyt obfitym i do tego nie zawsze odpowiednio opracowanym materiale tak archeologicznym jak i antropologicznym. W każdym jednak razie nie stoją one w żadnej widocznej sprzeczności z dotychczas znanem, stanowiąc jedynie wyniki analizy, przeprowadzonej na podstawie całokształtu — przyznając nie zawsze może bez zarzutu — badań paleoantropologicznych w Galicyi wschodniej. Być może, iż wyjaśnienie wielu ciemnych jeszcze kwestyi z dziejów przedhistorycznych Galicyi, zmodyfikuje znacznie nasze poglądy na wzajemny stosunek typów etnicznych i kulturalnych w kraju, jednak bardziej prawdopodobnem zdaje mi się, iż właśnie dobitniej zdołają one przemówić na korzyść wyrażonych przez nas poglądów na tę pierwszej wagi sprawę. Kto zna wartość naszego materiału do prehistorii Galicyi, ten z pewnością zrozumieć potrafi i wyjaśni sobie przyczyny, z powodu których dowodzenia w pracy tej nie zawsze wypowiadają wszystko, co by powiedzieć należało i zbyt wiele może polegają na samoistnych studyach w sprawach, jakie powinnyby być oparte na wynikach badań uprzednich. Jak dotychczas jednak to w rzeczach prehistorii Galicyi, każdy pracujący na tem polu, musi opierać się jedynie na samodzielnie zdobytej wiedzy, ponieważ najdrobniejsze nawet syntetyczne opracowania zebranego już materiału do prawdziwych rzadkości u nas należą. Wystarczy powiedzieć, iż prehistoria nasza nie posiada dotychczas wprost drobnej jakiejś próby usystemizowania chronologii wieków przedhistorycznych kraju i że nie znane jest dotychczas jakieś dokładniejsze opracowanie całokształtu dziejów przedhistorycznych Galicyi. W kwestyach, których wyjaśnienie należałoby do prac podobnych, zdawać się należy jedynie na własną znajomość przedmiotu, co oczywiście musi mieć tę złą stronę, iż nie wszyscy mogą być jednakowego przekonania co do poszczególnych punktów jednej i tej samej sprawy. Względy powyższe usprawiedliwić powinny tak samą metodę, jak też i przeprowadzenie całego dowodzenia, nie zawsze może dostatecznie przekonywająco argumentowanego.

Reasumując zaś wszystko dotychczas powiedziane stwierdzamy, iż ludność całego okresu przedhistorycznego Galicyi wschodniej stale była tą samą i że jej przypisać należy cały rozwój kultury przedhistorycznej kraju. Przemawia za tem tak ciągłość etniczna ludności poszczególnych chronologicznie po

sobie następujących epok przedhistorycznych, jak niemniej i ciągłość kulturalna dająca się śledzić od najdawniejszej epoki grobów skrzynkowych do najpóźniejszej, datowanej grobami szkieletowymi z Czech i Wysocka. Przeciw ciągłości tej nie świadczy bynajmniej fakt istnienia przedstawicieli odmiennej rasy krótkogłowej w najdawniejszej epoce, jak również całkowicie odrębna kultura osad z ceramiką malowaną. Co się bowiem krótkogłowców tyczy, stanowili oni zawsze tylko nieznaczną część ogółu ludności przeważnie długogłowej, wśród której krótkogłowcy okazywali się tylko sporadycznie, a nie masowo lub zwartymi grupami. Za stwierdzoną zaś uważamy odrębność kultury naczyń malowanych, która zjawiając się niespodzianie u końca neolitu, ustępuje bez śladu z początkiem następnego okresu metali. Między tym najzupełniej izolowanym typem kulturalnym, a innymi przed nim i po nim w Galicyi wschodniej, nie istnieje żadna ciągłość ani łączność, któraby świadczyć mogła o lokalnem jego pochodzeniu, wykazując temsamem wyjątkowe jego stanowisko w kulturze przedhistorycznej kraju. Ludność używająca, charakterystycznej dla tej kultury ceramiki malowanej, nie wyparła z dawna tu osiadłej ludności neolitycznej, która i nadal rozwijała się samodzielnie, zajmując Galicyę wschodnią do pierwszych niemal chwil pojawienia się w niej Słowian.

Za ciągłością etniczną ludności neolitu (z wyjątkiem napływowego elementu kultury naczyń malowanych) z późniejszą ludnością okresu metali, przemawia identyczność rasowa, tudzież pokrewieństwo, zachodzące między wszystkimi poszczególnymi typami kultury przedhistorycznej. Pokrewieństwo to widoczne jest w urządzaniu grobów, stanowiących jeden typ zasadniczy w kilku bliskich sobie odmianach, tudzież w przedmiotach znajdujących w tychże.

Bardzo ważnym szczegółem, świadczącym przy innych o wspólności, zachodzącej między kulturą grobów skrzynkowych, a późniejszą grobów płytowych jest fakt, stwierdzony jeszcze przez Kirkora, który wspominając o skorupach naczynia glinianego, wydobytego z grobu płytowego w Beremianach wyraźnie konstatuje, iż skorupy od naczyń potłuczonych wyrobem, kolorem nawet gliny, zbliżone są bardzo do skorup z grobów kamiennych.¹⁾ Nie można natomiast powiedzieć tego o cera-

¹⁾ A. Kirkor. Spraw. z wycieczki arch. w r. 1877. Zbiór wiad. do antr. kraj. 1878. Tom II. str. 9.

mice malowanej, zupełnie odmiennej od poprzedniej z grobów skrzynkowych i późniejszej z czasów okresu metali.

Za związkiem więc między grobami skrzynkowymi i płytowymi przemawiają tak dane antropologiczne jak i archeologiczne, podobnie jak z drugiej strony ma się sprawa z wykazaniem powyżej pokrewieństwem między grobami płytowymi i kurhanowymi, późniejszymi nieco od poprzednich. Inwentarz zaś grobów płytowych nie różni się prawie niczem od zwykłej zawartości grobów podpłytowych, wykazujących zwyczajnie drobne tylko pierścienie brązowe lub liczniejsze nieco takież ozdoby, o ile w grobie spoczywała niewiasta.

Wogóle wysledzić można nici, łączące trwałym związkiem wszystkie przedhistoryczne epoki kulturalne Galicyi wschodniej. Znamiennym jest przytem fakt, iż często w tej samej miejscowości lub bardzo tylko niedaleko od niej, odkryto równocześnie kilka rodzajów grobów; wykazuje to oczywiście, najdobitniej, iż kultura jak i sama ludność nie ulegała żadnym nagłym przewrotom, a owszem przez cały przeciąg wieków przedhistorycznych stale na jednym miejscu rozwijały się stopniowo. Terytoryum, na którem poznano dotychczas w Galicyi groby skrzynkowe, płytowe, podpłytowe i kurhanowe przypada przedewszystkiem na Podole i Pokucie, które w ten sposób były stale zamieszkałe przez jedną i tę samą ludność, po jakiej pozostały wymienione właśnie rodzaje grobów. Wzajemne ich pokrewieństwo, tudzież fakt istnienia w chronologicznym następstwie na jednym i tem samem terytoryum, przemawiają także za łącznością i jednością ludności w długim szeregu wieków przedhistorycznych ziemi nadniestrzańskiej.

Zusammenfassung.

Die Besitznahme Ost-Galiziens durch die vorhistorische Bevölkerung dringt in die Anfänge der neolithischen Periode. Auf diese fällt die Entwicklung zweier hervorragender Kulturtypen. Der eine ist wegen den riesigen Steinkistengräbern charakteristisch, der andere wegen der herrlichen Entwicklung der bemalten Keramik. Der letzte auch v o r m y k e n i s c h genannt stammt vom weiten Ost-Süden und ist eine ungewöhnliche Erscheinung in der neolithischen Periode Galiziens, gänzlich isoliert sowohl von der vorhergehenden Steinkistengräber-Kultur, wie auch von der späteren Metallzeit, mit deren An-

bruche er gänzlich verschwindet. Die Bevölkerung und diese ihr charakteristische Kultur sind ganz fremden Ursprunges. Wie unverhofft sie in das Dniestr-Gebiet kamen, so verschwanden sie auch spurlos auf einmal. Wie man annehmen darf, verliess diese Bevölkerung das Dniester-Gebiet aus höchst eigener Initiative, höchst wahrscheinlich aus Anlass der etwaigen Bewegungen in der südlich gelegenen Metropole; sie verlies ihre Ansiedlungen und wanderte nach Süden aus. Mit ihrer Auswanderung verschwindet auch zugleich die ihr eigene und charakteristische bemalte Keramik und es bleibt bloss die ursprüngliche — der neolithischen Anfangsperiode ähnliche — Keramik der Metallzeit.

Mit der selbständigen Entwicklung der vormykenischen Kultur auf fremden Gebiete Ost-Galiziens fristete gleichzeitig separat die autochthonische Bevölkerung ihr Dasein. Die Kultur der bemalten Keramik trieb als gewaltiger Eindringling die schwächere hiesige und anderartige Kultur auf gewisse Zeit in den Hintergrund; mit dem Verschwinden aber des Eindringlings gewann die autochthonische Bevölkerung ihre Herrschaft zurück und behielt sie bis zu Ende des vorhistorischen Zeitalters.

Wie der Zusammenhang zwischen der vormykenischen und der autochthonischen Neolithkultur, wie auch zwischen der vormykenischen und späteren Metallkultur unmöglich konstatiert werden kann, so ist im Gegenteile der Zusammenhang zwischen der hiesigen Bevölkerung und Kultur der neolithischen Periode und der späteren Metallzeit leicht ersichtlich. Alles spricht dafür dass Ost-Galizien in vorhistorischen Zeiten durch langköpfige Rasse, die schon im Anfange der neolithischen Periode hieher eingewandert ist, bewohnt wurde. Lange schon vor dem Erscheinen der Slawen waren die autochthonen Langköpfigen mit Kurzköpfigen vermischt; die letzten aber konnten nicht Slawen sein, da gerade zu Ende der vorhistorischen Periode schwindet die Kurzköpfigkeit, die sich noch aus Steinkistengräber-Periode datiert. Die Slawen fanden in Ost-Galizien die reine langköpfige Rasse, was schliessen lässt, dass sie hier plötzlich erschienen und die hier sesshafte Bevölkerung nicht im Wege der gegenseitigen Verhältnissen sondern auf einmal und binnen kurzer Zeit verdrungen haben. Es ist auch nicht ausgeschlossen, dass die Slawen das durch die frühere langköpfige Bevölkerung seit Anfang der neolithischen Periode besessenes Dniestr-gebiet, welches sie als verlassen antrafen, für sich einnahmen.



BRONISŁAW PIĘSUDSKI.

Poezya Gilaków.

*„Tyle życia, co jest w pieśni,
„Tyle szczęścia, co się prześni“.*

Na dalekim krańcu Sybiru, omywana falami Oceanu Wielkiego, leży smutna wyspa znana i naszemu narodowi przez długie lata reakcyi ostatniej doby, jako groźba dla hardych i nieugiętych, jako jaskinia do wrzucania nieszczęśliwców, którzy przekroczyli surowe prawa ludzkie, ujęte w formuły i księgi. U wejścia do tego czyśca na ziemi mógłby witać straszny napis: „wchodząc tu odrzućcie wszelką nadzieję“.

Wyspą tą jest Sachalin, surowy i trochę dziki, zszepcony jednak więcej przez brutalnych i barbarzyńskich ludzi, niż przez przyrodę, rozmaity, czasem miękką, żywą i barwną, czasem imponującą i potężną, to znów skarłowaciała — przygnębiająca i smutną, jak dusze tych, co musieli tam pędzić na wygnaniu „dnie, tak długie, — każdy jak trzy jesienie“ ¹⁾.

Kraina ta, zienawidzona przez białych przymusowych osiedleńców, była ukochaną ojczyzną dla trzech nielicznych szczepów tubylców, zaludniających tę bogatą w rybę i w zwierza wyspę, w stuletniej, miłośnie przez nich wspominanej przeszłości.

¹⁾ Przysłowie chińskie.

Pierwsi, z którymi się poznałem, trafiwszy dzięki zrządzeniom ślepego losu na Sachalin, byli Gilacy; oni też pozostali mi na zawsze najlepszymi, drogimi druhami, wspólnej niedoli. I dla nich, dla całego plemienia, dnie sławy, czasy świetnej, z ich punktu zapatrywania, przeszłości, minęły i już nigdy nie wrócą... I oni, niedawni panowie piętrzących się wszędy gór, bystrych, przezczystych i wiecznie szumiących potoków, rzek-karmicielek, gęstych lasów tajemniczych, pełnych zwierza o futrach bogatych — oni dumni z panowania nad rozległą przyrodą — zostali zdeptani przez nowych przybyszów — utracili na zawsze, tak przez nich ukochaną swobodę.

Tę świadomość bezpowrotnej utraty samodzielności, drogiej i im prostaczkom, jednym z najmłodszych braci naszej wielkiej rodziny ludzkiej, tę beznadziejność czytałem nieraz w wyrazie smutku — tkwiącym głęboko w zapatrzonych w płomień ognia domowego, lub błędzących w przestrzeni, czarnych jak węgiel, gilackich oczach.

Wspólna, ciężka niedola, tylko rozmaicie odczuwana, jednakowa, szczerą i gorącą miłość dla Ojczyzny, kolebki naszego życia, zbliżyła nas i pokochaliśmy się. Z poza mego szarego chałatu z żółtym tuzem na plecach, który was odstraszał, bo widzieliście w nim okropnych zbójów, czyhających na wasze życie, mienie i cześć waszych niewiast, z poza innych ciężkich symbolów aresztanckiego położenia mego, odczuliście, wy, moi starzy przyjaciele, swym pierwotnym dziecięcym instynktem, że mogę wam szczerze współczuć i was pogardzonych, niezrozumianych, uważanych za „psów smrodliwych“ pokochać.

I garnęliście się do zamyślonego wciąż, bladego, a tak dziwnego dla was młodziana, szliście do niego długim nieprzerwanym szeregiem przez lat niemal 12, by usłyszeć słowo dobre, by otrzymać przyjacielską, zdrową radę, by się poskarżyć na ciężkie krzywdy brutalnych sąsiadów — białoliczych, by odпочąć wśród wypraw myśliwskich, posilić się i wypaść u tego przyjaciela, któremu daliście drogę i zaszczytne dla niego miano „starszego brata“, „AKAN“.

Biegły lata nieskończenie jednostajnie, jak krople rzęsitego deszczu, i smutne, jak płomyk zasypanego popiołem i wdeptanego w ziemię a płonącego przedtem drzewa.

Związek serdeczny nas łączący krzepł i rozszerzał się na coraz dalsze okolice. Jużemy razem się cieszyli powodzeniem waszem w sezonach połowu ryb, i myśliwstwa, odczuwalimy radość, gdy zdrowe latorośle uszczęśliwiały rodziny i powiększały liczbę członków gasnącego waszego szczepu; smuciliśmy się razem, gdy śmierć unosiła do pięknego ale nieznanego „Mlywo“ tych, których zaliczaliśmy do naszych wspólnych przyjaciół; zebraliśmy razem u naszych „Panów“, by wykołatać pomoc w klęskach, grożących wam głodem, obmyślaliśmy środki, by zapobiegać szerzącym się epidemiom.

O dzięki Wam, bracia moi żółtolicy, dzięki za zaufanie i przyjaźń, które z żywego trupa, pożądającego śmierci, zrobiły napowrót człowieka hołdującego przedewszystkiem czynnej miłości dla ludzi. Dziękuję za otwarcie mi dusz waszych, za odsłonięcie mi tajników waszej trudnej, odmiennej, nieharmonijnej dla nas, ale wam drogiej ojczystej mowy, za powierzenie niejednej tajemnicy, za chętne objaśnianie waszych myśli i zapatrywań, za dzielenie się ze mną najdroższym skarbem, który wam pozostał i osładzać wam będzie ciężkie kajdany niewoli — waszemi pieśniami.

A Wam, drodzy rodacy z ukochanej Litwy, za którymi tęskniłem swe młodem, kochającym sercem, i tęsknię jeszcze i teraz, po latach dwudziestu kilku, — tę moją pracę poświęcam.

Literatura w ogóle, a szczególnie poezya, jest wierną towarzyszką zmiennych losów narodu. W swych pieśniach daje nam on wyraz swoich myśli, pojęć, uczuć, i swojej wiary — wykazuje swój charakter i odtwarza cechy każdej minionej epoki. Pierwotne plemiona posiadają swoją literaturę ustną, mają swe podania, baśnie, legendy i pieśni, które są zwierciadłem ich duszy. Jest ona u mało rozwiniętych plemion mniej skomplikowaną od naszej, lecz również wrażliwa i zdolna do tych elementarnych uczuć, które są wspólne całemu rodowi ludzkiemu, co pobudziły jednego uczonego do wyrzeczenia słów: „świat cały jest jednym krajem“.

Ciężkie warunki, które się wytworzyły, dla szczepów pierwotnych z chwilą wtargnięcia na obszary, uprzednio wyłącznie przez nie zajmowane, narodu o silniejszej i więcej posuniętej na-

przód kulturze, odbiły się ujemnie na ich twórczości poetyckiej. Materyalnie szczep tubylców podupadł niezmiernie, koloniści wypalili lasy, niszczyli zwierza, odbierali lepsze tereny i tonie do połowu ryb, a nawet rabowali i okradali z tej nędznej chudoby, która przedstawiała ruchomą majątność tubylców. Psychiczna depresja wobec tak prędkiej i nagłej przemiany warunków życia, strach przed dumnym i brutalnym przybyszem, częsty głód, przygniatają umysł, ściskają żywą strunę serca Gilaków. I coraz trudniej dotrzeć do głębi ich życia, podsłuchać wcielone w estetyczną, poetyczną formę ich bóle serdeczne, ich marzenia, którym nawet oni sami coraz rzadziej puszczają wodze.

Dużo inteligentnych ludzi miało do czynienia z Gilakami, używając ich jako przewodników, lub ochronę podczas podróży i wycieczek naukowych po Sachalinie: lekarze, inżynierowie, oficerowie marynarki i urzędnicy. Chwalili oni zręczność, śmiałość i cnotliwość Gilaków, lecz wszyscy przekonani byli, iż na tak niskim szczeblu rozwoju ludzkiego stojący szczep nie ma żadnej poezji. Wyraz temu pogładowi dawali niektórzy w swych notatkach drukowanych, a jeden z wybitnie znanych i odznaczonych medalami przez Naukowe Towarzystwo geograficzne uczonych wypowiedział publicznie na odczytanie, iż Gilacy stoją tak nisko duchowo, iż nic ich nie interesuje, poza zdobywaniem materyalnych środków do życia. Muszę się przyznać, iż sam w pierwszych czasach pobytu na Sachalinie ten błąd podzielałem. Bliższe zetknięcie i zażyłość ze szczepem z zewnątrz bardzo niepociągającym, bo niechlujnym i cuchnącym, zapracowanym i mało wywnętrzającym się wobec obcych, dały mi inny pogląd na istotę tej rzeczy — pozwoliły zebrać sporą ilość utworów fantazji plemienia, tej cudownej wróżki, która go unosi daleko od smutnej rzeczywistości, podnosi go duchowo i pomaga lżej znosić ciężką dolę ziemskiego żywota.

Rodzaje utworów literatury gilackiej są dość liczne. Przede wszystkim bardzo bogaty jest dział prozy, mianowicie „tylgund“ — podań, epicznego charakteru, przechodzących z pokolenia na pokolenie i zawierających cały arsenał wierzeń, przesądów, poglądów na zwierzęta i otaczającą przyrodę. Mniej liczne są historyczne opowiadania, dotyczące się prawie wyjąt-

kowo ubiegłych, niezbyt nawet dawnych wojen, które się odbywały między poszczególnymi rodami, najczęściej na tle porwania kobiet, zabójstw i krwawej zemsty.

Do prozaicznych utworów trzeba też zaliczyć zagadki i nadzwyczaj lubiane przez dzieci i dorosłych igraszki słów (leren-tuhuś) dźwięczne, rytmiczne, a czasem ułożone z humorem, i nieraz dość cyniczne i pieprzne.

Dział poezji tworzą poematy „naštund“. Pełne mitologicznych zwrotów i kombinacji, lecz zawsze na tle najdziwniejszych opisów, przygód jednego bohatera-człowieka. Najwięcej jednak dramatycznych momentów uczuciowości bezgranicznej, to znowu lekkiego i łagodnego smutku, czasem dosadnych dowcipów, bezpośredniego humoru i satyry zawierają liryczne utwory „alachtund“, z którymi tym razem jedynie chcę zapoznać czytelników.

Gilacy dzielą swe „alachtund“ na stare i nowoczesne. Zasadniczej różnicy między nimi niema. I te i tamte zostały utworzone przez jednostkę pod wpływem silnego uczucia radości lub smutku i chęci podzielenia się nimi z rodakami w formie rytmicznej, w wyrażeniach pięknych, bogatych w alegorye, porównania, przesadny humor, sarkazm, najczęściej zaś malujących serdeczne bóle miłosne autora. Twórca starych pieśni po kilku pokoleniach jest zapomniany i chyba tam tylko pamiętają wszystkie szczegóły dotyczące się poety i opisanych przez niego osób, gdzie akcja cała miała miejsce.

Autorowie nowoczesnych pieśni są znani wszystkim, całemu plemieniu. Każdy z Gilaków przedtem, nim zaczynał mi dyktować piosenkę, objaśniał mi kto ją skomponował, pod wpływem jakiego uczucia i do kogo się ona odnosi. Miało to podwójne znaczenie: zanotowanie wiadomego faktu i chęć ostrzeżenia mię, bym nie powtarzał pieśni przy pewnych osobach. Zwyczaj ten wyjaśnię dalej.

Pieśni swe Gilacy śpiewają niezbyt głośno, prawie stale modulując gardłem i tylko czasem robią, dźwiękami wychodzącymi z piersi, przeciągane — póki nie zabraknie tchu, tęskne n u ty. Za głuchymi stłumionymi dźwiękami, trochę gardłowymi, idą pauzy odpowiadające końcowi jednego taktu. Brak odnośnych, głębszych i wysokich tonów, żywości, pięknych cieniowań i skomplikowanych przebiegów nie daje uszom Europejczyka najmniejszej przyjemności, utrudniają zrozumienie

treści podłożonej pod melodyę pieśni. Melodyjny układ będzie prawdopodobnie zapisany kiedyś przez specjalistów muzyków, którzy się interesują pierwotną muzyką. Przypuszczam, że budowa pieśni Gilaków jest najwięcej zbliżoną do dźwiękowania Chińczyków, którzy też śpiewają przykrym dla nas falsetem i ścieśnionem gardłem. Niektóre pieśni śpiewane są przy akompaniamencie biednej jednostrunnej skrzypki gilaskiej.

Treścią pieśni lirycznych, jak już zauważyłem, są najrozmaitsze odcienia i wyrazy uczuć miłosnych. „Alachtund“ nie noszą żadnego cienia zapożyczonego z folkloru sąsiednich szczepów, jak to czuć na innych poetyckich utworach Gilaków. One są przeciwnie objawem czysto Gilackim, najwięcej odpowiadającym indywidualnym właściwościom szczepu. Tylko u Gilaków miłość między dwoma osobami dochodzi do takiego nieraz stopnia, iż one wolą śmierć, niż życie w ciężkiem rozłączeniu. Położenie kobiety w rodzinie gilackiej jest bardzo upośledzone. Zostaje ona od dzieciństwa zaprzędaną do cudzego rodu i nigdy nie może pozostać wśród swoich, nie ma też prawa pokochać kogokolwiek z rodu swego ojca. Na takim smutnem dla kobiety tle wyrastają częste dramaty, doprowadzające nieraz do samobójstwa. Kobieta — zwykle bardzo młoda dziewczyna — poczuła wstręt do nieznanego dla niej domu i rodziny swego męża, dla którego była przeznaczoną przez rodziców już często w dzień swych urodzin, z rozpaczyny wiesza się i przed śmiercią wylewa swój ostry ból duszy w pieśni. Dwoje kochanków, którzy nie mogą się pobrać, bo dziewczyna już obiecana drugiemu, postanawia jednocześnie się zabić, bo według wierzeń Gilaków, taka równoczesna śmierć połączy ich na stałe na tamtym świecie. Wreszcie bywają wypadki, że dziewczyna zakochała się w człowieku jednego z sobą rodu; dowiadując się o tem krewni i oburzeni z powodu strasznego wykroczenia zmuszają winną do samobójstwa. Pieśni te są najwięcej lubiane przez Gilaków, wogóle skłonnych do samowolnego skrócenia swego doczesnego żywota. W innych opisuje autor podróż do ukochanej, dając wiele barwnych opisów spotykanej przyrody. Tematem bardzo zwykłym jest tęsknota za ukochanym chłopcem, który długo nie przychodzi, lub przejeżdża mimo, a do oczekującej go kochanki nie wstępuje. Treścią innych pieśni jest prośba kobiety o zabranie jej z sobą, zwrócona do odje-

żdżającego daleko młodzieńca, który wpadł jej w oko podczas pobytu we wsi i t. d.

Podniecona dusza i umysł autorów pieśni szukają wyrazów dosadnych i silnych, starają się upiekszyć mowę subtelnymi i zręcznymi zwrotami, ile stać ich na to.

Oto są niektóre częściej używane poetyckie zwroty: „dźwięki krzyku podnoszą się do wierzchołków topoli“; „echo szczekania psów roznosi po otaczających górach“, „łzy cieką po kolei to z prawego to z lewego oka i padając na kolana lub na obuwie, lub na ziemię, wydają dźwięki, jakie robi ulewny deszcz“. Nieraz zamiast łzy z lewego oka mówią „lewe łzy“. W patetycznych chwilach lewe i potem prawe kolana odmawiają posłuszeństwa i stać człowiek nie może. Ręce też bezwładnie się opuszczają i śpiewający nie może wiosłować, zapytuje: „jakże ja przez rzekę przejadę?“ Zasmuconemu gardło się ściska, bierze wodę, ale nie może jej wypić, wylewa mu się ona na ziemię. Pod wpływem uczucia wstydu kobieta nie chce patrzeć na ludzi i pyta się, gdzie skryje swoje oblicze? „Morze i noc nazywają wielkimi, ścieżkę — szeroką i powróż — „potrójnie zwitym“. Swą kochankę porównywa poeta z kwiatkiem irysu, który Gilacy uważają za najpiękniejszy z kwiatów swego rodzinnego kraju. Policzki kochanki są porównywane do kory brzozy, bo biała i lśniąca cera jest oznaką piękności. Głowę ukochana skłania na jeden bok — wyraz gilańskiej kobiecej gracyi. Jej warkocz jest rozpleciony. Z tęsknoty kochanek nie wie co robić, — myśleć nie chce i zapytuje co ma robić, ani jeść, ani kłaść się, ani spać, ani pracować nie ma ochoty i „ciebie jedną uczyniłem przedmiotem swych chęci“. „A ty, woła, czy pamiętasz o mnie, gdy dokoła ciebie dużo ludzkich oczu“?

Dopuszczalne są i żartobliwe, nie obrażające zwroty: O wiosłującym mówi kochanka przesadnie, że uderza za każdym nachyleniem się naprzód i w tył o ławeczki łódki — z taką siłą wiosłuje. Innym razem poetka prosi, by ulubieniec jej szedł ostrożnie po podłodze jurty i nie zламаł desek, bo gdy szedł z brzegu morza do mieszkalnych domów, to nogi wciskały się do połowy goleni w piasek, a więc z nadzwyczajną siłą i pewnością, co jest cechą śmiałych i słynnych myśliwych. Żarty bywają i więcej ostre np. „pókim słyszała tylko twój głos, wydawałeś mi się dobrym człowiekiem, a gdym ujrzała oczami,

to przestałeś mi się podobać". Mężczyzna zaś wyśmiewa war-kocze swej ukochanej porównywując je z pałeczkami zastępu-jącemi widelce, i dodaje „nie uśmiechaj się do mnie, nie mru-gaj i nie patrz na mnie, bo ja inną kocham". Inny mówi, że nogi ukochanej są „cienkie jak u komara", a „twarz płaska jak deska". W opisach przyrody spotkać można też obrazo-wość, nieużywaną w języku prozaicznym. Np. mętną wodę w rzece porównywią z zupą z mięsa, szybkość potoku — z obręczem, którym dzieci i młodzież lubią grywać latem. Duża wieś jest podobną do gęstego lasu, czysta polanka wśród za-rośli do rozpostartej maty. Drzewo, do którego zostały przy-wiązane psy podczas jazdy, kołysze się i nagina wierzchołkiem do ziemi i t. d.

Poecie gilackiemu brakuje wielu cech, któreśmy przyzwy-czaili się uważać za nieodłączne u nowoczesnego twórcy lite-rackiego. Brak mu wrażliwości na cudze bóle i smutki, zrozu-mienia cudzej duszy. Zaledwie w kilku piosenkach udało mi się napotkać zwroty, w których poeta maluje stan duchowy innych ludzi. Życie prostsze, równiejsze, brak podziału na klasy i róż-norodne warstwy społeczne, nie daje materiału do odczuwania nieszczęść społecznych, niesprawiedliwości wynikających ze ście-rania się dwóch różnych światów w jednym narodzie. Poeta nie wyrasta nadmiernie z pośród swego otoczenia i nie czuje się duchowo osamotnionym i niezrozumianym. Nie męczą go py-tania nierozwiązalne o celu życia, nie zna on sporów dwóch różnych pokoleń, dwóch kierunków duchowych. Poeta nie uczuwa tęsknoty do swego rodzinnego otoczenia, nie jest oderwanym od życia, do którego przyrósł, nie czuje się wyrzu-cony na nieznane fale morza ludzkiego. A więc niema wśród pierwotnego plemienia poetów-tytanów, którzy by przodowali mu w ideowej walce o nowe zasady życia i podnosili gorący protest przeciw niesprawiedliwościom, zsyłanym przez ślepy i często okrutny los. Poeci Gilaccy są nieraz jeszcze więcej przesiąknięci biernym stosunkiem do otaczających zjawisk ży-ciowych, niż przeciętny człowiek ich plemienia. W miłości np. inni rozcinają trudny węzeł śmieiej, bo porywają ukochaną chociażby należącą już do innego i narażają się na dłuższe kłótnie i czasem krwawy porachunek; poeci zaś wzdychają, śpiewają, tęsknią, lub kończą romans wspólnem samobójstwem. Wybitny poeta gilacki jest jednocześnie albo szamanem albo

bardem, pieśniarzem swego plemienia. Jest to natura wybrana, władająca pięknym, dźwięcznym głosem o większej nad przeciętną skalą, dużą pamięcią, odznaczająca się ruchliwością i wrażliwością posuniętą do histeryi, lub skłonnością do samotności i zamyślenia się; zdolna do ekstazy, wierząca w swe posłannictwo i lubiąca je więcej ponad inne zajęcia, połączone z materialną stroną życia.

Chcę dać tutaj kilka sylwetek poetów-pieśniarzy, z którymi się bliżej żyłem. Zacznę od mego pierwszego przyjaciela Niśpajna. Poznałem go jeszcze jako chłopczyka lat 14—15, gdy oprowadzał swego starego ojca na wpół żebraka, na wpół szamana, (w którego swoi mało wierzyli) po wioskach zamieszkałych przez osiedleńców. Skromnie siadał on na podłodze izdebki, do której puszczano szamana, by powróżył o przyszłości ludziom stęsknionym do lepszej doli. We wszystkich blagowaniach ojca nie brał żadnego udziału i mnie się zdawało, iż jego rzetelna natura wstydziła się tego narzucania się i jawnego oszustwa. Po kilku latach Niśpajn wyrósł na młodzieńca zgrabnego, i nadzwyczaj wrażliwego. Po śmierci ojca rozpoczął swą karierę barda... Nie miał stałego mieszkania, bo nie pogodził się z jedynym starszym bratem, przechodził natomiast z jurty do jurty, gdzie go żywiono w zamian za odbywające się nocami opowiadania podań, legend, śpiewanie poematów i pieśni. Zamieszkał on i u mnie, by podyktować mi znane mu utwory ducha swego szczepu. Charakter miał tak łagodny i subtelny, jak dobrze wychowana, uczuciowa panienka. Życie po cudzych domostwach nauczyło go zależności i usuwania swej jaźni na plan drugi, do czego Gilacy w ogóle są bardzo mało zdolni. Nie miałem też z nim najmniejszego kłopotu. Dyktował opowiadania dobitnie, z wielką uwagą, używając wyrazów barwnych, zawsze zachwycających jego współrodaków. Zapalał się podczas tej pracy tak, iż ja czułem się wyczerpany zawsze wprzód od niego i przerywałem, potrzebując odpoczynku. On zaś rozentuzjazmowany szedł do kuchenki, lub usiadał u mnie na podłodze, i rozpoczynał swą ulubioną muzykę na niedużej — drewnianej lub żelaznej drumli, które zawsze miał przy sobie w zanadrzu. Drżące, ciche, najczęściej żałosne tony odpowiadały jego rozmarzonej duszy. Nigdy mi nie opowiadał o swych planach gospodarczych, które zwykle absorbują już młodzieńca-Gilaka. Znałem za to cały szereg jego romansów,

które go do głębi poruszyły i w każdej danej chwili stanowiły główną treść jego biednego życia.

... Akan! poradź mi, — zwrócił się razu jednego do mnie, przyszedłszy w gościnę po długiej niebytności. Jabyłm chciał się ożenić z Rosyanką. Dalej wyjaśnił mi, że już od kilku lat zna dobrze dziewczynę — chromą, córkę osiedleńca z dalszej wsi, u którego i ojciec się zatrzymywał i on nocuje, podczas przejścia z doliny Tymi (gdzieśmy obaj mieszkali), na brzeg morza. Zawsze była ona dla niego grzeczną i uprzejmą, wyróżniając się tem z pośród innej młodzieży osiedleńców, która zawsze gotowa jest skrzywdzić Gilaka lub złośliwie z niego żartować.

Wskazałem całą niedorzeczność jego zamiaru i wreszcie powiedziałem mu, że dla połączenia się w małżeństwo potrzebna jest wzajemność dziewczyny. Upewniał mię wówczas, że mocno wierzy w jej przywiązanie i że ma na to niezbite dowody. Gdym zaś podawał je w wielką wątpliwość, przyznał się z nieśmiałością dziecka, że chroma biała przyjaciółka pocałowała go w twarz, gdy zostali w izbie sam na sam. Ta pieśszczota, stosowana według obyczajów Gilaków tylko do małych dzieci a w związku mężczyzny i kobiety mająca miejsce tylko w chwilach największego zbliżenia, niedopuszczalnych dla cudzego oka, paliła młodego marzyciela, wzburzyła całą jego istotę. Udało mi się wyjaśnić znaczenie pocałunku u rasy białej i przekonać go, że córka osiedleńca wykazała więcej swawoli niż prawdziwie głębokiego uczucia.

Wkrótce też zapomniał już o powabnej cudzoziemce i zakochał się w młodziutkiej żonie jednego z dobrze mi znanych Gilaków. Znowu przybiegł do mnie na poradę. Chciał się ochrzcić ze swą ukochaną, by takim sposobem uniknąć możliwej walki i napaści ze strony męża i jego krewnych, w razie gdyby porwał i uwiódł do siebie przedmiot swojej sympatii. Zabroniłem mu stanowczo tego wykrętu, któryby nałożył w oczach jego plemienia piętno już niezatarte, będąc też pewnym, że żaden kościół chrześcijański nie może się szczycić nabytkiem członka, co stracił cnoty swojej uprzedniej wiary, a nie przyswoił zalet nowej. Wkrótce młody poeta zmarł przedwcześnie, a przyczyną była znowu kobieta. Według obyczajów Gilaków po śmierci starszego brata stał się właścicie-

lem jego żony. Od niej Niśpajn nabawił się ciężkiej choroby i poszedł wkrótce za swym bratem w smętną krainę „Mlywo“.

Drugi — bajarz, pełny natchnienia i zamięłowania do poezyi, którego bliżej poznałem, był dopiero podrastającym młodzieńcem lat 15—16, nazwiskiem Koinyt, który po kilku latach stał się czarodziejem, mającym stałe stosunki z dobrymi i złymi bogami za pośrednictwem swych pomocniczych „szamańskich“ duchów. Biednego sierotę krewniacy przysłali pewnej głodnej zimy do mnie i mego przyjaciela i towarzysza zesłania P. L. Szternberga, który mieszkał wówczas ze mną i równocześnie pracował nad filologią i folklorem Gilaków. Ponieważ u mnie już mieszkał rówieśnik Koinyta, mój uczeń Indyn, więc obaj czuli się nadzwyczaj zadowoleni. Koinyt wyładowywał codziennie ogromne zapasy swej bogatej pamięci, dyktował pieśni, podania, objaśniał pojęcia religijne i obyczajowe swego szczepu tak, jak słyszał od swego zmarłego ojca, znakomitego niegdyś szamana. W przerwach bawił nas muzyką, pokazywał jak kobiety gilackie tańczą, jak zabawiają dzieci i t. p. Wszystkie jego opowiadania były połączone z odpowiednimi giestami, trudno mu było wysiedzieć spokojnie nawet przez kwadrans. Zdolność do naśladowania miał tak wielką, i potrzebę jego stałą, że miejscowy młody lekarz zauważywszy to — przychodził do mnie umyślnie by robić doświadczenia, nie dając tego poznać młodemu poecie i przyszlemu szamanowi. Koinyt uważnie przysłuchując się mojej rozmowie z lekarzem — zakładał tak samo nogi, robił te same ruchy, zapalał tak samo papierosy, i jednako wypuszczał dym i zawsze robił to bezwiednie, ale z wielką dokładnością. Niejednokrotnie ucieszył mię szczerze, gdy chodził za mną takimi samymi krokami po pokoju — zakładając tak samo jak ja ręce w tył, to krzyżując je na piersi, lub siadał u stołu podparłszy głowę na łokciu i robiąc podobną do mojej zamyśloną minę. Nie wiem tylko po czem on w tych chwilach tęsknił. Na każdy mój śmiech odpowiadał bezgraniczną wesołością.

Gdy był swobodny wieczorami, kładł się na podłodze w ciemnym pokoju i śpiewał godzinami poematy piękne i długie — swemu przyjacielowi Indynowi lub komu z nocujących u mnie Gilaków. Razu jednego późnym wieczorem zbudził się ze snu, wskoczył i przeraźliwie krzycząc i machając rękami począł improwizację. Zbladły z wyrazem przerażenia, a nawet

bolu robił wrażenie nieprzytomnego, a jednak towarzyszył Indyn wszystko rozumiał; był to nowy poemat stworzony wybujałą jego fantazją. Gdy zmęczony, wyczerpany niezwykle wysiłkiem nerwowym upadł na swą pościel, Indyn objaśnił nam: „Już teraz napewno Koinyt nie będzie zwykłym Gilakiem, „Kiechn“ (tj. duch szamański) zmusza go być mu posłusznym“. W kilka lat później młody pieśniarz zdobył uznanie i sławę szamana; również wykształcił się jako bajarz i dawał mi znać gdym wyjechał już z Sachalinu, że gotów jest przyjechać do mnie do Władywostoka, by podzielić się nieznanymi mi podaniami, pieśniami i skomponowanymi przez niego nowymi poematami.

Dar improwizacji jest cechą każdego utalentowanego poety gilackiego. Pamiętam jeden zimowy wieczór na Sachalinie, gdym w roku 1899 zamierzał porzucić to miejsce mego zesłania i przyjechałem do wsi Rykowskiej pożegnać się z ludźmi, z którymi przeżyłem lat 12. Kilka poetek gilackich wśliznęło się do pokoiczku, gdzie się zatrzymał i układał w wilię odjazdu rzeczy i podyktowały mi pożegnalne pieśni tutaj przy mnie skomponowane. Jedną z nich starszka, nadzwyczaj rozumna, poważna matrona kierująca sporą rodziną, a nawet i mężem, dzielnym rnyśliwym i rybakiem, ale człowiekiem słabego charakteru i ustępującym we wszystkim swej mocnej duchem małżonce. Wiedziałem o niej, że w młodości tworzyła, pieśni jej kursowały wśród Gilaków, miałem i ja zapisanych kilka, lecz od niej samej nigdy nic usłyszeć nie mogłem. Nie licowałoby to z jej powagą, gdyby się zajmowała takimi drobiazgami, jak pieśni. Musiałem nawet zawsze pamiętać, by czasem nie przeczytać którą z jej piosenek w obecności jej synów, bo i ci czuliby się bardzo zawstydzonymi. Dla uniknięcia przykrej sytuacji i dla siebie i dla mogących się obrazić Gilaków, na marginesie każdej piosenki zapisanej musiałem notować i imiona tych, przed kim powinna ona być zatajoną.

Poezyję swoją Gilacy bardzo lubią, lecz uprawianie jej zawodowe pozostawiają jednostkom niezdolnym do życia praktycznego, nieumiejącym zdobyć powodzenia i materialnych wygód. Razu pewnego zanocowałem u mnie bogaty na całą okolicę Gilak; byłem rad, że uda mi się zapisać piosenkę, któraby charakteryzowała gust dobrze się mającego i prosperującego w życiu człowieka. Lecz na moje usilne prośby Gilak na wpuł

ucieszony — na wpół obrażony roześmiał się i dał mi porządną nauzkę.

„...Co ty?! — Co ty — mówił mi, rozpytuj się u mnie, jak, kiedy i gdzie łowić rybę, polować na zwierza, o hodowli psów, budowie jurty letniej i zimowej, to ci opowiem, ale te bzdurstwa mojej głowy się nie trzymają. Ja nawet się dziwię, że ty, taki rozumny człowiek, a tymi głupimi pieśniami się interesujesz.

Przestała też czuć pociąg do poezyi niegdyś młoda, wypieszczona w domu bogatej rodziny Gilaczka, która w pieśni groziła, że się udusi powrozem we troje zwitym, jeżeli przyjedzie po nią nielubiony narzeczony, przeznaczony przez jego i jej rodziców. Wyszedłszy za wybrańca swego serca, poetka przejęła się misją żony, matki, gospodyni tak gorliwie, że zasłynęła, jako dzielna, pracowita, gospodarna głowa rodziny. Była tak wymagająca od innych kobiet, że dwie jej synowe uciekły, nie mogąc zadość uczynić stawianym ideałom skromnej i niczem oprócz pracy dla domu niemyślącej — cnotliwej kobiety. Los słabej pięknej połowy rodu ludzkiego jest tak ciężki u Gilaków, że indywidualne cechy kobiet zacierają się, nikną. Te zaś, co się nie dają zgnieść i zupełnie podporządkować wymaganiom surowego patryarchalnego rodu gilackiego, uciekają od życia ziemskiego, wierząc, że w innym nieznanym świecie będą odrobinę szczęśliwsze.

Jednakże znałem dwie kobiety, które po zamążpójściu zachowały swe upodobanie do poezyi. Obie były bardzo biedne, i już dlatego nie zażywały wielkiego szacunku u rodaków. Życie szczególnie jednej z nich było nadzwyczaj gorzkie. Obiecana przed śmiercią ojca jego przyjacielowi, mogłaby być córką swego starego męża, który wychował ją i jej rodzeństwo, lecz prędko zniedołężniał i nie był zdolny do pracy. Ponieważ ród jego na Sachalinie wymarł, więc nie miał od swoich pomocy i prowadził żywot żebraka. Nieszczęsna kobieta nie tylko pracowała o ile mogła na swego niezaradnego męża, lecz miała zawsze dużo kłopotu z rodzącymi się, ale niedługo żyjącymi przy ich nędzy dziećmi. Pomimo swych smutnych przeżyć zachowała subtelność uczuć, łatwość unoszenia się ponad otaczające ją życie codzienne na skrzydłach swej fantazyi, dobrą pamięć i piękną wymowę. Ona nie tylko nie wstydziła się swego stałego obcowania z powiewną Muzą, lecz uważała to za swą

chlubę, wyróżniającą ją z pośród innych kobiet przywiązanych niejako do ciepłych i sytych ognisk domowych. W swej pożegnalnej piosence, skomponowanej w wilię mego odjazdu nie zdradziła się ani jednym słowem, że żałuje mię jako człowieka „karmiciela i dobroczyńcę“, co było głównym motywem w pieśniach dwóch innych staruszek. A wszak dla żony żebraka nie-duża pomoc materyalna z mojej strony miała większe znaczenie, niż dla jej lepiej uposażonych towarzyszek. Wypowiadała swe przekonania, że ona i Gilacy będą mię częściej wspominać, przechodząc mimo mego domku, w którym już inni obcy dla nich zamieszkają, a ja w dali od nich, mając w około siebie dużo nowych znajomych, zapomnę i nie będę wiedział, czy kto z nich zamarznie, lub z głodu umrze. Jedyny sposób przypomnienia sobie mych przyjaciół to zapisane pieśni i prosi mię, bym je czytał w różnych miastach, młodym i starym, bym „pokazywał jej duszę, ale bez ciała“.

Wkrótce ziściły się życzenia mej poetycznie nastrojonej przyjaciółki. Wyjeżdżałem z Sachalinu zimną porą, by przedostać się przez zamarzną cięśninę Tatarską na stały ląd do miasta Nikolajewska, leżącego u ujścia rzeki Amura. Po drodze zatrzymywałem się w każdej osadzie gilackiej, by się zapoznać z jej mieszkańcami, ale przeważnie by zadowolnić życzenia ich i przeczytać im zebrane przezemnie podania i pieśni. Nigdy nie będę prawdopodobnie miał więcej wdzięcznego audytorium. Gdy rozpoczynałem swą rolę gilackiego barda otoczony gęstą masą więcej ciekawych młodzieńców, zaglądających do dziwnych dla nich znaczków, które miały odtworzyć ich rodzinną mowę, głęboka cisza zapanowywała w jurcie. Starzy wyteżali słuch wyciągając szyję, lub stopniowo w czasie czytania zbliżając się do mnie, kobiety przerywały swe czynności gospodarcze, uspakajały dzieciaków i zdziwione nie spuszczały z oczu ani jednego ruchu mych ust. Barwne jaskrawe ustępy wyzywały homeryczny śmiech i szczerą radość, przerywane wykrzykami zachęty i pochwały. Podniecenie słuchaczy było tak wielkie, iż zupełnie zapomniano o gasnącym ogniu, o potęgującym się na zewnątrz chłodziu, lub o gwizdzącej i grożącej zasypaniem chaty śnieżnej zawierusze. Podróż moja, którą zwykle odbywają w ciągu 5—6 dni, trwała całe dwa tygodnie. Po ukończeniu jej, gdym się zamyślił nad ukończonym już 12-letnim okresem swego życia, i nad otwierającą się nademną niepewną

drogą, gdym przypomniał kilka ostatnich wypadków odmowy przyjęcia odemnie jakiegokolwiek wynagrodzenia za rybę, herbatę i nocleg, ponieważ uważano mię za swego rzetelnego Gilaka — chciałem przez chwilę wrócić do zasypanego w ciągu pół roku śniegiem smutnego kraju, do mych wymierających — zgębionych przyjaciół i nieść im tę pochodnię, która oświecła i ogrzewa ciemne i zimne ścieżyny życia ludzkiego.

Zbyt słabe były me duchy opiekuńcze, które, według twierdzeń Gilaków, są dane ich pieśniarzowi-poeecie. Pociągnęły mię inne cele, widoki i przyjemności szerszego życia. Zostali zaś wierni swemu powołaniu ci, którzy wybrani przez ślepy los, rozstają się z życiem, skoro ich opuści opieka ducha, kierującego ich twórczą fantazją.

Duch, który daje natchnienie poetyckiej improwizacji, znajduje się na samym końcu języka i łatwo może ulecieć zrobiwszy tem ogromną szkodę pieśniarzowi. Dla tego słuchacze poczuwają się do obowiązku wciąż go podniecać wykrzykami.

Niezatarte wrażenie zostawiła w pamięci mej jedna noc podczas podróży z południa Sachalinu na północ. Jechaliśmy na dwóch łódkach ja, trzech Oroków i czterech Gilaków po rzece Poronaj, rozpoczynając jazdę od jej ujścia. Już 12 dni byliśmy w drodze, zatrzymując się na dwie doby z powodu deszczu. Zbliżyliśmy się wreszcie do najbliższej osady rosyjskiej, skąd już dalej wędrówkę można było odbyć pieszo. Postanowiliśmy jednak przebyć i tę ostatnią noc w gęstym lesie jodłowym, korzystając z pięknej lipcowej pogody. Obawiano się jednak bliskiego sąsiedztwa osiedleńców, możliwości zjawienia się włóczęgów lub złodziei i postanowiono nie spać, dopóki nie zacznie świtać. Po kolacyi rozmowa, którą prowadziliśmy, stawała się coraz mniej ożywioną i już niektórzy z nas zaczęli zasypiać, siedząc — zmęczeni całodzienną pracą. Wówczas przyszła komuś myśl, aby skłonić młodziana umiającego wiele poematów do śpiewania ich, i w ten sposób rozprószyć ogarniającą wszystkich drzemkę. Pieśniarzowi urządziliśmy mały namiot, kilku usiadło obok niego, inni usadowili się przy wejściu do namiotu. Tylko ja i jeden z Oroków, który nie rozumiał po gilacku, mieliśmy spać pod dużą jodłą. Wkrótce zasnąłem przy monotonnym, gardłowym śpiewie Gilaka. Budziłem się często i za każdym razem dolatywały do mych uszu

to donośne recytatywy, lub pełne grozy zawodzenie śpiewaka — to znów okrzyki zachwyty słuchaczy, gdy śpiewający zniżał ton i na sekundę robił pauzę, by nabrać do płuc powietrza. Noc już pierzchła, na wschodzie ukazały się smugi światlejszego nieba. Ja i Orok krzątaliśmy się około przygotowania herbaty, a nocny koncert wciąż jeszcze trwał bez wszelkiej zmiany. Zamyśleni słuchacze nie zwracali na nas najmniejszej uwagi, przejęci szczerze losami bohatera, o którym śpiewał młody Gilak, leżący pod namiotem na plecach z podłożonymi pod głowę rękami. Gdy wreszcie pieśniarz wyczerpanym głosem dośpiewał ostatnie słowa epilogu, podniósł się błądy ze zmęczenia i wzruszenia, milcząco wypił herbatę i nie prędko rozpoczął rozmowę ze mną i ze swymi towarzyszami. Zdawało mi się, gdym mu się przypatrywał, że on wciąż jeszcze żyje wśród tych nadzwyczajnych awantur, cudownych zdarzeń i zjawisk, ciężkich smutków i niebezpieczeństw, których jest pełne życie opiewanego w poematach zwykle samotnika-bohatera.

Niżej podaną pieśń samobójczyni prześpiewała mi jedna staruszka, którą uważano nawet za szamankę, pewnego lata, gdym zanocowałem u mieszkających w pobliżu odemnie Gilaków. Wszyscy się poukładali już do snu, rozciągnawszy się na szerokich pryczach, przykryci odzieżą przeważnie tą samą, którą we dnie byli ubrani. Ogień na ognisku zgasł. Światło młodego księżyca przedostawało się przez otwór dymowy w dachu i oświetlało kilka głów leżących na krawędzi prycz. Jedna z leżących postaci rozczochrana — siwowłosa (bo staruszka nosiła żałobę po mężu i nie spletała warkoczy) zaczęła głośno-rytmicznie śpiewać; „Milk ruwun lund“ (siostra Milka śpiewa), szepnął mi leżący koło mnie młody mój przyjaciel. Rozmowy, które do tej chwili dawały się słyszeć, to w jednym to w drugim kącie szczelnie wypełnionego mrowiska ludzkiego, ucichły. Z zapartym oddechem łowiono donośne śpiewanie, czasem tylko zniżające się do cichego szeptu, lub upodabniające się do przytłumionego i przeciągłego płaczu. To z jednego, to z drugiego kąta odzywały się wykrzyki zachęty, wskazujące śpiewaczce, że słuchacze nie śpią, interesują się jej śpiewem. Te bodźce widocznie na nią działały, bo śpiew nabierał siły, sprężystości, tempo się przyspieszało, cieniowania były jaskrawsze, wyrazistsze. Księżyc już zaszedł, znikły cienie i smugi nikłego światła, padające na środek jurty. Przez otwór jej mo-

głem widzieć kilka migających się gwiazdek na skrawku czy-
stego ale ciemnego nieba. Żałosne tony wychodzące z piersi
staruszki odbijały się o dach niedużej jurty i opadały na pół-
kole ludzkich głów, zwróconych ku ognisku. Natężona uwaga
nie słabła, dochodziły do mnie słabe westchnienia więcej czu-
łych słuchaczy. Ukołysany jednostajną melodią przeciągłego
śpiewu — łagodnym szmerem pobliskiego bystrego potoczku,
jakby spieszącego w objęcia spokojne swej matki-rzeki, przy-
słuchując się zrywającemu się chwilami jedwabnemu szelestowi
wierzchołków olbrzymich topoli, zasnąłem, nie umiając dotrzy-
mać kompanii mym dobrym gospodarzom.

Nazajutrz uprosiłem nocną koncertantkę aby podyktowała
mi pieśni, która dała słodki pokarm душom spracowanych
połowem ryb jej krewnych. Usiedliśmy pod krzakami dzikiego
bzu, otoczeni zaciekawionymi, zamorusanymi dzieciakami i oto,
com zapisał ze słów staruszki-śpiewaczki.

Na brzegu morza w miejscu, gdzie teraz wyrosła najwięk-
sza osada rosyjska, tak zwany Aleksandrowsk, niegdyś wśród
gęstego lasu modrzewiowego stało kilkanaście jurt gilackich;
była to wieś Rui. Lat temu 50, śpiewaczka, będąc 10-letnią
dziewczynką, żyła tam u krewnych i zaprzyjaźniła się z młodą
zaledwie 15 lat liczącą kobietą, żoną jednego bogatego Gilaka.
Zaprzędana od dziecka musiała żyć z człowiekiem, który był
dla niej wstrętnym. Nie umiała ukryć swej niechęci do męża,
który się gniewał i nawet parę razy ją uderzył. Nie mogąc li-
czyć na pomoc swych krewnych, bo ojciec porzucił ją i matkę
jej zupełnie, postanowiła się powiesić. Przed śmiercią zebrała
swe towarzyski, przeważnie niezamężne dziewczynki, i prześpie-
wała im swą smutną pieśń łabędzią. Tego samego dnia prze-
cięła swą krótką a ciernistą drogę życiową. Oto pieśń ta, jak
ją zapamiętała szamanka :

Pieśń młodej samobójczyni¹⁾.

— Jest jedno drzewo modrzewiowe równe i wysokie.
Gdy poszła po trawę, którą wkłada się do obuwia,
Drżało drzewo moje od wierzchołka, aż do korzeni
I po ziemi smagało swemi długimi gałęziami.

¹⁾ Pieśń podaje w opracowaniu literackim p. C. D.

Na szczyt jego popatrzyłam w górę.
 Tyś już podobne do mrącego człowieka.
 Jeszcze dzisiaj patrzę na ciebie, lecz to już koniec.
 Zda mi się, że ciągle na mą szyję patrzysz,
 Może wiesz, że na potrójnie zwitym sznurze chcę się powiesić na
 [tobie.

Kapią łzy z oczu i w ziemię padają...
 Niatyn hoško! ¹⁾ (ach je-jej!)
 Odwróciłam się, by powstrzymać głośny płacz.
 Lecz znowu płynęły łzy i padły na ziemię.
 Snop trawy, który zezełam, rozwiązał się z szelestem.
 Nasmarzyłam na ogniu ryby, chciałam jeść,
 Lecz w gardle mię ścisnęło i jeść nie mogłam.
 Zgotowałam też herbaty, pić chciałam —
 Lecz ani pić, ani jeść nie byłam w stanie.
 Pójdę z powrotem, do domu wrócę — wejdę do jurty,
 Wciąż o tem myślę, że zabić się muszę.
 Jedną chęć tylko uczuвам — by się uwiązać u swego modrzewia.
 Yj-je-je-hoško! (Ach je-jej!)
 Moja starsza siostra nie zechce mię puścić:
 Nie mów ty mi, że mię szkoda. Swój mały nożyk wezmę, gdy się
 powieszę... ²⁾

Lewy warkocz rozwiążę i na grzebieniu siadę³⁾.
 Tak zabiję się.
 Moja matka i siostry jej, i żony stryjów moich,
 Gdy o mnie usłyszą, płakać będą i przyjdą tutaj by mnie zobaczyć.
 Z Mli-wo ⁴⁾ już tylko głos mój usłyszą.
 Przysłuchiwać się będą jak ja płaczę i śpiewam.
 Gdy gardło mnie zaboli, ukręcę fujarkę trzcinową i grać będę.
 Słuchajcie moich smutnych pieśni!
 Yj jaje hoško! (Och jee-jej...)
 Wbrew dotychczasowym nawyknieniom, do Mliwo jedynie myśli swe
 [kieruję...

Uj jaje hoško! (Ach jee-jej!)
 Gdy rybę przyrządzicie, sami ją jeść będziecie,
 To zadowolenie waszem już tylko będzie ;

¹⁾ Okrzyk smutku w utworach lirycznych.

²⁾ Nóż bierze z sobą samobójca — by przeciąć sznur i oswobodzić swą duszę.

³⁾ Samobójczyni chce wziąć z sobą grzebień, jako rzecz niezbędnego codziennego użytku.

⁴⁾ Nazwa zagrobowego świata, znajdującego się w ziemi.

Moje zaś wnętrzności żaby ¹⁾ napełniać będą.
 (Yj jaje-hoško!) Och jee-jej! —
 Moja droga Matula zapłakała i wyszła z domu.
 Czemu mnie tak żałujesz Matko?
 Znow zapłakała i do jurty weszła.
 Ale z tęsknoty za mną nie powiesi się ona — siebie jeno żałuje
 [płacząc.

Jadąc tu do mnie tak śpiewać będzie:
 »Przeciw biegowi bystrej wody popłynę,
 by swą córkę zobaczyć —
 Gilacy mię powiozą —
 (Yj-jeje-hoško!) Och jee-jej!
 Głos mego płaczu rozlegnie się w dolinie
 I wyżej i niżej słyszeć mię będą.
 We wszystkie strony echo się rozbiega,
 Wewnątrz gór i pod niemi się odbija.
 (Yj jeje-hoško!) Och jee-jej!
 Powiozę ją z sobą sukę moją Tlacr ²⁾
 i na córki mej grobie zabiję.
 (Yj jeje hoško!) Och jee-jej!
 Ni jeden pies mi już nie zostanie.
 Biedna jestem:
 nie mam w co przystroić córki —
 (Yj jeje-hoško!) Och jee-jej!
 I jadła niema na stypę pogrzebną,
 i materyi nie mam by uszyć córce nową suknię,
 Nic nie mam.
 (Yj jeje hoško!) Och jee-jej!
 Mąż mnie porzucił — nie miałaś ty ojca,
 Samam cię chowała — sierotę.
 Jakże trudno było wychować moje drogie dzieciątko!
 (Yj jeje hoško!) Och jee-jej!
 Sama musiałam chodzić szukać pożywienia,
 bo ojciec ją porzucił.
 Chodziła wszędzie, by przynieść cokolwiek
 i nakarmić dzieciątko.
 Ciężko ją było wychodować.

¹⁾ Gilacy wierzą, iż samobójca chodzi, błąka się po błocie i żywi się żabami.

²⁾ Nazwa psa.

(Yj jeje hoško ! Och jee-jej!
Wzdłuż rzeki jeżdżąc do wiosek wyżej i niżej położonych
zbierałam kęski do misy swojej — robiąc ją cięższą
i tem swe dziecko karmiłam.
(Yj jeje hoško!) Och jee-jej!
Hodowałam na to, by oddać błotnistej wodzie.
(Yj jeje hoško!) Och jee-jej«...

Chciały się krewne moje o mnie czegoś dowiedzieć —
teraz się prawdy dowiedzą, że w Mly-wo przebywam
stamtąd mój głos usłyszą.
Ty siostro moja starsza, weź zamiast mnie psa — któremu wy-
[karmiła,
Psa, który ma każde oko innego koloru.
A zawiadam krewnych moich, żem się zabiła.
A wy ojcowie moi, kociół, który za mną dali — trzymajcie,
bo wiem, że mąż i jego krewni zechcą go odebrać
Od was po mojej śmierci ¹⁾
Nie oddawajcie go! —
Siostro, tam, gdzie mię pogrzebiecie, rzućcie za mną kolczyki duże!
Wszak więcej nic nie mam, cobym z sobą wziąć pragnęła.
Nożyk mój, którym rybę sprawiałam, rzućcie też na mą mogiłę,
[złamawszy go.

Oto już pojedę dalej. Do łódki usiadłam, a kolana gną się podemną.
Na dziobie łodzi ustać nie mogłam.
Moja cieniuchna żerdka łozowa gnie się, gdy się nią podpieram.
Słuchaj ojczy, gdy jechać będę, usiądę w łódce i zaśpiwam.
Chyba mię dzisiaj pożalujesz — gdy się zabiję.
Nie zobaczysz ty mię więcej. Jutro już żyć nie będę.
Lewy warkocz rozplotę i zamyślę się
Igielnik pod siebie podłożę — a nożyk podejmę
i przywiążę do sznura, na którym zawisnę.
Głos mego szlochania w dalekich górach oddźwięczał.
Lewą rękę podnoszę i łzy wycieram...

¹⁾ Za samobójczyńnię mąż zapłacił rodzicom jej rzeczami. Między innymi zwykle dają kociół czugunny. Mąż widocznie gotów był odebrać napowrót, bo był niezadowolony z żony i nie wyzyskał jej pracy.

— Słuchaj matulu droga, gdy umrę, śpiewaj i opowiadaj o mnie
 Stawiając mię za przykład dzieciom i podrastającym dziewczętom.
 A ja tak nie chcę iść w te błotniste wody,
 Choć o nich wciąż myślę, gdy z domu wychodzę lub powracam...
 Jak mi smutno żyć! Zagrodzona już droga moja.
 Chodzić będę wzdłuż i w okół jezior, szukając żab jako pożywienia.
 A kroki moje wydawać będą łomot jak grzmoty.
 Żaby zamiast ryb łowić będę i wiecznie zgłodniała, żywić się nimi
 [będę.
 Bez rąk i bez nóg tułać się po świecie muszę wiecznie!')
 (Yj jeje-hoško!) Och jee-jej!

Staruszka ukończyła smutną pieśń i wpadła w głęboką
 zadumę. Wszyscy obecni byli wzruszeni i nie przerywali jej
 milczenia. Raptem zdaleka doniósł się słaby krzyk, prawdopo-
 dobnie jakiegoś ptaka. Wszyscy z otaczającej mię grupy poru-
 szyli się, podnieśli głowy i wyteżyli słuch — po chwili doszły
 mych uszu dobitnie, lecz szeptem wymówione słowa jednego
 z podrostków:

„Słuchajcie! i teraz krzyczy ta kobieta!”

Nieraz potem, gdy mi się zdarzało podczas przyjazdów
 i wólczeży po dzikich lasach Sachalinu usłyszeć jakiś nieokre-
 ślony oddalony dźwięk, przypominałem objaśnienie Gilaków:
 zagrobowy protest nieszczęsnych samobójców przeciwko smutnej
 ich doli podczas krótkich dni ich doczesnego życia.

Podaję tu jako przykłady poezji Gilaków jeszcze kilka
 pieśni lirycznych, przetłumaczonych przeze mnie dosłownie i ró-
 wnież, jak i wyżej umieszczona, opracowanych literacko (z bar-
 dzo jednak małemi zmianami, by możliwie blisko pozostać
 oryginału) przez panią C. D., której za łaskawie podjętą pracę
 wyrażam niniejszem me szczere podziękowanie.

* * *

II.

Moje matki i ojcowie moi²⁾

»Zabij siebie«³⁾ mi mówili, gniewając się na mnie.

¹⁾ Odżywienia się żabami samobójca stopniowo traci nogi i ręce.

²⁾ U Gilaków braci ojca nazywa dziecko ojcam, siostry matki —
 matkami.

³⁾ Za zabroniony stosunek z bratem ojca, kazano się zabić dzie-
 czynie, ażeby zmyć grzech.

Ach, dolaż nieszczęsna!
Myśli moje już połową w zagrobowe idą życie,
O, ja nieszczęsna!
Tyś pojechał do Mandżuryi —
A ja siebie zabić muszę —
Ach, dolaż nieszczęsna!
Zamiast mego ciała
Weź kolczyki owe duże, co wiszą nad mą pościelą,
Weź je sobie, i przypomnij... i pożałuj...
Ach, ja nieszczęsna!
Krażki mosiężne, które zdobiły rąbek mej sukni,
Zamiast ciała mego weź na pamiątkę.
Trzymać już więcej nie będę rączki wiad a z kory b zozowej,
Powieszę się nieszczęsna!
Nigdy dłonie moje biedne nie uchwycą już rzemienia,
Którym psy wiązałam...
I nie przylgnie nigdy więcej koromysło do mych ramion...
Ty pojechałeś do Mandżuryi, a ja się zabiję!
Tam gdzieśmy razem chodzili —
Będą teraz dni płaczu i dni ostatnich pieśni.
Poszłam do naszej, małej studzienki,
Którąśmy niegdyś wykopali,
Zaczerpnęłam wody czerpakiem i do ust go podjęłam —
Alem pić nie mogła — wszystko się wylało.
W łonie swoim noszę dziecię — i wstydzę się tego!
Ach ja nieszczęsna!
Bili mnie ojce moi, łąjały matki moje.
Tak do mnie mówili:
»Zabij siebie«!
Tak mi rozkazywali.
Jeśliś mnie bardzo pokochał,
Serdecznie wspominać mnie będziesz...
Weź z rybiej skóry odzienie (leżące w kącie przy wejściu)
Naszyte pięknie — wzorzysto.
Weź też kółeczki z mosiądzu, ozdoby mojej świtki,
Znajdziesz je w sieniach domu.
Jedno i drugie bierz zamiast mnie.
Myśli moje niechętne do Mly-wo jeno ciągną.
Nieszczęsna — zabić się muszę!

III.

Dźwięczą wierchołki topoli...
 Słyszę głosy psów mego miłego,
 Ujadają powyżej wioski.
 Dolatuje mnie szczekanie
 Psów mego kochanka.
 Czemuż posmutniałam ?
 Bo oto, on już powrócił —
 A nie zajrzał do mej wioski.
 Drżą podemną kolana,
 Ustać prawie nie mogę,
 I jako deszcz rześisty
 Łzy na kolana padają,
 Ej, gną się podemną kolana!
 Tu i tam on przyjeżdża,
 A mnie ciągle omija...
 Złović Ciebie nie mogę,
 Nie dosięgnę ja Ciebie
 Poprzez górę wysoką !
 A o Tobie ja słyszę,
 Jeno od obcych ludzi
 Dziś o Tobie mi mówił
 Taki ptaszek malutki,
 Co ze stron twych przyleciał.
 We śnie jenó cię widzę!
 Ty zaś, gdy do dom jedziesz,
 Czyli o mnie pamiętasz ?

IV.

Wierchołki topoli dygocą — dźwięczą,
 Psy zaś Okona szczekają i dzwonią —
 Haj-jaje ! Kaj-jaje ! szczekają i dzwonią.
 Lecz czarnego psa szczekania ja nie słyszę.
 Zaś Okona psy wciąż ujadają, dzwonią,
 Aż wierchołki topoliny dygocą a dźwięczą —
 Po drodze poprzez polanę,
 Mój najmiłszy jedzie —
 Okon, Okon jedzie!

V.

Z boku na bok się kiwając — idzie, idzie Tylinyżna!
 Podobien zgiętemu łukowi: Tylinyżna —
 Na głowie czapka z jelenich łapek —
 Siada do łódki na dno,
 Bo w tej łódce brak deszczułki, aby się u steru —
 Tylinyżna!
 Dojechał do brzegu,
 Wylazł: chodzi, chodzi w okół studni Tylinyżna.
 Podobien zatyczce studziennej
 Tylinyżna...
 Podobny do trawy suchej, nierówno i źle ułożonej —
 O, Tylinyżna, Tylinyżna!

VI.

Na brzegu rzeki siedzi,
 Na trawce miękkiej,
 Obówie na nim nowe,
 Cholewy ze skóry foki.
 Na plecy narzucone
 Ubranie piękne, jedwabne.
 Rykowski chłopiec!
 Ujął mą rękę lewą —
 Puść mnie o proszę, nie targaj,
 Wszak ja pójdę z tobą!
 A czemuś ty mnie wyśmiewał,
 Gdy z tobą wprzód jechać chciała,
 Nie chciałeś mnie wziąć z sobą,
 A teraz mnie niepokoisz.
 Leżysz wygodnie na trawie.
 Ach Tyhlin drogi, miły!
 Pojadę z tobą, pojadę,
 Stanę się dnem twej łódki...
 O, odwiedź ty mnie proszę —
 Do Mopi małej rzeczki!
 Zmienię się w wilkołaka,
 Lub w trawkę się obrócę —
 A jednak pojadę z tobą...
 Za tobą, za tobą, pojadę...

VII.

»Powiedział mężczyzna kobiecie: »zabijmy siebie«. »Nie chcę — odparła — ty mnie oszukujesz«, — chcesz bym ja tylko rozstała się z życiem«. »Zabijmy się razem — oboje umrzemy prosił mężczyzna. Wyszli razem, kobieta się zabiła, a on został żywy. Już po swej śmierci kobieta tak mu śpiewała z Mly-wo, kraju zagrobowego«:

Mężczyźni oszukańcy,
Sama się teraz przekonałam.
»Zabijmy się, umrzyjmy«
Tak do mnie ciągle mówiłeś —
I jam się zabiła — a tyś pozostał.
Słyszałam umierając psów twych ujadanie
I szelest mknących saneczek.
Mężczyźni oszukańcy!
(Teraz już wiem wszystko),
Powtarzałeś mi ciągle:
»Zabijmy się — umrzyjmy«
Boś chciał, bym ja się zabiła.
Słyszałam, słyszałam, jak psy twoje biegły
I unoszących się do domu sanek
Słyszałam płozy skrzypiące!

VIII.

Z bratem ojca razem pojechaliśmy do Mandżuryi.
Przepędziliśmy tam całe dwa lata.
I jeść mi smutno było, i spać smutno!
Gdy z biegiem rzeki Amur wracać będę,
Niechaj wiatr południowy mi pomaga,
Niechaj stanie się psem, ciągnącym mą łódkę.
Unoszony bystrą wodą, krzyzczeć będę: wio! wio!
Na wiatr południowy, jak na psa, goń mię prędzej!
Gdy dojechaliliśmy do ujścia rzeki Siahryn,
Zapomniałem jej nazwy i wuja pytałem.
Wuj odpowiedział na me pytanie: »nie masz pamięci,
Wszak niedawno, prawie wczoraj, przejeżdżaliśmy
Tędy ku górze, a dziś zapomniałeś już i pytasz«.
I gniewał się na mnie, iżem zapomniał.
Każda wioska, którą mijaliśmy, zdawało mi się że jest moją.

I znów mijaliśmy duży zakręt, i zdawało mi się, że to już wieś
[rodzinna.

Lecz znowu się myliłem (Yjut nyahra).
Jadąc do domu wspominam ciągle to co zostawiłem.
Nie! Nigdy już więcej do Mandżurii nie pojedę.
Gdy dojechaliśmy nareszcie do swej wioski
Trzy razy musieliśmy do brzegu podejżdżać
I trzy razy zawracać, szukając głębszego miejsca,
Bo łódka była pełna i ciężka —
Wreszcie zarzuciliśmy kotwicę i zatrzymaliśmy się.
Ujrzało nas pięć kobiet z mojej wioski,
Przejęte radością — na rękach uniosły łódź naszą,
Łódź dziesięcio-metrową zepchnęły z mielizny
I spuściły na wodę. Poczęły szukać wiosł.
Wreszcie koło składu znalazły ich dwie pary.
Moja kobieta chwyciła za wiosło i prawie złamała,
Musiała więc tylko jednym wiosłować.
Gdy zbliżyła się do mnie, tak jej powiedziałem :
»Nie siadaj ty koło mnie, czy piękna jesteś, czy brzydka,
Nie jesteś mi potrzebna. Nie siadaj więc przy mnie.
Wszak wiesz, że na jedną tylko oczy moje patrzają!«
Zatem ona zaczęła rozpytywać o podarunki.
«Czy mi przywozisz srebrny pierścionek,
Srebrny pierścionek mandżurski, cały rzeźbiony?»
Wszak ciebie wspominałem bezustannie,
Aż mnie bok pod żebrami rozboleł tak bardzo,
Iż mi się zdało, że pęknie, od ciągłych myśli o tobie.
Zachowałam dla ciebie wiele z tego co było bez ciebie,
Jeśli ci to wszystko opowiem, lub tylko trochę z wierzchu,
I jeśli ci to pokażę, nie wiem naprawdę, czy na rok przyszyję.
Będziesz jeszcze człowiekiem siedzącym na swej ziemi,
Wstydzę się bardzo, bo mi powiedziano, że jesteś stryjem moim!
Rzemieniem z małej fokii wyróżniętym się zaduszę.
Dłużej już na swej ziemi mieszkać nie mogę.
Wszystko mi jedno, czy ty zostaniesz przy życiu, ja się powieszę».
»Z jakąż twarzą mógłbym pozostać na swej ziemi?
Ja też się zabiję« odpowiedział mężczyzna.
»Lecz ja się pierwszy zabiję, bo wiesz przecie,
Że gdybyś pierwsza umarła, nie dopędził bym cię po śmierci!«
Kobieta dodała: »Tak, zdawało by mi się, żeś jest dyabłem —

Uciekać bym musiała od ciebie, dopędzić byś mnie nie mógł.
Spotkalibyśmy się dopiero jako starcy. Tak mówią — starzy ludzie».
»Ja się pierwszy zabiję, lecz i ty zabij się koniecznie.
Połam swe wszystkie rzeczy i rzuć na mym grobie.
Kończę już swe życie młode na ziemi».
«Gdyś powiedziała, że żoną twą chcę zostać,
Krzyknęły matki i ojcowie, że mnie zabiją.
Niby grzech wielki popełniłam, a tak mi ciebie żal!
Moi krewni mówili, że mnie samą zabiją,
Boś ty dobrym człowiekiem, więc im ciebie szkoda.
Lecz jeżeli naprawdę ty mnie biedną załujesz,
To i siebie zabijesz: zabijmy się razem!»
»I ja także tak myślę — odpowiedział mężczyzna —
Choć ze mnie dobry człowiek i dość jestem bogaty,
Pocóż siebie żałować? Wszystko jedno kiedy umrzeć.
Do rzemienia na którym się powieszę, uwiążę nóż,
I tak się zabiję. Ale i Ciebie proszę, nie zostawaj na ziemi,
Wkrótce po mojej śmierci zabij także i siebie».
«Słuchaj rzekła kobieta — umrzyjmy w dzisiejszą noc
W najlepsze się ubierz odzienie. Ja też wdzieję na siebie
Najpiękniejsze z mych ubrań».
»Zgoda. Rozdam tej nocy wszystko, com przywiózł z dali —
Bogatym rozdam, ubogim, wszystkich żywić ich będę.
Rozdam im wszystko, wszystko, co w swych rękach trzymałem.
Potem... jutro nad ranem, nim się słońce pokaże,
Pójdziem w to dobre miejsce, pójdziem oboje razem¹⁾.

IX.

Kiedy zawaiał wiatr z południa, szumi, huczy duże
Morze, echo od gór Czcharwo się odbija.
Szczekanie psów Tawrkina dźwięczy w powietrzu —
Do gór Czcharwo dobiega.
Głosy psów mego Tawrkina podnoszą się aż do wierchołków
Topoli, aż w Uruskwo głosy psów ja słyszę.
Głosy psów Tawrkina odbijają się echem, aż o górę Ulm.
Przez dużą polanę Mozimby przemknęła szybko
Narta Tawrkina, a echo naszczekiwania psów
Aż do spalonego lasu Ibelki, aż do smukłych szczytów

¹⁾ Oboje się zabili, on pierwszy — ona za nim.

Modrzewi się donosi.
 Wysłałam więc i spojrzałam : oto i sam Tawrkin !
 Siedząc na narcie skulony, wyglądał na kupę śmieci.
 Niema na co patrzeć. Duże futro z szarych psów
 Włożone na wywrót.
 I patrzeć się nie chce... jeno szukam, gdzieby schować swe oblicze.
 Poszłam po wodę i jednak bokiem na ciebie spojrzałam.
 Twa spodniczka z foczej skóry ciasna, jakby cię oblepiła.
 Kiedyś raz pierwszy przechodził, nazywałam ciebie wujem,
 A teraz gdyś znów przyjechał, to zrobiłeś mi się wstrętnym.
 Na swe nary ciężko ległam i już do snu się układałam.
 Gdzie poduszkę swą usunąć, sama nie wiem ?
 Jaknajdalej ty ode mnie się układaj.
 Twoje futro wstrętnie śmierdzi ; gdzież ty odzienie położysz ?
 Jeżeli spać ze mną będziesz ?
 Nie chcę, nie chcę tego smrodu.
 Gdy się przespałam i wstałam, usłyszałam głosy
 Gniewne moich matek i mych braci.
 Szukam jeno, gdzieby schować swe oblicze, wstyd mnie samej.
 Na potrójnie witym sznurze się powieszę — pomyślałam.
 Zamyśliłam się też nad tem, jak zakończę swoje życie.
 A łające głosy matek, wciąż się po jurcie roznoszą.
 W którą stronę mam się zwrócić, gdy jeść będą.
 Wychodź-że, wychodź prędzej! zaprzęgnij swe psy.
 I wracaj do domu! Wszak do ciebie ja mówię. Czy słyszysz ?
 Kilka sztuk nędznej, suszonej ryby, którą mnie karmiły
 Ojcowie, matki, wyniosę do nart twoich
 I położę jako pokarm dla psów na drogę.
 Ej-że jedź do domu! A psa z dobrym głosem zamiast siebie zostaw.
 Może się przez to pogodzisz z memi ojcami i matkami.
 Zapewne porzucą jedną, albo i dwie złe myśli o tobie.
 Oto mój Tawrkin do domu swego pojechał.
 (Poetka żartobliwie wyśmiewa swego kochanka i radzi mu po-
 darować psa jej krewnym, by nie tak silnie dokuczali jej za ich
 stosunek miłosny, nie aprobowany przez rodzinę).

Kołysanki.

a)

Dziaa — dziaa — dzia

Matki dziecko

Taty dziecko

Zaśnij!

Czaa — czaa — cza

Czegoż płaczesz?

Czaa — czaa — cza!

b)

Nieprawe dziecko, bez ojca dziecko

Wewnątrz skalistej góry płacze — (tuukurszko!)

Nieprawe dziecko płacze — »

Gilaczki Sigizian dziecko — »

Swiej matki znaleźć nie może — »

Swego ojca nigdy nie znało — »

Sigizian-Gilaczki dziecko płacze — »





OPISY I NOTATKI.

Anonimowa zapiska etnograficzna o Góralach beskidowych z r. 1786.

Brak nam jest wielki wiadomości o właściwościach etnograficznych ludu polskiego w bardziej oddalonej przeszłości. Nie mówiąc już o średniowieczu, zbywa na danych tego rodzaju z czasów nawet znacznie późniejszych, z XVI, XVII i XVIII. stulecia. Ledwo półgębkiem bąknie coś niecoś któryś z pisarzy swojskich, a częściej jeszcze obcy jaki, przygodny obserwator. Wobec takiego stanu rzeczy posiada dla etnografii naszej dużą wartość każda, najpobieżniejsza nawet, byle tylko starsza nieco zapiska etnograficzna. Zbierał już skrzętnie wzmianki takie Ks. Liske, Wł. Siarkowski, A. Brückner, Fr. Bujak i inni, ale, niestety, mało ich bardzo, a co gorsza, niewielka jest nadzieja, aby skąpy ten plon dał się znacznie pomnożyć. To i owo, jak sądzę, w starych różnych cudzoziemskich czasopismach, encyklopedyach i opisach podróży, dałoby się jednak jeszcze odszukać. Że to możliwe, wnioskuje stąd, iż mnie samemu udało się trafić na kilka zapisek etnograficznych o Góralach beskidowych, Górnoślązakach, Mazurach pruskich i Litwinach, które nie są do pogardzenia. Notatki to tylko pobieżne, zięjące nawet nieraz ku nam nienawiścią, ale, pomimo to, choćby na przykład, do historii stroju ludowego polskiego, o którym, jak się z pracy B. Malewskiego¹⁾ łatwo przekonać, tak niezmiernie mały wiemy,

¹⁾ Wiśła, 1904, XVIII, 446 i nast.

zawsze coś z nich skapnie. Tem się powodując chcę notatki te wydobyć z ukrycia na jaw i wybieram na początek anonimową zapiskę etnograficzną o góralach beskidowych. z r. 1786.

Artykułik ten jest niedokończony. Ciąg jego dalszy, który był zapowiedziany, nie ukazał się nigdy. Mieści się zapiska ta w wydawanem swego czasu w Hali przez M. Jana Ernesta Fabri'ego czasopiśmie niemieckiem pt. „Neues geographisches Magazin“, 1786, II, 4—6. Powtarzam tutaj wszystko, co jest na wskazanem miejscu, w najdokładniejszym, o ile możliwości przekładzie.

„O góralach“.

„Górale należą do Wałachów i są mieszkańcami Cieszyńskich gór (Beskidów), a więc austriackimi poddanymi. W rzeczywistości jednak nie są oni niczyimi poddanymi. Wyjąwszy daninę, uiszczaną swoim panom, innych podatków płacą mało albo ich nie płacą wcale. Mieszkają w odosobnionych chałupach, budowanych z drzewa i gliny ¹⁾. Zajmują się pasterstwem, głównie hodowlą owiec i kóz, a także trochę krów ²⁾. Wskutek tego podstawę ich pożywienia stanowi mleko, chleb i owies, którego atoli sięją niewiele, bo tamtejszy śnieg topnieje bardzo późno, a często już we wrześniu pada znowu i niszczy Góralom cały ich zasiew. Mięsa jadają mało ³⁾. Mają też dobry zarobek, przemycając na pruską stronę tytuń i kawę. Wszelkie środki, przedsiębrane przez rząd pruski, ażeby ukrócić tę kontrabandę, nie doprowadziły do niczego. Posługiwać się w tym celu żołnierzami na nic się nie zdało, bo Górale potrafią się zawsze ukryć przed nimi w swoich górach, akcyzowi zaś urzędnicy boją się bardzo Górali, mając w nich śmiertelnych wrogów. Urzędnikom tym odgrają się Górale, że skoro ich tylko pochwycą, to ich wykastrują, albo i życia pozbawią. Pruscy znowu mieszkańcy nadgraniczni muszą pozwalać na to Góra-

¹⁾ Według A. Macoszka, Przewodnik po Śląsku Cieszyńskim, Lwów, 1901, 51—52, Górale beskidowi do dziś dnia mieszkają w kurnych chatkach.

²⁾ Porów. Macoszek, 59—61; pasterstwo stanowi też główne zajęcie Wałachów. Patrz Fr. Bayer, Rožnov, léčebné místo na moravském Valašsku, a jeho okolí, Praga czeska, 1878, 94 i nast. Fr. Bartosz, Lida národ. Międzyrzec wielki, 1883, I. 180 i nast.

³⁾ Porów. Macoszek, 52.

lom, aby ci robili, co im się podoba, w obawie, iż przez zemstę będą im podpalali do my.

Położenie chat i pożywienie Górali, nakazuje przypuszczać, że muszą to być ludzie zdrowi i silni ¹⁾. Wielu z pośród Górali nosi wąsy, włosy zaś opadają im na kark i są dookoła równo obcięte. Głowę przykrywają kapeluszem filcowym, albo czapką. Na nogach mają długie, niebieskie, węgierskie spodnie. Obuwie ich składa się z samej tylko prawie podeszwy, a do nogi przywiązane jest rzemieniami. Odzież Górali przypomina wogóle bardzo przyodziewek węgierski. Prócz tego noszą w rękę czekan ²⁾. Jest to długi, gruby kij z rączką. Jedna strona tej rączki jest ostrą siekierą, druga — hakiem. Poniżej rączki, składającej się z siekiery i haka, mieści się często jeszcze zamek od strzelby. Lufę do niej stanowi właśnie ów kij. Czekanem tym, dawszy z niego naprzód celny strzał do przeciwnika, potrafią Górale zręcznie rzucać i rąbać. ³⁾

Co do góralek, to noszą się one zwykle tak, jak Hanaczki. ⁴⁾ Oprócz spódnicy i fartucha posiadają tylko jeszcze długi kawał lnianego płótna (łochtusza), którym się kilkakrotnie owijają. Pozatem nic już więcej (z odzieży) nie mają. Od dołu obszyta jest spodnica szeroką wstążką. Strój głowy jest taki sam, jak u Hanaczek. U trzewików znajdują się niskie, czerwone obcasy. ⁵⁾

Przemieszkują Górale głównie w okolicy Frydka, w dobrach hr. Praszmana, któremu płacą określoną roczną daninę. W pewnym oznaczonym dniu, kiedy obowiązani są składać daninę, schodzą się do niego w wielkiej liczbie. Skoro tylko uiszcza daninę, musi hrabia wystawić im pewną ilość beczek piwa. Kazał on też wybudować w tym celu wielki, drewniany dom (karczmę), w którym się Górale zabawiają tańcem przy

¹⁾ Porów. Macoszek, 52—53.

²⁾ Kirgiz. *Č a k a n* — siekiera na długim stylisku, używana jako broń. H. Vambéry, *Čagataische Sprachstudien*, Lipsk, 1867, 275; porów. H. Vambéry, *Die primitive Cultur des Turko-Tatarischen Volkes*, Lipsk, 1879, 117—118.

³⁾ Dawny strój górali zachował się dotąd prawie bez żadnej zmiany. Obacz: Macoszek, 54, 96.

⁴⁾ Opis stroju Hanaczki podaje Fr. Bartosz, *Lid a národ, Międzyrzec wielki*, 1883, I, 142—143 i J. Herben, *Moravské obrázky*, Praga czeska, (1889), 27 i nast.

⁵⁾ Tak samo ubierają się Góralki dzisiaj. Patrz Macoszek, 95.

akompaniamencie swej własnej muzyki. Dookoła domu urządzone są darniowe ławki.

Dawniejszemi czasy posiadali Górale swego własnego do-wódcę. Wyróżniał się on od innych Górali pięknym bardzo, kosztownym strojem, chociaż był także poddanym hr. Praszmana. Hrabia nałożył na jego głowę dość wysoką cenę. Zjawił się on raz przed hr. Praszmanem w otoczeniu kilkuset Górali, właśnie w tej chwili, gdy się hrabia zabawiał ze swymi gośćmi w ogrodzie. Dał się hrabiemu poznać i żądał odeń tej sumy, którą hrabia nałożył był na jego głowę. Ażeby pokazać hrabiemu, że ma nad nim przewagę, zagwizdał na małej piszczałeczce i w tej chwili towarzysze jego wytknęli głowy z poza muru, otaczającego ogród, oczekując rozkazów. Hrabia widząc przemagającą siłę, wypłacił mu zaraz sumę, nałożoną na jego głowę i banda odeszła¹⁾.

Lwów

Stanisław Ciszewski.

¹⁾ Podanie to dotyczy, według wszelkiego prawdopodobieństwa, zbójnika śląskiego, Ondraszka. Przebywać on miał stale na najwyższym szczycie Beskidów śląskich, na Łysej górze, i tutaj otrzymał, jak opowiada lud, od czarownicy obuszek, który go czynił niezwyciężonym. „W ustach ludu dotychczas żyją jego uczynki, wykazujące to niesłychaną odwagę, to znowu pewną zbójczą rycerskość. On się odważył porwać hrabiego Prażmę (Praschmanna) z Frydku z pośród zbrojnej drużyny, on napadł na zamek w Raju, gdzie dotychczas pokazują jego postać w kamieniu wykutą. Bogatych obdzierał, a dawał ubogim; dlatego cieszył się sympatją okolicznego ludu i długo drwił sobie ze sprawiedliwości ludzkiej, przed którą miał liczne i rozmaite kryjówki. Nareszcie własny druh jego, niewierny Jurasz, podczas bitki karczemnej zdołał mu podstępem wydrzeć czarodziejski obuszek i zwiąawszy, oddał go w ręce sprawiedliwości, aby uzyskać nagrodę, wyznaczoną na głowę Ondrasza. W roku 1715 Ondrasza Szebestę, syna wójta z Janowic (koło Frydku) rozczwartowano na mocy wyroku sądowego. To opowiadanie o Ondraszu można tu słyszeć dotychczas bardzo często; stał się osobistością nadzwyczaj popularną; lud otacza go poniekąd nawet czcią, uważa go za swego bohatera i oswobodziciela od gwałtów i nadużyć szlachty“. Macoszek, 84—86.

Na Podolu i na Słowaczynie to samo prawie, co w Beskidach o Ondraszku, opowiadają o Janosiku. R. Zawiliński, Słowacy, Warszawa 1899, 42—44.

W sprawie puścizny naukowej po J. Lompie.

Jak widzę z referatu S. Udzieli,¹⁾ Komisya antropologiczna Akademii naszej postanowiła ogłosić drukiem część odnalezioną puścizny naukowej po J. Lompie. Ma być mianowicie wydana praca jego p. t. „Rozmaitości górnośląskie“, zawierająca cenne materyały do etnografii Górnoślązaków. Wobec zamierzenia Komisji antropologicznej, które bogdaj jak najprędzej dało się urzeczywistnić, zwracam uwagę osób, krzątających się około tej sprawy, iż kto wie, czy nie dałoby się odszukać innych jeszcze zbiorów rzeczy ludowych górnośląskich, ręką J. Lompy spisanych.

W roku 1848 wydrukował K. Weinhold artykuł, zatytułowany: „Frau kein wildes Thier“.²⁾ Na czele tego artykułu pisze Weinhold, co następuje:

„Oberschlesisch — slavische(!) Hochzeitsgebrauche, welche mir für meine Sammlung schlesischer Sagen, Märchen u. Gebräuche von Herrn Schullehrer J. Lompa in Lubschau (Lubszo) bei Woischnik (Woźniki) mitgetheilt wurden, geben den Beweis“ i t. d.

Był więc K. Weinhold, jak się z powyższych słów jego okazuje, w bliskich stosunkach z J. Lompą, który spisywał dla uczonego germanisty polskie podania i bajki ludowe, oraz dostarczał mu opisów zwyczajów ludowych polskich z górnego Śląska.

O ile mi wiadomo, K. Weinhold żadnego większego zbioru polskich rzeczy ludowych śląskich nie ogłosił. Musiały więc spisane dla niego przez J. Lompę materyały etnograficzne pozostać po śmierci K. Weinholda w jego papierach. Ponieważ Weinhold zmarł niezbyt dawno, sądzę przeto, że dałoby się coś z tych rękopisów J. Lompy w papierach po K. Weinholdzie odszukać, i że należałoby poczynić w tym celu odpowiednie kroki.

We wspomnianym artykule podaje K. Weinhold za J. Lompą kilka ciekawych szczegółów o obrzędach weselnych górno-

¹⁾ Materyały... etnograficzne, Kraków, 1908, X. str. VIII.

²⁾ Zeitschrift für deutsche Alterthum, 1848, VI, 462—464.

śląskich. Przedrukuję je tutaj, bo ukryte w czasopiśmie, poświęconem germanistyce, mało któremu z etnografów naszych są znane.

„W okolicy Lubsza występuje na każdym weselu dwóch starostów. Starszy starosta przemawia w imieniu pana młodego, młodszy — w imieniu panny młodej. Po komicznej oracyi starszego starosty, prowadzą przed pana młodego z komory, zawiniętą w rańtuch, kulejącą, starą babę i zapytują go się, czy to jest panna młoda, na co młodszy starosta w imieniu pana młodego odpowiada, że nie jest to panna młoda, tylko bydlątko. Prowadzą wtedy przed pana młodego jedną z druhen. Okręca się ona dookoła starosty i ucieka prędko z powrotem do komory, a starosta robi uwagę, że takie płochliwe bydlątko nie może być panną młodą. Wówczas inna druhna podaje panu młodemu na talerzu zieloną gałązkę, oraz wieniec i mówi:

Młoda pani wieniec posłała,
O dukat się postarać kazała.
Młoda pani z komory nie wyjdzie,
Póki dukat za wieniec nie będzie.

W odpowiedzi na słowa druhny, pan młody kładzie na talerzu z wieńcem talar, lub kilka talarów, druhna wraca i przed pana młodego wyprowadzają prawdziwą pannę młodą, którą ten ostatni poznaje i uznaje jako autentyczną.

Rozpoczynają się owacye starostów, rodzice udzielają pp. młodym błogosławieństwa, pp. młodzi okręcają się trzykrotnie dookoła i cały orszak weselny udaje się do kościoła.

Około jedenastej godziny wieczorem mają miejsce oczepiny, w czasie których tańczą z panną młodą wszystkie obecne kobiety i druchny.

W Oleśnie, każda z uczestniczących w oczepinach kobiet, trzyma, tańcząc, w rękę zapaloną świecę. Po oczepinach odprowadzają kobiety pannę młodą do domu pana młodego.

W okolicy Kluczborka, pan młody, skoro zjawi się przed ślubem w domu panny młodej, otrzymuje od niej w podarunku: jabłko, piernikowe serce, chustkę od nosa, zieloną gałązkę i wianek. Doręcza to wszystko panu młodemu druhna, zwracając się doń z następującą przemową:

Moi mili panowie starostowie,
Paniczowie i družbowie
I ty, panie młody!

Ja tu jest z tym wianeczkiem od
 paniej młodej posłana,
 Co go sama młoda pani wiła,
 I nad nim się trudziła
 I łzami pokropiła.
 Cztery nocy nie spała,
 Cztery świece spaliła,
 Co się nad nim turbowwała.
 Nie była żadna próżniaczka,
 Nie szukała po wsi ziółeczka;
 Zaszała do swego ogródeczka,
 Narwała swego ziółeczka.
 Sto dukatów nie położycie,
 Młodej pani nie obaczycie.
 Pójdzie ona do swego ogródeczka,
 Będzie wianki wiła
 I będzie taką panną,
 Jako przedtem była,
 I ja z nią.

Pan młody ofiarowuje talara. Druhna mówi, że to mało.
 Pan młody dokłada więcej i coraz więcej, aż póki nie zado-
 woli druwny, która odchodzi. Wówczas, podobnie jak to miewa
 miejsce w Lubsku, zjawiają się kolejno przed panem młodym:
 stara baba, druwna i wreszcie sama panna młoda, zawinięta
 w białe rańtuch.

Gdy orszak weselny wyrusza do kościoła, wszyscy, znaj-
 dujący się w orszaku goście, zasypują przyglądających się im cle-
 kawych małemi krajankami weselnego placka“.

Stanisław Ciszewski.

Bańka.

Do przechowywania zboża, mąki, owoców, soli, jagód, służyły i do dziś służą, acz już w o wiele mniejszym użyciu u ludu, szczególnie podlaskiego, naczynia plecione ze słomy i prątków wierzbowych, nazywane *bańkami*, *buńkami*, *pudylkami*, najrozmaitszej wielkości i postaci, to małe, kwaterkowe, to znów wielkie, po kilka korcy zboża pomieścić mogące.

Takie naczynia dawniej zwykle starsi pletli w długie zimowe wieczory, po ukończeniu robót dziennych, często dorywcz, „dochapkami“, dziś już takimi zabawkami się nie zajmują, wolą grać w karty.

Słomę na bańki wybierano z prostej, żytniej słomy a prątki przygotowywali późną jesienią, drąc z rosnącej na łąkach *łagozy* (*łagoziny*) czyli z wierzby *łozy*.

Takie prątki należy wy *czy ni ć* czyli porozdzierać na poły każdy prątek (*chlubę*) i wyskrobać *drdzeń* albo *muchę* — (*rdzeń*). Po takim wyczynieniu wito prątki w *obarzanki* *cili stocki* (od *staczać* czyli *nawijać*) i tak mogły leżeć w komorze czy na strychu długi czas, lat nawet kilkanaście, czekając na zapotrzebowanie i długie wieczory a dość, aby je wodą gorącą *sparzono*, to już były gotowe do użycia.

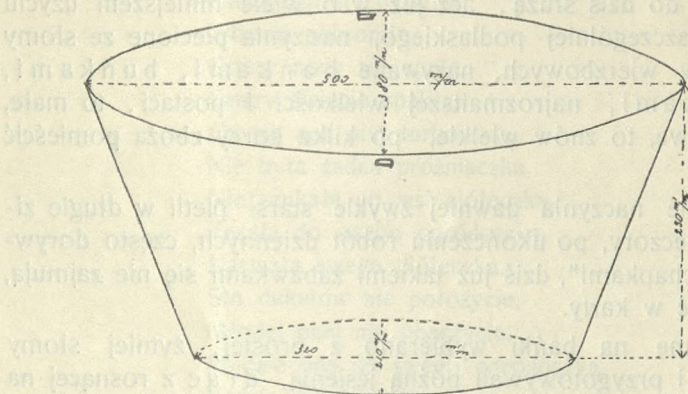
Słomę się bierze po kilka sztuk, *promionkami*. Te *promionki* nazywają *drątwiami*. Każdą *drątwę* okręca się prątkami, ale zawsze szydłem (*śwają*) przekłuwa się otwory dla łatwiejszego przetykania prątków i raz *kłuje* się za *drątwią* a raz za prątkiem. Gdy się prątek ukończy, to chowa go się w *drątwę* i *przyplata* się nowo założonym prątkiem i tak dalej.

Śwai czyli *szydła* używano do tych robót z *koziego roga* (*sarniego*).

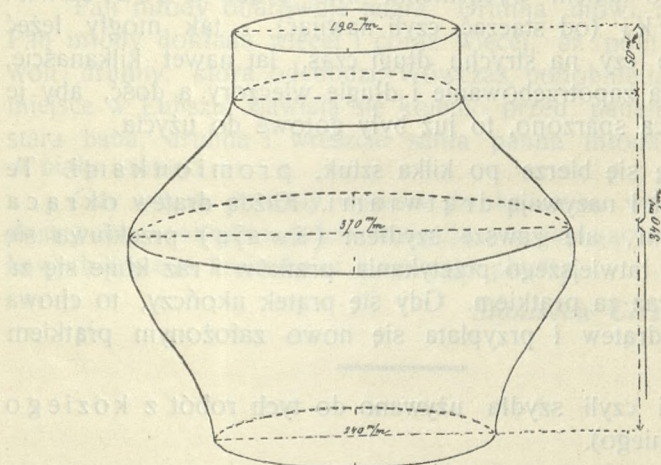
Obecnie mniej *łoziny* po łąkach, gdyż wykarczowano za-rosła na łąki użytkowe i tem samem materyał na prątki stał się prawie niedostępny.

Pięciogarncową *pudylkę* płacono przed paru laty na jarmarku w Radzynie lub Wohiniu po dwa, trzy złote. Teraz już takich *baniek* nie przynoszą na sprzedaż.

Dawniej „święcone“ koniecznie noszono w „pudyłkach“ do kościoła, obecnie już używają koszyków „kupczych“ z wierzby koszykarskiej plecionych.



Forma bańki na fig. 1. służyła do noszenia święconego lub do noszenia zboża przy siewie, a wtedy dodawano pas rzemieenny lub parczany do górnych brzegów bańki.



Wymiary bańki na fig. 2. wynoszą:

wysokość	340 mm.
największa szerokość	370 "
średnica dna	240 "
średnica szyi	190 "
wysokość szyi	60 "

Forma przedstawionej tu w konturach bańki przypomina niektóre w żalnikach słowiańskich spotykane urny.

Terminy tu przytoczone pochodzą z pod Radzyna ze wsi Turowa, Białki.

Z tego samego materiału: słomy i prątków na Kujawach plotą kóśzki, rodzaj uli dla pszczół, podczas gdy na Podlasiu tego rodzaju ule są nieznane.

W. Pracki.

Coby robił chłop, gdyby został królem.

Cóż za rozkosz być królem, a zwłaszcza królem z bajki! Chyba ptasiego mleka mu brakuje. Zresztą opływa we wszystko, jest najszcześniejszym z ludzi. Niejeden więc radby być królem.

Chcąc zostać królem w Europie, Afryce, a choćby nawet w Oceanii, ma człowiek nieraz wiele kłopotu. W świecie atoli wyobraźni zostaje się królem z nadzwyczajną łatwością i zdarzyć się to może każdemu. Nie dziś, to jutro, nie jutro to pojutrze; mniejsza o to, kiedy. Dość, że każdy może tam być królem.

Wobec takiego wszakże stanu rzeczy, sprawa zostania królem, przestaje być kwestią najważniejszą. Na plan pierwszy wysuwa się kwestya inna: co robić, gdy się zostanie królem. Więc, ażeby ktoś nie był z nienacka zaskoczonym, z góry się nad tem powinien zastanowić, co będzie robił, skoro zostanie królem.

Nad tą sprawą rozmyślano już niejednokrotnie. Myślał nad tem nasz chłop, myślał wieśniak czeski, słowacki i chorwacki. Każdy z nich wie bardzo dobrze, coby robił, zostawszy królem i jest, dzięki temu, najzupełniej do zajęcia tego wysokiego stanowiska przygotowany.

W Małopolsce (pow. olkuski), szczęśliwiec, któryby został królem, według anegdoty, która często obijała mi się o uszy, kazałby sobie nasłać w izbie siana pod samą powalę i, jedząc tylko jajecznicę z kielbasą, wylegiwałby się na tem pościeliu bez przerwy.

Lubo anegdota o tem przemilcza, łatwo się jednak domyślić, że załatwianiem wszelkich innych, mniej ważnych spraw

państwowych, zajmowaliby się, oczywiście, ministrowie... no i parlament.

Wieśniak czeski, aczkolwiek wcale także nie jest od tego, aby zostać królem, nie posiada jednak, na przypadek powołania go na tron, takiego jednolitego, jak nasz chłop, z góry obmyślanego programu zajęć. Dowodzi tego rozmowa, którą prowadziło razu jednego dwóch Hanaków.¹⁾ Zostawszy królem, każdy z nich robić chciał co innego.

„Debech já bel králem“, zwierzał się towarzyszowi jeden, „napostil bech náš rebnik (staw) smetanó, vlezl bech do něho e s plondrama (w spodniach) a dělál bech enom: chlamst, chlamst, chlamst...“

Zamiary drugiego Hanaka były inne. Zostawszy królem, bynajmniej nie czyniłby tego, co jego znajomy, lecz „nabóchal be se každé deň bochet, velezl be na pec, zapálel si fajko a dělál be pomalóčko: pok, pok, pok...“

Tutaj wyjaśnić muszę, że w jadłospisie hanackim śmietana i „buchtý“ (rodzaj ciastek pieczonych na smalcu) uchodzą za specyały nad specyałami, podobnie jak w jadłospisie naszego chłopca jajecznicą z kiełbasą.

Pierwszeństwo przed wszystkimi jadłami oddaje też jajecznicę Słowak.²⁾ Ztąd rzecz jasna, że każdy szanujący się chłop słowacki, gdyby został królem, jadłaby tylko „szkwarę“, t. j. jajecznicę ze skwarkami, smażoną na maśle.

Jeszcze bardziej niezdecydowanym od czeskiego, okazuje się w swym programie zajęć na wypadek zostania królem wieśniak chorwacki.³⁾

Łamało sobie pewnego razu nad tem głowę aż czterech pasterzy. Wypowiadano zdania po kolei.

„Nie zdarzy mi się to pewno, mówił pierwszy, zagadnięty przez towarzysza, ale, gdyby się zdarzyło, tobym kazał nasyścić pełen wóz plew, położyłbym się na tych plewach i całemi

¹⁾ J. Herben, Moravské obrázky, Praga czeska, 1879, 286—287.

²⁾ Ulubionem słowackiem jadłem zdaje się także być kasza z mlekiem. Według przysłowia należy się:

Němcom zelina, Uhrom slanina,
Slovákom kaša s mliekiem.

B. Niemcowa, Časopis Česk. Mus., 1858, XXXII, 568.

³⁾ M. Stojanović, Šala i zbilja. Sbirka naročnih pripovedaka, Seń 1879, 20.

dniami musieliby mię wozić.“ Drugi miał inne życzenia. „Ja bym sobie, bracie, leżał cały dzień pod brzosem w chłódku, a wybyście musieli paść moje świnię i krowy.“ Trzeciemu. bardziej, aniżeli o wypoczynek, chodziło o jadło. Zapytany przeto odrzekł: „Ja, zostawszy królem, jadałbym tylko światłe placki z zielonemi, cebulowemi piórami.“ Wypadało teraz z kolei, ażeby wypowiedział się z zamiarami, co by robił, zostawszy królem, czwarty pasterz. Gdy go jednak o to koledzy spytali, odparł: „Nie wiem, co bym robił, bo wy trzej wybrałście wszystko, co jeno było najlepszego, więc dla mnie nic już nie zostało“.

Zestawmy wszystkie te chłopskie rojenia. Dziwnie one do siebie podobne. Zarówno dla naszego, jak dla czeskiego, słowackiego, oraz chorwackiego chłopa ideałem jest *dolce far niente* i pełny żołądek. To właśnie, czego w życiu częstokroć upragnie. Więc, ze wszystkich tych rozkoszy, których w wyobraźni jego zażywa król, najpożądniejszą jest dlań możność niepracowania i życia na dobrem jadle.

St. Ciszewski.

„Półski most“.

Któż nie zna rysunków humorystycznych Franciszka Kostrzewskiego. Często czerpie do nich artysta tematy z polskiej wsi. A na polskiej wsi nie trudno się jeszcze spotkać z „polskim mostem“. Zna go dobrze Kostrzewski i ów „polski most“ posłużył mu za temat do jednego rysunku.

Wczesna wiosna. Na skraju wsi przystanęła, w czwórkę koni zaprzężona, dworska landara i wyliberjowany stangret rozpytuje z kozła przechodzącego chłopa o drogę. A filuternie uśmiechnięty chłop udziela objaśnień, że zrazu brać się należy na prawo, później na lewo, a potem już jechać wypada prosto, prosto, „tylko będzie tam taki jeden mostek, co go niema“. To właśnie on, ten słynny „polski most“. Kto jednak nazwał go „polskim“?

Na wołowej skórze nie spisałyby tych docinków, których słuchać musi od wieków poczciwy Mazur od niemazura. Wszystko, co mazurskie, jest śmieszne. Ale nie „Sibretkowie“ przecież wymyślili te uszczypliwe żarciki, których im się nie szczędzi, bo nikt sam na siebie biczu nie kręci. Wszelkie tego rodzaju

docinki powstają u sąsiadów. Taksamo więc musiało być i z „polskim mostem“.

Przysłużył się nam nim chyba krytycznie na rzeczy patrzący, ale niezbyt sympatycznie dla nas usposobiony sąsiad. Czyż trudno zgadnąć, kto mianowicie był tym sąsiadem? Niemiec.

I rzeczywiście, dowcip niemiecki od dawna ostrzy sobie zęby na „polskim moście“. Staroniemiecka pogwarka¹⁾ tak się o nim wyraża:

„Ein polnisch bruck, ein bömischer mōnch, ein schwebische nonn, ein osterrichischer Kriegsman, wälsche andacht und der tutschen fasten geltend ein bonen“.

Według innej znowu staroniemieckiej pogwarki²⁾:

„Ein boemisch moench und schwaebisch nonn

Ablass, den die Kartheuser hon,

Ein polnisch brueck und wendisch treu,

Huener zu stehlen Zigeuner reu,

Der Welschen andacht, Spanier eid,

Der Deutschen fasten, Koellnisch maid.

Ein schoene tochter ungezogen

Ein roter bart und erlenbogen

Fuer diese dreizehn noch so viel

Gibt niemand gern ein pappenstiel.“

Są także łacińskie wersje tego przycinka. Oto jedna, bardzo popsuta, którą podaje W. Wackernagel³⁾ według rękopisu monachijskiego z XV. wieku:

„monacus Bohemicus, pons Polonicus, monialis Suevica, vestis ruratica(?), largitas Bavarica, castitas Austriaca, fides Iudaica, ieiunia Italica, glosa Judaica(?), merdam valent omnia“.

Przysłowiowy „polski most“ przywędrował więc do nas z Zachodu. Jest to dowcip niemiecki.

Ale nie tylko sąsiad z Zachodu, lecz także i sąsiad ze Wschodu lubi czasami przypiąć nam łatkę. Dowodem następujące przysłowie wielkoruskie:⁴⁾ У насъ въ Польшѣ, нѣтъ хо-

¹⁾ A. Schultz, Deutsches Leben im XIV. u. XV. Jahrhundert. Wydanie obszerniejsze, Praga czeska, 1892, I, 4.

²⁾ A. Schultz, tamże, 6.

³⁾ Zeitschrift für deutsche Alterthum, 1848, VI, 255.

⁴⁾ W. K. Magnickij, Правы и обычаи въ Чебоксарскомъ уѣздѣ, Kazań, 1888, 115—116.

зияна больше, а у насъ на Руси, прежде хозяина попроси". Znaczy to: .U nas w Polsce niema więcej gospodarza (pana domu), a u nas na Rusi — należy naprzód poprosić gospodarza (o zezwolenie)".

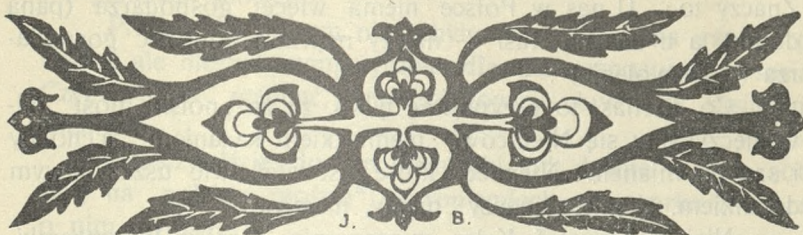
Co do nas, to przypomnę tylko, że za „polski most“ odwdzięczyliśmy się Niemcowi „niemieckiem kazaniem“, a choćby i samem mianem: Niemiec, które jest właściwie uszczypliwym docinkiem. Niemiec znaczy: niemy, niemowa.

Niejaki Krzystof Keler, mieszczanin i rajca Wittenberski, który w r. 1562 kopał kruszec na terytoryum kopalnianem miasta Sławkowa (pow. olkuski), należącym wówczas do biskupstwa krakowskiego, figuruje w sławkowskiej księdze żupniczej jako „Slavny pan Kristoff Niemek, przewzany Keler“. Myślę, że należy to chyba odwrócić i czytać: „Sławny pan Krzysztof Keler, przewzany Niemek“, t. j. Niemiec — niemy.

Nam się dostał od Niemców przysłowiowy „polski most“, ale i nasze przysłowia wędrowały także i to wcale daleko. Jedno zawędrowało aż do Chorwatów. Znalazłem je w zbiorze przysłów chorwackich J. Daniczića,¹⁾ a brzmi ono tak: Jedno Vloh dości popsovat' mjestački“. Przysłowie to pochodzi ze starego rękopisu, a osoba, która je zanotowała, dopisała przy niem wyraz: „Poljak“, oznaczając w ten sposób, że to jest przysłowie polskie. Dodała też i chorwacki przekład polskiego przysłowia: „Jedan Latinin dosta za ištetiť jedan grad“.

Stanisław Ciszewski.

¹⁾ Poslovice, Zagrzeb, 1871, 39, nr. 1401.



MATERIAŁY I POSZUKIWANIA.

JÓZEF SCHNAIDER.

Z życia górali nadłomnickich.

Wstęp.

Nie kreślimy tu całokształtu życia wspomnianych wyżej górali, chociaż praca taka pod względem etnograficznym miałaby wartość o wiele większą, lecz ograniczyliśmy się tylko do zestawienia pojedynczych szkiców i obrazków, z życia ich nakreślonych, uzupełniając je niektórymi zwyczajami, oraz utworami umysłu i wyobraźni górala, jego wierzeniami i przesadami.

Życie górala daje się podzielić na pewne okresy ze względu na pory roku. I tak — z wyjątkiem tych, którzy wyłącznie zajmują się swem gospodarstwem — przepędza góral większą część wiosny na flisach czyli „spławach“, lato na halach czyli „połoninach“, odwiedzając często swą trzodę w chwilach wolniejszych od zajęć gospodarskich, jesień i zimę zaś w „kołybie“ przy robotach leśnych.

Z natury rzeczy wynika, że majątniejsi nie mają czasu po temu, by zajmować się spławianiem drzewa, lub robotami le-

śnemi. Wiosnę i lato bowiem poświęcają oni uprawie roli, a jesień przepędzają „u ładu”, czyli na odleglejszych łąkach, ciągnących się popod lasami, zajęci zbiorom siana, a następnie wypasem trzód, spędzonych z połonin. W takich „ładach” mają też swe zabudowania, czyli „chaty”, zwane także „zymi-włami”, gdzie przez pół, lub nieraz i całą zimę trzymają i karmią swe bydło. Nie przeszkadza to im jednak do wysyłania zimą koni na zarobek przy wywozie drzewa z lasów na składy, czyli przy tak zwanem „sztrajfowaniu”.

Inni znowu, nie mając czem zająć się w domu, wiosnę i lato również spędzają w kolibie, oddając się rozmaitym zajęciom, jak kultury leśne, budowa dróg lub też wyrab drzewa.

Naszym zamiarem jest podać w pierwszej linii krótki opis zajęć poza chatą górala, a potem niektóre jego zwyczaje i utwory tak umysłu, jak wyobraźni, prócz pewnych wierzeń, czarów, leków i przesądów.

Notatki nasze dotyczą ludu perehińskiego (w powiecie dołińskim) i jasińskiego (w powiecie kałuskim), jako najbardziej wysuniętego tak po lewym, jak po prawym brzegu Łomnicy ku jej źródłom górskim, a więc właściwych górali (bójków).

Notatki dotyczące tylko jednego z nich oznaczamy w skróceniu literami P. lub J.

I.

Flisy czyli „spławy” zwane także „płotami”.

Łomnica dopiero w odległości około 15 klm. od swych źródeł tworzy rzekę spławną, czyli zdolną do przewożenia nią drzewa budulcowego, kłocowego lub materyałów tartych. Stąd dopiero ciągną się — w mniejszej, lub większej odległości od siebie — położone nad jej brzegami składy drzewa „portaszi”, zwożonego w porze zimowej z lasów sąsiednich, a składanego wedle wymiarów długościowych, a także i grubościowych w stopy, czyli „mygły”.

Z wiosną, po stajaniu śniegów, zaczyna się t. zw. spławianie, trwające — stosownie do stanu wody — 6 do 8 tygodni, a w złych warunkach i całe lato nieraz.

Gdy tylko rzeka wezbierze, idą już flisacy („spławnykie”) „płoty honyty”.

Każdy skład oddawany bywa przez kupca przedsiębiorcy, czyli „kieronowi” do spławienia na oznaczone miejsce za cenę,

ugodzoną od stopy kubicznej drzewa. Kieron przybiera sobie ludzi, których również od stopy kubicznej opłaca.

Splawy wiążą w ten sposób, że na cieńszych końcach kilku lub kilkunastu sztuk drzewa — po poprzednim zaciosaniu ich — przymocowują kołkami czyli „czopami“ bukowymi lub brzozowymi 1—3 poprzeczek, t. zw. „popruhy“, przybijając je czopem do każdej sztuki, grubsze zaś końce — „huzary“ — wiążą „orzewkami“, t. j. parzonymi w ogniu i skręcanymi następnie młodymi świerkami. Splaw taki — gdy sztuki drzewa zbliżone są do siebie — wygląda, jakby na końcu zaopatrzony był w łuki. Na przodzie umocowane jest na stołku zapomocą czopa wiosło, czyli „kierma“, które tworzy deska wycięta w kształcie noża i przybita kołkami do rączki zwanej „drugarem“. Przy drzewie cieńszym, 5—8 sążni długości, czyli t. zw. piątkach, szóstkach, siódemkach i ósemkach, umocowują zwyczajnie jedno wiosło, przy dziewiątkach i dziesiątkach dwa, przy jedenastkach i dwunastkach nawet trzy wiosła, zaś przy drzewie dłuższym, a także splawach z tarcicami dają również wiosła z tyłu.

Pośrodku splawu, zaciąwszy drzewo, wbijają w nie wążutki stołek w postaci krzyża, na którym zawieszają wierzchnie ubrania i jedzenie.

Deski wiążą w ten sposób, że tak na przodzie, jak w tyle przewiercają każdy „bund“ desek i orzewkami „bunty“ związuje ze sobą w taflę czyli „taflę“. Tafle łączą ze sobą w splaw również za pomocą orzewek. Wiosła, podobnie, jak przy drzewie krągłem, umocowują na stolcach.

Przy zbijaniu splawów używają prócz siekier i świdrów „płotywnykami“ zwanych, zwykłych kołów drewnianych, zwanych także „begarami“.

Splawy zbijają na brzegu, staczając z mygły na podkłady, czyli „pilhy“, potrzebną ilość sztuk drzewa i zbite już zsuwają po pilhach do rzeki.

Splaw taki prowadzi zazwyczaj dwóch ludzi, rzadziej jeden, a to stosownie do ilości wiosł.

Zdarza się — gdy woda bardzo opadnie — że wiążą kilka splawów razem, jeden poza drugim, i popychają je kołami. Splawy tak związane powodują zebranie się poza nimi większej ilości wody, przez co połączony splaw łatwiej popychać („ha-

ruwały“), jak pojedynczy. Pod spławy pojedyncze znowu podkładają choinę i gałęzie z liściem, by tamowały wodę.

Na większej wodzie, gdzie rzeka jest szersza i głębsza, wiążą po dwa, rzadziej po trzy spławy razem zapomocą orzewek, przytwierdzając na przednim końcu pierwszego i tylnym ostatniego odpowiednią ilość wiosel, zwyczajnie na przednim spławie 2, na tylnym jedno wiosło. Poniżej Perehińska — bliżej ku Kałuszowi wiążą nawet po cztery spławy razem, a to po dwa wszerek i wzdłuż.

Spławnicy zanim uchwycą za wiosła, odkrywają głowy i odmawiają cichą modlitwę — każdy dla siebie.

W drodze nie mają żadnych szczególnych sygnałów, oprócz przeciągłego świstu w palce, gdy chcą by spław przedni ustąpił z drogi lub przybił do brzegu.

W razie potrzeby przywiązują spław do brzegu grubemi linami, zwanemi „kanaty“, lub dłuższemi orzewkami, czyli „cwajkami“.

Ponieważ droga wodna ma swoje stacye, zaopatrzone w kanały, gdzie spławy się zatrzymują, a flisacy dostawiają swe spławy nie dalej jak z jednego kanału do drugiego, względnie ze składów w górach do któregoś z kanałów, wobec czego podróż trwa nie dłużej nad kilka godzin, przeto nie biorą ze sobą żywności, prócz kawałka chleba, nieraz słoniny lub nieco sera, placka kukurudzianego lub też ugotowanej i wystygłej kuleszy.

Kanały takie znajdują się: Na Markowcu t. j. u ujścia rzeki Mołody do Łomnicy, na Ostodorze, w Niebyłowie, w Dołhem poniżej Perehińska, w Kałuszu i Podmichajlu.

Na siebie biorą flisacy zwykłe ubranie robocze, t. j. koszule, spodnie płócienne (haczi) lub wełniane (chołoszni), ramięń, torbę skórzaną, zwaną „taszka“, onuce, chodaki (postoły) i kapelusz, a jako wierzchnie okrycie kozuch bez rękawów zwany „bundą“ i sirak; na nogi często przypinają żelaza zwane „podkowami“, by nie padali chodząc po spławie.

W flisactwie, pominąwszy Rusinów węgierskich z Brustur, Sinaueru i Kołyeczawa najczęściej tu zatrudnianych, celują przede wszystkim ludzie z Perehińska i Niebyłowa, potem ze Śliwek, a najmniej z Jasienia.

Rynkiem zbytu dla tutejszego drzewa (t. j. świerka i jodły) jest Rosya, przeto spławy idą Łomnicą do Halicza, skąd już Dniestrem dowożą drzewo do Okopów na granicy rosyjskiej.

Flisacy tutejsi nie tworzą żadnych związków, towarzystw, ani kompanii nawet lub rot; nie mają też swej literatury tradycyjnej, jak pieśni, powiastek, przysłów itp., a słownictwo nie jest też tak bogatem, jakby być mogło.

Prócz wyrażen powyżej przytoczonych podnieść należy niektóre jeszcze. I tak spław nazywają spław lub płot', spław podwójny zwą cwajowanka, trzy spławy połączone ze sobą — trijka; zbijać spławy — płoty zbywały*), wieźć spławy — płoty honyty, popłynął ze spławem — zajmYW płot', zatrzymać spław — jimyty sia, spławy płyną — płoty idut; gdy spuszcza wodę ze zbiornika celem podwyższenia stanu wody na rzece — klauza ide; gdy skutek powodzi woda zabierze pozostawione i przywiązane w drodze spławy i zbije je w jeden wał na rzece, wał taki zwą hajtasz lub strim.

Spławianie daje najlepszy prawie zarobek ze wszystkich zajęć, dlatego w lecie trudno jest nająć flisaka do innej roboty. Nie zważają też oni na niebezpieczeństwo — wypadki utonięcia zdarzają się bowiem nieraz — ani na szkodę spowodowaną zabranie i rozbiciem spławu podczas powodzi. Podnieść bowiem należy, że w razie rozbicia spławu kupiec traci drzewo, flisak zaś swą pracę, gdyż tylko po dostawieniu na oznaczone miejsce może otrzymać zapłatę.

II.

Na połoninie.

Gdy ciepły podmuch wiatru południowego stopi ostatnie płaty śniegu na grzbietach gór i zazieleni się trawa, budzi się życie na połoninach. Zwyczajnie około „swietoji ned'ili (t. j. Zielonych świąt) wypędzają w hale „miszenia“ owiec, a wkrótce potem bydło rogate i konie na paszę.

»Miszenie« jest to spędzanie owiec przez poszczególnych właścicieli za pewną opłatą do jednego „bohacze“, lub konsorcjum, składającego się z kilku włościan majątniejszych, którzy przyjmują „wataha“ i „wiwczieriw“ (pasterzy), tudzież zajmują się wypędzaniem owiec na połoniny i spędzaniem z powrotem, oraz opłatą paszy, odszkodowań i pasterzy. Wełnę strzyże sobie każdy gospodarz przed wypędzeniem owiec na paszę, znaczy zaś je, wycinając odpowiednie znaki na uszach. Każdy znak ma

*) U Rusinów węgierskich — daraby szyty.

swoją nazwę, jak np. bałta, ustroka, striwka, wiszczok, wskis, zatynka, rozkił i t. p.

W Jasieniu np. urządzają obecnie dwa „miszenia“, a to jedno w „horisznim“, drugie w „dolisznim kincy“ wsi. Jedno „miszenie“ obejmuje zwyczajnie 600—800 sztuk owiec — licząc razem jałownik i owce dojne — i oprócz „wataha“ posiada 4—5 pasterzy. Dawniej atoli zbierano owce w trzy „miszenia“, z których każde po 650—800 sztuk samego „gijnyka“ (zamiast „dijnyka“, to zn. owiec dojnych), a 450—650 „jaliwnyka“ obejmowało.

Spędzone razem przez właścicieli owce pasą najpierw pasterze przez 2—3 tygodni w małych stadach we wsi, zwyczajnie w łąkach („u łązu“), a gdy się wyuczą razem chodzić, zganiają pewnego wieczora wszystkie do jednej, albo do dwóch koszar i tu spią już razem. Drugiego dnia rano rozłączają owce dojne od jałownika i tak je pasą aż do południa. W południe schodzą się gospodarze i każdy doi swe owce. Gdy się dojenie skończy, mierzy „watah“ mleko od owiec każdego poszczególnego właściciela osobno, a to od mniej jak pięciu owiec w małym szafliczku, zwanym „kawusz“, od większej zaś ilości w „wahowycy“, t. j. rodzaju dzierzy z umocowanym u góry sznurem do podnoszenia. Wysokość zawartego w „wahowycy“ lub „kawuszu“ mleka znaczą karbami (zwanymi „rawaszi“) na krągłym patyku, nazwanym „skała“. Tę skałę zatrzymuje „watah“, każdy właściciel natomiast dostaje „miru“ (miarę mleka) od swych owiec na innym kawałku patyka.

Trzeciego dnia wypędzają już owce w połoniny. Każde „miszenie“ przed wypędem w hale ksiądz błogosławi, pasterze zaś w ostatni wieczór schodzą się razem i zabawiają się („hulajut“) przez całą noc. Przy wypędzie idą w pewnych odstępach od siebie nie tylko poszczególne „miszenia“, ale jałownik i owce dojne. Przez jałownik rozumieć należy barany, „jarki“ t. j. owce, które jagniąt jeszcze nie miały, i „micyki“, czyli jagnięta. A imponująco przedstawia się taki wypęd w hale. Przodem idzie jeden z pasterzy, inni po środku rozdzieleni, a z tyłu jadą „bohaczi“, wioząc na furze wiktuały, tudzież rozmaite potrzebne naczynia. Pasterze jasienscy grają na „fujarach“, perehińscy na „trombetach“, a i na skrzypcach nieraz, od czasu do czasu zaś świszczą głośno w palce, by owce się nie rozbiegały, lecz szły w porządku. Psy owczarskie — często z uwiązanyymi u szyi

patykami, aby zwierzyny po lasach nie goniły — znając swą służbę, idą po bokach i skomlą radośnie. Tu i ówdzie widzieć można owcę, która na chwilę przystanie, a jagnię, ukląkszy na przednie nóżki, ssie łakomie zgłodniałe. *) Daleko też słysząc, jak owce „blejut“ (J.) lub „blajut“ (P.), co przy takiej liczbie sprawia zgiełk nie do opisanie.

Na noclegach improwizują na prędce zagrody, a pasterze siadłszy w otworach zagrodzenia, tuż jeden przy drugim, chwytają cisnące się owce i zdoiwszy je, wpuszczają do wnętrza. W braku koliby rozkładają ognisko pod rozłożystą smereką i tu zaraz po zdojeniu, tak wieczór, jak rano, „budz“ wyrabiają. Tu też nocują.

Żywność i przybory wiozą na furze tak daleko, jak możliwe, a wreszcie zostawiwszy wóz, siodłają konie w kulbaki i objuczwszy je sakwami, beczkami i kotłami, pędzą za „mischeniem“.

Na połoninie stawiają zagrodę, zwaną „zarub“ — oddzielną dla jałownika, oddzielną więc dla owiec dojnych — z przegniłych kłód drzewa, krzaków czyli „runczie“, gałęzi („plastie“) itp. Zamiast wrót, znajdują się w takiej zagrodzie otwory — jeden przy drugim — z zasuwami pionowymi, zwane „strunkie“, w których do podoju zasiadają pasterze. Przed zagrodą — tuż obok strunek — stoi koliba („kołyba“).

Koliba pasterska — to płat dachu z „łubia“ (kory świerkowej), wsparty jednym swym końcem o ziemię, drugim o płatwę spoczywającą na dwóch widełkowatych palach, czyli „sochach“. Przód i boki koliby otwarte, by widzieć i słyszeć można co się dzieje z trzodą. Wewnątrz koliba wyścielona choiną, mchem lub trawą, przed nią tli „watra“. W kolibie na ziemi leżą wiktuały i przybory mleczarskie. Obok „zarubu“ z jałownikiem znajduje się druga koliba.

Pasterze nocują rozdzieleni po obu kolibach, celem ściślejszego dozoru powierzonej ich pieczy trzody. Zdarza się bowiem często, że wilki — ci stali mieszkańcy tutejszych gór — ściągawszy latem w pobliże połonin, wpadają nawet we dnie do zagrody i zabierają owce, a pasterze nieraz z zębów już wyrwać im je muszą. Mimo ostrożności pasterzy i czujności psów brakuje nieraz w jesieni po kilkadziesiąt owiec w jednym mi-

*) Malutkie (późno urodzone) jagnięta idą w połoninę wraz z swymi matkami.

szeniu. W tych kolibach nocują też „domari“, którzy ze wsi przyszedli za budzem.

Dojenie odbywa się trzy razy dziennie. Pasterze, zasiadłszy w „strunkach“ na kamieniach i wzięwszy każdą dojnicę, zwaną „geletką“, pomiędzy kolana, biorą po jednej owcy przed siebie i doją, zwróciwszy ją tyłem ku sobie. A doją z tyłu dlatego, że nie przez pociąganie dójek, jak to u krów ma miejsce, lecz przez ściskanie oburącz wymienia („meryndie“) mleko odciągają. Geletka ma kształt szaflika, który zamiast ucha, w formie średnicy zapuszczony ma patyk u góry.

Wyrobem „budzów“ (sera) zajmuje się „watah“. Udojone mleko zlewa on zaraz do dzierzy zwanej „putyra“, cedząc przez sito druciane, wewnątrz choiną czyli „czetyną“ wyścielone i dodaje jeden lub dwa „połonyki“ (chochle drewniane) „glegu“ (zawartość w jelitach małego cielęcia, które ssie jeszcze), poczem mleko stoi dopóki nie zgęstnieje („ne stane takie u putyri, jak wid korowy w mołoczniaku, jak wże kwasne“). Zgęstniałe mleko rozbija przyrządem, zwanym „bataliw“ w ten sposób, jak gdyby masło robił, a rozbity ser zbiera i ścisza rękami. Pozostałą serwatkę, zwaną „newarka“, wlewa watah do kotła i rozgrzewa, a rozdrobiwszy zebrany już ser, parzy go nią, poczem znowu zbiera i ścisza rękami. Wybrany ser wkładają do „budzowiacz“ (ścierki) i zawieszają, by serwatka ściekła zupełnie, a gdy ostygnie, wybierają i składają w „komarnyku“. Komarnyk taki stoi przed kolibą. Jest to rodzaj stryszka o dachu dwuspadowym z „łubia“, podbitym ze spodu dranicami, a spoczywającym na dwóch sochach, tak, że pod spodem tworzy przestrzeń otwartą, którądy przechodzić można. Na tym stryszku składają gotowe już budzy. Bataliw jest to przyrząd w rodzaju kołotewki, której zęby czyli palce otoczone są drewnianym pierścieniem.

Z pozostałej po wyrobie budzu serwatki wyrabiają jeszcze „wurdę“. Serwatkę gotują w kotłach, a wytworzoną wurdę zbierają drewnianą chochłą z dziurkami, zwaną „girkowec“. Wurdę przechowują w konewkach z nakrywkami, pozostałą zaś żentycę piją pasterze, karmią nią psy, a resztę zlewają do beczulek. Gleg przechowują w drewnianej koneweczce, zwanej „worczoł“.

Budz rozdzielają na wagę. Gospodarz, przyszedłszy na połoninę, daje watahowi swą miarę, a ten porównawszy z odnoś-

nym znakiem „skały“ wymierza nią w kawużu odpowiednią ilość wody zamiast mleka i tę wlewa do wahowyci. W sochę komarnika wbite jest nieruchome ramię, zacięte na końcu, a na niem zawieszona waga, sporządzona przez wataha. Na jednym końcu tej wagi zawieszona jest próżna wahowycia, na drugim zaś w budzowiazie o równej wadze kamienie. Wlawszy odmierzoną wodę do wahowyci, kraje watah budz i wrzuca kawałki tegoż do budzowiaza z kamieniami. Każdy właściciel owiec dostaje 11 takich kawałków budza, z których każdy waży tyle, ile zawarta w wahowyci woda, jako dochód z mleka za cały sezon paszy. Do budza dostaje każdy właściciel odpowiednią ilość wurdy. Jeden budza cały oznacza jeden podój, czyli mleko („mołoko“). Jeżeli tedy gaǳdzie przypadnie w udziale np. dwa budzy, to i wurdy z dwóch podojów dostaje.

Pasterze w dnie postne żywią się czyrem i chlebem, w inne dnie budzem na śniadanie, a kuleszą i wurdą na obiad i kolacyę. Ubranie ich składa się z wysmarowanej masłem koszuli, której przez całe lato nie przebierają, płóciennych spodni, czyli „haczi“, szerokiego rzemienia, onuc, chodaków, krótkiej „kożuszyny“ bez rękawów, którą noszą odwróconą barankiem na zewnątrz, tudzież kapelusza czarnego, filcowego z zatkniętem piórem indyczem, lub piórami głuszca, które znachodzą pod połoninami. W rzemieniu przechowują tytoń, papierki, cygarnice, fajeczki, pieniądze, za rzemieniem widać zatkniętą „fujarę“ (J.) czyli „sweriłkę“ (P.)

Pasąc, grają owczarze jasiońscy na fujarkach, perehińscy prócz tego na „trombetach“, podświsując, lub przyśpiewując od czasu do czasu. Oto niektóre ze śpiewek pasterskich:

Piszły wiwci w połonynu

Biłenki, biłenki,

A za nymi wiwczaryki,

Chłopczi mołodenki.

Piszły wiwci w połonynu,

Jahniatka sia wstały;

Wiwczaryki mołodenki

W palci zaswystały.

Piszły wiwci w połonynu

Blajuczy, blajuczy,

A za nymi wiwczaryki

Hrajuczy, hrajuczy.

Oj oweczki biłenki,

W trawi zaszumiły;

Oj ta wijdy biła d'iwko

Poza nowi siny.

Oj oweczki biłenki.

Biłenkoji wowny

Chto was bude wipasaty,

Jak pidem do wojny?

Oj bude nas wipasaty
Ta chłolec mołodec,

W prawej ruci sweriwoczka,
A w liwij toporec.

Około „druhoji Matki“ (Różdestwo Pr. Bohorodyci — we wrześniu) spędzają owce z połonin i we wsi pasą jeszcze aż do śniegu. Tu grodzą dla owiec koszary z „worynia“ (tj. łat kłutych lub krągłych), które z miejsca na miejsce przenoszą, nawożąc przez to łąki.

Barany dobrze wypasione biją po spędzeniu z połonin, a mięso przechowują w beczkach, nasoliwszy je w pierw dobrze i dodawszy czosnku. Sprzedają je też na rzeź, najczęściej w ten sposób, że „tusze“ czyli mięso pozostawia sobie rzeźnik, skórę zaś zwraca właścicielowi. Skóra i wełna z owiec przedstawiają ogromną wartość dla górala, ze skór bowiem szyją „bundy“ i kożuchy, ze skórek jagnięcych kołnierze i czapki, z wełny zaś wyrabiają sukno na siraki i „wujasze“ (krótkie siraczki), „were-ty“ do nakrywania się i „wołoki“ do „postołów“. Ostrzyżoną z jednej owcy lub barana wełnę zwą „runo“, z jagnięcia zaś „micyk“.

Trzymają po największej części owce czarne, gdyż i skóra i wełna z tych owiec są droższe i potrzebne im do wyrobu ubrań, tak bowiem siraki, jak i „wujasze“ noszą ciemne (czarne, brązowe lub siwawe — zależnie od wełny), sukno zaś białe na chołostni i onuce zakupują najczęściej w sklepach. W ostatnich jednak latach spotykać się dają pomiędzy owcami czarnymi gdzieniegdzie i białe (węgierskie), zakupywane dla ich taniości i dla skór, z których też wyrabiają „bundy“.

Bydło rogate („skotyny“) pasą na połoninach osobnych. Krów dojnych w hale nie wypędzają, tylko woły i jałownik. Pasterze zwani „gulaszi“, ubrani podobnie jak owczarze, nocują w kolibach takiej samej konstrukcyi, jak koliby owczarskie. Żywią się chlebem, kuleszą, kartoflami, mlekiem — gdyż dla mleka jedynie mają jedną lub dwie krowy na połoninie — albo też zentycą, którą przynoszą sobie od owczarzy. Mięsa, ani grzybów piec im niewolno, bo niedźwiedź, poczuwszy woń tychże, przyszedłby do bydła. Zagród dla bydła nie stawiają żadnych.

Konie — jeśli ich nie pasą razem z owcami lub bydłem — wypędzają na zbocza gór z rzadka lasem porośłe i tych zwyczajnie nikt nie pasie. Co najwyżej ustanowiony „koniuchar“ dozoruje, by nie schodziły na droge.

Bydło rogate i konie spędzają wcześniej niż owce, zwyczajnie przed „perszow Matkow“ (Uspenije Bohorod. — z końcem sierpnia), ze względu na przypadający w tym czasie jarmark w Kałuszu. We wsi pasie każdy gospodarz swe bydło na swoich łąkach, z których siano już zebrano. Majętniejsi mają na łąkach takich chaty, zwane „zymiwle“, w których przez pół, a nieraz i całą zimę z bydłem przebywają, gdyż wskutek dalekiej, uciążliwej drogi lub nieraz zupełnego jej braku, nie mogliby przywieźć do wsi zrobionego na łąkach tych siana.

III.

W kolibie.

„Kołyb“ stawia lud tutejszy dwa rodzaje. Jedne w lesie, na składach itp. dla robotników, drugie na połoninach, polankach, pastwiskach dla pasterzy. Mamy na myśli pierwsze z nich, gdyż o tych drugich wspomnieliśmy już poprzednio. Te więc — w przecięciu poziomem — tworzą ośmiobok o zrębie wysokim na 3-4 sztuk drzewa na sobie leżących. Drzewo w ścianach krągłe zazwyczaj. Wewnątrz, przez środek koliby biegną dwie płatwy w kierunku od drzwi ku ścianie tylnej, a każda z nich wsparta na dwóch palach czyli „sochach“. Jedna płatwa od drugiej około 1 m. oddalona, obie zaś wystają tak z przodu, jak i z tyłu koliby aż poza zrąb ścian. Ze zrębu ścian do płatew biegną pochyło umocowane krokwie, połączone łątami poziomo do nich przytwierdzone. Pokrycie dachowe bywa rozmaite — z „łubia“ czyli kory świerkowej, „dranic“ tj. kłótych deszczulek lub wreszcie z rozmaitych kawałków desek i opólków. Dach taki wygląda na stożek ścięty, u góry spłaszczony. Rotunda dachowa przecięta jest u wejścia drzwiami, bądź to orzewkami do słupa umocowanymi, bądź wpuszczonemi w próg i belkę górną. Ponad drzwiami umieszczony jest często na płatach daszek dwuspadowy, który chroni wejście przed deszczem. Przestrzeń pomiędzy słupami drzwi wchodowych, a pierwszymi dwoma sochami, zaszalowana jest często po obu stronach, tworząc przez to samo niejako przedsionek.

Wewnątrz w ściany powbijane są kołki, a na nich wspierają się deszczułki, tworzące rodzaj półeczek, przeznaczonych na łyżki, „kołysziry“ (patyki służące do mieszania kuleszy), garnuszki itp. Łyżki i kołysziry często wtykają też w ściany. Ziemia bez podłogi, wyścielona jest wzdłuż ścian choiną, „łubiem“,

trawą, sianem, albo słomą, a na niej leżą „sakwy“ z wiktuałami. Po środku koliby tli ognisko („watra“), około którego pieczę ma specjalnie w tym celu ustanowiony „kalman“. Zadaniem kalmana jest przygotowanie opału, podsycanie ognia, nastawianie wody na kuleszę, kartofle, bób, groch lub fasolę — w czasie śniadania, tudzież przed nadejściem robotników na „połudенок“ lub wieczерę.

Ściany takiej koliby na zimę z zewnątrz obrzucają darnią.

Życie w kolibie jest nadzwyczaj monotonne. Robotnik, wstawszy rano, myje się lub nie, odmawia pacierze, a zjadłszy śniadanie, składające się z kartofli lub kuleszy (zamięski kukurudzianej) z mlekiem, — w czasie postu z czyru kukurudzianego, kartofli pieczonych lub gotowanych, gotowanych fasoli, bobu lub grochu, suszonych śliwek, nieraz z suchego kawałka chleba — idzie do roboty.

Połudenok i wieczera nie różnią się w potrawach. Mleko często podpuszczają wodą, by go na dłużej starczyło. Nieraz zamiast mleka używają słoniny. Zabierają też mięso z rozjedzonych przez wilki jeleni i z tego w południe lub na wieczерę gotują rosół, czyli „juszke“. Rybacy łowią pstragi i te gotują, lub „babci“, z których zupa ma być wielkim przysmakiem.

Wiktuały jak mąkę, sól, chleb, mleko w koneweczkach z nakrywkami itp. przywożą lub przynoszą w sakwach ze wsi — najczęściej na dwa tygodnie, a po upływie tego czasu wracają do wsi w celu przebrania bielizny i przywiezienia świeżych zapasów żywności.

Przy jedzeniu opowiadają sobie o wypadkach dnia, wydarzeniach i nowinach ze wsi, „prachtykują“ (żartują), a po wieczery lub w święta, wylegują się, opowiadają sobie bajki, przyspiewują lub przygrywają na „drymbie“, albo fujarkach, gdy się zdarzy, że są młodzi chłopcy w kolibie. W dniu świąteczne idą latem niektórzy na połoninę za mlekiem lub żentycą, inni szukają padliny, inni znów łowią rybę.

Po ukończonej robocie odkrywają robotnicy głowy i żegnają się, poczem dopiero schodzą do koliby.

Całodzienne zajęcia ich są nadzwyczaj różnorodne. I tak jedni zakładają i uprawiają szkółki leśne, siejąc w nich nasiona lub sadząc młode rośliny drzewne, używając przytem „czakanów“, ryskali, czyli „łopat“, grabi żelaznych, taczek, lub noszy ręcznych, zwanych „szaraglami“. Inni sieją nasiona lub sadzą

młode drzewka w zrębach („robiet u sijanci“ albo „sadiet zrub“), używając do tego motyk, czyli „sap“, inni znowu zajęci wycinaniem nowych dróg, lub naprawą starych, jako to dowożeniem i rozrzucaniem szutru, tłuczeniem kamieni, kopaniem rowów, budową mostów, przepustów (kanałów), kaczyc, odboi („krył“) i suchych murów, do czego znów, prócz wymienionych wyżej narzędzi, używają krat żelaznych do przesiewania szutru, kołów żelaznych czyli „sztangli“ do podważania skał, młotków do tłuczenia i obrabiania kamieni, „dziubin“ do wykręcania i ściągania drzewa, świdrów, siekier i pił. Prócz tych robót zajmują się również wyrębem lasu, używając przytem głównie piły i siekiery.

Wyróbka drzewa oddawana bywa w przedsiębiorstwo „kieronom“, a należytość wypłacana bądź od stopy kubicznej („wid kubika“), bądź od sztuki drzewa wyrobionego. Taki kieron przyjmuje sobie ludzi i tych najczęściej wedle dni roboczych wypłaca. Przy ścinaniu drzewa każdych dwóch ludzi tworzy t. zw. „piłę“. Drzewo ścięte i okorowane („łupłene“ w lecie gdy kora daje się oddzierać, lub „szlajchowane“ — gdy kora przystanie i trzeba ją sciosywać siekierą) spuszczają do dróg („honiēt“) i to albo po uboczach i zworach, albo zapomocą zbudowanych ryz („ryzujut“).

Drzewo wyrobione i spuszczone w „mygły“, albo „łusznyci“, oddawane bywa następnie kieronowi w celu dowozu do składów, przyczem tak kieron, jak poszczególni furmani od stopy kubicznej wypłacani zostają.

Wywózkę taką zwą „sztrajfowaniem“, ludzi, którzy ładują drzewo na sanki „nabyralnykamy“ lub „terchacziemy“. Sanki krótkie, na których tylko jeden koniec drzewa jest przywiązany, podczas gdy drugi wlecze się po drodze, zwą „grendzoły“. Do przywiązywania drzewa na sankach służy „łanc“ z „lonami“ tj. grubymi gwoździami na kółkach, nawleczonych na łańcuchu.

Z drzewa dowiezionego wycina się na składach, stosownie do jego dobroci i długości kłoce 2, 3 i 4 sążniowe, tudzież budulec 5 do 12 sążni długi z odpowiednim nadmiarem, potrzebnym do umocowania wiązań przy zbijaniu spławu. Każdy sortyment na 2—3 pokładach, zwanych „pilhy“, składany bywa oddzielnie w stosy, czyli „mygły“, ciągnące się rzędem w oddaleniu zaledwie 1—2 m. od siebie nad brzegiem rzeki. Ludzi zajętych przy mygłowaniu zwą „mygłasziemy“ (J.), lub „mygła-

szamy" (P.). Drzewo w mygłach złożone jest cieńszym końcem na dół, grubszy zaś w kierunku źródeł rzeki tak, jak to jest potrzebne do zbijania spławów. Tak przy ładowaniu drzewa na sanki, jak i mygłowaniu używają narzędzi, zwanych „dziubnikami" i „gryfami". Pierwsze z nich mają kształt dzioba sepa i służą do ciągnięcia i wykręcania drzewa, drugie kształt cztero-graniastego szpica o końcu zagiętym nieco i służą do podnoszenia, przesuwania i taczania drzewa. Tak jedne, jak i drugie osadzone są na długich rączkach, czyli „sztylach".

Grubsze sztuki drzewa (kłoc podwójne) zwą „gency". Z drzewa cienkiego wycinają wiosła (drugary), zwyczajnie 9 m. długie, z odcinków drzewa grubszego poprzeczki, czyli „porruhy" 4 m. długie, służące do wiązania spławów, cieńsze wierzchołki zaś służą na stolce spławowe („stilci"), na których przytwierdzają wiosła, czyli „kiermy".

Ubranie robocze górala składa się z „szmatia" (J.) czyli „riendia" (P.) tj. koszuli i spodni płóciennych („haczi"), zimą zaś z „chołoszni" wełnianych i bawełnianej najczęściej koszuli, dalej z rzemienia, torby czyli „taszki", onuc i chodaków, czyli „postołów" z „wołokami" wełnianymi, rzadziej rzemiennymi, kapelusza względnie czapki baraniej, siraka, albo krótkiego siraczka, zwanego „wujasz", a w zimie jeszcze „bundy" tj. kożucha bez rękawów, lub też „kożuszyny" krótkiej z rękawami. Niektórzy, zamiast siraka i bundy, ubierają kożuch długi z rękawami.

Podnieść tu jeszcze należy, że w miejscu, gdzie został robotnik zabity przez spadające drzewo, lub piorun, stawiają zaraz towarzysze pracy niewielki krzyż drewniany, jednoramienny — a krzyże takie nierzadko spotyka się w tutejszych górach.

IV.

Wesele w Jasieniu.

Kiedy parobek upatrzy sobie dziewczynę na żonę, posyła starszego gazdę — zwykle krewnego — „na swad'bę" do niej. Gazda, porozmawiawszy trochę, powiada wreszcie w jakim celu przyszedł, a rodzice zapytują od kogo i dowiadują się o bliższe szczegóły, dotyczące osoby parobka, poczem goszczą go jadłem i napojem, gdy pije.

Po odejściu gazdy powiadają, że „żenychie były".

W dzień lub dwa — gdy się rodzice dziewczyny poradzą — idzie ktoś starszy z rodziny z odpowiedzią do rodziców parobka.

Jeśli dziewczyna odmówiła parobkowi i ten, kto zawiadomił o tem rodziców jego, wychodzi od nich z chaty, szysz, że „przykietyla berbenyciu“, gdy zaś dziewczyna parobka przyjęła, goszczą go rodzice młodego, a wieczór idzie młody z ojcem i gazdą, który chodził „na swad'bę“, „na zholdu do widdanyci“.

Przy zgodzie staje często dziewczyna obok parobka i szepce mu, czego ma żądać w posagu.

Jeżeli zgoda co do wiana nastąpi, to goszczą przybyłych rodzice widdanyci.

Odtąd narzeczeni zaczynają się uczyć pacierzy. Gdy dają bowiem na zapowiedzi, egzaminuje ich ksiądz z modlitw i jeśli które dobrze nie umie — co najczęściej zdarza się u dziewcząt — „prowodyt jeji“, a ona za nim powtarza, poczem odsyła ją jeszcze na naukę do diaka, za co mu płacą od 4 do 6 koron.

Po ogłoszonych zapowiedziach idą narzeczeni ze swymi ojcami, mając każde po dwóch świadków, „do protokołu“ do księdza, a na drugi dzień następuje t. zw. „winec“.

Z południa zaczyna grać muzyka tak u młodego, jak u młodej.

W dzień wiją „żony“ u młodej wianek dla młodego. Zatkawszy nóż w bochenek chleba, przywiązują doń sznurki, a na tych wiją wianek z listków barwinku, poczem złocą go pozłótką. Przy tem siedzi zwyczajnie młoda z družką, a „żony“ przyśpiewują przeciągle, czyli „ładkają“. Następnie tak młodą, jak i družkę ubierają jednakowo.

Na głowę zaczesaną w dwie kosy, spuszczone na plecy, nakładają dużą chustkę wełnianą w jedwabne pasy wokoło, zazwyczaj czerwoną lub czarną, znaczoną w kółka (tak zw. „grejcarową“), którą wiążą w ten sposób, iż złożonywszy ją we dwoje (w trójkąt) zawijają w nią szeroki na dłoń pas grubego papieru, najczęściej z cukru, a założonywszy ją na głowę, owijają tak, że dwa jej końce spinają z tyłu głowy szpilką, trzeci zaś po wierzchu ich zwisa. Na czole — od ucha do ucha — do chustki z zawiniętym papierem przypinają poziomo kilka wstążek („byndiw“) czerwonych, jedwabnych, a poza papier zawinięty w chustkę zatykają pióra pawie, które okrywają zupełnie szczyt głowy, tudzież „kosycię“ kupną, sterzącą nad czołem do góry.

Na siebie ubierają białą koszulę „riesneną“ (składaną w drobne fałdy), biały „fartuch riesnenyj“, zastępujący spódnicę i zeszyty jak ona, a po nim „zapaskę“ kupną, białą, która „sama sie riesnyt“. Koszula na „dudach“ wyszyta, zdobna w wstawki na ramionach, a fartuch i zapaska wyszyte są u spodu. Opasują się „krajką“ czerwoną w zielone i białe lub żółte paski, tak długą, że się nią kilka razy owiną. Szyję przybierają „bynda“ (wstążką jedwabną), koralami i sztucznymi perłami, na nogi wdziewają buty.

U młodego przygotowują swachy wieczorem „korowaj“ z mąki pszenicznej lub żytniej razowej, ubierając go kwiatami z ciasta („cyckamy“), przyczem ładkają. Następnie, gdy ojciec młodej przyszedł z wiadomością, że mogą przyjść po wieniec i gdy „korowaj“ wsadzono już do pieca, idzie młody, ubrany w czapkę baranią tak latem jak zimą z ojcem swym, družbą, starostą, starszymi gazdami, parobkami, którzy umieją śpiewać, i muzyką swą „po wineć“ do młodej.

Kiedy u młodej posłyszą, że przyszedli już i śpiewają przed chatą, zamyka starosta młodej drzwi z nadworu i czeka w sieni ze świecą w ręku, starosta zaś młodego bije pięścią do drzwi i woła: „Starosta seho domu proszu“. Starosta młodej, otworzywszy, powiada: „Szo tutka za zbuji pryjszły?“, a starosta młodego „prachtykuje“ (żartuje), że szli rąbać drzewo, lub coś podobnego, a „że sie opoznyły“, proszą, by ich na noc przyjęto. Starosta młodej odmawia jednak i zamyka drzwi znowu. Ceremonia ta powtarza się po trzykroć. Za trzecim razem dopiero wpuszczają ich do chaty, schowawszy młodą do komory, w czasie czego starosta młodej pokazuje koszulę, którą młoda ze swego płótna uszyła młodemu, starosta młodego natomiast pokazuje „rantuch“ przez młodego kupiony dla młodej, a wymieniwszy je, zasiadają goście młodego wraz z młodym za stołem nakrytym „skatyrką“. *)

Teraz przygrywa tu muzyka młodego, podczas gdy muzyka młodej odchodzi do którejś z chat sąsiednich i tam gra, dopóki ta nie odejdzie.

Siedzący za stołem starosta młodego odzywa się do starosty młodej, by sobie ręce podali, a kiedy tenże wyciągnie swą rękę, odpowiada pierwszy, że „naszi ruki stari, zamaszczeni, nam

*) Skatyrka = płótno grube, podłużne, w kształcie ręcznika, tkane w pasy czerwone, w którym niosą paski do święcenia.

treba biłych, u perstenioch“ itp. Przyprowadza tedy starosta młodej jakąś babę, owinąwszy jej palce słomą (zamiast pierścieni), na co rzeczce starosta młodego: „E to wy sobi schowajće, to ne wid nas para, my poza toji wże sie raz hostyły, my chozczemo mołodoji“. Przyprowadzają więc jakąś dziewczkę, włożywszy jej klucz na palec, na co starosta młodego znowu się odzywa: „To ne wid toho para, my kołyś budem poza neji takož żyty, pyty, meni dajće z takimy zołotymy perstenimy“, przywodzą tedy družkę, której również starosta młodego nie przyjmuje, odpowiadając: „To wid seji paru dajće nam, toto takož kołyś bude, ałe teper nam dajće taku z rohamy, pawy aby buły“ itp. Wreszcie wprowadza starosta młodą, która stanąwszy jedną nogą na ławkę, drugiem kolanem oparłszy się o stół, przechyla się i uwiązuje młodemu chustkę u rzemienia (tę samą, którą przed ślubem przywiązują mu do rękawa), a młody pocałowawszy się z nią, płaci jej parę koron, dając przez rękaw siraka pieniądze, które młoda również przez sirak odbiera, — lub też nieraz młoda, sięgnąwszy w rzemień, sama wyjmuje przygotowane w tym celu pieniądze. Obecni nakrywają im wtedy dłonie czapkami, przez co tworzy się formalna góra czapek i przytrzymując je rękami, błogosławią: „na woły, na korowy, na wiwci i na dityj kopyciu“.

Po rozebraniu czapek powiada starosta młodej: „Wżeście sie zahryły, może wam parno, porozhortajće kożuchie, bundy“, na co znowu starosta młodego odpowiada: „Wyby nas chot'ily zrabuwały“, a pierwszy rzeczce: „My ne taki lude“. Starosta młodego wreszcie prosi „dajće meże nas korole, bo my ne bezpeczni“, wskutek czego starosta młodej przynosi obręcz, potem wieniec ze słomy, potem z choiny, „prachtykując“ przy każdym, a gdy starosta młodego przyjąć nie chce, wchodzi młoda z wieńcem z barwinku — niosąc go na bochenku chleba, na którym go wito — i położywszy chleb na stole, całuje się z młodym i zawiązuje mu wieniec na głowie, wokoło czapki, za co tenże daje jej w rękaw pieniądze przez rękaw swego siraka.

Obaj starostowie „prachtykują“ dalej ze sobą. Starosta młodej pokazuje garnuszki, z których rzekomo pić mają, starosta młodego nie przyjmuje ich, aż w końcu podadzą szklankę i częstują się — najpierw piwem, które przyniósł starosta młodego ze sobą, a następnie dopiero tem, które wnosi starosta młodej — przyśpiewując przytem, poczem zasiadają do jadła

i bawią się do późna w nocy. Młody atoli nie je ostatniej potrawy, skosztuje tylko i idzie prędko z drużbą do siebie, gdzie matka przez „skatyrkę“ zdejmuje mu wieniec i wrzuca do pieca. Zapłaciwszy matce parę koron za to, że pierś jej ssał, wraca zaraz młody wraz z drużbą do młodej.

W tym czasie kiedy młody wyszedł, wiją u młodej dla obojga wianki ślubne w ten sam sposób, jak pierwszy wieniec, przyczem młoda siedząc, trzyma przez rękaw siraka owies, miód i czosnyk w ręku. Wianki te leżą na chlebie, na którym le wito, aż do chwili, kiedy młodych do ślubu w nie ubierają. Często jednak wiją odrazu wszystkie trzy wianki.

Drugiego dnia chodzi młoda z drużką po wsi spraszać na wesele, przyczem kobiety proszone dają jej „powisma“ (przędę), które zbiera drużka, młoda zaś zbiera kwiaty na „kosycię“ do ślubu. Przez cały ten dzień grają muzyki w chatach obydwójga młodych, gdzie bawią się i tańczą.

Trzeciego dnia zrana przychodzi młody z drużbą, starostą, parobkami i muzyką „do uboryn“ do młodej.

Nim wejdą do chaty znowu trzy razy zamyka i otwiera drzwi starosta młodej, zanim ich wpuści do sieni. A kiedy już wejdą, zasiadają młodzi w sieni na ławce („wslin“), przed którą stoi dzierza nakryta „skatyrką“, a na niej dwa bochenki chleba i wianki. Pod nogi kładą im jarzmo i snop owsa. Brat młodej zdejmuje jej chustkę z głowy, rozplata kosę i rozczesuje włosy, rozpuszczając na plecy, a „żony“ (kobiety zameżne) wkładają jej na głowę pozszywane w kształcie czepca „byndy“ (wstążki) kolorowe, które z tyłu głowy zwisają rozpuszczone aż do pasa, nad czołem zaś przyszyte są do włożonego nań wianka. Za wianek — z tyłu głowy — zatykają bukiet z zieleń zw. „wasyluk“, „czystec“, „postaja“ itp., na ramiona narzucają „namit“ tj. płótno cienkie, białe, w kształcie ręcznika wyszyte, wokoło którego końce zwisają aż do pasa.

Potem wkładają wieniec młodemu na czapkę, a przy wkładaniu wianków ładkają (wymawiają: łatkajut):

Oj to naszym susidoczkam
Dywnieńko, dywnieńko;
Ide doni do śluboczku
Iz kim ji myleńko.

jeśli młoda jest sierotą :

Oj zacwyła riesna hruszka,
Hyż sie rozcwytaje;
Oj diwczyna rano płacze,
Bo mamki ne maje.

i t. p.

Wreszcie owijają i przypinają młodym na rękawach u prawej ręki duże wzorzyste chustki czerwone, lub czarne, które zazwyczaj młoda nosiła na głowie.

Kiedy młodzi powstaną z ławki, starosta młodego prosi rodziców i rodzinę o błogosławieństwo dla nich. Następnie drużba, trzymając w jednej ręce „kołokiłce“ (tj. 4—5 kałatawek, umocowanych na patyku), które od początku wesela nosi przy sobie, drugą ręką bierze młodego za chustkę u rękawa — podczas, gdy ten trzyma za takąż chustkę młoda — i tak obszedłszy dziedzę trzy razy dokoła, wyprowadza ich z chaty, robiąc we drzwiach „kołokiłcem“ trzykrotnie znak krzyża.

Do cerkwi idzie przodem muzyka, starosta młodego i parobcy, za nimi idą młodzi z drużbą i drużką, a wkońcu „świtywka“ tj. druga drużka, zwyczajnie siostra młodego, zamężna lub nie, zawiązana jednak chustką, jak mężatka.

Przy ślubie wkłada ksiądz młodym korony na głowy, oraz zarzuca „namit“ młodym obojgu na szyje i zbliża ich głowy do siebie. Starosta młodego niesie w sakwach do ślubu dwie „strucle“ i płótno, zwane „kryżmo“, na którem kłękają młodzi — dla księdza. Pod nogi młodym kładzie drużba po cencie, które następnie zabiera sobie diak, pałamarz zaś bierze kryżmo rzuca na bok, a następna para młodych przyszedłszy (zwyczajnie jednego dnia odbywa się po kilkadziesiąt ślubów), ścieli swoje. Przy ślubie przysięgają też młodzi, że pić nie będą gorących napojów.

Od ślubu młoda wzięwszy drużkę pod „namit“ — aby się prędko wydała — wychodzi tak z nią za próg cerkwi, a następnie wraca z nią do swej chaty, młody z drużbą, „switywką“, starostą, parobkami i muzyką wraca do swojej. Tu przed chatę — tak u młodej, jak i u młodego — wychodzi matka i gości ich kołaczem z miodem, przyczem nożem od miodu maści przybyłych po twarzy.

Pogościwszy swych gości, idzie młody z drużbą spraszać kobiety „w swachy“. Te, przyszedłszy, ubierają „sosnę“ włóczką

czerwoną, bukiecikami z białych wstążeczek papierowych i kłosów owsa, barwinkiem, wasyłkiem, poczem złocą ją pozłótką i zatykają w „korowaj“ opasany krajką.

Podczas ubierania śpiewają:

Oj sosna — każe — sosna,
Sosna zełeneńka,
Tos neznaw towarzyszu
Kotra ty myleńka.

i t. p.

Wreszcie „swachy“, wsiadłszy na furę i wziąwszy „korowaj“ na kolana, jadą, młody zaś, niosąc w zanadru bułkę i chleb pod sirakiem, z resztą drużyny weselnej i muzyką idzie pieszo — po młodą.

I znowu „prachtykują“, zanim ich wpuszczą do chaty, przyczem często palą z pistoletów.

Kiedy drzwi otworzą, pierwszy wchodzi drużba i płaci kilka centów małemu chłopcu — którego umyślnie w tym celu posadzono obok młodej — za miejsce dla młodego. Gdy młody wejdzie, młoda, siedząc za stołem, łamie chleb, i rzuciwszy trzy razy na niego, skłania głowę na stół, a drużka kładzie jej na głowę kołacz, przytrzymując rękami. Młody, przystąpiwszy, podnosi jej trzy razy głowę razem z kołaczami, a wreszcie siada za stołem koło niej. Obok młodej siada drużba i swachy, a obok młodego „świtywka“, drużba natomiast, wyszedłszy, pilnuje fury, by zbyt późno nie robiono. Zdarza się bowiem, że parobcy powyciągają zatyczki z osi, a gdy młoda wyjedzie, koła pospadają.

W izbie tymczasem się goszczą. Młody kraje przyniesioną bułkę, a młoda rozdziela między rodziców, rodzinę i sąsiadów, przyczem „żony“ ładkają:

Oj zaświty misiaczeńku
Nad namy, nad namy;
Zbysraj sie donunczko
Iz namy, iz namy.

Ne płacz, ne płacz donunczko
W nas połe riwneńkie;
Bude tobi za Pyłypom
Łyczko rumianeńkie.

Oj kowała zazuleńka
 Tam, de ne kowaty;
 De mnie mamka ne rodyła
 Tamby przywykaty.

i w. i.

Przy gościnie młodzi jedzą jedną łyżką, aby przyszłe dzieci wiele nie jadły. W końcu i družba wchodzi do chaty, a przekąsiwszy gdzie co w komorze, skacze z „kołokiłcem“ naprzeciw družki i śpiewa:

Hej hyła, hyła,
 Huseczki na staw;
 Koby ja w družki
 Chustynu distaw.

Hej hyła, hyła,
 Reszeto bobu;
 Jak tobi, tak meni,
 Tak mołodomu.

Jak siuda, tak tuda
 Wse połe riwne;
 Jak tobi, tak meni
 Hułaty wilno.

Dobra kapusta
 Na sołonyni,
 Dawała družka
 Żydowy nyni.

Hej hyła, hyła
 Biliji husy,
 Ne kałamut'ę
 Wody Hanusy.

i wiele innych w ich mniemaniu dowcipniejszych.

Podczas tego poddružbi trzaska polanem o stół, wtórując niejako družbie. Družka natomiast wywija chusteczką przed družbą i kiedy tenże chce jej ją wyrwać, ta przy pomocy swach wydziera mu „kołokiłce“. Družba nie odebrawszy chusteczki, wrzuca w miskę stojącą przed družką pieniądze, a ta klaszcze w dłonie („plesze“), by dalej skakał. I znowu wywija mu chustką popod nos, gdy ten, śpiewając, skacze z „kołokiłcem“. Wreszcie — widząc iż ma już dość pieniędzy — zarzuca mu chustkę na oczy, on zaś chwyta ją i ciągnie przez stół na środek izby, gdzie tańczą oboje — zazwyczaj trzy razy — ze sobą.

Po tańcu wyprowadza družba młodych za chustki z za stołu, ci zaś kłaniając się po trzykroć przed każdym z rodziców i rodziny — którzy siedzą na ławce — całują się z nimi na pożegnanie, poczem družba, robiąc znowu w drzwiach „kołokiłcem“ trzykrotnie znak krzyża, wyprowadza ich z chaty.

Przed chatą, gdy młoda pożegna się z dziewczętami i ko-

bietami, wysadza ją młody na furę, na której już poprzednio umieszczono jej skrzynię z rzeczami, chłopcy zaś chwytają co mogą i pakuja na furę.

Obok młodej siada „świtywka“ i odjeżdżają do młodego. Młody jednak z drużbą, starostą i parobkami wraca z ulicy przed chatę i tu goszczą ich jeszcze.

Młoda, przyjechawszy przed chatę młodego, czeka, aż ten z resztą gości nadejdzie i zdejmie ją z fury, a gdy to nastąpi, wypręga sama konie lub woły z wozu, on zaś bierze snop owsa i rozwiązawszy go, wyściela jej drogę do chaty. Podczas tego „swachy“ ładkają:

Zahrij sonce kroz wikonce,
Zahrij do komory;
Ustań, ustań newistoczko
Puskaty korowy.

Ustań, ustań newistoczko
— Bodajes ne wstała —
Ta popuskaj korowyci,
Szo ty maty dała.

Meni mama ta ne dała,
Bo sama ne mała —
Abym toty popuskała,
Szom tujka zastała.

i t. p.

Wreszcie matka młodego, wzięwszy swą „newistkę“ pod bundę (aby się nie patrzyła w piec), wprowadza do chaty i sadza za stołem, a drużba gości ją, podając w łyżce popiołu lub węgla, kota w rzeszocie itp. — poczem młoda rozdziela pomiędzy rodziców młodego przywiezione „sztrucle“, rodzeństwu zaś daje bułki, a drobnym dzieciom sąsiadów, które się poscho-
dzą, małe bułeczki.

Potem bawią się i tańczą aż do „propoju“.

„Propij“ robią wieczorem. Starosta młodej, przyszedłszy z jej rodzicami i rodziną, sąsiadami i muzyką do młodego, znowu trzykrotnie dobywa się do drzwi, zanim go wpuszczą, niosąc w sakwach podarki młodej dla rodziny młodego — kobiety zaś niosą „korowaj“ wraz z „sosną“. Za trzecim razem wychodzi matka młodego z owsem w zapasce i gdy przybyli z „korowajem“ ustawiają się w koło, drużba wyprowadza młodych, trzymających się za chustki wraz z drużbą i drużką, którzy z muzyką obchodzą koło trzykrotnie, a matka obsypuje ich owsem. Kobiety podczas tego znowu ładkają.

Ponieważ wraz z gośćmi młodej przysła i muzyka jej, przeto muzyka młodego odchodzi do chaty sąsiedniej i tam pozostaje dotąd, dopóki ta nie odejdzie.

Wszedłszy wreszcie do chaty goszczą przybyłych. Młoda zasiada wraz z rodzicami, starostami i „propijcami“ za stołem — w czasie czego starosta znowu „prachtykuje“ z garnuszkami — a gdy wkońcu wniosą kieliszek, młoda przepija do każdego z obecnych (udając naturalnie, że pije), za co jej w misce z kawałkiem chleba wrzucają pieniądze. Kobiety w czasie tego ładkają. Starosta młodej zaś, wyjmując z sakiew podarki, wywołuje każdego z rodziny młodego, a družba — ubrany w krajkę zdjętą z korowaju — kraje korowaj, który starosta rozdziela po kawałku nakrywszy podarkiem. Podarki te z rąk starosty młodej odbiera starosta młodego i znosi je do komory. Ojciec dostaje zawsze płótna na koszulę, bracia na rękawy do koszul, a matka i siostry na zapaski.

Po rozdaniu podarków młoda tańczy jeszcze we wianku, a wkońcu wiodą ją do komory, gdzie młody bierze ją na kolana, a matka lub siostra jej zdejmuje jej wianek z głowy i chowa do skrzyni. Wianek ten palą w Wielki czwartek, rozpaliwszy w piecu na paskę. Następnie młody, zaczesawszy żonę w jedną kosę, zakłada jej czepiec — który ona, zrzucając wciąż z głowy, za trzecim razem dopiero przyjmuje — i chustkę, którą siostra młodego po młodycku jej zawiązuje.

Gdy młody wyprowadzi żonę z komory, tańczą jeszcze do rana, lub nieraz i dłużej, parobcy zaś przyspiewują:

Družbo — każe — družbo
Tożby tebe byty,
Bo ty tilko ne zadružbyw,
Szoby w puszki wziety.

staroście:

Jaka bida w Łypowycy,
Taka w Suchodoli,
Jakaś bida pidolleła
Starostu w komori.

a gdy ich starosta pogości:

Hej družbońki, starostońki
De sie podijemo,

Ta jak sese wesileńko
Tutka wiżyjemo.

A. jak sese wesieleńko Haj to my sie izberemo,
Tutka wiżyjemo, Na druhe pidemo.

W końcu się rozchodzą i wtedy muzyka młodej odchodzi z jej rodzicami i gośćmi, a wraca od sąsiada muzyka młodego.

W obu chatach weselnych grają muzyki przez cały dzień jeszcze, a w dniu tym znoszą znajomi młodym podarki, jak „sztrucle“, zboże, lub mleko, za co ich goszczą. Wieczór zaś następuje „hostyna“. Starosta młodego przychodzi z młodymi, drużbą i drużką, rodzicami i gośćmi młodego, tudzież muzyką do rodziców młodej. Ubrana w „rantuch“ młoda, której strzedz jest obowiązkiem drużby, często się przybyłym wymknie, a wbiegłszy do chaty chowa się poza dziewczętami, starosta młodego zaś „prachtykuje“ znowu, dobijając się do drzwi, zanim ich wpuszczą, a gdy wreszcie wejdą, zasiadają za stołem, obecni zaś w chacie goście weselni odchodzą z muzyką swą do chaty sąsiedniej. Po gościnie, trwającej 2—3 godzin, rozchodzą się goście, starostowie, drużba, drużka i muzykanci do domów, młodzi zaś wracają do siebie — do chaty młodego.

Jeśli młody „przystaje do młodej“, cała zabawa weselna odbywa się tak samo w obydwóch chatach weselnych, tylko młoda po ślubie wiozą bez skrzyni do chaty młodego, a po „hostyni“ zostają już młodzi u rodziców młodej.

Zaznaczyć wkońcu wypada, że tak zięcia, jak i szwagra nazywają jednym mianem „ziet“.

(C. d. n.).

Przyczynek do słownika gwary mazowieckiej.

Jako przyczynek do słownika gwary mazowieckiej podaję tutaj garść wyrazów, wyrażeń, przysłów i zwrotów przysłowiowych, które w ciągu lat 1908—1910 udało mi się zanotować w Sierpcu i najbliższej jej okolicy.

A wej, a oto. A wej páli papiérosa. Porów. Prace fil., V., 915,

Bogać nie, Bogać ta nie, Bogać. Używa się stale jako odpo-wiedź potakująca na zadane pytanie. — Chorzy jesteście? — Bogać nie.

Chlustać, skakać. Chluśnies na wóz? Já chlusne.

chrapy, bagna. Chrapunia, wieś w okolicy Biezunia. Ze tam ogromne były chrapy i tam późni wieś pobudowali.

cienki, st. w. tniejszy. Za tniejszy (szpagat) to 12 groszy chcieli. Małokto powie: cieńszy, ino: tniejszy.

cigieǳ, cień, rzucany przez drzewa. Jak gdzie słońce jęsce sie nie nawróci, to od tego drzewa taká jest cigieǳ, taki chłód, a jak sie słońce nawróci, to cigieǳ znowu odchodzi. Jak to sie wszystko rozwinie (krzewy i drzewa w ogrodzie), to taka cigieǳ będzie, że słońca nie będzie widać. Porów. H. Łopaciński, Prac. fil. V, 722 i A. Brueckner, tamże, VI, 623.

cirzkać = cirzpać, czerpać. Cirzkać wodę. Pół kubła sie nie zacirzknie. Nie dajcie darmo zacirzknać wody. Niech pani niedá cirzkać z tamtego podwórzá.

cirzpliwy, cierpliwy. Ón jest cirzpliwy (wytrzymały) na rękę. Gardy, hardy, wybredny. A przytym ón (pies) taki gardy, byle cego zréć nie chce.

gorączka, upał, spiekota, gorąco.

gulu, gulu, wykrzyknik, służący do nawoływania indyków.

gule, gulusie, indyki. Porów. K. Nitsch, Materyały, III, 273. Hrzébiet, grzbiet (krowi)

Jażwy, jamy. W takich jażwach mieszkają (o mieszkaniach stróżów warszawskich), Gąsewo, pow. płocki. Porów. jazvina, dziura w ziemi (u Bojków). D. J. Wahylewicz, Časop. Česk. Mus. 1841, I, 52.

jecy, obdarzony dobrym apetytem. Jesce jak kto jest jecy, zje sporo, to téz zaszkodzi. Porów. S. Ciszewski, Prac. fil., VII, 206.

Kopańka, niecka. Porów. K. Nitsch, Materyały, III, 170.

korzystka, rączka u dyszla przy wózku ręcznym.

krawczka, krawczyni. Porów. K. Nitsch, Materyały, III, 126, 170, 180, 280.

kurpiarz, łatacz. Taki parták, co ón ino partá, nie robi nowego. Na pytanie skąd pochodzi nazwa plemienna: Kurpie, odpowiedziano mi: «To zupełnie óni już z rodu kurpiárze».

kurpie, stare obuwie, skupowane przez szewców bądź to do wyreparowania, bądź to na obcasy do nowych trzewików i butów. Tych kurpi (pogardliwie) to panu nikt nie zabroni (robić: ni dęsc, ni mróz. (Sąsiad stolarz do sąsiada szewca, oburzony nań za to, że w dzień odpustowy, nie zważając na święto, szył wczesnym raniem buty).

kuśper, człowiek krótkopalcy, krótkie palce u rąk mający. Wyzwisko.

ksiądz, dop. księża. Ci, co to tego księża pilnowali. (Może tylko indywidualne).

Ligęzić się, łąsić, przymilać się. On (pies) co rano przyjdzie, tak mi sie będzie ligęził, zeby iść. Inna osoba, na pytanie, co znaczy: ligęzić się, takie dała objaśnienie: Jak sie pies upokorzy i podchodzi pod swego pana. Ztąd ligęza = lizus, przymilacz, pokornik, służka uniżony, skamieniałe w nazw. Ligęza. Piotr Ligęza około r. 1556 starosta sławkowski. Dziś istnieje w Sławkowie rodzina Ligi-zińskich t. j. Ligęzińskich, Ligęzińskich.

Łaguny, legary do których przybija się podłogę. Porów. nazw. Łaguna.

Na. Niema pana na ogrodzie. Na widerach = na oczach, na widoku. Stoją tak na widerach (buty); jakby kto wsed, to zaraz może wziość. Gąsewo, pow. płocki. Na zaráte. Chowá sie, jak na zaráte, t. j. szczęśliwie, zdrowo. Milanówek, pod Warszawą.

narościć się. To się pani kurka narościła, jajek naniesła. Narościła sie jedna (kura) — zniesła trzy (jaja); narościła sie druga — zniesła coś ćtery.

nierozum, eufemistycznie zam. obłąd. Jak ją chwyci ten nierozum.

Obiata, nabiak.

ochotować, mieć ochotę, chęć. Tén starszy (brat) ochotował ubić tego młodszego (brata), a tén młodszy sie jakoś uwinon i ubił tego starszego.

opojarzyć, odsadzić od siebie. Porów. Prac. filolog. VI, 624.

osiory, grube otręby tatarczane, używane do pasienia wieprzy. Porówn. A. Brueckner, Prac. filol., VI, 592, i VII, 233, p. w. jesiory.

Paśnik, pastwisko. Porów. K. Nitsch, Materyały, III, 276.

pieják, kogut.

plażyć, skutkować, pomagać (o lekarstwie).

plusk, deszcz, psota. Taki plusk. Porów. Nitsch, Materyały, III, 276.

podawać się w co, Já sie tam nigdy nie podaje w pokore. polecieć, poletę. Ostawie książki i polete.

pośluzisto. Sanie mają być na końcu zrobione tak pośluzisto. Porów. z pośluzia. H. Łopaciński, Prac. filol., V, 963.

przeterty, przetarty. Ocy má juz przeterte, to juz dość. (O dziewczynie, która chodziła do szkoły początkowej). Gąsewo, pow. płocki.

przynajęść się, najeść do sytości. Nie dá sie krowie przynajeść.

Racławek = Włocławek. Gąsewo, pow. płocki.

renkiel, człowiek, mający jakiś feler w ręku, np. mający krzywą rękę. Wyzwisko.

rozparzeniec. Taki rozparzeniec. O człowieku, który nie chce się przyznać do chłopskiego pochodzenia i udaje szlachcica, dmie się.

ryntowny, wołowy. Mięso ryntowne. Porów. K. Nitsch, Materyały, III, 172, 278.

Rusek, Rosyanin. Porów. K. Nitsch, I. c. 278.

Sądy, nosze do noszenia wody w wiadrach.

Tertak, tartak.

toten, tota, toto, ten, ta, to. Porów. Prace filol., V, 915.

tople, topole. Wiatr powywracał tople.

Ubiedrznia, szczyt boku wąwozu. Boki wąwozu są to niby nogi ludzkie. Szczyt każdego boku wąwozu odpowiada temu, co się nazywa w nodze biodrem. Ztąd przestrzeń, przylegająca do każdego wąwozowego biodra zwie się: ubiedrznia. Porów. H. Łopaciński, Prac. fil., V, 919; K. Nitsch Materyały, III, 281; J. Karłowicz, Słownik gwar polsk. p. w. nabiedrznik, nabiedrek i A. Brueckner, Prac. fil., VII, 175. Prof. Brueckner słusznie, zdaniem mojem, oponuje przeciwko twierdzeniu, iż ubiedrznia krewni się etymologicznie z berdem.

ulać ogień, zalać, zagasić ogień. Udało mu się ulać ogień (w czasie pożaru). Ulej ognia (zalej ogień pod kotłem wodą).

uskromnić się, mniej brać, oszczędzać czegoś, Jeżeli powie, żeby się uskromnić, to się muse uskromnić.

Wiedzieć, nie wiadu. Nie wiadu skąd się wziął. Porów. wiaduch, Prac. fil. V, 603, 806 i ani wiadu, Prac. fil. V, 615.

więźnie, więzienie. Posed do więźnia. Siedział w tem więźniu.

Zebuć się, zezuć się. Porów. K. Nitsch Materyały, III, 282; zobuć się (Podhale), Prac. fil., V, 963; słowac. zobuti, Sbornik slovenských národních piesni, povesti... Vyd. Matica Slovenská, T. II. zesz. I., Turczański św. Marcin, 1874, 31.

zgręzy, osad. Z ust osoby, urodzonej w Warszawie. Porów. Prac. fil., VI, 627.

zeder, zdarł. Nie chodze, bobym zeder buty.

zjézdny. Kikół to jest miasteczko nieduże, ale takie zjézdne, jak Bielsk. Tam różne drogi do niego się schodzą.

Złódź. Taká złódź padała. Grad z deszczem, który spadając na ziemię, marznie. Porów. Pracki, Prac. fil., VI, 275. Według danych, złódką nazywa się cienka skorupka lodowa, która, gdy mróz nagle chwyci po odwilży, pokrywa pnie i gałęzie drzew. Porów. sadz = puszysty szron, osiadający na gałęziach drzew.

zubrówka, pierwsza otręba z żyta.

*

*

*

Dopeł. od kontrolny (kontroler), kapitalista i organista brzmi: kontrolnego, kapitalistego, organistego. Idź do pana kontrolnego. Ten dom pasuje dla kapitalistego. Dzisiejsy nocy organistego okradli.

W rozkazniku zachowała się strp. końcówka i, np. chodzi, podzi, weźmi. Porów. A. Brueckner, Dzieje języka polsk. 68 i 127; Prac. fil., V, 41, 397, 572; K. Nitsch, Materyały, III, 41.

Staropolszczyzną trąci wyrażenie: on wzion ode mnie an-tałka pana Emilowego. Odpowiada ono strp. zwrotom w rodzaju: słowo pana Jezusowo, jaco ne s pana Maczkowim wedzeniem, pana hinczkowi gednacze i t. d.

*

*

*

Sinowite, wiatrem podszyte. (O lekkim odzieniu).

Obuć kogo w ciasne buty. Nałożyć komu kajdany.

Kto niema miedzi, płaci tem, na czem siedzi.

Koń o święto nie stoi, aby wiliji nimiął, t. zn., można koniem robić i w święto, byle tylko był napasiony.

Chazer nie chazer, aby sie zyd nazer. Chazer = świnia.

(Z ust żyda).

Tak połatali, jak dzładoską sukmane.

Trudno woła wodzić, jak sam nie chce chodzić.

Jak kucharka z głodu zdycha, to ji w kobyli łeb dzwonią.

Bierz chuda, co ci sie uda.

Krew wypije, a dziurki nie zrobi, to zn. przebiegły to człowiek.

Jak jesień, to brzuch jak kieszeń. Milanówek, pod Warszawą.

Kto kogo nie urodzi, to mu nie dogodzi.

Złym, jakby mie z łańcucha spuścić.

Takám mocná, jak kómar na koniu.

Przyjdzie chory do swej pory.

Za siebie rubla rzuci, a przed sobą znajdzie, t. zn. szczęśliwy to człowiek.

Gdzież on ma rozum? Tam, gdzie kura jaje.

Z dziećmi, to tak: goń, a nie dogoń; wymierz, a nie uderz; bij, a nie zabij; jak to nie pomoże, dopiéro karz.

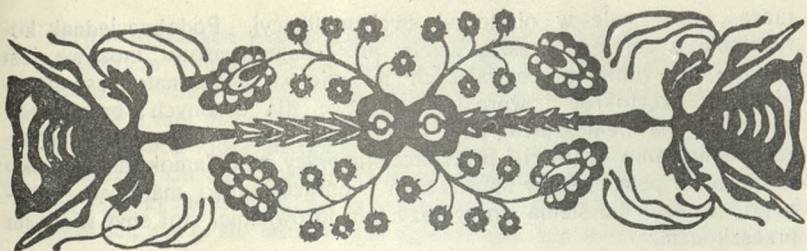
Jaki téż to ten mój dzieciak nicpotem: nowiusieńkie portki usyłam ze starého miecha — już poder.

Dziewcyna sie napracowała, ludzie sie dość pazurów nao-rzaśali (na nią o sierocie).

Ja wole w sąsiedzctwie sąsiada, niż za granicą brata.

St. Ciszewsk i





RECENZYE I SPRAWOZDANIA.

Badania przedhistoryczne w Rosyi.

Описание археологических раскопок и собранія древностей профессора Д. Я. Самоквасова. (Труды Московскаго Комитета по устройству Черниговскаго арх. съѣзда). — Moskwa 1908. 4°. str. 271. z 77 il.

Na zjeździe archeologicznym w Czernihowie w 1908 r. przedłożył prof. D. Samokwasow wyniki swoich badań przedhistorycznych, dokonanych w latach 1871—1891, zebrane w powyżej przytoczonej publikacji. Wydawnictwo to obejmuje systematyczne opracowanie dzienników badań, tudzież po części pobieżny opis zbiorów, oddanych na własność przez prof. Samokwasowa Ces. historycznemu Muzeum w Moskwie. Razem z wielkim zbiorem, stanowiącym owoce badań prof. Samokwasowa, dostały się do wspomnianego muzeum i wszelkie zapiski, dzienniki, rysunki i fotografie odnoszące się do tychże, oczekujące gruntownego obrobienia i wydania. Pracą tą zajęą się też sam ofiarodawca, przeznaczając na uporządkowanie i skatalogowanie kolekcji cały rok czasu, po upływie którego wydał w druku katalog rzeczowy, z wyłączeniem opisu przedmiotów i dzienników wykopalisk. Wyłączoną partję opracowania badań i zbiorów, objąć miała publikacja, zaopatrzona w kilkadziesiąt tablic i rysunków w tekście, której kosztą pokryć miał komitet zarządzający Zjazd w Czernihowie. Z powodu jednak licznych, związanych z tem trudności, zamiar nie przyszedł do skutku, a zrealizowana została tylko część jego w postaci niniejszego wydawnictwa, posiadającego nie wiele ilustracji w tekście. Okoliczność ta zmniejsza niezmiernie wartość pracy, której tekst nie zupełnie według wymogów ścisłej nauki podany, z konieczności wymaga objaśnień przy pomocy liczniejszych rysunków i fotografii, lub przez autopsję wykopalisk, których liczby porządkowe przy-

tacza autor stale w obszernej swej publikacji. Podobne jednak korzystanie z cennego zresztą dzieła prof. Samokwasowa możliwe jest jedynie dla ludzi, przebywających na miejscu, będąc natomiast utrudnione, a częstokroć i wprost niemożliwe dla uczonych, pragnących oprzeć się na niem samym, jako na materiale porównawczym. Wogóle zaś pojmowaniu wartości i przeznaczenia pracy prof. Samokwasowa, jako zestawienia pewnej sumy spostrzeżeń i opracowanego materiału, zdanego samego dla siebie do syntezy lub porównania, stoi zbyt wiele na przeszkodzie.

Za dwadzieścia lat badań archeologicznych, prowadzonych wyłącznie prawie na terytorium dzisiejszej Rosji południowej (Ukrainy), zebrać zdołał prof. Samokwasow mnóstwo obserwacji i materiału, uprawniające go — w zestawieniu z dostarczonym przez innych badaczy — poniekąd do pewnego rodzaju konstrukcyjnego zestawienia i oględnej syntezy. I nie dziw też, iż prof. D. Samokwasow, twórca chronologii prehistorii rosyjskiej i autor wielu prac systematycznych, pokusił się o zaprowadzenie pewnego ładu i porządku w chaosie prehistorii rosyjskiej, która ledwie, iż zaczyna wychodzić z stadium samego gromadzenia materiałów. Kwestya tylko, czy system jego jest bez zarzutu i czy rzeczywiście w ramach jego pomieścić się da większość dotychczasowych — tej dziedzinie spostrzeżeń. O ile jednak wnosić można, choćby z tej tylko pracy prof. Samokwasowa, to zbyt wiele faktów z prehistorii zbadanego przezeń terytorium usuwa się z pod jego klasyfikacji, lub też całkowicie nie znajduje w niej pomieszczenia, stanowiąc przeciwieństwo zjawiska częstokroć bardzo doniosłego znaczenia w rozwoju kultury przedhistorycznej Rosji południowej. Jeśli n. p. wszystkie mogiły i cmentarzyska neolityczne wydzielili zechcemy w grupę „epoki cymmeryjskiej“ to na czem zasadzać się będzie wówczas stosunek między osadami i grobowiskami kultury naczyń malowanych (t. zw. przedmykeńskiej), a odpowiednimi zabytkami typu odmiennego, kultury naczyń niemalowanych, również epoki neolitycznej?

O ile dzisiejszy stan badań kultury archaiczno-mykeńskiej w dorzeczu Dniestra i Dniepra wnosić pozwala, to kultura ta naczyń malowanych odegrała rolę intruza na tle kultury neolitycznej kraju, nie mając nic wspólnego z jej przeszłością, ani późniejszym rozwojem; okazała się nagle u końca neolitu i nie goszcząc zbyt długo nad Dniestrem i Dnieprem, porzuciła wnet te strony, usuwając się na południe. Gdyby sprawa ta tak się rzeczywiście miała, to o ile usprawiedliwione byłoby rozszerzanie pojęcia „cymmeryjskie“, także i na tego rodzaju zabytki? W przeciwnym zaś razie, t. zn. kiedy kulturę tę i jej zabytki wyłączymy z „epoki cymmeryjskiej“, nasuwa się kwestya co do wartości tego terminu, który nie oznaczając etnicznej odrębności, zastępować ma tylko, ogólnie i wszędzie przyjęty termin — neolit, neolityczny.

Co się więc tyczy kultury naczyń malowanych, to nie ma dla niej należnego miejsca w obrębie „epoki cymmeryjskiej“. Nie lepiej jednak przedstawia się sprawa i z innymi grupami (typami) kultury neolitycznej, charakterystycznej odmiennymi zwyczajami pogrzebowymi, wciśniętymi mimoto bezwzględnie w ramy systemu prof. Samokwasowa. Kulturę na-

czyli malowanych wyeliminował on z swojej klasyfikacji, osłabiając tem oczywiście trwałość jej i wszechstronność; z drugiej jednak strony włączając w nią, najwidoczniej odmienne rozmaite mogiły i grobowiska, uczynił z niej jedynie schemat pozbawiony wymagań stawianych przez ścisłą naukę, która przyjmuje fakta takie, jakimi one są, a nie jakimby je widzieć chciała. Możliwe, iż mimoto podział prof. Samokwasowa okaże się później racjonalny, ale jak obecnie, to zbyt wiele nastęrcza on wątpliwości, ażeby się można było zgodzić nań bez zastrzeżenia. Na razie jest on przedwczesny i zbyt słabo poparty argumentami, zaczerpniętymi z badań archeologicznych. Dokładne rozpatrzenie i rozgrupowanie poszczególnych typów i kategorii kulturalnych, oświetlonych w wzajemnych stosunkach do siebie (genetycznych czy chronologicznych), będzie dopiero w stanie wyjaśnić wiele kwestyi niejasnych i spornych obecnie. W takim stanie nauki, kwestye podobne zostaną same przez się rozwiązane, nie potrzebując zastosowywania zbyt ograniczonej klasyfikacji, opierającej się na wiadomościach zdobytych przez historię. Zadaniem prehistoryi nie jest przecież cel, jaki wytknęła sobie historia, ale przede wszystkim zajmuje się ona badaniem rozwoju kultury przedhistorycznej bez względu na jej pionierów, jako takich. Prehistoria naginana dla celów historyi nie może wydać zadawalających wyników, a owszem spaczoną tylko zostaje przez nią, tracąc z przed oka naistotniejsze swoje zadanie.

Zastosowanie, bądź co bądź historycznego terminu „cymmerijski“, rozumiane być może w kilku znaczeniach. Jeżeli termin ten oznaczać ma wspólność etniczną danej kategorii objawów kulturalnych, to wartość jego jest chybiona, chociażby ze względu na wspomnianą (najprawdopodobniej) odrębną etnicznie kulturę naczyń malowanych, stanowiącą osobny typ w całokształcie kultury neolitycznej Rosyi południowej. Nie wykluczone jest zaś, że po dokładniejszym rozpatrzeniu i zbadaaniu kultury neolitu, wyłączyć będzie należało i więcej podobnych odrębnych typów kulturalnych, rozwijających się kiedyś mniej lub więcej samoistnie, na terytorium Rosyi południowej. Ewentualność zaś taka równoznaczną byłaby z upadkiem systemu prof. Samokwasowa, który ze swego stanowiska historyka, narzuca prehistoryi więzy nauk historycznych. Gdybyśmy zaś pod mianem Cymmrów rozumieli narody, zamieszkujące Rosyę południową do zajęcia tejże przez Scytów — Skolotów i stosownie do tego kulturę przed-scytyjską nazwali cymmerijską, to w takim razie miano to przypaśćby powinno w udziale jedynie pewnej grupie, a nie całości, wykazującej najwyraźniej odrębne właściwości, nie dające się podciągnąć pod jedną miarę. W takim zaś razie nie należałoby miana tego rozszerzać na całość pewnej epoki i właściwej jej kultury, a ograniczyć wypadłoby je jedynie na pewną ściśle oznaczoną grupę, czy kategorię. I takie jedynie stanowisko miałoby pewną rację za sobą, nie mówiąc już o tem, iż dla prehistoryi jest wcale obojętnem, czy pewien typ kultury właściwym był temu lub innemu narodowi; prehistoria bowiem konstatuje jedynie odrębności kulturalne, a nie etniczne, zostawiając ustalanie tych ostatnich historyi i naukom jej pokrewnym. O ilebyśmy zatem zostawili chcieli termin „cymmerijski“, to jedynie sub *conditione*, iż nie odnosiłby się on do całokształtu kultury neolitu, lecz

w ostatecznym razie oznaczał jedynie pewien, ściśle określony typ, równoznaczny n. p. z nazwą; kultura archaiczno-myeńska, kultura grobów skrzynekowych lub t. p. Dla całokształtu kultury, mianowanej obecnie cymmeryjską, najodpowiedniejszy przecież byłby — jak zresztą wszędzie indziej — termin; neolit — epoka kamienia gładzonego. Dopiero dane poddziały tej epoki, nazwaćby można stosownie do pewnych właściwości i cech charakterystycznych. W ten sposób uniknęłoby się nieuzasadnionego zastępowania jednej niewiadomej inną nie mniej niejasną, mającą pewne tylko pozory czegoś znajomego, a wprowadzającej w istocie zbyt liczne nieporozumienia.

Najdawniejszą epokę przedhistoryczną ochrzczono mianem „cymmeryjskiej“, opierając się na wiadomościach starożytnych poetów, historyków i geografów greckich, którzy mieszkańców ziemi, leżącej między Donem i Dunajcem nad morzem Czarnym, nazywali Cymmeryjczykami. W VII. w. prz. Chr. przechodzą ziemię tę w posiadanie Scytów, od których też nazwę dostała druga, następna epoka przedhistoryczna Rosji południowej. Termin — „epoka scytyjska“, nie o wiele odpowiedniej określa dany stopień kultury przedhistorycznej, jak i termin „cymmeryjski“, a owszem bardziej może utrudnia odpowiednie sklasyfikowanie również wielu odrębnych typów i kategorii, objętych wcale bezpodstawnie ogólnym mianem „scytyjskich“. Podobnie ma się sprawa i z resztą nazw klasyfikacyjnych, które przyjęte od historii i na gwałt imputowane prehistorii, nie koniecznie zdają się odpowiadać przywiązanym do nich nadziejom. Zaprzeczyć się wprawdzie nie da, iż terminy te nie są samymi pustymi nazwami, ale w każdym razie najwidoczniejszym jest, iż zbyt schematycznie i szablonowo zastosowane są one w terminologii prehistorycznej Rosji południowej. Najważniejszym ich defektem jest, iż mając pretensje do jak najwszechstronniejszego zastosowywania, zbyt często nie są w stanie odpowiadać treści pod nie włożonej. Czynią one wrażenie reguły, która więcej posiada wyjątków niż prawidłowości.

Ponieważ jednak tego rodzaju systematyka uzyskała na razie prawo obywatelstwa w prehistorii Rosji południowej, więc nie od rzeczy będzie zaznaczyć się z nią bliżej tem bardziej, iż dla czytelnika polskiego nie znana jest ona z żadnej pracy polskiej. Jak już wyżej wspomnieliśmy, najdawniejszy okres w prehistorii Ukrainy nosi nazwę cymmeryjskiego, od narodu, zamieszkującego (według autorów greckich) w najpierwotniejszych czasach wybrzeże Morza Czarnego. Groby tego okresu różnią się od grobów następujących epok głównie tem, iż nie mieszczą w sobie broni i narzędzi z żelaza, a wykazują tylko wyroby z gliny, kości, kamienia i miedzi: pochodzą one z czasów, kiedy dawnym mieszkańcom tej ziemi nie znany był jeszcze użytek żelaza. Mogiły takie (t. zn. neolityczne) trafiają się w licznych miejscowościach Rosji całymi cmentarzyskami

Ogólnym prawidłem w tej epoce było grzebanie zmarłych; trafiają się jednak i ciałopalenia w dwóch postaciach: przepalonych drewnianych zębów i urn ciałopalnych. Groby z resztkami pochowanych zmarłych odznaczają się rozmaitością konstrukcji; mieszczą się albo wprost pod równą powierzchnią, albo też pod kurhanami i w kur-

hanach w nasypie. Jamy grobowe wykopane w calcu, są najczęściej kształtu prostokąta, chociaż trafiają się i okrągłe, trapezowe, a nawet trójkątne; wyłożone i nakryte są one często drzewem, a w kamienistych okolicach płytami kamiennymi, chociaż znane są i wykopane w ziemi i nią wprost przesypane. Szkielety znajdujące w tych grobach zwrócone są głowami w rozmaite strony nie tylko w cmentarzyskach różnych miejscowości, ale i w jednej mogile, a nawet w jednym wielogrobowym kurhanie; ułożone zaś są one w grobach na wznak, na boku, siedząco, z skurczonymi kończynami, z wyciągniętymi na wprost nogami, a skurczonymi rękami, lub też i na odwrót. Obok wyrobów z gliny, kości, kamienia i miedzi, nierzadko znajduje się i ciemno malinowego koloru farbę, którą pomalowane są też kości szkieletu, zwłaszcza czaszki a nieraz i całe szkielety. Gdzie na farbę tę natrafia się w większej obfitości tam zawsze kości lepiej są zakonserwowane, niż w odpowiednich grobach z niemalowanymi resztkami zmarłych. W grobach epok następujących, właściwości wymienione nie występują całkowicie, a okazują się jedynie wyjątkowo, jako archaiczny przeżytek dawniejszych wieków minionych.

Te właściwości charakteryzują groby epoki cymmeryjskiej, pod którą prof. Samokwasow rozumie czasy do przybycia z Azji plemion Scytów-Skolotów, którzy według relacji Herodota, wyparli z terytorium nadczarnomorskiego plemiona Cymmrów, zakładając między dolnym biegiem Donu i Dunaju, potężne władztwo scytyjskie. Herodot odnosi zajście to na czasy króla scytyjskiego Madiasa, lydyjskiego Ardisa i medyjskiego Kiaksaresa. a więc na drugą połowę VII. w. prz. Chr. W chwili przybycia do Europy, stali Scytowie na jednym stopniu kultury z Massagetami, jedноплеменцами swoimi i sąsiadami; nie znali użytku żelaza i srebra, a sporządzali broń i narzędzia z brązu. Do VII. w. więc przed Chr. włącznie, znajdowali się Scytowie na stopniu kultury brązowej, Cymmerowie zaś tych czasów, według źródeł historycznych, nie utrzymywali żadnych stosunków z ludami obcymi, składając w ofierze bogom swoim wszystkich cudzoziemców, którzy pojawili się w ich stronach, od czego też Morze Czarne nosiło naówczas nazwę „niegościnnego“. Na podstawie zaś archeologicznych danych, wiadome jest, iż Cymmerowie do przybycia Scytów nie znali użytku metali, posługując się jedynie kamieniem, kością, gliną i drzewem. Do przybycia więc Scytów do Europy, stali oni wyłącznie na stopniu kultury neolitycznej. Dopiero z końcem VIII. w. prz. Chr. pojawiają się na wybrzeżach Morza Czarnego kolonie greckie i wtedy to przybiera ono nazwę „gościnnego“. Z kolonistami greckimi dostaje się żelazo na wybrzeża pontyjskie i stąd w rezultacie zdobywają znajomość jego mieszkańcy starożytnej Scytyi.

Okazanie się mogił scytyjsko-sarmackiej epoki na terytorium dzisiejszej Rosji południowej, przypada na przybycie do Europy plemienia Scytów-Skolotów i na pozostanie na dawnych ziemiach Cymmeryjczyków dwóch władztw — scytyjskiego i sarmackiego, rozgraniczonych rzeką Donem. O zajściu tem zostawił Herodot następujące wiadomości, nadzwyczaj doniosłej wagi dla rosyjskiej archeologii i historii. Zestawiając podania o pochodzeniu Scytów (IV. c. 5—10), powiada Herodot:

„Istnieje jeszcze inne podanie, któremu daję największą wiarę, a które brzmi następująco: Kiedy Scytowie — koczownicy, mieszkający w Azji, wyparci zostali w wojnie z Massagetami, przeszli przez rzekę Araxes do kraju cymmeryjskiego. Gdzie bowiem obecnie przebywają Scytowie, dawniej był kraj Cymeryjczyków. Kiedy Scytowie na nich napadli, złożyli oni radę, ponieważ ogromne wojsko im zagrażało. Zdania ich były rozmaite i obie partye silnie się przy nich opierały, a jednak najlepszy był projekt królów. Lud mianowicie utrzymywał, iż najlepiej będzie wyemigrować nie narażając się przeważającym siłom; królowie zaś sądzili, że walczyć należy na śmierć i życie o kraj rodzinny. Tak więc ani lud królówi, ani królowie ludowi nie chcieli ustąpić i część pewna postanowiła bez zdobycia miecza wywędrować i kraj nieprzyjacielowi zostawić; królowie jednak uznali za stosowne poledz raczej w swej ojczyźnie i zginąć, niż uciekać z ludem, któremu przedstawiali, jak dobrze mu było i jakie zła go oczekują, kiedy umknie z kraju swego. Odmienne te przekonania wywołały spory, a ponieważ dorównywali sobie liczbą, więc wszczęli walkę między sobą samymi. I naród cymmeryjski pochował wszystkich, których sam uśmiercił, nad rzeką Tyres, a grób ich i teraz jeszcze można oglądać; potem opuścili kraj. Wówczas przyszli Scytowie i zajęli opuszczone ziemie. Do teraz jeszcze istnieje w Scytyi zamek cymmeryjski, trakt cymmeryjski, a także obszar zw. cymmeryjskim, tudzież t. zw. Bosfor cymmeryjski. Pewnem zatem jest, iż Cymeryjczycy uciekli przed Scytami do Azji i usadowili się na półwyspie, gdzie leży dzisiaj miasto greckie Sinope; także o Scytach wiemy, iż goniąc tychże, wpadli do Medyi i stracili drogę. Cymeryjczycy bowiem uciekali ciągle wzdłuż morza, a Scytowie ścigali ich, mając Kaukaz po prawej ręce, dopóki nie wpadli do Medyi, kierując się wprost do wnętrza kraju“.

(IV. c. 11.12).

W innym miejscu podaje Herodot dokładnie czas i towarzyszące temu okoliczności.

Kiedy król medyjski Kiaksares, oblegać miał miasto Ninos „wyruszyła przeciwko niemu ogromna armia scytyjska. Dowódcą jej był król Madias, syn Prototiasa. Wpadli oni do Azji, ponieważ gonili uciekających Cymeryjczyków, których wypędzili z Europy, dostając się w ten sposób do Medyi. Od jeziora Meockiego do rzeki Phasis i do Kolchów, wynosi droga dla dzielnego człowieka trzydzieści dni marszu, z Kolchidy zaś do Medyi nie jest już wiele, bo jeden tylko jest pomiędzy tem naród Saspejrów; mając tych za sobą, dostaje się wnet do Medyi. Nie z tej jednak strony wypadli Scytowie, lecz wybrali o wiele dłuższą drogę z góry, mając góry Kaukazu po ręce prawej. Tam starli się Medowie ze Scytami, zostali pokonani i stracili panowanie, a Scytowie zajęli całą Azję... Panami w Azji byli około dwadzieścia ośm lat, a napadami swymi i grabieżą spustoszyli w zystko i zniszczyli; oprócz tego, iż z każdego podwładnego kraju wybierali ustanowioną daninę, napadali Scytowie na wszystkich dokoła, grabiąc co tylko kto posiadał“.

(I. 103 6).

Legendarne podanie o pościgu Cymeryjczyków przez Scytów, którzy przy tej sposobności wpadli do Medyi i Assyrii, jest o tyle nieprawdopodobne, iż powodem tego było całkiem co innego, niż tak drobna

przyczyna, za jakąby uważać należało ściganie dobrowolnie usuwającego się ludu. Ekspansja państwa assyryjskiego naciskającego na t. zw. Kaspia-
dę i Tanaidę, a więc obszary zajmowane przez Scytów, wywołała tak energiczne przeciwdziałanie ze strony Scytów, jacy w rezultacie zostali na czas pewien panami Azji. Nieprawdopodobną jest również relacja Herodota, utrzymującego, iż Scytowie wpadli do kraju Cymmeryjczyków od wschodu, od strony rzeki Araksu (Wołga), a Cymmeryjczycy skierowali się na wschód i przeprawili się do Azji pobrażem Morza Czarnego, mając Kaukaz z lewej strony i będąc ściganymi przez Scytów, którzy znów zostawili góry kaukaskie z prawej strony. Wszystko to jest nieprawdopodobne i niemożliwe. Jeżeli bowiem Cymmeryjczycy rzeczywiście uciekali ku wschodowi, to fizyczną niemożliwością było dla nich uratować się ucieczką w dół pobraża Morza Czarnego (jak to przypuszczał Herodot), ponieważ trakt ten jest bardzo uciążliwy aż do samej Kolchidy i wprost nieprzystępny, nawet dla osób nielicznych.

Już Strabo wyraził się o Cymmeryjczykach, iż podania o nich są przeważnie nieprawdziwe, a niektóre tylko mają pewną rację za sobą. Faktem zaś zdaje się być, iż część Cymmeryjczyków przeniosła się do Małej Azji, część zaś do Germanii, skąd po kilku wiekach pod nazwą Cymbrów napadła na posiadłości rzymskie. Wyniki badań archeologicznych wykazują dalej, iż Cymmeryjczycy nie zabrali się wszyscy z swoich dawnych siedzib, a usunęli się w części pod naporem nowej ludności więcej na północ, gdzie nadal mieli swoich królów, chowając zmarłych podobnie jak w pierwotnej swej ojczyźnie. Obok barwionych szkieletów kładli nie tylko wyroby swoje z gliny, kości, kamienia i miedzi, lecz niekiedy i bronzowe, przyniesione przez Scytów z dawnej ich ojczyzny azjatyckiej, a także wyroby z złota, srebra, żelaza, szkła i terrakoty, stanowiące wojenną zdobycz Scytów, zabraną w Assyrii.

Obszar zajęty przez Scytów rozpościerał się, według Herodota, od rzeki Istru (Dunaj) do Borystenu (Dniepr), wynosząc w tym kierunku 10 dni drogi i tyleż od Borystenu do Meotydy. Terytorium Królestwa ich dzieliło się na dzielnice, a ludność na poszczególne plemiona. Z zachodniej strony Dniepru u dolnego biegu rzeki Hypanisa (Boh) pierwszy kraj od morza zajmowali Kallipidzi, powyżej nich Alazanowie, nad tymi Scytowie-rolnicy, a wreszcie nad nimi Neurowie, nad którymi od północy była pustynia. Ze wschodniej strony Dniepra, pierwszy od morza kraj zajmowali Scytowie-oracze, przewzani przez Greków Borystenitami, a sami zwący się Olbiopolitami. Zaludniali oni obszar, rozpościerający się ku wschodowi do rz. Pantykapei, na trzy dni, do północy zaś wzdłuż biegu Dniepra, na jedenaście dni drogi; nad nimi rozciągała się pustynia, za którą mieszkali Androfagowie (ludożercy) „naród osobny, nie Scytyjski“. Na wschód od Borystenitów, za rz. Pantikapeją, przebywali Scytowie-nomadzi, dzielnica których ciągnęła się na 14 dni drogi, do rzeki Gerra, za jaką znów rozlegał się kraj Scytów królewskich, sięgający od południa Taurydy, osad handlowych nad Meotyda i w części rz. Tanais (Don); na północ od nich mieszkali Malanchlenowie „naród osobny, nie scytyjski“.

Z wyjątkiem Greków, żyjących na północnem wybrzeżu Morza Czarnego, uznawały wszystkie ludy władztwa scytyjskiego, jednego naczelnego króla, oddawały cześć tym samym bogom, mówiły tym samym językiem i tworzyły państwo, którem zarządzili Scytowie królewscy, uważający wszystkich innych współplemieńców za swoich poddanych. Każdy szczepek scytyjski miał swego miejscowego króla, podległego królowi Scytów królewskich, którzy dzierżyli prym w całym państwie.

Istnienie opisanego przez Herodota państwa scytyjskiego wynosiło około 250 lat, od drugiej połowy VII. w. do początku IV. w. prz. Chr. (399 r.) kiedy to — według Troja Pompejusa — Filip Macedoński zdobył je, wykorzystując właśnie królów miejscowych. Pobił on wojska scytyjskie i przesiedlił do Macedonii 20 tysięcy, wziętych do niewoli w Scytyi królewskiej. niewiast i dzieci. W ten sposób kończy się scytyjska, a zaczyna się sarmacka epoka w dziejach Rosyi południowej.

Zwyczajną formę mogił scytyjskich przedstawia kurhan, pokrywający wykopaną w ziemi, jamę grobową, rozmaitej wielkości, z jednym dwoma i więcej szkieletami. W wielukurhanowych cmentarzyskach trafiają się najczęściej wertykalne prostokątne jamy grobowe, obwiedzione z boków drewnianym zrębem i nakryte z wierzchu takimiż pomostem, zasypałym nasypem kurhanowym. W miejscowościach, obfitujących w kamień i na stepach, zastąpiona jest drewniana konstrukcja kamieniami płytami, a nasyp kurhanu wzmocniony częstokroć warstwami brył kamiennych. W tychże cmentarzyskach trafiają się i większych rozmiarów kurhany z drewnianymi, a niekiedy i kamiennymi grobowcami, kształtu komnat. W stepowych okolicach natrafiono u podnóża kurhanów jamy wertykalne, prowadzące niekiedy do katakumbowych pomieszczeń rozmaitego kształtu, wykonanych w pokładach gliny, na rozmaitych głębokościach od powierzchni, oddzielone od wejść drewnianymi albo kamiennymi zastawkami. Pod większemi kurhanami zdarzają się i liczniejsze grobowce, z których jeden główny, centralny, zawiera resztki zmarłego, nad któremi usypano kurhan, a w innych złożone są zwłoki jego otoczenia, sług, koni i zwierząt domowych. Niekiedy w kurhanach, usypanych nad grobami wykopanymi na powierzchni ziemi, trafiają się ziemne, drewniane i kamienne groby, pomieszczone w samym nasypie.

Przy porównaniu budowy grobów cymmeryjskich z budową scytyjskich, występują następujące różnice. W wielugrobowych kurhanach epoki cymmeryjskiej, trafia się często na złożenie zwłok w nasypie kurhanów, na powierzchni gruntu i w wykopanych w ziemi jamach grobowych, bez odznak izolacji zwłok od czarnoziemiu, w którym mieści się grobowiec. W kurhanach zaś epoki scytyjskiej, przychodzi tego rodzaju budowa grobów, w której jasno uwidocznia się chęć izolowania ciała zmarłego od otaczającej ziemi i wody, mogącej przez nią przedostać się do grobu. Nawet w najmniejszych kurhanach tej epoki, jama grobowa przykryta jest dokładnie drewnianym pomostem, opierającym się końcami na utworzonym dokoła grobu występie otaczającej ziemi.

Na zawartość mogił królestwa Scytów, w wyżej wymienionych granicach geograficznych, składają się — według prof. Samokwasowa — rozmaite wyroby trzech typów: scytyjskiego, greckiego i assyryjskiego.

Wyroby typu scytyjskiego stanowią nietrafiane w mogiłach epoki cymeryjskiej i w mogiłach greckich i assyryjskich VI. w. prz. Chr., a często natomiast w kurhanach Rosyi południowej znajdowane wyroby z prostej gliny, kości, bronzu, srebra i złota, w postaci glinianych naczyń, pancerzy z kościanych łusek, kościanych i bronzowych grotów, bronzowych noży, mieczy, wędzideł, srebrnych i złotych ozdób, obrączek i sygnetów, oraz naczyń bronzowych. Przedmioty tego rodzaju przyniesli Scytowie po części z Azji, po części zaś wyrabiali je już w królestwie scytyjskiem, częstokroć według wzorów greckich i assyryjskich.

Wyroby typu greckiego stanowią po części importowane z Grecyi, a w części wykonywane w czarnomorskich koloniach przez mistrzów greckich różnorodne przedmioty, łatwe do odróżnienia przez porównanie ich z wyrobami grobów greckich, datowanych najczęściej monetami, które mieli zwyczaj wkładać Grecy zmarłym do ust dla zapłacenia przewoźnego do Hadesu. Mnóstwo wyrobów mistrzów greckich było również specjalnie wytwarzanych do potrzeb i upodobań Scytów, jak np. naczynia i blachy z wyobrażeniem Scytów z wszelkimi przynależnościami uzbrojenia, strojów i różnych scen z domowego i wojennego ich życia.

Różnorodne i liczne wyroby typu assyryjskiego. łącznie z wytworami wszystkich narodów, wchodzących w skład ludności państwa Assyryjskiego w VII. w. prz. Chr., trafiają się bardzo często w mogiłach scytyjskich VI. — V. w. prz. Chr., stanowiąc główne ich bogactwo, przyniesione z Assyrii a złożone w grobach, które właśnie dla tego prawie zawsze odkrywa się już rozgrabione i splądrowane w czasach nawet bardzo odległych

Dowodu na twierdzenie prof. Samokwasowa co do udziału kultury assyryjskiej w rozwoju kultury Scytyi, dostarczyć będą mogły badania, przedsięwzięte na starożytnym cmentarzysku kurhanowem królów scytyjskich, których chowano na osobnem terytorjum cmentarnem, w krainie Gerrhos t. j. nad dzisiejszą rzeką Sułą. Na razie zbadać zdołano z powodu kosztów olbrzymich ledwie dwie mogiły, a reszty nawet nie wykano, odkładając dokładniejsze badania na później.

O grobach tych królewskich, wspomina obszerniej Herodot, któremu też archeologia zawdzięcza dokładny ceremoniał pogrzebowy, odprowadzany po śmierci każdorazowego króla scytyjskiego. „Groby królewskie — powiada Herodot — znajdują się w krainie Gerrhos. W okolicy, gdzie najdalej dotrzeć można Dnieprem, kopią, kiedy umrze im król, wielką czworoboczną jamę w ziemi. Po ukończeniu jej biorą zwłoki (powlekając uprzednio ciało woskiem i wypełniając safranem, wonnościami i ziarnkami opichu i anyżu rozcięty i wyczyszczony brzuch, zeszyty potem z powrotem), i wiozą je do innego plemienia. Ci, do których przywieziono tak zwłoki, czynią to samo co i Scytowie królewscy; odcinają sobie mianowicie kawałek ucha, strzygą zupełnie włosy, nadcinają ramię dookoła, ranią czoło i nos i przebijają lewą rękę strzałą. Stąd przewożą wozem zwłoki króla do innego ludu swego państwa, a ci, do których naprzód przybyli idą za nimi. Kiedy już ze zwłokami byli u wszystkich ludów, stają w końcu u Gerrów, najodleglejszego plemienia

kraju, u którego są też groby królewskie. Tu składają zmarłego do grobu na podściółkę z liści, wtykają po obu bokach zwłok lance do ziemi, kładą na to belki a wszystko to pokrywają rogożą z gałązek wierzbowych. W pozostałej wielkiej, pustej reszcie grobu, duszą i zakopują jedną z nałożnic królewskich, a także podczaszego, kucharza, stajennego, służącego przybocznego, herolda i konie, a przede wszystkim pierworodne z innego gatunku zwierząt, tudzież złote puchary; srebra i bronzu nie używają królowie scytyjscy. Po tem usypują wszyscy na wyścigi wielki kurhan, starając się uczynić go możliwie najwyższym... W ten sposób chowają Scytowie swoich królów. W razie śmierci zwyczajnego Scyty, jadą najbliżsi krewni na wozie do przyjaciół, którzy przyjmują ich i goścżą, zastawiając zmarłemu wszystko to co i żywym. Zwykłych ludzi obwożą w ten sposób dni 40, a potem dopiero chowają. Po pogrzebie oczyszczają się..." (IV. c. 71—73).

Upadek państwa scytyjskiego datuje się od chwili pogromu wojsk tegoż przez Filipa Macedońskiego, który w 399 r. prz. Chr. pobił króla Scytów Ateja. Osłabienie potęgi Scytów królewskich wykorzystali Sarmaci, zajmujący obszar między Donem, Wołgą i północnym Kaukazem: „Plemię Sarmatów... spustoszyło znaczną część Scytyi, i mordując wszystkich, zamieniło większą część ich kraju w pustynię" powiada Diodor sycylijski (II. 43). Rezultatem zajęcia kraju Scytów królewskich było powstanie nowego władztwa Sarmackiego, między Dnieprem i Donem. Równocześnie w kraju byłego króla istryjskiego, sprzymierzeńca Filipa Macedońskiego w wojnie z królem Atejem, powstało nowe królestwo pod władzą plemienia Gotów. Aleksander Macedoński wyprawił się na kraj ten i granicę państwa swego rozciągnął aż po Dunaj. Po śmierci jego król Lyzymach usiłował przejść za Dunaj, ale pobity został przez króla Dromicheta, za którego następcy Burwistwa, potęgą Gotów zagrażać poczęła nawet Rzymianom. Od tego czasu bierze początek stuletnia walka królestwa Getów z Rzymianami, którzy w rezultacie zamienili je za panowania Trajana w prowincję Dacyę; tym historycznym momentem kończy się sarmacki, a zaczyna się nowy okres słowiańsko-roscki w dziejach starożytnych ludów Rosyi.

Dzieje wschodniego państwa sarmackiego, leżącego między Dnieprem, Wołgą, Morzem Kaspijskim i północnym Kaukazem ściśle związane z Bosforem cymmeryjskim i jego politycznym centrem — Pantykapeją, założoną w 511 r. a od 480 r. stanowiącą rezydencję królów Bosforskich, w przymierzu z którymi stali Scyto-Sarmaci. Między tymi, najliczniejszym i najpotężniejszym był lud Roksolan albo Rossolan. Po pokonaniu Scytów przez Filipa, ziemię tych zajęli ich jedнопlemięńcy, mówiący tym samym językiem, a zwani przez Greków Sauromatami, przez Rzymian zaś Sarmatami. Na terytorium scytyjskiem powstają zatem dwa nowe władztwa; jedno, zajęte przez koczownicze ludy sarmackie, stojące pod panowaniem Rossolan — Aorsów — Rossów na wschód od Dniepra i drugie, na zachód od Dniepra, z osiadłymi plemionami scyto-sarmackimi pod władzą ludu, zwanego u Greków Getami, a u Rzymian Dakami.

Według relacji historycznych, zjawily się liczne drużyny Rossolan, w I. w. prz. Chr. na zachodzie, idąc z pomocą jednoplemieńcom swym w walce z Rzymianami, którzy koniecznie ujarzmić chcieli bitny lud Daków. W tym czasie pojawia się też poraz pierwszy zamiana nazwy Rossolan na Aorsów Rossów, dla oznaczenia drużyn sarmackich, wchodzących w skład wojsk królestwa bosforskiego. Celem zwiększenia sił swoich przeciwko Rzymianom, królowie Getów (Daków), osadzali na ziemiach swych plemiona sarmackie, żyjące do tego czasu na terytorium królestwa Bosforu. Nowi ci osiedleńcy przyjmowali nazwiska według nowych miejsc osiedlenia, — nazywając się Bastarnami, Jazygami, Buriami, Metenaspami i t. p.

Juliusz Cezar zgromadził ogromną armię przeciwko Dakom, ale śmierć przeszkodziła mu w wyprawie, którą podjął też August, pobijając dwukrotnie bitnych mieszkańców naddunajskich. Za Domicjana szczęście zaczęło sprzyjać królowi Daków Decebalowi, zwyciężonemu jednak ostatecznie przez armię Trajana, który ze zdobytych krajów utworzył nową prowincję, Dacyę. Ludność jej wyemigrowała w wielkiej części za północne granice kraju, o czym wspominają starożytni autorowie a także — według prof. Samokwasowa — najdawniejsza kronika ruska Nestora, według której podbicie dawnej praojczyzny Słowian przez Wołochów, było przyczyną przesiedlania się przodków Polaków i Rusinów w okolicę Wisły i Dniepru z jego dopływami. Pod Wołochami rozumie Nestor bez wątpienia Rzymian, jak pod ziemią wołoską rozumie Italię. Emigranci z królestwa dako-getyjskiego osiedlili się na obszarach średniego Dniepra nad porohami, w dorzeczu rzek Rosi, Suły, Psła i Worskli, gdzie połączyli się z pokrewnymi ludami Rossolan i utworzyli państwo Scytów Sarmatów — Rossów, praojczyznę narodów języka ruskiego.

Za czasów panowania Scytów, zwyczajem praktykowanym było chowanie zmarłych nie palonych na stosie, później zaś za królestwa dackiego przyjął się obrzęd ciałopalenia, podobnie jak u Greków, Rzymian i Traków. Religia i obrzędy pogrzebowe Scytów, opisane przez Herodota, istniały i nadal całkiem lub nie wiele tylko zmienione, a równoległe z tem przyjmowały się zwyczaje przyniesione przez Daków — Getów z ich ojczyzny naddunajskiej, gdzie wpływy rzymskie i greckie zostawić musiały ślady działania. Z tych też powodów znajdujemy obecnie na ziemiach dawniej przez Getów zamieszkałych, tyle monet rzymskich i innych zabytków, wskazujących na wpływy Romy.

W VIII. w. po Chr. nacisk wywierany przez plemiona scytyjsko-sarmackie, zwane w źródłach historycznych Kozarami, wywołał przesiedlenie się ludności z praojczyzny ruskiej na lesiste pobrzeża rzek, gdzie w IX. i X. w. wymienia kronikarz ruski siedziby plemion ruskich scytyjsko-sarmackiego pochodzenia, rozdzielonych terytoryalnie i politycznie, ale mówiących jednym językiem, wyznających jedną religię i posiadających jedno wspólne prawo, przyniesione z wspólnej prasiadziwy.

Za zabytki wieków istnienia oddzielnych księstw ruskich uważać należy mogły, datowane monetami i innymi wyrobami sztuki arabskiej, bizantyńskiej i germańskiej. Pod panowaniem pierwszych książąt kijow-

skich z rodu Ruryka, plemiona ruskie łączą się razem, w X. w. przyjmują religię chrześcijańską i zamieniają dawny pogański obrzęd chowania na chrześcijański zwyczaj grzebania zmarłych.

Umyślnie obszerniej nieco rozpisaliśmy się o systematyce prehistorii, która oparta na relacjach pisarzy starożytnych, a więc na wiadomościach historycznych, wyjaśnić się stara przebieg rozwoju kultury przedhistorycznej Rosji południowej. Na wstępie zaznaczyliśmy jak nieodpowiednią jest metoda, przyjęta w dzisiejszej prehistorii rosyjskiej, naginającej wszelkie przez archeologię zdobyte wiadomości, do tych relacji historycznych zbyt często zupełnie nie jasnych i mało prawdopodobnych, ale niemniej uważaliśmy za wskazane zaznaczyć czytelników polskich z obecnym stanem wyników prehistorii rosyjskiej, której jednym z najpoważniejszych przedstawicieli jest właśnie prof. D. Samokwasow. Przez zestawienie rezultatów badań prehistorycznych i wiadomości zaczerpniętych z historii, usiłuje prof. Samokwasow razem z wielu innymi archeologami - historykami, rozwiązać zagadkę pochodzenia i przekształcenia się starożytnej ludności Rosji, której łączność z dzisiejszą ludnością przedstawia sobie w wyżej podany sposób. Nie można całkowicie sprzeciwiać się podobnym poglądom, ale w każdym razie zauważyć należy, iż wyniki badań archeologicznych tak ujęte, jak to widzimy u prof. Samokwasowa, bynajmniej nie uprawniają jeszcze do tak daleko idących wniosków, bezsprzecznie przedwczesnych jeszcze i zbyt słabo argumentowanych. Widać to najlepiej na „epoce cymme, ryjskiej” i na próbie wyjaśnienia genezy słowiańskiego społeczeństwa rosyjskiego z elementów scytyjsko-sarmacko-getyjskich.

B. Janusz.

Karl Rhamm. *Ethnographische Beiträge zur germanisch-slawischen Altertumskunde.* — Zweite Abteilung, zweiter Teil. Germanische Altertümer aus der slawisch-finnischen Urheimat. Erstes Buch. Die altslawische Wohnung. Braunschweig 1910. X i 431 str.

Autor przedstawia typ uczonego, w Niemczech rzadki. Człowiek prywatny, nie dbający o żadne tytuły czy posady, poświęcił życie i środki badaniu realiów germańskich i słowiańskich, szczególnie budynków i sprzętów wiejskich i całej uprawy rolnej. Obchodzi całymi latami pieśzo Niemcy i części Słowiańszczyzny zachodniej, Czechy, Styryę, Karyntyę, docierając do Węgier i Chorwacyi. Pisywał dawniej luźne artykuły po czasopismach jak *Globus* i i.; wkońcu przystąpił do ogłaszania wielkich dzieł, nakładem własnym. Pod ogólnym tytułem „*Ethnographische Beiträge* itd.”, wydał w r. 1905 „*Die Grosshufen der Nordgermanen*” a w r. 1908 „*Urzeitliche Bauernhöfe im germanisch-slawischen Waldgebiet*”, tom olbrzymi o niemal 1200 stronicach, gdzie wprawdzie głównie rozprawia o germańskich sadybach i ich rozwoju, ale i stosunki słowiańskie, szczególnie słowieńskie, szeroko uwzględnia. Świeżo wydał nowy tom, poświęcony wyłącznie chacie słowiańskiej i o nim tu pomówimy.

Literaturę ruską, polską itd., zna autor wybornie; Kolberg, Wiśła, Moraczewski, Czartoryski, Karłowicz i i., ich wszystkich cytuje ciągle;

nie znał tylko Glogera, Budownictwo drzewne w dawnej Polsce, i Mokłowskiego, Sztukę Ludową. Niestety jednak, kraje wschodnie zna już tylko z książek; wiek i choroba nie dozwoliły mu naocznego poznania stosunków, co się nieraz na pracy jego odbiło. Praca to bardzo ciekawa, bardzo pouczająca, szczególnie wobec ubóstwa dotychczasowej literatury etnograficznej; na całej wielkiej Rusi przedmiotu tego umiejętnie nikt dotychczas nie tknął, są chyba luźne opisy i szczegóły, bardzo niedostateczne; dla wielkich objawów brak nieraz wiadomości zupełnie. Polecamy więc książkę Rhamma, pierwszą tego rodzaju, bo łączącą wszystkie typy chaty słowiańskiej, sprowadzającą je do pierwowzoru i wykrywającą też go pochodzenie, gorąco uwadze naszych etnografów.

Inne pytanie, czy wywody Rhamma są zawsze trafne i słuszne? Zdaje mi się, że z góry wpadł na manowce, wychodząc z zapatrywania, jakoby chata wielkoruska typ pierwotny słowiański najwierniej zachowała, i to chata północna, nowogrodzka. Jabym szukał go raczej w zapadłych kątach Białorusi, na Polesiu wołyńskim, na Podlasiu i Mazowszu; przecież Ruś północna, nowogrodzka, w kraju zasobnym w drzewo, w klimacie bardzo surowym, może nawet za przykładem obcym (szwedzkim, w najszerszym słowa tego znaczeniu), oddaliła się znacznie od typu pierwotnego, wytworzyła osobną, bogatą niemal architekturę, co się od naszych chat kurnych całkiem odstrzeliła. To, mojem zdaniem, jeden błąd zasadniczy dzieła; drugi to zanedo wielka waga, jaką autor słowom, nazwom, szczególnie pożyczonym, nadaje, i mniej szczęśliwe pomysły etymologiczne, na których wywody swe opiera. Wedle niego całe odnośne słownictwo, ruskie i nasze, to pożyczki z germańskiego, nordyjskiego a temu stanowczo przeczymy. Żeby nasza łaźnia i brog, ruska bania (łaźnia), czułań (komora), poł (w izbie), były pożyczkami z nordyjskich nazw dla łaźni, badstofa langarhus, z nordyjskiego kylna, kölna, pallr, z niemieckiego parc (berg) uważam wręcz za niemożliwe; bania, łaźnia, brog, poł, są wyrazy prasłowiańskie (żeby bania z bain, balneum, poszła, co wszyscy lingwiści twierdzą, jest wierutną bajką, jak to na innym miejscu wywiodłem, gdzie i o łaźni rozpierałem); nieobjaśniony dotąd czułań mógłbym zestawić z naszym czułać (ciułać), coby dla schowku znakomicie się godziło (ale może to jakaś pożyczka wschodnia, tylko skąd?). Natomiast dwie inne pożyczki autor trafnie odgadł, ruskie gołbiec dla przegródki w izbie i sołnysz (na północy; tyle co czułań na południu), poszły istotnie z nordyjskiego golfr i svefnhus lecz oba wyrazy należą wyłącznie do północy słowiańskiej. Czy ruski owin suszarnia, z Ofen poszedł, o tem wolno bardzo wątpić; nasze ślemię nic z szełomem (hełmem) niema wspólnego.

Największy nacisk kładzie autor na izbę, izdbę, i wywodzi z istby Istba z niem. stuba, nordyjskiego stufa, stofa, oznaczała niegdyś łaźnię (étuve), później izbę na Rusi i całą chatę); to przejście znaczenia powtarza się odwiecznie w nordyjskim, więc twierdzi Rhamm, że z nordyjskiego do słowiańskiego cała stufa się dostała, gdyż przeczy, jakoby i zba pierwotnie łaźnię oznaczała, chociaż t. zw. Nestor wyraźnie o istbku — łazienka (w opowiadaniu o zemście Olgi nad Drzewianami) wspomina

Abraham Jakubowicz za Otona Wielkiego o itba jako łaźni słowiańskiej mówi. Wywód Rhamma niczego nie dowodzi: nazwy mieszkalne zmieniają w ciągu wieków znaczenie stale; czego wszystkiego nie oznaczają np. trzem lub chyža, od piwnicy do alkierza na piątrze albo kleci. Ciągłe przesuwanie się znaczeń tych nazw mieszkalnych jest ich cechą charakterystyczną i nic na tem opierać nie można. Oto np. palatium, nam dziś pałacem się zdaje, lecz weźmy opis domku szlacheckiego z r. 1419 (Teki Pawińskiego VII. Warszawa 1905, t. j. księgi sądowe brzesko-kujawskie wydanie J. Kochanowskiego, nr. 840, str. 90) a znajdziemy tam: „item Mikel debet recipere de edificacione stubam novam, pallacium, (chyba salka?) kaminatam et stabularium (stajnię), excepta stuba parva“; w opisie Wawelu Długoszowym czytamy wyraźnie: „arx saxo imposita et in coronae modum muris, palatiis, turribus caeterisque propugnaculis emunita“, ale tutaj palatium, właściwie palitium, tylko palisadę, palowanie oznacza. Stąd się tłumaczy i czeska nazwa (całkiem wyjątkowa zresztą), palàč dla podniesienia w izbie do spania (niby rodzaj wyrka, co Rhamm mylnie z Werck, str. 177, nota, tłumaczy), t. j. ruskie polati (co taksamo do pałaty się stosuje, jak palác do pałacu), opisane na str. 179 i najmylniej, dla zgody z ruskim połati, z prarodziny słowiańskiej wywodzony. Słowianie nie spali na połach, połatach, jak Rhamm przypuszcza, lecz na ziemi (na słomie) pokotem leżeli; wyraźnie zaświadczył to o starych Polakach Długosz.

Jak nazwę izby (izdbica oznacza poprostu pale w XV. wieku), tak samo pożyczili Słowianie od Germanów nazwę chyżu czy chyży albo chyszy (z hus, haus), ale z tej pożyczki (nierównie pewniejszej, niż poprzednia), autor niczego wywieść nie potrafił: tak samo więc i na pożyczce izby niczego opierać nie może. Pożyczili je Słowianie, kiedy u nich pożyczki germańskie w prawniku popłacały, kiedy np. nawet nazwę mleka (wszelkie próby najnowsze Dr. Tenko, odratować mleko dla słowiańczyzny, uważam za całkiem nieudane), przyjęli — bez najmniejszej potrzeby. Owszem, bogata terminologia słowiańska rodzima: dom, dwor, trzem (co bynajmniej nie jest pożyczką z greck. Fere-mnon, jak Rhamm i. i. przypuszczają — przecież to termin prasłowiański, polski itd.); chrom, (chram); kleć; piec (co nie naśladuje niemieckiego Backofen); drzwi i ich części; wrota; sień a przede-wszystkiem i kąsża (serbska kuća, ruska kucz a), zgodna z pomorską kącina (nasi „moderniści“ zrobili z tego nigdy nie istniejącą gontynę, czy niby pobitą gontami?), dowodzą wymownie, że się Słowianin bez izdby i chyżu śmiałoby obejść potrafił; pożyczki te były zbędne i niczego nie dowodzą, jak tyle innych germańskich pożyczek, u nas szczególnie (szukać, musieć, dyszel zamiast rodzimego oja itd.), co tylko poufałość, zbliżenie z Germanami, ale nie brak samych pojęć stwierdzają; jak w XV wieku dyszel, taksamo w prawniku izbę przejęto, t. j. nazwę tylko, nie rzecz samą znaną od dawna.

Mimo zasadniczej różnicy między naszymi poglądami uznają w całej pełni wysoką wartość **rzeczowych** wywodów autorskich; co on o konstrukcyi np. dachu albo o przemianach, jakie typ chaty słowiańskiej na południu wobec zmienionych nieco warunków klimatycznych i wzo-

rów rzymskich doświadczył, i o tylu innych szczegółach po raz pierwszy gruntownie i umiejętnie rozprawia — ktoż się kiedy o to troszczył? Więc całkiem odłogiem leżąca dziedzina etnograficzna doczeka się na koniec uprawy systematycznej; zebranie i usystematyzowanie surowego materiału, to najważniejsza zasługa autorska. Jak trafnie ujął np. zasadniczą różnicę domu słowiańskiego a germańskiego: w germańskim płonęło otwarte ognisko, niezbędne dla celów obrzędowych (podawaniem przez ogień płonący święcono przecież napoje). Dla Słowian równie charakterystyczny był piec natomiast. Druga cecha chaty słowiańskiej, odróżniająca ją zawsze i wszędzie od każdej innej: nigdy nie wchodzi się do izby wprost z dworu; wchodzi się zawsze do sieni a z sieni dopiero do izby, sień jest prastowiańska, integralną częścią chaty (używam umyślnie tego obcego terminu, co u nas przynajmniej w języku książkowym, inne wyrugował a co znowu niczego nie dowodzi).

O bogactwie materiałów i uwag najrozmaitszych autorskich trudno tu dać wyczerpujące przedstawienie; wobec tego podwojnie żałować należy, że nie dodał autor do tego tomu, co przy drugim uczynił, rejestru. Najobszerniej i najobficiej uwzględnił stosunki ruskie (znajdziemy nawet ciekawe uwagi o kolbiagach, ogniszczanie, gridzi itp.); krócej zbywał stosunki czeskie, polskie i i., gdzie nieraz walczył i z brakiem materiału: liczne ilustracje i plany ułatwiają niefachowemu czytelnikowi zrozumienie. Więc jeżeli etymologiczne wnioski autorskie bywają nieraz wcale kruche, to wywody jego o rzeczach samych, filologom a nawet słownikarzom zupełnie obcych, na tym pilniejszą zasłużyły uwagę, np. co on przeciw lingwistom (Mehringierowi, Sztrekelowi), o pierwotnym znaczeniu *s o c h y* prawi i i. Życzylbym książce sprawozdawcy fachowego, co by jej stronę rzeczową trafnie ocenił; sam odniosłem się do niej tylko ze stanowiska filologicznego, więc jednostronnego. Dodatkowo nadmieniam, że w drugim tomie z r. 1908 jest również wiele materiału słowiańskiego, mniej jednak z naszych rzeczy (por. dokładne wzmianki o naszych *l a m u s a c h*, str. 40 i 258, 259: *s t o d o l e*, 312, 328 i częściej, *s t o l* ma być również pożyczką niemiecką i dowodzić, że *S t u h l* pierwotnie żadnych poręczy itd. nie miał i służył tylko stawianiu mis, i i.). Myśli przewodnie tomu z r. 1910 mieści już tom z r. 1908; już tu „zachował dom rosyjski ze wszystkich budowli słowiańskich prarodziny najwięcej śladów starożytności (str. 216), bo „u Rosyan zachowały się najznaczniej wzory germańskie w budowlach“ (str. 409). Liczne stronic (856—871) poświęcono chacie słowieńskiej.

Berlin.

Aleksander Brückner.

Witold Klinger. *Žiwotnoje w anticznom i sowremennom sujewierii.* (Zwierzę w przesądach starożytnych i społecznych). Kijów 1911 (z Izwiestii uniwersyteckich), str. 352.

Czytelnikom „Ludu“ imię i prace autora dobrze są znane. Wybitną jego specjalnością jest łączenie systematyczne folkloru czy mitu starożytnego i nowoczesnego. Każdy folklorysta wprawdzie uwzględnia mity, podania, przesady klasyczne, ale przygodnie, raczej i przypadkowo,

z grubsza i powierzchownie, dopełniając tylko tu i ówdzie materiał główny, współczesny, wzmiankami i paralelami starożytnymi; Klinger natomiast wychodzi stale od starożytności samej, zbiera i bada najniklejsze ślady jej tradycji (jak Mannhardt niegdyś), i dopiero potem zestawia i oświetla fakty nowoczesne. Metodę tę zaleca już to, że przynajmniej w wierzeniach i przesądach ludów europejskich wkład świata starożytnego, pożyczki od niego, przeżytki starożytnego poglądu, są o wiele liczniejsze i głębsze, niż się zazwyczaj przypuszcza.

Nowa praca najobszerniejsza, na jaką się autor dotąd zdobył, kroczy tymi samymi, wypróbowanymi torami. Główne jej zadanie, nie całość przesądów o zwierzętach, lecz ta ich strona, która się odnosi do roli zwierzęcia w animizmie pierwotnym, do zwierzęcia — duszy; dusza człowieka, wychodząc z ciała, we śnie, przy śmierci przybiera widzialną postać zwierzęcą, owadu, ptaka, jaszczurki czy węża, wilka nawet i innych czworonogich i cechy, jakie to zwierzę odznaczają, stosunek jego do człowieka wrogi albo dodatni, siły jego wieszczce i lecznicze, strzeżenie skarbów i t. d., to są cechy wspólne zwierzęciu i duszy — upirowi. Jest to szerokie i gruntowne przystosowanie teorii Wundta (Seelenthier) do nieskończonej niemal ilości podań i przesądów starożytnych i nowoczesnych, a nieraz bardzo szczęśliwe, bardzo trafne ich tłumaczenie.

We wstępie daje autor pogląd na stanowisko ludu wobec zwierzęcia, bardzo odmienne od naszego; dalej na zasady naukowe, dawne i nowe, co niesłusznie w roli zwierząt w przesądach upatrywały jakieś symbole czy alegorie, i przyjmuje teorię Wundta, wykazując jakimi wspólnymi cechami obdarzał strach zabobonny świat upiórów, duchów i dusz a świat zwierzęcy, które ze zwierząt i dlatego, jako główne wcielenia dusz upatrywano. W czterech następnych częściach przechodzi po kolei wszystkich głównych przedstawicieli zwierzęcia — duszy. Najpierw szuka ich w państwie nadpowietrznym (wiatr, żywiołem duszy) między ptactwem, jako to orły, wrony, sowy, bocian, gołąb, dzięcioł; już tu, dla szybkości ruchów, wciąga mojem zdaniem, nie bardzo fortunnie i jelenia i konia, dalej nietoperza, motyla, pszczołę. Następnie szuka ich między ziemiopłazami (ziemia, mieszkanie dusz), jak jaszczurki i węże, łasica, mysz, szczur i kret, żaba i mrówka; zwracam uwagę na wy tłumaczenie podania Popielowego czyli różnych „wieży mysich“ (str. 197 i n.); autor odrzuca całkiem niezdarne tłumaczenie mityczne (słońce wyrusza i tępi ludzi), i mądrzejsze nieco alegoryczne (za głód, spowodowany przez myszy, odpowiada śmiercią własną panujący), a widzi w myszach z ciał stryjów Popielowych wychodzących, poprostu ich dusze, mszczące się krzywdy doznanej. W części trzeciej wylicza autor zwierzęta nocne, (noc, czas pojawiania się dusz), wychodzące nocą na żer, wilka, niedźwiedzia i lwa, dalej psa i kota, na str. 221 i n. rozprawia o likantropii (wilkołakach) i odrzuca dawniejsze próby objaśnienia tego przesądu. Pierwotne wyobrażenie o duszy, wcielającej się czasowo i w wilka, spowodowało dalsze nowotwory mityczne, podania o zupełnych przemianach w wilka i opowiadania o czarownikach — wilkołakach albo nawet i o całych ludach, Neurach i Arkadach, i znanej ich likantropii. Godzimy się zupełnie na taki podkład myśli czy twórczości mitycznej, lecz on sam bynajmniej nie wystarcza; musiały

przystąpić i jakaś inna, bezpośrednia przyczyna, bo dlaczegoż tylko o Neurach właśnie, nie o Melanchlenach np., opowiada Herodot tę bajkę? U psa kładzie autor słusznie, za Roscherem, główny nacisk na pożeranie trupów, chciwość krwi, wycie nocne, jako na cechy, łączące go ze światem zagrobowym i z upiorami. W części ostatniej wyjaśnia się związek dusz z ogniem i potworami (smokami i t. p.), zięjącymi ogniem, związek, na jaki dotychczas nie zwracano uwagi; jak w krwi i w oddechu odgadywano siedzibę czy funkcję duszy, tak i w cieple, związanem z ogniem i światłem, stąd pojęcie np. duszy-gwiazdy, duszy-ognia błędnego; Prometheus wykrada ogień u niebian, aby ożywić nim ciało — glinę (czy kamień); stąd też wyjaśnia się rola ognia w państwie zagrobowem (nie dla kary i męki, ani dla oczyszczenia); z duszą-ogniem staje się i mieszkaniem dusz miejscem ognistym. Z tem łączy autor, mojem zdaniem nie-trafnie rolę koguta (ptaka i światła) i kury jako zwierząt — dusz; należało je uwzględnić raczej w pierwszej. Uwagi ogólne i liczne dodatki kończą ciekawą książkę.

Nieraz chciałoby się ją uzupełnić; np. przy omawianiu wieszczości znaczenia konia brak najciekawszych wiadomości słowiańskich (zachodnich) o wieszczych koniach Świętowita i i.; przy duszy-wężu przypomniałbym ustęp z Mahabharaty, jak dusza umierającego Baladewy w postaci węża wychodzi i t. p. Szczególnie ze średniowiecznych źródeł możnaby ciekawe fakty przytaczać, np. o „formae aprorum“ jako phylacteria (amulety) u Aestiów Tacytowych, o wieprzu wieszczym u Thietmara i t. d. Pożyczki ze świata klasycznego odgrywają jeszcze większą rolę, niż to z uwag autorskich wypływa; przekonał się z prac prof. Rostafińskiego, jak dalece przesady ludowe o roślinach zawisły od przesądów starożytnych. I w innych razach (np. w podaniu o Popielu), mamy raczej motyw wędrowny niż oryginalny. Różnić się można i w szczegółach wykładu; nie należy zapominać, że rola zwierząt w przesądach i podaniach nie polega tylko na ich substytucji niby duszy człowieczej, że zwierzęta występują i zupełnie od niej niezależnie, czego np. kult niedźwiedzia u najrozmaitszych narodów dowodzi, co nic a nic z duszą czy upiorami niema wspólnego; zwierzęta, toć to pierwotni władcy leśni i częś zabobonna, jaką się im oddaje, nie zawsze z animizmem czy totemizmem się łączy. U Greków przemiany w zwierzęta nie dowodzą bynajmniej wiary w zwierzę-duszę, lecz wynikały ze ściśle antropomorficznego poglądu greckiego, co i w pająku czy słowiku i t. d., człowieka się doszukiwał, co bogów i całą przyrodę systematycznie uczłowieczał. Mimo takich zastrzeżeń witamy książkę p. Klingera jako cenny nabytek nauki, bogaty nie tylko w materiał, lecz wnoszący jasność i jednolitość w pogląd na zjawiska, opierające się dotąd wszelkim uogólnieniom i rozumowaniom; należy porównać wywody dawniejsze, Gruppego, Roschera, Hertza, Liebrechta i i., aby ich dowolność i brak uzasadnienia wobec tłumaczeń p. Klingera rozpoznać: a i z Wundtem polemizuje nieraz trafnie nasz autor, chociaż myśl przewodnią od niego zaczerpnął; uzupełnia nieraz go i poprawia jego wywody, np. pojęcie duszy-gadu nie rozwinęło się bynajmniej z duszy-robaka, jak Wundt twierdził, lecz powstało samorzutnie; o duszy-ogniu Wundt ani wspominał i t. d. Tu znajdzie

czytelnik objaśnienie owych na pierwszy rzut oka tak dziwacznych przesądów o bocianach, co dzieci z zamorza przynoszą, o trawie rozrywającej kamienie i zamki, znanej tylko ptakom (krukowi, dzięciołowi i i.) i t. d. Autor rozporządza bardzo obfitym i starannym doбором źródeł, ale wykluczyłbym z niego Veckenstedta podania łużyckie, jako niemal podobnej wartości co i jego żmudzkie, t. j. z fantazyi i nieporozumienia powstałe; przecież Czerny a choćby Schulenberg lepiej go zastąpią.

Ustęp o Baladewie z szesnastej księgi Mahabharaty, jako jeden z najciekawszych i najważniejszych przykładów duszy-węża, przytaczam dodatkowo obszerniej, ponieważ streszczenie jego w książce p. Langego (str. 341) mylne; Krszna szuka na pobojuwisku brata Baladewy, „ten siedział w pozycyi jogi (pustelniczej), i oto godzina jego śmierci nadeszła a w tej godzinie z jego ust wysunął się biały wąż [jak z ust śpiącego króla Guntrama, Klinger str. 167], spiesząc ku oceanowi [mylnie u p. Langego ciągnąc go ku oceanowi], gdzie inne najsłynniejsze węże — demony uroczyscie go powitały“. Jest to powtarzam, najcenniejszy i (najdawniejszy) dokument wiary w węża-duszę, bo najwymowniejszy.

A. Brückner.

Ernst Seefried -Gulgowski. *Von einem unbekannten Volke in Deutschland.* Mit einem Geleitwort von Prof. H. Sohnrey. Berlin 1911, str. 228.

Po pracach (nieco powierzchownych) Tetznera zbogaciła się literatura niemiecka nowem, całkiem popularnem, bogato ilustrowanem dziełkiem o Kaszubach, ich życiu i trybie, napisanem przez nauczyciela ludowego, p. Gulgowskiego, rozwijającego wraz z żoną wcale doniosłą czynność w „Sanddorf“ nad jeziorem wdzydzkiem. Stronice, na których p. Gulgowska opowiada, jak się jej udało wskrzesić zupełnie już zmarły przemysł domowy, jak urządziła szkołę wyszywań, tkactwa i koszykarstwa wedle dawnych wzorów kaszubskich, co wszystko osiągnęła w krótkim czasie, są dla nas przynajmniej najciekawsze z całej książki; z nich można się nauczyć wielu rzeczy i polecilibyśmy je gorąco uwadze tych wszystkich, co u nas czegoś podobnego się jeli; stosowała się zresztą pani G. do wzorów szwedzkich („przyjaciół robót ręcznych“). Również uwagi godne są nawoływania i wskazówki (za wzorami szwedzkimi znowu) co do urządzania muzeów wiejskich i prowincjonalnych, jak można małymi środkami zachować od zagłady dawne sprzęty i t. d. zaciekawić i budzić do współdziałania nawet najobojętniejszych albo wręcz niechętnych.

Po kilku ogólnikowych uwagach o ludzie i kraju, opisuje autor domowstwa kaszubskie (z licznymi zdjęciami) i sprzęty, uprawę roli (obszernie o dożynkach) i rybołówstwo. Wesele, chrzciny, zabawy dziecinne, zajęcia domowe (tu wtrącono sprawozdanie o przemyśle domowym) domowy ubiór ludowy (dziś zupełnie nowym, fabrycznym zastąpiony), krótko, ale wystarczająco omawia. Następne rozdziały poświęcił pojęciom kaszubskim o przyrodzie otaczającej, o świecie roślinnym i zwie-

rzęcem, o duchach i upiorach. Wypełnione dalsze rozdziały kwestyami, jak medycyna ludowa, życie w gminie, rzecz o kościołkach i krzyżach przydrożnych, o pogrzebie i stypie, o życiu zagrobowem; ciekawą książkę popularną, z zajęciem się czyta, dla widocznej sympatii, jaką p. nauczyciel ku ludowi żywi (mimo gorliwie zaznaczanych antypolskich tendencji), dla widocznej zażyłości, spoufalenia się, z ludem i krajem. Silny, uświadomiony zupełnie patriotyzm lokalny przebija z każdej stronicy. Nie gardzi autor próbkami kaszubskich śpievek ludowych, przysłów, zagadek i t. d., przytaczanych i w oryginale; daje liczne melodie, opisuje obszernie zabawy i t. d. — czytelnika polskiego uderza tyle rysów, znanych ze wsi polskiej, że czuje, iż stąpa po ziemi polskiej.

Znaliśmy autora z kilku przyczynków, ogłoszonych w czasopiśmie wydawanem przez niemieckie towarzystwo dla folkloru kaszubskiego. Bardzo ciekawe są wstępne uwagi prof. Sohneya, broniącego towarzystwa, Dr. Lorentza (redaktora owego czasopisma), p. Guigowskiego i jego muzeum wiejskie, przeciw posądzaniom i jeżeli nie jawnym napaściom, to widocznej niechęci, jaką Ostmarkenverein ku tym przeżytkom autonomicznym żywi, uznając w nich jeżeli nie niebezpieczeństwo dla dzieła germanizacyjnego, to przynajmniej tegoż opóźnienie. Dostaje się przytem i Gryfowi dr. Majkowskiego.

Hefftner P., *Ursprung und Bedeutung der Ortsnamen im Stadt- und Landkreise Breslau. Mit einem Stadtplan und einer Kreiskarte. Breslau, F. Hirt. 1910.*

Z żywym zadowoleniem stwierdzić można w ostatnich latach wzmagające się w coraz szerszych kołach zajęcie i rozumienie wielkiego znaczenia etymologii nazw miejscowości w dzielnicy śląskiej. W pismach codziennych i peryodycznych pojawiają się od czasu do czasu krótsze lub obszerniejsze przyczynki, próbujące rozwiązać trudne często zadanie wy tłumaczenia treści i znaczenia słowiańskich i niemieckich nazw miejscowości Śląska, a chociaż pomiędzy nimi nie zbywa też, co prawda, na takich objaśnieniach, którym, jako dyletanckim próbom parafialnych patryotów mimo gorącego zapału, wartości naukowej odmówić należy, albo też które rzekomo samodzielne wyniki, w rzeczy samej zaś przez dawniejszych zaśluzonych badaczy już rozwiązane zagadki, powszechnie uznane prawdy, tylko w zmienionej nieco szacie podają, jest wszakże w tej językowej dziedzinie wogóle znaczny postęp widoczny.

Postęp taki z wszelką pewnością oznacza powyżej wymieniona rozprawa Hefftnera, która, wyłoniwszy się z pracy szczupłych rozmiarów, w programie szkolnym umieszczonej, rozwinęła się obecnie w spore dzieło o 190 stronicach; wytłumaczono obszernie i szczegółowo tak pochodzenie, jako i znaczenie nazw miejscowości w miejskim i wiejskim powiecie Wrocławskim.

Z mrończą iście skrzętnością zebrał w niem autor z wszystkich dostępnych źródeł obfity materiał, porównał go, umiejętnie zestawiał i, postępując zresztą wypróbowanymi torami, pod względem etymologi-

cznym wytłumaczyć. A jako szczególną zaletę dzieła owego uznać wypada, że objaśnienia te obejmują wszystkie, tak słowiańskie jak niemieckie, nazwy miejscowości wymienionego obwodu geograficznego i w licznych razach są trafne i przekonujące.

Jeżeli mimo to w przeróżnych szczegółach znaczniejsze pomyłki i błędy oczywiste pozwolimy sobie tutaj wytknąć, to nie mają one bynajmniej na celu ujęcia wartości pracy, cennej w swej całości, lecz wynikają jedynie ze względu na etymon, t. j. na prawdę, dokładność i słuszność.

Głównie zapewne cudzoziemskiem pochodzeniem autora tłumaczyć należy, jeżeli on nieraz przy braku stanowczości sądu t. zw. homonimii, t. j. równemu albo tylko podobnemu brzmieniu pierwiastków językowych, znaczeniem zupełnie pomiędzy sobą się różniących, zbyt obszerną rolę w swych objaśnieniach odgrywać pozwala. Posługując się taką metodą badania, utrudnił tylko istotne zrozumienie rzeczy, a siebie samego nieraz na kręte i błędne wywody manowce.

W następnych uwagach ograniczymy się z umysłu tylko wykazaniem ważniejszych szczegółów.

Zweihoſ, zwane w dokumentach z r. 1295 kelzovo, 1300 kelchovo, nic nie ma wspólnego ani z rzeczownikiem kielich, Trinkgefäß, kelch, ani też z starosłowiańskim rzeczownikiem słownym kluczanye, Trauer; nazwę tę wywodzić należy od słowiańskiego pierwiastku kul, polsk. kieł, dopełn. kła, Spitzzahn, Pferdezahl, Hauer, kielec, w liczbie mnogiej kielce, Hakenzahn.

Sarafka, 1204 Siravina, H. odnosi do polskiego rzeczownika żóraw, Kranich, albo do żórawina, Moosbeere, i objaśnia ową nazwę jako „Kranichbach“ albo „Moosbeerbach“. Tłumaczenie takie, już o ile starodawnej nazwy Siravina dotyczy, bardzo wątpliwe, odrzucić trzeba względem nowszej formy stanowczo jako błędne w zestawieniu z wyrazem żóraw. Sarofke jest oczywiście nazwą złożoną z przyimka za, post, trans, hinter, jenseits, i zdrobniałego rzeczownika rowek, dopełn. rowka, kleinen Graben, Bächlein, i oznaczała pierwotnie tylko „grunta, łąki, za rowkiem położone“. Dzisiejsza forma jest skoszlawieniem prawdziwej w ustach niemieckich.

Żadną miarą zgodzić się także nie można na wywód słowiańskiego rzeczownika chram, świątynia, Kirche, od pierwiastku tego samego co słowo chraniti, po polsku chronić, uchronić, ani też na zestawienie jego z nazwą miejscowości Clavencranst, w dokumentach z r. 1327 Chranstow, Cransto de sancta Clara, 1630 Gross-Kranst, 1651 Clarenkranss, 1736 Cranst, lub z nazwą Mariencranst, w dokumentach z r. 1250 Cranstava, 1259, 1291 Cranstawa, 1293 Cranstova, 1353, 1360 Cranstow, Cransto de beata virgine, Kranstow dominorum sancte Marie, 1630 Klein-Kranst, 1651 Margenkrans, 1667 Margenkrant, ani też wreszcie z nazwą wsi Chronstan, w powiecie Opolskim. Również i Damroth (Die älteren Ortsnamen Schlesiens, Bytom 1896, str. 165) objaśnia ostatnią nazwę Chronstan w formie „Chronsty,

właściwie Chrosty, 1295 Chranstowicz“, całkiem dowolnie, jakoby powstała z rzeczownika polskiego chróst, w liczbie mnogiej chrósty, Gestrüpp, dürres Reisig. Wszystkim bowiem tym tłumaczeniom stoi jako nieprzeparta przeszkoda w drodze przy każdej przytoczonej nazwie stale pojawiające się brzmienie nosowe an albo on (= a). Milczeniem zbywać tej nosówki przenigdy nie można, ponieważ ona właśnie wskazuje nieodzowną drogę do wysledzenia istotnego pochodzenia owej nazwy. Bez najmniejszej wątpliwości bowiem tłumaczyć ją należy właściwie jako przymiotnik dzierżawczy, utworzony od imienia osobowego chrząszcz, które na Śląsku polskim do dzisiaj bardzo często się spotyka. Odpowiednie imię pospolite brzmi po starosłowiańsku chrašťь, po połabsku chranst, po polsku chrząszcz, chrabąszcz, scarabaens, Käfer, Maikäfer, chrąst, rodzaj bezskrzydłej szarańchy.

Zresztą dla uspokojenia sumienia etymologicznego nie zawadziłoby może przy tej sposobności potrącić jeszcze o inny, podobnie brzmiący wyraz słowiański chrenst, po polsku chrzęść, w formie drobiaźniej chrzęstka, chrząstka, cartilago, knorpel.

Przy objaśnieniu nazwy miejscowości Zweibrod, brzmiącej w r. 1352 Czeseraw, 1360 Czeserow, 1409 Zeserau, H. odnosi ją zrazu z wielką stanowczością do starosłowiańskiego imienia pospolitego osiżik z polsk. czyżyk, acanthis, fringilla spinus, Zeisig, to znowu łączy ją „dla błędnej pisowni imion własnych“ z niemniejszą pewnością z polskim imieniem pospolitem cis, taxus, Eibenbaum. Jednakże w obydwu razach zbyt milczeniem charakterystyczną spółgłoskę r; por. Zieserwitz, w powiecie Średzkim, 1217 Scizeronici, 1348 Cezarowicz. Słusznie domyslać się można, że wszystkie te nazwy powstały z rzeczownika czeskiego tesarz, za tym wzorem i w polskim języku dawniej używanego w znaczeniu cieśla, przynależnego do pierwiastku słowiańskiego tes, polsk. ciosać, ciesać, cieśla.

Także wywód etymologiczny nazwy miejscowości Tschanchelwitz, w dokumentach z r. 1252 Czuchalitz, 1326 Zuchaliz, 1329 Schukalycz, 1352 Schukelicz, 1735 Tschankelwitz, 1750 Tschenchelwitz, która, powstawszy „prawdopodobnie“ z formy patronomicznej imienia osobowego, utworzonej od polskiego „szukał“ (= er suchte) w znaczeniu „Sucher“, w formie „Szukalicz“ oznaczać ma „potomków „Szukała“ (Sucher) i ich siedzibę“, a tem mniej jeszcze znowu „z większym uprawnieniem“ podany drugi rodowód owej nazwy miejscowości od polskiego przymiotnika zuchwały, audax, verwegen, kühn zdolają w jakikolwiek sposób sumiennego etymologa zadowolić. Nazwa rzeczona wywodzi się z pewnością od imienia pospolitego sokół falco, accipiter, falco palumbarius, Falke, które we wszystkich językach słowiańskich brzmi nieodmiennie. Por. nazwy miejscowości na Śląsku: Zuckelnick w powiecie Strzygowskim, Sucklan w powiecie Niemodlińskim, po polsku Sokolniki. Zucklau w powiecie Oleśnickim, po polsku Sokołowice, i tak się też niezawodnie

Tschauchelwitz ongi zwało; Zöcklau w powiecie Kożuchowskim, po polsku Sokołowo.

Zupełnie chybione i całkiem dowolne jest objaśnienie nazwy miejscowości Zimpel, zwanej w r. 1288 Zemplin, 1351 Czypelin, skoro H. kusi się o nie aż w czworaki sposób, niezdecydowany, czy wywodzić ją: 1. od polskiego rzeczownika cymbał (!), Tonwerkzeug, Schallbecken; einfältiger Mensch; 2. od starogórnoniemieckiego zimpar, budulec, dom, Bauholz, Haus; 3. od średniogórnoniemieckiego zimpfarn, płakać, wyć, ryczeć, weinen, heulen, i na dobitkę, w mylnym przypuszczeniu, że spółgłoska p nie jest organiczną i dopiero później swawolnie wsuniętą; 4. od rzeczownika starosłowiańskiego zemiłja, (w tejże formie istniejącego w jęz. słowieńskim, serbskim i rosyjskim) po polsku ziemia, terra, Erde, Land. Rzeczona nazwa miejscowości jest w istocie prawdziwie słowiańską, tylko tłumaczyć ją należy w następujący sposób:

Dzisiejsza nazwa miejscowości „Zimpel“ w postaci bardzo skąpanej, jest formą złożoną, z starodawnego przyminka są, z którego z biegiem wieków powstały se, ze, oraz s, z, w znaczeniu cum, mit, i z rzeczownika ogólnie słowiańskiego polje, po polsku pole, ager Feld, Acker, w postaci zaś pierwotnej, nienaruszonej brzmi: Sąpole, Sąpolno, Sępolno, w znaczeniu: rola mieszana, grunta mieszane, połączone, pole obszerne, z kilku mniejszych złożone. Por nazwy miejscowości: Zimpel w powiecie Rotenburskim, po wendyjsku Zimplov; Zempelkow w powiecie Złotowskim, po polsku Sempolno; Zempin w powiecie Szczecińskim; Zemplin, miasto stołeczne i nazwa komitatu węgierskiego.

Analogiczne twory w polskim języku są: Sątok, Santok, w Galicyi; imię pospolite sątok, santok, złożone z są i sed, sied, w znaczeniu: razem z kim, obok kogoś siedzący; sąsieć, rzeczownik złożony z są i sieć, pochodzącego od pierwiastku sek (por. słowo sieć), po niemiecku Banze; sąrzyca, dzisiaj zwyczajnie sąrzyca, wyraz złożony z są i reż, mieszanka, żyto z pszenicą pomieszane; sukrwica, w dyalektach sukwowica, wyraz złożony z są i kre w, w znaczeniu krew z ropą pomieszana, otok; suspica, rzeczownik złożony z są i pierwiastku su p, w znaczeniu żyta z plewami pomieszanego.

Nieszczerze mówiąc, powiodło się także autorowi z objaśnieniem imienia osobowego sieciech, podanem pod nazwą miejscowości Seschwitz, która z owego imienia istotnie powstała. Imię owo utworzyło się wprawdzie z pierwiastka słowiańskiego sjeti (seti, z którego powstało słowo sjetiti (setiti) w znaczeniu pamiętać, meminnisse, gedenken, jednakże druga część imienia owego nie pochodzi, jak autor twierdzi, od osnowy tjezzi, skąd polskie cieszyć, pocieszać, gaudere, consolari, erfreuen, trösten, lecz jest czystym przyrostkiem słowiańskim jehu. Imię Sieciech zatem nie znaczy: „pocieszające, miłe wspomnienie“, lecz „pamiętający, pomny“, lub „w pamięci pozostający, tkwiący“. Dzisiejsza więc nazwa miejscowości Seschwitz, w dokumentach z r. 1338 Zeschicz, 1360 Zessichicz, 1480, 1530 Seschitz, Sesschitz, Zechicz, 1610,

Säschwitz, 1795 Sechswitz. brzmień musiała pierwotnie po polsku Siecieszycę. Por. polskie nazwy miejscowości: Sieciechowo, Sieciechowice; czesk. Setějovice.

Z powyższych wywodów wynika też, że Damroth (w przytoczonym dziele str. 88) nazwę Sechswitz jeszcze daleko błędniej tłumaczy; wywodzi ją bowiem od polskiego imienia osobowego Zdzisław, zmyślając takim sposobem jak najdowolniej nazwę miejscowości Zdziesice, zupełnie nieznaną i nieprawdopodobną.

O słowiańskim pochodzeniu nazwy miejscowości Wangern, w dokumentach z r. 1305 Wanger, 1309 Wangir, Wangyr, Wangern, ani chwili powątpiewać nie można. Jak zaś tłumaczyć ją jako „powstałą według dochowanych starodawnych wariantów z równą słuszością z starogórnoniemieckiego pierwiastku wang” — ani sposób zrozumieć, tem mniej jeszcze z tak osobiwem dowodzeniem, że „imię osobowe Wysa de Wangotho zachodzi jeden raz tylko w Regestach śląskich z r. 1259”.

Zupełnie niefortunne są także objaśnienia, podane nietylko do nazwy miejscowości Irschnocke, która, skoszlawiona z urojonego w rzeczy samej rzeczownika polskiego rznak (= żniwak?!) w znaczeniu „Schnitter“, żeniec, żniwiarz, ma w związku ścisłym pozostawać z polskim rzeczownikiem rznąć, albo z rzeczownikami reż, ziarno, i pierwotnie rzekomo brzmień mogła Rznakow w znaczeniu „Ort der Schnitter“, lecz i do miana miejscowości, które, przytoczone pod r. 1254 w dokumencie jako Pretiwonono Preciwonono, później wszakże razem z samą miejscowością w mroku wieków długich przepadło; utworzyć się zaś podobno miało z złożenia z polskiego przymka przed, ante, vor, i z imienia osobowego Iwan (!!) z zakończeniem przymiotnikowym owo. Czemu nie sięgnął autor przy objaśnieniu tej nazwy właśnie do tuż na samym torze leżącej odnośnej osnowy proti, po polsku przeciw, przeciwko, contra, gegen, po czesku proti, protivno, protivu, protiv? Klucz do tej językowej zagadki kryje się istotnie w tej, a nie w innej osnowie. W zagadnieniach etymologicznych często bardzo zawiłych woli przyznać się do przykrego wprawdzie nieraz, lecz w szczerości swej nieupokarzającego non liquet.

S. Drzażdżyński.

J. Talko-Hryncewicz. *Materyały do etnologii i antropologii ludów Azji Środkowej. Mongołowie, Buriaci i Tungusi.* Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności. 1910. 96 str.

Prof. J. Talko-Hryncewicz, wykładający obecnie antropologię na Uniwersytecie Jagiellońskim, bawił przez 16 lat w krainie zabajkałskiej i zebrał tam przy swej nadzwyczajnej pracowitości ogromny materiał, dotyczący dwóch ludów, stanowiących podstawowy typ rasy mongolskiej: Mongoło-Chałałasów, zamieszkujących Środkową Azję i Buriatów, zamieszkujących Dauryę (obwód zabajkałski). Wpływ tych szczepów kulturalny i rasowy silnie oddziaływa zarówno na najbardziej po-

suniętych na północ Jakutów, tak też i na Tungusów. Tym ostatnim autor poświęcił też swą uwagę, badając kilka oaz, gdzie się zachowali Tungusi wyparci ze swej pierwotnej siedziby (od Jenisieja aż do Amuru), porozrzucani po całej wschodniej Syberii i stopniowo wymierający. Jest to dla antropologa szczerp bardzo ciekawy nie tylko w obec jego zanikania, ale i z powodu specjalnych cech, pozostałych od czasów ubiegłych, które spowodowały nawet nazwę u otoczenia: „Szlachta Syberyjska“, „Francuzi Północy“. Tungusi prawie wyłącznie zajmują się myślistwem, mają charakter rycerski i odróżniają się tem bardzo od ospałych Mongołów i Buriatów.

Nie duża książeczka prof. T. H. jest streszczeniem jego olbrzymiej monografii, posłanej jeszcze w 1901 r. do Moskwy do Twa Miłośników Przyrody, które za nią dało mu premium i złoty medal imienia Razewietowa. a Two Geograficzne w Petersburgu za dzieło to w połączeniu z innemi pracami odznaczyło naszego znanego rodaka największą nagrodą — wielkim złotym medalem. Druk całej pracy podjęty będzie przez Petersburską Akademię Nauk.

Ile czasu i sił ta monumentalna praca potrzebowała, wskazuje ta okoliczność, że na wyliczanie dat pomiarów i przepisywanie poświęciła znaczna i nieustrudzona towarzysząca życia i podróży prof. T. H., jego małżonka pani Krystyna Talko-Hryncewiczowa wraz z jedną swą przyjaciółką 3 i pół lata.

Ponieważ prof. T. H. pracował uprzednio i nad antropologią bliższych nam terytoriów — Litwy i Rusi, mógł więc zebrany w Azji materiał porównać z danemi dotyczącemi tego, co nas najwięcej obchodzi. Autorowi wydaje się mianowicie, że Litwini, Łotysze i Białorusini ze swym bardziej jasnym typem i krótkogłowością przechodzącą w średniogłowość, o bardziej wydłużonych wąskich twarzach, wąskich czołach i potylicach, zbliżają się do typu Finnów Zachodnich. Natomiast południowi Ukraińcy a może w części i Polacy o typie nieco ciemniejszym, znaczniejszą krótkogłowością, o twarzach i potylicach bardziej szerokich zdają się mieć pewne cechy mongolskie. Objaśnienia trzeba by szukać w wędrówkach Mongołów, które szły południem współczesnej Rosji aż pod Kraków. Hordy tatarskie niejednokrotnie przechodziły przez Ukrainę, wdzierając się do Polski. Litwini i Białorusini od tych inwazyj byli więcej swobodni i zachowali czystiej swe cechy. Czaszki odnajdywane w starych mogiłach Krywiczian, którzy są protoplastami współczesnych Białorusinów, niczem się nie różnią od dzisiejszych białorusińskich. Pierwiastek fiński można zauważyć w tej samej proporcji.

Zajmująca książeczka prof. T. H. jest cennym nabytkiem dla naszej literatury antropologicznej i etnologicznej, w której dział prac oryginalnych jest niezmiernie biedny.

Zakopane.

Bron. Piłsudski.

Ignacy Radliński. *Apokryfy judaistyczno-chrześcijańskie w polskich przeróbkach.* Warszawa. Skład gł. w księg. E. Wende i Ska. (T. Hiż i Turkuł.) 1911. 8° str. 107 + 3 nłb. Cena 1 Rb. (Słowo wstępne. I. Krzy-

sztofa Pussmana: *Historyja bardzo cudna o stworzeniu nieba i ziemi. II. Postępek prawa czartowskiego przeciw narodowi ludzkiemu. III. Historia o chwalebnem Zmartwychwstaniu Pańskiem. IV. Apokryfy judajstyczno-chrześcijańskie. Postscriptum. Uzupełnienia*).

Zjawienia się książki niniejszej nie można uważać jako jakiegoś plus w nowej literaturze, choćby dlatego, że nie przynosi nic nowego, bo jest formalnym przedrukiem rozprawki tegoż autora p. t. „Trzy książeczki polskie z XVI. stulecia“¹⁾ choćby z tego powodu, że wyniki, do jakich autor dochodzi dla naukowego badacza są prawie bezwartościowe, mimo pretensyi autora w tym kierunku. Ma bowiem charakter dorywczy i pseudonaukowy a dla badacza apokryfów stanie się bezpotrzebnym balastem przy obowiązkowem badaniu odpowiedniej literatury. Przez swój chaotyczny sposób pisania nie przyczyni się nawet do ogólnego dobrego poinformowania w tym przedmiocie. Przedewszystkiem razi już wadnisty wstęp²⁾, zajmujący 1/5 całej książki. Na scharakteryzowanie apokryfu i jego trojakiego charakteru (proroczego, biograficzno-historycznego, polemiczno-apologetyczno-dogmatycznego), na skreślenie ważności ich dla historyka i etnologa starczyłoby zupełnie z 5 stron. Autor jednak zupełnie mechanicznie wtrąca tu pochwały dla Łopacińskiego, i innych, utyskiwania nad losem swoich apokryfów³⁾. Rozwodnienie i operowanie frazesami powoduje często błędne twierdzenia wypowiedziane w formie kategorycznej, jak np: „Apokryfy stały się źródłem podań ludów europejskich“ (str. 9) lub zdanie o powstawaniu literatur apokryficznych narodowych „Powstawały zaś jedna od drugiej nie zależnie, gdyż wszystkie czerpały z jednego źródła treść swą samodzielnie“ (str. 11), przyczem sam autor pozostaje z sobą w sprzeczności, gdyż w r. IV. nie jest pewnym, czy Pussman wprost tłumaczył „Dzieje Adama i Ewy“. Nie trzeba zresztą udowadniać, że Zachodnia i Wschodnia Słowiańszczyzna z odmiennych rąk, więc nie samodzielnie wierzona swe czerpały. Właściwa i lwia część pracy (R. I.—III,) polega na tem, że autor streszcza dziełka, wydane w bibliotece pisarzy pol. A. U. tomiki X., XXII. i XXV. przytaczając obficie wyjątki bez paginacy i numeracyi wierszy. Rozdział IV. pracy obraca się w ogólnikach, powtarza miejscami myśli ze Wstępu. Autor wymieniwszy apokryfy do Mojżesza Genezis (R. I.—V.) t. zw. Małą Genezis czyli Księgę Jubileuszów i „Dzieje Adama i Ewy“ (Apokalipsa Mojżesza) twierdzi kategorycznie (str. 81), że książeczka Pussmana „jest tylko tłumaczeniem“ tej książki, nie poparłszy tego nawet przykładami. Podobnie się rzecz ma z drugą tudzież trzecią książeczką, bo mimo przytoczenia przekładu apokryficznej Ewangelii św. Nikodema, dobrego jako ilustracja, nie mamy żadnych

¹⁾ Biblioteka naukowa IV. 1905 II. półrocz str. 18—41, 49—72, 94—116.

²⁾ Porównaj n. p. powtarzanie się na str. 3—4 i 12 — 15.

³⁾ Str. 16—23.

odpowiednich też co do stosunku pokrewieństwa. Szkoda też, że autor nie uwzględnił w tym kierunku najnowszej literatury, choćby pracy O. Dähnhardt'a „Natarsagen“ zawierającej w I. i II tomie podania odnośnie starego i nowego testamentu z uzupełnieniami A. Fischera. („Lud“ 1909. IV.). O myślach w postscriptum zawartych, że lit. apokr. polska w. XVI. ma swobodniejszy charakter, niż arjańska w. XVII., jako zbyt ogólnych nie mam co mówić. Całość pracy nasuwa myśl, że praca naukowa obliczona na łatwe rozejście się między publicznością, często chybia celu.

Lwów.

K. Sochaniewicz.



Omyłki druku.

str. 101	w. 14	z góry	zamiast	O. Zielińskiego	czytaj	T. Zielińskiego
„ 101	„ 15	„	„	Crustusa	„	Crusiusa
„ 101	„ 16	„	„	autentyczną	„	antyczną
„ 101	„ 7	z dołu	„	rudis indigestaque. m.	„	indigestaeque. m.

DRUK UKOŃCZONO 10. STYCZNIA 1912 R.

ODPOWIEDZIALNY ZA REDAKCJĘ: ADAM FISCHER.

Wydawnictwa

Towarzystwa Ludoznawczego we Lwowie.

Cena K. h.

Czaja Stanisław. Szopka krakowska. Kraków 1905	1.—
Chybiński A. dr. O metodach zbierania pieśni ludowych Lwów 1908	1'20
Daszyńska-Golińska Zofia dr. Badania nad alkoholizmem w Galicyi zachodniej. Lwów 1902.	50
Dobrzycki St. dr. prof. „Ludowość“ w Sobótce Kochanowskiego	40
Fischer Adam. Piosennik ludowy Porebowicza. Lwów, 1909	60
— Uzupełnienia Dähnhardta. Lwów, 1910	70
— Watek odkwitającej gałęzi. Lwów, 1909	40
— Do wтку odkwitającej gałęzi. Lwów, 1910	40
— Okruchy ludoznawcze, Lwów 1911	80
Gawełek Franc. Palma, jajko i śmigus w praktykach wielka- nocnych ludu polskiego. Lwów 1911.	80
Gawroński Rawita Fr. Szczedrówki z powiatu dobromil- skiego. Lwów 1899	40
Gomme G. L. Folklor. Podręcznik dla zajmujących się ludo- znawstwem. Lwów 1901. Cena księgarska 2 k., dla członków	1.—
Gonet Szymon. Śpiewki z okolic Andrychowa. Lwów, 1909	2.—
Gustawicz Bronisław O ludzie poddukłańskim. Lwów 1901.	1.—
— O zwyczajach świętomarcińskich. Lwów, 1910	1.—
Klinger Witold. Do wpływów starożytności na folklor. Lwów 1909.	1'20
Kosiński Wład. Widowiska świąteczne w Makowie, Kałwaryi Zebrzydowskiej. Lwów 1911	
Krček Franciszek dr. Pisanki w Galicyi. Lwów 1908	50
— Sobótka w Galicyi. Lwów 1898	50
Mączewski P. Konik zwierzyński w Troi (Wyspiański Achilleis). Lwów 1909	30
Młynek Ludwik. Uwagi nad pieśniami ludu wielickiego. Lwów 1900	50
— Zabawy sierskich pasterzy. Lwów 1902. Cz. 1—2.	1.—
Pamiętnik Zjazdu etnograficznego we Lwowie. Lwów	2.—
Pieśni nabożne na cały rok kościelny (5 zeszytów)	5.—
Porebowicz Edward. Berta z dużemi stopami i Rycerz z ła- będziem. Lwów 1909.	1.—
Rechowicz Kazimierz. Sztuka budowania z drzewa w okolicy Skolego. Lwów 1911	40
Schneider Józef. Z kraju hucułów. Lwów 1899	50
Schneider Stanisław Dr. Król węzów. Lwów, 1910	50
Udziela Seweryn. O strojach, budowlach, sprzętach i naczyni- ach w Sądeczyźnie. Kraków 1905	80
Wasylewski Stanisław. Pieśń o żołnierzu tułaczku. Lwów 1910	40
Witort Jan. Filozofia pierwotna. (Animizm). Lwów 1900	1'60
— Zarys prawa zwyczajowego ludu litewskiego	4.—

Nieliczne, pozostałe komplety „Ludu“ (16 tomów) w cenie 160 K. za egzemplarz, pojedyncze zeszyty nadkompletowe, dla członków Towarzystwa ludoznawczego po 1 K.

Do nabycia w Administracyi Towarzystwa (Adam Fischer, Lwów, Ossolineum).

Najtańsze polskie-katolickie pismo pedagogiczne

„RODZINA i SZKOŁA“

poświęcone domowemu i szkolnemu wychowaniu młodzieży, oraz dalszemu kształceniu nauczycielstwa.

Wychodzi rok XVI. we Lwowie z końcem każdego miesiąca w objętości dwóch arkuszy druku (32 stron).

DODATEK NAUKOWY

„WIEDZA I PRACA“

wychodzi razem z „RODZINĄ i SZKOŁĄ“

poświęcony popularyzowaniu wiedzy ogólnej, w objętości jednego arkusza druku (16 stron).

WARUNKI PRENUMERATY:

Przy zamawianiu wprost z administracji i uiszczeniu przedpłaty z góry, przynajmniej za pół roku, kosztuje „RODZINA i SZKOŁA“ z dodatkiem naukowym WIEDZA i PRACA w Austrii: rocznie 6 K., półrocznie 3 K. 40 h. Przy zamawianiu przez księgarnie lub płaceniu prenumeraty później, a więc nie równocześnie z zamówieniem, przedpłata wynosi: rocznie 7 K., półrocznie 4 K.

W innych krajach: rocznie 8 Mk. — 9 frank. — 4 Rb. — 2 dol.; półrocznie 4⁵⁰ Mk. — 5 frank. — 2⁴⁰ Rb. — 1⁴⁰ dol.

„RODZINĘ i SZKOŁĘ“ z dodatkiem naukowym „WIEDZA i PRACA“ poleca galicyjska c. k. Rada szkolna krajowa we Lwowie, reskryptem z dnia 21. marca 1904 l. 10.299 do bibliotek nauczycielskich szkolnych i okręgowych w Galicyi.

Dziennik urzędowy galic. c. k. Rady szkolnej krajowej Nr. 8. z d. 30. marca 1904 r. str. 162.

„RODZINĘ i SZKOŁĘ“ z dodatkiem naukowym „WIEDZA i PRACA“ polecają również: śląska c. k. Rada szkolna krajowa w Opawie, reskryptem z dnia 22. marca 1908 l. 2.162 do bibliotek nauczycielskich wszystkich szkół polskich na Śląsku, a bukowski c. k. Rada szkolna krajowa w Czerniowcach, reskryptem z 27. października 1908 l. 8.407 do bibliotek nauczycielskich szkół polskich, względnie szkół z klasami polskimi na Bukowinie.

„RODZINĘ i SZKOŁĘ“ z dodatkiem naukowym „WIEDZA i PRACA“ odznaczono listem pochwalnym na wystawie przyrodniczo-lekarskiej i higienicznej we Lwowie w r. 1907, oraz na wystawach „Dziecko“ w Wilnie i higienicznej w Lublinie w r. 1908.

LWÓW 1910.

„RODZINĘ i SZKOŁĘ“ z dodatkiem naukowym „WIEDZA i PRACA“ zamawiać można każdego czasu w Administracji, oraz przez wszystkie księgarnie w kraju i zagranicą. — Prenumerata liczy się od 1. stycznia lub od 1. lipca do końca roku. Zeszytów już wydanych dostarczamy od Nr. 1.

Redakcja i Administracja we Lwowie, (Galicya) przy ul. Szeptyckich l. 74 (Gmach „Sokoła“ II-go).

Kilka słów wyjaśnienia od Redakcji Kwartalnika Etnograficznego „Lud“.

Czytelnicy naszego czasopisma zauważyli już to chyba zapewne od dłuższego czasu, że Kwartalnik Etnograficzny »Lud« wychodził z ciąglem, stałem opóźnieniem. Tak I zeszyt za rok 1911 wyszedł w maju 1911 r., zeszyt II—III w styczniu 1912 r., **a zeszyt IV z r. 1911 dopiero z końcem sierpnia 1912 r.** Chroniczne opóźnienia są więc zbyt wielkie i częste, by przejść nad nimi do porządku dziennego, by przyczyny ich nie wyjaśnić *coram publico*, przed całym społeczeństwem polskiem a w szczególności przed tymi, którzy dotąd wydawnictwo »Ludu« popierali.

Nie widzimy potrzeby, by ukrywać dłużej przyczynę nie-normalnego toku w wydawaniu naszego pisma tem więcej, że zwracamy się zarazem do opinii publicznej z prośbą o pomoc w ciężkiem położeniu. Ubywają bowiem zastępy starych naszych protektorów, a brak zupełnie nowych; Towarzystwo ludoznawcze pobiera zbyt małe subwencye, a liczba prenumeratorów nie wystarczy choćby na częściowe pokrycie kosztów wydawnictwa; nie można się więc dziwić, że rocznik 1911 zdołało się wydać dopiero w sierpniu 1912 r. a rocznik 1912 będzie można wydać dopiero z początkiem r. 1913.

Nie potrzeba chyba udowadniać ważności pracy naszej, dążącej do wszechstronnego poznania, opisanie i objaśnienia właściwości ludu polskiego, a nie posądzi też nas chyba nikt o jednostronne zaślepienie, gdy ośmielimy się twierdzić, że przed innemi naukami należy się nam jak najrychlejsze poparcie, ponieważ przedmiot badań etnograficznych z każdym dniem coraz

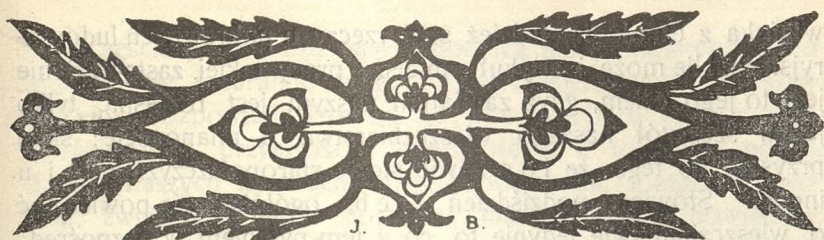
bardziej zanika i trzeba wyteńczyć wszystkie siły, by resztki ginących dawnych strojów ludowych, zwyczajów, przesądów, podań, pieśni etc. zanotować i tak od zupełnej wyratować zagłady.

Czasopismo Etnograficzne »Lud«, jako organ lwowskiego Towarzystwa ludoznawczego, w pierwszej linii jest do działalności tej powołane, ale nie będzie w stanie rozpocząć akcji pożytecznej, jak długo związane ma ręce z powodu braku środków materyalnych i jak długo nie oswobodzi go z trudnego położenia czyto hojna, ofiarna dłoń zamożniejszych jednostek czy też zbiorowa akcja społeczeństwa przez gromadne przystępowanie do Towarzystwa Ludoznawczego i jednanie mu członków i przyjaciół w kołach jak najszerzych.

Wierzmy, że odezwa nasza zyska u społeczeństwa odpowiedni posłuch, że nie dozwoli ono, by Kwartalnik Etnograficzny »Lud«, założony przez ś. p. prof. Antoniego Kalinę i rozpoczynający z dniem 1. stycznia 1913 r. **dziewiętnasty rok istnienia**, musiał upaść; inaczej potomność nie wyraziłaby się chyba dodatnio o takim społeczeństwie, które z dziwną obojętnością patrzyło na zatrącenie wielkich myśli i nie udzieliło poparcia pracy Towarzystwa Ludoznawczego, nie tylko ściśle naukowej, ale i obywatelskiej, bo głoszącej **poznanie i ukochanie ziemi ojczystej i polskiego ludu**.

Lwów, we wrześniu 1912 r.

*Redakcja
Kwartalnika Etnograficznego
„Lud“.*



SZYMON MATUSIAK.

Wieszczba i żreb.

Wiara w możność zbadania zakrytej przed człowiekiem woli bogów jużto za pośrednictwem ludzi, przez bogów natchnionych, jużto za pośrednictwem zwierząt bogom miłych lub tylko w blizkim z nimi zostających stosunku, jużto zapomocą osobnych znaków, przez bogów w danej chwili zesłanych, dała powód u wszystkich ludów do wytworzenia się wieszczbiarstwa w najrozmaitszych formach i do powstania z czasem wieszczów zawodowych, tudzież instytucji wieszczych, choć, rzecz naturalna, nigdy nie brakło przygodnych obok tego wieszczów i przygodnego wieszczenia przez ludzi, do tego nieukwalifikowanych. Zawodowymi, ukwalifikowanymi wieszczami byli z dawna kapłani, a świątynie bogów, którym służyli, miejscami i instytucjami wróżby, które nazywamy wyroczniami. U Greków i Rzymian doszło wieszczbiarstwo do wielkiego znaczenia i odgrywało w życiu prywatnem i publicznem ważną, niemal decydującą rolę, bo nie godziło się pod grozą niepowodzenia i kary za nieposzanowanie wyroków bożych niczego takiego przedsiębrać, czegoby nie życzyli sobie bogowie, więc też przed każdym ważniejszym krokiem o wolę bogów zapytywano i do niej się stosowano.

Nie znamy pracy naukowej, któraby dawała obraz wieszczbiarstwa słowiańskiego, choć nie brak do takiej pracy źródeł, jakich dostarczyć mogą wzmianki historyczne i filologia sło-

wiańska z etnologią, tudzież stan rzeczy u pokrewnych ludów aryjskich. Nie może i artykuł niniejszy pracy takiej zastąpić i nie jest to jego celem, gdyż zamiarem naszym jest rozjaśnić tylko jeden szczegół naszego wieszczbiarstwa, a mianowicie: skąd przyszło do tego, że *los* zowie się w staropolszczyźnie, a i u innych Słowian *podziśdzień* *žreb*, ogólnie zaś powiedzieć o wieszczbiarstwie jedynie to, co z tem pytaniem w bezpośrednim zostaje związku.

Jak Grecy i Rzymianie, mieli i słowiańscy przodkowie nasi zawodowych wieszczbiarzy, kapłanów, tudzież świątynie, w których udzielano wyroczni. Wiemy to z całą pewnością na podstawie źródeł historycznych, któremi odnośnie do zachodniej Słowiańszczyzny są przedewszystkiem zapiski kronikarzy niemieckich, patrzących jeszcze własnymi oczyma na pogańskich Słowian między Odrą a Łabą: jak kronikarza Thietmara, rówieśnika Chrobrego, jak Adama bremeńskiego z czasów Bolesława Śmiałego, jak Helmolda i Saxona Gramatyka, obu z XII wieku, tudzież żywoty Ottona bamberskiego, apostoła Pomorza, przyjaciela Krzywoustego z tegoż wieku. Czyta się w tych źródłach niejednokrotnie, czasem nawet dość szczegółowo o wydawaniu wieszczbiarskich wyroków w Szczecinie, Retrze i Arkonie, przy świątyniach, przez kapłanów, we wszystkich ważniejszych sprawach, a przedewszystkiem w sprawach pokoju i wojny, przez co wpływ kapłanów, wydających te wyroki, jest, jak u Greków i Rzymian, ogromny: „Król u nich (u Słowian) — powiada Helmold — w porównaniu z kapłanem mało znaczy, ten bowiem (tj. kapłan), bada odpowiedzi i wypadek losów. Kapłan zależy od skinienia losów, król zaś i lud od jego woli“¹⁾.

A jak też w rodzinnym języku nazywano tych tak potężnych narodowych kierowników, niewątpliwie wielce pożytecznych, o ile światłem rozumu, doświadczeniem i biegłością w sprawach publicznych, tudzież rzetelną miłością kraju i narodu górowali nad innymi — i jak też zwała się ta ich sztuka, która podług zdania Helmolda nimi kierowała, a oni królem i narodem?

Źródła historyczne, pisane w obcym języku i przez ludzi obcych, nie mogą oczywiście dać na to pytanie odpowiedzi, ale

¹⁾ Helmolda Kronika Słowiańska (tłumaczenie Jana Papłońskiego, Warszawa, 1862), str. 254.

na szczęście przychodzą nam z pomocą językoznawstwo i etnologia, o ile naturalnie mogą. O Kalchasie, słynnym wieszczu greckim, rozповіда Homer, że wiedział, co kryje w sobie teraźniejszość, przyszłość i przeszłość¹⁾, a to samo pojęcie tkwi w naszych wyrazach: wieszcz, wieszczba, wieszczyc, zwiastun, zwiastować, gdyż pochodzą tak samo, jak powiedzieć, powieść, powiastka od tego samego rdzenia, co wiem, wiedzieć. *Wieszcz* (= starosłow. *věštъ*), wyraz wspólny wszystkim językom słowiańskim, to pierwotnie przymiotnik i dlatego u ludu naszego dzisiaj wieszcz, na rodzaj żeński *wieszczka*, a zatem „wiedzący, wiedząca“, nazwany więc od tej wiedzy, jaką miał w rzeczach, dla zwyczajnego człowieka zakrytych, oczywiście teraźniejszych, przeszłych i przyszłych i takie też znaczenie ma ten wyraz jeszcze w języku starosłowiańskim, w którym nasz wieszcz zowie się *věštъcъ*, a zatem wyrazem od tamtego (*věštъ* „peritus, gnarus“) pochodnym. Z tej przyczyny wieszcz zowie się w języku cerkiewnym także *vědu* „wiedzący“²⁾. Wieszcz jednakże nie tylko tę wiedzę miał, ale także zapytany wydawał o niej orzeczenia, sądy czyli po dawnemu *roki*, a później *wyroki*, skąd znowu *wyrocznia*, wyraz, oznaczający tak samo wyrok, wieszczbę, jak i miejsce, w którym wyroki takie czyli wieszczby wydają. Rok i wyrok mają się tak do siebie, jak tego samego pochodzenia i znaczenia słowa *rzec* (powiedzieć) i *wyrzec* (wypowiedzieć): to jakby powiedzenie i wypowiedzenie. Jako wyraz techniczny na oznaczenie tego, co odpowiedziała zapytana wyrocznia, ustalił się z czasem, już zdaje się w epoce prasłowiańskiej, wyraz *narok* dosłownie „napowiedzenie“ „nakaz“, że to a to się stanie, lub że to a to powinno lub musi się stać, a zatem „rok, wyrok (łac. *sententia*), wieszczba, los (łac. *sors, fortuna*)“, które to znaczenia tego wyrazu przechowały jeszcze zabytki języka starosłowiańskiego³⁾. W zabytkach języka starocerkiewnego używa się w znaczeniu wieszczka także wyraz *kobъnikъ*, a w znaczeniu *naroku* wyraz *kobъ*⁴⁾, lecz o tym wyrazie, jak i o *naroku* jeszcze niżej pomówimy. Zapytywano wie-

1) Iliada, I. 69: *Ὅς ᾔδει τὰ τ' εἰόντα, τὰ τ' ἐσσόμενα πρό τ' εἰόντα.*

2) Fr. Miklosich. Gramm. II. 141.

3) Fr. Miklosich. Lexicon palaeo-slovenico-graeco-latinum.

4) Fr. Miklosich. Lexicon etc.

szcza przede wszystkim o to, co miało nastąpić, o przyszłość, więc zadaniem jego głównym było w każdym danym wypadku przepowiedzieć czyli po dawnemu przerzec przyszłość i stądto zwał się on także prorok, tj. przepowiadający, gdyż pro ma w tym wyrazie to samo znaczenie, co prze w wyrazie przewidzieć lub przepowiedzieć, a rok jest tutaj starożytnym przymiotnikiem od rzeczownika rok, przymiotnikiem, który dzisiaj brzmiałby roki, w całości proroki (jak jednoki, dwureki) lub rokowy w znaczeniu „powiadający”¹⁾. Taki wieszcz mógł także kogoś, lub coś urzec czyli rzucić na kogoś lub na coś urok, a również rzucony przez kogoś urok zarzec czyli zamówić i złe usunąć. Przy urzekaniu i zamawianiu czynił różne znaki czyli, jak wtedy mówiono czary, a więc czarował, skąd go też czarownikiem, czarodziejem nazywano. Dzisiaj obok zamawiać mówimy także zażegnawać; nic dziwnego, gdyż że gnać poszło z niemieckiego segnen (to zaś z łacińskiego signum „znak”), co pierwotnie znaczy „robić znaki”. Zamiast wyrazu czara używano w tem samem znaczeniu także wyrazu lik, inaczej lek, przez który rozumiano pierwotnie, jak wskazuje litewskie licus „znak”, znak wogóle tak namalowany, jak i rznięty (karb)²⁾, więc też tak li-

¹⁾ Gdyby wyraz prorok nie był pierwotnie przymiotnikiem, oznaczałby „przepowiednię”, a nie „proroka”.

²⁾ Od lik „znak, rys” poszło lice, rzeczownik nijaki (zbiorowy) jak ziele, zboże, dosłownie „znaki, rysy, kształt, postać”. Stąd lice sądowe „znaki, ślady zbrodni — corpus delicti”. Stąd także lice „twarz”, pierwotnie „ryszy twarzy”. Lice czyli ślady robiono np., gdy komuś wytyczano własność, posiadłość: sypano wtedy kopce, kopano rowy i samą granicą czyniono drogę, którą obchodzono, aż ją udeptano lub ujeżdżano. Od tych znaków czyli śladów granicznych nazywano i same posiadłości śladami, od obchodzenia ich obeściami, po łac.: ambitus, dzisiaj u ludu obejście, obyście), od ujeżdżania ujazdami (Porów. Dr. Fr. Bujak Studya, str. 318—391).

Przestrzeń taką opatrywać znakami, śladami, drogami, czyli jednym słowem licami znaczyło ją *ulicać (ulicać, jak ujeżdżać, ubierać, upiększać, umiatać itp.). Czasownik ten z biegiem czasu zaginął, jak zaginął tego samego pochodzenia czasownik dolicać „probare” tj. znakami dowodzić lub rzeczownik dolicenie „probatio”, używane jeszcze w wieku XV. (Nehring. Kaz. Gniez. Rozprawy Akad. Umiej. XXV. 99.), ale że był, dowodem rzeczownik ulica, który od tego właśnie czasownika uformowany. Ponieważ ostatecznym celem wszelkich lic (śladów), jakie przy wytyczaniu robiono, było zrobić drogę (ujazd), więc *ulicać przybrało

czyć, jak i leczyć znaczy pierwotnie nie to, co dzisiaj, lecz tyle, co czarować, a więc „robić znaki“, potem dopiero „zamawiać“, dzisiejsze „czarować“. To też leki oznaczają jeszcze w staropolszczyźnie tyle, co dzisiejsze „czary“¹⁾. I nic dziwnego, gdyż leczenie pierwotne polegało na zażegnaniu t. j. robieniu pewnych znaków i zamawianiu, z czym dopiero łączono także pewne środki lekarskie, mające służyć ku uzdrowieniu chorej części ciała lub całego człowieka. Z czasem te środki stawały się coraz więcej rzeczą główną, a tamto wszystko odpadało i lek „znak“ przybierał z czasem coraz więcej znaczenie „środka leczniczego“, leczyc zaś znaczenie dzisiejszego „leczenia“, nie zażegnania. Jak się mówi pisać i spisać, kreślić i skreślić, tak mówiono obok liczyć, leczyc, także *sliczyć,

z czasem znaczenie „robić drogę“, skąd następnie urosło poczucie, jakoby *ulicać poszło od wyrazu ulica „droga“ i taki też rzeczownik i w tem znaczeniu uformowano, gdyż jak obok bierać była biera, obok łapa mamy łapać, obok łata mamy łatać, obok chłapa mamy chłapać itp., tak i wtedy obok ulicać całkiem naturalnym sposobem musiała się pojawić ulica. Ponieważ forma -ica, jak: siostrzyca, dziewica, palica i t. d. używano wtedy jako zdrobnienia w stosunku do form: siostra, dziewa, pała, więc obok formy ulica, zdrobniałej w poczuciu języka, poczęła się pojawiać niezdrobniała *uła, skąd znowu ros. ułoczka, zaułok i nasz zaułek. Wywodzić ulicę od ula, jak to niektórzy czynią, nie uchodzi, gdyż, jak poucza żreb i żrebica, pryszcz i pryszczycza, wieszcz i wieszczycza itp. ulica oznaczałaby nie drogę lecz ul rodzaju żeńskiego.

Jeżeli wytyczanie posiadłości następowało wśród lasów, wtedy ulicanie zaczynało się od czynienia lic na drzewach, zwanych później ciosnami (Zob. Księga czerska pod r. 1418 str. 195), poczem cały pas drzew między ciosnami (które czyniono paralelnie naprzeciw siebie na szerokość drogi, mającej wzdłuż granicy powstać) wycinano, czyniąc dookoła posiadłości miejsce wolne, inaczej pole. Taką drogę wyciętą wśród lasu wzdłuż granic posiadłości uczynić znaczyło ją opolić. Od tego obrebywania czyli osiekania posiadłości zwano je obrębami (dziś u ludu obrąb) lub osiekami, a od opolania — opolami. Rubież „granica“ jest wyrazem ruskim, po naszymu brzmiałoby to rąbież i jak ta etymologia wskazuje, pozostaje z tem właśnie w związku, o czem mówimy. Opole jest więc naszym zdaniem pierwotnie to samo, co ślad, ujazd, obrąb, obeście, także żreb, biera itp., o czem jeszcze niżej pomówimy. Wszystko to nie miało ściśle oznaczonej wielkości, mogło obejmować kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt morgów, część osady lub całą osadę, a nawet całą prowincję, bo to zależało od rozmiarów posiadłości, jaką ktoś zajął, otrzymał lub posiadał.

¹⁾ Rozprawy Akad. Umiejętności w Krakowie. XXV. 290.

*sleczyć, skąd znowu poszły wyrazy *slika*, *slik* i **slek*. Stąd w języku słoweńskim wyraz *slika* „obraz“, „malowidło“, a pierwotnie „to, co skreślone, namalowane“. Ponieważ podług naszego poczucia estetycznego to, co piękne, działa na nas, jak uroki, jak czary, inaczej *liki*, *leki* i *sliki*, *sleki*, więc też w przenośni uroczy, dawniej i dzisiaj jeszcze u ludu „urzekający“, u nas zaś „piękny“; więc też czarujący (czarowny) pierwotnie i dzisiaj jeszcze „czyniący czary“, ale także „piękny“, skąd znowu czar „tyle, co urok“, a jedno i drugie także w znaczeniu „piękna“. A tak samo było zapewne ze *slikiem* i *slekiem*, skąd też u nas zdaje się śliczny „piękny“, pierwotnie „czarujący“, a u Czechów *sleczna* „panna“, a właściwie „piękna“, dawniej „czarująca“. Rachunki zapisywano zapomocą czynienia na *kiju lików*, *leków*, które później poczęto nazywać także *karbami*, stąd wyrazy te przybierają znaczenie rachunkowe („na mój karb“, „na jego karb“): stąd *liczyć* „robić *liki*“ przybiera znaczenie dzisiejszego „liczenia“, skąd „*bezliku*“, „*liczba*“ i t. d.; stąd i w dawniejszym języku rosyjskim *leka*, *lek*, znaczy „liczenie, rachunek“¹⁾.

To samo znaczenie, co wieszcz, miał niezawodnie wyraz *wił*, w formie żeńskiej *wiła*²⁾, wyraz uformowany, zdaje się, od czasownika *wiść* z domyślnem *roki* (wyroki), tj. wypowiadać orzeczenia boskie w wyroczniach i ludzkie w sądach przy procesach. Stąd w języku starosłowiańskim *vitij* (obok *vëtij*), oznacza rzecznika, mowcę, pierwotnie zapewne sądowego. To w *wicie* *roków*, którego ostatnie echa odbijają się jeszcze w starodawnym sądownictwie polskim (porów. *rok zawity* „rok zapowiedziany“), a z *czem* w związku pozostaje zapewne *wiła* i *wiła*, ma może starodawny, głębszy podkład religijny, w co jednakże tutaj niepodobna się zapuszczać³⁾.

Inaczej nieco ma się rzecz z *wróżem*, *wróżeniem*, *wróżbą* i *wróżbitą*. Wszystko to pochodzi od wyrazu *wróg* ze znaczeniem pierwotnym „nieprzyjaciół“, po łacinie *ini-*

¹⁾ Fr. Miklosich Vergl. Gramm. der slav. Sprachen, I. 138. *Czarowanie i leczenie* wywodzą także inaczej, aniżeli jak tu przedstawiono, ale zbijać tych wywodów nie będziemy.

²⁾ *Wiła*, jak *wił*, oznacza osobę męską, podobnie jak wojewoda, starosta, Zawisza, trzeba jednakże dodać, że zwyczajnie forma *wiła* oznaczała „wieszczkę“.

³⁾ Pochodzenie *wiła* tłumaczy także inaczej.

micus, hostis, skąd też także poszła wspominana często w statutach mazowieckich (z wieku XV.) wróżba¹⁾. dosłownie „złowroga nieprzyjaźń“, dla której uniknięcia mężobójca uchodził niekiedy zagranicę i dopiero po publicznym zapozwie stawiał się w sądzie. O tej to wróżbie w Prawach książąt mazowieckich z r. 1450 czytamy: „A gdy tym obyczajem doświadczy a oczyści się (od winy mężobójstwa), tegdy będzie sprawiedliw a (od) przerzeczonych win i od nieprzyjaźni, która rzeczona jest wróżbą“ (str. 5 a)... „Od pomsty krwie, jaż (która) rzeczona jest po polsku wróżba rozdrzeszon ma być“ (str. 13 b). Otóż tego samego pochodzenia etymologicznego, co ta statutowa, prawnicza wróżba, jest także wróżba w znaczeniu „wieszczby“, wróżba, że tak powiemy, wieszczbjarska, tylko nie w prostej linii, a i historia jej znaczeniowa nieco odmienna: tamta poszła od rzeczownika wróg w znaczeniu „nieprzyjaciół“, ta zaś od przymiotnika, uformowanego od tego rzeczownika, od przymiotnika, który niegdyś na rodzaj męski brzmiał także wróg, dzisiaj zaś brzmi wrógi i znaczył „złowróżący“, skąd po dziś dzień „złowrogi“. A jak znowu przymiotnik wróg przyszedł do tego znaczenia, nie trudno wiedzieć.

Oprócz wieszczby, wynikającej z wiedzy wewnętrznej, a pochodzącej z daru (natchnienia) bogów, znali nasi przodkowie, podobnie jak Grecy i Rzymianie, wieszczbę ze znaków zewnętrznych, zsyłanych przez bogów, jak wieszczbę ze znaków niebieskich (błyskawic, grzmotów, gwiazd); z jakości i ilości lecących ptaków i ich głosów; ze zwierząt czworonożnych (np. przypadkowo spotkanych: wilk, zając, lis) — i wróżbę tę, do której zalicza się i rzucanie losów, szczególnie uprawiali. Same zaś te różne znaki, z których wróżono, zapowiadały podług wiary naszych przodków, podobnie jak u Greków i Rzymian, już to pomyślność, już to nieszczęście i z tego też powodu dzieliły się na dobre, inaczej pomyślne, przyjazne, tudzież na złe, inaczej nie pomyślne, nieprzyjazne lub **wrogie**. Z czasem właśnie ten ostatni wyraz stał się technicznym na oznaczenie znaków niepomyślnych, nieprzyjaznych. Kiedy

¹⁾ Nie wróćba — jak to niektórzy chcieli! Zob. Starożytności polskie (Poznań 1852), t. II. 744.

więc rzucony żreb (los) wypadł niepomysłnie, tj. wróżył złe, mówiło się, że „żreb jest wróg” (dzisiaj powiedziałoby się, że „żreb jest wrogi”) tj. że żreb przepowiada złe czyli jednym słowem „wróży”. Tym sposobem przymiotnik wróg, w późniejszej polszczyźnie wrogi w znaczeniu „nieprzyjazy”, przybrał z czasem znaczenie „przepowiadający złe, wieszczący złe”, inaczej „złowieszczy”, a tak samo i czasownik, od niego pochodzący wróżyć (jak od pełny mamy pełnić, tak od wrogi mamy wróżyć) znaczenie „złe wieszczyć”, skąd następnie i wróż, wróża, wróżka, wróżba, ale wszystko to używa się pierwotnie — należy to sobie dobrze uprzytomnić — jedynie i wyłącznie w znaczeniu „wrózenia **złego**”. Z czasem dopiero wyraz ten, ponieważ znaczył, tak samo, jak wieszczba, przepowiadanie, począł się używać (może dopiero w czasach chrześcijańskich) tak samo jak wieszczba, o wszelkiem przepowiadaniu bez względu na to, czy znaki zapowiadały coś pomyślnego, przyjaznego, czy też nieprzyjaznego, wrogiego. Odtąd wyrazy wieszczba i wróżba, wieszczyć i wróżyć nakryły się zupełnie pod względem znaczenia czyli stały się synonimami, podczas gdy dawniej tylko złowieszczyć było synonimem wrózenia — i teraz też dopiero uformował się wyraz złowrogi na wzór wyrazu złowieszczy, podczas gdy dawniej już niezłożony wyraz wrogi był synonimem wyrazu złoznego złowieszczy.

Jako naoczny świadek dawnych czasów, kiedy jeszcze używano wyrażenia „znak wróg” w znaczeniu „znak złowróżący”, a potem krócej samego wróg z domyślnem znak, tudzież wyrażenia „narek wroga” w znaczeniu „zły wyrok lub sąd boży, zły los, przeznaczenie nieszczęsne”, a potem samego „wróg” z domyślnem narek — przechował się w staropolszczyźnie już tylko rzeczownikowo używany wyraz wróg w obu tych znaczeniach aż prawie do samego końca XVIII wieku, jak się o tem łatwo przekonać choćby ze Słownika Lindego. Żebrowski np. w tłumaczeniu *Przeobrażeń Owidyusza* powiada: „Puhacz brzydki, wróg („omen”) ludziom nieszczęśliwym rzewny”. „Gdzie wróg („fatum, los”) nas wlecze — pisze w *Pharsalii* Chrościński — Bezpieczna cnota może iść swobodnie”, a Wacław Potocki w swych *Jovialitales* powiada: „Trudno wieczne zahamować wrogi” („losy, przeznaczenie”). Nawet jeszcze w *Monitorze warszawskim* (r. 1764—84)

czytamy: „Miłość sama pod czas ulegać musi potędze w r o g u („losu“) złośliwego“.

Że wieszcz, wil i wróż byli niegdyś nietylko wieszczami, ale i kapłanami, można poniekąd poznać i z niechęci, jaką chrześcijaństwo otoczyło te imiona, szczególnie wieszczą i wilę.

Zrobiono z nich najpierw czarowników w tem ujemnem, chrześcijańskiem znaczeniu, w jakim używa się tego wyrazu w wiekach średnich na oznaczenie kapłanów pogańskich, z djabłami nadrabiających. Więc też w języku słoweńskim *veščec* nietylko wróż, ale i czarownik, a *veščica* czarownica, a podobnie po serbsku i chorwacku *vještac* znaczy czarownik, *vještica* czarownica. To samo stało się z wilęm. Po słoweńsku, serbsku i chorwacku *vilenik* znaczy czarownik a *vilenica* czarownica. U Serbów *vještica* także tyle, co jędz, która pożera dzieci. Gdy rodzicom słynnego Wuka Stefana Karadźića umierały dzieci, sądzili, że sprawka to *vještica*, aby więc nowonarodzonego chłopca zabezpieczyć od przedwczesnej śmierci, nadali mu imię *Vuka* tj. wilka (wilk po serbsku *vu k*), gdyż wilka podług wierzeń serbskich nie może tknąć żadna czarownica¹⁾. Podobnie całkiem napiętnowano wieszczą i wilą u nas. U Wielkopolan wieszcz zowie się wieszczczy, a tak samo u Kaszubów, u których jest także wieszcz o i wieszczeca: tamto upiór rodzaju męskiego, to żeńskiego. Wieszczczy podług Wielkopolan rodzi się z zębami, „wie za życia o wszystkim i dlatego zowie się wieszczym“. Po śmierci wychodzi z grobu „bo krew w nim żyje“, wychodzi na wieżę kościelną i podług jednych dzwoni, a podług drugich tylko straszliwie krzyczy, wymieniając imiona różnych ludzi. Jak zaś daleko jego dzwonięcie lub krzyki słyhać, ludzie muszą umierać²⁾. A w kaszubskim *Jaśku* z *Knieji* rozpowiadają prządk

O wieszczym, chtóren i na tamtym świece
Miru nie naloż, wróceł w swoje strone,
Włoz do koscoła, wszeście wzruszeł zwone.
A jak dalece głos jech doszed z wieży,
Wszęde smertelno zaraza sę szerzy³⁾.

Podług wyobrażeń ludu nadrabskiego (w Galicyi) wieszczycy są wysłannikami piekła, nachodzą śpiących i parzą

¹⁾ Wiśła, VI. 20.

²⁾ Kolberg O. Poznańskie VII. 33—34.

³⁾ Jasiek z Knieji, str. 3—4.

ich swym piekielnym oddechem, czyhają szczególnie na małe dzieci, żeby je odmienić ¹⁾. Wiła identyfikują niekiedy w Wielkopolsce z wieszczym i wyobrażają go sobie różnie. Mówią, że to straszidło wysokie w tej postaci, jak piła, głowę ma atoli zupełnie ludzką, twarz starca zgrzybiałego z długą, żółtą brodą. Podług niektórych pokutuje w drzewie, gdy się takie drzewo pali, wił piszczy i dlatego drzewo takie zowie się „wiłem“ lub „kwikiem“ ²⁾. U Czechów vilnik to rozpustnik, a vilnice kobieta publiczna; u nas w staropolszczyźnie wiła znaczy to samo, co głupiec, szaleniec, błazen, krętacz, a stąd wiłać lub wiłować kręcić ³⁾. Z dawnych czasów został też i szala-wiła (pierwotnie *szałowila, dosłownie „prawiący szaleństwa“) oznacza podziśdzieć człowieka wichrowatego, postrzelonego, szalonego, głupca ⁴⁾.

Jakkolwiek różni byli wieszczowie i różne mieli sposoby wróżenia i decydowania w sprawach niepewnych, dwa jednak sposoby wróżenia były u Słowian wiekami najbardziej utwierdzone i najczęściej używane, a to wróżenie zapomocą konia i losu.

Koń u dawnych Słowian uchodził za zwierzę poświęcone najwyższemu bogu, który, podobnie jak u Greków Zeus a u Rzymian Jupiter, był zarazem najwyższym stróżem ojczyzny, a w wojnie najwyższym, jakkolwiek niewidzialnym wodzem wojsk oczystych. Przy każdej większej świątyni chowano też na usługi tego boga na koszt publiczny konia, którego używano zarazem do wróżenia. Przybierano go wtedy we wspaniałą uzdę i po złotiste siodło, bo wtedy jakoby sam bóg najwyższy odbywał na nim przejażdżkę. Uzda ta i siodło razem z ogromnym mieczem w drogocennej pochwie spoczywało zresztą u stóp posągu boga w świątyni, gdyż bóg czasem — jak to wszystko ze szczegółami opowiada Saxo Gramatyk — wyjeżdżał nocami dla opatrzenia granic państwa i wracał dopiero nad ranem, a wtedy zastawano świętego konia okrytego pianą i kurzawą, jakby po jakiej wyprawie wojennej.

Najdawniejszą, o ile nam wiadomo, wzmianką o wróżeniu zapomocą konia u Słowian w Retrze podaje Thietmar, który

¹⁾ Świętek Jan. Lud nadrabski. 477.

²⁾ Kolberg O. Poznańskie VII. 30—33.

³⁾ Słownik Lindego.

⁴⁾ Słownik Lindego.

powiada, że koń ten uchodzi „za świętość“, że kiedy zapomocą niego wróżą, prowadzą go „z korną usłużnością“ przez dwie dzidy skrzyżowane, a wbite w ziemię żelaznymi grotami. Ten sam kronikarz stwierdza na tem samem miejscu, że obok tego wróżą zapomocą losów i dopiero gdy obiedwie wróżby jednako wypadną, uważają wróżbę za pomyślną¹⁾. Szczegółowiej mówią o tej sprawie żywoty Ottona bamberskiego, Helmold i Saxo Gramatyk. Roku 1124 przybył Otto bamberski w swej apostołskiej podróży, podjętej na prośby Krzywoustego, do Szczecina i zastał tutaj cztery świątynie pogańskie: jedną bardzo wspaniałą, trzy pośledniejsze, a przy każdej kapłana. Przy jednej z nich chował się koń kosztem publicznym, „koniem Trzygłowa“ zwany, „ogromny, wypasiony, maści czarnej, nadzwyczaj bystry“. „Przez caluteńki rok nic nie robił i takiej był świętości, że nikt nie był godny sięść na niego, a miał w jednym z owych czterech kapłanów najgorliwszego opiekuna“. Ten przechowywał w swej świątyni także jego „złócone i posrebrzane siodło“, które na niego wkładano, ilekroć chciano zasięgnąć wieszczby, gdy zamierzano wyprawę wojenną. Wieszczba tak się odbywała: „Kładło się na ziemi dziewięć włócznie obok siebie, na łokieć jedna od drugiej. Potem kapłan, który się opiekował koniem, prowadził osiodłanego i okiełznanego, trzymając u wędzidła, przez owe włócznie tam i nazad po trzykroć. Jeżeli koń nie naruszył włócznie nogami, uważali to za dobry znak i śmiało wyruszali w pole, w razie przeciwnym zostawali w domu. Otóż ten rodzaj wieszczby i inne dokonywane zapomocą drzew i innych losów... udało się wreszcie biskupowi usunąć“²⁾. Tak o tych rzeczach rozповіда żywociarz Herbord (zaczął pisać 1158, umarł 1168), tak samo, choć krócej, inni jak Ebbo († 1163), a szczególnie mnich z Prieflingen (pisał przed 1163), który z Herbordem zgadza się i co do tej wiadomości, że po wieszczbie za pośrednictwem konia uciekano się do wieszczby za pośrednictwem losów³⁾. Helmold o wieszczaniu za pośrednictwem konia nie wspomina, ale często mówi o losach i wyroczniach, dawanych w takich miejscowościach, o których wiemy skądinąd, że tam chowano świętego

1) Bielowski Monumenta I. 278.

2) Bielowski. Monumenta, II. 93—95.

3) Bielowski. Monumenta II. 135—136.

konia i zapomocą niego wieszczono. Dotyczy to np. świątyni w Retrze u Ryadurów, tudzież świątyni w Arkonie u Ranów czyli Rugijczyków. O Retrze mówiliśmy już wyżej na podstawie Thietmara i wiemy, że tam wróżono zapomocą konia i losów. Otóż „Ryadurowie lub Tolenczanie — powiada Helmold — z powodu swego najstarożytniejszego miasta i swej najsłynniejszej świątyni, w której widać posąg Radegosta, nad innymi panować chcieli, przypisując sobie szczególny zaszczyt pierwszeństwa dla tego, że ich często odwiedzają wszystkie ludy słowiańskie dla odebrania wyroków (od bożyszcza) i dla corocznego przynoszenia ofiar“¹⁾. „Swantewit — powiada na innem miejscu tenże Helmold — bóg ziemi Rugian, pomiędzy wszystkimi bogami Słowian najprzedniejsze miejsce zajął, on bowiem zwycięstwami więcej jaśniał i wyroczniami był od innych dzielniejszy“²⁾. Na innem znowu miejscu rozpowiada tenże kronikarz wogóle o Słowianach: „Na służbę im (bogom, o których poprzednio mówił) poświęceni byli kapłani, przynoszono im ofiary i rozmałą cześć regilijną im wyrządzano. Kapłan podług wskazania losów przeznaczał uroczystości, jakie na cześć tych bogów odprawiano i wtedy schodzili się ludzie z żonami i dziećmi i bogom swoim składali ofiary z wołów i owiec a wielu i z ludzi chrześcijan, tych bowiem krew, jak tłumaczyli, szczególniej podoba się bogom“. „Corocznie zabijają mu (Swantewitowi) jednego chrześcijanina, na którego los padnie“³⁾.

Ważniejsze jeszcze i dokładniejsze wiadomości o wrózeniu za pomocą konia i losów podaje Saxo Gramatyk. „Utrzymywali — powiada on o Ranach — kosztem publicznym konia maści białej, któremu wyrwać włos z grzywy lub ogona było ciężkiem przewinieniem. Tylko kapłanowi wolno go było karmić i dosiadać, bo się obawiano, żeby przez częste użycie świętość nie powszedniała. Na nim, podług mniemania Rugijczyków, walczył Śwentowit przeciwko nieprzyjaciołom swej wiary, na dowód czego przytaczano okoliczność, że nieraz rano zastawano w stajni konia okrytego pianą i kurzawą, jakby wrócił z wyprawy wojennej, przebiegłszy ogromne przestrzenie. I wróźby dokonywano za pośrednictwem tego konia a to w taki sposób: Gdy

¹⁾ Helmold I. c. 58—59.

²⁾ Helmold I. c. 254.

³⁾ Helmold I. c. 126.

się zanosilo na wojnę z jakim krajem, stawiali kapłani przed świątynią trzy rzędy dzid w równej odległości, wbiwszy je gro-tami w ziemię i skrzyżowawszy ze sobą. Po modlitwie wiódł kapłan z westybulu konia, przybranego zupełnie jakby do jazdy ku rzędom dzid. I jeżeli rzeczony rzędy przestępował koń wpierw nogą prawą, nie lewą, wróżono, że to znak dobry do prowa-dzenia wojny, jeżeli zaś lewą lub raz prawą, porzucano myśl o wyprawie wojennej. A nie wpierw ogłaszano wyprawę za pewną, aż trzy po sobie następujące pochody konia wypadły pomyślnie...“¹⁾

„Udając się nawet do jakichś zajęć, ze spotkania się z ja-kiemś zwierzęciem wyciągali wróżbę. Jeżeli była pomyślna, spie-szyli żwawo do zamierzonej pracy, jeżeli niepomyślna, wracali do domu...“²⁾

„I wieszczba z losów nie była im obcą. Trzy paty ki d rewn i a n e, z jednej strony białe, z drugiej czarne rzucali zamiast losów na podolek, przyczem biała strona oznaczała wróżbę pomyślną, czarna niepomyślną...“³⁾

„Kobietom nawet nie była obca ta sztuka (sztuka wró-żenia). Siedząc mianowicie przy ognisku, kreśliły bez namysłu linie w popiele. Jeżeli potem naliczyły parzystą liczbę kresek, wróżyły pomyślność, jeżeli nieparzystą, niepomyślność“⁴⁾.

Wobec przytoczonych świadectw historycznych, których prawdziwość nie może ulegać żadnej wątpliwości, wrózenie u Słowian zapomocą k o n i a i l o s ó w uchodzić musi za pe-wnik ponad wszelką wątpliwość stwierdzony.

Odpowiedzmy teraz na pytanie, jak też pogańscy przod-kowie nasi nazywali k o n i a i l o s: czy tak samo, jak my teraz, czy też inaczej?

Co do losu — że od niego odpowiedź zaczniemy — to każdy wie, że to wyraz niemiecki, który, jak to zauważył prof. Bujak w swych cennych S t u d y a c h n a d o s a d n i c t w e m M a ł o p o l s k i, przyszedł do nas wraz z osadnikami niemie-

¹⁾ Saxonis Grammatici Gesta Danorum (wyd. Alfr. Holdera. Strass-burg 1886) str. 567.

²⁾ Saxo Gram. l. c. 567,

³⁾ Saxo Gram. l. c. 567.

⁴⁾ Saxo Gram. l. c. 576.

ckimi dopiero koło XIV wieku¹⁾, pogańscy zatem przodkowie nasi musieli po swojemu nazywać los inaczej: pytanie zatem, jak ta swojska nazwa u nas brzmiała?

Najdawniejsze zabytki piśmiennictwa naszego, pisane po polsku, pochodzą niestety dopiero z w. XIV., kiedy w języku naszym mamy już niemiecki *los*²⁾, dawniejsze zaś pisane są po łacinie, więc zdawałoby się, że na powyższe pytanie nie znajdziemy w piśmiennictwie naszym odpowiedzi. Na szczęście tak nie jest.

Od niepamiętnych czasów znany jest zwyczaj dzielenia ziemi i innych przedmiotów pomiędzy interesowanych zapomocą losu. Dzieje się to już w odległych czasach u ludów wschodnich, jak świadczy Biblia³⁾, to samo widzimy u Greków i Rzymian, a potem nawet w wiekach średnich na Zachodzie i u nas. Po łacinie *los* zowie się, jak wiadomo, *sors*, a w przenośnem znaczeniu wyraz ten oznacza także i to, co ktoś przy podziale zapomocą losu otrzyma, a więc przy podziale ziemi *sors* zowie się także ten kawał ziemi nieokreślonej przestrzeni, który komuś przypadł losem czyto jako członkowi rodziny ze spadku, czyto jako koloniście z ziemi kolonizowanej. W tem znaczeniu używa się *sors* w wiekach średnich na Zachodzie i u nas w dawnych zabytkach łacińskich i nie wiedzielibyśmy zgoła, jak to przodkowie nasi wyrażali po polsku, gdyby nie ta okoliczność, że pisarze nasi łacińscy mają niekiedy zwyczaj objaśniać wyrazy łacińskie polskimi, skutkiem czego dowiadujemy się niekiedy, jak się co nazywało współcześnie nietylko po łacinie, ale i po polsku. Wypadek ten zaszedł i co do wyrazu *sors*, a to po pierwszy raz, o ile nam wiadomo, w dokumencie z r. 1270. W dokumencie tym Bolesław Wstydlivy nadaje dziedzicom Dubia znaczny obszar ziemi z prawem lokowania obcych i polskich osadników, tudzież uwalnia ich dziedzinę w Dubiu, oraz kupione za srebro od książęcego złotnika *tres sortes que srebe vulgariter dicuntur, scilicet*

¹⁾ Dr. Fr. Bujak. *Studia nad osadnictwem Małopolski*. (Rozprawy wydz. histor. Akad. Umiej. t. XXII) str. 338.

²⁾ Zob. Psalterz floryański w wydaniu Nehringa, str. 200.

³⁾ „Mówił jest Pan ku Mojżeszowi, rzekąc: Przykaż synom Izraelskim a powiedz im: Gdyż wnidziecie w ziemię kanaańską, a ku imieniu wam losem się dostanie, tymi to miedzami się dokona. Biblia król. Zofii 127 a.

Bolechowski, Crisanowski et Woynowski, quas Gregorius, aurifaber adiudicatas... obtinuit¹⁾, Mowa więc tutaj wyraźnie o trzech losach ziemi, które w mowie pospolitej (t. j. polskiej) zowią się srebe, mianowicie Bolechowski, Krzyżanowski i Wojnowski, przysądzone w procesie złotnikowi Grzegorzowi. Miał zatem sors i nazwę swojską, polską, którą wyraźnie wymieniono, bylibyśmy tylko w kłopotcie, jak wymienioną nazwę przeczytać, gdyby nie to, że znamy ją tak z naszych późniejszych źródeł historycznych, jak o tem można się przekonać choćby ze Słownika Lindego, jak i z innych języków słowiańskich, w których żyje podziśdzień. Napotykałyśmy ten wyraz już w języku starosłowiańskim i to w dwu postaciach: w postaci *žrěbъ* i *žrebij* (oba rzeczowniki rodzaju męskiego), z których pierwsza brzmiałaby dzisiaj po polsku w pierwszym przypadku *żreb*, w drugim *żreba*, w liczbie mnogiej w 1 przypadku *żreby*, druga zaś w 1 przyp. l. p. *żreb'* (z miękkim *b* na końcu), w drugim *żrebia*, a w l. m. w 1 przyp. *żrebie* (podobnie jak *gołąb*, *jastrząb* — *gołębia*, *jastrzębia* — *gołębie*, *jastrzębie*). Po tej uwadze już każdy sam wie, jak głosem *srebe* odczytać. Z tekstu wynika, że to liczba mnoga rzeczownika męskiego, jak świadczą dodane przymiotniki w rodzaju męskim: Bolechowski, Krzyżanowski, Wojnowski. Dzisiaj więc brzmiałby ten wyraz *żreb* (z miękkim *b* na końcu), w drugim przyp. *żrebia*, a w liczbie mnogiej *żrebie*, czyli że mamy tu do czynienia z tą formą wyrazu, która po starosłowiańsku brzmi *žrebij*. I ta też forma przechowuje się u nas aż do ostatnich czasów. Tak ta forma brzmiałaby u nas dzisiaj, ale w staropolskim języku, kiedy dzisiejsze *żrebie* brzmi *żrzebie*, a dzisiejsza *środa* brzmi *śrzoda* powinno być i jest rzeczywiście *żrzeb*, nie *żreb*, jak poucza Słownik Lindego. Głosem więc z r. 1270, wyżej przytoczoną, należy czytać w brzmieniu staropolskim *żrzebie*, co jak już wskazaliśmy, jest formą przypadku pierwszego liczby mnogiej od rzeczownika męskiego, brzmiącego po staropolsku w 1 przyp. l. p. *żrzeb* (w drugim *żrzebia*), a w dzisiejszej polszczyźnie *żreb* (w 2 p. l. p. *żrebia*). Co do znaczenia wyrazu, to już w języku starosłowiańskim oznacza on los, ten zwyczajny los, który się miota, a który się miota także przy podziale, gdyż

¹⁾ Dr. Fr. Bujak. Studya l. c. 361.

w języku tym znajdujemy także wyraz *žrêb odajanie*, który oznacza rozdzielanie zapomocą losu: *distributio, quae fit sorte*, jak objaśnia Miklosich w swym Słowniku języka starosłowiańskiego¹⁾. W znaczeniu losu zwyczajnego, tudzież złej i dobrej doli (*fortuna*) żyje ten wyraz jeszcze dzisiaj prawie we wszystkich językach słowiańskich. U nas miał on niegdyś także znaczenie losu, ale od pierwszej chwili, jak go w roku 1270 napotykam, aż do ostatnich czasów zachowuje już tylko znaczenie pewnej przestrzeni ziemi, mniejszej lub większej, nigdy ściśle nieokreślonej. W tem znaczeniu zna go dokument z 1270 r., w tem znaczeniu znają go *Volumina legum*, w tem znaczeniu mówi o nim X. Zaborowski w swej *Geometrii* i w tem znaczeniu używał go w żywej mowie jeszcze w wieku XIX. lud wielkopolski w województwie sieradzkim na granicy śląskiej w miasteczku Baranowie, nazywając role *žrebczami* i dzieląc je na *žrebcze*, *półžrebcze* i *połpółžrebcze*, t. j. na rólki, półrólki i półpółrólki²⁾, a *žrebcze* (liczba mnoga od **žrebcz(y) -a -e*) jest pierwotnie, jak niżej zobaczymy, przymiotnikiem, od *žrebiec*, *žrebiec* zaś takim samem zdrobnieniem od *žreb*, jak chłopiec od chłop. Znaczenie większego lub mniejszego kawała ziemi jest oczywiście późniejsze od znaczenia losu, gdyż tamto z tego dopiero wynikło, co zresztą stwierdza znaczenie tego wyrazu w języku starosłowiańskim i w innych słowiańskich, a z czego wynika, że wyraz ten już w epoce prastłowiańskiej używał się w znaczeniu *losu*. Ale czy to znaczenie, choć tak dawne, jest znaczeniem jego pierwotnem?

Pytanie to wiąże się ściśle z pytaniem, jakiej nazwy używali przodkowie nasi pogańscy na oznaczenie konia, tą więc sprawą zająć się nam teraz wypada.

Wyraz *koń* znany jest wszystkim językom słowiańskim, ale, jak niebawem zobaczymy, wyraz to w tych językach obcy, nabytek kultury zachodniej. Zamiast niego używała Słowiańszczyzna na oznaczenie tego zwierzęcia od wieku wieków swego specyficznie wyrazu, zaczerpniętego jeszcze z praaryjskiego skarbcza, wyrazu, który potąd jeszcze w różnych postaciach żyje we wszystkich językach słowiańskich, w postaciach, jak *žrebiec*,

¹⁾ Fr. Miklosich. *Lexicon palaeo-slovenico-graeco-latinum*.

²⁾ Dr. Fr. Bujak. *Studia*. I. c. 367.

źrebie, źrebica, źróbek, po staropolsku źrebiec, źrebie, źrebica, źrzóbek. Wszystko to formy zdrobniałe od niezdrobniałej *źreb, po staropolsku *źr e b, której historia języków słowiańskich już nie zapamiętała, o której jednak istnieniu w czasach przedhistorycznych nie może być wątpliwości, gdyż bez niej istniejące dzisiaj formy nie dadzą się zgoła pomyśleć. Każdy najmniejszy nawet filolog, a nawet niefilolog wie, że źrebiec poszło od źreb, jak chłopiec od chłop; że źrebica poszła od źreb, jak wieszczica od wieszcz; że źróbek poszedł od źrób (=źrzób =źreb), jak źłóbek od źłób; że forma źrebieć opiera się na formie *źreb, jak wilczę na formie wilk. W formie niezdrobniającej, pierwotnej, brzmiał tedy wyraz, o który chodzi, *źr e b (drugi przyp. l. p. źr e b a i t. d.) — i ten to właśnie wyraz jest prastarą, rdzennie słowiańską i wyłącznie słowiańską nazwą konia. Prasłowianie wieszczili tedy nie zapomocą k o n i a, lecz zapomocą źr e b a i co źr e b powiedział, to było święte.

Ale jeżeli tak, to dziwnie to się jakoś składa, że w Prasłowiańszczyźnie i los nazywa się źr e b i koń także, nasuwa się skutkiem tego pytanie, czy przypadkiem niema jakiego związku pomiędzy tymi wyrazami?

Co do samej materyjalnej strony obydwu wyrazów, to trzeba stwierdzić, że one od najdawniejszych czasów aż do chwili obecnej we wszystkich językach słowiańskich niczem się od siebie nie różnią, że w jednym i drugim wyrazie pierwszym dźwiękiem jest pierwotnie *ź*, drugim *r*, trzecim *e* (= starosłowiańskie *ê*), a czwartym *b*, że zatem oba wyrazy są najzupełniej identyczne¹⁾. Różnica między nimi zachodzi więc tylko co do znaczenia, stoją bowiem naprzeciwko siebie: koń i los. Nie może to jednak jeszcze dowodzić ich nieidentyczności, wiemy bowiem z doświadczenia, że jeden i ten sam wyraz przybiera z biegiem czasu najrozmaitsze znaczenia. U ludu n. p. wyraz *b a b a*, *b a b k a* używa się nie tylko w znaczeniu matki ojca lub matki, ale także w znaczeniu kobiety zamężnej („szło kilka bab“), w znaczeniu żony („moja baba“), w znaczeniu akuszerki, w zna-

¹⁾ Jeżeli wyraz *źreb „koń“ uległ w jakim języku słowiańskim z biegiem czasu jakim zmianom, to takie same zmiany zachodzą i w wyrazie *źr e b* „los“. W czeskim języku np. mamy *h ř e b e c* „źrebiec“, *h ř e b i c e* „źrebica“ i t. d., więc też tutaj mamy *i h ř e b* „los“. Po serbochorw. mówi się *ž d r e b e* „źrebieć“, *ž d r e b i c a* „źrebica“, więc tutaj mówi się także *ž d r e b* „los“ i *ž d r e b a t i* „losować“.

czeniu kowadełka do klepania kosa, w znaczeniu wreszcie bałwana ze słomy lub szmat do zatykania pieca albo komina. A i ów *sors* łaciński, o którym była mowa, oznacza: a) nie tylko samą rzecz, zapomocą której się losuje (patyki, kostki itp.), ale także b) to, co się komu losem dostaje (część, udział); c) to, co wyrocznia ogłasza: rok, wyrok, narok, wieszczbę; d) wyrocznię tj. miejsce, w którym wydawano roki, wyroki, naroki, wieszczby; e) dolę i niedolę ludzką („Ot taka moja doła! Ot, taki mój los“!). Zawsze jednak w takich razach zachodzi pomiędzy poszczególnymi znaczeniami danego wyrazu jakiś związek psychiczny i logiczny, który identyczności wyrazu także pod względem znaczenia dowodzi. Ponieważ *sors* w znaczeniu losu (kostka, którą się rzuca) i *sors* w znaczeniach przytoczonych brzmia jednakowo, a ideowy związek tych znaczeń zupełnie zrozumiały, nikomu nie przychodzi na myśl brać tych wyrazów za odrębne wyrazy. Pytanie więc, czy i między wyrazami *žreb* ze znaczeniem konia i ze znaczeniem losu nie było niegdyś takiej ideowej łączności, któraby identyczność tego wyrazu w obu tych znaczeniach stwierdzała?

Wykazaliśmy już wyżej na podstawie historycznej, że przodkowie nasi w czasach pogańskich wróżyli zapomocą konia, t. j. *žreba*, zastanówmy się więc teraz nad tem, jakie skutki pociągnąć to musiało za sobą ze względu na znaczenie wyrazu *žreb*?

Przedewszystkiem musiał wyraz *žreb* przybrać znaczenie roku, wyroku, naroku, wieszczby, wyroczni (wyroku, wróży), boć rzecz całkiem naturalna, że obok wyrażen: narok (wyrok boży) zapowiada szczęście, narok jest pomyślny, narok wzbrania tego przedsięwzięcia, narok dokonał takiego a takiego podziału i t. d. musiały także, jeżeli to wszystko działo się zapomocą *žreba*, powstać takie wyrażenia, jak: *žreb* zapowiada szczęście, *žreb* jest pomyślny, *žreb* wzbrania tego przedsięwzięcia, *žreb* dokonał takiego a takiego podziału i t. d., a skutkiem takich wyrażen wyraz *žreb* przybierał znaczenie wyrazów: rok, wyrok, narok, wieszczba i t. d. i musiał z czasem także i w tem znaczeniu się ustalić. Czyjaś zła lub dobra dola to podług wyobrażeń naszych przodków pogańskich zły lub dobry narok (rok, wyrok...) czyli, jak dzisiaj powiadamy, zły lub dobry los. Ponieważ zaś *žreb* przybrał znaczenie naroku (roku, wyroku...), więc rzecz naturalna, że obok wyrażen: taki mój narok, (rok,

wyrok...) lub po dzisiejszemu: taka moja dola, taki mój los! musiały się pojawić: taki mój żreb! — skutkiem czego wyraz żreb począł się ustalać i wreszcie musiał się ustalić w znaczeniu doli i niedoli ludzkiej, złego lub dobrego losu ludzkiego (po łac. sors, fortuna). Zamiast rozpowiadać długimi słowy: to jest ten kawał pola, który otrzymałem z naroku (roku, wyroku... bożego); to jest ten kawał pola, który otrzymał mój brat z naroku; to jest ten kawał pola, który otrzymała moja siostra z naroku; mówiło się krótko: to narok mój, to narok brata, to narok siostry. I stądto właśnie poszło, że i w czasach chrześcijańskich jeszcze wyraz *na r o k* oznacza u nas *k a w a ł z i e m i* (nieokreślonej przestrzeni), otrzymany w spadku czy przy kolonizacyi, terytoryum czyjeś, a ci, co na takich narokach siedzą, zowią się *n a r o c z n i k a m i*¹⁾. Od takich to terytoryów, zwanych *n a r o k a m i*, poszły i miejscowości tej nazwy, jak np. nieistniejące już obecnie dwie wsie w pow. kaliskim²⁾. Ponieważ zaś żreb, jak to już zaznaczyliśmy wyżej, przybrał znaczenie *n a r o k u*, więc zamiast wyrażać: to mój narok, to narok brata — poczęto używać zwrotów: to mój żreb, to żreb brata, to siostry żreb, skutkiem czego wyraz żreb począł się używać także, jak narok, w znaczeniu kawała ziemi, otrzymanego w spadku czy przy kolonizacyi zapomocą roku, wyroku, naroku, tj. orzeczenia, czyli sądu bożego. Ten sąd boży czyli narok wydawano jużto na podstawie wróżby zapomocą konia, jużto zapomocą losu, jużto w inny sposób, to też i naroki te podług tego niezawodnie od siebie wyróżniano. Narok, wydany na podstawie wróżby zapomocą żreba, czyli koński, musiał zatem zwać się *na r o k ż r e b i*, a z czasem krótko *ż r e b i* z domyślnem *na r o k*, *na r o k* zaś, wydany zapomocą *ż r e b c a*, jak to już zauważyli-

¹⁾ W kodeksie dypl. pol. wyd. Ryszczewskiego i Muczkowskiego czytamy: pod r. 1242: *de terra ad viginti aratra magna, que narok a vulgo dicitur*. III 435. Pod r. 1254: *ad beneficium wratislaue, vulgariter naroch dictum*. III. 29. Pod r. 1228: *Cuncti insuper alias villas hominum meorum, qui lingua polonica narochnici dicuntur*. III. 15. W Theinera *Vetera Monumenta* pod r. 1135: *Dominus vero Wladislaus Narocincones castrorum suorum Nochal, Usche, Charuchów, Dreden... pacifice possidebit*.

Że u Czechów średniowiecznych *na r o k* oznacza także sąd boży, to rzecz całkiem naturalna, gdyż, jak już zaznaczyliśmy wyżej, *na r o k* to wyrok, to sąd boży. Zob. także dra Bujaka *Studia* I. c. 273.

²⁾ Zob. Słownik Geograficzny.

śmy wyżej, narok ż r e b c z y. I tak też rzeczywiście niegdyś było, co łatwo pojmiemy, skoro tylko wyrażenia ż r e b i, ż r e b c z y wypowiemy w brzmieniu staropolskiem i starosłowiańskim. Forma żrebi będzie brzmieć w staropolszczyźnie ż r z e b' (z miękkim *b* na końcu), drugi przypadek żrebia, a w 1 przyp. 1. mn. żrzebie, a więc tak, jak wyraz ten brzmi istotnie w staropolszczyźnie; forma zaś ż r e b c z y będzie brzmieć w staropolszczyźnie *ż r z e b c z, od czego ż r e b c z a z domyślnem rola, jak to niżej zobaczymy. W języku starosłowiańskim zamiast naszego ż r e b' spodziewamy się formy ż r ě b i j i taką też formę, jak już wiemy, mamy w tym języku istotnie i w tem samym znaczeniu, co ż r ě b ѣ, a nic dziwnego, że żreбѣ i żrěbij i polski żreb' (żrebia) oznaczają to samo, bo czy się powiedziało: ż r e b tak każe, czy żreb(i) lub żrebcz(y) z domyślnem narok tak każe, to na jedno wychodziło: żreb, żreb' i *żrebcz stały się zatem synonimami, a skutkiem tego tak żreb, jak żreb' i *żrebcz miał znaczenie naroku, a więc także i kawała ziemi odziedziczonej czy otrzymanej przy kolonizacji. Tak przy podziale otrzymany narok czy żreb', *żrebcz to inaczej po staropolsku dział¹⁾, dzielnica²⁾, którą mógł być kawał lub kawałek przestrzeni w jakiejś osadzie, cała osada ze swem terytoryum lub nawet cała prowincya (przy podziałach pomiędzy dzieci książęce). Schodzi się więc niekiedy n a r o k i ż r e b w staropolszczyźnie z działem, dzielnicą, śladem, ujazdem lub opolem³⁾.

Od chwili, jak wyrazy ż r e b' i *ż r e b c z stały się rzeczownikami w znaczeniu „los“, przymiotniki od nich brzmiały znowu żrebi a -e i żrebczy -a -e i odtąd pole, pochodzące z losu, żrebia, zwało się p o l e ż r e b i e, a rola, pochodząca z podziału losem, żrebczem, r o l a ż r e b c z a, z czasem zaś samo ż r e b i e z domyślnem pole, jak to mamy w późniejszej polszczyźnie (zob. Słownik Lindego) i samo ż r e b c z a z domyślnem rola, jak to mamy w wielkopolskiem Baranowie, gdzie role mieszczańskie dzielą się na ż r e b c z e, p ó ł ż r e b c z e i p ó ł p ó ł ż r e b c z e, jak o tem wspomnieliśmy już wyżej.

Jeżeli sobie teraz uprzytomnimy, że naroki wydaje się równocześnie, jak to już zaznaczyliśmy, nie tylko zapomocą żreba,

¹⁾ Księga czerska (wyd. Lubomirskiego) str. 185.

²⁾ Księga czerska st. 289.

³⁾ Zobacz znaczenie tych wyrazów w Studiach prof. Bujaka.

„Z żrzebiów albo śladów po sześci groszy“. Vol. Leg. 2672 (1732).

ale także zapomocą losu, a los ten, jak o tem niżej będzie mowa, zowie się b i e r a, to rzecz naturalna, że biera, podobnie jak łaciński s o r s, będzie oznaczała: a) nietylko rzucony patyk albo kostkę, ale także b) n a r o k (rok, wyrok); c) dolę i niedolę ludzką; d) część, dział, udział, przez los otrzymany — i we wszystkich tych znaczeniach będzie identyczną z wyrazem n a r o k i ż r e b, boć czy się powiedziało: taki mój narok, czy taki mój żreb, czy taka moja biera, to na jedno wychodziło.

Rozumiano tylko pierwotnie, kiedy ktoś powiedział: taki jego żreb, że to narok, który mu wyróżył żreb, a kiedy ktoś powiedział, że taka jego biera, że to narok, który mu wyróżyła biera. Ale czy tak czy owak powstała wróżba, zawsze to był n a r o k, sąd boży, los, to było rzeczą główną i na nią wyłącznie była zwrócona cała uwaga, więc też z czasem tak do żreba, jak do biery, to zasadnicze znaczenie przywrzało, skutkiem czego obydwa wyrazy jedno i to samo przybrały znaczenie, a więc losu, naroku, doli i niedoli ludzkiej i t. d. Żreb zdawna ważniejszą w tem wszystkim odgrywał rolę, z powodu czego i wyraz głębiej wrył się w pamięć i wziął przewagę nad wyrazem biera (nad obydwoma zapanował z czasem niemiecki los), który też zaledwo przeszedł do dziejów naszego języka. Z drugiej znowu strony, gdy zaprzestano wróżyć zapomocą żreba, a wróżono dalej zapomocą biery (losu), gdy zamiast wyrazu żreb w znaczeniu konia poczęto używać wyłącznie formy żrebiec, a potem wyrazu koń, zaprzestawano rozumieć, że żreb to koń, a skutkiem tego wyraz żreb pozostawał tylko przy znaczeniu naroku, wieszczby, kawała ziemi, losu, biery i wreszcie w tem znaczeniu musiał się ustalić.

Na dowód zaś, jak łatwo wyrazy jedne zajmują rolę drugich i stają się ich synonimami, niech nam jeszcze będzie wolno powiedzieć słów kilka o wyrazie c z ę ś ć i d o l a, o tych dwu właśnie, a nie innych dlatego, że zarazem rozjaśnią jeszcze lepiej sprawę, o którą nam chodzi.

Wyraz c z ę ś ć prasłowiański, wspólny podziśdzień wszystkim językom słowiańskim w tem ogólnem znaczeniu, w jakim go codziennie używamy. Jestto zarazem pierwotne jego znaczenie, które odrazu tem dokładniej zrozumiemy, skoro tylko zważymy, że najbliższym jego krewniakiem to wyraz k ę s ¹⁾ U ludu

¹⁾ Dr. E. Berneker. I. c.

naszego ma jednak wyraz część nie tylko to ogólne znaczenie, które tkwi w łacińskim wyrazie *pars*, ale także to osobliwe, które po łacinie wyraża się słowami: *pars hereditaria* lub *sors*. U ludu naszego oznacza więc część także to, co każde z dzieci otrzymuje w spadku po rodzicach. Mówi też tutaj ojciec, że każdemu z dzieci oznaczył w testamencie część lub starszy brat, że każde z rodzeństwa otrzymało swoją część albo też, że siostra lub brat ma jeszcze u niego swą część. A jak dzisiaj jeszcze u ludu, tak miała się niegdyś ta sprawa w całym naszym narodzie ¹⁾ i u wszystkich Słowian. Dlaczego taką część nazywano po łacinie *sors*, już wiemy i wiemy także, że to u nas nazywało się *żreb*, tj. los, gdyż części te oznaczano częstokroć zapomocą losu czyli po naszemu *żrebia*. Ponieważ *żreb* oznaczał u Słowian częstokroć to samo, co część, więc też wyrazy te w tych wypadkach (kiedy była mowa o częściach spadkowych lub wogóle o podziale losem) stawały się synonimami, skutkiem czego jeden musiał się używać w miejsce drugiego w tem samym znaczeniu. W znaczeniu *sors*, *fortuna* język nasz wyrazu część już nie zapamiętał ale w języku bułgarskim podziśdzień wyraz *czest* oznacza nie tylko *pars*, ale także „los, szczęście, pomyślność“, a tak samo ma się rzecz w jęz. serbskim i kroackim; nie brakowało zresztą niegdyś tego znaczenia wyrazowi temu w żadnym języku słowiańskim, jak z dalszego naszego wywodu każdy się przekona.

Jak po niemiecku mówi się *Teil i teilen*, po polsku *dziać i dzielić*, tak mówiło się niegdyś u Słowian *część i *częścić*, tj. „dzielić na części“, a jak obok niedokonanych czynności: kreślić, pisać, prosić i t. d. używamy także dokonanych: skreślić, spisać, sprosić; tak obok niedokonanego wyrazu **częścić* używaliśmy dokonanego **s - częścić* (po rosyjsku do dziś dnia pisze się *szczastje* nie *szczastje* „szczęście“) w znaczeniu „podzielić na części“, skąd też dzisiejsze *szczęścić*. Ponieważ pierwotnie czasownik *szczęścić* oznacza „dzielić na części“, więc też i powstały stąd rzeczownik **szczęście* *szczęście* oznaczał pierwotnie to samo, co część spadkowa, co dział, co żreb, a potem dopiero tak samo, jak część, tyle co

¹⁾ Zob. np. Statut wiślicki w polskim przekładzie z r. 1460, 19 b, 21 b, 27 b, lub Księgę czerską 230, 233.

„pomyślność, fortuna, los szczęście“. Komu bogowie udzielili czyli szczęścili coś swym narokiem (wyrokiem, losem), ten miał coś, miał część, miał szczęście „dział“, a także „pomyślność, miał „los“, miał „żreb“; komu bogowie nie udzielili, nie szczęścili nic, nie udzielili losem nic, ten nie miał „działu“, nie miał „części“, nie miał „szczęścia“, nie miał „losu“, nie miał „żrebia“, nie miał „pomyślności“. Jak się mówiło i mówi dział i udział, tak mówiło się część i *uczęść. Stąd nasze dawne uczęścić¹⁾ „brać w czemś udział“ i uczestnik, który w dawnych naszych pomnikach prawnych oznacza biorącego udział przy podziale spadku²⁾. Samego wyrazu *uczęść już dzieje naszego języka nie pamiętają, ale żyje on dotąd w języku rosyjskim, w którym brzmi uczast' i oznacza nie tylko tyle, co „dział, udział, część spadkowa“, ale także „los, dołę“. I nic w tem dziwnego, gdyż uczast' było synonimem części, szczęścia, żrebia. U Czechów wyraz uczast' (=pol. *uczęść) oznacza podziśdzień „los, dołę“, a jest tutaj naturalnie i štěstí (=pol. szczęście) i št'astný (=pol. szczęśny) i t. d.

Zupełnie tak samo ma się rzecz z dołą i niedołą. Etymologia stwierdziła mianowicie z całą pewnością i stanowczością, że wyraz ten oznacza pierwotnie to samo, co część dział i to pierwotnie niespadowy, później dopiero spadowy i wogóle podziałowy, a z tego dopiero wywinęło się w sposób wyżej wskazany dzisiejsze znaczenie doli i niedoli. Po rosyjsku dzisiaj jeszcze wyraz dola oznacza „część, udział“ a obok tego „szczęście, los, dołę“; po litewsku dalis dziś jeszcze to „część“ zwykła i „część spadkowa“, a w staroindyjskim dala m to „kawałek, część, połowa“³⁾.

Tego samego pochodzenia, co dola są wyrazy, dziś jeszcze używane, jak zdolać, podolać i starożytny dołęga „zdątny“ (porów. nie-dołęga). Podstawą ich, jak i doli wyraz *doł pierwotnie „część, dział“, potem „los, szczęście, pomyślność“, a dalej „szczęście, talent do czegoś“ (porów. żmujdzkie talentas „szczęście“ kupców, szewców i t. d. Sylwestrowicz. Podania żmujdzkie, I. 36—40). Stąd dołęga pierwotnie „mający do

¹⁾ Zob. Słownik Lindego.

²⁾ Zob. Księgę ziemi czerskiej XXXIX—XL.

³⁾ Dr. E. Berneker. I. c.

czegoś szczęście“, potem „zdatny“; stąd także z d o l n y, u d o l n y z t ą samą historią znaczeniową; stąd również z d o ł a ć, p o d o ł a ć czemu.

Za „los, szczęście, pomyślność“ *par excellence* uchodziło „zwycięstwo“, więc też wyraz *d o ł, d o ł a i to miał niegdyś znaczenie, jak świadczy starosłowiański czasownik o d o l ê t i w znaczeniu „zwycięzać“. *D o ł, d o ł a pierwotnie „część, dział“, potem „los, szczęście“, wreszcie „zwycięstwo“ przypomina żywo przez swą historię znaczeniową wyżej wzmiankowane irlandzkie c o b w znaczeniu „zwycięstwo“, dawniej zaś „los, szczęście“, a pierwotnie „koń“ czyli „żreb“.

Oto, jak naszym zdaniem przyszło do tego, że u Słowian wyraz żreb oznaczał nie tylko konia, ale także los i to wszystko, co łaciński s o r s, że zatem wyraz ż r e b „koń“ i wyraz ż r e b „los“ to jeden i ten sam wyraz.

I rzecz godna najwyższej uwagi, że wywód ten, oparty na historii, która u Słowian stwierdza stanowczo wrócenie zapomocą żreba (konia) i na identyczności materyalnej i znaczeniowej tak wyrazu żreb w znaczeniu konia, jak i wyrazu żreb w znaczeniu s o r s, znajduje jak najsilniejsze poparcie w tem, że wyraz ż r e b, dopóki jeszcze miał obadwa powyższe znaczenia, jest tłumaczony na język łaciński nie tylko zapomocą wyrazu **sors**, ale także zapomocą wyrazów, które oznaczają **konia**.

Przykładów na stwierdzenie, że nasz wyraz ż r e b oddawano przez łaciński wyraz s o r s, nie potrzebujemy przytaczać, gdyż to fakt, historykom powszechnie znany, a ciekawi całe mnóstwo przykładów tego rodzaju mogą znaleźć w dotyczącym ustępie dzieła prof. Bujaka przez nas wyżej zacytowanego (Studia), zajmujemy się więc tylko sprawą tłumaczenia wyrazu żreb zapomocą wyrazów, które oznaczają konia.

Pocziwi nasi Kaszubi używają powszechnie wyrazu k a w e l, który oznacza los i kawał ziemi, a k a w ł o w a ć oznacza u nich losować¹⁾. Te same wyrazy napotykamy także wśród ludności niemieckiej, ale do tej pory tylko tam, gdzie niegdyś mieszkali Słowianie, a mianowicie na Pomorzu od Kaszubów na zachód aż do rzeki Odry i za Odrą, na Rugii, w Brandenburgii i Saksonii. Wszędzie tutaj wyraz k o w e l, k a w e l, k e v e l, k ä f f e l

¹⁾ Karłowicz J. Słownik gwar polskich. X. Pobłocki. Słownik kaszubski. Dr. Nadmorski. Kaszubi i Kociewie, str. 28—29.

lub także k a b e l¹⁾, oznacza los i kawał ziemi, zwłaszcza lossem nadanej, a k o w l e (n), k a w e l n losować. Ponieważ wyraz ten utrzymuje się wyłącznie na ziemiach pierwotnie słowiańskich, więc musiał on być w jakiś szczególniejszy sposób z niemi związany, bo wprawdzie znajdujemy go w tem samym znaczeniu i w starszwedzkim języku, a nawet w Holandyi i dawnej Szkocyi, w tej ostatniej w znaczeniu naroku, wieszczby²⁾, ale rzecz aż nadto widoczna, że w tych stronach jest on przybłądą z wybrzeży nadbałtyckich, z ziem niegdyś słowiańskich, które, jak wiadomo, dochodziły pierwotnie aż do okolic dzisiejszego Hamburga.

Co to za wyraz i skąd się wziął? Dr. Nadmorski myślał, że to wyraz słowiański k a w a ł, który w gwarach kaszubskich brzmi k a w e ł i k a w e l³⁾. Ale na to trzeba powiedzieć: 1) że nasz kawał ma wprawdzie znaczenie kawała wogóle, a więc i pola, ale nie oznacza losu i wieszczby, które to ostatnie znaczenie jest ściśle związane z k a w l e m niemiecko-słowiańskim; 2) że nasz kawał brzmi po kaszubsku kawel, kawel, ale drugi przypadek od tego rzeczownika jest kawała, kawala; trzeci kawałowi, kawalowi i t. d., gdy tymczasem niemiecko-słowiański kawel brzmi w drugim przypadku i dalszych: kawla, kawlowi i t. d., co wskazuje, że jeżeli to ten sam wyraz, to musiało z nim zejść coś takiego, coby dopiero należało wytłomaczyć; 3) że wyrazu kawał prócz czeskiego i naszego nie znają zgoła inne języki słowiańskie (do języka ruskiego dostał się zapewne z gwar lud. polskich⁴⁾, z czego wynika, że to jakiś przybłąda, przybłąda tem bardziej, że etymologicznie nie można go na podstawie języków słowiańskich wytłomaczyć. Zdanie dra Nadmorskiego nie da się tedy naukowo podtrzymać i trzeba się za innem objaśnieniem rzeczy oglądnąć.

¹⁾ Karłowicz J. Słownik obcych wyrazów. Knopp J. Fremdensprachliches im hinterpommerschen Platt, str. 24. Weisker G. Slavische Sprachreste aus dem Havellande str. 21. Grimm J. Deut. Wörterbuch.

²⁾ Grimm J. l. c.

³⁾ Dr. Nadmorski l. c. 28—29.

⁴⁾ Po rusku (rusińsku) brzmi wyraz ten kawałok i kowełok, z czego wynika, że w gwarach ludowych polskich, z których przeszedł do ruszczyzny, brzmiał nie tylko kawał, kawałek, ale także koweł, kowełek. Porów. niem. Kowel.

Przedewszystkiem trzeba zaznaczyć, że i germańskim wyraz ten także nie jest i to z tych samych powodów, dla których za słowiański nie można go poczytywać. Że niemieckim nie jest, wskazuje już i to, że w tych samych dyalektach niemieckich brzmi dwojako: *k a b e l* i *k a w e l*. Niemieckim ten wyraz nie jest, a przecież tylko tam się pojawia, gdzie stwierdzone są bezpośrednio wpływy niemieckie; Niemcy musieli go więc posiadać jako wyraz przyswojony, a przyswojony z Zachodu, gdyż Wschód poza Kaszuby w tej formie zgoła go nie zna. A skoro tak, to jesteśmy w domu: dzisiejsza forma niemiecka: *kabel*, *kawel* musiała brzmieć w staroniemiecczyźnie, jak to germanistom dobrze wiadomo, *k a b a l*, *k a w a l*, podobnie jak dzisiejsze: *Hagel*, *Spiegel*, *Adel*, *Vogel* i t. d. brzmi w staroniemczyźnie *haga l*, *spia ga l*, *ada l*, *foga l*, a staroniem. *kaba l*, *kawa l* nie może być nic innego, jak średniowieczno-łacińskie *ca ba llus*, *ca va llus*, wyraz, który, jak wiadomo, oznaczał konia, skąd gallickie *ca ba llo s*, irland. *ca ba ll*, włoskie *ca va llo*, francuskie *che va l* i t. d. w tem samem znaczeniu, skąd także włoskie *ca va llie re* (rycerz) i nasz *k a w a l e r*. W łacinie średniowiecznej pisano ten wyraz ze spółgłoską *b*, ale że w językach romańskich brzmi on to *z v*, to *z b*, więc i łacinnicy średniowieczni w ten dwojaki sposób wyraz ten wymawiali i w tej dwojakiej formie do języków nowożytnych przenieśli. Wiedząc, że *k a b e l*, *k a w e l* to *ca ba llus*, *ca va llus* „koń“, rozumiemy odrazu wszystko. Słowianie, jak już wiemy, nazywali konia żreb, a zarazem los, wieszczbę, narok i kawały ziemi, które się komuś dostały losem w spadku, czy przy kolonizacji. Gdy zatem na ziemiach słowiańskich stanęły kościoły i klasztory chrześcijańskie, a z nimi zawitał język łaciński i kolonizacja niemiecka, tłumaczono słowiański wyraz żreb przez łaciński *ca ba llus*, *ca va llus*, a ponieważ słowiański żreb oznaczał nie tylko konia, ale i los i kawały ziemi, więc też i te łacińskie wyrazy to samo oznaczać zaczęły. W ustach kolonistów niemieckich zmieniły się te wyrazy, ulegając prawom ich języka, najpierw (w staroniemczyźnie) na *k a b a l*, *k a w a l*, następnie zaś (w średniej niemczyźnie) na *k a b e l*, *k a w e l*. Znaczenie konia musiało z tych wyrazów zniknąć, gdyż w rodzimych językach ustaliły się na oznaczenie tego zwierzęcia inne nazwy, a pozostać mogło i rzeczywiście zostało tylko znaczenie: los, wieszczba, kawał pola i t. d. W ustach słowiańskich

brzmiały te wyrazy *k a b a ł, k a w a ł i gdzie dalszych wpływów germańskich nie było zbyt silnych, tam brzmienie dawne zostało: stąd polski i czeski kawał, pierwotnie „los, kawał ziemi, otrzymany losem“, następnie i „kawał w ogóle, kawał czegośkolwiek“. Forma k a w a ł była w mowie (zapewne pod wpływem włoszczyzny) powszechniejsza od formy *k a b a ł i ustaliła się na zawsze, a tamta poszła w zapomnienie. Oznaczał wyraz ten pierwotnie u nas i u Czechów także konia i los, ale gdy na oznaczenie tego zwierzęcia i losu ustaliły się inne wyrazy, jak los i koń, znaczenia tamte z kawała wypadły. Kaszubski k a w e l (2gi przyp. kawla) jest tedy rzeczywiście, jak przypuszczał dr. Nadmorski, tym samym wyrazem, co polski k a w a ł (2gi przyp. k a w a ł a), ale dostał się on do Kaszubów przez usta niemieckie — i później. Gdy wyraz ten do Kaszubów zawitał, łacińsko-staroniemiecko-polsko kaszubski wyraz kawał, kawel (kawała) miał już znaczenie dzisiejsze i w tem znaczeniu u Kaszubów się utrzymuje, podczas gdy wyraz k a w e l (k a w l a) na odwiecznych stosunkach zaodrzańskich Słowian, jak k a w a ł, wyrosły i stamtąd z kolonistami niemieckimi lecz znacznie później od tamtego na Kaszuby przybyły ma znaczenie takie, jakie ze sobą przyniósł. Dostała się i do nas ta późniejsza forma niemiecka tego wyrazu w postaci k o w e l i brzmiała *k o w e ł, jak świadczy ruski wyraz k o w e ł o k „kawałek“, przez nas zapewne na Ruś zanieiony, ale się długo u nas nie utrzymała, skoro dzisiaj, o ile wiemy, język polski już jej nie posiada.

Oto jeden fakt przetłumaczenia słowiańskiego źreba na język łaciński, fakt z czasu stosunkowo niezbyt dawnego, skoro wyraz kawał znajduje się tylko w języku naszym i czeskim (nie wliczając ruszczyzny). Ale jest jeszcze inne tłumaczenie źreba na tenże język, tłumaczenie znacznie wcześniejsze, co już stąd wynika, że go nie brak w żadnym języku słowiańskim.

Łacina średniowieczna zowie konia nie tylko c a b a l l u s, c a v a l l u s ale także c a b o ¹⁾. I ten to właśnie wyraz jeszcze przed wyrazem caballus, cavallus znalazł się u Niemców, następnie także u nas i wogóle u Słowian. O dawności przyswojenia sobie tego wyrazu z łaciny średniowiecznej (gminnej) przez Niemców świadczy wymownie to, że ma na sobie ślady prawa

¹⁾ Du Cange. Glossarium mediae et infimae latinitatis. A. Walde. Lateinisches, etymologisches Wörterbuch.

głosowego języków germańskich, tak zwanego *La ut v e r s c h i e b u n g*, którego to prawa, polegającego na odpowiedniej przemianie spółgłosek, w tym wypadku na przemianie początkowego *c* (*k*) na *h* (*ch*) niema ani śladu na wyrazie *k a b e l*, *k a w e l*. Stądto w języku angielskim mamy *h a p*, nie *k a p* „przypadek”; w języku staroislandzkim *h a p p* nie *k a p p* „szczęście”; w norweskim *h e p p e n* nie *keppen* „szczęśliwy, pomyślny”; w języku fińskim, *h e p o* (*hevon*) „koń”, w starszej formie *h e b o* „kobyła”, *h e v o n e n* „ogier”¹⁾; w gwarach polskich *c h a b a* „stary koń, kobyła”²⁾; est. *hobbo* „koń”, fryz. *hoppa* „koń”, szwedz. *hoppa* „koń”, duń. *hoppe* „koń”, angl. *hobby* „koń”³⁾. Ponieważ w wyrazach przyswojonych z obcego języka prawa głosowe języka przyswajającego nie zawsze działają bezwzględnie⁴⁾, (porów. staroniem. *koufon* i *chouffon* (*kaufen*) z łac. *c a u p o*; kiricha i *chirihha* z gr. *k y r i a k e* (*Kirche*); *kruzi* i *chruzi* (*Kreuz*) z łac. *c r u x i t. d.*), więc też w staroniemczyźnie wyraz, o którym mowa, mógł się pojawić także z *k* początkowym i brzmieć: *k a b o*, *k a b e*, *k a b*, *k o b*, a z przyrostkiem — *i l a* (zdrobniającym zapewne i zmieniającym rzeczowniki męskie na żeńskie, jak nasz przyrostek — *i c a*: *dziewa* — *dziewica*, *wieszcz* — *wieszczycza*) — **k a b i l a*, **k o b i l a*⁵⁾. Jakoż w dyalekcie szwabskim mamy *podziśdzień k o b* w znaczeniu „Gaul”, w dolnoniem. *k o b e l* „kobyła”⁶⁾; w języku irlandzkim, dokąd wyraz ten dostał się niezawodnie za pośrednictwem germańskim, *c o b* „zwycięstwo”⁷⁾. A języki słowiańskie wskazują to samo

¹⁾ Dr. E. Berneker. Slav. etymolog. Wörterbuch. pod wyrazami *k o b y ł a* i *k o b ь*.

²⁾ J. Karłowicz. Słownik wyrazów obcych.

³⁾ J. Grimm. Gesch. d. deut. Spr. (Leipzig 1848) I. 30.

⁴⁾ Porównaj zresztą *k ä f i g*, średnioniem. *kavje*. a staroniem. *chevia* z ludowego łac. **cavia*, ogólnie łac. *cavea i t. p.* Fried. Kluge. Etym. Wrtbch.

⁵⁾ Fried. Kluge. Nominale Stammbildungslehre, 26. 28.

⁶⁾ Dr. E. Berneker l. c. pod wyrazami „kobyła”.

Samogłoska *o* w *kobel* objaśnia się, jak w *k ô b*, jak w *k o w e l*, a przemiana *i l a* na *e l*, jak przemiana *i l*, *i l a* w wyrazach: *Distel*, *Sichel*, *Beutel*, *Flegel* itd., które w staroniem. brzmią: *distila*, *sihhila*, *eihhila*, *butil*, *flegil*.

⁷⁾ Za przyswojeniem z germ. zdaje się przemawiać samogł. *o* w tym wyrazie, który po irland. powinien brzmieć *c a b*, skoro po gall. mamy *caballos*, po irland. *c a b a l l*. Porów. ang. *h o p p y* „koń”.

Ponieważ w dawniejszej epoce języki słowiańskie, przyswajając sobie obce wyrazy, zamieniają źródłosłowe *a* na *o*¹⁾, więc pomijając końcówki, wyraz ten powinien brzmieć w językach słowiańskich *k o b*.

Jakoż mamy we wszystkich językach słowiańskich wyraz *k o b y ł a* ze znaczeniem dzisiejszem; wyraz *k o b a* w znaczeniu „kobyła” w języku serbochorwackim²⁾; w tymże języku wyraz *k o b a i k o b* (2-gi przyp. *kobi*)³⁾ ze znaczeniem „znak pomyślny, złe lub dobre przecucie, spotkanie”; w języku staroczeskim wyraz *k o b a* „pomyślność” i *p o k o b i t i s e* „poszczęścić się”; w języku bułgarskim wyraz *p r o k o b ' a v a m* „prze-, owiadam” zwłaszcza coś złego; w języku starocerkiewnym wyraz *k o b i* ze znaczeniem „wieszczba”, wyraz *k o b i n i k ŭ* „wieszcz”; w języku daw. rosyjskim *k o b'* „wieszczba, omen, brany z lotu ptaków lub spotkania”; w języku starosłowiańskim wyraz *k o b ŭ* (f) w znaczeniu „fortuna” (los). W języku tym jest także wyraz *k o b ŭ* w znaczeniu „ducha opiekuńczego”, ale wyraz ten nie jest identycznym z tamtym i niesłusznie go z nim mieszają. Wyraz *k o b i* w znaczeniu „losu, wieszczby” to pierwotnie przymiotnik, uformowany od rzeczownika *k o b* (a) „koń”, przymiotnik, przy którym domyślano się, jak przy *żrebij*, *żreb'* wyrazu *n a r o k*; *k o b ŭ* zaś w znaczeniu „duch opiekuńczy” to także przymiotnik ale od wyrazu *k o b a* (niem. *Kobe*) w znaczeniu „chata” z domyślnym wyrazem *duch*. *K o b i* w znaczeniu „duch opiekuńczy” jest więc to samo, co niem. *K o b o l d* (= *kobhold* „przyjazny chacie, domowi”) ⁴⁾, to dzisiejszy ruski „domowyk, domownyk” ⁵⁾, „chatnik' domowyj” ⁶⁾ polski „chowaniec”, u Mazurów pruskich *kobold i t. p.*

Możnaby także przypuścić, że wyraz łaciński *c a b o* dostał się do języków słowiańskich wprost z łaciny średniowiecznej, ale przypuszczenie to nie przemawia do naszego przekonania, gdyż w takim razie, pomijając różne inne względy, które za

¹⁾ Porów. *ocet* = *acetum*, *pop* = *papa*, *komora* — *camera*, *kołęda* — *calendae*, *kociół* — *got. katilas* etc.

²⁾ Filipowić J. Dżepni Rječnik.

³⁾ W dawniejszym języku chorw. wyraz *k o b* (*kobi*) jest także męskiego rodzaju. Zob. E. Berneker l. c.

⁴⁾ Fried. Kluge. Etym. Wrtbch.

⁵⁾ Wisła. V. 503.

⁶⁾ Lud. II. 213

pośrednictwem niemieckiem przemawiają, nie łatwo wytłómaczyć, jakim eposobem, dlaczego i w jakim znaczeniu stworzyła się forma *k o b y ł a*, kiedy przyrostek *-y ł a* w językach słowiańskich jest bardzo rzadkim, a może i obcym (oprócz *k o b y ł y* mają go w języku starosłowiańskim tylko dwa wyrazy niejasnego pochodzenia), w zakresie nazw zwierzęcych zupełnie nieznanym¹⁾.

Jak zaś przyszło do tego, że wyraz, który pierwotnie oznacza konia, w językach słowiańskich, a poniekąd i germańskich (w ostatnich trzeba przypuścić wpływy słowiańskie²⁾) przybrał znaczenie „losu, wróżby, naroku, przypadku, złego lub dobrego przecucia, szczęścia, zwycięstwa, złej lub dobrej doli” i t. p., nie trzeba chyba wyjaśniać po tem wszystkim, cośmy już wyżej w sprawie tej wypowiedzieli, a że ze źródłosłowu *k o b-* przez dodanie przyrostka *ń*, a więc z formy *k o b + ń* już na niwie słowiańskiej powstał wyraz *k o ń*, pouczał już przed nami wielki znawca filologii słowiańskiej Fr. Miklosich³⁾.

Jeżeli bezpośrednio przed *n*, *ń* stanie spółgłoska *b*, to na mocy praw głosowych słowiańskich musi dla ułatwienia wymowy albo zniknąć, albo też upodobnić się do *n*, *ń*, zamienia-

¹⁾ Fr. Miklosich. Gram. II. 113 przytacza tylko starosłow.: *m o t y k a* (onus), *m o g y ł a* (mogiła) i *k o b y ł a*.

²⁾ Z Germanii Tacyta (c 10) wiadomo, że i Germanowie także z koni wróżyli. „Jestto osobliwością tego ludu (Germanów) — powiada Tacyt — że za pośrednictwem koni szukają wieszczb i wskazań bożych. Chowają takie kosztem publicznym w tychże (wyżej wzmiankowanych, świętych) gajach i dąbrowach, białego koloru, nietknięte żadną pracą na usługi ludzkie. Zaprzęgają je do świętego wozu, a kapłan i król lub najznamienitszy z ludu idzie za wozem i uważa na ich rzenie i parskanie“. Możliwe tedy nie przypuszczać w tym względzie wpływów słowiańskich, lecz przyjąć, że jak u Słowian, tak i u Germanów wyraz *koń* oznaczał nie tylko konia, ale i wróżbę, narok, los, kawał pola etc., a skutkiem tego, gdy potem przyszły łacińskie wyrażenia na oznaczenie tego zwierzęcia, przybrały te same znaczenia, jednak w takim razie trzeba by wykazać, że był czysto germański wyraz, oznaczający konia, a także wróżbę, los, kawał pola etc. jak słowiański *ž r e b*, tudzież, że wróżenie zapomocą konia przechowywało się u Niemców w takiej mierze, jak u Słowian aż do ostatnich czasów pogaństwa. Tego wszystkiego jednakże brak, a samo świadectwo Tacyta nie wystarcza już dlatego, że za odległe. Wiadomo prztem, że ludy germańskie, jak świadczy przykład króla duńskiego Swena, zasięgały wieszczby u żreba arkońskiego, nawet jeszcze w czasach chrześcijańskich.

³⁾ Fr. Miklosich. Vergl. Gram. der slav. Sprachen, I. 65, II. 121.

jąc się na *m*. I stądto właśnie wyraz koń brzmi w językach słowiańskich nie tylko tak, ale także *k o m o Ń*, jak dzisiaj jeszcze u Czechów, a niegdyś także u Rosyan, Rusinów, u nas, czego pamiątką w naszym języku dawnym *k o m o n i k* „jeździec“ i dotąd używane wyrażenia, jak iść *k o m o n i k i e m* (konno, bez bagaży), wysłać *k o m o n i k* (jazdę samą, bez bagaży) ¹⁾.

¹⁾ Przyrostek *n, Ń* w formacji wyrazów słowiańskich jest zjawiskiem zwyczajnem. Jak od pierwiastków, kończących się na samogłoskę: *pły-*, *sły-* (porów. *sły-ch*), *czy-*, mamy: *pły-n* (skąd *płynąć* = **płyn-ną-ć*), *sły-n* (skąd *słynąć* = **słyn-ną-ć*), *czy-n*; tak od pierwiastków spółgłoskowych: *gib-*, *kap-*, *sied i t. p.* mamy: **gin* = *gib-ń* (skąd *ginać* = **gin-nąć*), **kan* = *kap-n* (skąd staropolskie *kanąć* w znaczeniu „kappać“ = **kan-nąć*), *sień* = *sied-ń*, pierwotnie miejsce przebywania, siedzenia, potem mieszkanie, izba, wreszcie znaczenie dzisiejsze *i t. d.* Forma *koń*, wytworzona z *k o b + Ń*, nie może więc zadziwiać, a że istotnie tak powstała, świadczy forma *k o m o Ń*, w której *m* mogło powstać tylko z *b* przez upodobnienie do *ń* (porównaj słoweńskie: *dromne* = drobne, *dromenca* = drobnca (Miklosich Gramm. I. 346) i na sze gwarowe *dremni* = drobnny. J. Karłowicz. Słownik wyrazów obcych). Mielśmy więc *k o m Ń* (= *kob-ń*), a z tego dopiero powstało *k o m o Ń* na wzór: *cisoń*, *lizoń*, *gryzoń i t. p.*

Co do etymologii wyrazu łacińskiego *cabo*, *caballus*, *cavalus*, to ona zupełnie jasna. Początek rzeczy daje rzeczownik łac. *cava* (sc. terra), pochodzący od przymiotnika *cavus* (także *covus*, skąd *covum*) „wydrażony, próżny“, a znaczący to samo, co *cavea* „jama, jaskinia“. Jaskinie takie służyły niegdyś za mieszkania nietylko zwierzętom, ale i ludziom, skąd potem w dyalektach rzymskich i językach romańskich używanie tego wyrazu w znaczeniu nędznego mieszkania ludzkiego, wieśniaczego a więc w znaczeniu „chaty, chałupy“ (porów. włoskie *capanna*, francuskie *cabane* w tem właśnie znaczeniu). Jak od *caput* „głowa“, *coxa* „biodro“, *bucca* „gęba“, *fabula* „bajka“ *centuria* itd., formowali łacinnicy rzeczowniki męskie: *capito* (onis) „odznaczający się głową, głowacz“, *coxo* „o niezwykłych biodrach, biodroń“, *bucco* „gębacz“, *fabulo* „bajarz“, *centurio* „centuryon“ (zob. Brugmann. Grundriss. II. 330—331), tak od **caba* „chata wieśniacza, chałupa“ uformowali rzeczownik *cabo* w znaczeniu „należący do chaty, odznaczający się chatą, krótko: wieśniak“, w odniesieniu zaś do konia „koń wieśniaczy, koń-wieśniak“, zupełnie tak, jak jest u nas *koń* „wałach, szekler, litwak, anglik, arab“ i t. p. Oznacza też pierwotnie *cabo*, *caballus*, *cavallus*, jak świadczą źródła, konia chłopskiego, lichego, a nie wogóle konia. Stąd też i greckie *καβάλλης*, które poszło z łaciny, używało się w znaczeniu *ἐργάτης ἵππος*. Zupełnie tak samo uczynili później Włosi, formując od rzeczownika *stalla* „stajnia“ wyraz *stallone* (odpowiadający najzupełniej łacińskiemu *stallo*) w znaczeniu „koń stajenny“.

Przykład więc znowu jak łaciński wyraz *c a b o*, oznaczający konia, dostał się przez Niemcy do nas i zajmując rolę wy-

Jak od *geminus* „bliźniak“ formowali łacinnicy *gemillus* (=gemin-lus), „bliźniak“; od *suinus* „świński“ *suillus* (=suin-lus) „świński“; od *cuna* „kołyska“, *culla* (=cun-la) „kołyska“; od *puer* „chłopiec“ *puella* (=puer-la) „dziewczyna“ (zob. Brugmann II. 193), tak od **c a b a n a*, *c a v a n a* (*c a v a n a* we włoszczyźnie „wydrążenie w brzegu morskim“, gdzie się zatrzymują drobne statki wodne) „chata, chałupa“ uformowali *caballus* (=caban-lus) i *cavallus* (=cavan-lus) w tem samym znaczeniu, co *c a b o*, pierwotnie „koń wieśniaczy, nędzny koń“, wreszcie „koń“ wogóle.

A była jeszcze inna formacya od wyrazu *cava* na oznaczenie konia. Jak od **cabana*, *cavana*, tak i od *cava* w znaczeniu „chata“ mogą być formowane wyrazy zapomocą przyrostka -lus, -la: więc też już w łacinie klasycznej mamy *caulus* (=cav-lus) „Eingang in die Gebärmutter“, właściwie „dziura“, tudzież *caula* (=cav-la) „otwór, dziura, obora, stajnia“. Jednakże grupa *av* zamienia się w języku łacińskim pod pewnymi warunkami nie tylko na *au*, jak to widzimy w formach *caulus*, *caula*, ale także na *u* (zob. Brugmann. Grundriss. I. 53 i 153) — i stądto obok *caulus* mamy w łacinie klasycznej także *culus* „Arsch“, a właściwie „dziura“, skąd znowu włoskie *culo* tego samego znaczenia. W gminnej łacinie początkowe *c* tego wyrazu zmieniało się na *g*, jak świadczy włoskie *gabbia* (=lud. łac. **gabia* = **cavia* = *cavea*) „klatka“, *gabinetto* (zdrob. od **gabina* = **cabina*) „gabinet“, a mówiono może i **gavallo* zam. *caballo*, skoro w dyalektach czeskich mamy *gaval* „kawał“, tak zaś zapewne było i w dyalektach niemieckich, skoro u Litwinów mamy *gabala*, u Łotyszów *gabals* „kawałek, udział, okolica“, a co zapewne zaczerpnięto z gwar niemieckich.

Otóż jeżeli od formy *cava* (używanej w łacinie klasycznej w znaczeniu „jama, jaskinia“) w znaczeniu „chata wieśniacza, chałupa“ utworzymy wyraz *culus* (=caulus = cavlus) na ten sam sposób, jak *cavallus* (=cavan-lus), *caballus* (=caban-lus) od *cavana*, *cabana* „chata wieśniacza, chałupa“: to wyraz *culus*, w gminnej łacinie **gulus* powinien oznaczać to samo, co *caballus*, *cavallus*, tj. nędznego, wieśniaczego konia. W tem znaczeniu źródła łacińskie ani formy *culus* ani *gulus*, o ile wiem, nie wykazują, ale że była, dowodem niemczyzna, w której Gaul, jak wiadomo, to „elendes Pferd“, a Gaul ten w wieku XIV i XV brzmi Gul (zob. Fried. Kluge. Etymolog. Wörterbch). Ale wyraz *cava* oznaczał także, jak świadczy łaciński *caula* (=cav-la) „stajnię, oborę“, więc *culus*, *gulus* musiał wyrażać także tyle, co „stajenny, domowy, swojski“, a skutkiem tego oznaczać w różnych stronach także wołu, wieprza etc. Że tak istotnie było, dowód na to ten, że wyraz niem. Gul napotyka się także w znaczeniu różnych zwierząt rodzaju męskiego, w szczególności zaś w znaczeniu „wieprza“ (zob. Fried. Kluge I. c.). Co więc oznacza znany z folklorystyki germańskiej *Gulfest* (Julfest), przy którym zabijano wieprza, teraz jasno ażdy widzi i pojmuje, jak błędne

razu słowiańskiego *żreb*, począł oznaczać to samo, co on, tj. nie tylko konia, ale także narok, wieszczbę, kawał ziemi itd. O wyrazie *kob* w znaczeniu „losu“ pomówimy jeszcze niżej.

są wszelkie inne etymologie tego wyrazu. Mylny też naszym zdaniem jest także wywód etymologiczny wyrazów *cabo*, *caballus* i słowiańskiego *koń*, podany przez dra A. Bohača (Listy filologicke XXXIII 106).

Podług nas łączy się z tą materią także wyraz *kobieta*, o którym w ostatnich czasach tyle się narozprawiano, tudzież, jak mi się zdaje, wyrazy *Hexe* i *Jagababa*, więc jeszcze o tem słów kilka.

Wyraz *kobieta*, jeżeli jest obcym, to naszym zdaniem najpewniej włoskim: **cabieta* (porów. *sakiet* = wł. *sacchetta* od *sacco* „worek, sakiewka“), a **cabieta* to, jak wiadomo, zdrobnienie od **cabia* (porów. *donna* i *donnetta*, *serva* i *servetta*, *femina* i *feminetta* i t. p.), **cabia* zaś to lud. łąć. **cabia* = **cavia* = *cavea* „jama, dziura“: **cabieta* więc to w odniesieniu do kobiety „dziura, członek wstydlawy kobiety“, a w przenośni pogardliwe nazwanie kobiety, niczem zresztą się nie odznaczająca, „kobiety głupiej, błaznicy“, w szczególności zaś „rozpustnicy“ (porów. nasze *pi. da* na oznaczenie głupiej kobiety lub *ch. j* na oznaczenie głupiego mężczyzny). W jednym i drugim znaczeniu było to nazwanie dla niewiast ubliżające, grubiańskie i to przyczyna, dla czego z kulturą we Włoszech zaginęło, używane zresztą otwarcie zapewne tylko w niekulturalnych kołach, jak nasze, wyżej przytoczone dwa wyrazy i nigdy nie pisane, a i u nas długie czasy w książkach unikane, za obraźliwe dla kobiety uchodziło i dopiero w w. XVIII, gdy całkowicie zaginęła pamięć pierwotnego jego znaczenia, na salony się dostało. Tego samego pochodzenia jest także podług nas wyraz niemiecki *Kebse* „Konkubine“, powstały z formy włoskiej **cabiessa*, która znowu jest formacją żeńską od męskiej **cabio* „rozpustnik“ (porów. *maestro* *maestressa*, *profeta* i *profetessa*, *duce* i *duchesse* itp.).

Mieliśmy więc niegdyś we Włoszech wyraz **cabia* w znaczeniu „dziury, głupiej baby, błaznicy, rozpustnicy“ i **cabio* (*cabio* uformowało się obok **cabia* na wzór *figlia* i *figlio*, *maestra* i *maestro*, *monaca* i *monaco*, *cavalla* i *cavallo* i t. p.) „rozpustnik“?

Że tak było, dowodem tego w naszym języku wyraz *kiep*, który, jak świadczy wymownie jego postać, przyszedł do nas przez Niemcy. Włoski bowiem wyraz **cabia*, dostawszy się do Niemiec, musiał na mocy praw języka niemieckiego przybrać brzmienie *kebe*, później *keb* (porów. **cabiessa* i *Kebese*, *Kebse*), skąd właśnie poszedł, jak się nam zdaje, nasz *kiep* i *kiepski*. Dzisiaj oznacza to u nas człowieka „głupiego, błazeńskiego“, lecz niegdyś znaczenie to było nieco inne. Otworzywszy *Lindego*, przekonamy się, że dawniej wyraz ten oznaczał: a) „wstydlawy członek niewieści“ (Potocki W. w *Jovialitates* powiada: „Między kolany u niewiasty *kiep*“, a na innym miejscu: „We Włoszech żelaznym blachem mąż pięknej żony *kiep* kryje przed gachem“); b) „kobietę i mężczyznę błazna, kpa“ (U tegoż pisarza w temże dziele: „Jak to może *kiep* (kobieta) we *kpa* odmienić człowieka“).

Tym sposobem stwierdziliśmy, jak się nam wydaje, identityczność wyrazu *žreb* w znaczeniu „koń” z wyrazem *žreb* w zna-

Jan Kochanowski zna także wyraz *kiepstwo*, oznaczający tyle co dzisiejsze *kpiny*, ale w znaczeniu nieco odmiennem, bo wstydliwem.

Że wyraz *kiep* przyszedł do nas z Niemiec, a Niemcy mieli go z Włoch, widzi teraz, jak mi się zdaje każdy, kto rozważy przytoczone wyżej fakta.

Francuski wyraz *cage* „klatka”, (niemniej wł. *gaggia* = *gabbia* = **gabia* = **cabia* = **cavia* = *cavea*; port. *caiola* „klatka”) wskazuje że wyraz **cabia* = **cavia* = *cavea* przybierał w pewnych gwarach ludowej łaciny brzmienie **caggia* w tem samym znaczeniu. Gdyby wyraz ten dostał się niegdyś do ludów germańskich to dzisiaj moglibyśmy mieć tutaj: *Hagihecke*. Jakoż mamy jedno i drugie w znaczeniu naszej „zagrody”, pierwotnie zatem „chaty, chaty z gospodarstwem”, skąd znaczenia „*Umfriedung, Umzäunung, Gehege, Weideplatz*”. Jeżeli nasze przypuszczenie trafne (zwracamy uwagę, że to tylko nasze przypuszczenie, bo niemieccy uczeni wyrazy *Hagihecke* uważają za czysto germańskie), to mamy tu do czynienia z wyrazem **caggia* w znaczeniu „chaty, zagrody wieśniaczej” i t. d., jak zaznaczyliśmy wyżej. Ale wyrazu **caggia*, **caggiessa*, **caggietta* i **caggiëtessa* używano we Włoszech, jak się nam zdaje, także w takim znaczeniu pogardliwym o kobiecie, w jakim wyrazu *cabia*, **cabiessa*, **cabiëtta* — a i w tem także znaczeniu, jak się nam zdaje, wyraz ten dostał się do ludów germańskich. I w ten właśnie sposób tłumaczymy sobie angielskie *hag* (= **caggia*) „czarownica”, tudzież niem. *Hexe* „czarownica”, wyraz, który w średniowiecznej niemczyźnie brzmi *hecse* (= **caggiessa*), a także *haghetisse*, *haegtesse*, *hagzisa* itp. (= **caggiëtessa*).

Że „błażnice, rozpustnice” zidentyfikowano z „czarownicami”, dziwić się nie będziemy, skoro tylko zważymy, że wszędzie czarownice uchodzą za kobiety złej konduity z powodu obcowania z dyabłami i odbywania z nimi nocnych, tajemnych balów i praktyk. Stąd też wzmiankowany wyżej *vilenik* u Serbokroatów i Słoweńców oznacza czarownika, *vilenica* „czarownicę”, u Czechów natomiast *vilnik* to „rozpustnik” a *vilnice* „rozpustnica”.

Czarownicom przypisywano zdawna zjadanie mięsa ludzkiego, zwłaszcza dzieci (zapewne to echo posądzeń o dokonywanie przez czarownice ofiar z ludzi, jak za czasów pogańskich), więc też i „heksy” niemieckie tę mają własność, a z nimi także nasza *Jaga-baba*, czeska *Ježi-baba*, ruska *Jažibaba* lub *Jazia* itp. Wszystkie te nazwy poszły naszym zdaniem z dawnych wyrażań niemieckich **haguwip*, **hagesweib* (jak *Kebswuib*), z czego słowiańskie: **hagobaba*, a dalej: *Jagobaba*, *Jaga-baba* (porów. *haftowany* i *jaftowany*, *hapetyk* i *japetyk*, *hapytka* i *japytka* itp.), tudzież przymiotnikowo-rzeczownikowa forma: *Jažibaba*, *Ježibaba*, a także *Jaža* i *Jazia* pierwotnie z domyslnem *baba*. Ponieważ *Ježibaby* posądzane o zjadanie ciał ludzkich, więc powstały nowotwory, jak **Jeza* (dajmy na to u Czechów), **Jedza*

czeniu „los, kawał ziemi“ i t. d.¹⁾ Ale jeżeli tak, to stąd wynika, że na oznaczenie losu musieliśmy mieć niegdyś inny wyraz (inne wyrazy), gdyż żreb to pierwotnie „koń“. I tak też było niezawodnie. Znamy nawet jeden taki wyraz polski, który z dawna służył na oznaczenie losu, a wyrazem tym biera, w zdrobnieniu bierka.

Na widownię historyczną występuje on u nas, o ile wiem, dopiero w XVI wieku²⁾, ale że początkiem swoim sięga czasów znacznie dawniejszych, przemawia za tem wiele okoliczności, o których niebawem pomówimy.

U pisarzy wieku XVI. i XVII. ma on znaczenie losu, który się rzuca, tudzież losu w znaczeniu doli i niedoli, jaka kogoś spotyka. „Neptun żeglowaniem władnie — czytamy w tłumaczeniu Horacyusza Petrycego — I jak chce, tak bierka padnie“. „Kto wie, jak biera padnie — powiada w Adagiach Rysiński³⁾. Bardzo często używa tego wyrazu Wacław Potocki w różnych swych dziełach. „Bić się chcesz koniecznie — powiada w Argenidzie — a nuż opak bierka padnie“. A w temże dziele na innem miejscu: „Zawsze niepewna takiej elekcyi biera“. Pierwotne znaczenie wyrazu, jak każdy sam widzi, to „branie“, z czego wynika, że los u nas został tak nazwany od brania go po rzuceniu celem odczytania woli bogów⁴⁾. Znaczenie to schodzi się zupełnie ze znaczeniem wyrazu niemieckiego *lesen*, który pierwotnie znaczy, jak wiadomo, „brać, zbierać“, a znaczenie jego dzisiejsze poszło właśnie, jak dowodzą uczeni niemieccy, od wrózenia z losów podnoszonych (zbieranych). Zachodzi też nawet pytanie, czy nasza biera, bierka nie jest tłumaczeniem z niemieckiego. Ale przypuszczenie takie łatwiej po-

(u nas), skąd znowu dalsze nowotwory, jak starocerkiewne *Јѣза* i *наша Јѣдза*. I nic podług nas słuszniejszego, jak zdanie Hermanna (Deut. Mythologie 60): „Die meisten Bestandteile von dem, was wir volkstümlichen Hexenglauben nennen, scheinen romanischen oder durch die romanische Welt vermittelten orientalischen Ursprunges zu sein“.

¹⁾ Jest wprawdzie także opinia, jakoby żreb był wyrazem tego samego pochodzenia, co rzeźba, rzaz, raz, ale to opinia, jak się nam wydaje, mylna, mylna tak ze stanowiska historycznego, jak i lingwistycznego. Sprawozdanie Akad. umiej. wyd. fil. styczeń 1904.

²⁾ Zob. Słownik Lindego.

³⁾ Słownik Lindego.

⁴⁾ Od brania wywodzi ten wyraz i prof. Berneker w swym *Slav. etymolog.* Wrtbch.

wziąć, aniżeli uzasadnić. Boć gdyby los zwał się po niemiecku *Lese* (porów. np. *We i n l e s e*), wtedy biera, bierka byłaby jego tłumaczeniem, tymczasem los zowie się po niemiecku *Los*, a tego wyrazu, nie mającego zresztą nic wspólnego z wyrazem *Lese*¹⁾ nikt nie mógł tłumaczyć na polszczyznę przez biera, bierka. Prawda, że *lesen* znaczy zbierać i czytać i że to zbieranie i czytanie ma związek ze zbieraniem i odczytywaniem losów, ale związek ten wykazali uczeni niemieccy dopiero w wieku XIX, wiedzieć więc tego w XVI przodkowie nasi nie mogli, a gdyby nawet wiedzieli, toby i tak niemieckiego losu przez wyraz biera, bierka tłumaczyć nie mogli, gdyż wyraz ten nigdy tego znaczenia nie miał i nie ma, a wyraz *lesen* nie tylko w wieku XVI, ale w ogóle w czasach historycznych z wrózeniem i losami nie miał już u Niemców, o ile nam wiadomo, zgoła żadnego związku. Jeżeliby więc mogła tutaj być mowa o jakimś tłumaczeniu, to trzebaby przypuścić, że to nastąpiło jeszcze wtedy, kiedy Niemcy byli poganami i los nazywali *Lese*. W takim razie miałaby nasza biera i tak sędziwą przeszłość za sobą, ale przypuszczenie to na wielce słabych stałoby nogach, bo najpierw niema zgoła żadnego dowodu, żeby los zwał się u Niemców *Lese*²⁾, a powtóre, na takiej stając podstawie, moglibyśmy przypuścić, że i Rzymianie uczyli się od Niemców albo też Niemcy od Rzymian wrózenia z losów, gdyż łaciński wyraz *legere* ma pono także związek z wrózeniem i znaczy czytać, po niemiecku *lesen*, co przecież wydaje się być niedorzecznością. Przypuścić raczej należy, że te same manipulacje z losami u różnych ludów wywołały zupełnie niezawisłe te same pojęcia o rzeczy i takie same pod względem znaczenia wyrazy. Z tych przyczyn uważamy wyraz biera na oznaczenie losu za samodzielny wytwór słowiański, a zwłaszcza polski, gdyż posiada go nie tylko język nasz literacki, ale i ludowy, ten ostatni do chwili obecnej i to tak dobrze nad Rabą pod Karpatami, jak i w Kujawach ku Bałtykowi. U ludu nadrabskiego mianowicie istnieje podziśdzień gra, zwana „birki lub

¹⁾ Zob. Fr. Kluge. Deut. Etym. Wrtbch.

²⁾ Możliweby wprowadzić przypuścić, że nie wyraz *Lese*, ale *lesen* „zbierać i objaśniać, czytać losy“ przetłumaczyliśmy sobie przez brać, skąd potem już samodzielnie uformowaliśmy sobie rzeczownik biera, bierka, ale w takim razie, wydaje się nam, mielibyśmy dzisiaj, jak Niemcy *lesen*, tak my brać w znaczeniu czytać, a tego niema.

kury“, gra zapomocą grochu piechotnego, który się rzuca i chwytą, jak losy. Birki dzielą się na kury i popa, zwanego inaczej ciupem lub kogutem; kury od popów muszą się odróżniać kolorem¹⁾. Birka, nie bierka, bo w gwarze tej *e* przed *r* brzmi jak *i*: stąd także wybirki, wirzba i t. p. Uderza nas i to, że birki te, jak przed wiekami na Rugii są różnokolorowe. Na Kujawach znowu (koło Głuszyna i Sadlna) grywają dzieci „w blirki“, podrzucając pewną ilość kamyków w górę i chwytając²⁾. Tutaj blirki, nie birki, ani bierki, gdyż tutaj, jak nad Rabą, *e* przed *r* brzmi, jak *i*, a nadto po *b* przed miękką samogłoską pojawia się *l*, co zresztą nic dziwnego, gdyż to jest właściwością naszego języka i wszystkich słowiańskich. Stąd Elbląg zamiast Elbiąg (niem. Elbing = Albing), Lublin zam. Lubin; stąd grobla, kropła i t. d., zamiast grobia, kropia. Ale bierki, losy słowiańskie, nie tylko były opatrzone znakami kolorowymi, jakby można wnioskować ze wzmianki, przytoczonej już wyżej z Saxona Gramatyka i z birki nadrabskiej; rosyjski wyraz birki, który dzisiaj oznacza kij z karbami, także same karby, a niegdyś niezawodnie oznaczał, jak u nas, los, świadczy wymownie, że na losach słowiańskich nie tylko były malowane znaki, ale i rzniete. Z powodu karbów, jakie były na bierkach, Rosyanie przez podobieństwo każdy kij z karbami a i same karby zaczęli nazywać bierką, inaczej kij z karbami i karby nie byłyby do tej nazwy przysły.

Jak zaś żreb oznaczał nie tylko los, ale także kawał ziemi, otrzymany losem ze spadku lub przy kolonizacyi, tak też rzecz ma się i z bierą, bierką. Tego znaczenia biery, birki dokumenta nie przekazują (może dlatego, żeśmy tych dokumentów dotąd niezbyt wiele zbadali), ale że i to znaczenie biera, bierka niegdyś istotnie miała, świadczą wymownie dotąd nazwy miejscowe jak Biery, wś. w skoczowskim na Śląsku austr.; jak Bierna (przymiotnik od biera z domyślnem niwa, dzielnica „niwa, dzielnica, pochodząca z podziału zapomocą biery“), wś. w bielskim; jak Birki, wś. w czehryńskim; jak Bircza (niegdyś przymiotnik od birka z domyślnym rzeczownikiem dzielnica, tj. dział) m. w dobromilskim; jak Birczuki (ludzie osiedleni na

¹⁾ Świętek Jan. Lud nadrabski 643—644.

²⁾ Kolberg O. Kujawy I. 228.

birkach, działach, jak Polesiuki, ludzie z Polesia, Pińszczuki, ludzie z Pińszczyzny i t. d.), wś. w ihumeńskim — i t. d.¹⁾.

Jak podnoszono czyli brano rzucone żreby lub biery i odczytywano, tak też brano czyli podnoszono rzucone kobie od chwili, jak wyraz *kob'* wszedł w używanie w znaczeniu żrebia i biery, tj. losu. Ale czy wyraz *kob'* miał i to także znaczenie? Wynika to już ze stosunku, jaki naszym zdaniem zachodził pomiędzy tym wyrazem, a wyrazem żreb, o czym już wyżej była mowa, ale nie brak i innych wskazówek, które za tem przemawiają.

Pocziwi Słoweńcy mają w swym języku czasownik *kobrat* (1sza osoba l. p. *kobram*) w znaczeniu „rzucać kostki“, a pierwotnie zapewne „losować“, tudzież rzeczownik męski *kober* (2-gi przyp. l. p. *kobra*) i żeński *kobra* w znaczeniu „kostka“, a pierwotnie zapewne „los“. Prof. Berneker twierdzi²⁾, że Słoweńcy przyswoili sobie ten wyraz ze średnioniemczyzny, w której *kobern*, *kovern* znaczy „würfeln“. Z *kobern* zrobili — zdaniem jego — Słoweńcy *kobrać*, od *kobrać* zaś poszły wyrazy *kober* i *kobra*. Pozory przemawiają za tem, ale rzeczywistość może być inna. Przedewszystkiem trzeba zapytać skąd średnioniemczyzna do tego wyrazu przysła, zapytać tem bardziej, że dwoistość formy *kobern* i *kovern* w tym samym dyalekcie wskazuje, że to wyraz w niemczyźnie przyswojony, a za przyswojeniem przemawia wymownie i to, że wyraz to, który niemieckiej etymologii nie ma, czyli że na podstawie dyalektów germańskich nie można go etymologicznie w dostatecznej mierze objaśnić. Skoro zaś wyraz to niemczyźnie pierwotnie obcy, to pytanie, skąd go niemczyzna wzięła, a pytanie to nasuwa odrazu myśl następującą:

Zamiast dzisiejszego „losować, ciągnąć los“ mówili Słowianie, a w szczególności Polacy „żreb brać“, od chwili zaś, jak wyraz *kob'* począł zajmować miejsce wyrazu żreb, poczęto naturalnie mówić „*kob' brać*“, z czego znowu całkiem naturalnym sposobem musiała z biegiem czasu powstać zbitka *kobrać*, czasownik w znaczeniu „losowania, ciągnięcia losów, rzucania losów lub kostek“, od którego to znowu czasownika mogły się uformować rzeczowniki: żeński *kobie* i *ra* (2-gi przyp.

¹⁾ Nazwy miejscowe czerpałem ze Słownika geograficznego.

²⁾ Dr. E. Berneker. Slav. etym. Wrtbch. 534.

kobiery) i męski kobier (2-gi przyp. kobiaera) gdyż początkowo czasownik kobrać odmieniał się w czasie teraźniejszym niewątpliwie: koberę, koberzesz i t. d. „losuję, losujesz“ lub kobiaeram, kobiaerasz (porów. zbieram, zbierasz itd.). Gdy jednak pod wpływem bezokolicznika kobrać, zaczęto mówić kobram, kobrasz i t. d., jak to dzisiaj mówią Słowacy, formy rzeczownikowe żeń. kobra, kobry, kobre i t. d. zamiast dawniejszych: kobiaera, kobiaery, koberze i t. d., tudzież męskie: kobier, kobra, kobru (kobrowi) i t. d. zamiast dawniejszych: kobier, kobiaera, kobiaeru (kobierowi) stały się rzeczą nieuniknioną. Z kobier zrobili Niemcy kober, kover „kostka, los“, a z tego kobern, kovern „würfeln, losen“ — i historia wyrazów kobern, kovern staje się całkiem jasna i zrozumiała. Stwierdzić tego niezbitymi faktami niestety nie mogę; na dowód mogę tylko przytoczyć szereg nazw miejscowych, które, jak mi się zdaje, za tem przemawiają, żeśmy niegdyś wyraz kobra, kobier w znaczeniu „losu“ znali i to tak w tej późniejszej formie (kobra — kobry etc., kobier — kobra etc.), jak i dawniejszej (kobiaera — kobiaery etc., kobier — kobiaera etc.); i że znano go także, może przez nas, a może jako własny wyraz na Rusi i Litwie. Oto niektóre z tych nazw:

1) Kobier, wś. w pow. pszczyńskim, a kobier = żreb = biera = narok, „dział, działnica, pochodząca w podziału losem“.

2) Kobierno, wś. w nowomińskim. Pierwotnie przymiotnik (kobierny-a-e od kobier, kobiaera) z domyslnem polem, miejsce, a więc dział, który otrzymano losem.

3) Kobierno (starsza forma zamiast Kobierno), wś. w krotoszyńskim.

4) Kobierno, folw. w kaliskim.

5) Kobiernice, wś. w białskim nad Sołą. Od kobiaery poszła kobiaerna sc. niwa, „niwa nadana losem“, od czego rzeczownik kobiaernica (jak od prawa lub lewa sc. ręka — prawica i lewica), „niwka kobiaerą nadana“, od tego zaś l. m. kobiaernice „niwki, kobiaerą nadane“.

6) Kobierzyce, wś. w raciborskim. Kobierzyca — zdrobnienie od kobiaera, jak dziewica od dziewa, a więc „niwka kobiaerą nadana“, a Kobierzyce „niwki kobiaerą nadane“, jak żrebcze „niwy żrebczem nadane“.

7) Kobierzyn: a) wś. w wielickim; b) wś. w tarnowskim; c) dobra rycerskie w starogardzkim na Kaszubach. Kobierzyn pierwotnie przymiotnik od kobiera, jak matczyn (-a -o), ciotczyn (-a -o) i t. p. od matka, ciotka, z domyślnem narok dział, kawał ziemi nadany kobierą.

8) Kobrowce, wś. w lidzkim. Jak borowiec „człowiek zamieszkały w borach“, lasowiec „człowiek, osiadły w lasach“, tak kobrowiec „człowiek, osiadły na kobrach (kobierach), a kobrowce „ludzie, osiedleni na kobrach“, tj. działach, losem, kobrą rozdanych.

9) Kobrzyniec, dwie wsie (Stary i Nowy) w rypińskim. *Kobrzyn = kobierzyn „dział kobrą nadany, kobrzyniec zaś od kobrzyn „miejsce, gdzie były kobry tj. działki losem nadane jak lipiniec, dębowiec, jasioniec i t. d. „miejsce, gdzie były lipy, dęby, jesiony (jasiony)“.

10) Kobryn albo Kobryny przysiółek Lubelli w pow. żółkiewskim. Nazwa ruska (rusińska) = pol. *Kobrzyn.

11) Kobryniec, folw. w słuckim. Nazwa ruska (rusińska) = pol. Kobrzyniec.

12) Kobrynowo, wś. w zwinogradzkim. Od wyrazu kobryn = żreb, biera, narok „dział, kawał ziemi“ poszedł przymiotnik kobrynów -a -o z domyślnem pole „pole, pochodzące z kobrynu, z działu zapomocą kobier); stąd i Kobrynowa Hrebla, tamże leżąca.

13) Kobryń, m. w województwie brzesko-litewskim, znane już w r. 1286. Nazwa pierwotnie niezawodnie ruska (rusińska) = pol. *Kobryń. Pierwotnie to przymiotnik (dzisiaj po polsku brzmiałoby to kobrzyni -a -e) z domyślnem dział, żreb, narok, kawał ziemi, pochodzący z nadania kobrą, a więc dział narokowy, tyle, co kobierna, kobierno, kobrynowo. Podobnie jak obok kobryn mamy kobryń, tak obok żreb mamy żreb', obok kowel mamy kowel. Stąd zapewne: a) Kowłaki trzy wsie w wileńskim, tj. ludzie na kowłach „kawałach“, losem rozdzielonych osiedli; formacja taka sama, jak chłopak, wiatrak, Litwak, Rusak, Prusak, Ślązak i t. d.; b) Kowel, miasto wołyńskie (pierwotnie przymiotnik od kowel z domyślnem narok — dział, kawał ziemi, nadany kowłem, a więc „dział narokowy“); c) Kowluny, wś. w szawelskim (formacja ruska od Kowel, jak ruskie brechun, krykun, łyzun, łasun, pustun, wiszczun itp., a więc

„ludzie na kowlach, na działach osiedleni“; d) Kowliszki, zaś. w trockim, tyle, co „kawałki“.

14) Kobryń, rzeczka koło Obuchowa na Ukrainie, tego samego znaczenia i pochodzenia nazwa ruska, co Kobryń poprzednio objaśniony (pod 13). Rzeczka otrzymała nazwę oczywście od zaginionej nad nią miejscowości tegoż imienia ¹⁾.

Na losach słowiańskich, jak już wspomnieliśmy kilkakrotnie, były znaki: czary, liki, karby. Otóż rzucone losy brano i na te znaki u w a ż a n o (patrzano) czyli znaki te czytano, bo to właśnie jest pierwotne znaczenie wyrazu czyść, czytać ²⁾. Ponieważ zaś czytanie to (patrzenie i spostrzeganie) polegało niejednokrotnie na policzeniu znaków, celem stwierdzenia, czy liczba wypadnie parzysta, czy nieparzysta, a i znaki na kijach do rachowania także miarkowano, aby je policzyć, więc też czytać ma dawniej także znaczenie liczenia. Dlatego to starosłow. czytą znaczy „rachuję“, cziślo „liczba“, dlatego staropol. p o c z y t a ć kogo za co znaczy policzyć go zaco; dlatego góralskie p o c y t a ć owce znaczy dzisiaj jeszcze „policzyć owce“ ³⁾. Stądto i staropolski p o c z e t pewna liczba ludzi, a także r a c h u n e k, dlatego to jeszcze dzisiaj pisze się i mówi: „proszę mi wypłacić taką a taką kwotę na poczet kwoty mi należnej“.

W końcu niech mi jeszcze będzie wolno podziękować najserdeczniej p. Janowi Koczwarze, nauczycielowi gimnazjalnemu, który przy pracy niniejszej był mi wielce pomocny, czyniąc niejednokrotnie podług mych wskazówek poszukiwania leksykalne po dziełach, których nie mogłem mieć pod ręką.

¹⁾ Można by także przypuszczać, że nazwy ruskie Kobryń, Kobrynowo polegają na imieniu Kobryn (=starosłow. *Kobrynъ), ale o takim imieniu nic nie wiemy, a nazwy miejscowe, jak Kobryn, Kobrynec, Kobrowiec, Kobrzyńiec itd. stanowczo przeciw takiemu przypuszczeniu przemawiają.

Przytoczone nazwy miejscowe czerpałem ze Słownika geograficznego.

²⁾ Dr. Berneker l. c.

³⁾ Sprawozdanie Komisji językowej Akad. Umiej. w Krakowie. t. III. 369.

Uzupełnienie.

(do str. 233).

1. Tego samego etymologicznego pochodzenia, co wieszcz, są w i e d ź m y, p o r u s k u w i d' m y, u n a s z e g o l u d u w i d' m y¹⁾ pierwotnie tyle, co wieszczki, dzisiaj prawie to samo, co czarownice.

W r ó ż i w r ó ż k a wróżą jeszcze podziśdzień tak naszemu ludowi, jak i ruskiemu, a zarazem leczą i czarują²⁾.

2. Odwieczny n a r o k, używany podziśdzień u Chorwatów w znaczeniu „szczęście, dola“, żyje jeszcze i u nas do tej pory w mazurskiej mowie naszych międzyrzeckich bojarów (szlachty wieśniaczej). „Ta baba — powiadają tam — to na to przyjsie (na ten przykład) modli się tylko z n a r o k u“, co dzisiaj znaczy „z pozoru“, lecz niegdyś musiało znaczyć „z musu, z konieczności“, a więc „nie z własnej pobudki, nieszczerze, pozornie“, z czego wynika, że ta mazurska zagonowa szlachta знаła niegdyś n a r o k w znaczeniu „nakaz, mus, konieczność“³⁾.

U r o k zowie się w Kieleckim także u r z e k. Odczynia się tam urzeki następującem zamówieniem: „Święta Zochfią trzy córecki miała: jedna pracka, druga swacka, a trzecią po świecie chodziła, urzeki odcyniała. Odcyńże panienecko, i temu człowiekowi grzėsnemu (jeżeli się odczynia bydłeciu — „bydłeciu roгатemu“). Jeśliś chłopski u r z e k, wliźże pod cąpkę; jeśliś pański (oczywiście ma być: „panieński“, tj. dziewczęcy) u r z e k, wliźże pod warkoc; jeśliś kobiecy u r z e k wliźże pod chustkę“. Poczem guślarz odmawia trzy razy „Zdrowaś Marya“⁴⁾.

W Wielkopolsce u r o k zowie się także p r z y r o k⁵⁾.

3. Obok w i ł ó w i w i ł e k ludzkich, ziemskich byli niezawodnie w i ł o w i e n a d z i e m s c y, b o s c y i w i ł y, b o g i n i e — i to naszym zdaniem te same, które specyjalnemi imionami zowią się w czasach historycznych i prawie do chwili obecnej u Słowenów i Chorwatów Rojenice, w ruskich źródłach Rożanice (co po polsku brzmiałoby R o d z e n i c e), gdyż były to

¹⁾ Zbiór wiadomości do antropologii krajowej. III. 30, 33.

²⁾ Zbiór wiadomości do antropologii krajowej. III. 50. Kolberg O. Przemyskie. 236, 237.

³⁾ X. A. Pleszczyński. Bojarzy międzyrzeccy. 48.

⁴⁾ Zbiór wiadomości do antropologii kraj. III. 51.

⁵⁾ Zbiór wiadomości do antrop. kraj. I. 22.

opiekunki rodzenia; a także u Czechów Sudičky, u Łużyczan Sudiczke, u Słoweńców Sojenice, u Chorwatów Sujenice, u Serbów Sudnice, u Bułgarów Sużdenice (co po polsku brzmiałyby: Sędziczki, Sądnice, Sądzenice), gdyż one to naznaczały nowonarodzonemu dziecku bieg życia, przyszłe losy, wydawały o jego przyszłości sądy; stąd też zowią się u Bułgarów także Naręcznice, u Rusów Udjelnice (co po polsku brzmiałyby Narocznice, Udzielnice) od naroków, udziałów tj. losów, przeznaczeń, doli, która od ich postanowień zależała¹⁾.

4. Wyrazu ulica nie brak w tem samem znaczeniu, co u nas, w żadnym języku słowiańskim, z czego wynika, że to wyraz u Słowian bardzo stary, może prastłowiański i niepodobna go wywodzić od tatarskiego ułusa (część obozu), jak i od ula.

Na oznaczenie drogi, ulicy mieli Słowianie wiele innych wyrazów. W języku starosłowiańskim to samo znaczenie, co ulica, ma np. wyraz stęgna, ciekawy bardzo przez to, że, jak ulica, oznacza pierwotnie znak, ślad, co jeszcze najwyraźniej stwierdza język staropolski, w którym ściegno oznacza „trop, ślad” (trop, ślad zwierząt, ludzi i t. d.). To też jeszcze u Twardowskiego czytamy: „Niech się ustraszą przeszłe interregna, Mokre krwią polską, pokazując ściegna”. A stąd także poszło i wyrażenie nasze ludowe do żgna w znaczeniu „do szczytu”, a pierwotnie „do znaku”, gdyż wyrażenie to powstało z dawniejszego do śćgna (=do ściegna). W związku z tym wyrazem jest i nasz ścieg, i starosłowiański stêg „vexillum” (sztandar), a właściwie „znak”; w związku z tem nasza ścieżka i wyrażenie na ścieżaj, na roścież (=na rozścież); w związku z tem i ścigać (pierwotnie „iść za śladem”, jak śladować, prześladować, znaczyło pierwotnie „iść za śladami”²⁾), a także pościgi i wyścigi. A wszak to i ślad przyszedł w staropolszczyźnie do oznaczenia posiadłości (nieoznaczonej pierwotnie wielkości), że koło tych posiadłości czyniono ślady, lice tj. znaki, a w ślad za tymi znakami ulice, ujadzy, drogi.

¹⁾ Zob. Dr. H. Máchal. Nákras slov. bájesloví. 76.

²⁾ To pierwotne znaczenie wyrazu śladować zachowuje lud nasz do tej pory: śladuje się tutaj złodzieja, wilka, dzika i t. d.

Mieliśmy i my niegdyś, jak mają Czesi podziśdzień, wyraz *cesta* w znaczeniu „droga“, „ulica“, wyraz oznaczający pierwotnie, jak *tor*, drogę utartą¹⁾. Stądto znowu ukraińskie *netry* „miejsca niedostępne“, a właściwie miejsca, do których niema utartych dróg, lub gdzie dotrzeć trudno²⁾.

5. Obrąb, inaczej obręb, oznacza dzisiaj u ludu naszego to samo, co plac, przejęty od kolonistów niemieckich, a więc siedlisko poszczególnego gospodarza, miejsce, zajęte przez jego budynki wraz z oborą, gumnem, sadem, ogrodem, wyłączając jednakże należące do niego pola, łąki i lasy³⁾. To znaczenie obrębu jest późne, ustaliło się dopiero w czasach indywidualnej małej własności, i to tam, gdzie siedliska poszczególnych właścicieli były gdzieindziej, a gdzieindziej ich posiadłości gospodarskie (pola, łąki). W czasach wspólnot rodowych i kolonizowania obszarów musiał obrąb obejmować całą posiadłość rodową i cały obszar oddany do zużytkowania kolonistom, skoro mamy tyle miejscowości (wsi zwłaszcza), zwanych Obrąb, Obręb, Obrębek i t. p.⁴⁾ Nie brak także miejscowości, zwanych Opole (mamy znane miasto na Śląsku Górnym, wsie w pow. radymińskim, łęczyckim, pułtuskim, siedleckim, włodawskim)⁵⁾ lub Osiek, tych ostatnich zwłaszcza jest całe mnóstwo we wszystkich częściach dawnej Polski (w pow. błońskim, gostyńskim, łowickim, kolskim, będzieńskim, olkuskim, sędzińskim i t. d.)⁶⁾, ale już nigdzie dzisiaj, o ile mi wiadomo, nie używa się wyrazu opole lub osiek w znaczeniu placu lub obrębu, w tem znaczeniu, w jakim go lud nasz używa. Widać, że wyrazy te wyszły z użycia, nim przyszła indywidualna własność ziemiska na mniejszą skalę.

Wygrabane wzdłuż granic obrębu, osieku, opola drzewa składano niezawodnie wśród drzew po stronie zewnętrznej, którą opatrywano niekiedy zapewne także rowem i wałem, skutkiem czego posiadłość była zabezpieczona tak przed nie-

¹⁾ Dr. Berneker l. c.

²⁾ Zbiór wiadomości do antropologii krajowej. III. 110. „Utikaj na oczerety, na lisa, na bołota, na *netry*“ (Zamówienie choroby).

³⁾ Tak się rzecz ma np. w moich rodzinnych stronach (pow. tarnobrzeński).

⁴⁾ Zob. Słownik geograficzny.

⁵⁾ Zob. Słownik geograficzny.

⁶⁾ Zob. Słownik geograficzny.

bezpiecznemi, dzikimi zwierzętami, jak i przed nieprzyjacielem. Jeżeli zasieczono w ten sposób i drogi, wiodące do posiadłości, powstawał z niej zasiek i stądto znowu miejscowości, choć niezbyt liczne tego nazwania¹⁾. Wiadomo, że zasiekami zwano u nas i obozy wojenne, w ten sposób ubezpieczone, ale tych nie mamy w tej chwili na myśli.

Jest także wiele miejscowości, zwanych Uj a z d²⁾, z czego widać, że wyraz ten w czasach dawnych miał to samo znaczenie, co opole, obręb, osiek. Miejsce, objęte ujazdem w stosunku do posiadłości, nim nieobjętych, zwało się u j a z d o w o z domyślnym wyrazem miejsce (dzisiaj mówiłoby się u j a z d o w e s c. miejsce), las zaś lub grunt ujazdem objęty, zwał się u j a z d ó w s c. las lub grunt (dzisiaj zwałby się u j a z d o w y), a stąd znowu wiele miejscowości zwanych U j a z d o w o, U j a z d ó w³⁾. Mamy także miejscowości, zwane Ś l a d o w o, Ś l a d ó w⁴⁾, powstałe w ten sam sposób, z czego wynika, że ujazd, ślad stały niegdyś na równi z osiekiem, obrębem, opolem.

Ale ślad, podobnie jak obręb, doczekał się czasów, kiedy własność indywidualna stanowiła nieraz taki obszar, jak łąk albo i mniej, tak, że jedna i ta sama miejscowość poczęła obejmować po kilka i kilkanaście obrębów lub śladów, skutkiem czego nie brak też i takich miejscowości, które się zowią Obręby i Ślady⁵⁾. podobnie, jak są miejscowości zwane Biery, Birki, Kobryny i t. p.

Z czasem wyrażenia, jak obręb, osiek, opole, ujazd, ślad ustaliły się na oznaczenie posiadłości wogóle, a bez względu na jej wielkość, gdyż takie obręby, osieki, opola, ujazdy, ślady były z dawna nierównej objętości i bez względu na to, czy były obrabane, osieczone, opolone, opatrzone ujazdami lub śladami, czy też nie, gdyż z czasem powstały i takie własności, które obejmowały wiele osieków, obrębów i t. d., a nie były jako całość jedna osieczone, obrabane i t. d. Czyja więc posiadłość obejmowała wiele poszczególnych obrębów, osieków, opól, ujazdów, śladów, tego posiadłość czyli obrab, osiek,

¹⁾ Zob. Słownik geograficzny.

²⁾ Zob. Słownik geograficzny.

³⁾ Zob. Słownik geograficzny.

⁴⁾ Zob. Słownik geograficzny.

⁵⁾ Zob. Słownik geograficzny.

opole, ujazd, ślad mógł obejmować ogromną przestrzeń ¹⁾. Gdy zaś przyszło do podziału majątności, np. pomiędzy spadkobierców i ktoś otrzymał z dzielonej własności narok, żreb, biere, kobrę, kawał, koweł i t. d., obejmujący jedną tylko miejscowość, jego narok, żreb, biera, kobra, kawał, koweł i t. d. równał się zwyczajnemu obrębowi, osiekowi, opolu, ujazdowi, śladowi, obejmującemu jedną miejscowość; kto zaś przy takim podziale otrzymał własność, obejmującą kilka lub kilkanaście miejscowości, a więc kilka obrębów, osieków, opól, ujazdów, tego narok, żreb, biera, kobra i t. d. mogła dochodzić do niezwykłych rozmiarów. A przeciwnie — gdy przyszły czasy małej własności i w spadku otrzymał ktoś tylko jeden łąn, a nawet pół lub mniej, wtedy jego narok, żreb, biera, kobra i t. d. tylko takich była rozmiarów i taki też był jego obrąb, osiek, opole, ujazd, ślad. Ale tych czasów doczekał się już tylko obrąb, jak to już zauważyliśmy wyżej, a i ślad, który w Wielkopolsce dotrwał do ostatnich czasów, już to na oznaczenie łąnu, już to kawałka gruntu nieoznaczonej bliżej wielkości ²⁾.

Oto przyczyna, dla której nasze naroki, żrebie, opola, ujazdy, ślady i t. d. co do swej objętości tak wielką w źródłach historycznych przedstawiają rozmaitość. Historycy nasi łatwo oceniają, ile na całą tę sprawę moje wywody rzucają światła.

6. Z wywodami o znaczeniu wyrazów część i dola należy połączyć rzecz o znaczeniu wyrazu bóg, którego historia całkiem podobna, a bardzo ciekawa i pouczająca. Znaczenie dzisiejsze tego wyrazu nie jest bynajmniej pierwotnem, jak o tem pouczają już same języki słowiańskie.

U Słowenów obok znaczenia dzisiejszego ma wyraz ten znaczenie „losu, doli“, o tym bowiem, na kogo los niełaskawy, powiadają tutaj, że „zlega boga vživa“, że „zażywa złej doli“, a na Łużycach górnych z b o Ź e znaczy „szczęście, pomyślność“. Ponieważ wyraz zboże powstał z wyrazu *zbóg (u Słowenów nawet taki wyraz istnieje), a wyraz ten uformował się pod wpływem czasownika *z b o Ź y ć w znaczeniu „szczęścić“, więc

¹⁾ Stąd też u j e z d (= pol. ujazd) oznacza się dzisiaj w języku rosyjskim powiat.

²⁾ Kolberg O. w Zbiorze wiadomości do antropologii krajowej. I. 23 i 28.

trzeba przypuścić, że wyraz bóg oznaczał niegdyś nie tylko „los, dołę“, ale także „pomyślność, szczęście“, zupełnie tak samo, jak wyraz część i szczęście w językach słowiańskich. Wnioskować dalej z tego można, że wyraz bóg oznaczał niegdyś także to samo, co część, szczęście, tj. dział, udział, który ktoś otrzymał przy podziale losem, a *bożyć, *zbożyć tyle, co pierwotnie *częścić i szczęścić, tj. dzielić i podzielić, udzielić losem. Taki dział stanowił majątność, bogactwo obdarowanego, więc też u Czechów i u nas w staropolszczyźnie zboże oznacza „majątność, bogactwo“, a u nas także tyle, co dzisiaj, zboże, gdyż produkty w zbożu stanowiły podstawę majątności rolnika, jak u pasterza bydło, skąd znowu na Łużycach Dolnych zboże oznacza „bydło“.

Od wyrazu bóg w znaczeniu „majątność, bogactwo“ (pierwotnie „dział“) poszedł przymiotnik bogaty w znaczeniu dzisiejszem, tudzież przymiotnik *bóg — boga — bogo (dzisiaj brzmiałoby to bogi — a — e), skąd znowu u-bogi (u oznacza tutaj tyle, co nie), co dosłownie znaczy „niebogaty, niezamożny“, a więc „biedny“ a nadto nieboga (rodzaj żeński od przymiotnika: *niebóg — nieboga — niebogo) dosłownie „biedna“ i rzeczownik nie b o s z c z y k (=niebożczyk) pierwotnie „biedny“, wreszcie nie b o r a k (pierwotnie: nie b o ż o k) pierwotnie „biedny, a więc „nieszczęśliwy“.

Fakta te, całkiem widoczne z języków słowiańskich, znajdują jak najzupełniejsze potwierdzenie w językach pokrewnych, dawniejszych i dzisiejszych. Naukowo stwierdzono mianowicie ponad wszelką wątpliwość, że wyraz bóg pozostaje w najściślejszym, etymologicznym związku ze staroindyjskim wyrazem b h a j a t i „przydziela“, z wyrazem b h a g a s „przydzielający, pan“, a także „mienie, dobro, szczęście“, w aweskie z wyrazem b a g a — „dział, udział, los, pomyślność, szczęście“, a także „Bóg“; w staroperskim języku z wyrazem b a g a — w znaczeniu „pan“ i „Bóg“.

Początek wszystkiemu daje tedy czasownik *b h a j a m i „dzielić“, skąd potem dział, udział dany losem, potem los, szczęście, tudzież ten, co losem daje ludziom działy, udziały, szczęście — pan nad panami — Bóg.

7. Z domniemanym przez nas wyrazem *kobra w zna-

¹⁾ Dr. E. Berneker l. c.

czeniu „los“ nie ma nic wspólnego znana z historii naturalnej nasza k o b r a w znaczeniu „kamień węzowy“¹⁾, tudzież słoweńska k o b r a n k a, rodzaj żmii. Kobra ta i uformowana od niej kobranka to na niwie języków romańskich powstałe skrócenie wyrazu łacińskiego c o l u b r a „wąż“, jak poucza język portugalski, w którym c o b r a w znaczeniu „węża“ używa się do dziś dnia²⁾.

Pomiędzy nazwami miejscowemi, jak Kobier, Kobierno, Kobierzyn i t. d. nie wymieniliśmy nazwy Kobierniki, gdyż niema ona z niemi nic wspólnego. Kobierniki to w dawniejszej polszczyźnie ludzie, wyrabiający kobierce i stąd tego rodzaju nazwy miejscowe powstały zupełnie tak samo, jak Łagiewniki (ludzie co wyrabiali łagwie), jak Korabniki (ludzie wyrabiający korabie), jak Płowce (pływacy, żeglarze, tyle, co późniejsze z niemczyzny wzięte flisy. Po starosłow. płowъś „żeglarz“ i t. d.³⁾.

8. Obok h a p „przypadek“ mamy w języku angielskim także wyraz happy „szczęśliwy“ („It is customary to wish ones friends a merry Christmas and a happy New-year“). Dlaczego zaś koń zowie się po angielsku h o b b y, a przypadek h a p, choć to ma być ten sam wyraz, wyjaśnienie znajdujemy w tem, że nie są to wyrazy w języku angielskim z jednego czasu i z jednego pochodzące źródła, choć są wspólnego pochodzenia etymologicznego: h a p łączy się ze staroislandzkim h a p p, a h o b b y z duńskim h o p p e. Porównaj zresztą szwabskie k o b „koń“ i fińskie h e p o „koń“. Łotyskie k i a w i j t i a „kobyłka“⁴⁾ jest niewątpliwie germańskiego pochodzenia i powstała z germańskiej formy h e w — (Litwini zwykli obce h = ch wymawiać, jak k, gdyż nie mają w swym języku dźwięku ch, a samogłoskę e wymawiają niekiedy jak i a).

9. Napotykaną w gwarach polskich wyraz g u ł a w znaczeniu „wół“⁵⁾, jest niezawodnie tym samym wyrazem, co niemiecki G a u l, brzmiący w dawnej niemczyźnie G u l, a oznaczający niekiedy także „wołu“.

¹⁾ Zob. Słownik Lindego.

²⁾ W. Meyer-Lübke. Einführung in das Studium der romanischen Sprachwissenschaft. 114.

³⁾ Z Połowcami niema ta nazwa nic wspólnego.

⁴⁾ Weryho Wład. Podania łotewskie. 44.

⁵⁾ Zbiór wiadomości do antropologii krajowej. I. 67.

10. Włoski wyraz **c a b i e t t a*, z czego w ustach polskich podług naszego zdania powstała kobieta, przybył do nas z Włoch, podobnie jak *k i e p*, ale nie przez Niemcy, jak *k i e p*, tylko wprost i to może dopiero z dworem królowej Bony, a jeżeli wcześniej, to zapewne z pierwszymi humanistami za czasów Kazimierza Jagiellończyka. To bezpośrednie przyswojenie w czasie stosunkowo dość późnym jest przyczyną, że tego wyrazu nie napotykamy zresztą w żadnym innym języku słowiańskim, a jeżeli jest, jak n. p. w języku ruskim, to przyswojony z polszczyzny; do Czech mógł być zaniesiony przez naszych dworzan już w XVI wieku, kiedy to na tronie czeskim zasiadali Jagiellonowie, kiedy to między Polską a Czechami były tak ścisłe i ożywione stosunki.

11. W domniemanym wyrazie ludowej łaciny **c a g g i a* (=lud. łac. **c a b i a*, **g a b i a*, **g a v i a*, **c a v i a*, skąd klasyczne *cavea*, włoskie *gabbia*, hiszp. *gavia*, portugal. *gavea*, niem. *Käfig* itd.) oznaczyłem przez *ggi* dla braku odpowiedniej czcionki ten dźwięk spółgłoskowy, z którego w języku francuskim ż: *cage*, a we włoszczyźnie *d-ż*: *gaggia*.

12. Co się tyczy *J e d z y*, to przypuszczenie nasze, wyżej wypowiedziane, że na formację tego wyrazu w językach słowiańskich wpłynęło wyobrażenie o zjadaniu przez czarownice Jagobaby mięsa ludzkiego, stwierdza wymownie czeska nazwa *J e d z y*, a mianowicie *J e d u - b a b a* i *J e z i n k a*. Pierwsza nazwa mówi sama za siebie, a drugą rozumie także każdy, kto wie, że nasze staropolskie *j e d z a* (jadło, jedzenie) brzmiało po staroczesku *j e z a*, *j i z a*; Jezinka więc brzmiałaby po polsku Jedzynka. Ponieważ czeskiemu *e* odpowiada w polszczyźnie częstokroć *ę* (porów. czeskie: *chřest*, *vězeň* i t. p. = pol. chrzest, więzień), a czeskiemu *z* odpowiada pol. *dz* (porówn. czeskie *j edza*), więc czeską nazwę **Jeza*, Jezinka można było przekreślić na polską *J e d z a*, Jedzynka co też mamy, a niewątpliwie drogą przez Czechy przyszły do nas powieści o tych Jaga-babach, Jaži-babach, Ježi-babach.



STANISŁAW CISZEWSKI.

Trepanowanie i skrobanie w celach lecniczych czaszek na Kaukazie.

Ciężką operację, polegającą na robieniu otworów w sklepieniu czaszki, wykonywano już w czasach bardzo odległych. Dochowało się sporo trepanowanych czaszek z epoki przedhistorycznej. Trepanowali już czaszki zawodowi lekarze za czasów Hippokratesa. Dzisiaj, rzecz prosta, podejmują się tego niebezpiecznego rękoczynu jedynie wyszkoleni chirurdzy, lubo niemal do ostatnich dni przedsiębrały także i wykonywały po barbarzyńsku tę operację niektóre ludy niższej kultury.

Zawodowi chirurdzy współcześni posługują się do trepanowania czaszek różnemi udoskonalonemi narzędziami. Główną atoli przy tej operacji rolę odgrywa narzędzie, odpowiadające ideowo świdrowi. Ztąd i samo trepanowanie możnaby nazwać świdrowaniem, wierceniem.

Ściśle biorąc takie tylko właśnie robienie w czaszce otworów świdrem jest naprawdę trepanacją.

Od czasu atoli, gdy Broca w r. 1868 nazwał przez analogię czaszką trepanowaną taką czaszkę, która, w rzeczy samej, trepanowaną nie była, poczęli antropologowie, za jego przykładem, nazywać czaszkami trepanowanemi wszelkie wogóle czaszki z otworami w sklepieniu czaszkowem, bez względu na to, w jaki sposób otwory te w kości powstały.

Lekarze trepanują i trepanowali czaszki w celach leczniczych. W jakim atoli celu przedsięwziął operację tę człowiek przedhistoryczny? O odpowiedź na to pytanie pokusił się niedawno Profesor F. Luschan,¹⁾

Zbadanie trzydziestu przeszło trepanowanych czaszek ludów pierwotnych dawniej i współcześnie żyjących, doprowadziło go przedewszystkiem do wniosku, iż wszystkie te ludy trepanowały i trepanują czaszki nie tak, jak to zwykli czynić chirurdzy w świecie cywilizowanym. Barbarzyńska metoda trepanowania polegała i polega nie na wierceniu, lecz na skrobaniu kości. Tak, a nie inaczej, trepanowane są czaszki, należące do przedhistorycznych mieszkańców Francji południowej i wysp Kanaryjskich, do dawnych Peruwiańczyków, jako też do współczesnych Melanezyjczyków i niektórych innych jeszcze ludów. Brzegi otworów, porobionych we wszystkich prawie tych czaszkach, dowodzą wyglądem swym niezbicie, że operacja powiodła się w zupełności i kość się zagoiła. W jednym, jedynym tylko przypadku, zabieg, jak się zdaje, nie udał się i nastąpiła śmierć.

Oględziny pokażnej, bo aż 52 czaszki liczącej seryi czaszek przedhistorycznych z wysp Kanaryjskich, dały znów Profesorowi Luschanowi możność stwierdzenia innego, bardzo ważnego faktu naukowego.

Po wyłączeniu z tych 52 czaszek trzech czaszek trepanowanych, okazało się, że 20 tylko zaledwo z pozostałej reszty jest zupełnie gładkich, na 29 zaś innych znajdują się mniej, lub więcej głębokie, dobrze zagojone blizny. Blizny te są rozmaite. Jedne przedstawiają się tak, iż robią wrażenie śladów po rozpoczętej, ale niedoprowadzonej do końca trepanacyi. Inne są niezawodnie natury traumatycznej. Są też wreszcie i takie, których pochodzenie jest ciemne.

Otóż, zróżniczkowawszy dokładnie wszystkie te blizny, mniema Prof. Luschan, iż znaczna ich część zawdzięcza powstanie swe jakimś celowo przedsięwziętym zabiegom chirurgicznym.

¹⁾ Ueber eine Schädelammlung von den Canarischen Inseln, Lipsk, 1896 str. 8—10, 33. Odbitka z dzieła H. Meyera p. t. Tenerife, Lipsk, 1896 str. 285 i nast.

Tyle udało się osiągnąć przez zbadanie samych czaszek. Ale to dopiero połowa zadania. Wciąż nierozwiązaniem pozostaje jeszcze nadal pytanie, do czego zmierzał człowiek przedhistoryczny, trepanując czaszkę, lub wykonywując na sklepieniu czaszkowem takie jakieś chirurgiczne operacye, które pozostawiały po sobie na powierzchni czaszki głębokie blizny?

Zdaniem Prof. Luschana, na które chętnie zgodzi się każdy, jedyną drogą, która prowadzi do znalezienia jakieś takiej odpowiedzi na te ciekawe pytania, jest zwrócenie się po nią do współcześnie żyjących ludów pierwotnych. Trafiają się bowiem między tymi ludami takie ludy, które bądźto trepanują czaszki dotąd, bądź też trepanowały je do bardzo niedawna.

Zapoczątkowując poszukiwania w tym właśnie, nowym, przez siebie wskazanym, kierunku, streszcza Prof. Luschan ¹⁾ w swej pracy dane, zebrane o trepanacyi czaszek przez dwóch francuskich lekarzy kolonialnych w Algierze, w prowincyi Konstantynie. Według relacyi tych lekarzy, ²⁾ niektóre plemionka kabylskie, zamieszkujące Konstantynę, uciekały się do trepanowania czaszek jeszcze w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. Trepanowano tam czaszki z różnych powodów. W razie strzaskania kości. Przy innego rodzaju nadwężeniach sklepienia czaszki. W celu zapobieżenia ciężkim bólom głowy. W chorobach kości.

Ale bywały i inne jeszcze przypadki, w których także przedsiębrano trepanację czaszek. O jednym wspomina A. Paris. Dwóch Kabylów wszczęło kłótnię, a następnie bójkę. W kilka dni później jeden z tych Kabylów, który żadnego cięższego obrażenia czaszki bynajmniej nie poniósł, poddał się jednak trepanacyi czaszki, ażeby wymusić tym sposobem na swym przeciwniku odszkodowanie za ciężkie obrażenie ciała. L. T. Martin zapewnia znowu, iż widział na własne oczy ludzi, którzy się poddawali trepanacyi czaszki po pięć, a nawet po sześć razy w życiu.

¹⁾ str. 35—37.

²⁾ Podaję tu za Prof. L. tytuły prac obydwóch tych badaczy, ponieważ są one nadzwyczaj rzadkie i mało znane. L. T. Martin, *La trépanation du crâne, telle qu'elle est pratiquée par les Kabyles de l'Aurès*, Montpellier, 1867; A. Paris, *De la trépanation céphalique, pratiquée par les médecins indigènes de l'Aouress (Constantin)*. *Gazet médicale de l'Algérie*, 1868.

Dokonywał zazwyczaj operacji domorośli, kabyłski lekarz, coś pośredniego pomiędzy lekarzem, a szamanem, t. zw. *thebibe*, w którego rodzinie sztuka trepanowania przechodziła zwykle z ojca na syna. Operatora takiego, zarówno jak i pacjenta, poddającego się trepanacji czaszki, otaczali Kabyłowie czcią, graniczącą niemal z czcią religijną.

Rozpoczynała się operacja od cięcia na skórze w kształcie krzyża. Udostępniał sobie tym sposobem operator pole operacyjne. Wziąwszy potem pomiędzy dłonie narzędzie, podobne do naszego szydła, a więc takie, które zbyt głęboko wejść w kość nie mogło, robił niem w czaszce szereg otworów, wierząc jeden przy drugim dookoła tego kawałka kości, który miał być z czaszki usunięty.

Kończył w ten sposób rozpoczętą operację rozmaicie. Jeśli otwory, porobione w czaszce szydłem, zrobione były dość gęsto, wyłupywał wówczas obwiercony kawałek kości rozmaitego rodzaju dłótkami, łopatkowatego kształtu elewatorami, zakrzywionymi haczykami i t. p. narzędziami. W przeciwnym razie posługiwał się prostemi, lub zakrzywionemi piłkami.

Po usunięciu kawałka kości, oczyszczał operator starannie brzegi rany, wygładzał je, poczem nakładał na ranę opatrunek, składający się zwykle z masła i pokarmu kobiecego. Jaki był procent śmiertelności przy tego rodzaju operacjach, lekarze francuscy nie mówią. Powiadają tylko, że gdy się która z nich nie udała i pacjent przypłacił operację śmiercią, pocieszano się słowy: „Tak mu widać było sądzone. Umarłby był i tak, choćby się nie był poddawał trepanacji”. Tyle Prof. Luschan o trepanowaniu czaszek u Berberów.

Przechodzę teraz do paru świadectw etnograficznych, które mnie się udało odszukać, a z których wynika, iż skrobanie i trepanowanie czaszek praktykowało się też do niedawna jeszcze na Kaukazie.

Opowiada o tem dwukrotnie M. Grabowski. Raz ¹⁾ w pracy, skreślonej w maju 1868 r., a dotyczącej wszystkich wogóle plemion czeczeńskich, zamieszkujących w r. 1865 górzystą część

¹⁾ Экономическій и домашній бытъ жителей Горскаго участка Ингушевскаго округа. Сборникъ свѣдѣній о Кавказскихъ горцахъ, Tyflis, 1870, III, artykuł 5, str. 24—25.

dawnego inguskiego okręgu ¹⁾ drugi raz ²⁾ w rozprawie, traktującej specjalnie o Inguszach, a datowanej dnia 26-go grudnia 1876 roku.

U wszystkich plemion czeczeńskich, w czasie gdy Grabowski miał sposobność je obserwować, była jeszcze na porządku dziennym pomsta krwawa i istniały różne sposoby godzenia się wróżdzących z sobą stron. Zdarzały się też często bójki na kije. Te atoli, o ile któryś z zapaśników nie otrzymał w czasie walki razu w głowę, nie pociągały za sobą poważniejszych następstw prawnych i o całym zajściu rychło zapominano. Inny obrót przybierała sprawa dopiero wtedy, skoro jeden z walczących uderzony został przez drugiego kijem, lub kamieniem, w głowę. Na razie, jeżeli uderzenie było słabe, nie zbyt bolesne i nie pozostawiło po sobie żadnego śladu, i wtedy nawet, gdy chodziło o głowę, kończyło się wszystko na niczem. Puszczano obelgę w niepamięć. Szła ona w zapomnienie na rok, nawet na dłuższy jeszcze przeciąg czasu. Niech, się jednak kiedykolwiek później zdarzyło, że człowiek, uderzony kijem, lub kamieniem, w głowę, cierpieć począł bóle głowy, nie wątpił on ani chwili, iż są one następstwem owego, zadanego mu w głowę razu i pozywał zaraz sprawcę swoich cierpień przed sąd.

Przysądzenie, lub nieprzysądzenie w takich razach przez sąd odszkodowania zależało w zupełności od orzeczenia rzeczoznawców. Funkcye rzeczoznawców spełniali lekarze. Byli to, oczywiście, domorośli, kaukazcy lekarze. Ci to lekarze, zdarłszy powodowi skórę z głowy, badali mu czaszkę i orzekali, czy została uszkodzoną, czy też nie. Wówczas, gdy orzekali, iż czaszka jest uszkodzona, twierdzili, iż widzą w czaszce szpary (pęknięcia).

„Być może, powiada Grabowski, że ta metoda przeprowadzania dowodu prawdy wyda się niejednemu dziką i nieprawdopo-

¹⁾ W roku 1865 okręg inguski składał się z sześciu terytoryów. Z wąwozu, którym przepływa rzeka Arm-chi (Kistynka), zamieszkałego przez Dżerachowców i Kistyńców. Z terytoryum, leżącego nad rzeką Assa, zamieszkałego przez Gałgajewców i Coryńców. Z terytoryum, leżącego nad rzeką Gechi, zamieszkałego przez Akińców i z terytoryum, leżącego nad rzeką Fortangiem, zamieszkałego przez Meredżyńców. W r. 1866. Akińcy i Meredżyńcy wyłączeni zostali z okręgu inguskiego, a przyłączeni do okręgu arguńskiego.

²⁾ Ингуши, ихъ жизнь и обычаи, Сборникъ свѣдѣній о кавказскихъ горцахъ, Тифлис. 1876, IX, art. 2.

dobną. A jednak, metoda ta, chociaż dziś już nie jest stosowaną, (pisał w r. 1868) była jednak przez lud, który opisują, do niedawna stosowaną. Znam osobiście kilkunastu górali, którzy, wytoczywszy przed sąd sprawę o rany, zadane kijem w głowę, poddawali się takiej ekspertyzie, oglądałem ich głowy, które noszą na sobie ślady przebytej operacji.“

Według zwyczaju, przy ekspertyzie tego rodzaju, musieli być obecni mułlowie, należący do aulu, a nadto kilkanastu wiarogodnych świadków ze strony pozwanego. Skoro świadkowie się zeszli, przystępował domorosły lekarz do operacji. Ujawszy w rękę zwykły kindżał, rozcinał nim powodowi na cztery części skórę na głowie i odwracał ją. Jeśli bezpośrednio pod skórą nie widać było na czaszce żadnych uszkodzeń, zabierał się wówczas lekarz do skrobienia wskazanego przez powoda, bolącego miejsca. Skoro i takie skrobanie nic nie ujawniło, nasuwał najspokojniej zdartą skórę na czaszkę i zeszywał ją, mułła zaś i obecni świadkowie, na podstawie orzeczenia lekarza-rzeczoznawcy i zgodnie ze swem uznaniem, wyrokowali, że skarga powoda była nieusprawiedliwioną i że pozbawia go się na przyszłość prawa dochodzenia jakiegokolwiek odszkodowania. Wyrok ten zadawała zwykle powoda w zupełności i nie zdarzało się, aby kiedykolwiek później wszczynał jeszcze powtórnie sprawę.

W takich razach, gdy oględziny lekarskie wykazały istotnie jakieś uszkodzenie czaszki, wycinał operator uszkodzone części kości, sąd zaś skazywał winowajcę na zapłacenie ustanowionej przez zwyczaj grzywny, którą ten bez żadnego szemrania płacił. Górale zapewniali Grabowskiego, że operacja tego rodzaju wcale nie jest trudną, a jest zawsze dla chorego z pożytkiem. Usuwa chorobę. „Ile w tem prawdy, powiada nasz autor, nie wiem. Upewniam tylko, że nie przypominam sobie ani o jednym takim przypadku, w którymby ktoś, poddawszy się podobnej operacji, skarżył się później na ból głowy. A jednak, z tą głową jego, jak to już powyżej zaznaczyłem, nie robił sobie lekarz-ekspert zbyt wielkich ceremonii“.

I druga, późniejsza relacja Grabowskiego, dotycząca specjalnie Inguszów, ważną jest bardzo, dowiadujemy się z niej wielu bowiem szczegółów, pominiętych przez autora w pierwszej pracy.

Przedewszystkiem co do samego przebiegu operacji¹⁾.

¹⁾ Сборникъ, IX. 89—90.

Domorośli lekarz-ekspert, zwykłym, tylko nieco zakrzywionym nożem, przecinał powodowi skórę na czaszce w tem miejscu gdzie został zadany raz. Jeżeli na sklepieniu czaszki znalazł ciemne piętna, będące oznaką psucia się kości, wyskrobywał je zaraz nożem. Wyskrobywanie i wycinanie psującej się kości miało też miejsce i wtedy, gdy ekspert stwierdził pęknięcie czaszki. Usunąwszy próchniejące kawałki kości, badał domorośli chirurg, czy została, lub też nie została naruszona twarda opona mózgowa, t. zw. przez Inguszków „druga miękka kość“ i komunikował o tem, co znalazł, sędziom, ażeby ci mogli dokładnie określić wysokość odszkodowania za ranę. Kończyła się cała operacja zaszcyciem rozciętej skóry.

Jako zabieg leczniczy, takie wyskrobywanie i wycinanie z czaszki kawałków próchniejącej kości stosowane było przez domorośłych inguskich chirurgów nie tylko na sprawach sądowych, lecz i wogóle przy leczeniu wszelkich ran, zadanych w głowę, a operowany pacjent wytrzymywał zawsze operację ze zdumiewającym wprost stoicyzmem. „Widywałem też nieraz dodaje jeszcze Grabowski, u Inguszków takie rany, co do których, zdawało się nie ulegać żadnej wątpliwości, że muszą być śmiertelne. Nasi lekarze skazali już rannego na śmierć. A jednak, ludzi tych, ku niemałemu memu zdziwieniu, spotkałem później zupełnie wyleczonych“.

W roku 1874 dokonywanie sądowo-lekarskiej ekspertyzy czaszki było już Inguszom przez władze rosyjskie wzbronione. Leczenia jednak ran, zadanych w głowę, chirurgom ich nie wzbraniano. Musieli tylko otrzymywać na to każdorazowo zezwolenie od okręgowego, rosyjskiego lekarza. Jeżeli zaś pacjent domorośłego takiego chirurga pozywał następnie osobę, która go okaleczyła, przed sąd, to sąd, chcąc powziąć wiadomość o jakości rany powoda, musiał już poprzestawać na opinii domorośłego lekarza, który go miał w kuracyi, lub też zadowolić się świadectwem lekarza rosyjskiego.

Jak to wyraźnie zaznacza Grabowski ¹⁾, inguska ekspertyza sądowo-lekarska czaszki pozostawała w jaknajściślejszym związku z panującym jeszcze za czasów Grabowskiego wśród Inguszków obyczajem pomsty krwawej. Lekarz ekspert musiał dokładnie określić jakość zadanej rany, ponieważ od tego zależała wyso-

¹⁾ l. c. str. 83.

kość mającego być za nią przysądzonego powodowi odszkodowania.

Inguskie prawo zwyczajowe rozróżniało kilka rodzajów ran: 1) rany na sklepieniu czaszki, czyli „na części czaszki, przykrytej zwykle papachą“ (czapką baranią); 2) rany twarzy, uszu i odsłoniętej części szyi; 3) rany tułowia; 4) rany rąk; 5) rany nóg. Nas tutaj interesują wyłącznie rany głowy. Otóż, za rany, zadane w głowę, przewidywało prawo zwyczajowe inguskie takie odszkodowania:

1) Lekkie rozcięcie skóry na czaszce, bez obrażenia kości, uchodziło winowajcy płazem. Nie płacił za to nic. Obowiązany był tylko wypłacić ucztę pojednania, składającą się z barana i kotła wódki.

2) Za skaleczenie, połączone z zadrażnieniem kości czaszki czyli za ranę, która „musi być wyczyszczona nożem przez chirurga“ — należało się od winowajcy — trzy cielne krowy. Prócz tego: uczta pojednania, składająca się z barana i czterech kotłów wódki.

3) Za strzaskanie czaszki „aż do drugiej, miękkiej kości“, to znaczy: za strzaskanie czaszki, sięgające twardej opony mózgowej — pięć cielnych krów. Prócz tego: uczta pojednania, składająca się z wielkiego barana i sześciu, lub też tylko czterech kotłów wódki.

4) Za strzaskanie czaszki, połączone z przecięciem obydwóch opon mózgowych, twardej i pajęczej, czyli, czyli jak się wyrażali Ingusi, za strzaskanie czaszki „aż do mózgu, choć go jeszcze nie widać“ — ośm cielnych krów. Oprócz tego: uczta pojednania, składająca się z wielkiego barana, jagnięcia i sześciu kotłów wódki.

5) Za strzaskanie czaszki, połączone z przecięciem wszystkich trzech opon mózgowych, czyli takie strzaskanie czaszki „kiedy to zaraz widać mózg“ — a) dziesięć cielnych krów i tak zw. ust-deri, t. j. byk i kawałek bawełnianej materyi, wartającej 3 ruble, albo: b) dwanaście cielnych krów bez żadnych innych dodatków, wyjąwszy nieidącą w rachubę ucztę pojednania, składającą się z jednego wielkiego barana, jednego małego barana i sześciu kotłów wódki.

Odszkodowanie za rany, zadane w głowę kobiecie, było takie same zupełnie, jak i za rany, zadane w głowę mężczyźnie z tą jedynie różnicą, że zarówno krowy, jak i wszystko inne,

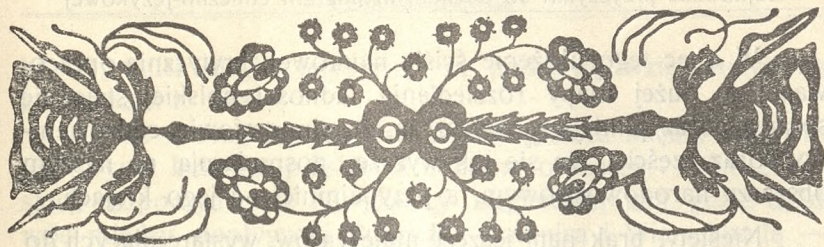
stanowiące odszkodowanie, musiało być wówczas najprzedniejszego gatunku i że poszkodowana otrzymywała nadto jeszcze cośkolwiek z kobiecej odzieży. Jeżeli atoli, czy to podczas leczenia rany, czy też w czasie ekspertyzy sądowo-lekarskiej, wypadło zgolić rannej część włosów, w takim razie za tę poniesioną przez nią stratę, niezależnie od zwykłego odszkodowania, otrzymała jeszcze jedną cielną krowę więcej.

Po wydaniu przez sąd wyroku, płacił pozwany powodowi przypadające mu za ranę odszkodowanie, poczem następowało uroczyste pojednanie się stron, połączone z bardzo ciekawymi obrzędami, o których nie mogę się tu jednak rozwódzić. Rozwiodłem się tylko trochę o wysokości płaconego ongi u Inguuszów za rany, zadane w głowę, odszkodowania, a to dlatego, ażeby wyszło na jaw, jak dokładnie obznajomieni byli z anatomią głowy.

Jeszcze prostszymi narzędziami, bo najzwyczajszym wiorem obsydjanowym, ostrym rekinim zębem, lub kawałkiem ostrej muszli trepanują do dziś dnia w celach leczniczych i profilaktycznych, i to z pomyślnym w większości przypadków skutkiem, czaszki Melanezyjczycy. Rozpisuje się o tem obszernie w pośmiertnej swej pracy R. Parkinson¹⁾, do której, interesujących się tą sprawą, odsyłam.



¹⁾ Dreissig Jahre in der Südsee, Stuttgart, 1911, 108—114.



LEON WASILEWSKI.

Najnowsze przyczynki do polskiej mapografii etniczno-językowej.

Nie posiadamy dotychczas mapy rozsiedlenia ludności polskiej na jej obszarze etnograficznym i na ziemiach sąsiednich, które wchodziły w skład dawnej Rzeczypospolitej. Od czasów Szafarzyka, który lat temu siedemdziesiąt, wytknął szczegółowo, choć niezbyt ściśle, granice polskiego obszaru etnograficznego ¹⁾, aż do chwili bieżącej przedmiot ten bardziej zajmował cudzoziemców niż nas samych. To też, pomimo powtarzających się od czasu do czasu nawoływań (np. p. A. Parczewskiego, prof. R. Zawilińskiego) nasza etnografia nie zdobyła się nawet na pracę taką, jaką jest jedyny dotychczas atlas etnograficzny prowincyi dawnej Rzeczypospolitej d'Erkerta ²⁾, bardzo zresztą niedokładny i liche, sporządzony przez Rosyanina. W rezultacie w rozmaitych atlasach cudzoziemskich i na mapach, układanych przez cudzoziemców, polski obszar etnograficzny figuruje w takiej postaci, jaką mu zechcieli nadać ludzie, często do nas wrogo usposobieni. Mało tego, fałszywe przedstawienie naszego obszaru etnograficznego wkrađło się i do wydawnictw polskich, np. do atlasów, używanych w szkołach galicyjskich.

¹⁾ P. Szafarzik. *Slovansky narodopis*. Praga. 1842.

²⁾ d'Erkert R. *Atlas ethnographique des provinces habitées en totalité ou en partie par les Polonais*. Petersbourg. 1863.

W obec tego ułożenie ściśle naukowej, krytycznie opracowanej a dużej mapy rozszedlenia ludności polskiej staje się sprawą coraz pilniejszą, zwłaszcza, że etnografowie cudzoziemscy coraz częściej, że się tak wyrażę, gospodarują na naszym obszarze narodowościowym, a przynajmniej na jego krajach.

Niestety, brak nam jeszcze materiałów, wystarczających do spełnienia tego zadania. Istnieją bardzo poważne luki, które dopiero skrzętne badania poszczególnych etnografów zapełnić potrafią. Bądź co bądź jednak w ciągu ostatnich lat paru ukazał się cały szereg prac, zbliżających chwilę, kiedy sporządzenie nietylko mapy, ale nawet atlasu rozszedlenia ludności polskiej, stanie się zadaniem wykonalnem.

Otóż chciałbym zwrócić uwagę na te przyczynki, którymi się nasza literatura etnograficzna i, zwłaszcza, mapografia w ostatnich czasach wzbogaciła. Zregistrowanie bowiem tych prac tem wybitniej uwydatni luki, o których zapełnienie starać się powinna etnografia polska.

Tak rozmiarami, jak i wielkim zasobem pracy włożonej, na pierwszy plan wysuwa się monografia dra Józefa Buzka „Rozszedlenie ludności Galicyi według wyznania i języka“. (Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych, wydawane przez krajowe biuro statystyczne. T. XXI zeszyt II. Lwów, 1909). Dzieło to zostało zaopatrzone w dwie znacznych rozmiarów mapy, uwidoczniające wyniki dociekań autora, posługującego się danymi spisu ludności z r. 1900. Po wstępie, kreślącym dzieje dotychczasowych usiłowań przedstawienia mapograficznego stosunków narodowościowych Galicyi i objaśniającym metodologiczną stronę dzieła dra Buzka, mamy charakterystykę rozszedlenia poszczególnych wyznań i narodowości Galicyi według terytoriów etnograficznych. Część ta dzieła dra Buzka zajmuje około 140 stron i rozpada się na szereg rozdziałów, poświęconych poszczególnym zagadnieniom. Tak w rozdziale pierwszym dr. Buzek ustala granicę między zwartemi siedzibami ludności polskiej i ruskiej. Ponieważ z porównania spisów z r. 1880, 1890 i 1900 wynika, że dane co do języka towarzyskiego ludności ulegają w licznych gminach na pograniczu językowem od spisu do spisu zmianom, przeto dr. Buzek określa granicę zwartych siedzib ludności polskiej i ruskiej na podstawie dat statystyki wyznaniowej. Jednocześnie podaje, jakim zmianom

by ta granica uległa, gdybyśmy za podstawę wzięli statystykę językową z r. 1900.

Otóż według danych dra Buzka granica między zwartem terytoryum ludności polskiej a zwartym obszarem ludności ruskiej, rozpoczyna się na granicy węgierskiej tam, gdzie dział wód między dopływami Popradu—Łomnicą i Wierchomlą — przypiera do samego Popradu, tworzącego tutaj granicę Węgier i Galicyi, a kończy się na granicy rosyjskiej tam, gdzie potok Złotoryszka (dopływ Sanu) wstępuje na terytoryum austriackie. Od owego punktu początkowego idzie granica wyznaniowa naprzód przez powiat nowosądecki w kierunku północnym, przy wsi Królowa ruska w powiecie grybowskim zwraca się jednak na wschód i zatrzymuje ten kierunek aż do gmin Odrzechowa i Pielnik w powiecie sanockim, następnie zwraca się na północny wschód, przerzyna powiaty: sanocki, brzozowski, przemyski i jarosławski i dochodzi do Radymna, gdzie zmienia swój kierunek na północno-zachodni, który zatrzymuje aż do Złotoryszki. Całą tę granicę dr. Buzek charakteryzuje szczegółowo, porównując dane statystyki wyznaniowej z danymi językowymi. W rozdziale drugim rozpatrzone jest rozsiedlenie poszczególnych wyznań i narodowości na zwartym obszarze szczepu polskiego. Rozdział trzeci daje ten sam obraz w stosunku do obszaru ruskiego z Galicyi zachodniej, czwarty — w Galicyi wschodniej, przyczem rozsiedlenie się ludności polskiej na Rusi podane zostało drobiazgowemu rozpatrzeniu według poszczególnych smug i wysp. Część druga dzieła dra Buzka zawiera obraz rozsiedlenia poszczególnych wyznań i narodowości Galicyi według terytoryów administracyjnych. Resztę dzieła wypełniają tablice statystyczne.

W pracy dra Buzka pozyskaliśmy tak szczegółowy obraz stosunków wyznaniowo-narodowościowych Galicyi, o jakim żadna inna z dzielnic i prowincyi polskich ani marzyć nie może. Dr. Buzek miał bowiem do rozporządzenia cały aparat (wraz z środkami materyalnymi) jedyne polskiego biura statystycznego. Umożliwiło mu to wykonanie przedsięwzięcia, zakrojonego na szerszą skalę i wyczerpującego przedmiot. Obraz stosunków narodowościowych Galicyi, przedstawiony przez dra Buzka, odpowiada ściśle danym spisu ludności, na których został oparty. Czy jednak te dane najzupełniej ściśle odpowiadają rzeczywistości, tego niepodobna twierdzić z całą stanowczością,

albowiem spisy ludności, jak wiadomo, nie są przeprowadzone przez etnografów, ani też przez żywioly apolityczne. To też zadaniem obiektywnych badaczy naukowych jest skontrolowanie wniosków dra Buzka i tych danych spisu, na których się opiera, przez autopsję. Tego wymagałaby konieczność wyświe tlenia prawdy obiektywnej zwłaszcza na pograniczu językowym.

Próbe takiego skontrolowania danych spisu przeprowadził p. Wincenty Badura w dziełku „Ludność polska pow. łańcu-ckiego i przeworskiego pod względem oświatowym i kultural- nym“, Lwów 1908, co prawda na małym skrawku pogranicza polsko-ruskiego. Według spisu urzędowego w powiecie łańcu-ckim i przeworskim istnieją dwie miejscowości, w których ję-zyk ruski ma być w użyciu i wśród ludności nie grecko-kato-lickiej, mianowicie Dębno i Tarnawka. W tej kwestyi pisze p. Badura: „Urzędowy materiał stanowczo jest fałszywy, co osobiście stwierdziłem. Nadwyżkę na korzyść języka ruskiego mogli tam bowiem wykazać katolicy obrządku łacińskiego, wła-ściwie zaś małżeństwa mieszane. Otóż zadałem sobie ten trud, że zwiedziłem we wsi Tarnawce wszystkie bez wyjątku rodziny rzymsko-katolickiego wyznania i mieszane, i przekonałem się, że wśród pierwszych po rusku nikt nie umie, wśród drugich zaś małżonkowie grecko-katolickiego wyznania i ich dzieci bardzo kiepsko potrafią po rusku odmówić pacierz i 10 przykazań. Co więcej, z katolików obrządku greckiego mało kto umie po rusku“.

Zanim doczekamy się analogicznych sprostowań czy też potwierdzeń z innych okolic, dane spisu powszechnego pozo- staną jedynym materiałem, na którym można oprzeć informa- cye o wzajemnem ustosunkowaniu się Polaków i Rusinów na terytoryum galicyjskiem. Na nim oparta jest mapka prof. Zawi- lińskiego, załączona do pracy „Polacy a Rusini w Galicyi w świetle statystyki urzędowej“ („Świat Słowiański“ 1907, nr. 35). Na nim opiera się i p. J. Spett, który wydał w r. 1910 dużą: „Mapę rozsiedlenia ludności polskiej w Galicyi“ z dodatkiem statystycznym w postaci oddzielnej broszury.

P. Spett, pragnąc nadać swej mapie jak największą prze- rzystość, użył w tym celu całej skali kolorów, oznaczając tery- torya z ludnością polską powyżej 75% kolorem czerwonym, terytoryum z ludnością polską od 50 do 74% — kolorem mo- dłym, od 33 do 49% — zielonym. od 20 do 32% — ciemno-

żółtym i wreszcie terytoryum, w których ludność polska nie dochodzi 20% jasnożółtym. Mapa p. Spetta, jakkolwiek o połowę mniejsza od map dra Buzka, z dostateczną wyrazistością odzwierciedla wzajemne ustosunkowanie żywiołu polskiego i ruskiego w Galicyi. To też należy ją uznać za bardzo cenny nabytek naszej ubogiej mapografii etnicznej.

Galicya tedy pozyskała niemal równocześnie aż trzy mapy etnograficzne, oparte na wynikach spisu ludności z roku 1910. Niestety, żadna inna z prowincyi dawnej Rzeczypospolitej, nie może się pochwalić opracowaniami analogicznymi, choć potrzeba ich daje się bardzo dotkliwie odczuwać, jak to widać najlepiej na przykładzie t. zw. Chełmszczyzny.

Rządowy projekt wyodrębnienia z granic Królestwa Polskiego terytoryum polskiego z przyległościami jako wrzekomo „rosyjskiego“ wysunął na porządek dzienny sprawę składu etnograficznego ludności wschodnich kresów gub. Siedleckiej i Lubelskiej. I kiedy ze strony rosyjskiej wysuwano argumenty za „rosyjskością“ Chełmszczyzny, myśmy nie mogli twierdzeniom strony przeciwnej przeciwstawić własnych opracowań etnograficznych. Cenne prace pp. Dziewulskiego i Wiercieńskiego operują wyłącznie materiałem statystyki wyznaniowej, gdy zwolennicy wyodrębnienia Chełmszczyzny wystąpili z poważną pracą W. A. Francewa, opierającą się na danych statystyki wyznaniowej i językowej a zaopatrzoną w szczegółowe mapy. Jakkolwiek p. St. Dziewulski wykazał całą tendencyjność elaboratu prof. uniwersytetu warszawskiego, opierającego się na informacjach duchowieństwa prawosławnego¹⁾, niemniej jednakże nie posiadamy takiej polskiej mapy zagrożonych oderwaniem miejscowości, jaka by się nadawała do zdemaskowania fałszów map Francewa. Dopiero kiedy sprawa Chełmszczyzny została w Dumie petersburskiej tak dobrze jak rozstrzygnięta, otrzymaliśmy pierwszą mapę językową, nie całej zresztą Chełmszczyzny, lecz tylko południowej, lubelskiej jej część.

Jest nią „Mapa języka domowego domowej ludności chrześcijańskiej wschodniej części gub. lubelskiej, jaka ma być wydzieloną do projektowanej gubernii chełmskiej“ p. Henryka Wiercieńskiego. Warszawa, 1910. Na mapie tej wszystkie

¹⁾ Stefan Dziewulski: Statystyka projektu rządowego o wyodrębnieniu Chełmszczyzny w świetle krytyki. Warszawa, 1910.

miejsowości zostały oznaczone różnobarwnymi kółkami — czerwonymi o ludności wyłącznie polskiej, różowymi o większości polskiej, fioletowymi nawpółpolskie i ruskie, liliowe o większości ruskiej, niebieskimi ruskie, wreszcie żółtymi — niemieckie. Obraz miejscowych stosunków językowych, jak również znacznej przewagi języka polskiego jest wyraźny. Niestety, mapa p. Wiercieńskiego nie została zaopatrzona w żaden komentarz, to też nie wiemy zupełnie na czym opierał się autor mapy, nadając tej czy innej miejscowości odpowiednią barwę. Wprawdzie w artykule swym, drukowanym w „Kuryerze Warszawskim“¹⁾, p. H. W. twierdzi, że zbierał materiał „ofiarnością czasu i trudów prywatnych jednostek, rozrzuconych po różnych zakątkach gubernii, świadomych stosunków miejscowych, znających lud i jego przynależność językową“, wolelibyśmy jednak posiadać nieco ściślejsze informacje, dodane do mapy. W każdym razie wdzięczność należy się p. Wiercieńskiemu za podjętą przezeń pracę. Można się też spodziewać, że uzupełni on ją mapą siedleckiej części projektowanej Chełmszczyzny. Mielibyśmy w takim razie zupełnie opracowane pogranicze polsko-ruskie od granicy węgierskiej aż do powiatu białostockiego w Grodzieńskiem. Bo ostatnie czasy przyniosły nam też mapkę, dokładnie ilustrującą stosunki etnograficzne pow. bielskiego gub. Grodzieńskiej.

Dodana ona została do monografii p. Ludwika Czarkowskiego „Powiat bielski gub. Grodzieńskiej. Zarys ludoznawczy“ (Rocznik „Towarzystwa Przyjaciół Nauk“, Wilno, 1907). P. Czarkowski wymienia w swej pracy wszystkie wsie, zamieszkane przez drobną szlachtę wyznania rzymsko-katolickiego narodowości polskiej, następnie wsie, zamieszkane przez włościan Polaków, dalej wsie włościańskie, zaludnione wspólnie przez Mazurów i Rusinów, wreszcie wsie z ludnością włościańską. Jakkolwiek p. Czarkowski wydał swą pracę w r. 1907, to jednak dane jego pochodzą z lat dawniejszych, wobec czego znaczny ruch parcelacyjny, rozwijający się w ostatnich czasach na zbadaniem przezeń terytorium, został tylko w części uwzględniony. Chcąc przeto mieć dokładne pojęcie o dzisiejszym ustosunkowaniu się żywiołu polskiego i ruskiego na ziemi bielskiej należałoby poczynić odpowiednie poszukiwania na miejscu.

¹⁾ Nr. z dnia 17. III. 1911 r.

Plan pracy p. Czarkowskiego został zużytkowany w nowym wydaniu „Etnograficzno-statystycznego zarysu liczebności i rozszedlenia ludności polskiej“, E. Czyńskiego (Warszawa, 1909), mianowicie przy układaniu „Mapy granicy etnograficznej polsko-litewskiej w gub. Suwalskiej i polsko-biało- i mało-ruskiej w powiecie bielskim gub. Grodzieńskiej“. Niestety, wydawcy tej mapy nie umieli wytknąć granicy etnograficznej w dwóch innych powiatach polsko-ruskich Grodzieńszczyzny, oczywiście z powodu braku materiałów odpowiednich. Bo też istotnie jedynym źródłem poznania ustosunkowania się wzajemnego żywiołów etniczno-językowych w powiatach białostockim i sokólskim jest praca Jaroszewicza w „Athenaeum“ wileńskim z r. 1848-go ¹⁾.

Wzmiankowana mapa p. Czyńskiego zawiera natomiast pierwsze u nas dokładne przedstawienie granicy językowej polsko-litewskiej, oparte na — obiektywnej, trzeba to przyznać — pracy rosyjskiej E. Woltera „Spiski naselennych miast Suwałksoj gub.“ (Petersburg, 1901).

Jeśli się teraz zwrócimy ku zachodnim połaciom naszego obszaru językowego, to będziemy musieli stwierdzić prawie zupełny brak w ostatnich czasach takich opracowań i map, jakie zdobyliśmy dla naszego wschodu. Jeśli wymienimy drobną pracę dra F. Lorenca (Niemca) p. t. „Obszar mowy kaszubskiej“ („Gryf“ 1909 r. z. IV) i zwrócimy uwagę na luźne przyczynki, zawarte w licznych pracach dyalektologicznych prof. K. Nitscha, to na tem będziemy musieli zamknąć podsumowanie całego naszego dobytku w tej dziedzinie w latach ostatnich, f wielkie niemieckie mapy P. Langhansa ²⁾ po dawnemu są tu jedynem poważnem źródłem wiadomości o stosunkach narodowościowych prowincji polskich zaboru pruskiego.

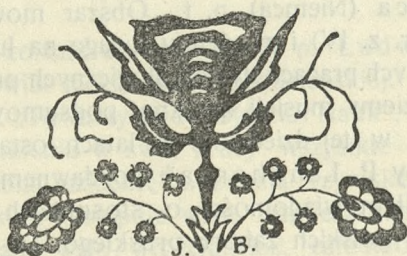
Natomiast otrzymaliśmy wartościowe prace, dotyczące naszych kresów południowo zachodnich i południowych. W obszernej monografii „Dialekty polskie na Śląsku“ (Materiały i prace komisji językowej, t. IV) prof. K. Nitsch ustalił osta-

¹⁾ J. Jaroszewicz. Materiały do statystyki i etnografii gub. grodzieńskiej. Athenaeum, Wilno 1848, VI.

²⁾ „Nationalitätenkarte der Provinz Ostpreussen“. Gotha, 1907; „Nationalitäten und Ansiedelungskarte von Westpreussen und Posen, Gotha, 1907; „Nationalitätenkarte der Provinz Schlesien“, Gotha, 1906.

tecnie granicę językową polsko-czeską na Śląsku¹⁾. P. Edmund Kołodziejczyk zebrał i przedstawił wyniki dotychczasowych badań, dotyczących Polaków węgierskich. Jego praca „Ludność polska na Górnych Węgrzech“ („Świat Słowiański“, 1910 i w oddzielnym wydaniu), zaopatrzona w trzy mapy, obrazujące rozsiadlenie Polaków w północnych żupaństwach Węgier, zawiera też wyczerpującą bibliografię przedmiotu. Jako podręcznik do dalszych badań tego zapomnianego kąta polskiego obszaru narodowościowego broszura p. Kołodziejczyka może oddać znaczne usługi, mapy zaś jego ułatwią oryentowanie się na terytorium, tak nam dotychczas obcem, choć narodowościowo blizkiem.

Wymienione powyżej prace wyczerpują całkowicie nasz dorobek z dziedziny mapografii etniczno-językowej obszaru polskiego w ciągu ostatniego pięciolecia. Niestety, jest on jeszcze zbyt szczupły i etnografia polska ma jeszcze sporo luk do wypełnienia, zanim stanie się możliwem ułożenie dokładnej, ścisłej, prawdziwie naukowej mapy rozsiedlenia ludności polskiej.



¹⁾ Popularnie wyniki swych badań przedstawił w artykule „Polsko-czeska granica językowa“ („Świat Słowiański“, 1907, III).



OPISY I NOTATKI.

Samur.

Dochował się przywilej z roku 1251, którym Kazimierz, książę łęczycki i kujawski, uwalnia poddanych kapituły katedralnej krakowskiej z dóbr Gropy od daniny, zwanej narzazem, a wynoszącej czternaście prosiąt i sześć samur. Wspomina o tem F. Piekosiński¹⁾, nie tłumaczy atoli wcale, co pod owemi sześcioma samur należy rozumieć. A tymczasem i rzecz sama i wyraz bardzo są ciekawe, chodzi bowiem o jedną z najstarszych może pożyczek naszych ze wschodu.

Samur jest wyrazem tureckim. Nazywa się tak po turecku soból. Wynika przeto z treści przywileju, że poddani kapituły katedralnej krakowskiej składali księciu daninę w postaci sześciu soboli, a wyrażając się ściślej, w postaci sześciu sobolich skórek. Na miejscu skórek takich zdobyć oczywiście nie mogli. Ażeby uiścić daninę, musieli więc chyba nabywać skórki sobole od wschodnich jakich handlarzy, co jest jednym dowodem więcej istnienia u nas w średniowieczu ożywionych stosunków handlowych ze wschodem i przejmowania ztamtąd już wówczas niektórych części stroju wschodniego. W czasach późniejszych praktykowało się to, jak wiadomo, na daleko szerszą jeszcze skalę.

¹⁾ Ludność wieśniacza w Polsce w dobie Piastowskiej, Kraków 1896, 38.

Przywożono do Polski bardzo dużo futer sobolich w wieku XVI z Moskwy ¹⁾, a zarówno w wieku XVI, jak i XVII stanowił soból nieodłączną część wielkopańskiego polskiego stroju. „Sont somptueux en leurs habits“, pisze Beauplan ²⁾, charakteryzując arystokrację polską, „portant des fourreures de grand prix, dont i'en ay vue de martre zibline qui excedoient la valeur de deux mil escus, enrichis de gros boutons d'or garnis de rubis, d'esmeraude, de diamants et autres pierres précieuses“...

Udzieliło się nam więc zamiłowanie do soboli ze Wschodu. Na wschodzie bowiem, na przykład w Turcyi ³⁾, noszenie soboli, jako jednego z futer najkosztowniejszych, z dawien dawna stanowiło przywilej rozmaitych dygnitarzy, a więc wezyrów, bogatych baszów i t. p. Sulejman wielki, w drodze łaski, zezwolił na noszenie sobolich kołpaków dragomanom i lekarzom chrześcijańskiego pochodzenia, co jednakże Mahomet II zniósł, obdarzając natomiast tym samym przywilejem tragarzy, noszących lektyki posłów zagranicznych. W czarnych sobolich kołpakach występują też bohaterowie tureckiej epiki ludowej ⁴⁾, a za ich przykładem nosi na głowie kołpak soboli królewicz Marko ⁵⁾, najpopularniejszy z bohaterów epicznych południa słowiańskiego, a noszą go też i junacy, opiewani w pieśniach ludowych bułgarskich ⁶⁾. Bohaterowie „bylin“ wielkoruskich ⁷⁾ pozwalają sobie nawet na kaftany, podbijane sobolami.

¹⁾ A. Gwagnin, *Kronika Sármańcyey europejskiej*, Kraków, 1611, Opis ks. Moskiewskiego, 3.

²⁾ *Déscription de l'Ukraine*, wyd. A. Golicyna, Paryż, 1861, 182.

³⁾ K. White, *Häusliches Leben und Sitten der Türken*, wyd. A. Reumont'a, Berlin, 1845, II, 95—96, 100.

⁴⁾ W. Radłow, *Proben der Volkslitteratur der Türkischen Stämme Südsibiriens*, Petersburg, 1868, II, 374; co do tureckiego nakrycia głowy, zwanego kołpakiem, ob. jeszcze H. Vambéry, *Die primitive Cultur des Turko-Tatarischen Volkes*, Lipsk, 1879, 84.

⁵⁾ *A navukoh samur na obrve*. St. Popowić, *Crnogorske gusle*, Białogród, 1858, 113.

⁶⁾ Турци си на глава самуръ калпакъ. Сборникъ отъ български народни пѣсни. Кн. I. Събрахъ: С. Ив. Г. изд. Н. Саббовъ и Т. Семковъ, Sofia, 1884, 122; М. Вонцзев, *Сборникъ отъ български народни пѣсни*, Варна, 1884, 29, 38, 73, 77 i t. d.

⁷⁾ На Ильюшенькѣ смуръ кафтанъ. I. Kiriejewskij, *Пѣсни, Москва*, 1868, I, 16; *Одинъ смуръ кафтанъ на мнѣ во сто рублей*, тамже, 26, 27.

Ale nie tylko u Słowian jest soból od dawna ulubionem futrem możnych. Zna go już i nosi w wiekach średnich cały europejski Zachód. W epice starofrancuskiej często trafiają się wzmianki o sobolu (sable, sebelin, sebeline)¹⁾ i różnych częściach odzieży, podbitych, lub obłożonych sobolem futrem²⁾.

Bardzo też wysoko ceniono czarne sobole w średniowiecznych Niemczech³⁾. Według pieśni o Nibelungach sobolami obramowaną być miała czapka myśliwska Zygryda⁴⁾. Jeszcze wcześniej znane były sobole w Skandynawii⁵⁾. Było to jednak futro ogromnie drogie. Nosili je więc tylko ludzie bogaci i tylko przy świątecznych szatach, które nie były, nota bene, podbijane, lecz tylko obkładane sobolami.

Stanisław Ciszewski.

„Sin po grijehu.“

Południe słowiańskie jest klasyczną ziemią najrozmaitszych pokrewieństw urojonych. Wzorowane one są na pokrewieństwie naturalnem, pod które się je też zwykle podprowadza. Że się je jednak pod ten pierwowieczny tylko podprowadza, ale z nim bądź co bądź absolutnie nie utożsamia, niepodobna się więc obejść bez specjalnych terminów, któreby, w razie potrzeby, umożliwiały dokładne odróżnienie stosunku, zachodzącego pomiędzy pewnymi osobami raz z racyi pokrewieństwa naturalnego, drugi raz znowu z racyi pokrewieństwa fikcyjnego. Posiadają też Słowianie południowi a mianowicie Serbowie i Chorwaci, terminów takich sporo.

Syn, na przykład, rodzony, w przeciwstawieniu do syna przysposobionego, zwie się niekiedy u Serbów: Sin po grijehu.

¹⁾ M. Winter, Kleidung und Putz der Frau nach den altfranzösischen chansons de geste, Marburg, 1886, 29.

²⁾ „paile de sable“, „mantel sebelin“, „pels sabelines“, „mantel de sebelin fourré“, „orlés de sebeline“. F. Bangart, Die Tiere im altfranzösischen Epos. Marburg, 1885, 193.

³⁾ O. Hartung, Die deutschen Alterthümer des Nibelungenliedes u. der Kudrun, Cöthen, 1894, 355; porów. K. Weinhold, Die deutschen Frauen in dem Mittelalter, Wiedeń, 1882³, II, 257.

⁴⁾ Hartung, tamże, 356.

⁵⁾ K. Weinhold, Altnordisches Leben, Berlin, 1856, 159.

Mówi więc ojciec o swym rodzonym synu: „On je moj po grijehu sin, ale go meni sad valja slušati“ (T. Maretić, *Naša narodna epika*, Zagrzeb, 1909. 194, przyp.1) „O Stojane, moj po grijehu sine!“ (B. Bogiszić. *Zbornik sadašnjih pravnih običaja u južnih Slovena*, Zagrzeb, 1874, 207).

W przeciwstawieniu do rodzonego ojca, ojciec przybrany jest znów dla swego przysposobionego syna „bezgrzesznym ojcem“. „Roditelj moj bezgrješni“, odzywa się o przybranym ojcu w paru swych listach z r. 1523 Skenderbeg (Maretić, tamże). „Poočime, bez grijehu babo!“ woła adoptowany syn na przybranego ojca w pieśni ludowej. (Bogiszić, tamże).

Istnieje także i „brat bez grijeha“, ale znaczenie tego ostatniego terminu niezupełnie jest jasne. Hercegowińcy uskocy, pisze jeden z korespondentów Bogiszića (*Zbornik*, 8), chroniąc się przed uciskiem tureckim do Czarnogórza, założyli tu w Dolnej Moraczy wieś, zwaną dzisiaj: Uskoci „pa kad godj bi koji na novo uskoćio i k prvim dobežao, postao bi drug druževni, ili brat bez grijeha“. Prawdopodobnie chodzi tu o póbratyma.

Prof. T. Maretić, idąc za F. Mikloszićem, skłania się do przypuszczenia, że w „sinu po grijehu“ widzieć należy reminiscencję poglądów sekciarskich Bogomiłów, którzy odrzucali małżeństwo, jako związek grzeszny. Mnie przypuszczenie to nie wydaje się trafnem, a dlaczego, postaram się wyjaśnić.

Żyje w Indyach plemię Chammarów (A. van Gennep, *Les rites de passage*, Paryż, 1911, 54). Przyjęte jest u nich, iż bezdzietni ojcowie przysposabiają za synów obce dzieci. Odbywa się to z wielką uroczystością. Schodzą się wszyscy współrodowcy adoptującego i w ich obecności, rodzony ojciec mającego być adoptowanym chłopca, odzywa się doń w te słowa: „Byłeś dotąd moim synem „po grijehu“ (p a p *) par une action

*) Co do p a p i d h a r m ob. J. Jolly, *Grundriss der Indo-Arischen Philologie u. Altertumskunde. Recht u. Sitte*, Strasburg, 1896, 115. Są to pojęcia bardzo obszerne. P a p odpowiada jednocześnie i polinezyjskiemu t a b u i łc. n e f a s i naszemu grzechowi, niegodziwości a zarazem i nieczystości rytualnej. Natomiast d h a r m odpowiada znowu polinezyjskiemu n o a, greck. *Θέμις*, łc. f a s, naszemu: godzi się, po prawdzie, zbożnie itd. Te dwa pojęcia są kamieniami węgielnymi całej etyki pierwotnej, do tych dwóch bowiem mianowników sprowadzają się wszystkie czynności ludzkie, ludy zaś pierwotne dzielą w ten sposób nie tylko wszystkie czynności i postęпки ludzkie, ale nawet wszystkie istoty i rzeczy. Wszystko, co istnieje, co jest, lub co się dzieje, może być tylko albo t a b u, to zn. nietykalne, niedozwolone, niegodziwe, nieczne, albo n o a, t. zn. tykalne, dozwolone, godziwe, zacc.

mauvaise), obecnie zostajesz synem takiego a takiego na podstawie czynności zbożnej (*d h a r m p a r u n e a c t i o n s a i n t e*). Następnie, obecni współrodowcy obsypują chłopca ryżem, przybrany zaś jego ojciec wyprawia na cześć gości ucztę.

Już samo istnienie „sina po grijehu“ w Indyach przeczy, zdaniem mojem, temu, ażeby u Serbów zwać tak poczęto rodzzonego syna dopiero pod wpływem nauk sekty Bogomiłów. A są inne jeszcze fakty, które sprzeciwiają się temu także.

Słowo *brathair* znaczy po irlandzku: brat, a słowo *siuir* — siostra. Ale bratem (*brathair*) i siostrą (*siuir*) współczesny wieśniak irlandzki zwie tylko braci i siostry zakonne, czyli mnichów i mniszki, a więc, według terminologii serbskiej, braci i siostry „po duhu“. Istotnych, rodzonych braci i istotne, rodzone siostry, nazywa zupełnie inaczej, a mianowicie: brata rodzzonego — *dearbhrathair*, siostrę rodzoną *deirbhshiuir*. W pierwszej części obydwóch tych złożzeń tkwi wyraz: *derbsicher*, gewis, obydwa zaś te terminy są bardzo stare, Są one, zdaniem H. Zimмера *Zeitschrift f. deutsch. Alterth. u. deutsch. Litter.*, 1882, XXXII, 310) starsze, od najstarszożytniejszych rękopisów irlandzkich, gdyż już w tych rękopisach „*germane compar*“ oddaje się przez: *derbrathair*, a córka rodzona *Conchobara* zwie się: *derbsiuir*.

Mamy więc drugi dowód, że nie żadne wpływy uboczne, lecz po prostu potrzeba różniczkowania dwóch analogicznych ale nie identycznych stosunków pokrewieństwa daje pochoch do kreowania odpowiednich, na oznaczenie tych stosunków służących, terminów.

Również, co się tyczy samego poglądu, jakoby obcowanie cielesne mężczyzny z kobietą (bo o to tu przecież chodzi) było czynnością grzeszną, plugawą, nieczystą, to prędejjest to odwieczny pogląd ludu serbskiego, aniżeli bogomilska naleciałość. Nie ma przecież na to żadnego dowodu, iż lud serbski przyjął ten pogląd od Bogomiłów, faktem natomiast jest, że prócz Serbów, poglądowi takiemu hołdują i inne jeszcze ludy.

W Melanezyi (R. Parkinson, *Dreissig Jahre in der Südsee*, Stuttgart, 1911, 179—180) stosunek płciowy mężczyzny z kobietą, bez względu na to, czy są oni mężem i żoną, czy nie, uchodzi za akt plugawy, kalający jedną i drugą stronę, splugawiający nawet mimowolnych świadków owego aktu. Małżonkowie, którzy obcowali z sobą cielesnie, muszą natychmiast, ka-

zde z osobna, poddawać się ceremonii oczyszczenia. Poucza się o tym obowiązku każdego, żeniącego się młodzieńca i kandydatkę, wychodzącą za mąż dziewczynę. Młodzieńców informują mężczyźni, dziewczęta — kobiety.

Kabardyniec (A. P. Ippolitow, Сборникъ свѣдѣній о кавказскихъ горцахъ, Tyflis, 1868, I, 10) spaliłby się ze wstydu, gdyby go kto podpatrzył, jak wchodzi, lub wychodzi z sypialni swej żony. Nawet mężowie, pozostający w związkach małżeńskich po dwadzieścia, po trzydzieści lat, nigdy nie nawiedzają połowic swych inaczej, tylko ukradkiem, troskliwie dając baczenie, aby ich kto czasem nie widział. I w Swanecyi (Сборникъ матер. для описан. мыстностей и племенъ Кавказа, Tyflis, 1890, X, 70—71) uchodzi obcowanie cielesne męża z żoną za akt plugawy. Aktem plugawym było ono także w oczach starożytnych Greków. (F. G. Schoemann, Griechische Alterthümer Berlin, 1871, II³, 366).

Wszystko więc przemawia za tem, że i u ludu serbskiego, pogląd, o którym mowa, zrodził się wcale nie pod wpływem nauk Bogomiłów, lecz powstał zupełnie samorzutnie. Ponieważ zaś plugastwem był sam akt płodzenia, więc plugawem, grzesznem musiało także być z konieczności i to, co dzięki temu plugawemu aktowi powstawało. Plugastwu zawdzięczający życie syn był synem „po grijehu“. Synem „po duhu“, w przeciwstawieniu do syna „po grijehu“, był natomiast taki syn, którego się pozyskiwało inną drogą, drogą zbożną, t. j. przez przysposobienie obcego dziecka, co, zarówno u Serbów, jak i gdzie indziej, odbywa się zwykle z zachowaniem różnych obrzędów, podnoszących akt przysposobienia do godności, aktu uroczystego.

Stan. Ciszewski.

Dział etnografii

na XII zjeździe rosyjskich przyrodników i lekarzy w Moskwie (grudzień 1909 — styczeń 1910).

(Według sprawozdań rosyjskich pism).

Wobec poruszonej przez p. Stołyhwo sprawy zjazdu etnografów polskich nabiera szczególniejszego znaczenia zjazd rosyjskich etnografów, którzy na XII zjeździe przyrodników i le-

karzy po raz pierwszy utworzyli samodzielną podsekcję etnografii, uprzednio połączoną ze wspólną sekcją geografii, antropologii i etnografii.

Prezes podsekcji prof. W. Miller wskazał w swej wstępnej mowie na rezultaty pracy rosyjskiej etnografii za ostatnie dziesięciolecie: potworzyło się nie mało naukowych towarzystw, poświęconych wprost lub pośrednio etnografii, powiększyła się ilość prowincjonalnych zjazdów archeologicznych, które włączyły do swych programów i etnografię; spotykano ją na rozmaitych wystawach, nawet na rolniczych. Praca muzealna znacznie się rozszerzyła, powiększyła się też ilość wydawnictw z materyałami i badaniami etnograficznymi. Cały ogrom tej pracy idzie naprzód prawie bez pomocy rządowej siłami etnografów i zamiłowania. Uważając taki stan rzeczy za nienormalny, zasłużony profesor moskiewskiego Uniwersytetu uważa że i w Rosji na wzór Zachodniej Europy etnografia powinna otrzymać opiekę rządu, jak moralną tak i materialną i mieć za kierowników profesorów specjalnych katedr w tej dziedzinie wiedzy.

Następnie S. Kotlarewski poświęcił cały referat niedawno zmarłemu naszemu rodakowi L. Gumplowiczowi i jego zasługom w etnografii, wskazując na znaczenie jego prac dla wyjaśnienia kwestii walki ras i pochodzenia państwa, a również dla zpopularyzowania wśród prawników i mężów stanu prac etnologów, szczególnie zaś tak trudnego do zrozumienia Bastiana.

W. Bogoraz dał referat o „Psychologii szamanizmu u ludów północno-wschodniej Azji“, na podstawie własnych spostrzeżeń wśród Czukczów zrobionych podczas wielkiej etnologicznej wyprawy Jesuppe'a z ramienia New-Yorkskiego Muzeum Historii Naturalnej.

A. Maksimow miał wykład o „Współczesnym stanie etnografii i jej postępach“. Zdaniem prelegenta zamiast uprzednich szerokich uogólnień w etnografii wysuwają się obecnie na czoło prace więcej specjalnego charakteru o poszczególnych grupach etnicznych, których detalicznym badaniem zajmują się ludzie specjalnie do tego celu przygotowani. Ameryka przoduje w tym nowym kierunku, lecz i Zachodnia Europa wkracza na tę drogę, uznając ją dla rozszerzenia naszej wiedzy za najwłaściwszą. Dzięki temu etnografia coraz więcej

zbliża się do nauk ścisłych i tworzy łącznik między naukami przyrodniczymi i społecznymi.

L. Sternberg wyliczał potrzeby rosyjskiej etnografii i postawił następujące żądania: 1) trzeba zorganizować specjalne biuro, któreby zjednoczyło etnografów rosyjskich i dało system pracom etnograficznym w Rosji za pomocą zjazdów specjalistów. 2) Trzeba rozpocząć starania o a) utworzenie etatowej katedry etnografii przy historyczno-filozoficznych fakultetach wszystkich uniwersytetów; b) wprowadzenie na tych fakultetach wykładów języków uralo-altajskich w związku z ogólnym językoznawstwem; c) urządzenie we wszystkich miastach uniwersyteckich muzeów ogólnej etnografii; d) stworzenie kapitału dla pomocy etnografom opracowującym swoje zbiory i materiały. Obecnie bowiem brak takiego specjalnego funduszu zmusza nie jednego badacza do zwlekania z ogłoszeniem rezultatów swojej podróży lub wycieczki, a nieraz przyczynia się do zupełnego ich zaginięcia.

Prof. W. Miller odczytał swój referat „Etnograficzne znaczenie kaukazskiego językoznawstwa w dobie obecnej”. Wskazawszy na wielojęzykowość Kaukazu, prelegent dał krótki zarys klasyfikacji ściśle „kaukazskich” języków, t. j. trzech grup: południowej (kartwelskiej), wschodnio-górskiej (lezgińskiej) i zachodnio-górskiej (abchazko-czerkieskiej), i podkreślił te postępy, które zrobiono w ostatnich latach w poznaniu tych języków głównie dzięki pracom prof. Marsa i p. Dirra. Zainteresowanie się językoznawstwem kaukazkiem w świecie naukowym Zachodniej Europy zwiększyło się głównie dzięki postępom asyriologii, która odkryła w starożytnym świecie przedniej Azji kilka języków z piśmiennictwem klinowym. W nich zaś, według najnowszych badań, odnajdują bliskie pokrewieństwo z językami kaukazkimi.

Prof. W. Bartold podzielił się swymi poglądami o „Pochodzeniu Kajtaków (w Dagiestanie), i wyliczył dowody wskazujące, że narodowość Kajtaków utworzyła się już po najściu Mongołów i pierwszy raz wzmiankę o nich spotkał w rękopisach z końca XIV wieku. Co zaś do miejscowych podań o pochodzeniu kajtakskich władców od arabskiego emira Chamzy i o pochodzeniu tytułu ich — ucmijew — od arabskiego „ismi” (tytułowany od słowa „ism” — imię), nazywa je prelegent późniejszymi domysłami.

Dr. N. Kiriłow w prelekcji „Próba nowej systematyzyacji niektórych elementów etnografii“ dochodzi do wniosku konieczności klasyfikacji talizmanów, amuletów i metody rozróżniania i leczenia chorób, włączając i religijno-obrzędową stronę. Dla objaśnienia swej myśli p. Kiriłow proponuje teorię pierwotnych żywiołów, zbudowaną na idei wzajemnego oddziaływania dwóch początkowych sił: męskiej i kobiecej z ich symbolami: fallusem i lingą. Gdy otrzymam od p. Kiriłowa, mego osobistego przyjaciela z Dalekiego Wschodu obiecaną mi broszurę o tej ciekawej teorii, postaram się zapoznać z nią czytelników „Ludu“ bliżej.

Chciałbym bardzo, by to krótkie sprawozdanie z prac zjazdu naszych kolegów było bodźcem do wystąpienia na proponowanym zjeździe etnografów polskich z niemniej ciekawymi i ważnymi referatami.

Bron. Piłsudski.

W sprawie zjazdu etnografów polskich.

W lipcu b. r. odbył się w Krakowie XI zjazd lekarzy i przyrodników polskich, na którym między innymi działami miano uwzględnić etnografię, jako jedną ze składowych części antropologii w najszerszym tego słowa znaczeniu. Czy i co mianowicie było zrobione dla ożywienia tego działu, ściśle nie wiem. Widoczne było na zjeździe jedno. Etnografia była tak słabo reprezentowana, że prawie nie istniała tam zupełnie. Co do mnie, to po powrocie z Zachodniej Europy na wiosnę otrzymałem propozycję od prezesa podsekcji antropologii (przydzielonej do sekcji zoologiczno-anatomicznej) prof. J. Tarko-Hryncewicza uczestniczenia na zjeździe; zgłosiłem więc krótki referat o „Trądzie i sposobach leczenia jego u Gilaków i innych ludów Dalekiego Wschodu“. W programie prac zjazdu był obiecany jeszcze inny referat z zakresu etnografii p. S. Udzieli: Zmora. Jednak w ostatniej chwili p. Udziela cofnął go i faktycznie etnografię ku wielkiemu swemu zdumieniu reprezentowałem ja jeden. Wobec takiej niespodzianki czując za sobą zbyt mało praw mówienia w imieniu polskich etnografów, wśród których jestem zaledwie od paru lat, przemilczałem, gdy

podniosła się dyskusya nad projektem p. K. Stołyhwy z Warszawy o utworzeniu na następnych zjazdach specjalnej samodzielnej sekcji antropologiczno-etnograficznej. Projekt upadł. Wątpię jednak, czy słuszne były motywa, które między innymi wskazywano. Otóż zaznaczano, że mamy brak ludzi pracujących w tych dziedzinach wiedzy i że mnożenie liczby sekcji przy słabej frekwencji ich jest bezcelowem. Przypuszczam, że inne przyczyny działały i wpłynęły na tak rażąco słabą reprezentację etnografii na ostatnim zjeździe przyrodników polskich. Z jednej strony prawdopodobnie organizacja przygotowawcza musiała mieć poważne braki. Z drugiej, należy domyślać się, iż ogromna ilość etnografów polskich odczuwa większą łączność z filologami, historykami, prawnikami niż z przyrodnikami, pomimo, iż im dalej, tem silniej etnografia wchodzi na drogę ścisłych badań, korzystając z metod nauk przyrodniczych i często nosi nazwę historii naturalnej szczepów i ludów.

Czy mylnym jest pod tym względem mój domysł, lub nie, uważałbym za niezbędną rzecz i bardzo będącą na czasie, by wszyscy pracownicy nad ludoznawstwem określili jasno swe stanowisko co do przyszłych zjazdów przyrodników polskich. Rezultatem zaś takiego lub innego stanowiska w tej kwestyi byłoby: albo zgłoszenia odnośnych referatów i poparcie bardzo racjonalnej propozycji pana Stołyhwy, albo zupełnie uniezależnienie się od zjazdów przyrodników i rozpoczęcie szeregu ogólnopolskich zjazdów etnografów, może najlepiej w takim razie, w połączeniu z antropologami, archeologami i pracującymi nad pomyślnie rozszerzającym się u nas krajoznawstwem. Zjazd taki był nawet parę lat temu omawiany przez grono osób z p. B. Wyslouchem na czele, którzy z wielkim zapalem krzatali się koło zorganizowania niestety niedoszłej do skutku wystawy etnograficznej we Lwowie. Może myśl taka powstała i przedtem u niejednego z etnografów polskich; tego nie wiem, ale było by dziwnem, gdyby było odwrotnie.

A wielki czas na zrealizowanie planu zjazdu, zapoznania się i porozumienia wszystkich badaczy Polaków, interesujących się nauką, którą — o ile dotyczy własnego terytorium śmiało można nazwać — jedną z najwięcej patryotycznych; a więc tak odpowiadającą obecnej chwili i rosnącej pięknej miłości do tego, co jest nasze — polskie, chociażby w niem dużo było smutnego i potrzebującego udoskonalenia.

Wszak tyle mielibyśmy sobie do powiedzenia czy to w ogólnych kwestiach etnografii i historii pierwotnej kultury, lub w zakresie specjalnych badań przeprowadzonych na tym lub owym odrębnym terenie Polski, w sąsiednich z nią krajach lub nawet wśród dalekich od nas grup etnicznych, które poznać udało się Polakowi dzięki kaprysowi losu. Nasuwają się mi i inne ważne chociaż i bardziej praktycznego charakteru kwestye, potrzebujące wspólnego omówienia i szerszej akcji: n. p. podtrzymywanie i dążenie do rozwinięcia interesujących wydawnictw antropol.-etnograficznych, jak *Materyały antr. archeol.* i *etnograf.* wydawane przez komisję Antropologiczną Akademii Umiejętności i „Lud”; wydanie ścisłej mapy etnograficznej z rozsie­dleniem Polaków; tworzenie i racjonalne prowadzenie Muzeów antropologiczno-etnograficznych; utworzenie choćby jednego w Polsce Muzeum ogólnej etnografii (na wzór *Museum für Völkerkunde* powstających w różnych miastach zachodniej Europy i Ameryki); potrzeba wprowadzenia wykładów o etnografii w wielu szkołach średnich i wyższych, chociażby w takich specjalnych jak n. p. *Dublańska rolnicza Akademia*, *Szkoła leśna*, znany *Zakład dla panien hr. Zamojskiej* w Zakopanem i które przygotowują uczących się do przyszłej pracy na wsi, wśród ludu; wykorzystanie sił, obecnie dla nas ginących, tych Polaków, którzy czy to przymusowo, czy to dobrowolnie zamieszkują w różnych obcych nam częściach i zakątkach świata; podtrzymanie strojów, ornamentyki i wyrobów ludowych; wprowadzenie motywów swojskich do zabawek i początkowego nauczania; rozpoczęcie systematycznych badań nad naszymi rodakami osiadłymi na stałe na obczyźnie, tak w imię interesu naukowego, jak i w przeświadczeniu, iż takie badanie jest zdolne podtrzymać zacierane przez obcą kulturę poczucie swojej narodowości; i t. p.

Uważałbym za najwięcej stosowną rzecz, by redakcja „Ludu” zwróciła się do swych abonentów, jak też i do wszystkich osób, które się etnografią interesują z ankietą, która by samą kwestyę zjazdu etnografów zasadniczo rozstrzygnęła, względnie wybrała odpowiedni czas dla niego.

Bronisław Piłsudski.

Sprostowanie do str. 259.

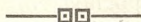
Nie wiedząc, że samurą (t. j. samotnicą, pojedynką) zwie się u nas miejscami (np. w Reniowie, pow. Zborowski; ustnie od p. T. Sucharda) maciora od dzików, uległem złudzeniu i w szczeropolskim tym wyrazie domyślałem się najnieśluszniej pożyczki tureckiej. W językach: serbskim, bułgarskim i rosyjskim wyraz samur jest istotnie pożyczką turecką i znaczy: soból. Nasza Samura nie pozostaje atoli z tym tureckim wyrazem w żadnym związku.

Stanisław Ciszewski.





RECENZYE I SPRAWOZDANIA.



Wiktor Czarnecki: Gogolewo. „Wieś ilustrowana“ 1911, miesiąc czerwiec, str. 24—28.

Czytelnikom „Ludu“ znane jest zapewne wychodzące w Warszawie od r. 1910., w zesz. mies., pismo p. t. „Wieś ilustrowana“, redag. przez Kazimierza Laskowskiego. Cel pisma bardzo szlachetny:

„Znajdziecie w niej Czytelnicy i szczegółowe monografie majątków, stad, obór i wyczerpujące artykuły społecznej wagi, i echa życia towarzyskiego i prac rolnika oddźwięki, będzie i pług i kosa, i koń i strzelba i piosenka rzewna i rym krotchwilny i to „nasze“ w słowie i obrazku!“¹⁾ Czy się jednak nadzieje, pokładane przez p. L., spełniły, trudno orzec; zdaje się, że nie. Po sumiennem przeglądnięciu pomieszczonych artykułów, doznaje się już to pewnego niesmaku, już to pewnego rozczarowania i zwątpienia, czy wiara w mierzenie „siły na zamiary“²⁾ jest wystarczająca, czy nie zawiedzie. Musimy z przykrością oświadczyć, że panu Laskowskiemu zupełny brak pomocniczych sił fachowych, że artykuły pojawiające się tu, jako pisane przez dyletantów, grzeszą częstokroć brakiem znajomości już nie tylko samego przedmiotu, o którym autor rozprawia, lecz nawet ogólnych wyników i badań naukowych, stanowiących elementarne podstawy danej rzeczy. Do takich zaliczam zatytułowaną

¹⁾ Zob. zesz. I. „Wsi ilustrowanej“, styczeń 1910. Warszawa.

²⁾ Słowa użyte przez Redaktora.

w nagłówku pracę p. W. Czarneckiego, który w swych wywodach posu-
nął się wprost do śmieszności, pracę, która nieobeznanych z przedmio-
tem może sprowadzić na bezdroża.

Artykuł p. W. Cz. możnaby równie dobrze zatytułować „Raj na Piń-
szczyźnie“, lub „Troja w Polsce“, obydwą bowiem przedmioty więcej zajmują
miejscu, niż sam opis Gogolewa. Ale zacznijmy od początku. Rozmówiony
w Gogolewie przedstawia nam autor najpierw jego historię, jak w ciągu
wieków przechodząc z rąk do rąk, dostało się „na początku XIX. w. w po-
siadanie Antoniego Czarneckiego, krajczego koronnego, syna Jana Anto-
niego Czarneckiego, kasztelana braclawskiego, hrabiego na Lubieszowie
i Pilawie, który swego czasu z Humieckim korzystny dla Rzeczypospo-
litej traktat z Tatarami nad Paliowem Jeziorem zawarł“, podkreśla świetną
gospodarkę pierwszych dziedziców, którzy tak dobrze zarządzili, że nawet
zwrócili na siebie uwagę władz pruskich, ciesząc się ich uznaniem,
a w końcu unosi się nad obecnym stanem Gogolewa, (którego sam jest
właścicielem), stojącym dzisiaj „na wysokim stopniu kultury rolnej“. Wiadomości o G. kończy autor wyliczeniem 6 alei zdobiących park,
z których każda wysadzona jest innego rodzaju drzewami. Po tych krót-
kich uwagach przechodzi p. Cz. do właściwego, powiedzmy, tematu, do
prehistorii Polski i tu już popuszcza wodze swej fantazyi, ile tylko
można. Najpierw pesymistyczne uwagi na temat krótkości pamięci ludz-
kiej, która nam nawet nie raczyła przechować imion tych ludzi, któ-
rzy „sypali grody i stawiali kamienie“. „Wspomnienia, jakie się dotych-
czas w dalszych krajach zachowały“, zawdzięczamy jedynie „drużynom
szlacheckiej, dynastycznego pochodzenia młodzieży, która wychodząc
z kraju roznosiła po całym świecie pamięć o tem, co się w kraju
ojczystym działo“. (Zapewne i autor w przyszłości powiększy ich grono!)

Wielką wdzięczność winniśmy Szanownemu Autorowi za uznanie
naszego kraju „matecznikiem cywilizacji i kultury, jako wpływów ide
monarchicznej i państwowej, które w nim wynalezione i przeprowadzone
zostały, a wszystkie bajeczne. mityczne i mitologiczne pojęcia ludów
do niego się zciągają (sic!) i są dziejami jego w pra-czasach“.

Jakże wielkie dla nas szczęście być takim! wybrańcami losu. Lecz
nieporównanie większym zaszczytem obdarza nas pan Czarnecki przeno-
sząc kołyskę rodzaju ludzkiego do nas. Pozwólmuy mu mówić za siebie
„Pra-Polska — słowa p. Cz. — kraj leżący między Czarnem morzem
a Bałtykiem, nosi na sobie prastare i praświete znamie typograficzne Raju,
dokładnie opisanego w Piśmie Świętem. Rzeka Prypeć płynie do jeziora
zalewającego błota Pińskie, a z nich wypływają figuratywnie cztery rzeki
rajskie, tworząc na obliczu ziemi znamie czwororamiennego krzyża, Wisła
przez Narew i Bug, Niemen, Dniestr i Boh. Obietnica Odkupienia daną
została obok tego znamienia, dlatego znak ten jest od samego początku
znamieniem tej obietnicy i tu mamy wytłómaczenie zagadnienia, którem
hrabia de Mortillet kończy swą rozprawę o znaku krzyża w praczasach“.

Wyraźnie boi się autor wypowiedzieć swe twierdzenie, lecz kilka
wierszy niżej zwierza się z tem, co myśli. „U źródeł Pissy pod Rajgro-
dem znajdował się gród pogański jeszcze, zwany Raj. Z tego, że do tych
miejsc przywiązywano takie znaczenie (kiedy?!), wnioskować można, że

ludzie, którzy tam osiadali, byli pierwotnie w posiadaniu obietnicy Odkupienia i tradycji biblijnej". (!!) „Te wielkie wypadki, które nam podaje Pismo Święte, mające tak olbrzymie znaczenie dla całej ludzkości, musiały przecie koniecznie pozostawić po sobie jakieś ślady, i to nie małe. W jakim poszanowaniu było znamię czteroramiennego krzyża, dowodzi to, że wszystkie przedmioty, które to znamię okazują, noszą nazwy do tego znamienia się ściągające". (Jaki związek z poprzednim zdaniem, trudno orzec!). Dalej, opiewa twierdzenie autora, jak następuje: „Jak orzech, sieć pajęcza, kończyny drzew, jak w świerku i dębu, zrosłe gałęzie buku, jak o każdym Romowie, piast koła u woza (!) bogów, który ma tylko 4 sprychy i t. d. Wzmianka o wozie przypomina mi, że za daleko zajeżdżam, by być zrozumianym, więc wracam do grodzisk i kamieni". (Czy się dużo dowiedziałeś cierpliwy czytelniku?!).

Dziwne zaiste wyobrażenia ma autor o wznoszeniu grodzisk i ich pochodzeniu. Tu już łączy z sobą rzeczy bez żadnego, można powiedzieć, związku, ot poprostu chce koniecznie wypowiedzieć to, co czytał, lub o czym kiedyś słyszał, nie pytając, czy to, o czym mówi, da się z sobą pogodzić, czy nie. Mniejsza o to, papier cierpliwy.

Przechodzimy teraz do drugiej części, nie mniej ciekawej od poprzedniej, do Troi w Polsce. „W wczesnych wiekach średnich — słowa autora — związek pomiędzy naszym krajem, a podaniami mitycznymi starożytnych był bardzo dobrze znanym. Zwano Polskę prawdziwą Troją. Jeżeli tu była prawdziwa Troja, a Schliemanowski związek wód w małej Azji był tylko wtórórzednem zjawiskiem, toć tu powinni się dać odnaleźć bohaterowie Trojańscy, których nazwy do dziś dnia nie są wytłumaczone, i których znaczenie już starożytnym było niezrozumiałe. Weźmy n. p. Achillesa. Pięta (!) jego strzeże dotychczas naszego Dniepru. Że tam za czasów Herodota mówiono po polsku, tego dowodzi forma *antakes*, czyli *sandaczy*. Forma ruska byłaby: *udakes*. Również homonimia zachodząca pomiędzy nazwą śniegu i pierza u Scytów, odnajduje się w naszym *pirze* i fińskiej nazwie śniegu, *pire*, nie zaś w słowiańskiej formie“.

„Herodot wspomina, że przylądek po lewej stronie ujścia dniewego, mający kształt nogi ludzkiej, nazywa się piętą Achillesa, i że ztamtąd (!) można widzieć jego bieg. Jeżeli ta pięta sławna do dziś dnia wystaje z kąpieli, to może matka Tet-yda, czyli dziewica węzowa, inaczej Echidną zwana, o synu zapomniała, i on dotąd w Dnieprze leży, który przez to samo staje się Styksem, rzeką umarłych. Już kilkanaście lat temu twierdziłem, że grecka nazwa Borysthenesu jest zgreczeniem, dowolnem przekręceniem nazwy *Beres-sinni*, pamięci i drogi pogrzbów, ponieważ po tej rzece spławiano ciała zmarłych dynastów do wspólnego cmentarza pod Mohilowem. Otóż Achilles jest zgreczeniem innej formy tego samego pojęcia. Ach! Achi! jest wykrzyknikiem żalu, który później przeszedł z rzeki na węza, a lew jest homonimem pomiędzy zwierzem, a wy-lewem, ujściem rzeki. (Risum teneatis, amici!). Ta homonimia wspomniana zachodzi także i w semickich językach i w Egipcie, ale jej miejsce rodowe znajduje się na przeciwległym wybrzeżu bałtyckiem. Tam zatoka kurońska wyobraża paszczę lwa, recte wilka boć obie bestye noszą

w językach tę samą nazwę. Welfowie noszą nazwę wilka, ale godłem ich jest lew. Do zatoki kurońskiej wpada rzeka żalu, Eri-dan starożytnych, do którego wpadła i w nim utonęła koza Erech-teusza, dzieja, władcy, boga Erech, Arach, czyli Wołgi. Wąż w połączeniu z lwem znajduje się w mitycznej figurze lwa z ogonem węża. Już dawniej stwierdziłem, że bogaci i wytworni Feakowie mieszkali nad wybrzeżem bursztynowem, trudniąc się handlem bursztynu, który był pierwotną przyczyną bogactwa i kultury. Tu działał Prometeusz, którego zrozumieć tylko można, porównując jego imię z naszą formą = Przemysł. (Cierpliwości!). Jeżeli więc tu mieszkali Feakowie, to i tu przechadzała się piękna Nausikaa. Imię jej jest wyrazem orficznej figury lwa, węża i kozy. Bo *naw* oznacza ciało zmarłego; *A* jest onomatopęą picia i oznacza wodę, rzekę, w wielu miejscowościach. *Sika*, *cyka*, *cyga* oznacza kozę, której morda jest podobna do głowy cykady, owadu cykającego, który kozie swego onomatopoeicznego imienia ustąpił¹.

„W rytualnym pępie, w pra-szłomie, gogolewskiej przodownicy kryje się także znamie czwororamiennego krzyża w kole, zawiązku wód rajskich (!). Złączyć z tem naszego Piasta i Rzepicę, za daleko by nas zaprowadziło“.

Wszystko ma swój koniec, więc i rozprawa pana Wiktora Czarneckiego skończyć się musiała: „Koniec zawołajmy“. Zdaje mi się, że dodawać jeszcze do tego jakieś komentarze, byłoby rzeczą zbyteczną. Język i styl rażą swą niepoprawnością. — Tak się przedstawia „Gogolewo“.

Kraków.

Fr. Gawełek.

T. Held. Bajki murzynów afrykańskich. Zebrała T. Held, przełożyła Jadwiga Bornsteinowa. Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni G. Centnerschvera i Ski, 1911. 8. str. 39 + 1 nlb.

Jest to bardzo skąpy, ale dający dobre pojęcie zbioru, a raczej wybór bajek, mający znaczenie bardziej pogładowe dla poznania umysłowości ludów Afryki, niżli ściśle naukowe. Ciekawy o tyle, że nastrocza mimo to kilka ciekawszych analogii¹). Nie usiłując przedmiotu w zupełności wyczerpać, zaznaczę tylko to, co mi się bezpośrednio przy lekturze wymienionej książeczki nasunęło. Przedtem kilka uwag ogólnych: brak tu naogół zaznaczenia miejscowości, z których okolic bajki pochodzą; więc trudno określić ich pochodzenie, zwłaszcza w początkowych, które są może z całego zbioru najciekawsze²). Reszta

¹) Podaję tytuły oznaczając je liczbami początkowymi dla łatwiejszego powoływania się: 1. Koza, lew i wąż. 2. Zając i żółw. 3. Dlaczego lew i lampart uciekają przed hyeną? 4. Trzy słowa. 5. Dumny motyl. 6. Jak ty mnie, tak ja tobie. 7. Zając i małpa. 8. Dlaczego zając nie ma ogona? 9. Niewdzięczność ukarana. 10. Bajka Zulusów o hyenie. 11. Bocian i ropuchy. 12. Kto wiele szuka, ten wszczyna wiele hałasu. 13. Wódz i ptak. 13. Opowiadanie z wybrzeża Sierra Leone.

²) 1—9, 11.

pochodzi z kraju Zulusów¹⁾, Beczuanów²⁾ i Sierra Leone³⁾. Bajki zwierzęce są tu najliczniej reprezentowane⁴⁾. Reszta to są opowiadania, które ściśle pod nazwę bajki nie podpadają, choć się organicznie z niemi łączą⁵⁾. Opowiadanie beczańskie (12) i z wybrzeża Sierra Leone (14) przedstawia nam typ stosunkowo mało zbadany opowiadań rosnących (rozmnożnych, kumulacyjnych⁶⁾). Opowiadanie p. t. Trzy słowa⁷⁾ jest anegdotą na temat ukarania skąpca.

Zakres świata zwierząt, objęty bajkami, nie dość wielki i nie odbiega bardzo od ogólnie znanych, ma jednak pewne zabarwienie lokalne. Są to: Lew (1, 3), lampart (3), hyena (3, 9, 10), słoń (9), małpa (6, 7, 14), wół (9), koza (1), zając (2, 7, 8), żółw (2), wąż (1), kameleon (6), ptak tajemniczy (13), bocian (11), ropuchy (11), jastrząb (14), motyl (5), białe mrówki (14). Najciekawszą w tym względzie jest tu hyena: spełnia rolę psa i lisa w analogicznych bajkach znanych ze świata klasycznego⁸⁾. Bajka Zulusów o hyenie (10) jest analogiczną do bajki ezopowej o psie niosącym mięso przez rzekę⁹⁾. Rolę lisa spełnia hyena w bajce p. t. Niewdzięczność ukarana (9). Część pierwsza opowiadania jest analogiczna do bajki „Lis i kozieł“, znanej również w bajkach Ezopowych¹⁰⁾ z tą różnicą, że zamiast kozła i lisa, występuje wół i hyena: część druga obejmuje karę za niewdzięczność a sędzią jest słoń. Nienawisć, jaką otaczają hyenę inne zwierzęta, jakto widać z bajki „Dlaczego lew i lampart uciekają przed hyeną?“ (3) przypomina lisa ze średniowiecznej fabulistyki (lis i wilk, hyena i lampart), która otrzymała charakter alegoryczny¹¹⁾. Niestety materiał tych trzech bajek jest skąpy, aby postawić jakieś konkretniejsze wnioski. Wolno jednakże żywić przypuszczenie, że około hyeny krąży wielka ilość bajek, ze względu na jej złośliwe instynkta: złe bowiem jest

¹⁾ 13—14, ²⁾ 10, ³⁾ 12, ⁴⁾ 14, 1—3, 5—11, ⁵⁾ 13, 4, 12, ⁶⁾ 14. Zob. G. L. Gomme, Folklor. (wyd. pol. w tłum. W. Szukiewicza) str. 121/2 ⁷⁾ 4.

⁸⁾ Idę tu za przykładem Witolda Klingera. (Witold Klinger. Żywotnoje w antycznym i sowniemnom sujewierii. Kijów 1911. R. A. Brüchner, Lud. T. XVII. z II. i III.).

⁹⁾ Phaedri Augusti Liberti Fabulae Aesopicae. ed. Luc. Mueller. Lipsiae (Teubner) 1890 p. 3. Lib. I. Fab. IV. Canis per fluvium carnem ferens. Bajka ta znana bardzo dobrze była i w średniowieczu. Zob. Georg Thiele. Der Lateinische Äsop des Romulus und die Prosafassungen des Phädrus. Heidelberg 1910 VI. (Der habgierige Hund) str. 22—23. Przekład wierszem tej bajki u Minasowicza. (Bajki i przypowieści, tudzież Bajki nowe Ignacego Krasickiego z przydaniem bajek z różnych autorów. Warszawa 1815 str. 129).

¹⁰⁾ Phaedri etc. op. cit. p. 36 Lib. IV. fab. 9. Vulpes et caper.

¹¹⁾ Zob. G. Gröber. Grundriss der Romanischen Philologie. Strassburg 1902. II. Band I Abteilung str. 899—903. (Allegorische Fuchsdichtung). Nawiasowo dodaje, że poglądy co do genezy poematu Göthego „Reineke Fuchs“ (Erläuterungen zu Meisterwerken der deutschen Literatur von Dr. Alb. Zipper. Reclams Universal-Bibliothek Nr. 4199) wobec wzmiankowanej pracy Thiele'go „Der lateinische Äsop.“ muszą ulegć rewizji.

zwykłą osią bajek, zwłaszcza u ludów pierwotnych. Bajka „Dlaczego zając nie ma ogona (8) należy swym charakterem wybitnie do bajek, których badaniem specjalnie zajmuje się Dähnhardt. Francuskie podanie łączy brak względnie utratę ogona z historią o potopie i arką Noego¹⁾.

Tutaj: w dniu stworzenia deszcz miał padać; zając z obawy przed deszczem nie mógł pójść na rozdział ogonów. Inne zwierzęta mimo prośby zająca podczas rozdawania ogonów o nim zapomniały²⁾. Bajka o dumnym motyli i gąsienicy (5) jest dosyć rozpowszechnioną³⁾. Znana powolność żółwia, każąca mu dla kontrastu odbywać wyścigi bądź między sobą bądź z innymi zwierzętami⁴⁾. Bajka murzyńska (2) o wyścigu zająca i żółwia⁵⁾, przedstawia odmianę znanego motywu: żółw ustawia na mecie swoje dzieci i tym podstępem zwycięża. Bajka pt. koza, lew i wąż (1) tłumaczy w jaki sposób przysła koza na usługi człowieka⁶⁾ — o tyle ciekawa, że są tu usunięte motywy nadprzyrodzone (wpływ bóstwa). Wskazań byłoby więcej n. p. złośliwość małpy, lecz te sytuacje są zupełnie zlokalizowane, a z drugiej strony ramy recenzji nie pozwalają na szersze traktowanie przedmiotu. Chodzi tu bowiem o wskazanie analogii, jedynie dla charakterystyki, gdyż materiał jest za szczupły dla tego rodzaju studyów.

Nakoniec jedna ogólna uwaga co do przekładu. Za wielki błąd musi się tłumaczyć poczytać to, iż nie podała z jakiego języka tłumaczyła bajki, a następnie, że nie podała tytułu oryginalnego zbioru, co musi się spotkać z bezwarunkowym potępieniem. Podpisanemu trudno wobec tego wypowiedzieć jakikolwiek sąd o wartości tłumaczenia i materiału, tak dalece, iż cokolwiek powiedział w swych uwagach, jest tylko oparte na wierze w wierność tekstów. Zbiory tego rodzaju, jeśli mają być przeznaczone dla lektury (belles-lettres), a mają rzetelny punkt oparcia, czyli dają teksty autentyczne, mogą być spożytkowane dla celów naukowych, jeśli są artystycznymi przeróbkami mogą służyć przy ścisłej kontroli do tych celów z zachowaniem należytych środków ostrożności. Dlatego ścisłość bibliograficzna zwłaszcza u nas wobec opłakanych stosunków wydawniczych (nie możemy jednej i tej samej rzeczy kilkakrotnie wydawać) jest koniecznie pożądana, a autora nic nie kosztuje, bo wystarczy tu napisanie 10 wierszy.

Lwów.

K. Sochaniewicz.

¹⁾ Oskar Dähnhardt „Natarsagen“ B. I. „Sagen zum alten Testament“, Leipzig und Berlin 1907 str. 278.

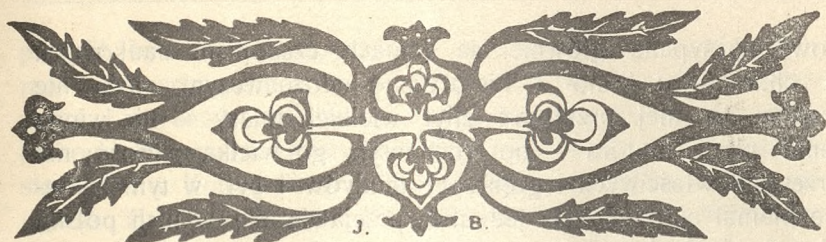
²⁾ Z podań o stworzeniu zwierząt brak ogona wytłumaczony jest u kozy. Dähnhardt l. c. 153.

³⁾ Odmianą jej jest „Motyl i ślimak“ (Zob. Bajki i przypowieści op. cit. str. 128) autorstwa (przekładu?) J. U. Niemcewicza.

⁴⁾ Zob. Bajki i przypowieści op. cit. str. 13. XI. Dwa żółwie.

⁵⁾ Znana w literaturze małopolskiej (drukowana w czytance na III. klasę szkół galicyjskich. Zająć i czerepaha).

⁶⁾ Koza i lew — bardzo często się z sobą spotykają w bajkach. Momenty: Duma lwa i chytryść kozy.



KRONIKA ETNOGRAFICZNA.

Ś. p. GRZEGORZ SMÓLSKI.

(* 1844 † 1911).

Cicho, niemal niespostrzeżenie zeszyła do grobu jedna z najciekawszych postaci polskiej kolonii we Wiedniu. Zeszyła cicho i bez rozgłosu, jak cichą była praca całego życia tego człowieka, znanego szeroko w kołach dziennikarskich Wiednia, wśród których był Nestorem. Dziennikarzem bowiem był przede wszystkim ś. p. zmarły. Lat niemal 40 przebył we Wiedniu, a z górą ćwierć wieku grał rolę bądź co bądź niepoślednią i nieostatnią. Całe życie stał na posterunku publicysty polskiego we Wiedniu i pierwszy na niem stanął. Wprowadził on w naszym polskim życiu umysłowym i politycznym rzecz nową i nieznaną przedtem — stałe informowanie społeczeństwa o tem, co się działo w centrali monarchii austriacko-węgierskiej. Dziś wydaje się to nam rzeczą zwykłą — i dziś wydałby się nam brak tej instytucji absurdem; wówczas było to rzeczą nieznaną. Ta karta z jego działalności zapewni mu poczesne miejsce w dziejach polskiego dziennikarstwa — ona stanowi właściwie lwią część dorobku życiowego. Obok niej jaśniej inna skromniejsza i mniej rozgłosna; to praca nau-

kowa, rozsypana głównie na łamach czasopism naukowych o charakterze krajo- i historyczno-ludoznawczym. Jeśli nie można do niej przyłożyć zbyt wielkiej miary — nie winna temu praca autora — bo cechowała go wielka pilność; nie przeszedł właściwych i głębszych studyów i był w tym zakresie niemal autodydaktą: jednakże przejawia się w nich polska idea i duch, łącznie ze szczerem umiłowaniem dotykanych problemów. Bilansu dorobku jego dokona potomność, która będzie z jego pracy korzystała i ona mu miejsce należyte w hierarchii pracowników wyznaczy. A choćby imię jego fala zapomnienia pokryła — cześć jego pamięci, bo pracował „ku pożytkowi pospolitemu“ według sił swoich.

* * *

Ś. p. Grzegorz Smólski urodził się w r. 1844. Szkoły ukończył w roku 1868. Pochodził z rodziny szlacheckiej, zamożnej; po rodzicach odziedziczył znaczny majątek. Losy młodości przeszły zwykłym torem złotej młodzieży: strwonił majątek i został bez grosza. W tej drodze ku wykolejeniu obrał zawód pióra i zasiadł do stolika dziennikarskiego. W nowym zawodzie pomogły mu wiele dawne stosunki arystokratyczne i rozliczne koligacje. Osiadł zrazu w Czerniowcach. Wyrobił sobie dość odpowiednie stosunki dla zakresu swej pracy. Mimo przeszłości próżniaka i utracjusza, zyskał wybitne stanowisko w ślizkim zawodzie dziennikarskim dzięki niezwyklej pracowitości, uczciwości i rzetelności. Rychło porzuca wyrobione stosunki i przenosi się do Wiednia, gdzie jako dwudziesto-kilkuletni młodzieniec zaczyna wydawać „*Korespondencję wiedeńską*“¹⁾, która była poprzedniczką polskiego dodatku do obecnej „*Polnische Post*“. We Wiedniu osiadł już na stałe i w swej osobie na długie lata zogniskował źródło informacji dla wszystkich pism polskich. Dzięki zaś oszczędności i pracowitości zebrał nawet z ciernistej (na owe czasy) niwy dziennikarskiej drogą zupełnie uczciwą pokaźny fundusz na starość.

Otaczało go materyalne i moralne powodzenie. Tajemnica tego leżała w tem, że dzięki niezwyklej energii i orientacyi

¹⁾ Nekrologi mylnie podawały przybycie do Wiednia w r. 1873. Musiał tam być co najmniej już w r. 1871. skoro w r. 1872. wydaje czasopismo autografowane p. t. *Korespondencya wiedeńska*. Zob. Estr. Bibl. pol. XIX w. T. VII. str. 145.

potrafił być współpracownikiem, korespondentem i informatorem kilkunastu pism równocześnie, a dzięki ścisłości, sumienności i szybkości informacji zyskał należną markę w kołach fachowych; zarazem zaś wyrobił sobie należyte stosunki u naszych statystów w Kole polskiem i zasilał pisma wszystkich głównych ognisk życia polskiego: Kraków, Lwów, Poznań, Warszawę. O jego stosunkach a nawet zasługach parlamentarnych świadczy szczególnie nadesłany z Wiednia przez Ad. H. J. redakcyi „*Świata*“²⁾ podnoszący i jemu przypisujący zasługę podniesienia w zaborze austriackim sprawy śląskiej. Opracował wniosek i sprowadził do Wiednia deputacyę śląską ze śp. Cieniałą na czele — a następnie przez odpowiedniego posła podał sprawę przed forum parlamentu. (Było to w rok po okupacyi Bośni i Hercegowiny).

Umysłowość ś. p. zmarłego, jeśli chodzi o zalety pióra, nie przedstawiała talentu literackiego, zamykającego logikę myśli w estetyczną szatę słowa. Stąd jego próby literackie nie przedstawiają większej wartości. Z tem wszystkiem pierwotnie był on jedynym i pierwszym na terenie Wiednia, a po nim dopiero nadeszła dzisiejsza falanga pracowników, którzy za cel sobie postawili informowanie społeczeństwa polskiego o sprawach wiedeńskich. On był twórcą tej instytucyi. Szczegóły tego, co na tem polu zdziałał, dokładnie oświetlić, należy już do historii dziennikarstwa i nie tu o nich miejsce pisać. Podkreślę, że w nich tętniła idea polska, ta idea, która znalazła swoje zwierciadło w artykułach informacyjno-politycznych, znalazła swój harmonijny akord w dociekaniach naukowych etnograficzno-etnologicznych na przestrzeniach ziem polskich lub pokrewnych narodów słowiańskich, które cechuje wybitny kult dla przeszłości (Pamiętki polskie i Polacy we Wiedniu 1886 i t. d.) Studya te uczyniły zeń postać popularną, znaną pod imieniem „Grzegorza z Wiednia“. Kult narodowy był głównem znamieniem jego postaci i działalności. Nie było uroczystości, zjazdu, wiecu narodowego lub słowiańskiego, na którymby Smólskiego zabrakło. Smólski był przytem dzielnym podróżnikiem, mającym rozliczne stosunki. Znał doskonale wiele miast europejskich. Napisał pierwszy polski przewodnik po Wiedniu i po zachodnich kolejach galicyjskich³⁾. Podróże swoje odbywał głównie jako dziennikarz i był jednym z najdziel-

²⁾ *Świat*. (czasopismo tygodniowe) 1911. Nr. 50. str. 25.

³⁾ Zob. Bibliografię.

niejszych korespondentów wyjazdowych. Na obchodzie konstytucji 3-go maja w Zurychu (1891. r.) reprezentował pięć pism. Podczas słynnego procesu J. I. Kraszewskiego wobec Rzeszy niemieckiej w Lipsku informował pism 17. Mimo tytułu rozbieżnych zajęć był człowiekiem ogromnie towarzyskim. Cechowała go w obejściu obok wytwornych form towarzyskich, skromność harmonizująca się z poczuciem własnej wartości. Jak każda indywidualność o wyraźnych konturach, miał pewne właściwości, które należałoby sklasyfikować jako dziwactwa. Nie były to przecież dziwactwa szkodliwe dla innych⁴⁾. Jako naoczny świadek życia politycznego w parlamencie i Kole polskiem, znał wszystkie wybitne osobistości działaczy i wszystkie fazy rozwoju polskiej myśli parlamentarnej. Przed jego oczyma przesunęły się postacie: Dunajewskiego, Jaworskiego, Abrahama-mowicza, Zaleskiego, Dzieduszyckiego i wielu innych. Nikt nie miał tylu żywych dokumentów wspomnień z ostatniego 40-lecia życia areny parlamentarnej. On jeden mógłby być pamiątnikarzem tych czasów i tych ludzi. Od szeregu też lat zapowiadał, że napisze pamiątniki, w których zebrane przez się dokumenta i wspomnienia zużytkuje. Czy zamiaru tego dokonał, dotychczas nie wiadomo. Jest większe prawdopodobieństwo, że nie, gdyż zbyt był czynnym do ostatnich chwil życia by, mimo uporczywej paroletniej choroby, zaprzestać pracy i na starość w zaciszu notować wspomnienia.

O działalności naukowej da najlepszy pogląd niżej podana bibliografia.

Rozsypana po czasopiśmie i dziennikach (*Lud, Świat Słowiański, Biblioteka warszawska, Ziemia, Nowa Reforma, Kraj i t. d.*) łatwo się uchyla z pod oka. Są to obok rozlicznych spostrzeżeń z podróży, studia lingwistyczne (z zakresu onomastyki miejscowości), archeologii, materiały folklorystyczne, próbne syntezy ujęcia pewnych zagadnień i sprawozdania. Punkt ciężkości należy położyć na pogłębienie znajomości dzisiejszych kresów słowiańskich, co jest śp. zmarłego zasługą.

Z Towarzystwem ludoznawczem łączyły go stosunki od lat przeszło 10. W grono członków wstąpił w r. 1902⁵⁾. W tymże roku pomieścił pierwszą pracę w *Ludzie*⁶⁾.

⁴⁾ *Korespondencya Wiedeńska* R. IV. Nr. 50. (1911).

⁵⁾ Zob. *Lud* t. VIII. str. 112.

⁶⁾ T. VIII. str. 275—316. „Ze zbioru podań, opowieści i baśni kaszubskich“.

Od tego czasu stale żywo interesował się pracą Towarzystwa ludoznawczego

W r. 1905 przyjechał specjalnie do Lwowa na Zjazd Towarzystwa Ludoznawczego i wygłosił 2 odczyty: ⁷⁾ I. „Spostrzeżenia i uwagi z podróży na Pomorzu i wyspie Rujnie“ (d. 10. VI. 1905). II. „Ślady słowiańskie w krainach dawnej Recyi i Windelicji“ (d. 11. VI. 1905). Ostatnią pracę z wymienionych pomieścił jeszcze w tym samym roku w *Ludzie*⁸⁾.

Obszerne sprawozdanie z tego zjazdu pomieścił równocześnie w *Nowej Reformie*⁹⁾.

Pracowitość towarzyszyła mu do ostatnich chwil życia. Tuż przed śmiercią posłał artykuł do *Świata Słowiańskiego* p. t. „Szczątki słowiańskie w Bawaryi i przyległych krajach“, który skutek tego ukazał się jako rzecz pośmiertna¹⁰⁾. Życia dokonał dnia 4. grudnia 1911 r. we Wiedniu w 68 roku życia.

Wspomnienia pozgonne, godniejsze uwagi, pomieściły następujące czasopisma:

„*Polnische Post*“ VI. Jahr. (1911). Nr. 50 zeszyt z 13. grudnia. „*Korespondencya Wiedeńska*“ R. VI. (1911.) Nr. 50. z 13. grudnia. „*Biblioteka Warszawska*“ 1912. styczeń R. 72. Z. 853. str. 193—194. „*Gazeta Poranna*“ (Lwów) 1912 5/XII. Nr. 413. str. 2. „*Wiek Nowy*“ Nr. 3122 z 5/XII. 1911. str. 7. (Drobiazgi). „*Świat Słowiański*“ R. VII. (1911.) Tom II. str. 430. (Kronika). „*Ziemia*“ R. II. (1911.) str. 815. (Z żałobnej karty). „*Świat*“ pismo tygodniowe ilustrowane R. VI. (1911.) Nr. 50. str. 24. (z portretem) p. t. „Zgon zasłużonego dziennikarza“.

BIBLIOGRAFIA.

Spuścizna duchowa po ś. p. G. Smólskim jest ilościowo obfita: rozsypana po czasopismach nie da się dokładnie i wy-

⁷⁾ Zob. *Lud* t. XI. str. 417—420. „Referaty na zjeździe Tow. Ludoznawczego we Lwowie w dniach 10. i 11. czerwca 1905.“

⁸⁾ *Lud* t. XI. (1905) str. 355—370. p. t. Ślady słowiańskie na ziemiach dawnej Recyi, Windelicji (Nowa teoria lechicka). Uw: Atakował ją na zjeździe Dr. Fr. Krčęk. Zob. *Lud* XI. str. 417—420.

⁹⁾ G. Smólski. Zjazd ludoznawców we Lwowie. *Nowa Reforma* 1905. Nr. 134.

¹⁰⁾ Ob. *Świat Słowiański* R. VIII. (1912) styczeń, 19—48, luty 100—113.

czerpując zebrać Stąd niżej podane zapiski bibliograficzne podają możliwie najdokładniej rzeczy najważniejsze. Gdy się znajdą braki, usprawiedliwią autora ci, którzy czyniąc podobne zestawienia, wiedzą, na jakie się tu natrafia trudności.

1862.

Ostatnie dziewosłębny. Komedia w 1. akcie oryginalnie napisana. Lwów. Z drukarni E. Winiarza. 1862. Wydanie bezimienne ¹⁾).

1872.

Korespondencya Wiedeńska (Czasopismo autografowane wydawane 3 razy w tydzień od września 1872 r.) ²⁾; dziś jego kontynuacją niejako są: „Polnische Post“ (wychodzi od roku 1906) i „Korespondencya Wiedeńska“ (wychodzi od r. 1908).

1882.

Z Lublany. „Kurier warszawski“ 1882. Nr. 184, 187, 191, 192.

1883.

Korespondencya z Tryestu. (O Słowienkach). „Kraj“ 1883. Nr. 30, s. 7.

1885.

Położenie parlamentarne w Austrii przed wyborami i po wyborach. Ateneum (warsz.) 1885. (Sierpień str. 309—334).

Nekrolog pisarza łżyckiego Jana Ernesta Smolera. „Kraj“ 1885. Nr. 14, 15.

Kromieryż, opis geograficzny i zjazdu. „Kurier warszawski“ 1885. Nr. 230, 231, 233—238.

1886.

Wiedeń i jego okolice oraz podróż Dunajem z Passau przez Linc, Wiedeń do Budapesztu i treściwy przegląd znaczniejszych miejsc kąpielowych, przewodnik ilustr. z 28 ryc. i najnowszym planem Wiednia. — Wiedeń P. Steiner. Druk Mechatorzystów, w 16-ce, str. 122 z ogłoszeniami. Opr. 1 zł.

Pamiętki polskie i Polacy we Wiedniu. Wiedeń, nakł. Zgody, druk Mechatorzystów 1886. w 16-ce, str. 28 z ryc. w tekście. 30 ct.

Życie Wiedeńskie, szkicował z natury Grzegorz Smólski. Wiedeń, nakł. Zgody, druk Mechatorzystów. 1886, w 16-ce, str. 25 z ilustracjami w tekście. 40 ct.

1891.

Sprawozdanie z krajowej jubileuszowej wystawy w Pradze. Druk. p. t. „Przechadzka po wystawie“. „Dziennik poznański“ 1891. Nr. 115—117,

¹⁾ Przypisano G. Smólskiemu. Zob. Biblioteka Ossolińskich. L. Inwent. 85.102.

²⁾ Zob. K. Estreicher. Bibliogr. pol. XIX w. T. VII. str. 145, Upadło w jakiś czas.

120, 122, 123, 133, 136, 138 i „Nowa Reforma“ 1891, nr. 111—113, 117, 120, 125, 126, 128, 130, 133.

1893.

Przewodnik ilustrowany po c. k. austriackich kolejach państwowych, wedle wskazówek c. k. generalnej dyrekcyi austr. kolei państwowych, zredagował i napisał G. Smólski. Zeszyt 28. Wiedeń, nakł. i druk Zakładu Steyrermühledt. W. Künast. 1893, w 8-ce wąskiej str. 104 z 2 mapami i rycinami w tekście. 60 h.

(Kraków—Sucha; Sucha—Żywiec—Zwardoń; Skawina—Oświęcim).

Z Karyntyi. „Nowa Reforma“ 1893, nr. 202.

Ze Słowaczyny. „Kraj“ 1893, nr. 31, 34.

Słowianie korątańscy. „Kraj“ 1893, nr. 40.

Z Karyntyi. (Opis Celowca). „Dziennik poznański“. 1893, nr. 203.

1894.

Przewodnik ilustrowany po c. k. austriackich kolejach . . . j. w. zeszyt 29. Wiedeń, nakł. i druk . . . j. w. 1894. w 8-ce wąskiej z 1 mapą i 24 rycinami w tekście. 60 hal.

(Kraków—Tarnów; Kraków—Wieliczka; Tarnów—Stróże; Stróże—Nowy Sącz; Nowy Sącz—Muszyna—Krynica—Orłów; Sucha—Nowy Sącz¹⁾).

Nadto *Helfert „Eine Geschichtsfabel“* (Sprawa Bolesława Śmiałego i bpa. Stanisława) por. G. Smólski „Kraj“ 1894. Nr. 35. (Bibliografia L. Finkla, Nr. 25029).

Rozmowa z młodoczeskim posłem Gustawem Eimem. „Kraj“ 1894, nr. 9.

1895.

Illustrierter Führer auf den k. k. oesterreichischen Staatsbahnen, Heft 29. Wien A. W. Künast, 1895, w 8-ce 60 h.²⁾

Wiedeń i jego okolice oraz podróż . . . j. w. nowe wydanie (tytułowe). Wiedeń, nakł. wydawcy druk. Dom Habernal, 1895, w 16-ce, str. 106 z ryc. w tekście i 1 planem. Opr. 1 ztr.

1896.

Grób Bolesława Śmiałego w Ossyachu. „Przegląd powszechny“ 1896. Styczeń³⁾.

Z notatnika podróżnego. Ziemia kujawska. „Kraj“ 1896. Nr. 45, 1897, Nr. 2—13.

1897.

Edward Jelinek. „Kraj“ 1897, I. Nr. 7.

¹⁾ T. s. wydanie niemieckie zobacz r. 1895.

²⁾ Zob. wydanie polskie. r. 1894. Jest to przekład autora.

³⁾ Toż „Dz. poznań.“ 1890 Nr. 193, 200. „Kraj“ 1890 Nr. 38. (Zob. Bibl. Finkla 25035).

1898.

Wiedeń i jego okolice ¹⁾, oraz podróż Dunajem z Passau p zez Linc, Wiedeń do Budapesztu, przewodnik illustrowany, nowe wyd. Wiedeń G. Smólski i Sp., druk Vergoniego i Sp. 1898, w 16-ce, str. 112 i 1 nlb. z rycinami, planem Wiednia i ogłoszeniami. Opr. 240 K.

1900.

Z wycieczki na Mazowsze. „Wisła“ 1900. T. XIV. (str. 113—130, 284—298, 385—398).

1901.

Koło polskie w świetle liczb. Kraków. Nakładem redakcyi „Głosu Narodu“, druk. W. Korneckiego. 1901, w 16-ce, str. 16.

Wiedeń i jego okolice . . . j. w. ²⁾ Nowe wydanie. Wiedeń nakł. autora, druk Vergoniego i Sp. 1901, w 16-ce str. 112 i 1 nlb., z ogłoszeniami opr. 2 K. 40 h.

O Kaszubach nadlebiańskich. „Wisła“ 1901. T. XV. str. 153—172 i 321—341.

Wojna czesko-polska. „Wędrowiec“ 1901, s. 738, 758, 778, 797, 818.

Zjazd dziennikarzy słowiańskich w Dubrowniku. „Wędrowiec“ 1901. s. 329, 345, 372, 385.

Rec. „Kuryer warszawski“ 1901. Nr. 53. z artykułu G. Smólskiego „Z podróży na Pomorze“ (w „Wędrowcu“).

Polacy i Czesi w księstwie Cieszyńskim. Tygodn. ilustr. 1901. II. s. 698, 718. Nr. 36, 37.

Wśród Kaszubów. „Tygodnik illustrowany“ 1901. Nr. 37

1902.

Ze zbioru podań, opowieści i baśni kaszubskich. (Materyały). „Lud“ T. VIII (1902), str. 275—316.

Ostatni mohikanie polscy. (O Kaszubach). „Biblioteka warszawska“. 1902. T. I. str. 419—448. T. II. str. 126—161.

1903.

Ludek miniaturowy w Galicyi (Karaici). „Gazeta polska“ (maj 1903). Rec. „Kuryer warszawski“ 1903 Nr. 141.

1904.

Odwiedziny u Maurycego Jokaya. Wspomnienia z r. 1898 ³⁾. Przewodnik naukowy i literacki (dod. mies. do „Gazety toruńskiej“. Toruń, 1904. Nr. 7).

Na ziemi Chodów. „Nowa Reforma“ 1904, nr. 208, str. 2.

Z kresów galicyjskich, zagrożonych germanizacją. „Ognisko“ 1904. Zesz. 9.

¹⁾ ob. r. 1886 i 1895.

²⁾ zob. R. 1898.

³⁾ Rzecz napisana z powodu zgonu znakomitego pisarza węgierskiego.

1905.

Lueger w Kołomyi. Opowieść wesoła, zaczerpnięta ze stosunków galicyjskich przez . . . Dodatek niedzielny do „Dziennika Poznańskiego“ Nr. 138. 8-ka, str. 109. Poznań 1905 i osobno nakł. księg. św. Wojciecha.

Rec. H. Galle. „Książka“, R. V. str. 499—500.

Stare druki słowiańskie w Rzeźnie (Ratyzbona). „Świat Słowiański“ R. I. (1905), T. II. str. 18—24).

Czeši we Wiedniu i dolnych Rakuzach. „Świat Słowiański“ (1905 R. I. T. II. str. 120—125).

Ślady słowiańskie na ziemiach dawnej Recyi i Windelicyi. (Nowa teoria lechicka)¹⁾, „Lud“ T. XI (1905) str. 335—370.

Z wycieczki do opactwa Św. Floryana. (Wzmianki o psalterzu floryańskim) „Nowa Reforma“ 1905, Nr. 96.

Zjazd ludoznawców polskich we Lwowie. „Nowa Reforma“, 1905. Nr. 134.

O pomorskich podaniach dziejowych. (Biblioteka warszawska, 1905. T. IV. str. 543—565).

Kongres słowiańskich dziennikarzy (Vološko-Opatyja) „Dziennik Poznański“ 1905 I. nr. 113, 114, 116.

Z wycieczki do Bawaryi. „Nowa Reforma“ 1905. Nr. 79, str. 1—2.

Nieco o Słowiańcach. „Dziennik poznański“ 1905 I. Nr. 117.

1906.

Ślady słowiańskie na ziemiach dawnej Recyi i Windelicyi. (Nowa teoria lechicka). Odb. z „Ludu“ B. m. i r. w. (Kraków, druk Uniwers. Jag. 1906). 8^o str. 16²⁾.

Hana i Hanacy. „Świat Słowiański“ R. II. 1906. T. II. str. 429—437³⁾.

Nil w Polsce, krótkie wspomnienia dziejowe. „Nowa Reforma“ 1906. Nr. 293.

(Artykuł o Muzeum narodowym w Rapperswylu), „Nowa Reforma“ 1906. Nr. 170.

Pamiętki Kościuszkowskie. (Dom Kościuszki w Solothurn). „Świat“ pismo tygodniowe, ilustr. Warsz. 1906. Nr. 49.

Ognisko polskich protestantów na Bukowinie. „Biblioteka warszawska“ 1906, T. IV. str. 559—569.

Polacy na Bukowinie. „Nowa Reforma“ 1906. Nr. 234. str. 1—2.

Ślady Słowiańskie . . . j. w. Pamiętnik zjazdu etnogr. polsk. Kraków 1906.

Kongres słowiańskich dziennikarzy (Węgierskie Hradiszte). „Dziennik poznański“ 1905, II. nr. 206, 209, 211.

Śladem Słowiańszczyzny. (Z podróży po Górnej Austrii, po ziemi solnogrodzkiej — Innsbruck, Berno Szwajcarskie). „Dziennik poznański“ 1906, II. nr. 172, 176, 178.

¹⁾ Odb. zob. r. 1906. Był to referat na zjeździe Tow. Ludoznawczego we Lwowie w dniach 10 i 11 czerwca 1905. Ob. bliżej w życiorysie.

²⁾ Zob. r. 1905.

³⁾ Artykuł ten stał się punktem wyjścia dla późniejszej pracy innego autora T. K... „Z literatury hanackiej“. („Świat Słow.“ 1910, str. 290—294).

Łotysze. „Nowa Reforma“ 1906. Nr. 7, 8.

U Risticza. Opowiadanie wcale nie tragiczne. (Dodatek do dziennika poznańskiego, 1906, str. 64).

1907.

Recenzye dzieł: R. F. Kaindl'a p. t. „Geschichte der Deutschen in den Karpathenländern. Erster Band. Geschichte der Deutschen in Galizien bis 1772“. Gotha 1907 ¹⁾. „Lud“. T. XIII. 1911, str. 58—66 i dr. Zofii Daszyńskiej-Golińskiej: *Ujście Solne*. Przyczynki historyczno-statystyczne do dziejów nadwiślańskiego miasteczka. (Bibl. warszawska 1907, t. III., str. 577—586).

Z dziejów osadnictwa niemieckiego w Galicyi. „Kurier lwowski“ 1907. Nr. ?

Grody Kraka-Krakowy. [„Kresy“ (1907) nr. 22—24].

1908.

Odgłosy ze Słowaczyny. „Świat Słowiański“, R. IV. 1908. T. II. str. 886—907 ²⁾.

Morawska wystawa w Kromieryżu. „Świat Słowiański“, R. IV. 1908. T. III., str. 931—934.

Niemcy w Galicyi. „Biblioteka warszawska“. 1908. [I., 17 i n. i 33 i n.]

U największego poety słowackiego (Hwiedosława). Odgłos z gór orawskich. „Kraj“ petersburski 1908, nr. 187.

Rec. książki dr. K. Ostaszewskiego-Barańskiego „Z morawskiej ziemi“ (notatki). Lwów 1908, 8-ka, str. 215. Drukow. „Kraj“ pet. 1908, nr. 263.

Nieco o Polakach na Węgrzech. (Obejmuje czasy od XII—XIX. w.) „Kurier lwowski“ 1908. Nr. 379, 382, 384, 386, 388.

1909.

Ludność polska we wschodnich i środkowych żupaństwach górnych Węgier. „Świat Słowiański“ R. V. 1909. T. II., str. 107—124.

Polszczyzna na górnych Węgrzech i stosunki polsko-słowackie. „Bibl. warsz.“ 1909. T. III. s. 520—541.

1910.

Kolonie i stosunki niemieckie w Galicyi. Kraków, nakł. „Straży Polskiej“. G. Gebethner i Sp., druk. Związkowa 1910, mała 8-ka, str. 72. h. 80.

O polskim czasopiśmiennictwie najstarszej doby. Kraków. Księg. Spółki Wyd. Pol. Druk. ? (1910) 8-ka, str. 34. K. 2.

Orawa i jej ludność polska. „Przewodnik naukowy i literacki“, 1910, str. 27—40, 117—132, 216—232, 331—334) i odb. Kraków, księg. Sp. wydawn. pol. 8-ka.

¹⁾ Jest to słynna książka, której prof. O. Balzer niedawno poświęcił osobną rozprawę drukowaną w „Kwartalniku historycznym“, R. XXV. (1911) str. 428—454, gdzie szczególnie atakuje wywody Kaindla odnośnie do kwestyi lokacyi na prawie niemieckiem.

²⁾ Przytacza liczne wyjątki z piosenek.

Ludność pierwotna czterech krajów „czysto-niemieckich“ (Austria Dolna i Górna, Solnogród, Przedorlańsko). „Świat Słowiański“ R. VI. (1911) T. I. str. 8—27 i odb. Kraków, Spółka wydawn. Pol., druk. W. Korneckiego i K. Wojnara (1910). 8-ka, str. 20. K. 1:50.

Lud polski na górnych Węgrzech. „Ziemia“. R. I. 1910 (str. 57—58, 74—75, 85—86, 106—108, 134—135, 170—171, 181—183, 197—199).

Słownictwo naukowe i gwary ludowe. „Ziemia“, R. I. 1910 (str. 502—503, 522 523, 533—535).

1911.

Zagadki i łamigłówki górali polskich w Tatrach i Beskidach. „Lud“, T. XVI. (1911) s. 77—96 ¹⁾.

Z podróży na Pomorze. „Ziemia“, R. II. 1911 z 21 ilustracjami, (562—565, 572—573, 595—597, 605—607, 620—623, 644—647, 657—660, 668—671, 691—693, 706—708, 722—723, 740—742, 749—751, 771—774).

Gwara tatrzańska i jej piśmiennictwo. (Odbitka z „Biblioteki Warszawskiej“ 1911, str. 49). Cena K. 1:20.

1912.

Szczątki słowiańskie w Bawarii i w przyległych krajach. („Świat Słowiański, R. VIII. 1912. T. I., str. 19—48, 100—113).

Polszczyzna na Górnych Węgrzech. „Biblioteka warszawska“. R. 72, 1912. T. I. str. 326—361.

Nakoniec muszę złożyć serdeczne podziękowanie dr. T. E. Modelskiemu za łaskawe udzielenie niektórych cennych wskazówek.

Lwów.

Kazimierz Sochaniewicz.

Odczyt dra Bolesława Orłowskiego w Paryżu. W czwartek dnia 4-po stycznia 1912 r. wygłosił w Bibliotece Polskiej (Stacya naukowa polska w Paryżu Akademii Umiejętności w Krakowie) dr. Bolesław Orłowski odczyt pt. *Wiedza o bajce* (Z zagadnień porównawczej historii motywów literackich), o następującej treści:

Z romantycznej ludomanii rodzi się folk-lore, biorący swą naukową metodę od badań archeologicznych. Daje on początek dyscyplinom dziś ustalonym, jak etnologia, zasila antropologię i etnografię. Z właściwego folkloru czeka jeszcze właściwie na syntetyczne opracowanie produkcja literacka ludowa, jakkolwiek nią zajmowano się nieraz, dorywczo raczej, ze stanowiska historii literatury. W tym zakresie należy oddzielić mytografię, której zadaniem określenie rasowej twórczości germańskiej, romańskiej, słowiańskiej. Najmniej ustalone są sposoby badania legend i bajek i poglądy na te rodzaje twórczości. Prelegent przedstawił teorie o początku legendy od starożytnych do nowszych Creuzera, Steinthala i i. Przeszedł następnie do najnowszych hipotez, omawiając obszerniej tom, poświęcony twórczości legendowej w Wundta „Völkerpsychologie“.

¹⁾ Są to materyały, które autor spożytkował w swej pracy p. t. *Gwara tatrzańska*.

logie". W. wychodzi od jednostki psychicznej tworzącej, wysuwa pobudki uczuciowe: strach i nadzieja, pożądanie, nienawiść i miłość, jako twórcze w genezie bajki. Zdaniem W. człowiek pierwotny nie zna związku przyczynowości, który tak ważną rolę odgrywa w teoriach intelektualistycznych. Twórczość człowieka pierwotnego jest bezinteresowną nie chodzi mu o praktyczny pogląd na życie i na świat. Stąd też W. wywodzi, że bajka jest pierwszą w łańcuchu genetycznym formą twórczości legendowej, za nią idzie saga, legenda, dopiero potem wyłania się mýt, graniczący z religią¹⁾. Dr. O. poddał krytyce pogląd W., wskazując, że polega on na fałszywym założeniu, że psychologia człowieka pierwotnego odpowiada psychologii dziecka. Dzikus i bambino nowożytnie zarówno chętnie słuchają bajek, dzikus nie kłopotce się o potrzeby życiowe, nie jest pogrążony w walce o byt z przyrodą i z innoplemięncami! Zbyt to Rousseau'wskie i Chateaubriand'owskie wyobrażenie człowieka pierwotnego.

Pojęcie kauzalności zapewne wytwarzał sobie człowiek pierwotny codziennem, bolesnem doświadczeniem nauczony. Dla W. argumentem dalszym za pierwotnością i uprzedniością bajki jest fakt, że dzicy podróżnikom opowiadają najczęściej bajki, nigdy zaś myty. Zdaniem p. O. wcale to tezy W. nie popiera, oczywiście, że świętych legend i mytów nie spieszą wyjawiać natrętnemu cudzoziemcowi.

Reakcja socjologiczna i użytkarna przeciw teoryom Wundta, pojawiła się we Francji pod postacią książki Van Gennep'a „*La formation des legendes*” (1910), książki nieco chaotycznej i niezupełnie samodzielnej. G. wskazuje na cel użytkowy twórczości literackiej, która jest funkcją społeczną, dostarczenie wskazań moralnych jej celem, nie zabawa. Dla Gennepa ten sam motyw może być legendą lub bajką lub mytem, zależnie od warunków umysłowych, wśród których przybiera formę.

W dalszym ciągu odczytu p. O. przeszedł do klasyfikacji mytografii i sprawy migracji wątków, wyjaśniając teorię aryjską, antropologiczną i orientalną. Omówił rezultaty badań prof. Bédiera, ograniczających znacznie wyniki poprzednich systemów przez wskazania, że każdy kraj może być ojczyzną wątków powieściowych.

Ze stanowiska metodyki nauk i klasyfikacji określał następnie granicę między folklorem a historią literatury. Stykają się zwłaszcza na terenie t. zw. porównawczej historii wątków powieściowych. Doniosłość tych badań dla filologicznej egzegetyki tekstów ilustrował kilku przykładami z cyklu Okrągłego Stołu, którego jest zamiłowanym badaczem.

Poradnik teatrów i chórów włościańskich. Na czele „*Poradnika*” za miesiące czerwiec-lipiec ogłosił Zarząd główny „Związku teatrów i chórów włościańskich” odezwę, w której wzywa polską u c z ą c ą s i ę m ł o d z i ę z do organizowania w czasie wakacji teatrów i chórów włościańskich, zwłaszcza na zagrożonych narodowo kresach. Na część literacką „*Poradnika*” składa się obraz sceniczny w 3 odsłonach p. t. „Dla

¹⁾ Obszerniej rozwinięte jest to rozumowanie w artykule Wundta, w „*Archiv für Religionswissenschaft*” 1908 s. 200 i nast.

dobrego sumienia“ znanej w dziedzinie twórczości dla ludu autorki p. Maryi Bruchnalskiej, oraz dyalog Ferdynanda Kurasia p. t. „Polonia“, do którego to dyalogu oryginalną dekorację zaprojektował prof. Janczyk. W dalszym ciągu porusza Dr. Koller szereg zagadnień, dotyczących twórczości dla ludu. P. Strycharski omawia „Przedstawienia dramatu klasycznego przez młodzież szkół średnich“, a p. Adam Piątek podaje praktyczne wskazania niezbędne przy organizowaniu drużyn teatralnych. W „Przeglądzie sztuk do grania“ znajdujemy recenzje pióra p. J. M. Dr. Kollera, E. Zwilling-Łozińskiego i innych. Całości zeszytu dopełniają odpowiedzi komisji literackiej, korespondencye, wiadomości z pism i książek, wreszcie kronika.

Rozporządzenie c. k. Ministerstwa Robót Publicznych z dnia 1. sierpnia 1911 L. 492 XXI. a), w sprawie zachowania rodzimych strojów ludowych. Odbitka z „Dziennika Urzędowego“ Nr. 24. z r. 1911. L. 14.541/IV.

Rodzime stroje ludowe znikają z wolna z widowni. Celem zachowania tych uroczych oryginalnych ubiorów, należy szukać środków i sposobów, któreby ten zanik powstrzymały lub przynajmniej opóźniły. W tym względzie pewnych skutków spodziewać się można po zarządzeniach dydaktycznych, one to bowiem na pokrewnem polu rodzimego budownictwa, zaleconego pieczy szkół przemysłu budowlanego, okazały już swą żywotność,

Te zarządzenia dydaktyczne mają zdążyć wyłącznie do tego, aby ludność włościańska nabywała tych zręczności, a zwłaszcza tych technik, jakie przy wykonywaniu tradycyjnych strojów wiejskich mają zastosowanie, z jakichkolwiek jednak powodów wyszły z użycia, lub w niedostatecznej tylko mierze bywają stosowane. Zważywszy doniosłość takiej akcji z jednej, a możliwość jej niepowodzenia z drugiej strony, musiałoby się tego rodzaju czasowe kursy naukowe urządzać oczywiście z wszelką ogłębnością, a przeto tylko w razie niewątpliwej rękojmi, co do ich zupełnie prawidłowego przeprowadzenia w myśl następujących zasad:

1. Naczelną ma być zasada, że celem każdego kursu może być tylko zachowanie istniejących strojów w danej postaci, ze stanowczem i bezwarunkowem wykluczeniem zmian; najmniejsze bowiem przeistoczenie pociągałoby już za sobą niewątpliwie zmianę i zatarcie charakterystycznego, z właściwościami klimatu, ziemi, pracy zawodowej, sposobu życia i zabiegliwości domowej ściśle związanego piętna każdego stroju, co sprzeciwiałoby się wręcz ostatecznemu celowi działania.

2. Nauka na kursach ma przeto ograniczać się wyłącznie do uprawiania technicznych zręczności (rysunków kroju, technik wykańczania, odświeżania i naprawiania) i do wskazówek o zastosowaniu materiałów, właściwych danemu strojowi ludowemu.

3. Wobec tego chodzi tu tylko o taką formę, jaka w odnośnej miejscowości jest lub była przyjęta, wzorami zaś mogą być jedynie wzorowe okazy z muzeów lub zbiorów prywatnych.

4. Naukę należy powierzać tylko siłom nauczycielskim, dającym wszelką rękojmię należytego zrozumienia ogólnej tendencji kursu, oraz

ściśle, z powyższymi zasadami zgodnego postępowania przy udzielaniu nauki. Nabyte drogą właściwej nauki uzdolnienie do spełniania przytoczonych zadań mają odnośne siły nauczycielskie okazać przez wykonanie prac wzorowych, uznanych jako takie z kompetentnej strony fachowej.

5. Kursy należy urządzać w głównych siedzibach pewnego obszaru strojów ludowych, aby tym sposobem zainteresować nimi całą ludność.

Podstawą do ułożenia programu szczegółowego mają być badania i układy na miejscu. Czas trwania kursu ma być zastosowany do obranego zadania nauki i nie powinien być za krótki.

Prócz tego zaleca się co pewien czas powtarzanie kursów, przeważnie bowiem tylko w razie częstszego oddziaływania można spodziewać się skutku.

Najodpowiedniejszą porą do odbywania kursów będą, ze względu na prace rolnicze włościan, miesiące zimowe; przy ustanawianiu godzin nauki należy starać się o to, aby uczestników ile możliwości nie odrywać od ich najpilniejszych zajęć zawodowych.

6. Ubogim uczestnikom należy dostarczać potrzebnych przyborów i materiałów.

Wszystkie wyroby wykonane na kursie stają się własnością uczestników.

* * *

Do przeprowadzenia tej akcji powołane są muzea przemysłu artystycznego, instytuty popierania przemysłu, seminaria dla nauczycielek żeńskich szkół przemysłowych, żeńskie szkoły przemysłowe i krajowe związki turystyczne.

W celu pomyślnego rozwiązania poruszanej kwestyi zwraca się c. k. Ministerstwo Robót Publicznych do wymienionych instytucji i związków z zachętą, aby sprawę kursów, mających przyczynić się do zachowania ubiorów ludowych rozważały, a w danym razie kursy takie urządziły. Jest więc rzeczą pożądaną, aby wszystkie czynniki, którym na powodzeniu tej sprawy zależy, łączyły się do wspólnej działalności przy urządzaniu kursów w poszczególnych obszarach krajowych, przyzywając do obrad w tym względzie uczonych znawców sztuki i nauczycieli oddziałów artystycznych w państwowych szkołach przemysłowych.

Dla poparcia odnośnych urządzeń kursowych oznajmia c. k. Ministerstwo Robót Publicznych, iż w myśl rozporządzenia swego z 26. stycznia 1909 l. 262 Pr. (Dziennik centralny dla spraw szkolnictwa przemysłowego, tom XXVIII. str. 358)¹⁾ gotowe jest w miarę środków udzielać urządzającym kursy czynnikom zasiłków do wysokości jednej trzeciej kosztów.

Zawiadomienia wstępne o zamiarze urzędzenia kursu, względnie prośby o zasiłki tudzież sprawozdania o kursach odbytych, przedstawiające dokładnie i szczegółowo zasadnicze kwestye sprawy, należy przedkładać b e z p o s r e d n i o c. k. Ministerstwu Robót Publicznych.

¹⁾ Wyciąg z tego rozporządzenia jest do nabycia w c. k. Nakładzie książek szkolnych w Wiedniu za cenę 4 h od egzemplarza.

Wysnute z doświadczenia, a zamierzonemu celowi odpowiadające wnioski i propozycje powita c. k. Ministerstwo z wdzięcznością.

Szkoły przemysłowe żeńskie, tudzież seminaria dla kandydatek na nauczycielki w tych szkołach, mogą w inny jeszcze sposób przyczynić się do zachowania kobiecych strojów ludowych, uwzględniając tę sprawę w sposób właściwy przy nauce szkolnej.

W tej mierze wypadnie seminariom nauczycielskim ograniczyć się do omawiania kobiecych strojów ludowych w ogólności przy pomocy obrazów świetlnych i szkicowania, gdy natomiast szkoły przemysłowe żeńskie, w których siedzibie lub w pobliżu istnieje uwagi godny strój chłopski, na ten strój właśnie przy nauczaniu miałyby zwracać szczególną uwagę.

Zawsze jednak należy postępować według przytoczonych na wstępie wskazówek.

Z c. k. Rady szkolnej krajowej.

We Lwowie, dnia 15. września 1911.

Za c. k. Namiestnika

Dembowski.



BILANS KASOWY

Lp.	Tytuł	Przychód		Wydatek	
		Kor.	h.	Kor.	h.
I.	Reserwa kasowa z r. 1909				
II.	Wpisów i wkładów członków				
III.	Subwencje:				
IV.	Dotacje z wydatków Towarzystwa				
V.	Dotacje				
VI.	Dotacje z Funduszu Wydatków				
VII.	Przebiegi				
VIII.					
IX.					
X.					
XI.					
XII.					
XIII.					
XIV.					
XV.					
XVI.					
XVII.					
XVIII.					
XIX.					
XX.					
XXI.					
XXII.					
XXIII.					
XXIV.					
XXV.					
XXVI.					
XXVII.					
XXVIII.					
XXIX.					
XXX.					
XXXI.					
XXXII.					
XXXIII.					
XXXIV.					
XXXV.					
XXXVI.					
XXXVII.					
XXXVIII.					
XXXIX.					
XL.					
XLI.					
XLII.					
XLIII.					
XLIV.					
XLV.					
XLVI.					
XLVII.					
XLVIII.					
XLIX.					
L.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					
LII.					
LIII.					
LIV.					
LV.					
LVI.					
LVII.					
LVIII.					
LIX.					
LI.					

BILANS KASOWY

PRZYCHÓD :

L. p.	T Y T U Ł	Szczegółowo		Razem	
		Kor.	h.	Kor.	h.
I.	Reszta kasowa z r. 1909 . . .			35	63
II.	Wpisowe i wkładki członków, oraz prenumerata			952	89
III.	Subwencje:				
	1. Rady kr. st. m. Lwowa .	300	—		
	2. Sejmu Krajowego	500	—		
	3. Ministerstwa oświaty . .	800	—	1.600	—
IV.	Dochód z wydawnictw Towarz.			313	29
V.	Odsetki			13	59
VI.	Pożyczka z Funduszu żelazn.			148	49
VII.	Przebieżne			754	13
				3.818	02

KOMISYA REWIZYJNA :

*Bolesław Lewicki.**Mieczysław Kiersz.**Karol Badecki.*

ZA ROK 1910.

ROZCHÓD :

L. p.	T Y T U Ł	Szczegółowo		Razem	
		Kor.	h.	Kor.	h.
I.	Wydatki administracyjne:				
	1. kosztu lokalu i obsługi .	432	—		
	2. portorya i drobne wydatki	68	94		
	3. podatek ekwiwalentowy .	3	22	504	16
II.	Wydatki na czasop. „Lud“:				
	1. druk, papier, brosz. i klisze	2.112	88		
	2. honoraria autorskie . . .	188	—		
	3. ekspedycja	105	15	2.406	03
III.	Wydatki na wydawnictwa Tow.			102	52
IV.	Wydatki na bibliotekę			8	80
V.	Przebieżne			682	14
VI.	Reszta kasowa z dn. 31 XII. 1910			114	37
				3.818	02

We Lwowie, dnia 31. grudnia 1910.

Józef Pelczarski m. p.
skarbnik.

BILANS MAJĄTKOWY

STAN CZYNNY:

L. p.	T Y T U Ł	Szczegółowo		Razem	
		Kor.	h.	Kor.	h.
I.	Reszta kasowa z d. 31/XII. 1910				
	1. W gotówce	114	37		
	2. W poczt. Kasie oszcz. . .	162	35	267	72
II.	Fundusz żelazny :				
	1. W pocztow. Kasie oszcz. wkładka zakład.	100	—		
	2. na książ. wkł. B. Z. Nr. 3338	45	34		
	3. na książ. wkł. T. W. K. Nr. 10104	4	45	149	79
III.	Zaległe należitości czynne :				
	1. Zaległe wkładki członków	300	—		
	2. „ „ należyt. w księg. .	100	—	400	—
				826	51

KOMISYA REWIZYJNA:

Bolesław Lewicki. Mieczysław Kiersz.
Karol Badecki.

Z KOŃCEM ROKU 1910.

STAN BIERNY:

L. p.	T Y T U Ł	Szczegółowo		Razem	
		Kor.	h.	Kor.	h.
I.	Zaległe należyt. za druk „Ludu“			730	—
II.	Wkładki pobrane na lata nast.			48	—
III.	Nadwyżka stanu czynnego, jako czysty majątek Towarz. :				
	W zaległych należyt. czynnych			48	51
				826	51

We Lwowie, dnia 31. grudnia 1910.

Józef Pelczarski m. p.
 skarbnik.

PRELIMINARZ DOCHODÓW

WYDATKI:

L. p.	T Y T U Ł	Wynikłość z roku 1910		Preliminuje się na rok 1911	
		Kor.	h.	Kor.	h.
I.	Wydatki administracyjne:				
	1. kosztu lokalu i obsługi .	432	—	432	—
	2. portorya i drobne wyd. .	68	94	120	—
	3. podatek ekwiwalentowy .	3	22	—	—
	4. druk odezw zaproszeń itd.	—	—	50	—
II.	Wydatki na czasop. „Ludu“ .	2.406	03	2.400	—
III.	„ „ wydawnictwa Tow.	102	52	150	—
IV.	Zwrot pożyczki do Fund. żel.	—	—	498	49
V.	Wydatki na bibliotekę . . .	8	80	100	—
VI.	Różnica zapasów kasow. 1909 10	6	75	—	—
		3.028	26	3.750	49

I WYDATKÓW NA ROK 1911.

POKRYCIE:

L. p.	T Y T U Ł	Wynikłość z roku 1910		Preliminuje się na rok 1911	
		Kor.	h.	Kor.	h.
I.	Wpisowe i wkładki członków oraz prenumer.	952	89	1000	—
II.	Subwencje	1.600	—	—	—
III.	Dochód z wydawnictw Tow. .	313	29	300	—
IV.	Odsetki	13	59	10	—
V.	Pożyczka z funduszu żelazn. .	148	49	—	—
VI.	Spodziewany niedob. wr. 1911*)			2.440	49
		3.028	26	3.750	49

*) Wykazany niedobór może być pokryty subwencjami, jeżeli zostaną przyznane.

Spis nadeslanych czasopism i książek.

- Abhandlungen d. Naturhistorischen Gesellschaft zu Nürnberg. XVIII Band
II Heft, XIX Band, H. I—III.
- Appalachia, Vol. XII, nr. 3.
- Appalachian Mountain Club, Register for. 1911—1912.
- Archives Suisses des traditions populaires, XV année, livr. 1—4, XVI
livr. 1—2.
- Atti della Reale Accademia dei Lincei, Classe di scienze fisiche, matema-
tiche e naturali, Anno CCCVIII — 1911, Vol. XX, 1^o sem. fasc. 1—12,
2^o sem. fasc. 1—12, Vol. XXI, 1^o sem. fasc. 1—11,
- Rendiconto dell' adunanza solenne. Anno 1911, vol. II.
- Augustaitis Franciszek. Pierwiastki litewskie we wczesnym romantyzmie
polskim. Kraków 1911.
- Baggelay F. T. Some Notes on Roman Architecture. Wash. 1910.
- Balfour H. The Origin of West African Crossbows. Wash. 1911.
- Bell Eleonor Yorke. The Republic of Panama and its people. Wash,
1910.
- Berichte über die Verhandl. d. kgl. Sächsischen Gesellschaft d. Wissen-
schaften zu Leipzig. 1910, h. X—XI, 1911, h. I—X, 1912, h. I—II.
- Hessische Blaetter für Volkskunde. Bd. X, h. 1—3.
- Bolletino della Società Africana d' Italia. Anno XXX, fasc. 3—12.
- Boyd Al. From the Niger, by lake chad, to the Nile. Wash. 1910.
- Bulletin de l' Académie imperiale des sciences de St. Pétersbourg. 1911,
Nr. 9—16, 1912, Nr. 1—9.
- Bulletins et mémoires de la Société d' anthropologie de Paris 1909.
Nr. 6.
- Bureau of American Ethnology. Bulletin 27, 30, 37, 40, 44, 43, 45, 47,
50, 51.
- Časopis Mačicy Serbskeje 1911, L. LXV, Zeš. I—II.
- Časopis pro moderní filologii, R. I, seš. 3—4, R. II. seš. 1—3.
- Časopis Moravského Musea Zemskeho, R. XI č. 2, XII č. 1.
- Časopis Musea Království Českého, 1911, sv. III, 1912 sv. II.
- Zprava o Museu Království Českého, 1911, sv. III, 1912 sv. II.
- Časopis museálnej slovenskej spoločnosti. R. XIV č. 2—4, XV č. 1.

- Časopis Společnosti Přátel Starožitnosti Českých v Praze, XIX (1911), č. 2—4, XX č. 1—2.
- Časopis Vlasten. Spolku Muzejního v Olomouci, R. XXVIII (1911) č. 2—4, XXIX (1912) č. 1.
- Dziennik Kijowski. 1911 Styczeń — Grudzień, 1912 Styczeń — Czerwiec.
- Fewkes J. Walter. The Cave dwellings of the old and new worlds. Wash. 1911.
- Danmarks Folkeminder. Nr. 7.
- Fornvännen, Meddelanden fran K. Vitterhets historie och antikvitets Akademien, 1910, Argengen 5.
- Finnisch-ugrische Forschungen, B. IX, h. 1—3, X, h. 1—3, XI, h. 1—2.
- Grunwald Max dr. Bericht über die Gruppe „Hygiene der Juden“ in der Internationalen Hygiene-Ausstellung. Dresden 1911.
- Gryf, 1911, Nr. 3—12, 1912, Nr. 1—6.
- Hupka Stanisław. Przyczynek do metodyczno-naukowej strony badań stanu i rozwoju współczesnej wsi polskiej w Galicyi Zachodniej. Kraków 1912.
- Izwiestija Imp. Gieogr. obszczestwa. T. 45, 1909, wyp. 11, T. 46, r. 1910, wyp. VI—X, T. 47, wyp. I—VI.
- Izwiestija otdielienija russk. jazyka i słow. Imp. Akad. T. XV, kn. 4, T. XVI, kn. 1—3.
- Uniwersyteckija Izwiestija. 1911 r. Nr. 3—12, 1912 r. Nr. 1—5.
- Jahrbuch d. Bukowiner Landesmuseums, XVII—XVIII Jhg.
- XIV Jahresbericht d. Vereins f. sächsische Volkskunde auf d. Jahr 1911.
- The Journal of Geography published by the Tokyo Geographical Society. Vol. XXIII, Nr. 265 — 276.
- The Journal of the Manchester Geographical Society. Vol. XXVI, Part. II—III.
- Katalog wystawki XIV archeologicziesgago zjezda w gor. Czernigowi 1908.
- Zabawna Knjižnica, XXIII zw.
- Knezowa Knjižnica, XVIII zw.
- Hrvaška Knjižnica, V (1911).
- Kołodziejczyk E. Ludność polska na górnych Węgrzech. Kraków 1910.
- Korrespondenzblatt d. Vereins für siebenbürgische Landeskunde. Jhg. XXIV, Nr. 10, XXV, Nr. 1—4.
- Lencewicz St. Charakterystyka antropologiczna ludności Smarzewic. Warsz. 1911.
- Letopis Matice Slovenske, za l. 1911.
- I. letopis jugoslavske Akademije znanosti i umjetnosti, 25 sv. za god 1910.
- Popis publikacije jugoslavske Akademije znanosti i umjetnosti, od 1867 do 1911.
- Český Lid, R. XX, čís. 8—10. XXI, č. 1—8.
- Listy filologické, R. 38 seš. III—VI, r. 39 seš. I—IV.
- Man a monthly record of anthropological science. Vol. XI, Nr. 5—12, XII, Nr. 1—7.
- Materyały do ukraińsko-russkoji etnologii, T. X.
- Menzinger Janez dr. Izbrani Spisi, I.
- Miesięcznik kościelny. 1911 Luty — Grudzień, 1912 Styczeń — Lipiec

- Mitteilungen zur jüdischen Volkskunde, XIV Jhg. 3—4 h., XV Jhg. 1—2 h.
 Mitteilungen d. schlesischen Gesellschaft f. Volkskunde Bd. XIII—XIV,
 Mitteilungen Naturhist. Gesellschaft zu Nürnberg. 1908, Nr. 2—5, 1909
 Nr. 1.
 Niederlausitzer Mitteilungen, IX B. 5—8 h.
 Mitteilungen d. Ukrainischen Gesellschaft d. Wissenschaften in Kiew
 kn. IX.
 Rodopski Napriedyk. VIII, kn. 7—10, IX, kn. I—VI.
 Niederle L. Geographical and statistical view of the contemporary slav.
 peoples. Wash. 1911.
 Pamjati I. W. Gogola. Sbornik izd. Impier. Uniwersytetom Sw. Włady-
 mira. Kiew, 1911.
 Pokorny J. The Origin of druidism, Wash. 1911.
 Pravěk. R. VI, č. 5—6, VII č. 1—4, VIII č. 1—2.
 Slovanský Přehled. XIII, č. 7—10, XIV, č. 1—8.
 Proceedings of the American Academy of Arts and Sciences, Vol. XLVI,
 Nr. 10—24, vol. XLVII nr. 1—21.
 Przegląd polski, r. 1911 Luty — Grudzień, 1912 Styczeń — Maj.
 Przegląd polsko-amerykański, Rocznik II, zeszyt 1 (Styczeń — Marzec).
 Przewodnik oświatowy r. 1912, nr. 1—13.
 Przewodnik po wystawie ludoznawczej kaszubsko-pomorskiej w Koście-
 rzyńie, 1911 r.
 University of California Publications in American Archeology and Ethno-
 logy, vol. IX, Nr. 2—3, X, 1—3.
 Report on the progress and condition of the U. S. National Museum for
 the year 1910—1911.
 Revue d' ethnographie et de sociologie 1911, Nr. 1—8, 1912 Nr. 1—4.
 Ripley William. The European Population of the United States. Wash.
 1910.
 Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Przemyślu. T. I. (1909—1911).
 Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie. T. IV. (1910).
 Roczniki Tow. Przyjaciół Nauk poznańskiego. T. XXXVI—XXXVII.
 Rodzina i szkoła, 1911 zesz. I—XII, 1912 zesz. I—IV.
 Ruch filozoficzny, R I, Nr. 5—10, R. II, Nr. 1—6.
 Ruś, r. I zeszyt III—IV.
 Sbornik české společnosti zeměvedné. r. XVII, seš. 1—2.
 Sbornik charkowskago Istoriko-filologiczeskago obščestwa. T. XVII.
 Izdan w czest' prof. H. F. Sumcowa.
 Sedgwich A. The relation of science to human life. Wash. 1910.
 Sezatoarea, Vol. XII, c. 1—14.
 Sitzungsberichte d. Kgl. Bayerischen Akademie d. Wissenschaften. Phil-
 hist. und philol. Kl. Jhg. 1911 Abh. 5—15, 1912, Abh. 1.
 Měšťanská škola, R. XIII, č. 9—20, R. XIV, č. 1—21.
 Smólski G. Gwara tatrzańska i jej piśmiennictwo. Warsz. 1911.
 Slovenski Spomini in Jubileji. I Zvezek.
 Sprawozdanie komisji fizyograficznej, T. 45.
 Žiwaja Starina XX (1911) wyp. I—IV.
 Za Starou Prahou, II č. 3—10, III č. 1—3.

- Stołyhwo K. Przyczynek do historyi antropologii w Polsce. Warsz. 1912.
- Stołyhwo K. Sprawozdanie ze stanu i działalności pracowni antropologicznej Towarzystwa Naukowego Warszawskiego za r. 1911. Warsz. 1912.
- Strekelj K. dr. Slovenske Narodne Pěsmi, 14 Snopič.
- ztuka stosowana, 1911, zes. 15.
- Travaux de la Sous-Section Troitzkossawsk - Kiakta. Section du pays d'Amour de la Société Imperiale Russe de Géographie. T. XII livr. 1—2, XIII livr. 1.
- Trudy Czernigowskoj gub. archiwn. Komisji. Wyp. VII (1908).
- Věstnik Král české společnosti nauk, 1911.
- Narodopisný Věstnik česko-slovanský. R. VI, č. 5—10, VII, č. 1—6.
- Schweizer Volkskunde I Jhg. h. 1—12, II Jhg. h. 1—5.
- 32 Volkslieder für Sopran, Alt, Tenor und Bass gesetzt von Joseph Reiter und Richard Wickenhauser, Wien 1910.
- 25 Echte Volkslieder für die höheren Klassen der Volks- und Bürgerschulen Ausg. von Joseph Reiter. Wien 1911.
- Willcocks Will. Mesopotamia: Past, Present and Future. Wash. 1910.
- Wistnyk charkowskago Istor.-filologiczeskago obszczestwa. Wyp. I.
- Zachęta, R. II, Nr. 1—2.
- Zahorski. O formach współżycia płciowego ze stanowiska socyologicznego. Kraków 1911.
- Uczenija Zapiski Imp. Kazanskago Uniwers. 1911, Nr. 4—12, 1912 Nr. 1—5.
- Zbornik za narodni život i običaje južnich slavena. Kn. XVI, sv. 1—2.
- Zbornik na svetlo daje „Matica slovenska“, XIII. Zvezek.
- Etnograficznij Zbirnyk. T. XXIV.
- Nasze Zdroje. III, Nr. 12—14.
- Zeitschrift d. Vereins f. Volkskunde. Bd. XXI h. 2—4, XXII h. 1—2.
- Zeitschrift f. rheinische und westfälische Volkskunde 1911, h. 1—IV, 1912 h. 1—II.
- Zeitschrift f. oesterreichische Volkskunde. Jhg. 1911, h. 1—6, 1912, 1—2.
- Ziemia, r. 1911, 1912 do czerwca.
- XVII. Zpráva Kuratoria Prumyslového Musea w Chrudimi za r. 1910.
- Výroční Zpráva Král. České Společnosti Nauk za r. 1911.

Najtańsze polskie-katolickie pismo pedagogiczne

„RODZINA i SZKOŁA“

poświęcone domowemu i szkolnemu wychowaniu młodzieży, oraz dalszemu kształceniu nauczycielstwa.

Wychodzi rok XVIII. we Lwowie z końcem każdego miesiąca w objętości dwóch arkuszy druku (32 stronice).

DODATEK NAUKOWY

„WIEDZA i PRACA“

wychodzi razem z „RODZINĄ i SZKOŁĄ“

poświęcony popularyzowaniu wiedzy ogólnej, w objętości jednego arkusza druku (16 stronice).

WARUNKI PRENUMERATY:

Przy zamawianiu wprost z administracyi i uiszczeniu przedpłaty z góry, przynajmniej za pół roku, kosztuje „RODZINA i SZKOŁA“ z dodatkiem naukowym WIEDZA i PRACA w Austrii: rocznie 6 K., półrocznie 3 K. 40 h. Przy zamawianiu przez księgarnie lub płaceniu prenumeraty później, a więc nie równocześnie z zamówieniem, przedpłata wynosi: rocznie 7 K., półrocznie 4 K.

W innych krajach: rocznie 8 Mk. — 9 frank. — 4 Rb. — 2 dol.; półrocznie 4'50 Mk. — 5 frank. — 2'40 Rb. 1'40 dol.

„RODZINĘ i SZKOŁĘ“ z dodatkiem naukowym „WIEDZA i PRACA“ poleca galicyjska c. k. Rada szkolna krajowa we Lwowie, reskryptem z dnia 21. marca 1904 l. 10.299 do bibliotek nauczycielskich szkolnych i okręgowych w Galicyi.

Dziennik urzędowy galic. c. k. Rady szkolnej krajowej Nr. 8. z d. 30. marca 1904 r. str. 162.

„RODZINĘ i SZKOŁĘ“ z dodatkiem naukowym „WIEDZA i PRACA“ polecają również: śląska c. k. Rada szkolna krajowa w Opawie, reskryptem z dnia 22. marca 1908 l. 2.162 do bibliotek nauczycielskich wszystkich szkół polskich na Śląsku, a bukowskińska c. k. Rada szkolna krajowa w Czerniowcach, reskryptem z 27. października 1908 L. 8.407 do bibliotek nauczycielskich szkół polskich, względnie szkół z klasami polskimi na Bukowinie.

„RODZINĘ i SZKOŁĘ“ z dodatkiem naukowym „WIEDZA i PRACA“ odznaczono listem pochwalnym na wystawie przyrodniczo-lekarskiej i higienicznej we Lwowie w r. 1907, oraz na wystawach „Dziecko“ w Wilnie i higienicznej w Lublinie w r. 1908.

„RODZINĘ i SZKOŁĘ“ z dodatkiem naukowym „WIEDZA i PRACA“ zamawiać można każdego czasu w Administracyi, oraz przez wszystkie księgarnie w kraju i zagranicą. — Prenumerata liczy się od 1. stycznia lub od 1. lipca do końca roku. Zeszytów już wydanych dostarczamy od Nr. 1.

Redakcja i Administracja we Lwowie, (Galicya) przy ul. Szeptyckich l. 74 (Gmach „Sokoła“ II-go).

